

ROBERT HARRIS

SPISEK

TRYLOGIA IMPERIUM RZYMSKIE



SPISEK

ROBERT HARRIS

TRYLOGIA IMPERIUM RZYMSKIE

Z angielskiego przełożyła
MAGDALENA SŁYSZ



Tytuł oryginału:
LUSTRUM

Copyright © Robert Harris 2009
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2011
Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2011

Redakcja: Jacek Ring
Ilustracja na okładce: Blacksheep Design
Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz
Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-177-3 (oprawa miękka)

ISBN 978-83-7659-178-0 (oprawa twarda)

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o, sp, k.-a.
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl

Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.empik.com

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.amazonka.pl

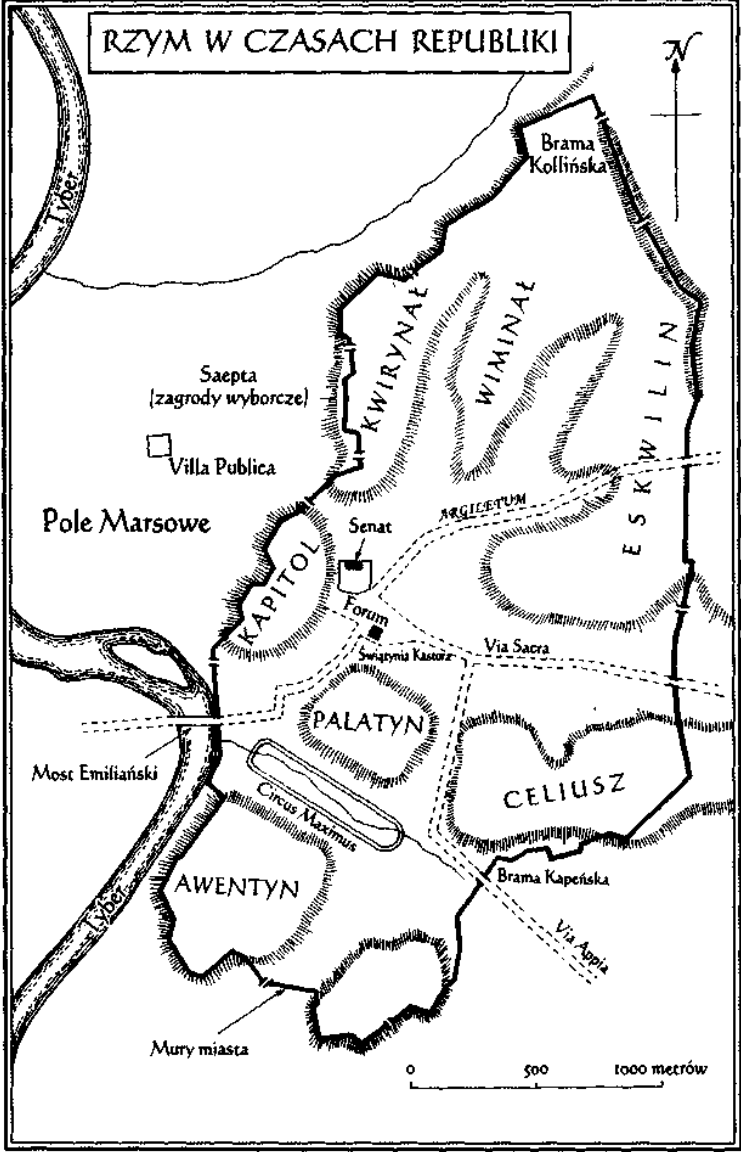
Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

2011. Wydanie I/oprawa miękka
Druk: B.M. Abedik S.A. Poznań

Peterowi

RZYM W CZASACH REPUBLIKI



Nota od autora

Kilka lat przed narodzeniem Chrystusa powstała biografia Cyncerona, rzymskiego mówcy i polityka; napisał ją jego były sekretarz Tiron.

Liczne źródła potwierdzają, że Tiron jest postacią autentyczną i że rzeczywiście takie dzieło wyszło spod jego pióra. „Wyświadczyłeś mi niezliczone przysługi – pisał kiedyś do niego Cyncero – w domu i poza nim, w Rzymie i za granicą, podczas moich studiów i pracy literackiej...”. Urodził się już w niewoli, był trzy lata młodszy od swojego pana, ale przeżył go znacznie, bo umarł – według świętego Hieronima – w wieku stu lat. Pierwszy zapisywał przebieg obrad senackich słowo w słowo i jego system stenograficzny, znany jako *notae Tironianae*, był używany w Kościele jeszcze w szóstym wieku; zresztą niektóre znaki i skróty (&, etc., nb., i.e., e.g.*) przetrwały do dziś. Pozostawił po sobie również kilka traktatów dotyczących rozwoju języka łacińskiego. O jego wielotomowej biografii Cyncerona wspomina historyk z pierwszego wieku n.e., Askoniusz Pedia-nus, w swoim komentarzu do mów sławnego oratora; Plutarch cytuje ją w dwóch miejscach. Księga ta zaginęła jednak wraz z upadkiem imperium rzymskiego jak reszta twórczości literackiej Tirona.

* Łacińskie etc. – *et cetera*, i inne; nb. – *notabene*, nawiasem mówiąc, w dodatku i.e. – *id est*, to jest; e.g. – *exempli gratia*, na przykład.

Wciąż intryguje naukowców, co to było za dzieło. W 1985 roku Elizabeth Rawson, członkini Corpus Christi College w Oksfordzie, postawiła tezę, że jeśli chodzi o formę literacką, prawdopodobnie powstało pod wpływem biograficznej tradycji hellenistycznej – napisane było „w bezpretensjonalnym, nieretorycznym stylu; powoływało się na dokumenty, ale ze względu na tematykę zawierało także sentencje i mogło być plotkarskie, mało wiarygodne... Lubowało się w idiosynkrazjach... Takie biografie pisano nie dla polityków ani wodzów, ale dla *curiosi**, jak mówili Rzymianie”**.

* *Curiosi* (łac.) – zainteresowani, zaciekawieni.

** Elizabeth Rawson, *Intellectual Life in the Late Roman Republic*, London 1985, ss. 229–230.

Postanowiłem odtworzyć zaginione dzieło Tirona właśnie w takim duchu. Chociaż poprzedni tom, *Cycero*, przedstawia drogę bohatera do władzy, nie trzeba, mam nadzieję, go czytać, żeby zrozumieć tę powieść. Nie jest ona książką historyczną: jeśli wymogi powieści były sprzeczne z wymogami dzieła historycznego, bez wahania rezygnowałem z tych drugich na rzecz pierwszych. Mimo to starałem się, żeby fikcja nie odbiegała od faktów, a także w miarę możliwości cytowałem wypowiedzi samego Cyncerona – których znamy tak wiele, w dużej mierze właśnie dzięki Tironowi. Chciałbym podziękować panu Fergusowi Flemingowi za to, że wspaniałomyślnie podsunął mi tytuł *Lustrum* (tytuł oryginału). Czytelnicy, którzy pragną zapoznać się z terminologią polityczną okresu republiki rzymskiej albo z listą postaci występujących w tekście, znaj dana końcu książki słowniczek i wykaz *dramatis personae*.

R.H.

*Patrzymy na minione wieki protekcyjnie,
jak na coś poprzedzającego nas... a jeśli
to my jesteśmy tylko słabym ich odbiciem?*

J.G. Farrell, *The Siege of Krishnapur*

Lustrum – (1) w lm. legowisko dzikich zwierząt;
(2) w lm. dom publiczny, stąd życie rozwiązłe,
rozpusta; (3) lit., ofiara oczyszczalna, przebłagal-
na, zwłaszcza składana co pięć lat przez cenzo-
rów; przen.: okres pięcioletni.

Część pierwsza

KONSUL

63 r. p.n.e.

*O condicionem miseram non modo administrandae
verum etiam conservandae rei publicae!*

„Nie tylko rządzenie republiką, ale jeszcze
jej ratowanie – co za niewdzięczna praca!”.

Cycero, mowa z 9 listopada 63 r. p.n.e.

I

Dwa dni przed tym, jak Marek Tulliusz Cyncero objął w Rzymie konsulat, wyłowiono z Tybru ciało młodego chłopca; było to w pobliżu doków republikańskiej floty wojennej.

Takie odkrycie, choć wstrząsające, w normalnych okolicznościach nie wymagałoby uwagi konsula elekta. Ale w tym znalezisku było coś tak groteskowego i stanowiącego groźbę dla ładu publicznego, że urzędnik odpowiedzialny za utrzymanie porządku w mieście, Gajusz Oktawiusz, wysłał wiadomość do Cyncerona, prosząc go o natychmiastowe przybycie.

Ze względu na nawał pracy Cyncero początkowo odniósł się do tej prośby niechętnie. To on jako kandydat na stanowisko konsula, który zdobył najwięcej głosów w wyborach, miał przewodniczyć pierwszej sesji senatu, a nie kolega, i właśnie pisał mowę inauguracyjną. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest to jedyny powód takiej postawy. Wszystko bowiem, co wiązało się ze śmiercią, budziło w nim niezwykley lęk. Niepokoilo go nawet zabijanie zwierząt podczas łowów i ta słabość – bo, niestety, wrażliwe serce zawsze uchodzi w polityce za przejaw słabości – zaczęła być już widoczna. W pierwszej więc chwili pomyślał, że w swoim zastępstwie wyśle mnie.

- Oczywiście, że pójdę – odparłem posłusznie. – Ale...
- Ale? – zapytał ostro. – Ale co? Uważasz, że to będzie źle widziane?

Ugryzłem się w język i wróciłem do notowania jego mowy. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Och, niech będzie – mruknął w końcu. Wstał. – Oktawiusz jest męczący, ale dość zrównoważony. Nie wzywałby mnie, gdyby to nie było coś ważnego. Zresztą dobrze mi zrobi, jeśli odetchnę świeżym powietrzem.

Zbliżał się koniec grudnia i pod ciemnoszarym sklepieniem chmur wiał wiatr na tyle silny, że trudno było złapać oddech. Na ulicy tłoczyło się kilkunastu petentów, którzy liczyli, że zostaną przyjęci, i gdy tylko zobaczyli w drzwiach frontowych konsula elekta, natychmiast do niego podbiegli.

– Nie teraz – rzucił Cynceron, przepychając się między nimi.
– Nie dzisiaj.

Zarzucił brzeg płaszcza na ramię, opuścił brodę, przyciskając ją do piersi, i szybkim krokiem ruszył po stoku wzgórze na dół.

Musielimy ująć z milę; przecięliśmy forum i wyszliśmy z miasta bramą przy rzece. Wody Tybru wezbrały i płynęły wartko, tworząc żółtobrazowe wiry i prądy. Dalej, naprzeciwko Isola Tiberina, wśród żurawi na nabrzeżu Navalii, zobaczyliśmy tłum ludzi. (Jeśli przy okazji powiem, że wyspa nie była jeszcze połączona mostami z brzegami, zdacie sobie sprawę, jak dawno temu to się działo – ponad pół wieku). Gdy się zbliżyliśmy, kilku gapiów rozpoznało Cyncerona; rozstąpili się, żeby nas przepuścić, i w tłumie zapanowało poruszenie. Miejsce wypadku otaczał kordon legionistów z koszarów floty morskiej. Oktawiusz już na nas czekał.

– Przyjmij przeprosiny, że ci przeszkodziłem – zaczął i uściśnął dłoń mojemu panu. – Wiem, jak bardzo musisz być zajęty, zwłaszcza przed inauguracją.

– Drogi Oktawiuszu, zawsze miło mi cię widzieć. Znasz mojego sekretarza, Tirona?

Oktawiusz spojrział na mnie bez zainteresowania. Choć dziś jest pamiętany głównie jako ojciec Augusta, wówczas był edylem plebejskim i człowiekiem z przyszłością. Pewnie zostałby konsulem, gdyby nie umarł przedwcześnie z powodu gorączki ze cztery lata po tym zdarzeniu. Zabrał nas z dworu do jednego z wielkich budynków portowych, gdzie na potężnych drewnianych walcach spoczywał szkielet liburny, którą rozebrano do naprawy. Obok na ziemi leżał jakiś podłużny kształt owinięty w płótno żaglowe. Oktawiusz bez wstępów ani ceremonii odrzucił materiał i ukazało się przed nami nagie ciało chłopca.

Jeśli dobrze pamiętam, wyglądał na jakieś dwanaście lat. Miał piękną pogodną twarz, wręcz kobiecą ze względu na delikatność, ze śladami złotej farby na nosie i policzkach oraz czerwoną wstążką w mokrych ciemnych włosach. Podcięto mu gardło, a ciało rozpruto aż po pachwinę i wyjęto wnętrzności. Nie widać było tam krwi, tylko podłużną jamę jak u wypatroszonej ryby, wypełnioną rzeczonym mułem. Nie wiem, jak Cycero zdołał wytrzymać ten widok i zachować opanowanie; jednakże przełykał ślinę i nie odwracał wzroku. W końcu rzekł ochryple:

– Straszne.

– To jeszcze nie wszystko – zapowiedział Oktawiusz.

Przykucnął na piętach, ujął w dłonie czaszkę chłopca i obrócił ją w lewą stronę. Przy tym ruchu rana na szyi otworzyła się i zamknęła nieprzyzwoicie, niczym drugie usta, które próbowały nas szeptać przed czymś ostrzec. Wydawało się, że na Oktawiuszu nie robi to żadnego wrażenia; przecież był wojskowym, niewątpliwie nawykłym do takich widoków. Odgarnął włosy chłopca i odsłonił wgłębienie tuż za jego prawym uchem, a następnie przesunął po nim palcem.

– Widzisz? Wygląda na to, że został uderzony czymś od tyłu. Pewnie młotkiem.

– Pomalowano mu twarz. I związano wstążką włosy. Potem uderzono go od tyłu młotkiem – powtórzył Cycero; mówił coraz wolniej, w miarę jak uświadamiał sobie, dokąd prowadzi ten tok rozumowania. – Następnie przecięto mu gardło. I w końcu... go wypatroszono.

– Właśnie – potwierdził Oktawiusz. – Oprawcy chcieli obejrzeć jego wnętrzności. Zabito go na ofiarę... jak zwierzę.

Włosy zjeżyły mi się na karku, gdy usłyszałem te słowa w owym zimnym, ciemnym pomieszczeniu; i zrozumiałem, że stoję w obliczu zła, zła tak namacalnego, tak potężnego jak pio-run.

– Słyszałeś o jakichś kultach w mieście, które nakazują tak ohydne praktyki? – zapytał Cycero.

– Nie. Przychodzą mi na myśl tylko Galowie... którzy podobno robią takie rzeczy. Ale obecnie nie ma ich tu tak wielu, a ci, którzy zostali, zachowują się przyzwoicie.

– A kim jest ofiara? Czy ktoś zgłosił się po tego chłopca?

– To kolejny powód, dla którego chciałem, żebyś przybył i sam zobaczył. – Oktawiusz przewrócił ciało na brzuch. – Ma tu na plecach mały tatuaż wskazujący właściciela. Ci, którzy wrzucili ciało do wody, musieli to przeoczyć. „C.Ant.M.f.C.n.”, czyli Gajusz Antoniusz, syn Marka, wnuk Gajusza. To znany ród! Chłopiec był niewolnikiem twojego kolegi konsula, Antoniusza Hybrydy. – Wstał i wytarł ręce w płótno żeglarskie, a potem niedbale przykrył nim zwłoki. – Co zamierzasz uczynić?

Cycero jak urzeczony patrzył na żalospną postać leżącą na ziemi.

– Kto wie o tej sprawie?

– Nikt.

– A Hybryda?

– Też nie.

- A skąd wziął się ten tłum na zewnątrz?
 - Rozeszła się pogłoska, że odkryto jakiś rytualny mord. Ty wiesz najlepiej, jaki jest motłoch. Ludzie już gadają, że coś takiego w przeddzień objęcia przez ciebie konsulatu to zły znak.
 - Być może mają rację.
 - To ciężka zima. Mogliby się już uspokoić. Chyba powinniśmy zawiadomić o tym zdarzeniu kolegium kapłanów i poprosić, żeby odprawili jakiś obrzęd oczyszczający...
 - Nie, nie – szybko zaoponował Cynceron, gdy oderwał wreszcie wzrok od ciała zamordowanego. – Żadnych kapłanów. Oni tylko pogorszą sytuację.
 - Co więc zrobimy?
 - Nic nikomu nie mów. Jak najszybciej spal ciało. Niech nikt go nie ogląda. Zabroń tym, którzy je widzieli, mówić cokolwiek na ten temat po groźbą uwięzienia.
 - A co powiemy plebsowi?
 - Ty zajmij się ciałem, ja zajmę się plebsem.
- Oktawiusz wzruszył ramionami.
- Jak sobie życzysz – powiedział. Zabrzmiało to obojętnie. Do końca urzędowania pozostał mu jeszcze tylko jeden dzień; wiedziałem, że chętnie pozbędzie się problemu.
- Cyncero podszedł do drzwi i kilka razy odetchnął głęboko, żeby jego policzki odzyskały kolor. Potem zobaczyłem – jak już nie raz – że prostuje ramiona i przybiera wyraz twarzy znamionujący pewność siebie. Wyszedł na zewnątrz i wspiął się na stertę drewna, żeby przemówić do tłumu.
- Ludu rzymski, upewniłem się, że ponure pogłoski, które obiegły miasto, są nieprawdziwe! – Musiał krzyczeć na wietrze, żeby jego słowa były słyszane. – Wracajcie do domów, do rodzin, i świętujcie dalej!
 - Ale ja widziałem zwłoki! – wykrzyknął jakiś mężczyzna.
 - Złożono ofiarę z człowieka, żeby ściągnąć klątwę na republikę!

Reszta zebranych podjęła okrzyk.

– To miasto jest przeklęte! Twój konsulat jest przeklęty! Wezwijcie kapłanów!

Cycero uniósł ręce.

– Owszem, ciało było w strasznym stanie. Ale czego się spodziewaliście? Nieszczęsny chłopak leżał w wodzie przez długi czas. Ryby są głodne. Żywią się czym popadnie. Naprawdę chcecie, żebym wezwał kapłana? Po co? By przeklął rybę? A może ją pobłogosławił? – Kilku ludzi zaczęło się śmiać. – Od kiedy to Rzymianie boją się ryb? Idźcie do domów. Bawcie się dobrze. Pojutrze rozpocznie się nowy rok, z nowym konsulem... który będzie o was dbał!

Nie była to wspaniała oracja, ale spełniła swoją funkcję. Rozległy się nawet wiwaty. Cycero zeskoczył na ziemię. Legioniści utorowali nam drogę w tłumie i szybko wycofaliśmy się w stronę miasta. Gdy zbliżaliśmy się już do bramy, obejrzałem się przez ramię. Zebrani zaczęli się rozchodzić w poszukiwaniu nowych atrakcji. Odwróciłem się do Cycerona, żeby pogratulować mu przemówienia, które okazało się skuteczne, ale on stał pochylony nad rowem przy drodze i wymiotował.

Tak wyglądała sytuacja w mieście w przededniu objęcia przez Cycerona konsulatu – panowały głód i niepewność, ludzie żyli plotkami; kalecy weterani wojenni i chłopci, którzy stracili pieniądze, zebrali na rogach ulic; rozbawione bandy pijanych młodych ludzi terroryzowały sklepikarzy; kobiety z dobrych rodzin jawnie uprawiały prostytutkę pod tawernami; wybuchały pożary, przychodziły gwałtowne burze i bezksiężycowe noce; psy grzebały po śmietnikach; pełno było fanatyków, wróżbitów, żebraków, awanturników. Pompejusz wciąż przebywał na wschodzie, gdzie dowodził legionami, a pod jego nieobecność nad Rzymem niczym mgła znad rzeki wisiał lęk, tak że każdego

aż przechodziły ciarki. Wszyscy przeczuwali, że stanie się coś złego, ale nie bardzo wiedzieli co. Mówiono, że nowi trybunowie wspólnie z Cezarem i Krassusem przygotowują w tajemnicy wielki plan mający na celu przekazanie ziemi publicznej miejskiej biedocie. Cycero usiłował się dowiedzieć na ten temat czegoś więcej, ale odprawiono go z kwitkiem. Wiadomo było jedynie, że jeśli taki plan powstanie, patrycjusze na pewno będą mu przeciwni. Brakowało wszelkich dóbr, sklepy były puste, ludzie gromadzili żywność. Nawet lichwiarze przestali udzielać pożyczek.

Co do kolegi konsularnego Cyclerona, Antoniusza Hybrydy – Antoniusza Półkrwi; Pół Człowieka, Pół Bestii – był on jednocześnie nieokrzesany i głupi, co nie dziwiło u kandydata, który ubiegał się o urząd przy wsparciu zaprzysięgłego wroga Cyclerona, Katyliny. Niemniej Cycero, zdając sobie z sprawę z niebezpieczeństw, jakim będzie musiał stawić czoło, i czując, że przydadzą mu się sojusznicy, czynił liczne starania, żeby się z nim porozumieć. Niestety, te jego próby nic nie dały, i powiem dlaczego. Wybrani na dany rok konsulowie zwyczajowo losowali w październiku prowincję, którą mieli objąć w zarząd po złożeniu urzędu. Hybryda, który tonął w długach, upatrzył sobie buntowniczą, ale bogatą Macedonię, gdzie można było zbić majątek. Ku swemu wielkiemu rozczarowaniu wylosował jednak spokojną, pasterską Galię Przedalpejską, w której wszyscy siedzieli jak mysz pod miotłą. Macedonia natomiast przypadła Cycleronowi i kiedy ogłoszono to w senacie, na twarzy Hybrydy pojawiło się takie zaskoczenie, a potem dziecinna uraza, że cała izba zatrzęsła się od śmiechu. Od tego czasu Hybryda nie rozmawiał z Cycleronem.

Nic więc dziwnego, że Cycleronowi trudno szło pisanie mowy inauguracyjnej; kiedy wróciliśmy znad rzeki do domu i znowu zaczął mi ją dyktować, wręcz łamał mu się głos. Patrzył w dal z

nieobecny wyrazem twarzy i wciąż głośno się zastanawiał, dlaczego chłopiec zginął w taki sposób i jakie to ma znaczenie, że należał do Hybrydy. Zgadzał się z Oktawiuszem: prawdopodobnie sprawcami zbrodni byli Galowie. Jeden z ich kultów wymagał składania ofiar z ludzi. Cycero przesłał więc wiadomość swojemu przyjacielowi, Kwintusowi Fabiuszowi Sandze, który był głównym protektorem Galów w senacie, i zapytał go dyskretnie, czy jego zdaniem są zdolni do takiego bestialstwa.

Sanga w ciągu godziny odpowiedział jednak wyniośle, że na pewno nie i że Galowie byliby bardzo urażeni, gdyby konsul elekt trwał przy tak krzywdzącym podejrzeniu. Cycero westchnął więc, rzucił list i próbował podjąć urwany wątek przemówienia. Nie mógł jednak przekształcić go w żadną spójną myśl i krótko przed zachodem słońca poprosił o płaszcz i buty.

Przypuszczałem, że zamierza udać się do ogrodów publicznych położonych niedaleko domu, do których często chadzał, kiedy układał mowę. Ale gdy dotarł na szczyt wzgórza, zamiast skrócić w prawo, poszedł dalej ku Bramie Eskwilińskiej i ze zdumieniem uświadomiłem sobie, że zmierza poza świętą granicę, do miejsca, gdzie palono zwłoki – którego zwykle za wszelką cenę unikał. Minęliśmy wózkarzy, którzy za bramą czekali na klientów, oraz przysadzistą oficjalną siedzibę carnifexa, który jako kat nie mógł mieszkać w granicach miasta. W końcu wkroczyliśmy do świętego gaju Libitiny, pełnego kraczących wron, i zbliżyliśmy się do świątyni. W tamtych czasach stanowiła siedzibę cechu grabarzy i można tam było kupić wszystko, czego potrzeba na pogrzeb, od olejów, którymi namaszcza się zwłoki, po łożę, na którym się je pali. Cycero poprosił mnie o pieniądze i poszedł porozmawiać z kapłanem.

Wręczył mu monety i pojawiło się kilku oficjalnych żałobników.

Potem przywołał mnie.

– Jesteśmy w samą porę – powiedział.

Co za dziwną grupę musieliśmy tworzyć, gdy tak szliśmy gęsiego przez Pole Eskwilińskie, na przedzie żałobnicy niosący dzbany z kadzidłami, za nimi konsul elekt i wreszcie ja. Wokół nas strzelały w mroku płomienie stosów pogrzebowych, niósł się płacz osieroconych i zapach kadzidła – silny, ale nie na tyle, by zamaskować smród palonych ciał. Żałobnicy zawiedli nas do publicznej ustryny, gdzie na wózku czekała sterta zwłok, które miały być rzucone do ognia. Nagie i bez butów, te bezimiennie ciała były po śmierci tak ubogie jak za życia. Nakryto tylko szczątki chłopca; rozpoznałem je po płótnie żeglarskim, które starannie zaszyto. Gdy dwóch pracowników rzuciło je na metalową kratę, Cycero skłonił głowę, a wynajęci żałobnicy podnieśli szczególnie głośny lament, bo bez wątplenia liczyli na suty napiwek. Płomienie wznosiły się i przygasały na wietrze, i wkrótce było po wszystkim: chłopiec odszedł tam, dokąd odedzie każdy z nas.

Była to scena, której nigdy nie zapomniałem.

Z pewnością największą łaską opatrności jest to, że nie możemy poznać przyszłości. Wyobraźcie sobie, co by to było, gdybyśmy znali wynik naszych nadziei i planów albo mogli przewidzieć, jaka spotka nas śmierć – nasze życie zostałoby zrujnowane! Zamiast tego żyjemy z dnia na dzień w błogiej nieświadomości, zadowoleni jak zwierzęta. Ale wszystko kiedyś musi obrócić się w pył. Temu prawu nie ujdzie ani człowiek, ani żaden system, żadna epoka; wszystko szeptnie pod gwiazdami, nie ostanie się najtwardsza skała. Przetrwają tylko słowa.

Mając to na uwadze, z nową nadzieją, że pożyję na tyle długo, by wywiązać się z tego zadania, przedstawię teraz opowieść o niezwykłym roku z życia Cycerona, gdy sprawował on urząd konsula republiki rzymskiej, a także o następnych czterech latach – czyli okresie, który my, śmiertelnicy, nazywamy *lustrum*, a który dla bogów jest jak mgnienie oka.

II

Nazajutrz, w przeddzień inauguracji, spadł śnieg – gęsty śnieg, taki, jaki zwykle widuje się w górach. Pokrył świątynie na Kapitolu miękkim białym marmurem i zasłał całe miasto całunem grubości ludzkiej dłoni. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego i mimo sędziwego wieku nie słyszałem, żeby to się kiedykolwiek powtórzyło. Śnieg w Rzymie? To musiał być jakiś znak. Tylko jaki?

Cycero siedział w swoim gabinecie, obok małego paleniska, w którym płonęły węgle, i pracował dalej nad przemówieniem. Nie wierzył w znaki. Kiedy wpadłem do środka i opowiedziałem mu o śniegu, wzruszył jedynie ramionami, jakby mówił: „I co z tego?”, a gdy zacząłem niepewnie przywoływać argumenty stoików, nieodżegnujących się od wiary w znaki – bo jeśli istnieją bogowie, muszą troszczyć się o ludzi, a jeżeli się o nich troszczą, to oznajmiają im swoją wolę za pomocą znaków – przerwał mi ze śmiechem:

– Bogowie, obdarzeni przecież nadprzyrodzonymi mocami, na pewno mają lepsze sposoby porozumiewania się z nami niż poprzez płatki śniegu. Dlaczego nie wyślą nam listu? – Odwrócił

się do swojego biurka, pokręcił głową i zaśmiał się, rozbawiony moją naiwnością. – No, doprawdy! Wracaj do swoich obowiązków, Tironie, i postaraj się, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

Skarcony wyszedłem, sprawdziłem stan przygotowań do procesji inauguracyjnej, po czym zająłem się korespondencją Cyce-rona. Pełniłem funkcję sekretarza mego pana już od szesnastu lat i nie było takiej sfery w jego życiu, czy to publicznym, czy prywatnym, której bym nie znał. Miałem wówczas zwyczaj pracować przy składanym stoliku tuż za drzwiami jego gabinetu, żeby nie wpuszczać niepożądanych gości i w razie czego być na wezwanie. W owym miejscu słyszałem tego rana wszystkie dźwięki, dobiegające z domu: kroki Terencji, która wchodziła do jadalni i z niej wychodziła, jej burkliwe połajania służących, że zimowe kwiaty są niegodne nowego statusu jej męża, a także pouczenia kierowane do kucharza w związku z wieczorną ucztą; mały Marek, już dwuletni, dreptał za nią niepewnie i na widok śniegu wydawał okrzyki zachwyty; a kochana Tulia, trzynastoletnia dziewczynka, która jesienią miała być wydana za mąż, ćwiczyła grecki heksametr pod opieką nauczyciela.

Tyle miałem pracy, że dopiero po południu mogłem znowu wyrzeczć na dwór. Mimo jeszcze wczesnej pory na ulicy nie było prawie nikogo. Miasto wydawało się przytłumione, złowróźnie ciche; panował taki spokój jak o północy. Niebo było blade, śnieg wprawdzie przestał padać, ale mróz wszystko pokrył szronem. Przypominam sobie nawet – bo to taka dziwna przypadłość pamięci w starczym wieku – jakie to było uczucie, gdy lód pękał pod naciskiem stopy. Po raz ostatni zaczerpnąłem mroźnego powietrza i już miałem wrócić do ciepłego wnętrza, gdy usłyszałem w tej ciszy trzask bata oraz krzyki i jęki ludzi. Chwilę później zza rogu wyłoniła się lektyka niesiona przez czterech niewolników w liberiach. Nadzorca, który truchtał obok nich, machnął batem w moją stronę.

– Hej, ty! – zawołał. – Czy to dom Cyncerona?!

Kiedy odparłem, że tak, krzyknął przez ramię: „To tutaj!” – i smagnął najbliższego niewolnika z taką siłą, że nieszczęśnik prawie upadł. Nadzorca musiał wysoko podnosić w śniegu kolana i idąc w ten sposób, dobrnął do mnie. Za nim pojawiła się druga lektyka, potem trzecia i czwarta. Niosący je niewolnicy zatrzymali się przed domem i gdy tylko postawili lektyki na ziemi, wszyscy osunęli się w śnieg, padając na drągi jak wyczerpani wiosłarze na wiosła. Nie patrzyłem jednak na to.

– To jest dom Cyncerona, ale mój pan nie przyjmuje gości – zaprotestowałem.

– Nas przyjmie! – Z wnętrza pierwszej lektyki dobiegł znany mi głos i koścista ręka odsunęła zasłonę, zza której ukazało się oblicze Kwintusa Lutacjusza Katulusa, przywódcy patrycjuszowskiego stronnictwa w senacie. Był otulony w skóry zwierzęce aż po wystający podbródek, przez co wyglądał jak duża niebezpieczna łasica.

– Senatorze. – Powitałem go z ukłonem. – Powiem mu, że przybyłeś, panie.

– I nie tylko ja – zwrócił mi uwagę Katulus.

Spojrzałem w głąb ulicy. Z następnej lektyki wysiadł sztywno – narzekając na swoje stare kości – zdobywca Olimpu i głowa senatu, Watia Izaurykus, a obok stał największy rywal Cyncerona w palestrze, ulubiony adwokat patrycjuszy, Kwintus Hortensjusz. On z kolei wyciągał rękę do czwartego senatora, którego pomarszczonej, brązowej jak orzech twarzy o bezzębnych ustach nie mogłem rozpoznać. Wydawał się bardzo zniedołężniały. Domyślałem się, że dawno temu przestał chodzić na obrady senatu.

– Znakomici panowie – zwróciłem się do nich uniżonym tonem – proszę za mną. Zaraz powiadomię o waszym przybyciu konsula elekta.

Szeptem nakazałem odźwiernemu wprowadzić ich do tablinum

i popędziłem do gabinetu Cyncerona. Gdy zbliżałem się do drzwi, usłyszałem jego głos, mówiący z oratorską swadą: „Powiadam więc narodowi rzymskiemu: dość tego!”, a kiedy wszedłem do środka, zobaczyłem, że stoi zwrócony do mnie plecami i przemawia do dwóch młodszych sekretarzy, Sositeusza i Laurei, z wyciągniętą ręką, której kciuk i środkowy palec stykały się, tworząc kółko.

– A tobie, Tironie, mówię – ciągnął, nie odwracając się – nie przeszkadzaj mi znowu! Jakież to tym razem znak zesłali nam bogowie? Deszcz żab?

Sekretarze zachichotali. Będąc tak blisko celu, który stanowił zwieńczenie jego ambicji życiowych, wymazał z pamięci przykre zdarzenia z poprzedniego dnia i był w świetnym humorze.

– Przybyła delegacja z senatu, która chce się z tobą zobaczyć, panie.

– O, to nazywam znakiem. Kto do niej należy?

– Katulus, Izaurykus, Hortensjusz i jeszcze jeden, którego nie rozpoznałem.

– Sama patrycjuszowska śmietanka? Tutaj? – Rzucił mi przez ramię ostre spojrzenie. – I w taką pogodę? To chyba najskromniejszy dom, w jakim kiedykolwiek postawili stopę! Czego chcą?

– Nie wiem.

– Notuj wszystko starannie. – Zebrał fałdy togi i wysunął brodę do przodu. – Jak wyglądam?

– Jak konsul – zapewniłem go.

Przeszedł nad porzuconym szkicem przemówienia i skierował się do tablinum. Odźwierny przyniósł krzesła dla gości, ale tylko jeden z nich usiadł – trzęsący się stary senator, którego nie znałem. Pozostali stali razem, każdy z własnym służącym przy boku; byli wyraźnie skrupowani faktem, że znaleźli się w domostwie nisko urodzonego, „nowego człowieka”, którego tak

niechętnie wybrali na konsula. Hortensjusz nawet przykładał chusteczkę do nosa, jakby mógł się czymś od Cyncerona zarazić.

– Witaj, Katulusie – zaczął przyjaźnie Cyncero, gdy wszedł do pokoju. – Izaurykusie. Hortensjuszu. To dla mnie zaszczyt.

Skinął głową wszystkim trzem byłym konsulom, ale kiedy miał pozdrowić czwartego senatora, zobaczyłem, że nawet jego zawodzi pamięć, z której przecież sływał.

– Rabiriusz... – Przypomnił sobie w końcu. – Gajusz Rabiriusz, prawda?

Wyciągnął do niego dłoń, ale starzec nie zareagował, więc Cyncero wybrnął z tej niezręcznej sytuacji, machnięciem ręki wskazując pokój.

– Witajcie w moim domu. Bardzo mi miło was gościć.

– Nie jesteśmy tu z wizytą – odparł Katulus.

– To oburzająca sprawa – dodał Hortensjusz.

– I oznacza wojnę – oświadczył Izaurykus. – Tak to trzeba nazwać.

– Cóż, przykro mi to słyszeć – odrzekł Cyncero uprzejmie.

Nie zawsze traktował ich poważnie. Jak wielu bogatych ludzi najdrobniejszą trudność uznawali za oznakę końca świata.

Hortensjusz pstryknął palcami i jego służący podał Cyncerowski pismo z wielką pieczęcią.

– Wczoraj rada trybunów przesłała ten nakaz sądowy Rabiriuszowi.

Ten na dźwięk swojego imienia uniósł głowę.

– Mogę wrócić do domu? – zapytał płacząco.

– Później – odparł Hortensjusz surowo i starzec pochylił głowę.

– Nakaz sądowy? – powtórzył Cyncero; spojrzał na niego z rozbawieniem. – A jakież to przestępstwo Rabiriusz mógł popełnić? – Przeczytał głośno treść dokumentu, żebym mógł ją zanotować. – „Oskarża się wyżej wymienionego o zamordowanie

trybuna Lucjusza Saturninusa i wtargnięcie na święty teren senatu”. – Uniósł głowę ze zdziwieniem. – Saturninusa? Ależ on został zabity... ileż to...? Czterdzieści lat temu.

– Trzydzieści sześć – poprawił go Katulus.

– A Katulus dobrze wie – zauważył Izaurykus – bo był przy tym. Tak jak ja.

Katulus wypowiedział imię Saturninusa, jakby wypluwał truciznę:

– Saturninus! Co to był za łotr! Zabicie go to żadne przestępstwo... tylko przysługa wyświadczona narodowi. – Zapatrzył się w dal, jakby miał przed oczami jakieś historyczne hasło na murze świątyni, „Zabójstwo Saturninusa w budynku senatu!” czy temu podobne. – Widzę go tak dobrze jak ciebie, Cynceronie. Siejący zamęt trybun z tych najgorszych. Zamordował naszego kandydata na konsula i senat uznał go za wroga publicznego. Wtedy nawet plebs się od niego odwrócił. Ale zanim go dopadliśmy, zabarykadował się ze swoją bandą na Kapitolu. Więc odcięliśmy mu wodę z akweduktu. To był twój pomysł, Watio.

– Owszem. – Oczy starego wodza zabłyśły na samo wspomnienie. – Już wtedy wiedziałem, jak się prowadzi oblężenie.

– Oczywiście poddali się po paru dniach i zostali umieszczeni w budynku senatu do czasu rozprawy. Ale baliśmy się, że znowu uciekną, więc weszliśmy na dach, zerwaliśmy dachówki i zasypaliśmy ich nimi. Nie mieli gdzie się skryć. Biegali tam i z powrotem jak szczury w rowie. Gdy Saturninusowi przeszły drgawki, z trudem można go było rozpoznać.

– I Rabiriusz był na dachu z wami dwoma? – zapytał Cyncero. Spojrzałem na starca znad notatek; miał tępy wyraz twarzy, tylko głowa lekko mu się trzęsła, tak że trudno go było sobie wyobrazić biorącego udział w takiej akcji.

– O tak – potwierdził Izaurykus. – Musiało być nas tam ze trzydziestu. To były czasy – dodał, zwijając dłoń w pięść. –

Mieliśmy jeszcze krzepę!

– Nie o to chodzi – włączył się Hortensjusz ze znużeniem; był młodszy od towarzyszy i widocznie nudziło go słuchanie kolejny raz tej dawnej historii. – Nieważne, czy Rabiriusz tam był, czy nie. Nie o to się go oskarża.

– Więc o co? Nie o morderstwo?

– O *perduellio*.

Muszę przyznać, że nigdy wcześniej nie słyszałem tego słowa, i Cyncero musiał mi je przeliterować.

– *Perduellio* – powtórzył i wyjaśnił: – Tak nasi przodkowie nazywali zdradę. – Zwrócił się do Hortensjusza. – Dlaczego odwołujemy się do takich przestarzałych praw? Nie wystarczy oskarżyć go o zwykłą zdradę i zamknąć sprawę?

– Nie, ponieważ karą za zwykłą zdradę jest wygnanie, a za *perduellio* śmierć, i to nie przez powieszenie. – Hortensjusz pochylił się, żeby podkreślić swoje słowa. – Jeśli uznają go za winnego, Rabiriusz zostanie ukrzyżowany.

– Gdzie ja jestem? – zapytał Rabiriusz, wstając. – Co to za miejsce?

Katulus łagodnie usadził go z powrotem.

– Spokojnie, Gajuszu. Jesteś wśród przyjaciół.

– Ale żaden sąd nie uzna go za winnego – zaprotestował Cyncero spokojnie. – Ten biedny człowiek postradał już rozum.

– Spraw o *perduellio* nie rozpatruje zwykły trybunał. I tu tkwi haczyk. Tylko dwóch specjalnie powołanych sędziów.

– Powołanych przez kogo?

– Naszego nowego pretora miejskiego, Lentulusa Surę.

Cyncero skrzywił się, słysząc to nazwisko. Sura był ekskonsulem, człowiekiem o wielkich ambicjach, ale bezgranicznie głupim; te dwie cechy często występują razem w polityce.

– A kogo Stary Suseł wyznaczył na sędziów? Wiemy?

– Cezara. I Cezara.

- Co takiego?!
- Do rozpatrzenia tej sprawy zostali wyznaczeni Gajusz Juliusz Cezar i jego kuzyn Lucjusz.
- Stoi za tym Cezar?
- Wiadomo więc, jaki będzie werdykt.
- Ale pozostanie jeszcze apelacja – sprzeciwił się Cycero, poważnie już zaniepokojony. – Obywatel rzymski nie może być skazany bez procesu.
- Owszem, może – odparł gorzko Hortensjusz. – Jeśli Rabiriusz zostanie uznany za winnego, oczywiście będzie miał prawo do apelacji. Ale tu też kryje się podstęp. Bo nie stanąłby przed sądem, lecz przed ludem zgromadzonym na Polu Marsowym.
- A to dopiero byłoby przedstawienie! – wtrącił Katulus. – Wyobrażasz sobie? Senator rzymski sądzony przez plebs w sprawie, w której karą jest śmierć? Na pewno by go nie uniewinnili... mieliby stracić zabawę?
- Wybuchnie wojna domowa, bo do tego nie dopuścimy, Cyceronie – zauważył stanowczo Izaurykus. – Słyszysz?
- Słyszę – odparł mój pan, szybko przesuając wzrokiem po tekście pisma. – Który z trybunów wniósł oskarżenie? Labienus? To jeden z ludzi Pompejusza. Nie jest wicherzycielem. O co mu chodzi?
- Podobno jego stryj zginął wraz z Saturninusem – wyjaśnił pogardliwie Hortensjusz – i ze względu na honor rodziny chce go pomścić. To bzdury. Cała sprawa stanowi tylko pretekst dla Cezara i jego bandy, żeby zaatakować senat.
- Co więc proponujesz? – zapytał Katulus Cycerona. – Głosowaliśmy na ciebie, pamiętasz? Mimo że niektórzy z nas zrobili to niechętnie.
- Czego ode mnie oczekujecie?
- A jak sądzisz? Podejmij walkę o życie Rabiriusza! Potęp

publicznie tę niegodziwość, a potem przyłączy się do Hortensjusza jako obrońca, jeśli sprawa stanie przed zgromadzeniem ludowym.

– Hm, to byłoby coś nowego – zauważył Cyncero. Spojrzał na swojego znakomitego rywala. – Pierwszy raz wystąpilibyśmy razem.

– Ta perspektywa wcale nie wydaje mi się bardziej kusząca niż tobie – odciął się Hortensjusz lodowato.

– Spokojnie, Hortensjuszu, nie obrażaj się. Będę zaszczycony, mogąc wystąpić w sądzie jako twój kolega. Ale nie spieszmy się, bo wpadniemy w zastawioną na nas pułapkę. Zastanówmy się, czy nie da się załatwić tej sprawy bez procesu.

– Jak można go uniknąć?

– Odwiedzę Cezara i porozmawiam z nim. Postaram się dowiedzieć, o co mu chodzi. I sprawdzę, czy da się osiągnąć kompromis.

Na sam dźwięk słowa „kompromis” trzej byli konsulowie od razu chcieli zgłosić protest. Cyncero jednak uniósł ręce.

– On czegoś chce, to pewne. Nie zaszkodzi poznać jego warunków. Jesteśmy to winni republice. Jesteśmy to winni Rabiriuszowi.

– Ja chcę do domu – jęknął Rabiriusz. – Czy mogę już wrócić do domu?

Cyncero i ja wyszliśmy z domu niespełna godzinę później, egzotyczny dla nas śnieg skrzypiał pod butami, gdy przemierzaliśmy opustoszałą ulicą w stronę miasta. Znowu byliśmy sami – co teraz wydaje mi się dziwne; musiał to być jeden z ostatnich razów, kiedy Cyncero poruszał się po Rzymie bez eskorty. Nasunął jednak kaptur płaszcza na głowę, żeby go nie rozpoznano. Nawet najbardziej uczęszczane za dnia ulice nie mogłyby być tej zimy bezpieczniejsze.

– Będą musieli pójść na kompromis – oświadczył. – Może im się to nie podoba, ale nie mają wyjścia. – Zaklął nagle i kopnął śnieg z frustracji. – To tak ma wyglądać mój konsulat, Tyronie? Będę przez rok pośredniczyć między patrycjuszami a plebejuszami, żeby nie rozerwali się wzajemnie na strzępy?

Nie przychodziła mi do głowy żadna pocieszająca odpowiedź, więc w milczeniu brnęliśmy przez śnieg.

Cezar mieszkał wówczas w Suburze, niedaleko domu Cyce-rona, tylko nieco niżej na stoku. Budynek ten należał do jego rodu co najmniej od stu lat i kiedyś na pewno prezentował się godnie. Ale w czasach, gdy Cezar go odziedziczył, okolica zubożała. Nawet dziewiczy śnieg, gdzieniegdzie pobrudzony sadzą wygasłych ognisk i upstrzony ludzkimi odchodami, które wyrzucano przez okna kamienic czynszowych, dziwnym sposobem tylko podkreślał nędzę wąskich uliczek. Żebracy wyciągali drżące ręce, ale nie zabrałem z domu pieniędzy. Przypominam sobie łobuzów, którzy obrzucali śnieżkami podstarzałą, krzyżącą dziwkę; dwukrotnie też widzieliśmy palce i stopy wystające ze zlodowaciałych zasp śniegu, gdzie jacyś biedacy zamierzili w nocy na śmierć.

I właśnie w Suburze, niczym rekin otoczony gromadą płotek pożywiających się przy nim odpadkami, mieszkał Cezar, który czaił się i czekał na swoją szansę. Jego dom stał na końcu ulicy szewców, pomiędzy rozwalającymi się siedmio- i ośmiopiętrowymi insulami. Zamarznięte pranie, wiszące między nimi na sznurze, przywodziło na myśl parę pijaków w łachmanach z oberwanymi rękawami, którzy obejmują się nad jego dachem. Przed wejściem kilkunastu obwiesiów kręciło się wokół piecyka węglowego i tupalo nogami, żeby się rozgrzać. Gdy staliśmy przed drzwiami i czekaliśmy, aż zostaniemy wpuszczeni, miałem wrażenie, że głodnym, pożądlwym wzrokiem ściągają ze mnie ubranie.

– To tacy obywatele będą sędzić Rabiriusza – mruknął Ciceron. – Stary głupiec nie ma szans.

Służący wziął od nas płaszcze i wprowadził nas do atrium, a potem poszedł zawiadomić swojego pana o przybyciu Cicerona, zostawiając nas z maskami pośmiertnymi przodków Cezara. O dziwo, w linii, z której się wywodził, było tylko trzech konsulów, skromnie jak na ród, którego początki sięgały założenia Rzymu i który wyszedł z łona Wenery. Samą boginię reprezentował mały posąg z brązu. Był piękny, ale porysowany i zniszczony, podobnie jak dywany, freski, wyblakłe gobeliny i meble; wszystko to mówiło wiele o dumnym rodzie, który podupadł w ciężkich czasach. Mieliśmy dużo czasu na podziwianie tego dziedzictwa, bo minuty mijały i Cezar się nie pojawiał.

– Nic nie poradzę... podziwiam tego człowieka – zauważył Ciceron, trzy albo cztery razy okrążywszy pomieszczenie. – Przychodzę do niego jako najwyższy urzędnik w Rzymie, a on sam nawet nie był jeszcze pretorem. Ale to ja muszę zabiegać o jego względy!

Po jakimś czasie zorientowałem się, że jesteśmy obserwowani zza drzwi przez poważną dziewczynkę, mniej więcej dziesięcioletnią, która musiała być córką Cezara, Julią. Uśmiechnąłem się do niej, a wtedy uciekła. Chwilę później z tego samego pomieszczenia wyszła matka Cezara, Aurelia. W jej pociągłej twarzy o czujnych ciemnych oczach, podobnej do Cezara, było coś z drapieżnego ptaka i emanowała z niej taka sama chłodna uprzejmość jak z jego oblicza. Ciceron znał Aurelię od wielu lat. Jej trzech bracia, z rodu Kotta, byli konsulami i gdyby urodziła się mężczyzną, na pewno też osiągnęłaby taką pozycję, bo była inteligentniejsza i odważniejsza od nich. Musiała się jednak zadowolić wspieraniem kariery syna i kiedy jej najstarszy brat umarł, postarała się, żeby Cezar zajął jego miejsce w piętnastoo-sobowym kolegium kapłanów – było to błyskotliwe posunięcie, o czym napiszę niebawem.

– Wybacz mojemu synowi brak manier – poprosiła. – Przypomniałam mu, że czekasz, Cyceronie, ale wiesz, jaki on jest.

Ustyszeliśmy za sobą kroki, obejrzeliliśmy się i w korytarzu prowadzącym do drzwi zobaczyliśmy jakąś kobietę. Niewątpliwie miała nadzieję, że przemknie niezauważona, ale rozwiązał jej się but. Oparłszy się o ścianę, żeby go zawiązać, ukradkiem zerknęła spod zmierzwionych kasztanowych włosów w naszą stronę i nie wiem, kto bardziej się zmieszał: Postumia – bo tak się ta kobieta nazywała – czy Cyceron, ponieważ znał ją bardzo dobrze; była żoną jego wiernego przyjaciela, prawnika i senatora Serwiusza Sulpicjusza. Tego wieczoru zresztą miała być na uczcie u Cycerona.

Cycero szybko przeniósł wzrok na posąg Wenerzy i udawał, że kontynuuje rozmowę:

– Jest bardzo piękny... czy to dzieło Myrona?

I nie unosił głowy, dopóki kobieta nie zniknęła.

– Bardzo taktownie z twojej strony – zauważyła z uznaniem Aurelia. Potem jednak sposepniała i pokręciła głową. – Nie mam za złe synowi tych romansów... mężczyźni to mężczyźni... ale niektóre z tych młodych kobiet są doprawdy bezwstydyne!

– O czym wy dwoje plotkujecie?

Była to stara sztuczka Cezara, którą stosował i podczas wojny, i podczas pokoju – znienacka pojawiał się z tyłu. Na dźwięk jego suchego jak krzemień głosu wszyscy troje odwróciliśmy się gwałtownie. Ludzie bez przerwy pytają mnie: „Znałeś Cezara? Jaki on był? Opowiedz nam o nim, o wielkim boskim Cezarze!”. Cóż, pamiętam przede wszystkim, że zawsze wydawał mi się twardy i miękki jednocześnie, co robiło dość dziwne wrażenie – mięśnie żołnierza pod luźno spiętą pasem tuniką zniewieściałego eleganta; ostra woń rodem z placu ćwiczeń tłumiona przez słodki zapach olejku krokusa; bezwzględność i ambicja pokrywane urokiem i miłym sposobem bycia.

– Strzeż się jej, Cynceronie – ciągnął, wyłaniając się z cienia.
– Sprytem politycznym bije nas obu na głowę, nieprawdaż, matko?

Objął ją w pasie od tyłu i pocałował za uchem.

– Przestań. – Uwolniła się z jego ramion, udając, że jest zirytowana. – Już wystarczająco długo odgrywałam rolę gospodyni. Gdzie twoja żona? To niestosowne, żeby na tak długo wychodziła sama z domu. Przyślij ją do mnie, gdy tylko wróci. – Z wdziękiem skłoniła głowę przed Cynceronem. – Gratulacje z powodu objęcia urzędu. To niezwykle osiągnięcie: być pierwszym konsulem w rodzinie.

Cezar patrzył na nią z podziwem.

– Naprawdę, Cynceronie – zauważył – kobiety w tym mieście są godne podziwu, bardziej niż mężczyźni. Twoja żona stanowi najlepszy przykład.

Czyżby dawał przez to do zrozumienia, że chciałby uwieść Terencję? Wątpię. Najbardziej przerażające plemię galijskie byłoby mniej wyczerpującym podbojem. Ale widziałem, że Cyncero uniósł się gniewem.

– Nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać z tobą o Rzymiankach – uciął – choć może ciebie nic bardziej nie interesuje.

– To po co przyszedłeś?

Cyncero dał mi znak ruchem głowy. Wyjąłem kasetkę na dokumenty i podałem Cynceronowi nakaz sądowy.

– Próbujesz mnie przekupić? – zapytał Cezar z uśmiechem i od razu oddał mi pismo. – Nie mogę rozmawiać na ten temat. Mam być jednym z sędziów w tej sprawie.

– Chciałbym, żebyś oczyścił Rabiriusza z zarzutów.

Cezar zaśmiał się z przymusem, w charakterystyczny dla siebie sposób, i zatknął pasmo włosów za ucho.

– Nie mam co do tego wątpliwości.

– Cezarze – zaczął Cycero z lekkim zniecierpliwieniem w głosie – pomówmy otwarcie. Wszyscy wiedzą, że to ty i Krassus sterujecie trybunami. Wątpię, żeby Labienus znał imię tego swojego niegodziwego stryja, zanim wbiłeś mu je do głowy. A co do Sury... myślałby, że *perduellio* to gatunek ryby, gdyby ktoś mu nie powiedział, że jest inaczej. To kolejna twoja intryga.

– Naprawdę nie mogę rozmawiać o sprawie, którą mam sądzić.

– Przyznaj, że celem tego oskarżenia jest zastraszenie senatu.

– Musisz zapytać o to wszystko Labienusa.

– Pytam ciebie.

– Doskonale, skoro nalegasz, odpowiem. Nazwałbym to raczej próbą przypomnienia senatowi, że jeśli będzie deptał godność ludu, zabijając jego przedstawicieli, lud się zemści, choćby po latach.

– Naprawdę wydaje ci się, że bronisz godności ludu, terroryzując bezbronnego starca? Właśnie przychodzę od Rabiriusza. Jest już zupełnie niepoczytalny. Nie ma pojęcia, co się dzieje.

– Jeśli nie ma o tym pojęcia, to jak może czuć się sterroryzowany?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, po czym Cycero powiedział już innym tonem:

– Posłuchaj, mój drogi Gajuszu, jesteśmy przyjaciółmi od wielu lat. – To już lekka przesada, pomyślałem. – Mogę ci dać pewną radę, jak starszy brat młodszemu? Masz przed sobą świetną karierę. Jesteś młody...

– Już nie taki młody! Jestem trzy lata starszy od Aleksandra Wielkiego w chwili jego śmierci.

Cycero zaśmiał się uprzejmie; uznał, że Cezar żartuje.

– Jesteś młody – powtórzył. – Masz doskonałą reputację. Po

co ją narażać na szwank, dążąc do takiej konfrontacji? Skazanie Rabiriusza na śmierć nie tylko nastawi lud przeciwko senatowi, ale jeszcze splami twój honor. Być może dziś ci się to opłaci, ale jutro obróci się przeciwko tobie.

– Podejmę to ryzyko.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że jako konsul będę musiał go bronić?

– Hm, to byłby poważny błąd z twojej strony, Marku... jeśli mogę odpowiedzieć taką samą życzliwością? Zastanów się, co ci się bardziej opłaca. My mamy poparcie ludu, trybunów, połowy pretorów... nawet Antoniusz Hybryda, twój kolega konsul, jest po naszej stronie! A kto popiera ciebie? Patrycjusze? Ależ oni tobą gardzą. Porzucą cię, gdy tylko przestaniesz im być potrzebny. Z mojego punktu widzenia masz tylko jedno wyjście.

– To znaczy?

– Przyłączyć się do nas.

– Aha. – Cycero miał zwyczaj wspierać brodę na dłoni, gdy się nad czymś poważnie zastanawiał. Przez chwilę przyglądał się Cezarowi. – A z czym to się będzie wiązać?

– Wesprzesz projekt naszej ustawy.

– Co dostanę w zamian?

– Może mojemu kuzynowi i mnie zmięknie serce i okażemy litość biednemu Rabiriuszowi, choćby dlatego, że pomieszało mu się w głowie. – Na wąskich ustach Cezara pojawił się uśmiech, ale spojrzenie jego ciemnych oczu wciąż świdrowało Cyncerona. – Co ty na to?

Cycero nie zdążył odpowiedzieć, bo rozmowę przerwał powrót żony Cezara. Niektórzy mówią, że Cezar ożenił się z Pompeją wyłącznie na żądanie matki, ponieważ dziewczyna miała pożyteczne koneksje w senacie. Ale na podstawie tego, co zobaczyłem tamtego popołudnia, powiedziałbym raczej, że posiadała inne, bardziej oczywiste zalety. Była od niego znacznie młodsza,

miała zaledwie dwadzieścia lat; mróz przydał jej kremowej szyi i policzkom ślicznych rumieńców, a dużym szarym oczom – blasku. Objęła męża na przywitanie, otarła się o niego jak kot, i niemal takie same względy okazała Cynceronowi, chwając jego mowy, a nawet tomik poezji, który podobno przeczytała. Przyszło mi na myśl, że jest pijana. Cezar patrzył na nią z rozbawieniem.

– Matka chce się z tobą zobaczyć – powiedział, na co wyduła wargi po dziewczęcemu. – No, idź do niej – polecił – i nie rób takiej miny. Znasz ją przecież. – I klepnął ją w tyłek na odchodnym.

– Tyle kobiet, Cezarze – zauważył sucho Cyncero. – Skąd je bierzesz?

Cezar się roześmiał.

– Obawiam się, że wyniesiesz stąd złe zdanie o mnie.

– Zapewniam cię, że moje zdanie o tobie się nie zmieni.

– Więc jak: dobiliśmy targu?

– To zależy od tego, o jakiej ustawie myślisz. Na razie mamy jedynie hasła wyborcze: „Ziemia dla ludzi bez ziemi”, „Żywność dla głodujących”. Musiałbym poznać konkrety. I może uzyskać jakieś ustępstwa. – Cezar jednak nie odpowiedział. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Po chwili cisza stała się krępująca. Zakończył ją Cyncero, który chrząknął i odwrócił się ku mnie. – Hm, zapada zmrok – powiedział. – Powinniśmy wracać do domu.

– Tak szybko? Nie napijesz się czegoś? Wobec tego odprowadzę cię do drzwi. – Cezar był niezwykle uprzejmy; zawsze miał nienaganne maniery, nawet jeśli skazywał kogoś na śmierć. – Pomyśl o tym – ciągnął, prowadząc nas skromnym korytarem. – Jeśli się do nas przyłączysz, nie będziesz miał trudności podczas sprawowania urzędu. Za rok ustąpisz ze stanowiska. Wyjedziesz z Rzymu. Będziesz mieszkał w pałacu namiestnika.

Tak wzbogacisz się w Macedonii, że będziesz ustawiony na resztę życia. Potem wrócisz do domu. Kupisz dom nad Zatoką Neapolitańską. Będziesz studiował filozofię. Napiszesz wspomnienia. A jeśli...

Do Cyclerona podszedł odźwierny, żeby pomóc mu włożyć płaszcz, ale ten odprawił go ruchem ręki i zwrócił się do Cezara:

– Jeśli? Jeśli co? Jeśli się do was nie przyłączę? To co się stanie?

Cezar przywołał na twarz bolesne zdziwienie.

– Nic z tego nie jest wymierzone przeciwko tobie. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Nie chcemy ci wyrządzić krzywdy. Przeciwnie, chciałbym, abyś wiedział, że jeśli znajdziesz się w niebezpieczeństwie, zawsze możesz liczyć na ochronę z mojej strony.

– Zawsze mogę liczyć na ochronę z twojej strony?

Rzadko zdarzało mi się widzieć, żeby Cycleronowi zabrakło słów. Ale tego mroźnego dnia, w tym ubogim starym domu, w tej nędznej okolicy, patrzyłem, jak próbuje wyrazić targające nim uczucia. Jednakże w końcu nic nie powiedział. Zarzucił płaszcz na ramiona, wyszedł na śnieg i obserwowany przez bandę ponurych obwiesiów, którzy wciąż kręcili się po ulicy, szorstko pożegnał się z Cezarem.

– Zawsze mogę liczyć na ochronę z jego strony? – powtórzył Cycero, gdy w drodze powrotnej wspinaliśmy się na wzgórze. – Kim on jest, żeby mówić do mnie w taki sposób?

– Jest bardzo pewny siebie – odważyłem się zauważyć.

– Pewny siebie? Potraktował mnie jak swojego klienta!

Dzień dobiegał końca, a wraz z nim cały rok – jak to w zimowe popołudnia, szybko zapadł zmrok. W oknach kamienic zapalały się lampy. Ludzie krzyczeli do siebie nad naszymi głowami. Na ulicach unosił się dym ognisk i czułem woń gotowanego jedzenia. Pobożni postawili na rogach ulic talerzyki z

miodowymi ciastkami na ofiarę dla bóstw z sąsiedztwa – bo w tamtych czasach czciliśmy jeszcze duchy rozdroży, a nie wielkiego boskiego Augusta – i rozdziobywały je głodne ptaki, które trzepocząc skrzydłami, zrywały się do lotu, a potem, gdy przeszliśmy, przylatywały znowu.

– Chcesz, panie, abym przekazał wiadomość Katulusowi i pozostałym? – zapytałem.

– I co miałbym im powiedzieć? Że Cezar gotów jest oszczędzić Rabiriusza, jeśli ich potajemnie zdradzę, i że zamierzam rozważyć jego propozycję? – Szedł przed siebie, przyspieszając kroku ze złości. Pociłem się z wysiłku, żeby za nim nadążyć. – Zauważyłem, że nie notowałeś tego, co mówił.

– Wydawało mi się to niestosowne.

– Zawsze powinienesz robić notatki. Od tej chwili będziesz notował wszystko.

– Tak, senatorze.

– Zapuszczamy się na niebezpieczne wody, Tironie. Musimy znaczyć każdą rafę i każdy prąd.

– Tak, senatorze.

– Pamiętasz przebieg rozmowy?

– Chyba tak. Na pewno większość z niej.

– To dobrze. Spisz wszystko, gdy tylko wrócimy do domu. Chcę mieć przy sobie ten zapis. Ale nic nikomu nie mów... a już na pewno nie przy Postumii.

– Myślisz, panie, że przyjdzie na ucztę?

– O tak, przyjdzie... choćby po to, żeby zdać potem raport kochankowi. Ta kobieta nie ma wstydu. Biedny Serwiusz. Jest z niej taki dumny.

Po powrocie do domu Cycero poszedł na górę, żeby się przebrać, a ja udałem się do mojego pokoiku, żeby zanotować wszystko, co pamiętałem. Pisząc teraz te wspomnienia, mam przed sobą tamten zwój : Cycero przechował go wśród sekretnych dokumentów. Papirus wyblakł, jak ja ledwie trzyma się ze

starości, lada chwila gotów się rozsypać. Ale, też tak samo jak ja, wciąż mówi i kiedy go podnoszę, słyszę w uszach ochryply głos Cezara: „Zawsze możesz liczyć na ochronę z mojej strony...”.

Sporządzenie notatek zajęło mi godzinę albo dwie; w tym czasie przybyli goście i przystąpili do uczty. Gdy skończyłem pracę, położyłem się na wąskim łóżku i zacząłem rozmyślać o tym wszystkim, czego byłem świadkiem. Mogę teraz przyznać, że czułem niepokój, bo natura nie wyposażyła mnie w mocne nerwy, niezbędne w życiu publicznym. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł pozostać w majątku rodowym Tuliuszów; zawsze marzyłem o tym, żeby mieć własne małe gospodarstwo, gdzie mógłbym udać się na emeryturę i pisać. Miałem trochę oszczędności i liczyłem w duchu, że Cycero wyzwoli mnie, gdy zdobędzie konsulat. Lecz od tego czasu minęło już kilka miesięcy i nawet o tym nie wspomniał, a mnie stuknęła czterdziestka i zacząłem się martwić, że umrę w niewoli. Ostatni wieczór starego roku to czas melancholii. Janus patrzy przed siebie, ale równocześnie spogląda wstecz, i czasami zarówno przeszłość, jak i przyszłość wydają się odstręczające. Jednakże tego wieczoru szczególnie się nad sobą użalałem.

W każdym razie nie wchodziłem Cyceronowi w drogę aż do późnego wieczoru, kiedy to uznałem, że uczta musi już zbliżać się ku końcowi. Poszedłem wtedy do jadalni i stanąłem przy drzwiach, żeby mógł mnie zobaczyć. Było to niewielkie, ale ładne pomieszczenie, niedawno ozdobione freskami, aby goście mieli wrażenie, iż są w ogrodach Cycerona w Tuskulum. Wokół stołu spoczywało dziewięć osób, po trzy na każdym łożu – idealna proporcja. Zgodnie z przewidywaniami Cycerona zjawiała się też Postumia. Była w sukni z głębokim dekoltem i miała doskonały nastrój – jakby krępująca scena w domu Cezara w ogóle się nie wydarzyła. Obok niej leżał jej mąż, Serwiusz, jeden z najdawniejszych przyjaciół Cycerona i najznamienitszy

prawnik w Rzymie, niemalże osiągnięcie w mieście pełnym znawców prawa. Praktyka prawnicza jest jednak jak kąpiel w zimnej wodzie – która orzeźwia, jeśli trwa krótko, a jeśli długo, wysusza skórę – i Serwiusz z biegiem lat coraz bardziej się garbił i kulił, podczas gdy Postumia wręcz kwitła. Miał jednak stronników w senacie i żywił duże ambicje, podobnie jak jego żona. Zamierzał w lecie ubiegać się o konsulat i Cycero obiecał mu poparcie.

Cycero przyjaźnił się dłużej tylko z jednym człowiekiem – Attykiem. Leżał on obok swojej siostry, Pomponu, która wyszła za mąż – niestety, niezbyt szczęśliwie – za młodszego brata Cyclerona, Kwintusa. Biedny Kwintus jak zwykle w winie szukał ucieczki przed jej złośliwymi uwagami. Ostatnim gościem był młody Marek Celiusz Rufus, uczeń Cyclerona, który bez przerwy sypał żartami i opowiadał anegdoty. Sam Cycero spoczywał pomiędzy Terencją a swoją ukochaną Tulią i zachowywał się z taką swobodą, że nie domyśliłbym się, iż ma poważne troski na głowie. Ale to właśnie jedna z cech dobrych polityków – umiejętność odsuwania od siebie jednych spraw i w razie potrzeby szybkiego przechodzenia do innych. Bez niej ich życie byłoby nieznośne. Po chwili Cycero spojrzał na mnie i skinął głową.

– Przyjaciele – powiedział na tyle głośno, żeby przebić się przez szmer rozmów – robi się późno i Tiron przyszedł mi przypomnieć, że mam rano wygłosić mowę inauguracyjną w senacie. Czasami myślę, że to on powinien być konsulem, a ja sekretarzem. – Rozległy się śmiechy i poczułem, że wszyscy na mnie patrzą. – Jeśli panie wybaczą – ciągnął – panowie mogliby na chwilę pójść ze mną do gabinetu.

Otarł kąciki ust serwetką i rzucił ją na stół, a potem wstał i podał rękę Terencji. Przyjęła ją z uśmiechem tym bardziej niezwykłym, że rzadko u niej widywanym. Była jak wątła zimowa roślina, która nagle zakwitła w promieniach sukcesu Cyclerona

– do tego stopnia, że porzuciła skąpstwo, które przejawiała całe życie, i tego wieczoru ubrała się, jak przystoi żonie konsula i przyszłego namiestnika Macedonii. Miała na sobie nową, obszytą perłami suknię i obwieszona była od stóp do głów również dopiero co kupionymi klejnotami, które lśniły na jej chudej szyi i małych piersiach, na nadgarstkach i palcach, a nawet w krótkich ciemnych lokach.

Goście wyszli z jadalni; kobiety skierowały się do tablinum, a mężczyźni do gabinetu. Cycero kazał mi zamknąć drzwi. I zadowolenie natychmiast zniknęło z jego twarzy.

– O co chodzi, bracie? – zapytał Kwintus, który wciąż dzierżył w dłoni kielich z winem. – Wyglądasz, jakbyś zjadł nieświeżą ostrygę.

– Przykro mi, że psuję miły wieczór, ale wyniknął pewien problem.

Cycero z ponurą miną wyjął nakaz sądowy, który otrzymał Rabiriusz, a potem opowiedział o popołudniowej wizycie delegacji senatu i zrelacjonował swoją rozmowę z Cezarem.

– Tironie, przeczytaj, co ten łotr powiedział – polecił mi.

Zrobiłem, co kazał, i kiedy doszedłem do ostatniej części – uwagi, że Cycero może liczyć na ochronę Cezara – wszyscy czterej wymienili znaczące spojrzenia.

– Hm – zaczął Attyk – jeśli odwrócisz się od Katulusa i jego przyjaciół po tych wszystkich obietnicach, jakie im złożyłeś przed wyborami, naprawdę będziesz potrzebował ochrony Cezara. Oni nigdy ci nie wybaczą.

– Jeśli natomiast dotrzymam danego im słowa i sprzeciwię się popularom, Cezar uzna Rabiriusza za winnego i będę musiał bronić nieszczęśnika na zgromadzeniu.

– A do tego nie wolno dopuścić – zauważył Kwintus. – Cezar ma rację. Porażka jest przesądzona. Musisz za wszelką cenę pozostawić rolę obrońcy Hortensjuszowi.

– Ale to się nie uda! Nie zachowam neutralności jako przewodniczący senatu, gdy będą krzyżować jednego z senatorów. Jaki byłby ze mnie konsul?

– Przynajmniej żywy, a nie martwy – odparł Kwintus. – Bo jeśli zwiążesz swój los z patrycjuszami, to wierz mi, znajdziesz się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Prawie wszyscy zwrócą się przeciwko tobie. Nawet senat nie będzie jednomyślny... już Hybryda się o to postara. Na tych ławach zasiada wielu takich, którzy tylko czekają, żeby cię obalić, a pierwszym z nich byłby sam Katylina.

– Mam pomysł – odezwał się młody Rufus. – Dlaczego nie wywieźć Rabiriusza z miasta i nie ukryć go gdzieś na wsi, dopóki sprawa nie przycichnie?

– Moglibyśmy to zrobić? – Cycero zastanowił się nad tą propozycją, ale potem pokręcił głową. – Nie. Podziwiam twoją odwagę, Rufusie, ale to by się na nic nie zdało. Jeśli nie wydamy Cezarowi Rabiriusza, gotów jeszcze wnieść podobne oskarżenie przeciwko Katulusowi czy Izaurykusowi... a wyobrażacie sobie, jakie to miałyby konsekwencje?

Serwiusz tymczasem wziął nakaz sądowy i czytał go z uwagą. Miał słaby wzrok, więc musiał przysunąć pismo do świecznika i przestraszył się, że papirus zajmie się od ognia.

– *Perduellio* – mruknął. – Co za dziwny zbieg okoliczności. Właśnie w tym miesiącu zamierzałem zaproponować senatowi uchylene tego prawa. Przejrzałem nawet wszystkie precedensy. Poprosiłem, żeby przyniesiono mi je na biurko, do domu.

– Może stąd właśnie Cezar wziął ten pomysł – zauważył Kwintus. – Wspominałeś mu o tym?

Serwiusz wciąż studiował pismo.

– Oczywiście, że nie. Nie rozmawiam z nim. To niegodziwiec. – Uniósł głowę i zobaczył, że Cycero mu się przygląda. – O co chodzi?

– Chyba wiem, jak Cezar dowiedział się o *perduellio*.

– Jak?

Cycero się zawahał.

– Twoja żona była u niego, gdy odwiedziliśmy go dziś po południu.

– To absurd. Po co Postumia miałby chodzić do Cezara? Ledwie go zna. Zresztą przez cały dzień była z siostrą.

– Widziałem ją. Tiron też.

– No, może i widziałeś, ale jestem pewien, że powód jej obecności był całkiem niewinny. – Serwiusz udawał, że czyta dalej. Po chwili powiedział cicho, z urazą: – Dziwiło mnie, dlaczego czekałeś aż do zakończenia uczty, żeby porozmawiać z nami o propozycji Cezara. Teraz rozumiem. Nie mogłeś mówić otwarcie przy mojej żonie, bo bałeś się, że wróci biegiem do jego łóżka i powtórzy, co powiedziałaś!

Była to okropnie krępująca sytuacja. Kwintus i Attyk wbili wzrok w podłogę; nawet Rufus, co było dziwne jak na niego, trzymał język za zębami.

– Serwiuszu, Serwiuszu, stary przyjacielu. – Cycero ujął go za ramiona. – Chciałbym, żebyś ty ze wszystkich ludzi w Rzymie zastąpił mnie na stanowisku konsula. Mam do ciebie całkowite zaufanie. Uwierz mi.

– Właśnie obraziłeś honor mojej żony i tym samym obraziłeś mnie, więc jak mam ci wierzyć? – Odepchnął Cycerona i z godnością wyszedł z gabinetu.

– Serwiuszu! – zawołał za nim Attyk, który nie znosił wszelkich nieprzyjemnych sytuacji. Jednakże nieszczęsny ro-gacz już się oddalił, a gdy Attyk chciał za nim pójść, Cycero powiedział do niego spokojnie: – Zostaw go, Attyku. Serwiusz musi porozmawiać przede wszystkim z żoną, a nie z nami.

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której wyteżyłem słuch, żeby ewentualnie pochwycić podniesione głosy z tablinum, ale

dochodził do nas jedynie szcęk naczyń, które wynoszono z jadalni. W końcu Rufus wybuchnął śmiechem.

– A więc to dlatego Cezar zawsze wyprzedza swoich wrogów o krok! Ma swoich szpiegów we wszystkich waszych łóżkach!

– Zamknij się, Rufusie – polecił mu Kwintus.

– Przeklęty Cezar! – wykrzyknął nagle Cycero. – Nie ma nic niegodziwego w posiadaniu ambicji. Sam jestem ambitny. Ale jego żądza władzy jest nie z tego świata. Spójrzcie mu w oczy... to tak, jakby się patrzyło w ciemną otchłań wód podczas największego sztormu! – Padł na krzesło i zaczął przebierać palcami po ramionach. – Nie wiem, czy mam jakiś wybór. Jeśli przyjmę jego warunki, to przynajmniej zyskam na czasie. Oni pracują nad tą swoją ustawą już od miesięcy.

– To chyba nic złego... oddać ziemię biedakom? – zapytał Rufus, który jak wielu młodych miał sympatie populistyczne. – Chodzisz po ulicach. Widzisz, co się dzieje tej zimy. Ludzie umierają z głodu.

– Zgadzam się – przyznał Cyceron. – Ale oni potrzebują jedzenia, a nie ziemi. Jej uprawa wymaga wiedzy i ciężkiej pracy. Chciałbym zobaczyć tych próżniaków, których dziś spotkałem przed domem Cezara, jak pracują w polu od świtu do zmierzchu. Gdyby oni mieli nas wyżywić, to w ciągu roku zdechlibyśmy z głodu.

– Ale Cezar się o nich troszczy...

– Troszczy się o nich? Cezar nie troszczy się o nikogo oprócz siebie. Naprawdę myślisz, że Krassus, najbogatszy człowiek w Rzymie, troszczy się o biednych? Oni chcą tylko podzielić ziemię publiczną... co notabene nie będzie ich nic kosztowało... żeby zyskać armię popleczników, która pozwoli im zachować władzę do końca życia. Krassus upatrzył sobie Egipt. Bogowie tylko wiedzą, czego pragnie Cezar... pewnie całego świata.

Troszczy się! Doprawdy, Rufusie, czasami mówisz jak głupiec. Niczego się nie nauczyłeś, od kiedy przyjechałeś do Rzymu, oprócz uprawiania hazardu i chodzenia na dziwki?

Cycero chyba nie chciał, aby jego słowa zabrzmiały tak ostro. Zobaczyłem jednak, że były dla Rufusa jak policzek, i kiedy odwrócił wzrok, w jego oczach zaślnęły powstrzymywane łzy – które stanowiły nie tylko oznakę upokorzenia, ale także gniewu, bo nie był już uroczym młodzieńcem, którego Cycero wziął na ucznia, lecz młodym mężczyzną o rosnących ambicjach, czego jego preceptor najwyraźniej nie zauważył. Mimo że rozmowa trwała jeszcze długo, Rufus nie brał już w niej udziału.

– Tironie – zwrócił się do mnie Attyk – byłeś w domu Cezara. Jak według ciebie powinien postąpić twój pan?

Czekałem na ten moment, bo podczas takich narad także mnie pytano w końcu o zdanie i zawsze starałem się przygotować odpowiedzieć.

– Wydaje mi się, że przyjmując propozycję Cezara, będzie mógł uzyskać kilka ustępstw, jeśli chodzi o kształt ustawy. I przedstawić to potem patrycjuszom jako swoje zwycięstwo.

– A potem – zastanowił się Cycero – jeśli nie zgodzą się na nią, cała wina spadnie na nich, a ja wypłaczę się ze swoich zobowiązań. To nawet niezły pomysł.

– Sprytnie pomyślane, Tironie! – pochwalił mnie Kwintus. – Zawsze jesteś z nas najmądrzejszy. – Ziewnął szeroko. – Dobrze, bracie. – Wyciągnął rękę i pomógł Cyceronowi wstać. – Jest już późno, a ty masz jutro wygłosić mowę. Musisz się prześpać.

Gdy szliśmy przez cały dom do westybulu, wszędzie panowała już cisza. Terencja i Tulia położyły się spać. Serwiusz udał się z żoną do domu. Pomponia, która nie znosiła polityki, nie chciała czekać na męża i jak mówił odźwierny, wyszła razem z nimi. Na zewnątrz czekał powóz Attyka. Śnieg lśnił w blasku

księżycyca. Z miasta w dole dobiegł znajomy głos stróża nocnego, który ogłaszał północ.

– Mamy nowy rok – zauważył Kwintus.

– I nowego konsula – dodał Attyk. – Dobra robota, Cynceronie. Jestem dumny, mogąc być twoim przyjacielem.

Uścisnęli sobie ręce i poklepalili się po plecach. Rufus – acz niechętnie, jak mimowolnie zauważyłem – w końcu przyłączył się do nich. Ich serdeczne gratulacje szybko przebrzmiały w lodowatym powietrzu. Później Cyncero wyszedł na ulicę i machał odjeżdżającym gościom na pożegnanie, dopóki powóz nie zniknął za rogami. Gdy odwracał się, żeby wejść do domu, poślizgnął się lekko i stąpnął w zaspę śniegu, która zebrała się pod drzwiami. Wydobyl zaśnieżony but, otrzepał go i zaklął, a ja już miałem powiedzieć, że to znak; przezornie jednak ugryzłem się w język.

III

Nie wiem, jak ta ceremonia przebiega dzisiaj, kiedy nawet najwyżsi urzędnicy są zaledwie chłopcami na posyłki, ale w czasach Cycerona członek Kolegium Augurów pierwszy odwiedzał nowego konsula w dniu zaprzysiężenia. Zgodnie z tą tradycją, tuż przed świtem, Cicerero usadowił się w atrium wraz z Terencją i dziećmi, aby czekać na przybycie augura. Wiedziałem, że nie spał dobrze, bo słyszałem, że chodził po schodach, w górę i na dół, co robił zawsze, gdy myślał. Miał jednak nadzwyczajną zdolność regeneracji sił i gdy tak siedział w gronie rodziny, wyglądał na wypoczętego i pełnego energii, jak olimpijczyk, który trenował przez całe życie z myślą o jednym wyścigu i miał wreszcie wziąć w nim udział.

Kiedy wszyscy byli już gotowi, dałem znak odźwiernemu, żeby otworzył ciężkie drewniane drzwi i wpuścił *pularii*, dozorców świętych kurcząt – kilku chudych drobnych mężczyzn, którzy sami wyglądali jak kurczęta. Za nimi podążał augur, stukając o ziemię zakrzywioną laską; wydawał się olbrzymi w swoim stroju obrzędowym, który składał się z wysokiego stożkowatego nakrycia głowy i obszernej purpurowej szaty. Mały Marek krzyknął ze strachu, kiedy zobaczył go w korytarzu, i skrył się w

fałdach sukni Terencji. Augurem był tego dnia Kwintus Cecyliusz Metellus Celer i powinienem coś o nim powiedzieć, ponieważ miał odegrać ważną rolę w życiu Cyncerona. Właśnie powrócił z kampanii na wschodzie – był prawdziwym żołnierzem, a nawet został bohaterem wojennym po tym, jak dysponując niewielkimi siłami, odparł atak wroga na swoją kwaterę zimową. Służył pod dowództwem Pompejusza Wielkiego, który przypadkiem pojął za żonę jego siostrę, co nie zaszkodziło mu w karierze. Nie żeby to miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Był z rodu Metellusów, co gwarantowało mu objęcie za kilka lat konsulatu; a tego dnia miał być zaprzysiężony jako pretor. Jego żoną była znana z urody Klodia, pochodząca z rodu Klaudiuszy; *summa summarum* mało kto miał więc lepsze koneksje niż Metellus Celer, który był tak głupi, na jakiego wyglądał.

– Witaj, konsulu elekcie! – burknął, jakby zwracał się do swoich legionistów podczas porannego apelu. – Wreszcie więc nadszedł ten wielki dzień. Ciekawe, co przyniesie.

– To ty jesteś augurem. Ty powinieneś wiedzieć.

Celer odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się. Przekonałem się później, że nie bardziej wierzył w przepowiednie niż Cyncero, a do Kolegium Augurów należał wyłącznie dla korzyści politycznych.

– Cóż, potrafię przewidzieć tylko jedno: będą kłopoty. Gdy mijałem świątynię Saturna, widziałem, że zebrał się tam tłum. Pewnie Cezar i jego przyjaciele wywiesili w nocy projekt swojej słynnej ustawy. Cóż to za łajdak!

Stałem tuż za Cyncerem, więc nie widziałem jego twarzy, ale zauważyłem, że stężał, co świadczyło, że zaczął się mieć na baczności.

– Dobrze zatem – ciągnął Celer i pochylił głowę, żeby ukryć szyderczy uśmiech – który to twój dach?

Cyncero zaprowadził augura ku schodom, a gdy mnie mijał, nakazał szeptem:

– Idź do miasta i jak najszybciej dowiedz się, co się dzieje. Weź chłopców. Chcę znać dokładne brzmienie projektu.

Wezwałem Sositeusza i Lauree i poprzedzani przez kilku niewolników z pochodniami ruszyliśmy w dół po stoku wzgórze. Trudno było znaleźć w ciemnościach drogę, śnieg przykrywał zdradziecki grunt. Kiedy jednak wyszliśmy na forum, zobaczyłem w oddali kilka świateł i skierowaliśmy się ku nim. Celer miał rację. Obok świątyni Saturna, na tradycyjnym miejscu, widniała przybita gwoździami propozycja ustawy. Mimo wczesnej pory i zimna, zapanowało takie podniecenie, że na forum ściągnęło kilkudziesięciu obywateli, aby przeczytać projekt. Był bardzo długi, składał się z kilku tysięcy słów, wypisanych na sześciu dużych tablicach, i oficjalnie został złożony przez trybuna Rullusa, chociaż wszyscy wiedzieli, że jego autorami są tak naprawdę Cezar i Krassus. Sositeuszowi przydzieliłem początek, Laurei koniec, a sam zająłem się przepisywaniem środka.

Pracowaliśmy pospiesznie, nie zważając na ludzi za nami, którzy skarżyli się, że zasłaniamy im widok, i gdy kończyliśmy pisać, noc minęła i nastał pierwszy dzień nowego roku. Nawet nie przeczytawszy dokładnie całego tekstu, wiedziałem, że Cyncero będzie miał poważne kłopoty. Należąca do republiki rzymskiej ziemia publiczna w Kampanii miała zostać przejęta i podzielona na pięć tysięcy gospodarstw, które zamierzano rozdać bezpłatnie. Projekt przewidywał wybór dziesięcioosobowej komisji, która zdecyduje, komu przypadną poszczególne działki, i która będzie miała prawo podnosić podatki za granicą, aby kupować i sprzedawać ziemię na terenie Italii bez zgody senatu. Wiadomo było, że patrycjusze wpadną we wściekłość, a ogłoszenie projektu akurat w tym czasie – zaledwie kilka godzin przed wystąpieniem Cyncerona w senacie – miało spowodować, że nowy konsul znajdzie się pod jeszcze większą presją.

Kiedy wróciliśmy do domu, Cycero wciąż był na dachu; po raz pierwszy zasiadł na krześle kurulnym z kości słoniowej. Było przeraźliwie zimno, a na dachówkach i gzymsach nadal leżał śnieg. Cycero opatulony był pledem niemal pod samą brodę i miał na sobie dziwną czapę z króliczego futra, z nausznikami po obu stronach. Celer stał nieopodal w otoczeniu *pularii*. Dzielił różdżką niebo na strefy, ze zniecierpliwieniem wypatrując na nim ptaków i błyskawic. Powietrze jednak było czyste i spokojne, jego wysiłki pozostawały więc daremne. Gdy tylko Cycero mnie zobaczył, natychmiast dłońmi w rękawicach wziął ode mnie tabliczki i zaczął szybko je przerzucać. Drewniane ramki na zawiasach stukwały o siebie raz po raz, gdy chłonał treść kolejnych stron.

– To jest ten projekt popularów? – zapytał Celer, który odwrócił się, zaciekawiony hałasem.

– Tak – odparł Cycero, pospiesznie ogarniając wzrokiem pismo. – Nie mogli przedstawić propozycji, która by bardziej podzieliła republikę.

– Będziesz musiał odnieść się do niej, panie, w swojej mowie inauguracyjnej? – zapytałem.

– Oczywiście, że tak. Po co mieliby ogłaszać ją akurat teraz?

– Niewątpliwie dobrze wybrali moment – potwierdził Celer. – Nowy konsul. Pierwszy dzień na urzędzie. Bez żadnej praktyki wojskowej. Bez potężnej rodziny, która by za nim stała. Podają cię ciężkiej próbie, Cyceronie.

Nagle z ulicy dobiegł krzyk. Spojrzałem na dół. Zbierał się już tłum, żeby odprowadzić Cycerona do senatu. Po drugiej stronie doliny na niebie rysowały się wyraźnie kapitolіńskie świątynie.

– Czy to był piorun? – zapytał Celer najbliżej stojącego dozorcę kurcząt. – Na Jowisza, mam nadzieję, że tak. Jaja mi już odmarzają.

– Jeśli widziałeś piorun, augurze – odparł ten – to znaczy, że piorun był.

– Skoro tak, to był piorun, i to po lewej stronie. Zapisz to, chłopcze. Gratulacje, Cyceronie... pomyślny znak. No to idziemy.

Ale Cycero jakby go w ogóle nie słyszał. Siedział bez ruchu na krześle i patrzył przed siebie. Celer przeszedł i położył mu dłoń na ramieniu.

– Mój kuzyn, Kwintus Metellus, przesyła ci wyrazy szacunku i przypomina delikatnie, że wciąż czeka za miastem, aby odbyć triumf, który obiecałeś mu w zamian za poparcie. Podobnie jak Licyniusz Lukullus, jeśli o to chodzi. Nie zapominaj, że mają setki weteranów do dyspozycji. Jeśli dojdzie do wojny domowej... a może dojsć... to tylko oni są w stanie przywrócić porządek.

– Dziękuję ci, Celerze. Sprowadzenie do Rzymu wojska... to z pewnością dobry sposób, żeby uniknąć wojny domowej.

Miała to być sarkastyczna uwaga, ale Celer był tak odporny na sarkazm jak zbroja na strzały zabawki, i z godnością opuścił dach domu Cycerona. Zapytałem mojego pana, czy mogę coś dla niego zrobić.

– Tak – odparł ponuro – przygotować mi nowe przemówienie. Zostaw mnie samego na jakiś czas.

Zrobiłem, jak mi kazał, i poszedłem na dół, starając się nie myśleć o czekającym go zadaniu: miał wygłosić improwizowaną mowę do sześciuset senatorów na temat skomplikowanego projektu ustawy, z którym dopiero co się zapoznał, i to mając świadomość, że cokolwiek powie, rozwścieczy albo jedną frakcję, albo drugą. Na samą myśl robiło mi się niedobrze.

Dom szybko zapełniał się ludźmi, nie tylko klientami Cycerona, ale i sympatykami, którzy przychodzili z ulicy. Cycero zalecił, aby nie szcędzić wydatków na inaugurację, i gdy

Terencja zaczynała skarżyć się na koszty, zawsze odpowiadał z uśmiechem:

– Macedonia zapłaci.

Tak więc każdy, kto przychodził, dostawał po przybyciu prezent w postaci fig i miodu. Attyk, który stał na czele ekwitów, przyprowadził sporą grupę wywodzących się z tego stanu zwolenników Cyclerona; ci, wraz z najbliższymi kolegami mojego pana z senatu, pod przewodnictwem Kwintusa, zostali poczęstowani w tablinum grzany winem. Nie było wśród nich Serwiusza. Zdążyłem powiedzieć i Attykowi, i Kwintusowi, że złożono wniosek ustawy i że jest źle.

Tymczasem poczęstunkiem raczyli się także wynajęci fletniści, podobnie jak grający na bębenkach i tancerze, przedstawiciele okręgów i tribus, no i oczywiście urzędnicy, związani ze stanowiskiem konsula: skrybowie, woźni, kopiści i heroldzi ze skarbcza, a także dwunastu liktorów przydzielonych przez senat konsulowi dla ochrony. Na scenie brakowało tylko pierwszego aktora i w miarę upływu czasu coraz trudniej mi było wytłumaczyć jego nieobecność, bo wszyscy już słyszeli o projekcie i chcieli wiedzieć, co Cycero zamierza powiedzieć o nim w swojej mowie. Mogłem tylko odpowiadać, że wciąż bada wróżby i niebawem się pojawi. Terencja, przystrojona w nowe klejnoty, syknęła do mnie, żebym opanował sytuację, zanim dom całkiem opustoszeje, wpadłem więc na pomysł, żeby wysłać dwóch niewolników na dach po krzesło kurulne; mieli oni powiedzieć Cycleronowi, że symbol jego władzy jest już potrzebny na dole, gdyż niebawem zostanie poniesiony na czele procesji – co było podstępem, ale nie do końca kłamliwym.

Sztuczka spełniła swoje zadaniem i niebawem zjawił się sam Cycero, na szczęście już bez futrzanej czapy. Gęsty tłum powitał jego przybycie głośnymi okrzykami, które w dużej części były efektem wesołości wywołanej grzany winem. Cycero oddał mi tabliczki woskowe, na których spisaliśmy treść projektu.

– Weź je z sobą – szepnął do mnie.

Potem usadowił się na krześle, pomachał tłumowi serdecznie i poprosił wszystkich zebranych, którzy zawiadywali skarbem, żeby podnieśli ręce. Uczyliło to ze dwudziestu kilku; zdumiewające, jak się teraz zdaje, że zaledwie tyle osób administrowało wtedy imperium rzymskim.

– Witajcie wszyscy! – powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu. – Oto Tiron, mój główny osobisty sekretarz od czasu, gdy zostałem senatorem. Proszę traktować jego polecenia jak moje, a wszelkie sprawy, które chcecie omówić ze mną, możecie również powierzać jemu. Od ustnych wołę raporty pisemne. Wstaję wcześniej i pracuję do późna. Nie będę tolerował łapówek ani jakichkolwiek form przekupstwa, podobnie jak intryg i plotek. Jeśli popełnicie jakiś błąd, nie bójcie się powiedzieć mi o tym, ale bez zwłoki. Jeżeli to wszystko zapamiętacie, dojdziemy do porozumienia. A teraz: do pracy!

Po tej krótkiej mowie, która wywołała rumieniec na mojej twarzy, każdy z liktorów otrzymał nowe różgi wraz z woreczkiem pieniędzy. W końcu zniesiono z dachu krzesło kurulne Cycerona i pokazano je tłumowi. Na jego widok z wrażenia wszyscy wciągnęli powietrze i zaczęli wiwatować, zresztą nie bez przyczyny, ponieważ było wykonane z numidyjskiej kości słoniowej i kosztowało ponad sto tysięcy sestercji („Macedonia zapłaci!”). Potem zebrani napili się jeszcze wina – nawet mały Marek pociągnął łyk z kubka z kości słoniowej – fletniści zaczęli grać i wyszliśmy na ulicę, żeby rozpocząć długi przemarsz przez miasto.

Wciąż było lodowato, ale wzeszło słońce; wyłoniło się nad dachami, opromieniając pokryty śniegiem Rzym niebiańskim blaskiem, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Na czele pochodu maszerowali liktorzy; czterech z nich niosło lektykę z krzesłem kurulnym. Cycero szedł obok Terencji, a za nim drepła Tulia ze swoim narzeczonym, Frugim. Kwintus niósł na

ramionach małego Marka, a po obu stronach rodziny konsula podążali przyodziani na biało ekwici i senatorzy. Towarzyszyły temu dźwięki fletów i bębnow, a także popisy tancerzy. Obywatele wylegli na ulice i wychylali się z okien, żeby na to popatrzeć. Słysząc było wiwaty i oklaski, ale też – żeby być szczerym – okrzyki niezadowolenia, zwłaszcza w uboższych rejonach Subury, gdy szliśmy Argiletum w stronę forum. Cycero skłaniał głowę raz w jedną stronę, raz w drugą, i od czasu do czasu unosił rękę w geście pozdrowienia, ale miał bardzo poważny wyraz twarzy i wiedziałem, że myśli o tym, co ma nastąpić. Zawsze przed wygłoszeniem ważnej mowy był przez jakiś czas nieobecny duchem. Zauważyłem, że zarówno Attyk, jak i Kwintus zagadywali go o coś, ale on tylko kręcił głową, bo chciał, żeby zostawiono go z jego myślami.

Gdy dotarliśmy na forum, zebrały się tam już tłumy. Minęliśmy rostra oraz pusty budynek senatu i zaczęliśmy wspinać się na Kapitol. Nad świątyniami unosił się dym z ognisk na ołtarzach. Czulem zapach palonego szafranu i słyszałem porykiwania wołów, które miały być złożone w ofierze. Kiedy zbliżyliśmy się do Łuku Scypiona, obejrzałem się i zobaczyłem rozciągający się pode mną Rzym: wzgórza i doliny, wieże i świątynie, portyki i domy, wszystko pokryte lśniącą w słońcu bielą, jak panna młoda w sukni ślubnej, oczekująca na przyszłego małżonka.

Weszliśmy na Area Capitalina, gdzie czekali już na nas przedstawiciele senatu, zebrani przed świątynią Jowisza. Wraz z rodziną i domownikami Cycerona zaprowadzono mnie na drewnianą trybunę wzniesioną dla widzów. Na sygnał trąbki, który poniósł się wśród murów, senatorowie odwrócili się jak jeden mąż, żeby popatrzeć, jak Cycero przechodzi przez ich szeregi – wszystkie te przebiegłe twarze, poczerwieniałe od zimna, patrzące zazdrosnym wzrokiem na konsula elekta; ci, którzy nigdy nie byli konsulami i wiedzieli, że nimi nie będą, którzy tego

pragnęli i jednocześnie bali się, że nie sprostają zadaniu, i ci, którzy kiedyś sprawowali ten urząd i uważali, że wciąż im się należy. Hybryda, drugi konsul, stał już u schodów świątyni. Wznoszący się powyżej wielki brązowy dach wydawał się topić w blasku zimowego słońca. Nie patrząc na siebie, dwaj konsurowie elekci powoli zbliżyli się po stopniach do ołtarza, przy którym spoczywał w lektyce główny kapłan, Metellus Pius, zbyt chory, żeby wstać. Otaczało go sześć westalek oraz pozostałych czternastu kapłanów oficjalnej religii.

Wyraźnie widziałem wśród nich Katulusa, który odbudował świątynię jako reprezentant senatu i którego imię widniało nad wejściem („większe od imienia Jowisza”, jak potem mówili dowcipnicy). Obok niego stał Izaurykus. Rozpoznałem Scypiona Nazykę, adoptowanego syna Piusa; Juniusza Silanusa, męża Serwili, najinteligentniejszej kobiety w Rzymie; i wreszcie dostrzegłem szczupłą, szeroką w ramionach postać Juliusza Cezara, choć, niestety, znajdowałem się za daleko, żeby odczytać wyraz jego twarzy; trzymał się z dala od reszty i dziwnie wyglądał w stroju kapłana.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Znowu rozbrzmiały trąbki. Do ołtarza zaprowadzono wielkiego byka o kremowej maści z czerwonymi wstążkami zawiązanymi na rogach. Cycero uniósł fałdy togi, żeby zasłonić głowę, a potem głośno odmówił z pamięci oficjalną modlitwę. Gdy tylko skończył, sługa, który stał za bykiem, powalił zwierzę tak silnym uderzeniem, że jego odgłos odbił się echem w portyku. Byk padł na bok i gdy niewolnicy otworzyli mu brzuch, mimowolnie ujrzałem przed oczami zamordowanego chłopca. Zanim jeszcze zwierzę zdechło, jego wnętrzności zostały złożone na ołtarzu, gdzie miały zostać zbadane. Rozległ się pomruk kapłanów, którzy dostrzegli w nich złą wróżbę, ale kiedy haruspikowie przynieśli Cyceronowi wątrobę do obejrzenia, oświadczyli, że znaki są niezwykle pomyślne.

Pius – który z całą pewnością był zupełnie ślepy – potwierdził to słabym skinieniem głowy, wnętrzności zostały wrzucone do ognia i ceremonia dobiegła końca. W czystym zimnym powietrzu po raz ostatni rozległ się dźwięk trąbki, w zamkniętej przestrzeni rozbrzmiały burzliwe oklaski i Cyncero został konsulem.

Pierwsza sesja senatu w nowym roku odbywała się zawsze w świątyni Jowisza; krzesło konsula stało na podwyższeniu tuż pod wielkim brązowym posągami ojca bogów. Nie miał tu wstępu żaden obywatel, choćby nie wiem jak znamienity, który nie był senatorem. Ponieważ jednak Cyncero powierzył mi zadanie uwiecznienia ceremonii – nigdy wcześniej nikt tego nie robił – pozwolono mi siedzieć obok niego podczas debaty. Możecie sobie wyobrazić, jak się czułem, gdy szedłem za nim szerokim przejściem między drewnianymi ławami. Ubrani w białe togi senatorowie wlewali się za nami do środka, a ich ożywione, snujące domysły głosy przypominały ryk nadciągającej fali. Kto czytał projekt ustawy popularów? Czy ktoś już rozmawiał z Cezarem? Co powie Cyncero?

Gdy nowy konsul dochodził do podwyższenia, odwróciłem się i patrzyłem, jak wszyscy ci ludzie, których tak dobrze znałem, wchodzi i zajmują miejsca. Po prawej stronie od krzesła konsula zbierali się patrycjusze – Katulus, Izaurykus, Hortensjusz i reszta – a po lewej ci, którzy wspierali popularów, czyli Cezara i Krassusa. Rozglądałem się za Rullusem, w którego imieniu zgłoszono projekt, i dostrzegłem go w gronie pozostałych trybunów. Jeszcze do niedawna był jednym z wielu młodych bogatych elegantów, ale potem zaczął nosić się jak biedak i zapuścił brodę, żeby dać wyraz swoim populistycznym sympatiom. Zauważyłem, że stojący za nim Katylna siada na jednej z przednich ław przeznaczonych dla pretorów, rozkładając potężne ramiona i wyciągając długie nogi. Miał zamyślony wyraz

twarży; na pewno myślał o tym, że gdyby nie Cyncero, to on zasiadłby tego dnia na fotelu konsula. Za nim sadowili się jego poplecznicy – ludzie tacy jak Kuriusz, hazardzista, który stracił majątek, i opasły Kasjusz Longinus, który zajmował aż dwa miejsca na ławie.

Byłem tak zajęty obserwowaniem, kto przybył i jak się zachowuje, że oderwałem na krótką chwilę wzrok od Cyncerona, a kiedy spojrzałem w jego stronę, zobaczyłem, że zniknął. Pomyślałem, że wyszedł na zewnątrz, aby wymiotować, co często mu się zdarzało, gdy denerwował się przed wygłoszeniem trudnej mowy. Ale znalazłem go za podwyższeniem; stał, ukryty przed wzrokiem ciekawskich, za posągiem Jowisza i prowadził ożywioną rozmowę z Hybrydą. Patrzył w jego niebieskie przekrwione oczy, prawą rękę trzymał mu na ramieniu, a lewą gestykulował żywo. Hybryda w odpowiedzi powoli kiwał głową, jakby coś z trudem pojmował. Wreszcie na jego twarzy pojawił się uśmiech. Cyncero puścił go i podali sobie ręce, po czym obaj wyszli zza posągu. Hybryda poszedł zająć swoje miejsce, a Cyncero zapytał mnie szorstko, czy pamiętam projekt ustawy. Odparłem, że tak.

– To dobrze – powiedział. – Wobec tego zaczynamy.

Znalazłem sobie miejsce na stołku u stóp podwyższenia, rozłożyłem tabliczki, wyjąłem rylec i przygotowałem się do sporządzenia pierwszego oficjalnego zapisu obrad senatu. Po obu stronach izby siedzieli dwaj inni sekretarze, osobiście przeze mnie przygotowani, którzy też mieli robić notatki; później zamierzaliśmy je porównać i opracować pełną wersję. Wciąż nie miałem pojęcia, jak Cyncero podejdzie do sprawy. Wiedziałem, że od wielu dni próbował napisać mowę wzywającą do zgody, ale mu to nie wychodziło i z niesmakiem niszczył kolejne jej wersje. Nikt nie potrafił przewidzieć, jaka będzie jego reakcja. Panowała atmosfera wyczekiwania. Kiedy Cyncero wszedł na podwyższenie, szmery natychmiast ucichły i wszyscy senatorowie

pochylili się do przodu, aby usłyszeć, co konsul ma do powiedzenia.

– Senatorowie – zaczął w swój zwykły spokojny sposób – należy do zwyczaju, że urzędnicy wybrani na to zaszczytne stanowisko na wstępie demonstrują pokorę, wymieniając przodków, którzy również sprawowali ten urząd, i wyrażając nadzieję, że okażą się ich godni. W moim przypadku taki wyraz pokory jest niemożliwy, co stwierdzam z przyjemnością. – To wywołało śmiechy. – Jestem człowiekiem nowym – oświadczył. – Nie zawdzięczam tego wyniesienia ani rodzinie, ani nazwisku, ani bogactwu, ani sławie wojennej, lecz ludowi rzymskiemu, i dopóki pozostanę na tym stanowisku, będę konsulem ludu.

Głos Cyncerona był wspaniałym instrumentem, z całą swoją bogatą tonacją i nieznacznym jękaniem – pozorną wadą, która sprawiała jednak, że każde słowo zdawało się dobyte z trudem i tym cenniejsze – więc jego słowa brzmiały w ciszy jak przesłanie samego Jowisza. Tradycja nakazywała mu najpierw wypowiedzieć się na temat armii, toteż pod okiem wielkich orłów spoglądających na dół z dachu zaczął wychwalać pod niebiosa dokonania Pompejusza i jego wschodnich legionów, bo wiedział, że wszystko, co powie, zostanie natychmiast przekazane wielkiemu wodzowi, który przestudiuje jego słowa z wielkim zainteresowaniem. Senatorowie zaczęli tupać i wydawać pomruki, przez długi czas dając wyraz swojej aprobacie, wszyscy bowiem mieli świadomość, że Pompejusz jest najpotężniejszym człowiekiem na świecie i nikt, nawet jego najbardziej zawistni wrogowie spośród patrycjuszy, nie chciał, żeby posądzono go o powściągliwość wobec tych pochwał.

– Jak Pompejusz stoi na straży republiki poza jej granicami, tak my powinniśmy chronić ją tutaj, w jej sercu – ciągnął Cyncero – powinniśmy dbać o jej honor i mądrze nią kierować, zabiegając o wewnętrzną zgodę. – Urwał na chwilę. – Wiecie wszyscy, że dziś rano, jeszcze przed wschodem słońca, na forum

ogłoszono projekt ustawy proponowanej przez Serwiliusza Rullusa, na który tak długo czekaliśmy. Gdy tylko o tym usłyszałem, wysłałem kopistów, żeby dokładnie przepisali mi jego treść. – Wyciągnął do mnie rękę i podałem mu trzy woskowe tabliczki. Dłoń mi drżała, ale jemu, gdy je brał, nie. – Oto treść projektu. Zapewniam was, że przeczytałem go tak dokładnie, jak to było dziś możliwe i na ile czas mi pozwolił, i wyrobiłem sobie o nim stanowczą opinię.

Przerwał i spojrzał poprzez izbę na zebranych – Cezara, który siedział w drugiej ławie, patrząc beznamiętnie na konsula, a potem na Katulusa i pozostałych ekskonsulów ze stronnictwa patrycjusza, którzy zajmowali miejsca w pierwszej ławie po drugiej stronie przejścia.

– To nic innego – zaczął znowu – jak tylko wymierzony w nas samych sztylet, który mamy sobie wbić we własne serce!

Jego słowa wywołały natychmiastową reakcję – okrzyki gniewu i pogardliwe gesty ze strony popularów i niski, przeciągły pomruk zadowolenia ze strony patrycjusza.

– Sztylet – powtórzył – o długim ostrzu. – Poślinił kciuk i rozłożył tabliczki. – Punkt pierwszy, strona pierwsza, wers pierwszy. „Wybór trzech członków komisji...”.

Pomijając frazesy, przeszedł od razu do sedna, w którym, jak zwykle, chodziło o władzę.

– Kto proponuje powołanie tej komisji? – zapytał. – Rullus. Kto ma decydować o jej składzie? Rullus. Kto zwołuje zgromadzenie, żeby wybrać członków? Rullus... – Patrycjusze przyłączyli się do niego, skandując imię nieszczęsnego trybuna po każdym pytaniu. – Kto ogłosi wyniki?

– Rullus! – zawołał senat.

– Kto będzie miał zagwarantowane miejsce w komisji?

– Rullus!

– Kto napisał projekt?

– Rullus!?

I całą izbę ogarnął śmiech, podczas gdy biedny Rullus zaczerwienił się po uszy i umknął wzrokiem w bok, jakby patrzył, gdzie by się tu ukryć. Cycero ciągnął w ten sposób chyba przez pół godziny; cytował projekt punkt po punkcie, ośmieszał go i wręcz rozrywał na strzępy, i to w tak ostrych słowach, że senatorowie zebrani wokół Cezara i na ławach dla trybunów przybrali ponure miny. Pomyśleć, że miał tylko godzinę na zebranie myśli! Coś nadzwyczajnego. Oświadczył, że ten projekt to atak na Pompejusza – który nie mógł *in absentia* wejść w skład komisji – i próba przywrócenia władzy królów pod postacią jej członków. Swobodnie zacytował fragment dokumentu: „Dziesięciu członków komisji będzie osadzać, jakich chce kolonistów, w jakich chce miasteczkach i okręgach, a także przydzielać im, jaką chce ziemię” – i w jego ustach ten bezbarwny język brzmiał jak nawoływanie do tyranii.

– Co więc? Co to będzie za osadnictwo? Jak przeprowadzi się całą akcję? „Powstaną kolonie”, mówi Rullus. Gdzie? Kto w nich zamieszka? W jakich rejonach? Sądziysz, Rullusie, że przekażemy tobie i prawdziwym twórcom twojego planu – tu wskazał wprost na Cezara i Krassusa – całą bezbronną Italię, żebyś mógł ją obsadzić garnizonami, koloniami, a potem wziąć w łańcuchy i wodzić na pasku?

Z ław patrycjuszy rozległy się okrzyki: „Nie!”, „Nigdy!”.

Cycero wyciągnął rękę i odwrócił od niej wzrok, klasycznym gestem obrazującym protest.

– Takim zamiarom będę sprzeciwiał się z całą siłą i pasją. Jako konsul nie dopuszczę, aby ci ludzie dokonali zamachu na republikę, do którego od dawna się przygotowywali. Postanowiłem sprawować konsulat w jedyny sposób, w jaki można to robić z godnością i zachowując swobodę działania. Nie będę dążył do objęcia prowincji, uzyskania jakichkolwiek zaszczytów, wyróżnień czy korzyści, ani niczego innego, czego uzyskanie może mi uniemożliwić trybun ludowy.

Przerwał, żeby podkreślić wydźwięk swoich słów. Miałem opuszczoną głowę, bo pisałem, ale gwałtownie ją uniosłem.

„Nie będę dążył do objęcia prowincji”. Naprawdę to powiedział?

Nie mogłem w to uwierzyć. Gdy do senatorów dotarły implikacje jego oświadczenia, podniósł się szmer.

– Tak – potwierdził Cyncero, wśród odgłosów niedowierzania – wasz konsul oświadcza pierwszego dnia stycznia wobec całego senatu, że nie przyjmie namiestnictwa prowincji, jeśli republika przetrwa w obecnym kształcie i jeśli nie zaistnieje żadne niebezpieczeństwo, któremu ze względów honorowych musiałby stawić czoło.

Spojrzałem na drugą stronę przejścia, gdzie siedział Kwintus. Wyglądał, jakby właśnie połknął żabę. Macedonia – olśniewająca perspektywa bogactwa i luksusu, dożywotniej niezależności od mozolnych zmagania w sądach – właśnie przepadła!

– Nasza republika ma dużo ukrytych ran – powiedział Cyncero złowieszczym tonem, którego zawsze używał w oracjach. – Żli obywatele snują podłe plany. Jednakże nie ma zagrożenia z zewnątrz. Nie musimy bać się żadnego króla, żadnego ludu ani narodu. Zło kryje się w obrębie murów miejskich. Ma charakter wewnętrzny, krajowy. Każdy z nas powinien więc ze wszystkich sił próbować mu zaradzić. Jeśli obiecacie mi poparcie w wysiłkach o zachowanie wspólnej godności, na pewno spełnię najgorętsze pragnienie republiki: postaram się, żeby ten organ władzy, który istniał w czasach naszych przodków, odzyskał po długiej przerwie dawną rangę – zakończył i usiadł.

Cóż, była to niewątpliwie pamiętna mowa, skonstruowana zgodnie z pierwszą zasadą retoryki Cyncerona, która głosiła, że każde wystąpienie powinno zawierać przynajmniej jeden element zaskoczenia. Ale to nie był jeszcze koniec niespodzianek. Należało do zwyczaju, że po zakończeniu swojego przemówienia przewodniczący obradom konsul przekazuje głos koledze z

urzędu. Gdy tylko przebrzmiał aplauz większości i gwizdy z ław wokół Katyliny i Cezara, Cycero zapowiedział głośno:

– Proszę o wysłuchanie Antoniusza Hybrydy!

Hybryda, który siedział w pierwszej ławie, najbliżej Cycerona, spojrzął potulnie na Cezara po przeciwnej stronie, a potem wstał.

– Ten projekt, który przedstawił Rullus... z tego, co zdążyłem przeczytać... więc muszę powiedzieć... że moim zdaniem... biorąc pod uwagę stan republiki... to nie jest najlepszy pomysł. – Kilkakrotnie otworzył i zamknął usta. – Jestem mu przeciwny – wyduśił i szybko usiadł.

Po chwili ciszy w senacie wybuchł zgiewk, będący wyrazem rozmaitych emocji i postaw: szyderstwa, gniewu, zadowolenia, zdumienia. Było jasne, że Cycero zapobiegł groźnemu przewrotowi politycznemu. Wszyscy bowiem przypuszczali, że Hybryda poprze swoich sprzymierzeńców, popularów, a tymczasem całkowicie zmienił front i trudno było mieć wątpliwości co do motywów jego działania – ponieważ Cycero zrzekł się namiestnictwa prowincji, Macedonia miała przypaść jemu! Patrycjuszowscy senatorowie, siedzący w ławach za Hybrydą, pochylali się ku niemu i klepali go po plecach, gratulując mu złośliwie, a on krzywił się na te ich drwiny i spoglądał nerwowo w bok na swoich niedawnych przyjaciół. Katyliną osłupiał ze zdumienia, wręcz zamienił się w kamień. Co do Cezara, odchylił się do tyłu, splótł ręce przed sobą i patrzył w sufit świątyni, kręcąc głową i uśmiechając się lekko, podczas gdy na sali wciąż panowało pandemonium.

Dalsza część sesji przebiegała już znacznie spokojniej. Cycero wyczytał wszystkich pretorów, a potem kolejno wezwał byłych konsulów, aby wyrazili swoje opinie o projekcie Rullusa. Odpowiadały one przynależności do danego stronnictwa. Cycero

nie zapytał o zdanie Cezara; był on zbyt młody, nawet jeszcze nie sprawował imperium. Tak naprawdę tylko w wypowiedzi Katyliny zabrzmiała groźna nuta.

– Nazwał się konsulem ludu – warknął do Cyncerona, kiedy wreszcie mógł zabrać głos. – Cóż, zobaczymy, co lud na to powie!

Jednakże był to dzień nowego konsula; gdy słońce zaczęło zachodzić i Cyncero ogłosił odroczenie sesji na czas aż po Świątce Latyńskim, patrycjusze odprowadzili go do drzwi świątyni, a potem przez całe miasto szli z nim do domu, jakby był jednym z nich, a nie „nowym człowiekiem”, którym tak pogardzali.

Cyncero był w doskonałym humorze, gdy przekraczał próg domostwa, bo nic w polityce nie sprawia większej satysfakcji niż zaskoczenie przeciwników, a nikt tego dnia o niczym innym nie mówił, jak tylko o wolicie Hybrydy. Kwintus jednak był wściekły i w chwili gdy dom wreszcie opuścili goście, zwrócił się do brata z gniewem, jakiego jeszcze nigdy dotąd u niego nie widziałem. Było to tym bardziej krępujące, że działo się w obecności Attyka i Terencji.

– Dlaczego nie zasięgnąłeś rady nikogo z nas, zanim zrzekłeś się namiestnictwa prowincji? – zapytał ostro.

– A jakie to ma znaczenie? Liczy się skutek. Przecież siedziałeś naprzeciwko nich. Któremu twoim zdaniem zrobiło się bardziej niedobrze, Cezarowi czy Krassusowi?

Lecz Kwintus nie dał się zbić z tropu.

– Kiedy podjąłeś tę decyzję?

– Szczerze mówiąc, myślałem o tym od chwili, gdy wylosowałem Macedonię.

Na to Kwintus ze zniecierpliwieniem zamachał rękami.

– Chcesz powiedzieć, że podczas naszej wczorajszej rozmowy byłeś już zdecydowany?

– Mniej więcej.

- To dlaczego nic nam nie powiedziałeś?
 - Po pierwsze, wiedziałem, że się nie zgodzisz. Po drugie, istniała jeszcze szansa, że Cezar przedstawi projekt, który mógłbym poprzeć. A po trzecie, uznałem, że to, co robię z przyznanym mi namiestnictwem, to wyłącznie moja sprawa.
 - Nie, to nie jest wyłącznie twoja sprawa, Marku. To nasza sprawa. Jak zamierzasz spłacić długi bez dochodów z Macedonii?
 - Chyba pytasz, jak latem sfinansujesz swoją kampanię na urząd pretora?
 - To niesprawiedliwe!
- Cycero wziął go za rękę.
- Bracie, wysłuchaj mnie. Dostaniesz tę swoją preturę. I nie zdobędziesz jej przekupstwem, ale dzięki dobremu imieniu rodu Cyceronów, i twój sukces będzie tym słodszy. Chyba rozumiesz, że musiałem odsunąć Hybrydę od Cezara i trybunów? Jediną nadzieję na przeprowadzenie republiki przez wzburzone morze daje zjednoczenie senatu. Nie mogłem pozwolić, żeby kolega z urzędu intrygował za moimi plecami. Musiałem więc oddać Macedonię. – Zwrócił się do Attyka i Terencji. – Zresztą kto chce rządzić prowincją? Przecież wiecie, że nie mógłbym zostawić was wszystkich w Rzymie. Nie wytrzymałbym tego.
 - A co będzie, jeśli Hybryda przyjmie Macedonię i poprze oskarżenie Rabiriusza? Co go powstrzyma?
 - A po co miałby zadawać sobie tyle trudu? Poparł ich plany tylko dla pieniędzy. Teraz bez niczyjej pomocy może spłacić długi. Poza tym nic nie jest jeszcze przesądzone... zawsze mogę zmienić zdanie. A tymczasem tym szlachetnym gestem pokazałem ludowi, że jestem człowiekiem zasad, który przedkłada dobro republiki ponad własne korzyści.
- Kwintus spojrział na Attyka. Ten wzruszył ramionami.
- Brzmi to rozsądnie – zauważył.

– A co ty myślisz, Terencjo? – zapytał Kwintus.

Żona Cycerona do tej pory cały czas milczała, co było do niej niepodobne. Nawet teraz nic nie powiedziała, tylko popatrzyła na męża, który spokojnie odpowiedział spojrzeniem.

Powoli uniosła rękę i zdjęła diadem, który lśnił wśród jej ciemnych kręconych włosów. Nie spuszczać wzroku z Cycerona, ściągnęła z szyi naszyjnik, odpięła szmaragdową broszę z piersi i zsunęła z nadgarstków złote bransolety. W końcu, krzywiąc się z wysiłku, zdjęła pierścienie z palców. Potem wzięła całą tę niedawno kupioną biżuterię w obie ręce i rzuciła na podłogę. Połyskujące klejnoty i cenny metal potoczyły się z hałasem po mozaikowej podłodze. Potem Terencja odwróciła się i wyszła z pokoju.

IV

Następnego rana musieliśmy o świcie opuścić Rzym wraz ze wszystkimi urzędnikami, ich rodzinami i służbą, którzy mieli w ziąć udział w Świącie Latyńskim na Górze Albańskiej. Terencja towarzyszyła mężowi, ale atmosfera w powozie była lodowata jak styczniowe górskie powietrze na zewnątrz. Konsul zadbał, żebym miał zajęcie; najpierw podyktował mi długie pismo dla Pompejusza, opisujące sytuację polityczną w Rzymie, a potem kilka krótszych listów do każdego z namiestników prowincji, podczas gdy Terencja unikała jego wzroku i udawała, że śpi. Dzieci podróżowały z niańką innym powozem. Za nami rozciągała się długa kolumna powozów, którymi jechali obrani władcy Rzymu: na początku Hybryda, a za nim pretorzy – Celer, Koskoniusz, Pompejusz Rufus, Pomptinus, Roscjusz, Sulpicjusz, Waleriusz Flakkus. Tylko Lentulus Sura, jako pretor miejski, został ma miejscu, żeby pilnować porządku.

– Pod nadzorem tego idioty miasto spłonie do gołej ziemi – zauważył Cycero.

Do domu Cyclerona w Tuskulum dotarliśmy po południu, ale mieliśmy mało czasu na odpoczynek, ponieważ mój pan musiał prawie zaraz wyjechać, żeby sędziować podczas zawodów

miejscowych atletów. Najważniejszą dyscypliną na zawodach latyńskich był rzut dyskiem; punkty przyznawano za wysokość rzutu, styl i siłę. Cycero nie miał pojęcia, który zawodnik jest najlepszy, oświadczył więc, że wszyscy są zwycięzcami i że z własnej kieszeni funduje każdemu z nich nagrodę. Ten hojny gest zyskał mu aplauz zebranych mieszkańców wsi. Gdy potem Cycero dołączył do Terencji w powozie, usłyszałem jej uwagę: „Pewnie zapłaci Macedonia?”.

On się zaśmiał, co zapoczątkowało pojednanie.

Główna uroczystość odbywała się o zachodzie słońca na szczycie góry, na którą prowadziła stroma kręta droga. Gdy słońce zaszło, zapanował przenikliwy chłód. Na skalistym podłożu leżał śnieg aż po kostki. Cycero szedł na czele procesji, w otoczeniu liktorów. Niewolnicy nieśli pochodnie. Na gałęziach drzew i krzakach miejscowi powiesili małe figurki albo maski wykonane z drewna czy włóczki, które miały przypominać czasy, kiedy składano ofiary z ludzi i żeby przyspieszyć odejście zimy, wieszano młodego chłopca. W całej tej scenerii było coś nieopisanie melancholijnego – straszliwe zimno, niknące światło dnia i te złowrogie symbole, szeleszczące i obracające się na wietrze. Na samym szczycie góry stał ołtarz i płonący na nim ogień strzelał iskrami ku gwiazdom.

Złożono Jowiszowi ofiarę z byka i libację z mleka pochodzącego z pobliskich gospodarstw.

– Niech ludzie powstrzymają się od sporów i kłótni – nakazał Cycero i te tradycyjne słowa jakby nabrały szczególnej wagi tego wieczoru.

Gdy uroczystość dobiegła końca, wszedł księżyc w pełni, który wyglądał jak niebieskie słońce i rzucał niezdrowy blask na ziemię, ale przynajmniej dobrze oświetlał nam drogę, gdy ruszyliśmy w dół. Wtedy jednak zdarzyły się dwa incydenty, o których mówiono potem tygodniami. Najpierw nagle, z niewyjaśnionej przyczyny, zgasł księżyc, tak jakby wpadł do jakiegoś

czarnego jeziora, i procesja, która szła w jego świetle, musiała zatrzymać się w sposób niegodny, bo trzeba było zapalić pochodnie. Ten postój nie trwał długo, ale to dziwne, jak działa na wyobraźnię nagle znalezienie się w mroku na górskiej ścieżce, zwłaszcza w otoczeniu roślinności obwieszanej budzącymi strach wizerunkami. Rozległy się głosy paniki, przynajmniej do czasu, gdy uświadomiono sobie, że wszystkie gwiazdy i konstelacje wciąż jasno świecą. Wraz z pozostałymi uniosłem wzrok ku niebu i wtedy ujrzeliśmy spadającą gwiazdę, która wyglądała jak płonąca włócznia. Przemknęła po nocnym niebie w kierunku zachodnim, ku Rzymowi, gdzie zbladła i całkiem zgasła. Dały się słyszeć okrzyki zdumienia, a potem w mroku zaczęto zastanawiać się szeptem, co to wszystko zapowiada.

Cycero nic nie powiedział, tylko czekał cierpliwie, aż procesja ruszy w dalszą drogę. Jeszcze tego samego wieczoru, gdy bezpiecznie dotarliśmy do Tuskulum, zapytałem go, co o tym wszystkim sądzi.

– Nic – odparł, grzejąc zmarznięte kości przy ogniu. – A co miałbym sądzić? Księżyc zaszedł za chmurę i gwiazda przecięła niebo. O czym tu mówić?

Nazajutrz nadeszła wiadomość od Kwintusa, który pilnował interesów Cyncerona w Rzymie. Cycero przeczytał list, a potem pokazał go mnie. Kwintus donosił, że na Polu Marsowym wzniesiono wielki drewniany krzyż, który rysuje się wyraźnie na pokrytej śniegiem równinie, i że z całego miasta ściąga lud, żeby go obejrzeć. „Labienuś chodzi i mówi otwarcie, że to krzyż dla Rabiriusza i że starzec zawisnie na nim jeszcze przed upływem miesiąca. Powinieneś jak najszybciej wrócić”.

– Jedno muszę przyznać Cezarowi – rzekł Cycero. – Że nie traci czasu. Jeszcze jako sędzia nie zbadał sprawy, a już wywierają na mnie nacisk. – Zapatrzył się w ogień. – Jest tu jeszcze ten posłaniec?

– Tak.

– Powiadom więc Kwintusa, że wrócimy przed nocą. Wyślij też wiadomość do Hortensjusza; napisz, że dziękuję mu za przedwczorajszą wizytę. I że przemyślałem sprawę. Z radością wystąpię wraz z nim jako obrońca Gajusza Rabiriusza. – Pokiwał głową. – Jeśli Cezar chce walki, to będzie ją miał. – Gdy byłem już przy drzwiach, zawołał mnie jeszcze: – Wyślij też jednego z niewolników, żeby odnalazł Hybrydę i zapytał go, czy zechce skorzystać z mojego powozu w drodze powrotnej do Rzymu, żebyśmy sfinalizowali umowę. Muszę mieć ją na piśmie, zanim Cezar dobierze się do niego i spróbuje go przekonać, żeby zmienić zdanie.

Tak więc jeszcze tego samego dnia, gdy powóz toczył się po Via Latina, zasiadłem naprzeciwko jednego konsula, a obok drugiego, żeby spisać warunki ich umowy. Przed nami jechała eskorta liktorów. Hybryda wyjął małą flaszeczkę wina i regularnie pociągał z niej łyk; od czasu do czasu podsuwał ją też drżącą ręką Cyceronowi, który odmawiał grzecznie. Nigdy wcześniej nie widziałem Hybrydy z bliska przez tak długi czas. Jego niegdyś szlachetnie wyglądający nos był czerwony i zniekształcony – jak twierdził, złamał go w bitwie, ale wszyscy wiedzieli, że był to efekt bójk w tawernie – policzki miał purpurowe, a oddech tak zalatywał alkoholem, że od tych oparów zaczęło kręcić mi się w głowie. Biedna Macedonia, pomyślałem, będzie miała taką kreaturę za namiestnika. Cycero zaproponował, żeby po prostu zamienili się prowincjami, dzięki czemu sprawa nie musiałaby być poddana pod głosowanie w senacie. („Jak chcesz – odparł Hybryda. – To ty jesteś prawnikiem”). W zamian za namiestnictwo Macedonii Hybryda zobowiązał się zgłosić sprzeciw wobec projektu popularów i wesprzeć obronę Rabiriusza. Zgodził się także oddać Cyceronowi jedną czwartą swojego dochodu z Macedonii. Cycero ze swojej strony obiecał, że zrobi, co będzie w jego mocy, by przedłużyć mu namiestnictwo

provincji na dwa lub trzy lata i występować jako jego obrońca, gdyby później został oskarżony o korupcję. Zawahał się przy tym ostatnim warunku, ponieważ ryzyko, że Hybryda zostanie postawiony przed sądem, było wysokie, biorąc pod uwagę jego charakter, ale w końcu się poddał i umieściłem to w dokumencie.

Kiedy dobili targu, Hybryda ponownie wyjął swoją flaszeczkę i tym razem Cycero zgodził się z niej napić. Po jego minie zorientowałem się, że wino było nierozcieńczone i nie w jego guście, ale udał, że mu smakuje, a potem obaj konsulowie rozparli się wygodnie, wyraźnie zadowoleni z wykonanej pracy.

– Zawsze myślałem – odezwał się Hybryda, tłumiąc beknienie – że oszukiwałeś podczas losowania prowincji.

– Jak mógłbym to zrobić?

– Och, istnieje wiele sposobów, jeśli jest przy tym konsul. Mogłeś trzymać zwycięski los w dłoni i podmienić na niego ten, który naprawdę wyciągnąłeś. Albo namówić konsula, żeby ogłosił, co ci przypadło w udziale. Więc tego nie zrobiłeś?

– Nie – zaprzeczył Cycero, lekko urażony. – Wylosowałem Macedonię uczciwie.

– Naprawdę? – mruknął Hybryda i uniósł flaszeczkę. – Cóż, ale sprawa jest już przesądzona. Wypijmy za los.

Dotarliśmy do równiny i wokół drogi rozciągały się płaskie, łyse pola. Hybryda zaczął coś nucić pod nosem.

– Powiedz mi, Hybrydo – odezwał się Cycero po chwili – czy przed kilkoma dniami nie zaginął jeden z twoich niewolników?

– Kto taki?

– Niewolnik. Mniej więcej dwunastoletni.

– A, on – odparł Hybryda niedbale, jakby stale ginęli mu niewolnicy. – Słyszałeś o tym?

– Nie tylko słyszałem, ale też widziałem, co mu zrobiono.

– Nagle Cycero przyjrzał się Hybrydzie z wielką uwagą. – Czy powiesz mi na znak naszej przyjaźni, co się z nim stało?

– Nie wiem, czy powinienem. – Hybryda popatrzył na Cyce-rona przebiegle. Być może był pijakiem, ale nie brakowało mu sprytu, nawet gdy nadużył wina. – W przeszłości wyrażałeś się o mnie niepocholebnie. Musiałbym nabrać do ciebie zaufania.

– Jeśli się obawiasz, że to, co powiesz mi prywatnie, nie zostanie między nami, to cię uspokoję. Niezależnie od tego, co wydarzyło się kiedyś, teraz jesteśmy z sobą związani, Hybrydo. Nie zrobię nic, co by naraziło na szwank nasze przymierze, nawet jeśli byś mi powiedział, że sam zabiłeś tego chłopca. Czuję jednak, że muszę to wiedzieć.

– Ładnie powiedziane. – Hybryda beknął znowu i wskazał głową mnie. – A ten niewolnik?

– Jest całkowicie godny zaufania.

– No to napijmy się jeszcze – zaproponował Hybryda i znowu wyciągnął flaszeczkę, a kiedy Cycero się zawahał, potrząsnął nią tuż przed jego twarzą. – No, dalej. Nie znoszę ludzi, którzy zachowują trzeźwość, gdy inni piją. – Cycero przeciągnął więc niechęć i pociągnął jeszcze jeden łyk wina, a Hybryda opowiedział, co stało się z chłopcem, i zrobił to tak pogodnie, jakby zdawał relację z wyprawy na polowanie. – Pochodził ze Smyrny. Był bardzo muzykalny. Zapomniałem, jak się nazywał. Zwykle śpiewał moim gościom przy kolacji. Tuż po Saturnaliach wypożyczyłem go Katylinie na ucztę. – Znowu łyknął sobie wina. – Katylina naprawdę cię nienawidzi, co?

– Chyba tak.

– Ja tam jestem łagodniejszy z natury. Ale on? O nie! To cały Sergiusz. Nie może znieść tego, że został pokonany w walce o konsulat przez zwykłego człowieka, i to ze wsi. – Zacisnął usta i pokręcił głową. – Kiedy wygrałeś wybory, wręcz jakby postradał rozum, uwierz mi. W każdym razie podczas tej uczt

był naprawdę wściekły i krótko mówiąc, zaproponował, żebyśmy złożyli przysięgę, świętą przysięgę, która wymaga stosownej ofiary. Wezwał mojego chłopca i kazał mu śpiewać. A potem zaszedł go od tyłu i bum. – Tu Hybryda zamachnął się pięścią. – Tak to było. Przynajmniej załatwił go szybko. Nie czekałem na resztę, poszedłem sobie.

- Chcesz powiedzieć, że to Katyliną zabił chłopca?
- Rozbił mu czaszkę.
- Dobrzy bogowie! Senator rzymski! Kto jeszcze był przy tym obecny?
- Och, no wiesz... Longinus, Cetegus, Kuriusz. Ci sami co zawsze.
- A więc czterech członków senatu... łącznie z tobą pięciu.
- Mnie możesz nie liczyć. Zrobiło mi się niedobrze, mówię ci. Ten chłopak kosztował mnie tysiące.
- I jakąż to „stosowną” do takiego haniebnego czynu przysięgę kazał wam złożyć?
- Że cię zabijemy – wyjaśnił Hybryda beztrąsko i podniósł do ust flaszkę. – Twoje zdrowie! – I wybuchnął śmiechem. Tak się śmiał, że pluł winem. Ciekło mu po złamanym nosie i nieogolonej brodzie, a potem kapało na togę. Próbował je otrzeć, ale bezskutecznie. Opuścił rękę, głowa mu opadła i wkrótce potem zasnął.

Wtedy pierwszy raz Cycero usłyszał o spisku przeciwko sobie i przede wszystkim nie wiedział, co ma o tym myśleć. Czy był to tylko efekt pijackiego rozpasania, czy groźba, którą należało potraktować poważnie? Gdy Hybryda zaczął chrapać, Cycero spojrział na mnie z wyrazem bezdennej odrazy i resztę podróży spędził w milczeniu, z założonymi rękami i ponurym obliczem. Jeśli chodzi o Hybrydę, spał całą drogę do Rzymu, i to tak głęboko, że kiedy dojechaliśmy pod jego dom, liktorzy

musieli wynieść go z powozu i złożyć w westybulu. Niewolnicy nie sprawiali wrażenia zdziwionych, że w taki sposób odstawia się ich pana, i gdy odjeżdżaliśmy, jeden z nich wylewał dzban wody na głowę konsula.

Kiedy przybyliśmy do domu, czekali już na nas Kwintus oraz Attyk i Cycero szybko opowiedział im, co usłyszał od Hybrydy. Kwintus uważał, że należy jak najszybciej tę sprawę ujawnić, ale Cycero nie był przekonany.

– I co dalej? – zapytał.

– Powinno zająć się tym prawo. Należy publicznie oskarżyć winowajców, postawić ich przed sądem, osądzić i wygnać.

– Nie – sprzeciwił się Cycero. – Proces zakończyłyby się porażką. Po pierwsze, kto byłby na tyle szalony, żeby wnieść oskarżenie? A jeśli nawet znalazłby się ktoś tak głupi i zuchwały, żeby wystąpić przeciwko Katylinie, skąd wzięłby dowody? Hybryda nie zechce wystąpić jako świadek, nawet gdyby zagwarantowano mu nietykalność... tego możesz być pewny. Po prostu zaprzeczy, że coś takiego w ogóle się zdarzyło, i zerwie ze mną przymierze. A ciała już nie ma, pamiętasz? Sam zapewniłem lud, że nie było żadnego rytualnego mordu, i są na to świadkowie!

– Więc nic nie zrobimy?

– Nie, będziemy patrzeć i czekać. Musimy znaleźć szpiega w obozie Katyliny. Hybryda straci jego zaufanie.

– Powinniśmy przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności – włączył się Attyk. – Jak długo będziesz miał asystę liktorów?

– Do końca stycznia, kiedy przewodnictwo senatu obejmie Hybryda. Wrócą do mnie ponownie w marcu.

– Proponuję, żebyśmy poprosili o eskortę ochotników ze stanu ekwitów na ten czas.

– Prywatna ochrona? Ludzie powiedzą, że przewróciło mi się w głowie. Trzeba by to zorganizować dyskretnie.

– Nie martw się, tak będzie. Zajmę się tym.

Na tym stanęło. Tymczasem Cycero zaczął szukać informatora, który mógłby zdobyć zaufanie Katyliny i potem donosić nam w tajemnicy, co ten knuje. Kilka dni później mój pan poruszył ten temat w rozmowie z młodym Rufusem. Wezwał go do siebie do domu i na początek przeprosił za to, że po uczcie był dla niego niemiły.

– Musisz zrozumieć, mój drogi Rufusie – wyjaśniał, spacerując z nim po atrium i obejmując go ramieniem. – To jedna z przywar starości, że widzi się młodych takich, jacy byli kiedyś, a nie takich, jacy są. Potraktowałem cię jak łobuziaka, który przybył do mojego domu trzy lata temu, a potem uświadomiłem sobie, że jesteś już mężczyzną prawie dwudziestoletnim, który wchodzi w świat i zasługuje na większe poważanie. Naprawdę przykro mi, jeśli cię uraziłem, i mam nadzieję, że nie masz do mnie żalu.

– To moja wina – odparł Rufus. – Nie będę udawał, że zgadzam się z twoją linią polityczną. Ale żywię do ciebie niezachwianą miłość i szacunek i nigdy więcej nie pozwolę sobie myśleć o tobie źle.

– Dobry chłopak. – Cycero uszczypnął go w policzek. – Słyszałeś, Tironie? On mnie kocha! Więc nie chciałbyś mnie zabić?

– Zabić cię? Oczywiście, że nie! Co ci przyszło do głowy?

– Inni, którzy podzielają twoje poglądy, mówią o zamordowaniu mnie... jest wśród nich Katylinia. – I opowiedział Rufusowi o zabiciu niewolnika Hybrydy i straszliwej przysiędze, do jakiej Katylinia zmusił swoich sojuszników.

– Jesteś tego pewien? – zapytał Rufus. – Nigdy nie słyszałem, żeby wspomniał o czymś takim.

– Cóż, ponad wszelką wątpliwość powiedział, że chce mnie zabić... doniósł mi o tym Hybryda... i jeśli się to powtórzy, chciałbym wierzyć, że mnie ostrzeżesz.

– Och, rozumiem – rzekł Rufus; obrzucił spojrzeniem dłoń Cyclerona, która spoczywała na jego ramieniu. – Dlatego mnie tu wezwales... mam być twoim szpiegiem.

– Nie szpiegiem, lecz lojalnym obywatelem. A może republika już tak nisko upadła, że zamordowanie konsula jest ważniejsze od przyjaźni?

– Nigdy nie zamordowałbym konsula ani nie zdradził przyjaciela – odparł Rufus, strącając rękę Cyclerona – dlatego cieszę się, że na naszą przyjaźń nie pada już żaden cień.

– Znakomita odpowiedź, godna prawnika. Jesteś lepszym uczniem, niż sądziłem.

Po jego odejściu Cycero zauważył z namysłem:

– Ten młody człowiek jest już w drodze, żeby powtórzyć każde moje słowo Katylinie...

Być może miał rację, bo od tej pory Rufus trzymał się z dala od Cyclerona, natomiast często widywano go w towarzystwie Katyliny. Związał się z niewłaściwymi ludźmi, należeli bowiem do nich pełni temperamentu, gotowi do walki młodzieńcy z dobrych rodów, jak Korneliusz Cetegus; starzejący się, rozpustni arystokraci, jak Marek Leka i Autroniusz Petus, którym karierę publiczną uniemożliwiły prywatne ekscesy; buntowniczy ekszołnierze pod przewodnictwem takich podżegaczy, jak Gajusz Manliusz, który służył jako centurion pod dowództwem Sulli. Łączyła ich lojalność wobec Katyliny, który potrafił być czarującym, kiedy nie próbował cię zabić, i pragnienie, aby ktoś obalił obecny porządek. Dwukrotnie, kiedy Cycero występował na zgromadzeniach publicznych przeciwko projektowi Rullusa, drwili z niego, prowokując innych do śmiechów i gwizdów, więc cieszyłem się, że Attyk przedsięwziął środki, żeby go ochraniać, zwłaszcza gdy sprawa Rabiriusza nabrała rozgłosu.

Projekt Rullusa, oskarżenie Rabiriusza, groźba ze strony Katyliny – musicie pamiętać, że Cycero zmagał się z tymi trzema

sprawami naraz, a także kierował bieżącą działalnością senatu. Moim zdaniem historycy często pomijają ten aspekt polityki. Problemy nie ustawiają się w kolejce pod drzwiami urzędnika państwowego, żeby można je było rozwiązywać po kolei, jak wynika z ksiązek; raczej tłoczą się i domagają jednocześnie uwagi. Hortensjusz na przykład przybył, żeby omówić taktykę obrony Rabiriusza, zaledwie kilka godzin po tym, jak Cycero został wygwizdany podczas zgromadzenia ludowego poświęconego projektowi Rullusa. To przepracowanie miało też swoje skutki. Ponieważ Cycero był tak zajęty, Hortensjusz, który miał niewiele innych zajęć, przejął prowadzenie sprawy. Usadowił się w gabinecie Cycerona, bardzo zadowolony z siebie oznajmił, że problem jest rozwiązany.

– Rozwiązany? – powtórzył Cyceron. – Jak to?

Hortensjusz się uśmiechnął. Wyjaśnił, że zatrudnił zespół skrybów, aby zbierali dowody, i ci natrafili na intrygującą informację, że zbir imieniem Scewa, niewolnik senatora Kwintusa Krotona, został wyzwolony zaraz po zabójstwie Saturninusa. Szukali więc dalej w archiwach państwowych. Według aktu wyzwolenia Saturninus zginął właśnie z ręki Scewy, który za ten „patriotyczny czyn” został nagrodzony przez senat wolnością. I Scewa, i Kroton od dawna nie żyli, ale Katulus twierdził, że teraz, gdy się nad tym zastanawia, przypomina sobie to zdarzenie, i przysiągł na piśmie, że gdy Saturninus stracił przytomność, widział, jak Scewa schodzi do sali obrad senatu i dobija go nożem.

– A to – zakończył Hortensjusz i podsunął Cyceronowi oświadczenie Katulusa – chyba się ze mną zgodzisz, obala oskarżenie Labienusa przeciwko naszemu klientowi i jeśli dopisze nam szczęście, ta cała przykra sprawa szybko się zakończy. – Odchylił się na oparcie krzesła z poczuciem wielkiej satysfakcji. – Chyba mi nie powiesz, że jesteś innego zdania? – dodał, gdy zobaczył, że Cycero marszczy czoło.

– Zasadniczo, rzecz jasna, masz rację. Ale zastanawiam się, czy w praktyce to cokolwiek nam pomoże.

– Niewątpliwie tak! Labienus nie ma na czym oprzeć oskarżenia. Nawet Cezar będzie musiał to przyznać. No naprawdę, Cycleronie – rzucił z uśmiechem i nieznacznie pogroził mu wypielęgowanym palcem – bo jeszcze pomyślę, że jesteś zazdrośny.

Cycero jednak nie dał się przekonać.

– Cóż, zobaczymy – powiedział do mnie po tym spotkaniu.
– Obawiam się jednak, że Hortensjusz nie zdaje sobie sprawy, jakie siły mamy przeciwko sobie. Wciąż wydaje mu się, że Cezar to kolejny ambitny młody senator, który chce zrobić karierę. Jeszcze nie wie, do czego jest zdolny.

I rzeczywiście, tego samego dnia, w którym Hortensjusz przedstawił swoje dowody komisji Cezara, ten wraz z drugim sędzią – swoim starszym kuzynem – nie wezwawszy nikogo na świadka, uznał Rabiriusza za winnego i skazał go na śmierć przez ukrzyżowanie. Wiadomość ta obiegła ciasne ulice Rzymu lotem błyskawicy i następnego rana w gabinecie Cyclerona pojawił się już zupełnie inny Hortensjusz.

- Ten człowiek to potwór! Podła, bezwzględna świnia!
- Jak to przyjął nasz nieszczęsny klient?
- Jeszcze nie wie, co się stało. Wolałem mu nie mówić.
- Co zatem zrobimy?
- Nie mamy wyjścia. Wniesiemy apelację.

Hortensjusz złożył więc wniosek o apelację do pretora miejskiego, Lentulusa Sura, który z kolei skierował sprawę do zgromadzenia ludowego; miało się ono odbyć w następnym tygodniu na Polu Marsowym. Była to idealna sytuacja z punktu widzenia oskarżycieli; nie trybunał z szacownym gronem sędziowskim, ale nic nierozumiejące rzesze rozszałych obywateli. Żeby wszyscy mogli zagłosować w sprawie dalszego losu Rabiriusza, całe postępowanie trzeba było przeprowadzić w ciągu

jednego krótkiego zimowego dnia. A jakby tego było jeszcze mało, Labienus mógł również wykorzystać swoje uprawnienia trybuna i zastrzec, żeby mowa obrończa nie trwała dłużej niż pół godziny. Usłyszawszy o tym ograniczeniu, Cycero zauważył:

– Hortensjusz potrzebuje pół godziny, żeby odchrząknąć i przygotować się do przemowy!

W miarę jak zbliżał się termin apelacji, mój pan i jego kolega adwokat kłócili się coraz bardziej. Hortensjusz postrzegał sprawę wyłącznie w kategoriach prawnych. Jego główną linią obrony, jak oświadczył, miało być dowiedzenie, że prawdziwym zabójcą Saturninusa był Scewa. Cycero nie zgadzał się z nim, gdyż uważał, że proces ma charakter polityczny.

– To żaden sąd – przypomniał Hortensjuszowi. – To młotłoch. Naprawdę uważasz, że w całym tym zgiełku i podnieceniu, przy przemieszczających się bezładnie tysiącach ludzi, ktoś zechce słuchać, że śmiertelny cios zadał jakiś niegodziwy niewolnik, który nie żyje od lat?

– To jaką linię ty byś obrał?

– Moim zdaniem powinniśmy przyznać, że Rabiriusz dopuścił się morderstwa, ale dowieść, że był to akt usankcjonowany prawnie.

Hortensjusz zamachał rękami.

– Doprawdy, Cyceronie, wiem, że cieszysz się reputacją sprytnego człowieka i tak dalej, ale teraz to już wykazałeś się prawdziwą przewrotnością

– A ja obawiam się, że ty spędzasz za dużo czasu nad Zatoką Neapolitańską na rozmowach z rybami. Nie znasz już tak dobrze tego miasta jak ja.

Ponieważ nie mogli dojść do porozumienia, postanowili, że Hortensjusz przemówi pierwszy, a Cycero po nim, i każdy z nich będzie mówił, co uzna za stosowne. Cieszyłem się, że Rabiriusz był już zbyt słabego umysłu, aby zrozumieć, co się dzieje,

zwłaszcza że w Rzymie oczekiwano na jego proces jak na występy akrobatów. Krzyż na Polu Marsowym stał się miejscem spotkań i był obwieszony hasłami domagającymi się sprawiedliwości, ziemi i chleba. Labienus znalazł także popiersie Saturninusa i ozdobiwszy je wieńcem laurowym, wystawił na rostrach. Nie pomagało też to, że Rabiriusz miał opinię starego skąpca; nawet jego adoptowany syn parał się lichwą. Cycero nie miał wątpliwości, że werdykt będzie dla niego niekorzystny, i postanowił, że przynajmniej spróbuje ocalić mu życie. Dlatego też złożył w senacie wniosek o zmniejszenie kary za *perduellio* z ukrzyżowania na wygnanie. Dzięki wsparciu Hybrydy propozycja przeszła zaledwie kilkoma głosami, mimo zaciętego sprzeciwu ze strony Cezara i trybunów. Metellus Celer późnym wieczorem wyjechał z miasta z grupą niewolników, przewrócił krzyż, rozbił go i spalił.

Tak oto sprawy się miały rankiem w dzień procesu. Jeszcze w ostatniej chwili, gdy Cycero poprawiał swoją mowę i ubierał się, żeby pojechać na Pole Marsowe, zjawił się u niego Kwintus i błagał brata, żeby zrezygnował z obrony Rabiriusza. Twierdził, że Cycero zrobił wszystko, co mógł, i tylko niepotrzebnie straci prestiż, gdy Rabiriusz zostanie uznany za winnego. Konfrontacja z popularami za murami miasta może być dla niego nawet niebezpieczna. Widziałem, że do Cyclerona przemawiają te argumenty. Ale jednym z powodów, dla których mimo jego wad go kochałem, było to, że miał najszlachetniejszy rodzaj odwagi: dzielność człowieka ostrożnego. W końcu każdy porywczy głupiec może być bohaterem, jeśli nie ceni swojego życia albo ma za mało rozumu, aby zdać sobie sprawę z zagrożenia. Ale mieć świadomość ryzyka, choćby początkowo budziło ono lęk, i zebrać się na odwagę, aby stawić mu czoło – to według mnie jest najwyższa forma męstwa i właśnie nim tego dnia wykazał się Cycero.

Kiedy dotarliśmy na Pole Marsowe, Labienus już zajmował

swoje miejsce na podwyższeniu, obok cennego rekwizytu, jakim było popiersie Saturninusa. Był ambitnym legionistą, rodakiem Pompejusza, bo pochodził z Picenum, i starał się naśladować tego wielkiego wodza pod każdym względem – tuszą, dostojnym sposobem chodzenia, nawet fryzurą, bo zaczesywał włosy w lok nad czołem jak Pompejusz. Kiedy zobaczył nadchodzącego w asyście liktorów Cyclerona, włożył palce do ust i zagwizdał szyderczo, co ochoczo podchwycił tłum, który musiał liczyć około dziesięciu tysięcy osób. Powstał przerażający hałas, który jeszcze przybrał na sile, gdy pojawił się Hortensjusz, prowadząc za rękę Rabiriusza. Starzec wydawał się nie tyle przestraszony, ile oszołomiony zgiełkiem i tłumami, które parły naprzód, żeby na niego spojrzeć. Staralem się iść za Cycleronem, ale byłem stale popychany i trącany. Zauważyłem szereg legionistów, których hełmy i napierśniki połyskiwały w jasnym styczniowym słońcu, a za nimi dowódców wojskowych, siedzących na ławie przeznaczonej dla znakomitszych widzów: Kwintusa Metellusa, zdobywcę Krety, i Licyniusza Lukullusa, poprzednika Pompejusza podczas walk na wschodzie. Cycero spojrzał na mnie porozumiewawczo, kiedy ich zobaczył, bo obiecał obu tym wysoko urodzonym wodzom triumf w zamian za poparcie w czasie wyborów i jak dotąd nic w tej sprawie nie zrobił.

– Sprawa musi być poważna – szepnął do mnie – jeśli Lukullus opuścił swój pałac nad Zatoką Neapolitańską, żeby zadać się z motłochem.

Wszedł po drabinie na podwyższenie wraz z Hortensjuszem i Rabiriuszem, który z taką trudnością wspinał się po szczeblach, że jego adwokaci w końcu musieli zejść i wciągnąć go na górę. Wszyscy trzej aż ociekali śliną, którą ich opluto. Hortensjusz wydawał się szczególnie przerażony, ponieważ chyba nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo podczas tej surowej zimy senat stał się niepopularny. Mówcy usiedli na ławie, biorąc pomiędzy siebie

Rabiriusza. Rozległa się trąbka i po drugiej stronie rzeki na Janikulum zawisła czerwona flaga, oznaczająca, że miastu nie grozi żaden zbrojny atak i zgromadzenie może rozpocząć obrady.

Labienus, przewodniczący zgromadzeniu urzędnik, nie tylko kontrolował jego przebieg, ale także występował jako oskarżyciel, co już na starcie dawało mu olbrzymią przewagę. Ponieważ był z natury despota, przyznał sobie głos jako pierwszemu i zaczął miotać obelgi na Rabiriusza, który coraz bardziej kulił się na ławie. Labienus nie zadał sobie nawet trudu, żeby powołać świadków. Zresztą nie potrzebował ich: zdobył już głosy sędziów. Zakończył swoje wystąpienie surową krytyką arogancji senatu i chciwości małej kliki, która sprawowała w nim rządy, i wskazał na konieczność przykładowego ukarania Rabiriusza, aby w przyszłości żaden konsul nie sądził, że może w świetle prawa zamordować współobywatela i ujść bez kary. Tłum pomrukiem wyraził aprobatę.

– Wtedy nagle, z całą jasnością, zdałem sobie sprawę – wyznał mi później Cyncero – że prawdziwą ofiarą tego samosądu pod wodzą Cezara nie jest wcale Rabiriusz, ale ja, jako konsul, i że w jakiś sposób muszę odzyskać panowanie nad sytuacją, zanim całkowicie stracę władzę nad takimi jak Katylina.

Później wystąpił Hortensjusz, który robił, co w jego mocy, ale ozdobne napuszone kadencje, z których tak słynął, należały do innego świata – i prawdę mówiąc, do innej epoki. Miał już po pięćdziesiątce, w pewnym sensie wycofał się z życia zawodowego i wyszedł z wprawy – co było widać. Niektórzy ze słuchaczy zebranych wokół podwyższenia zaczęli mu docinać, a jako że stałem dość blisko, zauważyłem panikę na jego twarzy, gdy uświadomił sobie, że on, wielki Hortensjusz, nie potrafi utrzymać uwagi publiczności! Im bardziej machał rękami, im więcej paradował po podwyższeniu i kręcił swoją szlachetną głową, tym śmieszniejsze robił wrażenie. Nikogo nie interesowały jego

argumenty. Nie słyszałem wszystkiego, co mówił, ponieważ wrzawa była straszna, tysiące obywateli przemieszczało się z miejsca na miejsce i gadało z sobą w oczekiwaniu na głosowanie. W pewnym momencie przerwał, spocony mimo zimna, i otarł twarz chusteczką, a potem wezwał swoich świadków, najpierw Katulusa, a następnie Izaurykusa. Każdy z nich wszedł na trybunę i został przesłuchany. Gdy jednak Hortensjusz podjął przemowę, znowu podniósł się zgiełk. Wtedy, nawet gdyby miał styl Demostenesa i dowcip Plauta – niczego by to już nie zmieniło. Cycero patrzył przed siebie w dal, blade i nieruchomy jak rzeźba z marmuru.

Hortensjusz wreszcie usiadł i przyszła pora na wystąpienie Cycerona. Labienus wezwał go, żeby przemówił przed zgromadzeniem, ale hałas był taki, że początkowo mój pan nawet nie wstał z ławy. Zlustrował swoją togę i strzepnął z niej niewidzialne pyłki. Wrzawa nie ustawała. Obejrzał więc sobie paznokcie. Założył ręce na piersiach. Rozejrzał się wokół. Czekał. Trwało to dłuższy czas. I o dziwo, w końcu na Polu Marsowym zapanowała posepną, pełna szacunku cisza. Dopiero wtedy Cycero skinął głową, jakby z aprobatą, i wstał powoli.

– Chociaż, współobywatele, nie mam w zwyczaju zaczynać przemówienia od wyjaśnień, dlaczego występuję w obronie danego człowieka – powiedział – to tym razem, broniąc życia, honoru i dalszego losu Gajusza Rabiriusza, uważam za swój obowiązek wytłumaczyć wam, dlaczego to robię. Ponieważ w tym procesie bynajmniej nie chodzi o Rabiriusza, starego, słabego i opuszczonego przez przyjaciół. Ten proces, obywatele, to nie innego, jak tylko próba doprowadzenia do stanu, w którym nie będzie centralnego organu władzy w tym państwie, dobrzy obywatele nie będą mogli wystąpić wspólnie przeciwko niegodziwcom, republika nie będzie miała w razie niebezpieczeństwa żadnej ostoji, a jej interesy nie będą zabezpieczone. Dlatego też

– ciągnął coraz silniejszym głosem, powoli unosząc ręce i wzrok ku niebu – błagam największego i najpotężniejszego Jowisza oraz wszystkich innych nieśmiertelnych bogów i boginie, żeby obdarzyli mnie swą łaską i przychylnością, i modłę się, żeby z ich woli ten dzień, który zaświtał, przyniósł mojemu klientowi ocalenie, a porządkowi państwowemu ratunek!

Cycero mawiał, że im większy tłum, tym głupszy, i że gdy ma się do czynienia z taką ciżbą, najlepiej powołać się na siły nadprzyrodzone. Jego słowa rozeszły się więc teraz po cichym placu jak bicie bębnów. Z obrzeży wciąż dobiegał szmer rozmów, ale było to za daleko, żeby go zagłuszyć.

– Labienusie, wezwałeś to zgromadzenie jako przedstawiciel ludu. Jednakże który z nas dwóch jest prawdziwym jego przyjacielem? Ty, który uznałeś za słuszne zagrozić obywatelom rzymskim, sprowadzając kata na ich walne zebranie; który kazałeś na Polu Marsowym wznieść krzyż, aby nas karać? Czy też ja, który sprzeciwiam się temu, by obecność kata kalala owo zgromadzenie? Jakimż to przyjacielem ludu jest nasz trybun, jakimż strażnikiem i obrońcą jego praw i swobód?

Labienus machnął ręką, jakby opędzał się od muchy, ale w tym geście była irytacja; jak wszystkim awanturnikom lepiej wychodziło mu zadawanie ran niż ich przyjmowanie.

– Utrzymujesz – ciągnął Cycero – że Gajusz Rabiriusz zabił Lucjusza Saturninusa, Kwintus Hortensjusz jednak udowodnił w swojej obszernej mowie obrończej, że to nieprawda. Ale gdyby to zależało ode mnie, odpowiedziałbym na ten zarzut. Przyznałbym się do winy. I gotów byłbym ponieść karę! – Wśród tłumu rozległ się gniewny pomruk, ale Cycero go przekrzyczał. – Tak, tak, przyznałbym się do winy! Oświadczyłbym, że wróg publiczny, jakim był Saturninus, zginął z ręki mojego klienta! – Dramatycznym gestem wskazał popiersie, ale wrogość wobec niego tak się pogłębiła, że mógł kontynuować dopiero po chwili. – Mówisz, Labienusie, że był tam twój stryj. Cóż, przypuścmy,

że rzeczywiście był. I przypuścimy, że znalazł się tam nie dlatego, iż z powodu niepomyślnych losów nie miał innego wyjścia, ale dlatego, iż ze względu na zażyłość z Saturninusem przedłożył przyjaźń nad ojczyznę. Ale jaki Gajusz Rabiriusz miał powód, by opuścić republikę, a także by sprzeciwić się rozkazowi i woli konsula? Co miałbym zrobić, pytam was, gdyby Labienus, jak Saturninus, spowodował rzeź obywateli, zbiegł z więzienia i opanował zbrojnie Kapitol? Powiem wam, co bym zrobił. Postąpiłbym tak samo, jak wtedy postąpił konsul. Postawiłbym sprawę przed senatem, wezwałbym was do obrony republiki i sięgnąłbym po broń, żeby pokonać, z waszą pomocą, zbrojnego wroga. A co by zrobił Labienus? Kazałby mnie ukrzyżować!

O tak, to było odważne wystąpienie, i mam nadzieję, że oddałem atmosferę tej sceny: mówcy na podwyższeniu ze swoim wystraszonego klientem, liktorzy ustawieni wokół trybuny, u jej stóp, żeby chronić konsula, nieprzebrane rzesze obywateli Rzymu – plebs, ekwici i senatorowie, stłoczeni razem – legionieści w swoich hełmach z pióropuszcami i dowódcy w szkarłatnych płaszczach, zagrody wyborcze gotowe do głosowania; wrzawa, lśniąca na Kapitolu świątynie i przenikliwy styczniowy chłód. Rozglądałem się za Cezarem i od czasu do czasu wydawało mi się, że widzę w tłumie jego pociągłą twarz. Z pewnością był tam Katyliną ze swoją klaką, nie wyłączając Rufusa, który razem z nimi miał obelgi na byłego mistrza. Cycero skończył przemowę tak jak zwykle: położył dłoń na ramieniu klienta i zwrócił się do sądu o litość dla niego: „Nie prosi on o szczęśliwe życie, lecz jedynie o honorową śmierć”. Było po wszystkim i Labienus dał znak, aby przystąpiono do głosowania.

Cycero podzielił się swoim niepokojem z przygnębionym Hortensjuszem, a potem zeskoczył z podwyższenia i podszedł do mnie. Był pełen energii, jak zwykle po wygłoszeniu ważnej mowy, oddychał głęboko, miał błyszczące oczy, rozdęte nozdrza

jak koń pod koniec wyczerpującego wyścigu. To było porywające wystąpienie. Pamiętam z niego szczególnie jedno zdanie: „Wąskie są zaiste granice, w których natura osadziła nasze życie, ale nasza chwała nie ma granic”. Niestety, piękne słowa nie zastąpią głosów. Kwintus, który się do nas przyłączył, oznajmił ponuro, że wszystko stracone. Wracał z zagród wyborczych, gdzie obserwował przebieg głosowania – wszystkie centurie głosowały jednomyślnie przeciwko Rabiriuszowi, co oznaczało, że starzec będzie musiał bezzwłocznie opuścić Rzym, jego dom zostanie zrównany z ziemią, a majątek skonfiskowany.

- To tragedia – powiedział Cycero.
- Zrobiłeś dla niego, co się dało, bracie. To stary człowiek, ma już życie za sobą.
- Nie myślę o Rabiriuszu, ty idioto, tylko o moim konsula-cie!

Gdy to mówił, usłyszeliśmy jakieś krzyki. Nieopodał zaczęła się przepychanka. Obejrzelśmy się i zobaczyliśmy w tłumie wysoką postać Katyliny, który walił wokół siebie pięściami. Kilku legionistów pobiegło w tamtą stronę, żeby rozdzielić walczących. Metellus i Lukullus zerwali się na nogi, aby popatrzeć, co się dzieje. Augur, Celer, który stał obok swojego kuzyna Metellusa, przyłożył złożone w trąbkę dłonie do ust i zagrzewał żołnierzy.

- Spójrzcie na Celera – powiedział Cycero z pewnym podziwem – chętnie by się do nich przyłączył. Uwielbia walczyć!
- Zamyślił się i rzucił nagle: – Porozmawiam z nim.

Ruszył tak szybko, że liktorzy musieli przepchnąć się przez tłum, żeby utorować mu drogę. Kiedy dwaj wodzowie zobaczyli, że zbliża się do nich konsul, spojrzeli na niego spode łba. Obaj od długiego czasu tkwili pod miastem, czekali, aż senat w drodze głosowania przyzna im prawo do triumfu – od lat, w przypadku Lukullusa, który umiał sobie czas budową rozległego

ustronia w Misenum nad Zatoką Neapolitańską, jak również willi na północ od Rzymu. Senat jednak nie chciał przystać na ich żądania, głównie dlatego, że obaj pokłócili się z Pompejuszem. Wpadli więc we własne sidła. Tylko ci, którzy mieli imperium, mogli odbyć triumf; lecz wkroczenie do Rzymu, aby się go domagać, oznaczałoby zrzeczenie się władzy. Można było im tylko współczuć z powodu frustracji.

– Witajcie, imperatorzy – powiedział Cycero. Uniósł rękę, by pozdrowić ich kolejno.

– Chcielibyśmy z tobą porozmawiać o kilku rzeczach – zaczął Metellus z pogroźką w głosie.

– Wiem, co zamierzacie mi powiedzieć, i zapewniam was, że dotrzymam obietnicy i będę z całych sił bronił waszej sprawy przed senatem. Ale nie dziś. Widzicie, jakim podlegam naciśkom? Potrzebuję pomocy, nie dla siebie, ale dla republiki. Celerze, pomożesz mi ją ocalić?

Celer wymienił z kuzynem spojrzenie.

– Nie wiem. To zależy, czego ode mnie oczekujesz.

– To niebezpieczne zadanie – uprzedził go Cycero; wiedział dobrze, że ktoś taki jak Celer nie oprze się wyzwaniu.

– Nikt nie zarzuci mi tchórzostwa. Mów.

– Chciałbym, żebyś wziął oddział doskonałych legionistów swojego kuzyna, przebył rzekę, wspiął się na Janikulum i ściągnął flagę.

Nawet Celer zakołysał się na piętach, bo zdjęcie flagi oznaczające zbliżanie się nieprzyjacielskiej armii wiązało się z rozwiązaniem zgromadzenia, a Janikulum było zawsze silnie obsadzone przez strażę. Obaj, on i jego kuzyn, zwrócili się do Lukulusa, najstarszego z tej trójki, by sprawdzić, jak ten elegancki patrycjusz ocenia sytuację.

– To desperacki czyn, konsulu – zauważył.

– Owszem. Ale nasza przegrana w tym głosowaniu oznaczałaby katastrofę dla Rzymu. Żaden konsul nie będzie już nigdy

pewien, czy ma taką władzę, żeby stłumić zbrojną rebelię. Nie wiem, dlaczego Cezar chce ustanowić taki precedens, wiem natomiast, że nie możemy mu na to pozwolić.

W końcu Metellus orzekł:

– On ma rację, Lucjuszu. Dajmy mu ludzi. Kwintusie – zwrócił się do brata – zgadzasz się?

– Oczywiście.

– To dobrze – odparł Cyncero. – Straże powinny posłuchać cię jako pretora, ale na wypadek gdyby stwarzały trudności, wyślę z tobą mojego sekretarza. – I ku mojemu zażenowaniu zdjął z palca pierścień, następnie wcisnął go mi do ręki. – Masz powiedzieć dowódcy, że konsul ostrzega przed wrogim atakiem na Rzym – polecił mi – i że flaga musi zostać opuszczona. Pierścień stanowi dowód, że jesteś moim wysłannikiem. Dasz sobie radę?

Kiwnąłem głową. Co innego mogłem zrobić? Tymczasem Metellus wezwał centuriona, który niedawno wkroczył w tłum, żeby uspokoić Katylinę, i wkrótce pędziłem zdyszany za oddziałem trzydziestu legionistów, biegnących z wyciągniętymi mieczami w dwuszeręgu, z Celerem i centurionem na czele. Mieliśmy – bądźmy szczerzy – przerwać prawomocne zgromadzenie ludu i pamiętam, że myślałem: co tam Rabiriusz, to jest dopiero zdrada!

Opuściliśmy Pole Marsowe i przebiegliśmy przez Pons Sublicius nad wezbranymi burymi wodami Tybru, potem przebyliśmy równinę Watykanu, zastawioną nędznymi namiotami i małymi prowizorycznymi chałupami bezdomnych. U stóp Janikulum spoglądały na nas wrony Junony siedzące na łysych gałęziach świętego gaju – tworzyły taką masę czarnych sękatych postaci, że kiedy spłoszone z krakaniem wzleciały ku niebu, miało się wrażenie, jakby odleciał cały zagajnik. Zaczęliśmy wspinać się drogą na szczyt i nigdy żaden stok nie wydał mi się

taki stromy. Nawet teraz, gdy to piszę, czuję przyspieszone bicie serca i ból w płucach, które domagały się powietrza. Klucie w boku było tak silne, jakby ktoś wbijał mi w ciało grot włóczni.

Na szczycie wzgórza, w jego najwyższym punkcie, stoi świątynia Janusa, z jedną twarzą zwróconą w stronę Rzymu, a drugą w kierunku otwartej przestrzeni. Nad nią, na wysokim maszcie, wisiała wielka czerwona flaga, która powiewała i trzepotała na wietrze. Wokół dwóch wielkich piecyków na węgiel tłoczyło się ze dwudziestu legionistów i zanim zdążyli nas powstrzymać, otoczyliśmy ich.

– Niektórzy z was mnie znają! – krzyknął Celer. – Jestem Kwintus Cecyliusz Metellus Celer, pretor i augur. Niedawno wróciłem ze służby pod dowództwem mojego szwagra, Pompejusza Wielkiego. A ten człowiek – powiedział, wskazując na mnie – przybywa z pierścieniem konsula, Cycerona, który rozkazuje opuścić flagę. Kto tu dowodzi?

– Ja – zgłosił się centurion i wystąpił naprzód. Był doświadczonym żołnierzem w wieku około czterdziestu lat. – I nie obchodzi mnie, czym jesteś, panie, szwagrem ani jaką masz władzę. Flaga zostanie na maszcie, dopóki Rzymowi nie zagrozi wróg.

– Ależ Rzymowi właśnie grozi wróg – oświadczył Celer. – Zobacz!

I wskazał obszary wiejskie na zachód od miasta, które rozciągały się pod nami. Centurion odwrócił się, żeby spojrzeć w tamtą stronę, a Celer w jednej chwili chwycił go za włosy i przyłożył mu miecz do gardła.

– Jeśli ci mówię, że zbliża się wróg, to się zbliża, rozumiesz? – wycedził przez zęby. – A skąd wiem, że zbliża się wróg, chociaż nic takiego nie widzisz? – Pociągnął go mocno za włosy, aż tamten jęknął. – Bo jestem augurem, do cholery, oto dlaczego. A teraz ściągaj flagę i wszczynaj alarm.

Nikt się już nie sprzeciwiał. Jeden z wartowników rozwiązał sznur i ściągnął flagę, a inny podniósł trąbkę i kilka razy zadął w nią głośno. Spojrzałem za rzekę na Pole Marsowe i na tysiące zebranych tam ludzi, ale było za daleko, żebym mógł zobaczyć, co się tam dzieje. Dopiero po chwili zorientowałem się, że tłum się rozprasza; na obrzeżach pola wzniosły się tumany pyłu wzbijane przez uciekający do domu plebs. Cycero powiedział mi później, że był to efekt trąbki sygnałowej i opuszczenia flagi. Labienus usiłował uspokoić zebranych, zapewnić ich, że to wybieg, ale ludzie w masie są głupi i równie łatwo ich przestraszyć jak ławicę ryb czy stado dzikich zwierząt. Błyskawicznie rozeszła się wieść, że miastu grozi atak. Mimo nawoływań Labienusa i jego kolegów trybunów głosowanie trzeba było odłożyć. Pędzący w popłochu obywatele stratowali wiele zagród wyborczych. Trybuna, na której siedzieli Lukullus i Metellus, została przewrócona i zdeptana. Wywiązała się bójka. Zasztylowano kieszonkowca. *Pontifex maximus*, Metellus Pius, doznał jakiegoś ataku i pospiesznie zabrano go nieprzytomnego do miasta. Według słów Cycerona tylko jeden człowiek zachował spokój, a był nim Gajusz Rabiriusz, który, pozostawiony na podwyższeniu pośród chaosu, kołysał się w tył i w przód na ławie i z zamkniętymi oczami mruczał pod nosem jakąś dziwną, fałszywie brzmiącą melodię.

Przez kilka tygodni po zamieszanu na Polu Marsowym wydawało się, że Cycero odniósł zwycięstwo. Zwłaszcza Cezar bardzo przycichł i nie próbował już podnosić sprawy przeciwko Rabiriuszowi. Przeciwnie nawet: starzec powrócił do swojego domu w Rzymie, gdzie żył dalej, we własnym świecie, przez nikogo nie niepokoiony, a rok później spokojnie umarł. Podobnie było z projektem popularów. Przekupienie przez Cycerona Hybrydy skłoniło do zmiany stronnictwa także innych, w tym

jednego z trybunów, który dostał od patrycjusza łapówkę, żeby przeszedł na ich stronę. O słynnym projekcie Rullusa, efekcie takich wysiłków, zablokowanym przez koalicję Cyncerona i zagrożonym wetem zgromadzenia ludowego, nikt więcej nie słyszał.

Kwintus był w wyśmienitym humorze.

– Jeśli między tobą a Cezarem była jakaś próba sił – oznajmił – to już się skończyła. Jak w walce zapaśniczej, żeby zwyciężyć, trzeba dwa razy pokonać przeciwnika, a ty dwukrotnie rozłożyłeś go na łopatki.

– Niestety – odparł Cyncero – w polityce nie obowiązują tak czyste zasady jak w zapasach, w ogóle nie ma w niej reguł.

Żywił przekonanie, że Cezar coś knuje, bo co innego mogła znaczyć jego bierność? To była zagadka.

Z końcem stycznia minął pierwszy miesiąc, kiedy Cyncero przewodniczył obradom senatu. Krzesło kurulne zajął Hybryda i Cyncero powrócił do praktyki prawniczej. Liktorzy go opuścili, więc chodził na forum pod eskortą kilku potężnych ekwitów. Attyk dotrzymał słowa; ludzie ci trzymali się blisko, ale nie robili tego demonstracyjnie i nikt się nie domyślał, że są kimś innym niż znajomymi konsula. Katylina nie wykonał żadnego ruchu. Gdy natykał się na Cyncerona, co było nieuniknione w zatłoczonym budynku senatu, ostentacyjnie odwracał się do niego plecami. Kiedyś odniosłem wrażenie, że przeciągnął palcem po szyi, gdy Cyncero go mijał, ale nikt poza mną chyba tego nie zauważył. Cezar, czego nie muszę mówić, był słodki jak miód i nawet pogratulował Cynceronowi zdolności krasomówczych oraz zręcznej taktyki. To była dla mnie lekcja. Naprawdę skuteczny polityk potrafi oddzielić życie prywatne od politycznego, od porażek i zniewag, jakby zdarzały się komuś innemu; Cezar posiadał tę umiejętność w większym stopniu niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi.

Pewnego dnia przyszła wieść, że umarł Metellus Pius, pontifex

maximus. Dla nikogo nie było to właściwie zaskoczenie. Stary wojak zbliżał się już do siedemdziesiątki i od kilku lat niedomagał. Nie odzyskał przytomności po ataku, którego dostał na Polu Marsowym. Jego ciało wystawiono z wielką pompą w oficjalnej rezydencji rodowej, dawnym pałacu królewskim, więc Cycero jako najwyższy urzędnik objął jedną z wart honorowych i stał przy zwłokach. Pogrzeb był największą uroczystością, jaką kiedykolwiek widziałem. Piusa, złożonego na boku, jakby spoczywał na uczcie, i ubranego w strój kapłański, niosło w przyozdobionej kwiatami lektyce ośmiu jego kolegów kapłanów z kolegium, między innymi Cezar, Silanus, Katulus i Izaurykus. Włosy miał uczesane i wypomadowane, pergaminową skórę natartą olejkiem, oczy szeroko otwarte; po śmierci wydawał się nawet bardziej żywy. Za lektyką podążali Scypion, jego adoptowany syn, i żona, Licynia Młodsza, a za nimi szły westalki i główny kapłan oficjalnych bóstw. Dalej w orszaku jechały rydwany wiozące najważniejszych przedstawicieli rodu Metellusów, na przedzie Celera. Widok całej tej rodziny – a także idących za nimi aktorów w maskach pośmiertnych przodków Piusa – przypominał, że był to wciąż najpotężniejszy klan polityczny w Rzymie.

Ten długi kondukt pogrzebowy przeszedł Via Sacra, pod Łukiem Fabiańskim – który z tej okazji przystrojono na czarno – i przeciął forum, zmierzając do rostrów, gdzie podniesiono lektykę, żeby żałobnicy mogli po raz ostatni zobaczyć zmarłego. W centrum Rzymu panował tłok. Wszyscy senatorowie ubrani byli w ufarbowane na czarno togi. Gawiedź tłoczyła się na stopniach świątyni, na balkonach i dachach, a także u podstaw posągów, i stała tam również podczas eulogii, chociaż ciągnęły się one godzinami. Wyglądało to tak, jakby wszyscy wiedzieli, że żegnając Piusa – surowego, upartego, wyniosłego, odważnego i może trochę głupiego – żegnamy dawną republikę, bo zamiast niej rodzi się coś nowego.

Gdy Piusowi włożono w usta brązową monetę i odesłano go, by spoczął obok swoich przodków, zrodziło się naturalne pytanie: kto ma go zastąpić? Za ogólnym przyzwoleniem brano pod uwagę dwóch kandydatów, najstarszych senatorów: Katulusa, który odbudował świątynię Jowisza, oraz Izaurykusa, który dwukrotnie odbył triumf i był jeszcze starszy niż Pius. Obaj ubiegali się o to stanowisko; żaden nie chciał ustąpić drugiemu. Rywalizowali z sobą po przyjacielsku, ale zawzięcie. Cycero, który nie popierał szczególnie żadnego z nich, początkowo nie za bardzo interesował się ich walką wyborczą. Elektorat w każdym razie ograniczał się do czternastu żyjących członków Kolegium Kapłanów. Ale około tygodnia po pogrzebie Piusa, gdy mój pan stał z innymi przed budynkiem senatu, czekając na rozpoczęcie obrad, przypadkiem wpadł na Katulusa i zapytał go od niechcienia, czy decyzja o obsadzeniu stanowiska już zapadła.

- Nie – odparł Katulus. – I szybko nie zapadnie.
- Doprawdy? Dlaczegoż to?
- Spotkaliśmy się wczoraj i uzgodniliśmy, że ponieważ jest dwóch kandydatów o równorzędnych zasługach, powinniśmy odwołać się do dawnego zwyczaju i pozwolić ludowi dokonać wyboru między nimi.
- Czy to aby mądre?
- Z pewnością – odrzekł Katulus; postukał palcem w swój haczykowaty nos i uśmiechnął się słabo jak to on – ponieważ sądzę, że to ja wygram na zgromadzeniu tribus.
- A Izaurykus?
- Myśli, że on wygra.
- Cóż, wobec tego życzę powodzenia wam obu. Niezależnie od tego, kto zostanie wybrany, wygra Rzym. – Cycero miał już odejść, ale zatrzymał się i przez chwilę marszczył czoło. Wrócił do Katulusa. – Jeszcze jedno pytanie, jeśli można. Kto zaproponował taki tryb głosowania?

– Cezar.

Chociaż łacina to język subtelny i metaforyczny, nie potrafię znaleźć w nim słów, podobnie jak w grece, aby opisać wyraz twarzy Cyncerona w tym momencie.

– Święci bogowie – rzekł z osłupieniem. – Czy to możliwe, żeby sam zamierzał stanąć do wyborów?

– Oczywiście, że nie. To byłoby śmieszne. Jest o wiele za młody. Ma trzydzieści sześć lat. Jeszcze nawet nie sprawował pretury.

– Owszem, ale mimo to moim zdaniem powinniście jak najszybciej zwołać kolegium i powrócić do obecnego sposobu głosowania.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Wniosek o zmianę trybu wyboru augura został rano przedstawiony ludowi.

– Przez kogo?

– Labienusa.

– Aha! – Cyncero klepnął się ręką w czoło.

– Niepokoisz się zupełnie niepotrzebnie, konsulu. Nie uwierzę ani przez chwilę, że Cezar byłby taki głupi, by kandydować, a jeśli nawet by to zrobił, przegrałby z kretelem. Lud rzymski jeszcze nie stracił całego rozumu. To rywalizacja o stanowisko zwierzchnika religii państwowej. Od kandydatów wymaga się nieskazitelnej reputacji moralnej. Czy wyobrażasz sobie, że Cezar mógłby czuwać nad westalkami? Musiałby żyć między nimi. To tak jakby puścić lisa do kurnika!

Katulus mówił dalej, ale widziałem, że w jego oczach pojawiła się ledwie widoczna iskierka wątpliwości. I wkrótce rozeszła się plotka, że Cezar rzeczywiście zamierza stanąć do wyborów. Wszyscy rozsądni obywatele byli oburzeni tym pomysłem, wyśmiewali go głośno albo stroili sobie grubiańskie żarty. Jednak

coś w tym było – jakiś zapierający dech w piersiach tupet – tak że nawet zagorzali wrogowie Cezara mimowolnie myśleli o nim z podziwem.

– Ten człowiek to największy ryzykant, jakiego kiedykolwiek spotkałem – zauważył Cycero. – Za każdym razem, gdy przegrywa, po prostu podbija stawkę i ponownie rzuca kośćmi. Teraz rozumiem, dlaczego zrezygnował z projektu Rullusa i oskarżenia Rabiriusza. Zdał sobie sprawę, że główny kapłan raczej nie wróci do zdrowia, obliczył szanse i uznał, że pontyfikat to znacznie lepsza wygrana.

Ze zdumieniem pokręcił głową i zaczął robić, co mógł, żeby pokonać Cezara i w tej trzeciej rozgrywce. I udałoby mu się, gdyby nie dwie przeszkody.

Pierwszą była niesłychana głupota Katulusa i Izaurykusa. Przez kilka tygodni Cycero krążył między jednym a drugim, by ich przekonać, że nie mogą kandydować równocześnie, bo jeśli to uczynią, głosy przeciwników Cezara się podzielą. Obaj byli jednak dumni i pobudliwi. Nie chcieli ustąpić, ciągnąc losów ani zgodzić się na kompromisowego kandydata i w rezultacie ich nazwiska znalazły się na liście.

Drugą przeszkodą okazały się pieniądze. Mówiono wówczas, że Cezar przekupił tribus taką sumą, iż monety trzeba było przewozić taczkami. Skąd tyle ich miał? Wszyscy uważali, że uzyskał od Krassusa. Lecz nawet Krassus na pewno wzdrygnął się na taką sumę – dwadzieścia milionów! – którą podobno Cezar wyłożył, żeby przekupić agentów. Niezależnie od tego, jaka była prawda, gdy przyszło do głosowania, w idy marcowe, Cezar musiał zdawać sobie sprawę, że przegrana oznacza dla niego ruinę. Nie oddałby takich pieniędzy, gdyby jego kariera utknęła w miejscu. Groziłoby mu poniżenie, niełaska, wygnanie, może nawet samobójstwo. Dlatego skłonny jestem wierzyć w tę sławną anegdotę, że rankiem w dzień wyborów, gdy wychodził ze swojego skromnego domu w Suburze, aby udać się na Pole

Marsowe, ucałował matkę na pożegnanie i oznajmił, że albo wróci jako *pontifex maximus*, albo nie wróci wcale.

Głosowanie trwało prawie przez cały dzień i na skutek ironii losu, tak częstej w polityce, to Cycero, który w marcu jako konsul znowu przewodniczył senatowi, ogłosił jego wynik. Wczesnowiosenne słońce zachodziło za Janikulum, tak że niebo przecinały pasma purpury, czerwieni i szkarłatu, niczym krew prześcająca się przez mokry już bandaż. Cycero odczytał wyniki bezbarwnym tonem. Z siedemnastu tribus, które brały udział w głosowaniu, Izaurykus zdobył poparcie czterech, Katulus – sześciu, a Cezar – siedmiu. Wygrał więc o włos. Gdy Cycero zszedł z podwyższenia, bliski mdłości, jak się zdawało, zwycięzca zadarł głowę i uniósł ramiona ku niebu. Można było odnieść wrażenie, że oszalał ze szczęścia – co wydawało się zupełnie możliwe, bo wiedział przecież, że niezależnie od tego, co się wydarzy, będzie kapłanem najwyższym dożywotnio, otrzyma wielki dom przy Via Sacra i prawo głosu w najściślejszych radach dotyczących spraw państwowych. Według mnie wszystko, co wydarzyło się potem, tak naprawdę było efektem właśnie tego zdumiewającego zwycięstwa. Szalony wydatek wysokości dwudziestu milionów sestercji okazał się najlepszą inwestycją w historii: kupił mu świat.

V

Od tej pory ludzie zaczęli inaczej patrzeć na Cezara. Chociaż Izaurykus przyjął porażkę ze spokojem starego żołnierza, Katulus – który widział w pontyfikacie ukoronowanie swojej kariery – nigdy tak naprawdę nie podniósł się po tym ciosie. Nazajutrz zaatakował swojego rywala w senacie.

– Nie będziesz już dłużej kopał dołków, Cezarze! – krzyczał z taką wściekłością, że aż się zaplawał. – Twoje maszyny wojenne stoją na widoku, gotowe zdobyć państwo!

Cezar w odpowiedzi tylko się uśmiechnął. Cyncero zaś był rozdarty. Zgadzał się z Katulusem, że Cezar żywi tak bezwzględne, gigantyczne ambicje, iż któregoś dnia może zagrozić republice.

– A jednak – zwierzał mi się – gdy widzę, jak starannie ma ułożone włosy i jak palcem poprawia przedziałek, nie potrafię sobie wyobrazić, że mógłby posunąć się do czegoś tak niegodziwego, aby obalić rzymski system władzy.

Doszedłszy do wniosku, że Cezar zdobył już większość tego, na czym mu zależało, a resztę uzyska w swoim czasie – preturę, konsulát, dowództwo armii – Cyncero uznał, że przyszła pora wciągnąć go w kierowanie senatem. Wydawało mu się na

przykład niestosowne, żeby zwierzchnik religii państwowej podczas debat tylko kiwał głową, siedząc wśród mniej znaczących senatorów i próbując zwrócić na siebie uwagę konsula. Dlatego też postanowił pytać go o głos zaraz po pretorach. Ale ten pojednawczy gest ściągnął na niego kolejne polityczne upokorzenie – które pokazało, jak przebiegły jest Cezar. Doszło do tego w następujący sposób.

Zaraz po wyborze Cezara na najwyższego kapłana – musiało to być najwyżej trzy, cztery dni później – odbywała się sesja senatu pod przewodnictwem Cyncerona, gdy nagle u wejścia do sali rozległ się krzyk. Przez tłum widzów zebranych przed drzwiami przedarł się dziwny człowiek, zaiste zjawa. Miał potargane włosy, w dodatku pokryte pyłem. Pospiesznie narzucił na siebie togę z purpurową lamówką, ale nie udało mu się ukryć munduru legionisty, który miał pod nią. Zamiast w czerwonych cizmach był w wysokich żołnierskich butach. Szedł środkowym przejściem; ten, kto akurat przemawiał, urwał w pół zdania i oczy wszystkich zwróciły się na intruza. Liktorzy, którzy stali niedaleko mnie, tuż za krzesłem Cyncerona, wystąpili naprzód, żeby bronić konsula, ale wtedy Metellus Celer zawołał z ław dla pretorów:

– Stójcie! Nie widzicie?! To mój brat! – I zerwał się z miejsca, żeby go uściskać.

Na to po izbie rozszedł się szmer zdziwionych, a potem przestraszonych głosów, gdyż wszyscy wiedzieli, że młodszy brat Celera, Kwintus Cecyliusz Metellus Nepos, był jednym z legatów Pompejusza podczas wojny z królem Mitrydatesem i jego dramatyczne przybycie, najpewniej powrót z wojny, mogło oznaczać, że legiony spotkała jakaś straszliwa klęska.

– Neposie! – wykrzyknął Cyncero. – Co to ma znaczyć?! Mówże!

Nepos odsunął się od brata. Był wyniosłym mężczyzną, bardzo dumnym ze swoich szlachetnych rysów i budowy ciała.

(Mówi się, że wolał obcować raczej z mężczyznami niż z kobietami, i rzeczywiście, nigdy się nie ożenił ani nie zostawił potomka; lecz to tylko plotka i nie powinienem jej powtarzać). Wzniósł swoje potężne ramiona i zwrócił się twarzą do izby i oświadczył:

– Przybywam prosto z obozu Pompejusza Wielkiego w Arabii! Podróżowałem najszybszymi łodziami i najbardziej rączoymi końmi, żeby dostarczyć wam wspaniałe, radosne wieści. Tyran i największy wróg narodu rzymskiego, Mitrydates Eupator, oddał życie w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat. Wojna na wschodzie została wygrana!

Wtedy zapadła ta szczególna, pełna nabożnego lęku cisza, która zawsze następuje po dramatycznych wiadomościach, a potem w całej izbie rozległy się burzliwe oklaski. Rzym walczył z Mitrydatesem od ćwierćwiecza. Niektórzy twierdzą, że zmasakrował on osiem tysięcy obywateli rzymskich w Azji; inni przypisują mu sto pięćdziesiąt tysięcy ofiar. Którakolwiek z tych liczb jest prawdziwa, był człowiekiem budzącym przerażenie. I odkąd większość z nas sięgała pamięcią, Rzymianki przywoływały jego imię, żeby nastraszyć swoje dzieci i przywołać je do porządku. A teraz ten człowiek odszedł! I cała chwała miała przypaść Pompejuszowi! Nie miało wcale znaczenia, że Mitrydates popełnił samobójstwo, a nie zginął z ręki Rzymianina. (Stary tyran zażył truciznę, ale z powodu antidotum, które brał przez lata, nie zadziałała i musiał wezwać żołnierza, żeby go dobił). Nie miało też znaczenia, że według wtajemniczonych obserwatorów to Lucjusz Lukullus, wciąż czekający pod bramami miasta na możliwość odbycia triumfu, był tym strategiem, który tak naprawdę rzucił Mitrydatesa na kolana. To Pompejusz stał się bohaterem dnia i Cycero wiedział, co ma zrobić. Gdy wrzawa wreszcie ucichła, wstał i zaproponował, żeby dla uhonorowania Pompejusza i jego geniuszu militarnego zarządzić pięć dni dziękczynnych świąt. Spotkało się to z gorącym przyjęciem.

Potem poprosił o wygłoszenie pochwały Hybrydę, który z trudem wykrztusił kilka słów, a następnie pozwolił Celerowi wyrazić uznanie bratu za przebycie tysięcy mil, żeby przywieźć pomyslną wiadomość. Wtedy podniósł się Cezar; Cyncero udzielił mu głosu ze względu na pozycję najwyższego kapłana, bo przypuszczał, że zamierza on złożyć rytualne podziękowania bogom.

– Z całym należnym szacunkiem dla naszego konsula, chciałbym zapytać, czy aby nie poskąpił wyrazów wdzięczności? – zapytał Cezar słodko. – Wnoszę poprawkę do propozycji Cyncerona. Postuluję, żeby przedłużyć święto do pełnych dni dziesięciu i żeby przyznać Gnejuszowi Pompejuszowi dożywotnie prawo noszenia stroju triumfalnego podczas igrzysk. Dzięki temu lud rzymski nawet podczas wypoczynku będzie pamiętał, jaki ma wobec niego dług.

Niemal słyszałem, jak Cynceron, mimo uśmiechu na ustach, zgrzyta zębami, przyjmując poprawkę i poddając ją pod głosowanie. Wiedział, że Pompejusz zwróci uwagę, iż Cezar był dwa razy bardziej wspaniałomyślny niż on. Wniosek przeszedł przy jednym tylko głosie sprzeciwu, mianowicie Marka Katona, który oświadczył wściekłym głosem, że senat traktuje Pompejusza jak króla, korzy się przed nim i przypochebia mu w sposób, który doprowadziłby założycieli republiki do mdłości. Został wyśmiany i paru siedzących przy nim senatorów próbowało go nakłonić, by usiadł. Jednakże patrząc na miny Katulusa i innych arystokratów, wiedziałem, że jego słowa wprawiły ich w zakłopotanie.

Ze wszystkich tych znakomych postaci z przeszłości, które żyją w mej pamięci i jak nietoperze wlatują w nocy ze swoich kryjówek, aby zakłócać mi sny, Katon jest najbardziej osobliwy. Ależ był z niego dziwak! W tamtych czasach przekroczył dopiero trzydziestkę, ale miał twarz starego człowieka. Był kościsty.

Nie lubił się cesać. Nigdy się nie uśmiechał i rzadko kąpał; mogę wam powiedzieć, że wręcz cuchnął. Przekorę miał we krwi. Choć był ogromnie bogaty, nigdy nie podróżował lektyką ani powozem, wszędzie chodził na piechotę i często nie nosił butów, czasami nie wkładał nawet tuniki – pragnął, jak mówił, wyrobić w sobie całkowitą obojętność wobec opinii świata na jakikolwiek temat, ważny czy nieważny. Urzędnicy skarbu bali się go śmiertelnie. Służył wśród nich jako młodszy urzędnik przez rok i często opowiadali mi, jak kazał im tłumaczyć się z każdego wydatku, aż po najmniejsze sumy. Nawet gdy stamtąd odszedł, zawsze przychodził do senatu z mnóstwem rachunków państwowych, zasiadał na swoim miejscu, na najdalejszej ławie, i pochylony nad liczbami, kołysał się lekko w tył i w przód, nieświadom, że ludzie wokół śmieją się z niego i gadają o nim.

Tego dnia, gdy dowiedziano się o pokonaniu Mitrydatesa, Katon przyszedł zobaczyć się z Cyceronem. Konsul jęknął, gdy powiedziałem mu, że on czeka. Znali się od dawna, Cycero występował przez krótki czas jako adwokat Katona, gdy ten – pod wpływem jednego ze swoich dziwnych impulsów – postanowił pozwać swoją kuzynkę Lepidę do sądu, bo chciał ją w ten sposób zmusić, żeby wyszła za niego za mąż.

Niemniej mój pan kazał mi go wpuścić.

– Natychmiast trzeba pozbawić Pompejusza dowództwa – oznajmił Katon w chwili, gdy przekroczył próg gabinetu – i wezwać go bezzwłocznie do Rzymu.

– Witaj, Katonie. Wydaje się to trochę obcesowe, biorąc pod uwagę jego ostatnie zwycięstwo, nie sądzisz?

– Właśnie to zwycięstwo stanowi kłopot. Pompejusz ma służyć republice, a my traktujemy go jak naszego pana. Po powrocie przejmie władzę w państwie, jeśli nie będziemy ostrożni. Musisz jutro zgłosić wniosek o zwolnienie go ze stanowiska.

– Na pewno tego nie zrobię! Pompejusz jest największym dowódcą, jakiego od czasu Scypiona wydał Rzym! Zasługuje na wszystkie honory, jakie możemy mu przyznać. Popelniasz taki sam błąd jak twój prapradziad, który zmusił Scypiona do ustąpienia ze stanowiska.

– Jeśli ty go nie powstrzymasz, ja to zrobię.

– Ty?

– Zamierzam stanąć do wyborów na urząd trybuna ludowego. Chcę cię prosić o wsparcie.

– Dobrze sobie!

– Jako trybun będę mógł zgłaszać weto wobec wszystkich wniosków przedstawianych przez sługusów Pompejusza, żeby zabezpieczyć jego interesy. Mam zamiar zostać zupełnie innym politykiem niż ktokolwiek dotychczas.

– Nie wątpię, że ci się to uda – odparł Cyncero. Spojrzał na mnie ponad ramieniem tego młodego człowieka i nieznacznie puścił oko.

– Zamierzam po raz pierwszy w dziejach wprowadzić do życia publicznego zasady spójnej filozofii, stosując wobec każdej kwestii, która wyniknie, zasady i zalecenia stoików. Wiesz, że goszczę w moim domu nie kogo innego, jak tylko Atenodorusa Kordyliona... który, na pewno zgodzisz się ze mną, jest czołowym filozofem stoickim. Będzie moim stałym doradcą. Republika, Cynceronie, dryfuje... bo tak to widzę... dryfuje ku katastrofie z wiatrem i nurtami łatwego kompromisu. Nie powinniśmy byli powierzać Pompejuszowi specjalnych uprawnień dowódczych.

– Ja to wspierałem.

– Wiem i powinieneś się wstydzić! Widziałem go w Efezie, gdy rok temu czy dwa wracałem do Rzymu, był nadęty jak jakiś wschodni satrapa. Kto mu dał prawo zakładania tych wszystkich miast i tworzenia prowincji? Czy senat to omówił? Lud przegłosował?

– Jest dowódcą armii. Trzeba mu było przyznać jakąś władzę. A po pokonaniu piratów musiał założyć bazy, żeby zabezpieczyć nasz handel. Inaczej po jego odejściu zbójcy by wrócili.

– Ale mieszkamy się w sprawy krain, o których nic nie wiemy! A teraz jeszcze zajęliśmy Syrię. Syrię! Jakie mamy interesy w Syrii? Potem przyjdzie kolej na Egipt. To będzie wymagało stałej obecności naszych legionów za morzami. A ten, kto dowodzi legionami, żeby kontrolować podbity kraj, Pompejusz czy ktokolwiek inny, w końcu sięgnie po władzę nad Rzymem, a jeśli ktoś się temu sprzeciwi, zostanie posądzony o brak patriotyzmu. Republika padnie. Konsulowie będą tylko załatwiać sprawy cywilne w imieniu jakiegoś wodza za morzami.

– Nikt nie wątpi, że istnieją pewne zagrożenia, Katonie. Ale na tym polega polityka... na przyjmowaniu wyzwań, w miarę jak się pojawiają, i gotowości radzenia sobie z następnymi. Najlepszą analogią do sprawowania władzy jest moim zdaniem nawigacja: wiosłujesz i płyniesz, z wiatrem albo przeciw niemu, trafiasz na falę, która cię niesie, albo na taką, która cię znosi. Wszystko to wymaga lat praktyki i ćwiczeń, a nie jakiegoś traktatu napisanego przez Zenona.

– A dokąd prowadzi cię twoja podróż morska?

– Do bardzo przyjemnego portu, jakim jest szansa na przeżycie.

– Cha! – Śmiech Katona był równie niepokojący jak rzadki; przypominał szorstkie, pozbawione jakiegokolwiek rozbawienia warknięcie. – Niektórzy z nas mają nadzieję przybyć do bardziej inspirującej krainy! Ale to wymaga innej nawigacji niż twoja. Takie będą moje zalecenia... – I zaczął wyliczać je na swoich długich, kościstych palcach: – Nie dać się zwieść powodzeniu. Nie dawać się ugłaskiwać. Nie zapominać krzywd. Nie dzielić zła na mniejsze i większe: zło to zło, niezależnie od rozmiarów występku, i koniec na tym. I wreszcie, nigdy nie naginać żadnej

z tych zasad. „Człowiek, który ma siłę, by ich przestrzegać...”.

– „...jest zawsze urodziwy, mimo ułomności, zawsze bogaty, mimo niedostatków, i zawsze jest królem, choćby służył w niewoli”. Znam tę maksymę, dzięki ci. Gdybyś wyjechał i postanowił wieść życie gdzieś w akademii, stosując swoją filozofię do kurcząt i uczniów, może nawet by się sprawdziła. Ale jeśli zamierzasz wziąć się do rządzenia tą republiką, będziesz musiał zaopatrzyć swoją bibliotekę w więcej niż jedną księgę.

– To strata czasu. Wiedziałem, że mnie nie poprzesz.

– Wręcz przeciwnie, z całą pewnością na ciebie zagłosuję. Obserwowanie twojej działalności jako trybuna będzie najzabawniejszym przedstawieniem, jakie kiedykolwiek widział Rzym.

Po wyjściu Katona Cycero powiedział do mnie:

– Ten człowiek ma nie po kolei w głowie, a jednak coś w nim jest.

– Czy wygra?

– Oczywiście. Ktoś, kto nazywa się Marek Porcjusz Katon, zawsze może liczyć na karierę w Rzymie. I ma rację, jeśli chodzi o Pompejusza. Jak go powstrzymać? – Zamyślił się. – Wyślij wiadomość do Neposa z pytaniem, czy odpoczął już po podróży, i zaproś go na naradę wojskową po zakończeniu jutrzejszej sesji senatu.

Zrobiłem, jak mi polecił, i posłaniec wrócił z odpowiedzią, że Nepos jest do dyspozycji konsula. Kiedy więc następnego popołudnia posiedzenie senatu zostało zamknięte, Cycero poprosił kilku starszych ekskonsulów z doświadczeniem wojskowym, żeby pozostali w budynku i wysłuchali razem z nim bardziej szczegółowego raportu Neposa o dalszych zamierzeniach Pompejusza. Krassus, który zaznał smaku zarówno konsulatu, jak i władzy, jaką daje niezmierzone bogactwo, miał obsesję na punkcie jednej rzeczy, która dotąd nie była mu dana – chwały wojennej, i bardzo pragnął uczestniczyć w tej naradzie. Kręcił

się więc wokół krzesła konsula, licząc, że zostanie na nią zaproszony. Cycero jednak gardził nim bardziej niż kimkolwiek z wyjątkiem Katyliny i z radością skorzystał z okazji, aby zagrać na nosie staremu przeciwnikowi. Ignorował go tak, że w końcu Krassus odszedł w gniewie, zostawiając konsula i kilkunastu siwowłosych senatorów, którzy skupili się wokół Neposa. Ja stałem dyskretnie z boku i notowałem.

Mądrym posunięciem ze strony Cycerona było włączenie do tego grona takich ludzi, jak Gajusz Kurion, który dziesięć lat wcześniej odbył triumf, czy Marek Lukullus, młodszy brat Lucjusza, ponieważ największą słabością mojego pana jako polityka była nieznanostwo rzemiosła wojennego. W młodości, ze względu na słaby stan zdrowia, nie znosił niczego, co wiązało się z żołnierką – niewygód, tężej dyscypliny, nieciekawego braterstwa panującego w obozie – i jak najszybciej poświęcił się studiom. Teraz dotkliwie odczuwał ten brak doświadczenia i podczas przesłuchania Neposa musiał zdać się na takich ludzi, jak Kurion i Lukullus, Katulus i Izaurykus. Szybko ustalili oni, że Pompejusz dysponuje siłą ośmiu dobrze uzbrojonych legionów i że stacjonuje – a przynajmniej tak było, gdy Nepos widział się z nim po raz ostatni – na południe od Judei, kilkaset mil od miasta o nazwie Petra. Cycero poprosił o opinie.

– Z tego, jak ja to widzę, są dwie strategie na resztę roku – rzekł Kurion, który walczył na wschodzie pod dowództwem Sulli. – Pierwsza, pomaszerować na północ do Bosforu Cyme-ryjskiego, skierować się do portu Pantikapaion i przyłączyć Kaukaz do republiki. Druga, za którą bym optował, to uderzyć na wschód i raz na zawsze załatwić sprawę z Partami.

– Jest jeszcze trzecia możliwość, nie zapominaj – włączył się Izaurykus. – Egipt. Jest nasz, Ptolemeusz zostawił nam go w testamencie. Moim zdaniem Pompejusz powinien ruszyć na zachód.

– Albo na południe – zaproponował Marek Lukullus. – Co

macie przeciwko marszowi na Petrę? Za tym miastem, na wybrzeżu, leżą bardzo żyzne ziemie.

– Północ, wschód, zachód albo południe – podsumował Cyncero. – Wygląda na to, że Pompejusz ma mnóstwo możliwości. Czy wiesz, Neposie, na co się zdecyduje? Jestem pewien, że senat ratyfikuje każdą jego decyzję.

– Na razie, jak rozumiem, zamierza się wycofać – odrzekł Nepos.

Głęboką ciszę, która zapadła, przerwał Izaurykus.

– Wycofać się? – powtórzył ze zdumieniem. – Co masz na myśli, mówiąc o wycofaniu się? Ma do dyspozycji czterdzieści tysięcy zaprawionych w bojach ludzi, których nic nie zatrzyma, niezależnie od kierunku, jaki by obrał.

– „Zaprawionych w bojach”, mówisz? Ja bym powiedział raczej „wyczerpanych”. Niektórzy z nich walczą i maszerują od ponad dziesięciu lat.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia, gdy do zebranych docierały powoli implikacje jego słów.

– Sugerujesz, że Pompejusz chce sprowadzić ich wszystkich z powrotem do Italii? – zapytał Cyncero.

– A dlaczegoż by nie? To jest przecież ich dom. A Pompejusz podpisał kilka bardzo korzystnych traktatów z tamtejszymi władcami. Sama jego sława jest warta kilkunastu legionów. Wiecie, jak nazywają go tam, na wschodzie?

– Proszę, powiedz nam.

– Strażnikiem Ziemi i Wód.

Cyncero spojrzął na twarze byłych konsulów. Na większości z nich malowało się niedowierzanie.

– Chyba wyrażę opinię nas wszystkich, Neposie, kiedy powiem, że senat nie będzie uszczęśliwiony całkowitym wycofaniem wojsk.

– Na pewno nie – potwierdził Katulus i wszystkie siwe głowy przytaknęły mu energicznie.

– W takim razie proponuję – ciągnął Cyncero – abyśmy wysłali do Pompejusza posłańca, wyrażając... oczywiście... naszą dumę, radość i wdzięczność za jego wspaniałe dokonania wojenne, ale także życzenie, żeby zostawił armię na miejscu z myślą o dalszej kampanii. Oczywiście, jeśli po tylu latach służby chce zrzucić z siebie ciężar dowództwa, cały Rzym przyjmie to ze zrozumieniem i serdecznie powita w domu swojego znakomitego syna...

– Piszcie, co chcecie – przerwał mu szorstko Nepos – ale ja nie przekażę mu tej wiadomości. Zostaję w Rzymie. Pompejusz zwolnił mnie ze służby wojskowej i mam zamiar stanąć do wyborów na trybuna. A teraz, jeśli mi wybaczycie, mam inne sprawy, którymi muszę się zająć.

Izaurykus zaklął, patrząc, jak młody oficer dumnym krokiem opuszcza salę.

– Nie śmiałyby tak do nas mówić, gdyby żył jego ojciec. Jakiegoż to pokolenia się dochowaliśmy?

– A jeśli tak przemawia do nas szczeniak – zauważył Kurion – to wyobraźcie sobie, jaki będzie jego pan, który ma za sobą czterdzieści tysięcy legionistów.

– „Strażnik Ziem i Wód” – mruknął Cyncero. – Chyba powinniśmy być wdzięczni, że zostawił nam powietrze. – Wzbudziło to śmiechy. – Ciekawe, jakie to ważniejsze sprawy od rozmowy z nami ma do załatwienia Nepos. – Skinął na mnie i szepnął mi do ucha: – Biegnij za nim, Tironie. Zobaczymy, dokąd pójdzie.

Pospieszyłem przejściem między ławami i dotarłem do drzwi w porę, aby zobaczyć, że Nepos i jego świta przecinają forum, zmierzając w kierunku rostrów. Była ósma godzina dnia, wciąż panował ruch, i udało mi się ukryć w tłumie – choć Nepos nie był typem człowieka, który ogląda się za siebie. Minął ze swoją grupą świątynię Kastora i na szczęście szedłem tuż za nimi, bo przebywszy mały odcinek Via Sacra, nagle zniknęli mi z oczu

i zorientowałem się, że weszli do oficjalnej rezydencji najwyższego kapłana.

W pierwszej chwili chciałem wrócić i powiedzieć to Cynceronowi, ale zatrzymał mnie jakiś impuls. Naprzeciwko wielkiej willi stał szereg sklepów i udałem, że oglądam biżuterię, a jednocześnie cały czas zerkałem na drzwi domu Cezara. Zobaczyłem, jak w lektyce przybyła jego matka, a potem w taki sam sposób udała się dokądś żona, która wyglądała bardzo młodo i pięknie. Poza nimi wchodzili i wychodzili różni ludzie, ale żadnego nie rozpoznałem. Po godzinie zniecierpliwiony sklepikarz oznajmił, że chce zamykać, i wyprowadził mnie na ulicę akurat w chwili, gdy z małego powozu wyłoniła się łysa czaszka Krasusa, który następnie wkroczył do domu Cezara. Kręciłem się jeszcze chwilę w pobliżu, ale nikt inny się nie pojawił, i nie chcąc nadmiernie ryzykować, oddaliłem się chyłkiem, żeby przekazać Cynceronowi wieści.

Mój pan jednak opuścił już budynek senatu i zastałem go w domu, gdzie zajmował się korespondencją.

– Hm, przynajmniej wyjaśniła się jedna zagadka – powiedział, gdy zrelacjonowałem mu, co widziałem. – Wiemy teraz, skąd Cezar wziął dwadzieścia milionów, żeby kupić sobie urząd. Nie od Krassusa. Większa ich część musiała pochodzić od Strażnika Ziemi i Wód. – Odchylił się do tyłu na krześle i zamyślił głęboko, bo jak później zauważył: „Kiedy zaczynają się spotykać z sobą największy wódz w państwie, największy lichwiarz i najwyższy kapłan, wszyscy powinni się strzec”.

Mniej więcej wtedy Terencja zaczęła odgrywać ważną rolę w działalności konsularnej Cyncerona. Ludzie często zachodzili w głowę, dlaczego mój pan wciąż jest z nią żonaty, od piętnastu lat, bo była dewotką, niezbyt urodziwą i zupełnie pozbawioną

wdzięku. Ale miała coś rzadszego. Mianowicie charakter. Budziła szacunek i Cyncero w miarę upływu lat coraz częściej zasięgał jej rady. Nie interesowała się filozofią ani literaturą, nie znała historii; nie miała właściwie żadnego wykształcenia. Jednakże, nieobciążona edukacją ani naturalną delikatnością, posiadała rzadki dar widzenia na wylot – czy dotyczyło to problemu, czy człowieka – przenikania do sedna, i mówiła szczerze to, co myślała.

Przede wszystkim, żeby nie straszyć żony, Cyncero nie powiedział jej, że Katyliną przysięgł go zamordować. Jednakże z typową dla niej bystrością sama wkrótce się o tym dowiedziała. Jako małżonka konsula opiekowała się kultem Dobrej Bogini. Nie umiem powiedzieć, co to oznaczało, bo wszystko, co miało związek z boginią i jej rojącą się od węży świątynią na Awentynie, stanowiło dla mężczyzn tajemnicę. Wiem tylko, że kapłanka sprawująca wraz z Terencją ten kult, pochodząca z rodziny nobilów patriotka, pewnego dnia przyszła ze łzami w oczach i ostrzegła ją, że życie Cyncerona jest w niebezpieczeństwie i że powinien na siebie uważać. Nie chciała powiedzieć nic więcej. Ale oczywiście Terencja nie zamierzała tak zostawić sprawy i jak mąż, uciekając się do pochlebstw, próśb i gróźb, powoli dotarła do prawdy. Potem nakłoniła nieszczęsną kobietę, aby poszła z nią i powtórzyła wszystko konsulowi.

Pracowałem z Cynceronem w jego gabinecie, gdy Terencja gwałtownie otworzyła drzwi. Nie zapukała wcześniej; nigdy tego nie robiła. Bogatsza od Cyncerona i szlachetniej od niego urodzona nie okazywała należnych względów mężowi. I tym razem oświadczyła po prostu:

- Musisz się z kimś zobaczyć.
- Nie teraz – odparł, nie patrząc na nią. – Powiedz mu, żeby przyszedł kiedy indziej.

Ale Terencja nie miała zamiaru ustąpić.

– To... – Tu wymieniła imię kobiety, której tożsamości nie ujawnię, nie ze względu na nią (od dawna nie żyje), ale ze względu na honor jej potomków.

– Po co miałbym się z nią spotykać? – burknął Cycero i wreszcie spojrzął z irytacją na żonę. Kiedy jednak zauważył jej ponurą minę, zmienił ton. – Co się stało, kobieto? O co chodzi?

– Posłuchaj sam. – Odsunęła się na bok, tak że za nią ukazała się matrona rzadkiej, choć już przemijającej urody, o zaczerwienionych, podpuchniętych od płaczu oczach. Chciałem wyjść, ale Terencja stanowczo nakazała mi zostać.

– Ten niewolnik bardzo sprawnie robi notatki – wyjaśniła gościowi – i jest wcieleniem dyskrecji. Jeśli puści parę z ust, każę go żywcem obdrzeć ze skóry, obiecuję ci. – I rzuciła mi spojrzenie, które nie pozostawiało wątpliwości, że spełni swoją groźbę.

Dalszy ciąg spotkania był równie krępujący dla Cyclerona, który miał w sobie trochę pruderii, jak i dla kobiety, która pod wpływem nalegań Terencji musiała przyznać się, że od kilku lat jest kochanką Kwintusa Kuriusza. Był to rozwiązły człowiek, senator i przyjaciel Katyliny. Już raz usunięty z senatu za obrazę moralności i bankructwo, obawiał się, że przy następnym cenzusie zostanie wyrzucony z niego ponownie, bo miał poważne problemy finansowe.

– Kuriusz miał długi, odkąd go znam – wyjaśniła kobieta – ale sytuacja nigdy nie była tak zła. Jego posiadłość jest zadłużona do trzykrotnej swojej wartości. W jednej chwili Kuriusz grozi, że raczej zabije nas oboje, niż narazi na hańbę, jaką jest bankructwo, a już w następnej opowiada, jakież to piękne rzeczy mi kupi. Zeszłej nocy go wyśmiałam. Zapytałam: „Przecież nie stać cię, żeby kupić mi cokolwiek, prawda? To ja ci dam pieniądze”. Tym go sprowokowałam. Pokłóciliśmy się. W końcu wyznał: „Pod koniec lata będziemy mieć już mnóstwo pieniędzy”. I opowiedział mi o planach Katyliny.

– Jakich planach?

Na chwilę opuściła wzrok, a potem wyprostowała się i spojrzała spokojnie na Cyncerona.

– Żeby cię zamordować i przejąć władzę nad Rzymem. Unieważnić wszystkie długi, skonfiskować majątki bogatych i podzielić się urządami i stanowiskami kapłańskimi ze swoimi zwolennikami.

– Sądzisz, że naprawdę mają taki zamiar?

– Tak.

Włączyła się Terencja.

– Ależ ona opuściła najgorszą część! Żeby związać ich z sobą jeszcze bardziej, Katylina kazał im złożyć przysięgę krwi nad ciałem chłopca. Zarznęli go jak jagnię.

– Tak – wyznał Cyncero – wiem o tym. – Uniósł ręce, żeby powstrzymać jej protesty. – Przepraszam. Nie wiedziałem, czy mam to traktować poważnie. Nie chciałem cię niepotrzebnie niepokoić. – Do damy zaś powiedział: – Musisz zdradzić imiona wszystkich biorących udział w spisku.

– Nie, nie mogę...

– Nie da się cofnąć tego, co się powiedziało. Podaj imiona.

Szlochała przez chwilę. Musiała jednak zrozumieć, że nie ma wyjścia.

– Obiecasz mi przynajmniej, że będziesz chronić Kuriusza?

– Tego nie mogę. Ale zobaczę, co da się zrobić. No, dalej, pani, imiona.

Zaczęła mówić dopiero po chwili, i to tak, że ledwie było ją słychać.

– Kornelisz Cetegus – szepnęła. – Kasjusz Longinus. Kwintus Anniusz Chilon. Lentulus Sura i jego wyzwoleniec Umbrenus... – Potem imiona zaczęły padać szybko, jakby wyrzucając je z siebie, mogła skrócić swoją mękę. – Autroniusz Petus, Marek Leka, Lucjusz Bestia, Lucjusz Warguntejusz...

– Poczekaj! – Cycero patrzył na nią ze zdumieniem. – Powiedziałaś: Lentulus Sura... pretor miejski... jego wyzwoleniec Umbrenus?

– ...Publiusz Sulla i jego brat Serwiusz. – Urwała nagle.

– To już wszyscy?

– Wszyscy senatorowie, których wymienił. Ale są jeszcze inni, spoza senatu.

Cycero zwrócił się do mnie.

– Ilu razem? – zapytał.

Policzyłem.

– Dziesięciu. Jedenastu, jeśli dodać Kuriusza. Z Katyliną dwunastu.

– Dwunastu senatorów? – Rzadko widziałem, żeby Cycero był bardziej osłupiały. Wydał policzki i opadł na krzesło, jakby dostał cios. Wypuścił powietrze z płuc. – Ależ tacy ludzie jak bracia Sullowie czy Sura nie mogą tego nawet uzasadnić groźbą bankructwa! To zwykła zdrada, najzwyklejsza zdrada! – Nagle ogarnęło go takie wzburzenie, że nie mógł usiedzieć na miejscu. Zerwał się na nogi i zaczął krążyć po wąskim pokoju. – Dobrzy bogowie! Co się dzieje?

– Powinieneś kazać ich aresztować – zauważył Terencja.

– Niewątpliwie. Ale gdybym obrał tę drogę... a nie mogę... dokąd by mnie zaprowadziła? Już jest ich tuzin, a kto wie, ilu mają popleczników. Przychodzi mi na myśl mnóstwo innych, którzy również mogą być w to zaangażowani. Trzeba zacząć od Cezara... jaka jest jego rola w tym wszystkim? W zeszłym roku popierał Katylinę w wyborach konsularnych i wiemy, że jest blisko związany z Surą... to Sura, dobrze pamiętam, pozwolił wnieść oskarżenie przeciwko Rabiriuszowi. A Krassus... co z nim? Jego stać na wszystko! A Labienus... to trybun Pompejusza... czy Pompejusz też w tym bierze udział?

Chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem.

– To niemożliwe, żeby wszyscy chcieli cię zabić – zauważyła Terencja – bo inaczej byłbyś martwy już dawno temu.

– Może nie każdy z nich bierze udział w spisku przeciwko mnie, ale niewątpliwie wszyscy widzą, jakie szanse stwarza chaos. Niektórzy chcą mnie zabić, żeby wywołać zamęt, a pozostali pragną tylko stać z boku i patrzeć, co się będzie działo. Są jak chłopcy, którzy bawią się ogniem, Cezar to najgorszy z nich. To jakieś szaleństwo... w państwie zapanowało szaleństwo. – Ciągnął w tym stylu przez jakiś czas, z nieobecny wrokiem, mając przed oczami prorocze wizje Rzymu w ruinach, Tybru czerwonego od krwi, forum zasłanego odrąbanymi głowami. Przedstawiał nam je plastycznie, ze wszystkimi szczegółami. – Muszę temu zapobiec. Muszę to powstrzymać. Przecież istnieje jakiś sposób, aby to udaremnić...

Przez cały ten czas dama, która zdradziła mu te informacje, siedziała i patrzyła na niego ze zdumieniem. Wreszcie zatrzymał się przed nią, pochylił się i wziął ją za rękę.

– Pani, na pewno niełatwo ci było przyjść do mojej żony z taką sprawą, ale dzięki opatrności to zrobiłaś! Nie tylko ja, ale cały Rzym ma wobec ciebie dług wdzięczności.

– Ale co ja mam teraz poczuć? – Rozplakała się znowu. Terencja podała jej chusteczkę i kobieta otarła oczy. – Nie mogę przecież po tym wszystkim wrócić do Kuriusza.

– Musisz, pani – powiedział Cyncero. – Jesteś moim jedynym źródłem informacji.

– Katyliną mnie zabije, jeśli się dowie, że zdradziłam ci jego plany.

– Nie dowie się.

– A mój mąż? Moje dzieci? Co im powiem? Sypiać z innym mężczyzną to już wystarczający wstyd... a do tego jeszcze ze zdrajcą?

– Jeśli poznają twoje motywacje, zrozumieją. Potraktuj to jako pokutę. To bardzo ważne, żebyś zachowywała się, jakby nic się

nie stało. Dowiedz się jak najwięcej od Kuriusza. Wyciągnij to od niego. Jeśli będzie trzeba, zachęcaj go do działania. Ale nie możesz tu przychodzić, to zbyt ryzykowne. To, czego się dowiesz, przekazuj Terencji. Wy dwie możecie się swobodnie spotykać i rozmawiać prywatnie na terenie świątyni, nie wzbudzając podejrzeń.

Kobieta z oczywistych powodów nie chciała wplątywać się w taką sieć zdrady. Cycero potrafił jednakże przekonać każdego i do wszystkiego, jeśli się zawziął. A kiedy, nie obiecując nietykalności Kuriuszowi, powiedział, że zrobi wszystko, aby jej kochanek uzyskał łaskę, poddała się. Dama odeszła więc, żeby działać jako jego szpieg, a Cycero zabrał się do przygotowania planów.

VI

Na początku kwietnia rozpoczęła się wiosenna przerwa w obradach senatu. Liktorzy znowu wrócili do Hybrydy i Cycero uznał, że będzie bezpieczniej, jeśli zabierze rodzinę z Rzymu i przeniesie się z nią nad morze. Wyruszyliśmy o pierwszym brzasku, podczas gdy większość urzędników przygotowywała się, aby pójść do teatru, i pod eskortą ekwitów jechaliśmy na południe Via Appia. Musiało nas być razem ze trzydzieści osób. Cycero spoczywał na poduszkach w otwartym powozie; na przemian albo dyktował mi listy, albo słuchał Sositeusza, który czytał mu na głos. Mały Marek jechał na mule, a obok niego szedł niewolnik. Terencja i Tulia miały dla siebie lektykę, niesioną przez tragarzy uzbrojonych w noże, które ukryli. Za każdym razem, gdy na drodze mijała nas grupa mężczyzn, bałem się, że może to być banda zabójców, i kiedy po ciężkim dniu podróży dotarliśmy o zmroku do Błot Pontyjskich nerwy miałem zszarpane. Zatrzymaliśmy się na noc w Tres Tabernae, gdzie kumkanie żab na mokradłach, a także woń stojącej wody i nieustające bzyczenie komarów wykończyły mnie do reszty.

Następnego rana podjęliśmy podróż i popłynęliśmy łodzią. Cycero siedział dostojnie na dziobie, z zamkniętymi oczami i

twarzą zwróconą ku ciepłemu wiosennemu słońcu. Po zgiełku na uczęszczanej drodze cisza, która panowała w rejonie kanału, wydawała się niezwykła; słychać było jedynie stukot końskich kopyt na ścieżce holowniczej. To było do Cyncerona niepodobne, żeby nie pracował. Na następnym przystanku oczekiwał nas worek z korespondencją, ale kiedy próbowałem mu go dać, odprawił mnie machnięciem ręki. Podobnie było, gdy dotarliśmy do jego willi w Formiae. Kupił tę posiadłość przed kilkoma laty – ładny dom na wybrzeżu, zwrócony ku Morzu Śródziemnemu, z obszernym tarasem, na którym zazwyczaj pisał albo ćwiczył przemówienia. Ale przez cały pierwszy tydzień pobytu w rezydencji prawie nic nie robił, tylko bawił się z dziećmi, zabierał je na połów makreli i skakał przez fale na małej plaży pod niskim kamiennym murem. Biorąc pod uwagę powagę sytuacji, w jakiej się znajdował, byłem zdziwiony jego zachowaniem. Teraz oczywiście rozumiem, że właśnie pracował, tylko tak jak pracują poeci: oczyszczał umysł i czekał na inspirację.

Na początku drugiego tygodnia na kolację przybył Serwiusz Sulpicjusz w towarzystwie Postuma. Miał willę po drugiej stronie zatoki, w Caieta. Prawie nie rozmawiał z Cynceronem od czasu, gdy dowiedział się od niego o romansie swojej żony z Cezarem, ale kiedy się pojawił, wyglądał na całkiem zadowolonego, choć dla odmiany ona sprawiała wrażenie niezwykle posępnej. Powód ich odmiennych humorów wyjaśnił się zaraz po posiłku, kiedy Serwiusz odciągnął Cyncerona na bok, żeby zamienić z nim słowo w cztery oczy. Przybywał prosto z Rzymu i chciał się podzielić smakowitą plotką. Z trudem powściągał złośliwą satysfakcję.

– Cezar ma nową kochankę, to Serwilia, żona Juniusza Silanusa!

– Doprawdy, Cezar ma nową kochankę! Równie dobrze możesz mi powiedzieć, że na drzewie są nowe liście.

– Nie rozumiesz? To nie tylko położy kres bezpodstawnym plotkom o Postumii i Cezarze, ale także znacznie utrudni Silanusowi pokonanie mnie w letnich wyborach na konsula.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Cezar dysponuje wieloma głosami popularów. Raczej nie odda ich na męża swojej kochanki, prawda? Niektóre może nawet przejdą na mnie. Sądzę, że mając poparcie patrycjuszy i twoje, osiągnę swój cel.

– Cóż, wobec tego ci gratuluję. Będę dumny, mogąc ogłosić cię za trzy miesiące zwycięzcą wyborów. Wiemy, ilu stanie do nich kandydatów?

– Czterech na pewno.

– Ty, Silanus i kto jeszcze?

– Katylina.

– Na pewno? Zdecydował się już?

– O tak. Nie ma co do tego wątpliwości. Cezar już rozpoznał, że znowu go poprze.

– A kto będzie czwarty?

– Lucjusz Murena – ujawnił Serwiusz; wymienił byłego legata Lukullusa, który był obecnie namiestnikiem Galii Zaalpejskiej. – Ale to żołnierz i nie ma poparcia w mieście.

Jedli tego wieczoru pod gwiazdami. Z mojego pokoiku słyszałem szum fal uderzających o skały, a ciepłe słonawe powietrze od czasu do czasu przynosiło głosy ucztującej czwórki, wraz z ostrym zapachem pieczonej ryby. Wczesnym rankiem Cycero przyszedł mnie obudzić. Z przestrachem zobaczyłem go siedzącego na brzegu mojego wąskiego posłania; miał na sobie ubranie z poprzedniego wieczoru. Ledwie świtało. Chyba w ogóle nie spał.

– Ubierz się, Tironie. Pora ruszać.

Gdy wkładałem buty, opowiedział mi, co się stało. Pod koniec kolacji Postumia znalazła pretekst, żeby pomówić z nim na osobności.

– Wzięła mnie pod ramię i poprosiła, żebym przeszedł się z nią po tarasie. Przez chwilę pomyślałem, że chce mi zaproponować, abym zastąpił Cezara w jej łożu, bo była trochę pijana i suknia rozchyłała jej się prawie do kolan. Ale nie: zdaje się, że jej uczucia do Cezara zmieniły się radykalnie, pożądanie przeszło w gorzką nienawiść, ponieważ pragnęła jedynie go wydać. Powiedziała, że on i Serwilia są wprost dla siebie stworzeni. „Dwie najbardziej zimnokrwiste kreatury, jakie kiedykolwiek stworzono”. Mówi... cytuję ją dosłownie... „Serwilia chce być żoną konsula, a Cezar lubi łądaczyć się z żonami konsulów, czy może więc być doskonalszy związek? Nie zwracaj uwagi na to, co ci mówi mój mąż. Cezar zrobi wszystko, aby zapewnić Silanusowi zwycięstwo”.

– Czy to byłoby takie złe? – zapytałem głupio, bo byłem bardzo zaspany. – Chyba zawsze mówiłeś, panie, że Silanus jest tępym, ale cieszy się szacunkiem, i dlatego idealnie nadaje się na ten urząd.

– Naprawdę chcę, żeby wygrał, ty ośle! Podobnie jak patrycjusze i najwyraźniej Cezar. Dlatego zwycięstwo Silanusa jest pewne. Prawdziwa walka rozegra się o urząd drugiego konsula... którym, jeśli nie będziemy przezorni, zostanie Katyliną.

– Ale Serwiusz jest taki pewny...

– Nie pewny, tylko zadowolony z siebie, a o to właśnie chodzi Cezarowi.

Chlusnął mi w twarz wodą. W końcu zacząłem przytomnieć. Cycero był już w połowie drogi do drzwi.

– Mogę zapytać, panie, dokąd jedziemy?

– Na południe – rzucił przez ramię. – Nad Zatokę Neapolińską, żeby zobaczyć się z Lukullusem.

Zostawił list z wyjaśnieniem dla Terencji, bo wyruszyliśmy w drogę, zanim się obudziła. Jechaliśmy szybko, zamkniętym powozem, żeby nas nie rozpoznano – był to konieczny środek

ostrożności, ponieważ chyba połowa senatu, zmęczona niezwykle długą rzymską zimą, udawała się właśnie do wód w Kampanii. Ograniczyliśmy eskortę, żeby przemieszczać się szybciej, i tylko dwóch ludzi strzegło konsula: potężny jak wół ekwita, Tytus Sekstus, i jego równie barczysty brat, Kwintus; jechali konno, jeden przed, a drugi za nami.

Gdy słońce weszło wyżej, powietrze stało się cieplejsze, morze bardziej błękitne i powóz powoli wypełniła woń kwiatów mimozy, wysuszonych przez słońce ziół i wonnych sosen. Od czasu do czasu rozchylałem zasłony i wyglądałem na zewnątrz; przysiągłem sobie, że jeśli zdobędę kiedyś to małe gospodarstwo, o którym tak marzyłem, to będzie się znajdowało tu, na południu. Cycero tymczasem nic nie widział. Przespał całą podróż, obudził się dopiero przed wieczorem, gdy wjechaliśmy na wąską drogę do Misenum, gdzie Lukullus miał – cóż, zamierzałem napisać „dom”, ale słowo to nie pasuje do tego prawdziwego pałacu rozkoszy, Villa Cornelia, który kupił na wybrzeżu i rozbudował. Stał on na wzniesieniu, na którym został pochowany wysłannik Trojan i z którego rozciągał się chyba najpiękniejszy widok w Italii, poczynawszy od wyspy Prochyta, przez błękitną Zatokę Neapolitańską aż po góry Caprae. Lekka bryza poruszała wierzchołkami cyprysów rosnących wzdłuż alei dojazdowej i wysiadłszy z zakurzonego powozu, wkroczyliśmy do rajy.

Usłyszawszy, kto zajechał na dziedziniec, Lukullus osobiście wyszedł nas powitać. Miał pięćdziesiąt kilka lat, był powolny i zmanierowany i zaczynał już tyć: widząc go w jedwabnych pantoflach i greckiej tunice, człowiek nigdy by nie pomyślał, że jest wielkim wodzem, najwybitniejszym z całego stulecia; wyglądał raczej jak emerytowany nauczyciel tańca. Ale oddanie legionistów, którzy strzegli jego domu, oraz liktorów, wyciągniętych w cieniu platanów, przypominało, że został na polu walki okrzyknięty przez swoich zwycięskich żołnierzy imperatorem i wciąż

miał militarne imperium. Nalegał, żeby Cycero towarzyszył mu podczas posiłku i został na noc, ale najpierw wziął kąpiel i odpoczął. Był albo tak chłodny, albo miał tak znakomite maniere, że nie wyraził najmniejszej ciekawości, co sprowadza Cyclerona bez zaproszenia w jego progi.

Służba odprowadziła konsula i jego eskortę; przypuszczałem, że ja dostanę kwatery w pomieszczeniach dla niewolników. Jednak jako prywatny sekretarz konsula również zostałem zaprowadzony do pokoju gościnnego, dostałem czyste ubranie, a potem wydarzyło się coś bardzo dziwnego; aż rumienię się na samo wspomnienie, ale muszę o tym napisać, jeśli ma to być szczerą, zgodną z prawdą relacją. Pojawiła się bowiem młoda niewolnica. Była Greczynką, jak się zorientowałem, mogłem więc rozmawiać z nią w jej ojczystym języku. Miała dwadzieścia kilka lat i wyglądała uroczo w sukni z odsłoniętymi ramionami – smukła, o oliwkowej skórze, z masą długich czarnych włosów, upiętych wysoko i czekających tylko, aby opaść miękką kaskadą. Nazywała się Agathe. Chichocząc i gestykulując żywo, poleciła mi się rozebrać i wejść do małego pozbawionego okien pomieszczenia, pokrytego od podłogi do sufitu mozaikami przedstawiającymi morskie stworzenia. Stałem tam przez chwilę, czułem się trochę głupio, ale nagle sufit jakby się rozstąpił i popłynęła z niego ciepła świeża woda. To było moje pierwsze zetknięcie z jednym ze sławnych natrysków Sergiusza Oraty i upajałem się tym doznaniem przez dość długi czas; potem Agathe wróciła i zaprowadziła mnie do sąsiedniego pokoju, gdzie oskrobała mnie i wymasowała – och, cóż to była za przyjemność! Uśmiechając się, odsłaniała białe jak kość słoniowa zęby i swawolny różowy język. Kiedy po godzinie spotkałem się z Cycleronem na tarasie, zapytałem, czy wypróbował jeden z tych nadzwyczajnych natrysków.

– Oczywiście, że nie! Była tam młoda dziwka. Nigdy nie słyszałem o podobnym zepsuciu. – A potem zerknął na mnie i

powiedział z niedowierzaniem: – Nie mów mi, że ty z tego skorzystałeś? – Obląłem się rumieńcem, na co on zaczął śmiać się głośno i później przez wiele miesięcy, gdy chciał mi dokuczyć, przypominał epizod z natryskiem u Lukullusa.

Zanim zasiedliśmy do kolacji, nasz gospodarz zabrał nas w obchód po pałacu. Główna część budynku liczyła ze sto lat i została wzniesiona przez Kornelię, matkę braci Grakchów, ale Lukullus trzykrotnie ją powiększył, dodał boczne skrzydła, tarasy i basen – wszystko to wykute z kamienia. Widok na wszystkie strony świata był wspaniały, a pokoje – bogato urządzone. Zostaliśmy zaprowadzeni do tunelu z wiszącymi na ścianach pochodniami, które rzucały światło na błyszczące mozaiki, ukazujące Tezeusza w labiryncie. Schody zaprowadziły nas nad morze, na półkę skalną, która wznosiła się tuż nad uderzającymi o brzeg falami. To była szczególna duma Lukullusa – wielkie, wykonane ludzką ręką baseny, pełne wszelakich gatunków ryb, jakie tylko da się wymienić, łącznie z ogromnymi węgorzami ozdobionymi biżuterią, które podpływały na jego wezwanie. Przyklęknął i niewolnik podał mu srebrne wiaderko z jedzeniem, które on ostrożnie zanurzył w wodzie. Natychmiast na powierzchni zaroilo się od smukłych, gibkich sylwetek.

– Wszystkie mają imiona – wyjaśnił, po czym wskazał szczególnie tłustą, odrażającą rybę ze złotymi pierścionkami na płetwach. – Tę nazwałem Pompejusz.

Cycero zaśmiał się grzecznie.

– A to czyja posiadłość? – zapytał i wskazał kolejną dużą willę z gospodarstwem rybnym po drugiej stronie zatoki.

– Należy do Hortensjusza. Wydaje mu się, że wyhoduje lepsze ryby niż ja, ale nigdy mu się to nie uda. Dobranoc, Pompejuszu – pożegnał pieszczotliwie węgorza. – Śpij dobrze.

Myślałem, że widzieliśmy już wszystko, ale Lukullus najlepsze zachował na koniec. Wróciliśmy na górę inną drogą,

szerokim tunelem ze stopniami wykutymi w ociekającej wodą skale pod domem. Przeszliśmy przez kilka ciężkich bram z kutego żelaza, pilnowanych przez wartowników, aż dotarliśmy do szeregu grot, w których znajdowały się skarby, zdobyte przez Lukullusa podczas wojny z Mitrydatesem. Służący oświetlili pochodniami lśniące stosy zbroi inkrustowanych klejnotami, tarcz, półmisków, kubków, łyżek wazowych, złotych foteli i łóż. Były tam ciężkie sztabki srebra, skrzynie z milionami maleńkich srebrnych monet i złoty posąg Mitrydatesa wysokości ponad sześciu stóp. Po początkowych okrzykach zachwytu z naszej strony nastąpiło milczenie. Te bogactwa były oszałamiające. Potem, gdy wróciliśmy do tunelu, gdzieś z bliska dobiegł słaby dźwięk jakiejś szamotaniny; najpierw myślałem, że to szczury, ale Lukullus wyjaśnił, że te odgłosy wydaje sześćdziesięciu więźniów – przyjaciół Mitrydatesa, których trzymał tu od pięciu lat, żeby wzięli udział w jego triumfie. Potem mieli zostać udużeni.

Cycero przyłożył rękę do ust i odchrząknął.

– Właśnie w sprawie twojego triumfu chciałem się z tobą zobaczyć, imperatorze.

– Tak myślałem – odparł Lukullus i w świetle pochodni zobaczyłem, że przez twarz przebiegł mu ledwie widoczny uśmiešek. – Zjemy coś?

Oczywiście jedliśmy stworzenia morskie – ostrygi, strzępiele, kraby i węgorze, szare i czerwone barweny. Dla mnie było tego za dużo; przyzwyczaiałem się do skromnych posiłków i jadłem niewiele. Nie odzywałem się też podczas uczyty, zachowywałem dyskretny dystans wobec reszty gości, aby zaznaczyć, że mam świadomość, iż moja obecność wśród nich to dowód szczególnej łaski. Bracia Sekstusowie jedli łączywie; od czasu do czasu jeden albo drugi z nich wstawał od stołu i wychodził do ogrodu,

żeby głośno zwymiotować i zrobić miejsce w brzuchu na następne danie. Cycero jak zwykle jadł powściągliwie, natomiast Lukullus żuł i połykał spokojnie, ale bez przyjemności.

Przyląpałem się na tym, że go obserwuję, ponieważ mnie fascynował – i nadal fascynuje. Prawdę mówiąc, uważam, że był najbardziej melancholijnym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Zmorą jego życia był Pompejusz, który zastąpił go jako naczelny wódz na wschodzie i poprzez swoje sojusze w senacie zniweczył jego nadzieje na triumf. Wielu ludzi by się z tym pogodziło, ale nie Lukullus. Miał wszystko na świecie oprócz tego jednego, czego naprawdę pragnął. Dlatego stanowczo nie chciał wkroczyć do Rzymu i oddać dowództwa, a swoje talenty i ambicje poświęcił budowie wymyślnych basenów rybnych. Znudzony i ospały, w życiu osobistym też nie znajdował szczęścia. Był dwukrotnie żonaty, pierwszy raz z jedną z sióstr Klodiusza, z którą rozwiódł się w atmosferze skandalu, ponieważ twierdził, że dopuściła się kazirodztwa z bratem; ten zresztą podburzał do buntu przeciwko Lukullusowi na wschodzie. Jego drugą żoną została, i była nią nadal, siostra Katona, ale o niej też mówiono, że jest swawolna i niewierna; nigdy jej nie widziałem, więc nie mogę nic na ten temat powiedzieć. Poznałem jednak jej dziecko, młodszego syna Lukullusa, wtedy dwulatka, którego przyniosła niańka, żeby ucałował ojca przed snem. Widząc, jak Lukullus się do niego odnosi, zrozumiałem, że bardzo go kochał. Jednakże w chwili, gdy dziecko poszło do łóżka, duże niebieskie oczy Lukullusa znowu zasnuły się mgłą i wrócił do pozabawionego przyjemności jedzenia.

– Co więc z moim triumfem? – zapytał w końcu, między jednym kęsem a drugim. W zębach pod policzkiem utkwiał mu kawałek ryby, którego nie czuł. Bardzo mnie to rozpraszało.

– Właśnie, twój triumf – powtórzył Cycero. – Myślałem o

tym, żeby poruszyć w senacie tę sprawę zaraz po przerwie wiosennej.

– I twój wniosek przejdzie?

– Nie poddamę nic pod głosowanie, jeśli nie mam szans na powodzenie.

Przez chwilę dało się słyszeć tylko mlaskanie.

– Pompejusz nie będzie zadowolony.

– Pompejusz będzie się musiał pogodzić, że inni mają takie samo prawo odbyć triumf jak on.

– A ty co z tego będziesz miał?

– Zaszczyt, jakim jest uwiecznienie twojej chwały.

– Brednie! – Lukullus w końcu otarł usta i kawałek ryby zniknął. – Przebyłeś pięćdziesiąt mil w pyle tylko po to, żeby mi to powiedzieć? Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę.

– Och, jesteś dla mnie zbyt bystry, imperatorze! Dobrze, wyznam więc, że chciałem też porozmawiać z tobą o polityce.

– Słucham.

– Wydaje mi się, że zmierzamy ku katastrofie. – Cycero odsunął talerz i przywołał wszystkie swoje zdolności krasomówcze, przedstawił sytuację republiki w najczarniejszych barwach; rozwodził się szczególnie nad planem Katyliny, mającym na celu zniesienie długów i przejęcie majątków bogaczy, a także nad rolą Cezara, który popierał Katylinę. Nie musiał tłumaczyć, jaką to stanowi groźbę dla Lukullusa, spoczywającego w swoim pałacu, pośród jedwabi i złota; było to oczywiste. Nasz gospodarz miał coraz bardziej ponurą minę, a kiedy Cycero skończył, przez chwilę milczał. Potem zapytał:

– Więc według ciebie Katylina wygra w wyborach konsularnych?

– Tak. Silanus będzie pierwszym konsulem, a on drugim.

– Wobec tego musimy mu przeszkodzić.

– Zgadza się.

- Co zatem proponujesz?
 - Właśnie po to przyjechałem. Chciałbym, żebyś odbył triumf przed wyborami konsularnymi.
 - Dlaczego?
 - Bo przypuszczam, że zechcesz sprowadzić do Rzymu kilka tysięcy weteranów z całej Italii, aby wzięli udział w pochodzie.
 - Oczywiście, że tak.
 - Przyjmiesz ich wystawnie i szczerze nagrodzisz z łupów wojennych?
 - Jakżeby nie?
 - A oni wtedy wysłuchają twojej rady, kogo mają poprzeć w wyborach na konsula?
 - Pewnie tak.
 - W takim razie wiem już, na jakiego kandydata powinni zagłosować.
 - Domyślam się – odparł Lukullus z cynicznym uśmiechem.
 - Masz na myśli swojego wielkiego sojusznika Serwiusza.
 - O nie. Nie jego. Ten biedny głupiec nie ma szans. Nie, myślę o twoim dawnym legacie... i byłym towarzyszu broni, Lucjuszu Murenie.
- Choć nawykłem już do pokrętnych strategii Cyncerona, nigdy bym nie przypuszczał, że tak łatwo zdradzi Serwiusza. Przez moment nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Lukullus wydawał się równie zaskoczony.
- Sądziłem, że Serwiusz to jeden z twoich najbliższych przyjaciół?
 - To Republika Rzymska, a nie koteria. Serce oczywiście nakazuje mi głosować na Serwiusza. Ale rozum podpowiada, że on nie pokona Katyliny. Podczas gdy Murena, przy twoim wsparciu, ma na to szansę.
- Lukullus ściągnął brwi.

– Mam pewien problem z Mureną. Jego najbliższym przybocznym w Galii jest zdeprawowany potwór, mój były szwagier... człowiek, którego imię jest dla mnie tak obrzydliwe, że nie przejdzie mi przez usta.

– Dobrze, ja je wypowiem za ciebie. Sam nie przepadam za Klodiuszem. W polityce jednak nie zawsze można wybierać sobie wrogów, nie mówiąc już o przyjaciółach. Ja, żeby ratować republikę, muszę porzucić starego, drogiego towarzysza. Ty, żeby ratować republikę, musisz uczynić sprzymierzeńcem swojego największego wroga. – Pochylił się nad stołem i dodał cicho: – Tak to jest w polityce, imperatorze, i jeśli przyjdzie taki dzień, kiedy nie będziemy mogli się na to zdobyć, powinniśmy usunąć się z życia publicznego i zająć hodowlą ryb!

Przez chwilę miałem obawy, że posunął się za daleko.

Lukullus rzucił serwetkę i oświadczył, że nikt nie zdoła go szantażem zmusić do zdrady zasad. Lecz Cyncero, jak zwykle, nie pomylił się w ocenie tego człowieka. Pozwolił Lukullusowi pieklić się przez chwilę, a kiedy ten skończył, nic nie powiedział, tylko zapatrzył się w zatokę i sączył wino. Wydawało się, że milczenie się przeciąga. Blask księżyca tworzył srebrną ścieżkę na wodzie. W końcu Lukullus oświadczył głosem pełnym tłumionego gniewu, że Murena chyba mógłby być niezłym konsulem, gdyby zechciał przyjąć kilka rad, na co Cyncero obiecał, że gdy tylko skończy się przerwa wiosenna, przedstawi senatowi sprawę triumfu.

Ponieważ żaden z nich nie miał już wielkiej ochoty na dalszą rozmowę, dość wcześnie udaliśmy się do naszych pokoi. Chwilę byłem sam, gdy usłyszałem lekkie pukanie do drzwi. Otworzyłem je i ujrzałem w progu Agathe. Weszła do środka bez słowa. Przypuszczałem, że przysłał ją zarządca Lukullusa, i powiedziałem jej, że to niepotrzebne, ona jednak, wspiąwszy się na łóżko, zapewniła mnie, że przysłała z własnej woli, więc przyłączyłem się do niej. Rozmawialiśmy pomiędzy pieszczotami i opowiedziała

mi trochę o sobie – o tym, że jej rodzice, już nieżyjący, zostali przywiezieni jako niewolnicy ze wschodu, wśród zdobyczy wojennych Lukullusa, że ledwie pamięta wioskę w Grecji, gdzie mieszkali. Wcześniej pracowała w kuchni, a teraz zajmowała się gośćmi imperatora. Później, gdy jej uroda zblednie, miała wrócić do kuchni, jeśli dopisze jej szczęście; jeśli nie, została wysłana do pracy w polu i tym samym skazana na wczesną śmierć. Mówiła o tym wszystkim bez użalania się nad sobą, tak jak ktoś inny mógłby opisywać życie konia albo psa. Katon nazywa siebie stoikiem, pomyślałem, ale to raczej ona nim jest; z uśmiechem przyjmuje swój los, a za pancerz przeciwko rozpaczcy ma tylko godność. Gdy jej to powiedziałem, roześmiała się.

– Daj spokój, Tironie – powiedziała. Rozłożyła ramiona i skinęła na mnie. – Koniec z poważnymi mowami. Oto moja filozofia: ciesz się krótkimi chwilami rozkoszy, gdy bogowie pozwalają, bo tylko w takich momentach mężczyzna i kobieta są tak naprawdę sami z sobą.

Kiedy obudziłem się o świcie, już jej nie było.

Zaskakuję cię, czytelniku? Pamiętam, że sam byłem zdziwiony. Po tylu latach wstrzemięźliwości przestałem sobie nawet wyobrażać takie rzeczy i pozostawiłem je poetom:

„Czym jest życie, czym są przyjemności bez złotej Afrodyty?”*. Znać słowa wiersza to jedno; nigdy jednak nie spodziewałem się, że poznam ich znaczenie.

* Fragment autorstwa Mimnermosa z Kolofonu, greckiego poety lirycznego z VII w. p.n.e.

Miałem nadzieję, że zostaniemy jeszcze chociaż na jedną noc, ale następnego ranka Cycero oznajmił, że wyjeżdżamy. Warunkiem powodzenia planu, który obmyślił, była absolutna tajemnica i im dłużej przebywał w Misenum, tym bardziej ryzykował, że

ktos dowie się o jego obecności. Po ostatniej krótkiej naradzie z Lukullusem wyruszyliśmy więc zamkniętym powozem w drogę powrotną. Gdy jechaliśmy w dół, w stronę drogi na wybrzeżu, spojrzałem przez ramię na dom. Widać było wielu niewolników; pracowali w ogrodach, krzątali się w różnych częściach wielkiej posiadłości, przygotowując ją na kolejny piękny wiosenny dzień. Cycero również się obejrzał.

– Obnoszą się ze swoim bogactwem – mruknął – a potem się dziwią, że są tak nienawidzeni. A jeśli Lukullus tak niewiarygodnie się wzbogacił, mimo że nie udało mu się pokonać Mityrydatesa, to wyobraź sobie, jak kolosalny majątek musiał zdobyć Pompejusz...

Nie wyobrażałem sobie tego i nie chciałem sobie wyobrażać. Było mi niedobrze. Nigdy wcześniej tak mocno nie uderzył mnie bezsens gromadzenia skarbów dla nich samych jak tego ciepłego pogodnego ranka, gdy za moimi plecami nikł z widoku ten dom.

Teraz, gdy Cycero opracował swoją strategię, pragnął jak najszybciej wprowadzić ją w życie, a w tym celu musieliśmy wrócić do Rzymu. Jeśli o niego chodziło, przerwa wiosenna się skończyła. Dotarliśmy do nadmorskiej willi w Formiae o zmierzchu, spędziliśmy w niej noc i o świcie znowu wyruszyliśmy w drogę. Jeśli Terencję irytowało, jak mąż traktuje ją i dzieci, nie okazała tego. Wiedziała, że bez nich będzie podróżował szybciej. W idy kwietniowe byliśmy już z powrotem w Rzymie i Cycero od razu powziął próbę dyskretnego skontaktowania się z Mureną. Namiestnik przebywał wciąż w swojej prowincji, Galii Zaalpejskiej, ale jak się okazało, przysłał swojego przybocznego, Klodiusza, żeby zaczął przygotowania do jego kampanii wyborczej. Cycero głośno zastanawiał się, co zrobić, ponieważ nie ufał Klodiuszowi, a poza tym nie chciał zdradzić się przed Cezarem i Katyliną, jawnie odwiedzając

młodego człowieka w jego domu. W końcu postanowił porozumieć się z nim za pośrednictwem jego szwagra, augura Metellusa Celera, i to doprowadziło do pamiętnego spotkania.

Celer mieszkał na Palatynie, niedaleko Katyliny, przy ulicy otoczonej pięknymi rezydencjami z widokiem na forum. Cycero uważał, że nikt nie zdziwi się, gdy zobaczy, że konsul zachodzi z wizytą do pretora. Kiedy jednak weszliśmy do willi, odkryliśmy, że jej pan wybrał się na całodniowe polowanie. W domu była tylko jego żona i to ona w towarzystwie kilku służących wyszła nas powitać. Z tego, co wiem, Cycero poznał Klodię dopiero wtedy i jej uroda oraz inteligencja zrobiły na nim wielkie wrażenie. Miała około trzydziestu lat i słynęła z wielkich ciemnych oczu o długich rzęsach – Cycero nazywał ją Panią Woloocką – którymi skutecznie się posługiwała: z ukosa rzucała mężczyznom uwodzicielskie spojrzenia albo patrzyła na nich przeciągle, kusząco. Miała wydatne usta i melodyjny głos, o odpowiedniej tonacji do plotek. Podobnie jak brat mówiła z modnym „miejskim” akcentem. Ale biada mężczyźnie, który by pozwolił sobie na zbyt dużą poufałość wobec niej – potrafiła w jednej chwili stać się prawdziwą przedstawicielką rodu Klaudiuszów: wyniosłą, bezwzględną, okrutną. Pewien rozpustnik imieniem Wettiusz, który próbował ją uwieść i spotkał się z porażką, puścił w obieg zręczny kalambur o niej: *in triclinio Coa, in cubiculo Nola* – w jadalni kusicielka, w łóżku niezdobyta forteca – z takim skutkiem, że dwaj inni jej wielbiele, Marek Kamurcjusz i Marek Cezerniusz, zemścili się na nim w jej imieniu: pobili go, a potem, żeby kara była stosowna do zbrodni, wzięli go od tyłu i zajeżdżili prawie na śmierć.

Można by pomyśleć, że ten świat był zupełnie obcy Ciceronowi, a jednak w jakimś stopniu rozpusta i skandale go pociągały, choć w senacie grzmiał przeciwko upadkowi obyczajów.

Może miał w sobie coś z aktora; zawsze uwielbiał towarzystwo

ludzi teatru. Nie lubił też nudziarzy, ani mężczyzn, ani kobiet, a o Klodii nie można było powiedzieć, że jest nudna. W każdym razie oboje wyrazili wielkie zadowolenie, że poznali się nawzajem, a kiedy Klodia zapytała niskim głosem, otwierając szeroko oczy i patrząc uwodzicielsko, czy pod nieobecność męża może coś zrobić dla Cyclerona – cokolwiek by zechciał – odparł, że owszem: chętnie zamieniłby na osobności słowo z jej bratem.

– Z Appiuszem czy Gajuszem? – zapytała, bo uznała, że pewnie miał na myśli któregoś z jej starszych braci; obaj zresztą byli równie poważni, ambitni i pozbawieni poczucia humoru.

– Z żadnym z nich. Chciałbym porozmawiać z Publiuszem.

– Z Publiuszem! Podły chłopak! Wybrałeś mojego ulubieńca.

Natychmiast posłała po niego niewolnika, na pewno do jakiejś jaskini hazardu, burdelu czy gdzie tam lubił się podziewać. Czekać na jego przybycie, oboje z Cycleronem przechadzali się po atrium i oglądali maski pośmiertne przodków z rodu Celatorów, którzy sprawowali urząd konsula. Ja wycofałem się w cień i dlatego nie słyszałem, co mówili, ale dobiegł mnie ich śmiech i uświadomiłem sobie, że przyczyną rozbawienia tych dwojga były zastygłe woskowe oblicza kolejnych pokoleń Metellusów – którzy, co trzeba tu powiedzieć, słynęli z głupoty.

Po przybyciu do domu Klodiusz skłonił się przed konsulem nisko i – jak pomyślałem – szyderczo, po czym serdecznie pocałował siostrę w usta i objął ją w pasie. Przebywał w Galii przez ponad rok, ale niewiele się zmienił. Był wciąż urodziwy jak kobieta – z tymi swoimi złotymi lokami, w luźnych strojach – i miał protekcyjnalny sposób patrzenia na świat. Do dziś trudno mi powiedzieć, czy on i Klodia naprawdę byli kochankami, czy po prostu lubili gorszyć szacowne towarzystwo. Później dowiedziałem się, że Klodiusz tak samo odnosił się publicznie do

wszystkich trzech swoich sióstr. Jednak Lukullus z pewnością uwierzył w plotki o kazirodztwie tych dwojga.

Jeśli Cycero był zaszokowany ich zachowaniem, nie okazał tego. Uśmiechnął się przepraszająco do Klodii i zapytał, czy mógłby porozmawiać z jej młodszym bratem bez świadków.

– Cóż, dobrze – odparła z udawaną niechęcią – ale jestem bardzo zazdrosna.

I wreszcie, pożegnawszy konsula poufałym uściskiem ręki, zniknęła we wnętrzu wielkiego domu, zostawiając nas trzech samych. Cycero i Klodiusz wymienili kilka uprzejmych słów o Galii Zaalpejskiej i trudach podróży przez Alpy, a potem Cycero zagadnął:

– Powiedz mi, Klodiuszu, czy prawdą jest, że twój zwierzchnik, Murena, będzie ubiegał się o konsulat?

– Owszem.

– Tak właśnie słyszałem. Muszę przyznać, że zaskoczyło mnie to. Czy twoim zdaniem ma szanse wygrać?

– I to z łatwością. Jest wiele sposobów.

– Naprawdę? Podaj choć jeden.

– Ludzie mają wobec niego zobowiązania, wciąż pamiętają, jakie wspaniałe urządził igrzyska, zanim został wybrany na pretora.

– Na pretora? Mój drogi, to było trzy lata temu! W polityce wszystko, co wydarzyło się przed trzema laty, to zamierzchłe czasy. Wierz mi, nikt tu już nie pamięta o Murenie. Co z oczu, to z myśli, tak to jest w Rzymie. Pytam więc jeszcze raz: jak chcecie zdobyć głosy?

Klodiusz nie przestał się uśmiechać.

– Myślę, że poprze go wiele centurii.

– Z jakiegóż to powodu? Patrycjusze będą głosować na Silanusa i Serwiusza. Popularzy na Silanusa i Katylinę. Kto wobec tego odda głos na Murenę?

- Daj nam czas, konsulu. Kampania się jeszcze nie zaczęła.
- Każda nowa kampania zaczyna się z końcem poprzedniej. Powiniście działać już od roku. I kto zajmie się tą cudowną agitacją?

- Ja.
- Ty?

Cycero rzucił to pytanie tak szyderczym tonem, że aż się skrzywiłem, i nawet Klodiusz, mimo swojej arogancji, wydawał się urażony.

- Mam pewne doświadczenie.
- Jakie doświadczenie? Nie jesteś nawet członkiem senatu.
- Wobec tego co, na bogów? Po co w ogóle do mnie przychodzisz, jeśli jesteś taki pewny, że przegramy?

Na jego twarzy malowała się taka wściekłość, że Cycero wybuchnął śmiechem.

- Kto tu mówi o przegranej? Ja? Młody człowieku – ciągnął, obejmując ramieniem Klodiusza – wiem coś niecoś o wyborach, o tym, jak się w nich wygrywa, i powiem ci jedno: mamy wszelkie szanse na powodzenie... jeśli będziesz robił dokładnie to, co ci powiem. Ale musisz się obudzić, zanim będzie za późno. Dlatego właśnie chciałem się z tobą zobaczyć.

Po tych słowach zaczął przechadzać się z Klodiuszem po atrium i wyklądać mu swój plan, podczas gdy ja podążałem za nimi z tabliczkami do notowania i zapisywałem jego zalecenia.

VII

O tym, że zamierza złożyć w senacie wniosek o przyznanie prawa do triumfu Lukullusowi, powiedział Cycero tylko najbardziej zaufanym senatorom – bratu Kwintusowi; byłemu konsulowi Gajuszowi Pizonowi; pretorom Pomptinusowi i Flakkusowi; takim przyjaciółom jak Gallus, Marcellinus i starszy Frugi; oraz przywódcom patrycjuszy, Hortensjuszowi, Katulusowi i Izaurykusowi. Potem oni z kolei wtajemniczyli innych. Wszyscy zostali zobowiązani do zachowania tajemnicy; powiedziano im, którego dnia mają stawić się w izbie, i nakazano trzymać się razem, cokolwiek by się działo, aż do zakończenia obrad. Hybrydy Cycero nie powiadomił.

Wyznaczonego dnia w budynku senatu panował niezwykle tłok. Przybyli starsi nobile, którzy od lat nie uczestniczyli w obradach, i zauważyłem, że Cezar wyczuł niebezpieczeństwo, ponieważ w takich chwilach dosłownie węszył: odchyłał głowę lekko do tyłu i rozglądał się podejrzliwie (pamiętam, że tak samo zachował się chwilę przed tym, jak został zamordowany). Jednakże Cycero przygotował wszystko znakomicie. Właśnie do księgi ustaw trafiał sążnisty projekt, ograniczający senatorom prawo refundowania wydatków poniesionych na nieoficjalne

podróże do prowincji. Był to rodzaj ustawy uderzającej w interesy prawodawców, która podnieca wszystkich politycznych nudziarzy; dlatego Cycero ustawił ich w kolejce i obiecał, że każdy z nich będzie mógł przemawiać, jak długo zechce. W chwili gdy odczytał porządek obrad, niektórzy senatorowie zgrzytnęli zębami i wstali, żeby wyjść, a po godzinie słuchania Kwintusa Kornificjusza – nawet w najlepszych czasach strasznie nudnego mówcy – szeregi zebranych przerzedziły się jeszcze bardziej. Niektórzy z naszych stronników udawali, że wychodzą, ale tak naprawdę kręcili się na ulicach w pobliżu budynku. W końcu nawet Cezar nie mógł już dłużej wysiedzieć i wyszedł – razem z Katyliną. Cycero odczekał jeszcze chwilę, po czym wstał i ogłosił, że właśnie otrzymał nowy wniosek, który chciałby przedstawić senatowi. Poprosił o głos brata Lukullusa, Marka, a ten następnie odczytał list od wielkiego dowódcy, który prosił senat o prawo odbycia triumfu przed wyborami konsularnymi. Cycero na to zauważył, że Lukullus już wystarczająco długo czekał na tę nagrodę, więc wniosek w tej sprawie zostanie poddany pod głosowanie. W tym czasie ławy patrycjuszy wypełniły się ponownie; zajęli je z powrotem ci, którzy czekali w pobliżu, podczas gdy po stronie popularów nie było prawie nikogo. Wysłano umyślonych po Cezara. Tymczasem ci wszyscy, którzy byli za przyznaniem Lukullusowi prawa do triumfu, zebrali się wokół jego brata i gdy przeliczono głosy, Cycero oświadczył, że wniosek został przyjęty stu dwudziestoma głosami przy szesnastu głosach sprzeciwu i że niniejszym zamyka się obrady. Pospiesznie ruszył przejściem poprzedzany przez liktorów, akurat gdy w drzwiach stanęli Cezar i Katylina. Obaj zrozumieli, że padli ofiarą podstępu i że ominęło ich coś ważnego, ale dopiero po godzinie czy dwóch dowiedzieli się, co to było takiego. W tej chwili mogli tylko usunąć się na bok i pozwolić konsulowi wyjść. To był upajający moment i Cycero przeżywał go raz po raz wieczorem przy kolacji.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się następnego dnia w senacie. Na ławach popularów poniewczasie zapanował ścisk i w budynku aż huczało. Krassus, Katylina i Cezar domyślili się już, co planuje Cycero, i jeden po drugim wstawali, aby domagać się powtórnego głosowania. Cycero jednak nie dał się zastraszyć. Orzekł, że było kworum, że Lukullus zasługuje na triumf i że ludziom należy się widowisko, które podniosłoby ich na duchu; jeśli o niego chodzi, sprawa jest zamknięta. Katylina jednak nie chciał usiąść i dalej domagał się, aby powtórzono głosowanie. Cycero spokojnie próbował przejść do wniosku o wydatkach na podróże. Ponieważ wrzawa trwała, obawiałem się, że obrady zostaną odłożone. Ale Katylina nie porzucił jeszcze nadziei na zdobycie władzy legalnie, a nie mieczem, i doszedł do wniosku, że konsul ma rację przynajmniej co do jednego: lud miejski zawsze lubił triumfy i nie będzie rozumiał, dlaczego jednego dnia obiecuje mu się rozrywkę, a następnego ją odbiera. W końcu więc z powrotem osunął się ciężko na ławę i machnął ręką gniewnie i z niesmakiem. Decyzja więc zapadła: Lukullus będzie miał swój dzień chwały w Rzymie.

Tego wieczoru Serwiusz przyszedł zobaczyć się z Cycerem. Szorstko odrzucił propozycję, aby napił się wina, i zapytał, czy plotki, krążące po mieście, są prawdziwe.

- Jakie plotki? – zapytał Cycero.
- Takie, że opuściłeś mnie, aby poprzeć Murenę.
- Oczywiście, że nie są prawdziwe. Będę głosował na ciebie i powiem to samo każdemu, kto mnie o to zapyta.
- To dlaczego postanowiłeś zaprzepaścić moje szanse, wpuszczając do miasta dawnych legionistów Mureny na tydzień przed głosowaniem?
- To, kiedy Lukullus odbędzie triumf, zależy tylko od niego.
- Ta odpowiedź, choć prawdziwa w sensie prawnym, była myląca w każdym innym. – Jesteś pewien, że nie chcesz się napić?

– Masz mnie aż za takiego głupca? – Pochylony Serwiusz aż drżał z emocji. – To przekupstwo, jawne, zwyczajne przekupstwo. Uczciwie cię uprzedzam, konsulu: zamierzam przedstawić w senacie wniosek zakazujący kandydatom albo ich poplecznikom urzędowania uczt czy igrzysk tuż przed wyborami.

– Posłuchaj, Serwiuszu, mogę ci udzielić pewnej rady? Pieniądze, uczt, rozrywki to zawsze była część kampanii wyborczej i zawsze będzie. Nie możesz siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż wyborcy sami do ciebie przyjdą. Musisz urządzić widowisko. Zadbać o to, aby pokazywać się wszędzie z tłumem zwolenników. Sypnąć pieniędzmi. Stać cię na to.

– To kupowanie głosów.

– Nie, raczej uwodzenie wyborców. Pamiętaj, to w większości ubodzy obywatele. Lubią mieć poczucie, że ich głos ma wartość i że wielu ludzi muszą się z nimi liczyć, choćby tylko raz w roku. Nic innego nie mają.

– Cynceronie, zdumiewasz mnie bezgranicznie. Nie spodziewałem się, że usłyszę coś takiego z ust rzymskiego konsula. Władza zepsuła cię do szpiku kości. Jutro zgłoszę swój wniosek.

– Cały Serwiusz... zawsze prawnik, nigdy polityk! Czy nie rozumiesz? Jeśli ludzie zobaczą, że zamiast zajmować się kampanią wyborczą, zbierasz dowody oskarżenia, pomyślą, że straciłeś nadzieję na zwycięstwo. A nie ma nic gorszego podczas walki wyborczej niż okazywanie niepewności.

– Niech sobie myślą, co chcą. Trybunały zdecydują. Od tego są.

Rozstali się z wzajemną urazą. Niemniej Serwiusz miał rację pod jednym względem: Cyncero jako konsul nie powinien popierać przekupstwa. I dlatego musiał zagłosować za wnioskiem o reformę finansowania kampanii wyborczej, który następnego dnia przedłożyli Serwiusz i Katon.

Kampania wyborcza trwała zazwyczaj cztery tygodnie; ta jednak ciągnęła się przez osiem tygodni. Suma pieniędzy, które wydano, była gigantyczna. Patrycjusze ustanowili fundusz, aby wesprzeć Silanusa, i wszyscy wnosili do niego składki. Katyliną uzyskał finansowe wsparcie od Krassusa. Murena otrzymał milion sestercji od Lukullusa. Tylko Serwiusz uparł się, że nic nie wyda, i chodził wszędzie z surową miną, w towarzystwie Katona i grupy sekretarzy, którzy zbierali wszelkie dowody nielegalnych wydatków. W tym czasie do Rzymu stopniowo napływali weterani Lukullusa, którzy za dnia obozowali na Polu Marsowym, a w nocy przybywali do miasta, żeby pić, grać i chodzić na dziwki. Katyliną odpowiedział na to, sprowadzając własnych zwolenników, głównie z północnego zachodu, a szczególnie z Etrurii. Obdarci i zdesperowani przybywali z pierwotnych puszczy i bagien tego zacofanego regionu: ekslegioniści, zbójcy, pastuchy. Publiusz Korneliusz Sulla, bratanek byłego dyktatora, popierający Katylinę, sprowadził trupę gladiatorów, oficjalnie dla rozrywki, ale faktycznie, żeby zastraszyć przeciwników. Na czele tej złowrogiej gromady zabijaków, zawodowych i amatorów, stał były centurion Gajusz Manliusz, który musztrował ich na łąkach za rzeką po drugiej stronie Pola Marsowego. Między dwoma stronnictwami trwały nieustanne bijatyki. Ludzie tłukli się pałkami na śmierć, topili nawzajem. Kiedy Katon oskarżył w senacie Katylinę, że inicjuje te gwałty, ten wstał powoli.

– Jeśli podkłada się ogień, żeby zniszczyć to, co do mnie należy – odpowiedział spokojnie, zwracając się w stronę Cyncerona – to go gaszę, jednak nie wodą, ale równając wszystko z ziemią.

Zapadła cisza i gdy znaczenie jego słów dotarło do wszystkich, w izbie rozległo się zbiorowe: „O! O!” – gdyż pierwszy raz Katyliną publicznie dał do zrozumienia, że może uciec się do użycia siły. Notowałem przebieg debaty, siedząc na swoim zwykłym miejscu, na lewo od Cyncerona, który oczywiście

zajmował krzesło kurulne na podwyższeniu. Zobaczyłem, że natychmiast skorzystał z okazji. Wstał i podniósł ręce, żeby uciścić zebranych.

– Senatorowie, to bardzo poważna sprawa. Żebyśmy dobrze zrozumieli to, co właśnie usłyszeliśmy. Sekretarzu, odczytaj izbie słowa Sergiusza Katyliny.

Nie zdążyłem się nawet zdenerwować przed tym pierwszym i jedynym w moim życiu wystąpieniem przed senatem Republiki Rzymskiej.

– „Jeśli podkłada się ogień, żeby zniszczyć to, co do mnie należy, to go gaszę, jednak nie wodą, ale równając wszystko z ziemią”.

Odczytałem to głośno i czym prędzej usiadłem, a serce biło mi tak mocno, że cały drżałem. Katyliną, który wciąż stał z przechyloną na bok głową, patrzył na Cyncerona z trudną do opisanego miną – były w niej bezczelna drwina, pogarda i jawna nienawiść, a może nawet cień lęku; nagły strach, który może doprowadzić desperata do desperackich czynów. Cyncero, który osiągnął swój cel, gestem polecił Katonowi, żeby kontynuował, i tylko ja, ponieważ byłem blisko, zauważyłem, że drżała mu ręka.

– Marek Katon wciąż ma głos – ogłosił.

Tego wieczoru Cyncero poprosił Terencję, żeby porozmawiała ze swoją wysoko postawioną informatorką, kochanką Kuriusza, i spróbowała się dowiedzieć, co dokładnie miał na myśli Katyliną.

– Pewnie zdał sobie sprawę, że przegra, więc to niebezpieczny moment. Może zamierza przeszkodzić w wyborach. Zrównać wszystko z ziemią? Zapytaj ją, czy wie, dlaczego użył takiego określenia.

Następnego dnia miał się odbyć triumf Lukullusa i ze względu na atmosferę Kwintus naturalnie bał się o bezpieczeństwo Cyncerona. Ale nic nie dało się zrobić. Nie można było zmienić

trasy pochodu uświęconej przez tradycję. A miały ściągnąć tłumy. Łatwo było sobie wyobrazić, że wypada z nich zdeterminowany zabójca, wbija długie ostrze w pierś konsula, a potem znika wśród zamieszania.

– Ale cóż – rzekł Cyncero. – Jeśli ktoś chce cię zabić, trudno go powstrzymać, zwłaszcza jeżeli gotów jest oddać życie podczas zamachu. Będziemy musieli zaufać opatrności.

– I braciom Sekstusom.

Nazajutrz wczesnym rankiem Cyncero wyruszył z całym senatem na Pole Marsowe, do Villa Publica, gdzie przed wkroczeniem do miasta zatrzymał się Lukullus. Willę otaczały namioty jego weteranów. Z typową dla niego arogancją Lukullus kazał delegacji czekać jakiś czas, a kiedy wreszcie się pojawił, wyglądał jarmarcznie, ubrany w złote szaty, z twarzą pomalowaną minią. Cyncero odczytał oświadczenie senatu, a potem wręczył mu wieniec laurowy, który Lukullus uniósł i pokazał weteranom, obrócił się dokoła, żeby wzbudzić entuzjazm, a później ostrożnie włożył na głowę. Ponieważ należałem teraz do pracowników skarbu, brałem udział w przemarszu, za urzędnikami i senatorami, ale przed wozami z łupami wojennymi i kolumną jeńców, wśród których znajdowało się kilku krewnych Mitrydatesa, paru pomniejszych książąt i kilku wodzów. Weszliśmy do Rzymu Bramą Triumfalną i głównie pamiętam uciążliwy upał panujący tego letniego dnia, wykrzywione twarze ludzi zgromadzonych po obu stronach ulic, obrzydliwy smród zwierząt – wołów i mułów ciągnących i niosących wszystkie te kruszce i dzieła sztuki – ich ryki i inne odgłosy zlewające się z okrzykami gapiów, a daleko za nami, jak odległy grzmot, tupot ciężkich butów legionistów. Muszę powiedzieć, że było to odrażające – całe miasto cuchnęło, a wszystkie te dźwięki przywodziły na myśl wiwarium – i tak trwało, aż przeszliśmy przez Circus Maximus i wróciliśmy Via Sacra na forum, gdzie musieliśmy zaczekać, aż dołączy do nas reszta pochodu. Przed karcerem stał

kat w otoczeniu swoich pomocników. Był z zawodu rzeźnikiem i tak też wyglądał – przysadzisty i barczysty w swoim skórzanym fartuchu. Tu panował największy tłok, bo ludzi zawsze podnieca cudza śmierć. Nieszczęśni jeńcy, z jarzmem na szyjach, o czerwonych twarzach, spalonych słońcem od długiego przebywania na dworze po latach spędzonych w ciemnościach, byli kolejno prowadzeni do carnifexa, który zabierał ich do karceru i tam dusił – na szczęście nie robił tego na widoku, choć pamiętam, że Cycero cały czas odwracał wzrok, rozmawiając uparcie z Hybrydą. Kilka rzędów dalej Katyliną przyglądał mu się z niemal lubieżnym zainteresowaniem.

Takie są moje zasadnicze wspomnienia z tego triumfu, ale muszę opisać jeszcze jedno zdarzenie. Otóż kiedy Lukullus przejeżdżał przez forum swoim rydwanem, podążał za nim konno Murena, który wreszcie przybył do Rzymu na wybory, zostawiwszy prowincję pod opieką brata. Otrzymał on głośne oklaski od tłumu. Ten kandydat na konsula wyglądał jak ucieleśnienie bohatera wojennego, w swoim błyszczącym napierśniku i wspianym hełmie z purpurowym pióropuszem, chociaż niezbyt długo służył w armii i trochę przytył w Galii Zaalpejskiej. Obaj mężczyźni zsiadli i ruszyli po schodach na Kapitol, gdzie czekał już na nich Cezar z Kolegium Kapłanów. Lukullus szedł przodem, oczywiście, ale jego legat podążał tylko kilka kroków za nim, i doceniłem geniusz Cycerona, który przewidział, że ten triumf stanie się wielkim wiecem wyborczym Mureny. Każdy z weteranów dostał nagrodę w postaci dziewięciuset pięćdziesięciu drachm, co równało się wówczas czteroletniemu żołdowi, a potem całe miasto i jego okolice zostały zaproszone na wystawną ucztę.

– Jeśli Murena nie wygra po czymś takim – powiedział do mnie Cyceron, gdy wybierał się na oficjalne przyjęcie – nie zasługuje na to, żeby żyć.

Następnego dnia zgromadzenie ludowe w drodze głosowania przyjęło projekt Serwiusza i Katona. Kiedy Cycero wrócił do domu, wyszła mu naprzeciw Terencja. Była blada i drżała, ale mówiła spokojnym głosem. Właśnie wróciła ze świątyni Dobrej Bogini. Miała przerażające wieści. Cycero musi przygotować się na nie. Jej przyjaciółka, ta arystokratka, która przysłała ją zawiadomić o spisku na jego życie, została znaleziona tego rana martwa w alejce za domem. Rozbito jej od tyłu głowę młotkiem, podcięto gardło i wypruto wnętrzności.

Cycero, gdy tylko ochłonął z wrażenia, wezwał Kwintusa i Attyka. Przybyli natychmiast i z przerażeniem wysłuchali jego relacji. Przed wszystkim martwiło ich bezpieczeństwo konsula. Uzgodnili, że w domu zostanie na noc kilku ludzi, aby patrolować pomieszczenia na dole. Inni w ciągu dnia będą stanowić eskortę konsula w miejscach publicznych. Zmieni on trasę do senatu i z powrotem. A przy drzwiach umieści się potężnego psa.

– Jak długo mam żyć jak więzień? Do końca życia?

– Nie – odparła Terencja, demonstrując swój rzadki dar dostrzegania sedna sprawy. – Do końca życia Katyliny, bo dopóki on będzie w Rzymie, nie zaznasz spokoju.

Cycero docenił jej mądrość i niechętnie wyraził zgodę na te wszystkie środki bezpieczeństwa, więc Attyk poszedł przesłać wiadomość ekwitom.

– Ale dlaczego musiał ją zabić? – głośno zastanawiał się Cycero. – Jeśli domyślił się, że była moją informatorką, to dlaczego po prostu nie ostrzegł Kuriusza, żeby nic przy niej nie mówił?

– Bo lubi zabijać – odparł Kwintus.

Cycero myślał przez chwilę, a potem zwrócił się do mnie:

– Wyślij jednego z liktorów, żeby odnalazł Kuriusza i powiedział mu, że chcę z nim rozmawiać.

– Zamierzasz zaprosić do swojego domu kogoś, kto bierze udział w spisku na twoje życie?! – zawołał Kwintus. – Chyba postradałeś rozum!

– Nie zostanę sam. Ty tu będziesz. On pewnie nie przyjdzie. A jeśli tak, może przynajmniej czegoś się dowiemy. – Spojrzał w nasze zaniepokojone twarze. – Tak? Czy ktoś ma lepszy pomysł?

Nikt jednak nie miał, więc poszedłem porozmawiać z liktorami, którzy grali w kości w rogu atrium; poleciłem najmłodszemu z nich odnaleźć Kuriusza i przyprowadzić go z sobą.

Był to jeden z tych długich letnich dni, kiedy słońce jakby nie miało ochoty zajść, i pamiętam, jaki panował spokój – drobiny pyłu wisiały prawie nieruchomo w snopach niknącego światła. W takie wieczory, kiedy w mieście słychać było jedynie bzyczenie owadów i ciche trele ptactwa, Rzym wydawał się najstarszym miejscem na świecie, tak starym jak sama ziemia; istniejącym całkowicie poza czasem. Trudno było uwierzyć, że w samym jego sercu – wśród senatorów – działają siły, które mogą go zniszczyć! Siedzieliśmy cicho wokół stołu, zbyt zdenerwowani, żeby zjeść posiłek, który nam podano. Przybyli dodatkowi stróże, których wezwał Attyk, i usadowili się w westybulu. Kiedy po godzinie czy dwóch cienie się wydłużyły, w domu zapadł mrok i niewolnicy zaczęli zapalać świece, doszedłem do wniosku, że albo nie udało się odnaleźć Kuriusza, albo odmówił przyjścia. W końcu jednak usłyszeliśmy, że drzwi frontowe się otwierają, a potem zamykają, i do pokoju wszedł liktor z senatorem, który rozejrzał się wokół podejrzliwie – najpierw zerknął na Cyncerona, potem na Attyka, Kwintusa, Terencję i na mnie, a potem znowu na Cyncerona. Niewątpliwie był przystojnym mężczyzną, trzeba mu to oddać. Jego słabością była gra w kości, nie

picie, a hazard nie zostawia tak widocznego piętna na powierzchowności człowieka.

– Cóż, Kuriuszu – zaczął spokojnie Cycero – to okropna historia.

– Wolałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy, nie przy innych.

– Nie przy innych? Na bogów, będziesz mówić przy całym Rzymie, jeśli tak każę! To ty ją zabiłeś?

– Bądź przeklęty, Cyceronie! – wykrzyknął Kuriusz i rzucił się na konsula, ale Kwintus w jednej chwili zerwał się na nogi i stanął mu na drodze.

– Spokojnie, senatorze – powiedział ostrzegawczo.

– Zabiłeś ją? – powtórzył pytanie Cycero.

– Nie!

– Ale wiesz, kto to zrobił?

– Tak! Ty! – Kuriusz jeszcze raz spróbował wyminąć Kwintusa, ale brat Cycerona był kiedyś żołnierzem i łatwo go powstrzymał. – To ty ją zabiłeś, niegodziwcze! – wykrzyknął znowu, szamocząc się w żelaznym uścisku Kwintusa. – Bo zabiłeś z niej swojego szpiega!

– Jestem gotów ponieść za to część odpowiedzialności – odparł Cycero, patrząc na niego zimno. – A ty?

Kuriusz wymamrotał coś niezrozumiale, wyrwał się Kwintusowi i odwrócił do wyjścia.

– Czy Katylina wie, że tu jesteś?

Kwintus pokręcił głową.

– Hm, to już przynajmniej coś. Posłuchaj mnie. Daję ci szansę, jeśli masz dość rozumu, żeby to pojąć. Związałeś swój los z szaleńcem. Jeśli dotąd nie zdawałeś sobie z tego sprawy, pora, żebyś to zrobił. Skąd Katylina się dowiedział, że ona była u mnie?

Kuriusz znowu mruknął coś, czego nikt nie rozumiał. Cycero przyłożył zwiniętą w trąbkę rękę do ucha.

– Co? Co mówisz?

– Ja mu powiedziałem! – Kuriusz popatrzył na Cyncerona ze łzami w oczach. Uderzył się pięścią w pierś. – Ona powiedziała mnie, a ja jemu! – Wciąż bił się w pierś, mocno, bardzo mocno, tak jak niektórzy ludzie ze wschodu, gdy oplakują zmarłych.

– Muszę wszystko wiedzieć. Rozumiesz? Muszę znać nazwiska, miejsca, pory, zamiary. Muszę wiedzieć, kiedy mnie zaatakujecie i w jakim miejscu. Jeśli mi nie powiesz, uznam to za zdradę.

– I dopuszczę się zdrady, jeśli ci to powiem!

– Zdrada złych ludzi jest cnotą. – Cyncero wstał. Położył Kuriuszowi ręce na ramionach i spojrzał mu w twarz. – Kiedy twoja pani tu przyszła, tak samo jak o mnie, martwiła się o ciebie i twoje bezpieczeństwo. Kazała mi obiecać... na życie moich dzieci... że zagwarantuję ci nietykalność, jeśli ten spisek wyjdzie na jaw. Pomyśl o niej, Kuriuszu, pomyśl, jak tam leżała: piękna, dzielna, złamana. Okaż się godny jej miłości i pamięci, zrób to, czego ona by sobie życzyła.

Kuriusz łkał; sam ledwie mogłem powstrzymać łzy, tak żałosną wizję przedstawił Cyncero; to i obietnica nietykalności okazały się skuteczne. Kiedy Kuriusz jako tako odzyskał panowanie nad sobą, obiecał, że da Cynceronowi znać, gdy dowie się czegoś konkretnego o zamiarach Katyliny. Tak więc Cyncero wciąż miał informatora w obozie nieprzyjaciela.

I nie musiał długo czekać.

Nazajutrz wypadła ostatni dzień przed wyborami i Cyncero miał przewodniczyć obradom senatu. Ze strachu przed zasadzką poszedł jednakże okrężną drogą, przez Eskwilin i w dół do Via Sacra. Trwało to dwa razy dłużej i kiedy przybył na miejsce, było już popołudnie. Jego krzesło kurulne zostało ustawione w

progu, więc usiadł na nim w cieniu; w otoczeniu liktorów przeczytał kilka listów i czekał na wynik wróżb. Kilku senatorów podeszło do niego, żeby zapytać, czy słyszał, co podobno rano powiedział Katylina. Zdaje się, że wygłosił na jakimś spotkaniu u siebie w domu gwałtowną tyradę. Cycero odparł, że nie, nie słyszał, i kazał mi dowiedzieć się czegoś na ten temat. Okrążyłem senaculum i podszedłem do jednego czy dwóch senatorów, z którymi łączyły mnie dobre stosunki. Rzeczywiście, aż huczało od plotek. Niektórzy twierdzili, że Katylina wzywał, by wymordować najbogatszych ludzi w mieście, inni – że nawoływał do buntu. Zanotowałem kilka zdań i już miałem wrócić do Cicerona, gdy obok mnie przeszedł Kuriusz i wsunął mi do ręki skrawek papirusu. Był trupio blady ze strachu.

– Przekaż to konsulowi – szepnął i zanim zdążyłem odpowiedzieć, odszedł.

Rozejrzałem się wokół. Ze stu albo więcej senatorów rozmawiało w grupach. Wydawało mi się, że nikt nie widział tego zdarzenia.

Pospiesznie udałem się do Cicerona i oddałem mu liścik. Pochyliłem się i szepnąłem mu do ucha:

– To od Kuriusza.

Rozłożył papirus i patrzył na niego przez chwilę. Twarz mu stężała. Podał mi liścik, który głosił: „Zostaniesz zamordowany jutro podczas wyborów”. W tej samej chwili zjawili się augurowie i oświadczyli, że wróżby są pomyślne.

– Jesteście tego pewni? – zapytał Cycero grobowym głosem.

Zapewnili solennie, że tak. Widziałem, że zastanawia się, co powinien zrobić. W końcu wstał, dał znak liktorom, żeby wzięli jego krzesło, i wszedł za nimi do chłodnej, ciemnej izby senatu. Senatorowie ruszyli za nami.

– Wiemy, co powiedział dziś rano Katylina?

– Niedokładnie.

Gdy szliśmy głównym przejściem, rzekł do mnie po cichu:

– Obawiam się, że to ostrzeżenie nie jest bezpodstawne. Jeśli się zastanowić, to jedyny termin, co do którego mają pewność, gdzie będę... na Polu Marsowym, przewodnicząc głosowaniu. W takim tłumie z łatwością może podejść do mnie dziesięciu czy dwudziestu ludzi i zaatakować. – Dotarliśmy do podwyższenia i ławy powoli się zapełniały. Cycero obejrzał się i potoczył wzrokiem po postaciach w białych togach. – Jest tu Kwintus?

– Nie, pozyskuje wyborców.

Zresztą brakowało wielu senatorów. Wszyscy kandydaci na konsula i większość tych, którzy ubiegali się o stanowiska trybunów i pretorów – łącznie z Kwintusem i Cezarem – woleli poświęcić popołudnie na spotkania z wyborcami niż na sprawy państwowe. Tylko Katon był na miejscu – czytał swoje rachunki. Cycero skrzywił się i zacisnął dłoń w pięść, zgniatając w niej wiadomość od Kuriusza. Stał tak przez jakiś czas, dopóki nie zauważył, że przygląda mu się cała izba. Wszedł po stopniach, żeby zasiąść na krześle.

– Senatorowie – zaczął – właśnie zawiadomiono mnie o poważnym, niebezpiecznym spisku przeciwko republice, który przewiduje także zamordowanie pierwszego konsula. – Wszyscy gwałtownie zaczerpnęli powietrza. – Ponieważ należy zbadać i omówić dowody, proponuję przełożyć jutrzejsze wybory na późniejszy termin, dopóki nie ocenimy należycie powagi tego zagrożenia. Czy ktoś jest przeciwny? – Rozległy się pomruki będące wyrazem podniecenia, ale wśród nich nie wybił się żaden wyraźny głos. – W takim razie przekładam sesję senatu na jutrzejszy dzień o pierwszym świcie. – I po tych słowach ruszył do wyjścia w towarzystwie liktorów.

W Rzymie zapanowało wielkie zamieszanie. Cycero wrócił prosto do domu i próbował się dowiedzieć, co dokładnie powiedział Katylin – rozesłał umyślnych i sekretarzy po całym

mieście, do osób, które mogły mieć jakieś informacje. Mnie kazał sprowadzić Kuriusza z jego domu na Awentynie. Początkowo odźwierny nie chciał mnie wpuścić – powiedział, że senator nie chce nikogo widzieć – ale przekazałem wiadomość od Cyncerona i w końcu Kuriusz mnie przyjął. Był w stanie załamania nerwowego, miotał się między strachem przed Katylina a lękiem, że zostanie wplątany w zabójstwo konsula. Nie chciał pójść ze mną i spotkać się z Cynceronem twarzą w twarz, mówił, że to zbyt niebezpieczne. Z wielkim trudem udało mi się go przekonać, żeby opowiedział mi o spotkaniu w domu Katyliny.

Podobno byli tam wszyscy jego poplecznicy; razem z nim, jedenastu senatorów. Zjawili się też kilku ekwitów – wymienił Nobiliora, Statyliusza, Kapitę i Korneliusza – a także były centurion Manliusz i wielu niezadowolonych z Rzymu i całej Italii. Scena wyglądała dramatycznie. Dom był pusty, ogołocony ze wszystkich sprzętów – Katylina stracił cały majątek i na domu ciążyły długi; pozostał tylko srebrny orzeł będący kiedyś znakiem Mariusza, gdy walczył on przeciwko patrycjuszom. Jeśli chodzi o to, co konkretnie powiedział Katylina, według Kuriusza brzmiało to mniej więcej tak (zanotowałem zgodnie z tym, co mi dyktował):

„Przyjaciele, od kiedy Rzym pozbył się królów, rządzi nim potężna oligarchia, która sprawuje kontrolę nad wszystkim: urzędami państwowymi, ziemią, armią, pieniędzmi uzyskiwanymi z podatków, naszymi zamorskimi prowincjami. Pozostali, choćby bardzo się starali, są nikim. Nawet ci wysoko urodzeni z nas muszą kłaniać się i zabiegać o względy tych, którzy w normalnie rządzonym państwie traktowaliby nas z respektem. Wiecie, kogo mam na myśli. Dzierżą oni w swoich rękach całą władzę, wpływy, urzędy i bogactwa; nam pozostały niebezpieczeństwa, kłęski, prześladowania i bieda.

Jak długo, dzielni towarzysze, będziemy to znosić? Czyż nie lepiej zginać mężnie i skończyć z tym, niż żyć w nędzy i hańbie jako pionki z rękach innych? Bo przecież tak być nie musi. Mamy siłę młodości i odważne serca, podczas gdy nasi wrogowie są osłabieni z racji wieku i łatwego życia. Mają po dwa, trzy, cztery domy połączone razem; my nie mamy własnego kąta. Oni mają obrazy, posągi i stawy rybne, my mamy ubóstwo i długi. Czekają nas tylko jeszcze większa nędza.

Zbudźcie się więc! Zaświtała wam szansa na wolność – na honor, chwałę i nagrody, jakie daje zwycięstwo! Wykorzystajcie mnie, jeśli chcecie, jako dowódcę czy żołnierza w waszych szeregach i pamiętajcie o łupach, jakie można zdobyć na wojnie! Gdybym był konsulem, to właśnie bym dla was uczynił! Nie bądźmy dłużej niewolnikami! Bądźmy panami! I przynamniej pokażmy światu, że jesteście mężczyznami!”

Tak w przybliżeniu przedstawiała się mowa Katyliny; wygłoszący ją, udał się do głębiej położonego pomieszczenia, aby porozmawiać z najbliższymi towarzyszami, nie wyłączając Kuriusza. Tam, starannie zamknąwszy za sobą drzwi, przypomniał im o przysiędze, którą złożyli, oświadczył, że przyszła pora ruszyć do ataku, i zaproponował, żeby zabili Cyncerona następnego dnia na Polu Marsowym podczas wyborów, gdy będzie zamieszanie. Kuriusz twierdził, że nie został do końca narady, tylko wymknął się, żeby ostrzec Cyncerona. Nie chciał podpisać oświadczenia na ten temat. Nie zamierzał też wystąpić jako świadek. Domagał się, aby jego udział w tej sprawie za wszelką cenę pozostał tajemnicą.

– Powiedz konsulowi, że jeśli się na mnie powoła, wyprę się wszystkiego.

Gdy dotarłem do domu Cyncerona, drzwi były już zaryglowane i wpuszczano tylko osoby znane i godne zaufania. Na ulicy zebrał się tłum. Kiedy wszedłem do gabinetu, byli tam już

Kwintus i Attyk. Przekazałem wiadomość od Kuriusza i pokazałem Cycleronowi zapis słów Katyliny.

– Teraz mam go w garści! – wykrzyknął. – Tym razem posunął się za daleko!

I posłał po przywódców senatu. W ciągu popołudnia i wieczoru przybyło ich ze dwunastu, między innymi Hortensjusz i Katulus. Cycero pokazał im treść wystąpienia Katyliny, wraz z niepodpisanym ostrzeżeniem przed zamachem. Kiedy jednak odmówił ujawnienia źródła informacji, kilku – zwłaszcza Katulus, który kiedyś blisko przyjaźnił się z Katyliną – wykazało sceptycyzm. Znali przebiegłość Cyclerona i widocznie podejrzewali, że wymyślił całą tę intrygę, aby zdyskredytować wroga. Zdenerwowany ich reakcją Cycero zaczął tracić pewność siebie.

Są takie chwile w polityce, i ogólnie w życiu, kiedy nie ma dobrego rozwiązania; to była jedna z takich sytuacji. Nic nie mówić i przeprowadzić wybory było szaleńczym ryzykiem. Z kolei przełożenie ich bez dostatecznych powodów wyglądałoby na objaw paniki. Cycero spędził bezsenną noc – niepokoił się, co powie w senacie – i choć ten jeden raz było to po nim rano widać. Wyglądał na człowieka przerażonego i wyczerpanego.

Tego dnia, gdy senat ponownie zebrał się na obrady, na ławach nie było ani skrawka wolnego miejsca. Senatorowie stali pod ścianami i tłoczyli się w przejściach. Odczytano wróżby i o świcie otwarto drzwi. Była to najwcześniejsza sesja, jaką ktokolwiek pamiętał. Mimo to nastał już letni upał. Wszyscy zastanawiali się: czy konsul ogłosi wybory, czy nie? Na forum zebrało się mnóstwo obywateli, głównie zwolennicy Katyliny, i w izbie słychać było ich gniewne okrzyki domagające się prawa głosu. Za murami miasta na Polu Marsowym stały już zagrody wyborcze i urny do głosowania. W budynku senatu panowała taka atmosfera, jakby zaraz mieli tu stoczyć walkę dwaj gladiatorzy.

Gdy Cycero wstał, zobaczyłem, że Katyliną, zajmujący miejsce na przedniej ławie, wśród kolegów, ma taką samą zimną, bezczelną minę jak zwykle. Niedaleko niego siedział z założonymi rękami Cezar.

– Senatorowie – zaczął Cycero – żaden konsul nie zakłóca bez powodu świętych wyborów... a zwłaszcza taki konsul jak ja, który wszystko, co ma, zawdzięcza wyborowi przez lud rzymski. Jednakże wczoraj doniesiono mi o spisku mającym zbezczęścić ten najświętszy rytuał... spisku, intrydze, znowie zdesperowanych ludzi, którzy chcieli wykorzystać zamieszanie panujące w dniu wyborów, żeby zamordować waszego konsula, wywołać chaos w mieście i w ten sposób przejąć władzę nad państwem. Ten zbrodniczy plan nie został powzięty w jakimś obcym kraju ani w przestępczej melinie, ale w samym sercu miasta, w domu Sergiusza Katyliny.

Senatorowie słuchali w zupełnej ciszy, gdy Cycero odczytał list od Kuriusza, nie ujawniając tożsamości autora („Zostaniesz zamordowany jutro podczas wyborów”), a następnie przytoczył mowę Katyliny („Jak długo, dzielni towarzysze, będziemy to znosić?”), a kiedy skończył, oczy wszystkich skierowane były w jeden punkt – na Katylinę.

– Pod koniec tego wywrotowego wystąpienia – zakończył Cycero – Katyliną udał się na naradę z innymi, żeby obmyślić plan, nie po raz pierwszy, jak najlepiej będzie mnie zabić. Tyle się dowiedziałem, senatorowie, i uznałem za swój obowiązek przekazać wam to, abyście mogli zdecydować, jak w tej sytuacji należy postąpić.

Usiadł i po chwili ciszy ktoś zawołał: „Odpowiedz!” – a pozostali podchwycili to żądanie, gniewnie rzucając je niczym oszczep ku Katylinie:

– Odpowiedz! Odpowiedz!

Katyliną wzruszył ramionami, uśmiechnął się półgębkiem i

wstał. Był potężnym mężczyzną. Już samą swoją postawą sprawił, że wszyscy w izbie zamilkli ze strachu.

– Dawniej, w czasach, gdy przodkowie Cyclerona jeszcze ruchali kozy, czy jak się tam zabawiają w górach, z których pochodzi... – Przerwały mu śmiechy; niektóre, muszę to powiedzieć, dochodziły z ław patrycjuszy wokół Katulusa i Hortensjusza. – W tamtych czasach – ciągnął, gdy wrzawa ucichła – kiedy moi przodkowie sprawowali urząd konsula, a republika była młodsza i bardziej prężna, przewodzili nam wodzowie, a nie prawnicy. Obecny tu nasz uczone konsul oskarża mnie o nawoływanie do buntu. Jeśli tak chce to nazwać, dobrze, niech to będzie bunt. Ja nazywam to wołaniem o prawdę. Kiedy patrzę na tę republikę, senatorowie, widzę dwa ciała. Jedno – powiedział, wskazując patrycjuszy, a potem Cyclerona, który wciąż siedział nieruchomo na swoim krześle – jest słabe i ma słabą głowę. Drugie – tu wskazał drzwi i rozciągające się za nimi forum – jest silne, ale w ogóle nie ma głowy. Wiem, które ciało wolę, i dopóki żyję, nie pozwolę, żeby chodziło bez głowy!

Gdy teraz piszę te słowa i patrzę na nie, wydaje mi się zadziwiająco, że Katyliną nie został od razu pojmany i oskarżony o zdradę. Miał jednak potężnych sojuszników i gdy tylko zajął z powrotem swoje miejsce, poderwał się Krassus. A tak, Marek Licyniusz Krassus – nie poświęciłem mu dość miejsca w tej części mojej relacji! Pozwólcie więc, że to naprawię. Ten łowca spadków po starszych damach; ten zdierca pożyczający pieniądze na lichwiarski procent; ten pan dzielnic nędzy; ten spekulant i ciułacz; ten był konsul, łysy jak kolano i twardy jak krzemień – ten Krassus był doskonałym mówcą, gdy się postarał, a tego ranka wyteżył swój przebiegły umysł.

– Wybaczcie mi tępotę, koledzy senatorowie – powiedział na początek. – Może czegoś nie zrozumiałem, ale słuchałem z uwagą i nie zauważyłem cienia dowodu, który by uzasadniał

przełożenie wyborów choćby o jeden dzień. Do czego sprowadza się ten rzekomy spisek? Do anonimowego liściku? Cóż, mógł go napisać sam konsul, i jest wielu, którzy by nie dali głowy, iż tego nie zrobił! Stenogram przemówienia? Nie brzmiał dla mnie szczególnie niepokojąco. A nawet przypominał mowy samego Marka Tulliusza Cyncerona, tego radykalnego „nowego człowieka”, które wygłaszał, zanim związał się z moimi kolegami patrycjuszami z ław naprzeciwno.

To był celny cios. Krassus ujął przód swojej togi kciukami i palcami wskazującymi, po czym rozstawił łokcie, jak wieśniak wygłaszający swoją opinię o owcy na targu.

– Bogowie wiedzą, tak jak i wy wszyscy wiecie... i dzięki za to opatrności... że nie jestem ubogim człowiekiem. Nic nie zyskam na powszechnym unieważnieniu długów; wręcz przeciwnie. Ale nie wydaje mi się, że Katyliną powinien zostać pozbawiony prawa kandydowania na urząd ani żeby należało przesunąć te wybory choćby o godzinę później na podstawie tych nikłych dowodów, które nam przed chwilą przedstawiono. Dlatego przedkładał następujący wniosek: żeby wybory zaczęły się natychmiast, żeby ta sesja została przełożona i żebyśmy udali się na Pole Marsowe.

– Popieram ten wniosek! – zawołał Cezar, zrywając się na równe nogi. – I postuluję, żebyśmy go od razu przegłosowali i nie tracili dłużej czasu na te wybiegi. Wybory nowych konsulów i pretorów mogłyby zakończyć się przed zachodem słońca, zgodnie z naszymi starodawnymi prawami.

Jak szala wagi może nagle przechylić się w jedną albo drugą stronę po dodaniu kilku ziaren zboża, tak atmosfera panująca tego rana w izbie senatu zmieniła się radykalnie. Ci, którzy zaledwie chwilę wcześniej krzyczeli na Katylinę, teraz zaczęli domagać się rozpoczęcia wyborów, i Cyncero uznał przezornie, że lepiej w ogóle nie poddawać tego wniosku pod głosowanie.

– Wola zebranych nie budzi wątpliwości – oświadczył martwym głosem. – Przystępujemy do wyborów. – I dodał cicho: – Niech bogowie chronią naszą republikę.

Nie sądzę, żeby wielu ludzi go usłyszało, a już na pewno nie Katyliną i jego banda, którzy nawet nie okazali względów należnych konsulowi, pozwalając mu pierwszemu opuścić izbę. Wzniesli pięści i rycząc triumfalnie, zaczęli przepychać się w przejściu, żeby wyjść na forum.

Cycero był w kropce. Nie mógł wrócić do domu jak tchórz. Musiał udać się za Katyliną, bo jego obecność na Polu Marsowym jako najwyższego urzędnika była niezbędna do rozpoczęcia wyborów. Kwintus, który zawsze przede wszystkim martwił się o bezpieczeństwo brata i przewidział taki właśnie bieg wypadków, wziął z sobą swój stary wojskowy napierśnik i nalegał teraz, żeby Cycero włożył go pod togę. Widziałem, że mój pan się waha, ale pod wpływem dramatyzmu sytuacji dał się przekonać i gdy grupa senatorów stanęła wokół, aby go zasłonić, pomogłem mu zdjąć togę i z pomocą Kwintusa przywiązałem brązowy napierśnik, który potem ukryłem pod togą. Oczywiście pod białą wełną wyraźnie rysował się sztywny kształt; Kwintus jednak zapewnił brata, że to dobrze, bo odstraszy ewentualnego zamachowca. Tak zabezpieczony, pod zwartą eskortą liktorów i senatorów, Cycero z wysoko uniesioną głową wyszedł z budynku senatu w blask i zgiełk dnia wyborów.

Lud zmierzał już na zachód, w stronę Pola Marsowego, i daliśmy się unieść jego strumieniowi. Jednakże dołączało się coraz więcej naszych zwolenników, którzy otaczali Cyncerona, aż między nim a tłumem powstał ochronny pierścień liczący co najmniej czterech, pięciu ludzi. Taka ciżba może stanowić przerażający widok – jest jak potwór, nieświadomy własnej siły, gotów pod wpływem impulsu ruszyć w tę lub tamtą stronę, trącić i miażdżyć w panice. Tłum na miejscu wyborów był tego dnia nieprzebrany i wcisnęliśmy się weń jak klin wbijany w blok

drewna. Szedłem obok Cyclerona, byliśmy stale popychani i potrącani przez naszą eskortę, aż dotarliśmy do miejsca przeznaczonego dla konsula. Składało się z długiej trybuny z prowadzącą na nią drabiną oraz namiotu, gdzie mógł odpocząć. Po jednej stronie, za ogrodzeniem dla owiec, znajdowało się miejsce dla kandydatów, których było ze dwudziestu (tego dnia miano wybrać obu konsulów i ośmiu pretorów). Katylina rozmawiał z Cezarem i kiedy zobaczyli, że przybył Cycero, zaczerwieniony na twarzy od upału i ciężkiego pancerza, który dźwigał na sobie, obaj zaśmiali się głośno i zaczęli wskazywać go innym.

– Nigdy więcej nie włożę tego przekleństwa – mruknął Cycero. – Pocę się w nim jak prosię, a nie chroni nawet głowy i szyi.

Niemniej, ponieważ wybory były już opóźnione, nie miał czasu zdjąć napierśnika, bo musiał natychmiast przystąpić do narady z augurami. Ci oświadczyli, że wróżby są pomyślne, więc Cycero wydał polecenie, żeby zaczynało. Wszedł na trybunę, a za nim ruszyli kandydaci. Potem mocnym głosem, bez drżenia, odmówił kolejno wszystkie modlitwy. Zabrzmiały trąbki, na maszcie nad Janikulum wciągnięto czerwoną flagę i pierwsza centuria przemaszerowała przez most, żeby oddać głosy. Później trzeba było już tylko pilnować, żeby szeregi głosujących się przesuwali, godzina po godzinie. Rozpalone słońce prażyło na niebie, a Cycero gotował się jak homar w swoim pancerzu.

Prawdę mówiąc, sędzę, że zostałby tego dnia zamordowany, gdyby nie postąpił tak, jak postąpił. Spiskowcy działają w mroku, a tu padło na nich tak silne światło, że się przestraszyli i chwilowo zawiesili swoje poczynania. Patrzyło zbyt wielu ludzi; gdyby Cycero padł ofiarą zamachu, wiadomo by było, kto jest za to odpowiedzialny. A w każdym razie, ponieważ wszczął alarm, znalazł się w otoczeniu tylu przyjaciół i sprzymierzeńców, że trzeba by kilkudziesięciu gotowych na wszystko ludzi, aby go dopaść.

Tak więc wybory przebiegły normalnie i nikt nie podniósł na Cynceroną ręki. Miał on przynajmniej tę jedną drobną satysfakcję, że mógł ogłosić swojego brata nowym pretorem. Kwintus jednak zdobył mniej głosów, niż się spodziewano, natomiast Cezar pobił pozostałych kandydatów na głowę. Rezultaty wyborów konsularnych były zgodne z przewidywaniami: pierwszym konsulem został Juniusz Silanus, a drugim – Murena; Serwiusz i Katylina znaleźli się razem na trzecim miejscu. Katylina skłonił się szyderczo Cynceronowi i opuścił pole w gronie swoich zwolenników; nie oczekiwał innego wyniku. Serwiusz, przeciwnie, źle przyjął porażkę i przyszedł do namiotu Cyncerona po ogłoszeniu rezultatów, aby wygłosić przeciwko niemu gniewną tyradę za to, że wspierał najbardziej skorumpowaną kampanię wyborczą w historii.

– Wystąpię przeciwko temu w sądach. Moje oskarżenie jest nie do odparcia. Ta bitwa się jeszcze nie skończyła, o nie!

Wyszedł z godnością, wraz z sekretarzami, którzy nieśli skrzynki zawierające dowody. Cyncero, z wyczerpania bezwładnie spoczywający na swoim krześle kurulnym, zaklął porytowany, odprowadzając go wzrokiem. Próbowałem powiedzieć mu coś na pocieszenie, ale szorstko kazał mi zamilknąć i zrobić dla odmiany coś pożytecznego: pomóc mu zdjąć ten przeklęty pancerz. Skórę na ciele miał otartą do krwi od metalu i w chwili gdy się od niego uwolnił, obiema rękami z furią rzucił napierśnik w przeciwległy kąt namiotu, gdzie wylądował z brzękiem.

VIII

Cycerona ogarnęła straszliwa melancholia, tak głęboka, jakiej jeszcze u niego nie widziałem. Terencja wyjechała z dziećmi, aby spędzić resztę lata na wyżej położonych, chłodnych terenach Tuskulum, konsul natomiast pozostał w Rzymie i pracował. Upał dawał się we znaki bardziej niż kiedykolwiek, smród ścieków dochodzący spod forum unosił się aż na wzgórza i wielu obywateli umierało na potną gorączkę; ich chore ciała jeszcze potęgowały fetor. Często się zastanawiałem, co historia wiedziałaby o Cyceronie, gdyby także on padł wtedy ofiarą tej śmiertelnej choroby – i odpowiedź brzmi: niewiele. W wieku czterdziestu trzech lat nie mógł pochwalić się żadnymi zwycięstwami militarnymi. Nie napisał jeszcze żadnego wybitnego dzieła. Owszem, zdobył konsulat, ale przecież udawało się to także różnym miernotom, czego najlepszym przykładem był Hybryda. Jediną ważną ustawę, jaką wniósł do zbioru praw, stanowił akt reformy finansów, którego z całego serca nie znosił. Tymczasem Katylina wciąż był na wolności, a Cycero stracił na prestiżu, gdyż uważano, że uległ panice w przeddzień wyborów. Gdy lato przeszło w jesień, jedną trzecią konsulatu miał już za sobą

i niczego dotąd nie osiągnął – z czego zdawał sobie sprawę do-
tkliwiej niż ktokolwiek inny.

Pewnego dnia we wrześniu zostawiłem go samego ze stosem dokumentów prawnych do przeczytania. Od wyborów minęły już prawie dwa miesiące. Serwiusz spełnił swoją groźbę, że wnieście oskarżenie przeciwko Murenie, i dążył do tego, żeby jego zwycięstwo uznano za nieważne. Cyncero czuł, że nie ma wielkiego wyboru, że musi wesprzeć człowieka, któremu pomógł w zdobyciu konsulatu. Znowu więc miał wystąpić obok Hortensjusza, a dowodów, z którymi musiał się zapoznać, było mnóstwo. Gdy jednak wróciłem do domu po kilku godzinach, dokumenty leżały nietknięte. Cyncero nie ruszył się z leżanki i przyciskał poduszkę do brzucha. Zapytałem, czy źle się czuje.

– Boli mnie serce – odparł. – Po co te wszystkie trudy i starania? Nikt nie będzie pamiętał mojego imienia... już nawet za rok, a co dopiero za tysiąc lat. Jestem skończony... nic mi się nie udało.

Westchnął i wbił wzrok w sufit, opierając wierzch dłoni na czole.

– A takie miałem marzenia, Tironie... takie nadzieje na chwałę i szacunek. Chciałem być tak sławny jak Aleksander. Ale wszystko poszło nie tak. A wiesz, co najbardziej mnie dręczy w bezsenne noce? To, że nie widzę, co mogłem zrobić inaczej.

Wciąż utrzymywał stosunki z Kuriuszem, który nie przestał boleć nad śmiercią swojej kochanki; cierpiał nawet bardziej. Cyncero dowiedział się od niego, że Katylina nadal spiskował przeciwko państwu, i to znacznie poważniej. Dochodziły do nas niepokojące wieści o krytych wozach z bronią, które pod osłoną ciemności jeździły drogami pod Rzymem. Powstały nowe listy senatorów sympatyzujących z Katyliną, wśród których według Kuriusza znaleźli się dwaj nowi arystokraci: Marek Klaudiusz Marcellus i Kwintus Scypion Nazyka. Kolejny złowrózby znak

stanowiło to, że Gajusz Manliusz, dzikooki przyboczny Katyliny, zniknął z bocznych uliczek Rzymu, gdzie lubił się szwendać, i podobno przemierzał Etrurię, rekrutując zbrojne bandy zwolenników. Kuriusz nie miał żadnych pisemnych dowodów, które by to potwierdzały – Katyliną był na to zbyt sprytny – i w końcu, ponieważ zadawał za dużo pytań, współkonspiratorzy zaczęli podejrzewać go o nielojalność i powoli wykluczyli ze swojego kręgu. Tak więc źródło informacji Cycerona stopniowo wysychało.

Pod koniec miesiąca Cycero postanowił jeszcze raz zaryzykować swoją wiarygodność i podnieść tę sprawę w senacie. To była katastrofa.

– Doniesiono mi... – zaczął, ale nie mógł kontynuować z powodu śmiechów, które rozległy się w izbie.

Dwa razy bowiem tak właśnie zaczynał, „doniesiono mi...”, gdy podejmował w senacie sprawę Katyliny, i to sformułowanie stało się złośliwym powiedzeniem. Obwiesie na ulicy wołali za nim, gdy przechodził: „O, patrzcie! To Cycero! Czyżby mu doniesiono...?”. Przeciwnicy w senacie krzyczeli, kiedy przemawiał: „Czyżby coś ci doniesiono, Cyceronie?”. I teraz musiał powtórzyć to znowu. Uśmiechnął się słabo i udawał, że nie zwraca na to uwagi, ale oczywiście tak nie było. Gdy jakiś przywódca zaczyna być wyśmiewany, traci autorytet i jest skończony.

– Nie wychodź bez pancerza! – zawołał ktoś, gdy Cycero opuszczał izbę, i wszyscy zatrzęśli się ze śmiechu.

Po tym zdarzeniu zamknął się w swoim gabinecie i przez kilka dni prawie go nie widywałem. Więcej czasu spędzał z Sosituszem, młodszym sekretarzem, niż ze mną; i poczułem się dziwnie zazdrosny.

Był jeszcze jeden powód jego melancholii, chociaż niewielu by się tego domyśliło, a gdyby tak się stało, Cycero byłby zażenowany. W październiku miała wyjść za mąż jego córka – i to

go niepokoiło, jak mi wyznał. Nie żeby nie lubił jej przyszłego małżonka, młodego Gajusza Frugi, z rodu Pizonów; wręcz przeciwnie, sam przecież zaaranżował to małżeństwo, żeby zdobyć głosy jest jego krewnych. Ale po prostu tak bardzo kochał Tulię, że nie mógł znieść myśli o rozstaniu z nią. Kiedy w przeddzień ślubu zobaczył, jak zgodnie z tradycją córka pakuje swoje zabawki z dzieciństwa, łzy napłynęły mu do oczu i musiał wyjść z pokoju. Miała dopiero czternaście lat. Następnego dnia w domu Cycerona odbyła się uroczystość zaślubin i miałem zaszczyt być na niej obecny, razem z Attykiem i Kwintusem, a także całym tłumem Pizonów (o bogowie, co to była za brzydka i smętna gromada!). Muszę przyznać, że kiedy Tulia zeszła po schodach, prowadzona przez matkę, cała w bieli i w welonie, z upiętymi włosami i świętym pasem w talii, sam się rozpląkałem; płacząc i teraz na wspomnienie jej dziewczęco poważnej buzi, gdy powtarzała słowa prostej przysięgi, tak brzemiennej w znaczeniu: „Gdzie ty, Kajuszu, tam i ja, Kaja”. Frugi wsunął jej pierścień na palec i pocałował ją czule. Zjedliśmy weselne ciasto i część z niego złożyliśmy w ofierze Jowiszowi; potem, przy śniadaniu weselnym, gdy mały Marek usadowił się na kolanach siostry i próbował skraść jej wonny wianek, Cycero wznosił toast za zdrowie nowożeńców.

– Oddaję ci, Frugi, co mam najlepszego; nie ma łagodniejszej natury, słodsze go charakteru, większej lojalności i odwagi...

Mógł tak ciągnąć godzinami, jednak przy wtórze głośniejszych oklasków i wyrazów uznania w końcu usiadł.

Później, jak zwykle w otoczeniu eskorty, przeszedł z procesją do domu rodzinnego Frugi na Palatynie. Był to chłodny dzień. Niewielu ludzi wyszło na ulice; kilku przyłączyło się do nas. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Frugi już czekał. Wziął młodą żonę na ręce i przeniósł ją przez próg, nie zważając na złośliwe komentarze Terencji. Zdażyłem jeszcze zauważyć szeroko otwarte, pełne lęku oczy Tulii, która patrzyła na nas z wnętrza

domu, gdy drzwi zostały zamknięte. Dziewczyna zniknęła i Cycleronowi z Terencją nie pozostało nic innego, jak wrócić do domu. Szli powoli, w milczeniu, trzymając się za ręce.

Tego wieczoru, siedząc przy biurku przed pójściem do łóżka, Cycero zauważył po raz dwudziesty, jak pusty wydaje się dom bez Tulii.

– Odeszła tylko jedna osóbką z rodziny, a tak wiele ubyło! Czy pamiętasz, jak bawiła się u moich stóp, Tironie, gdy pracowałem? O tutaj. – Delikatnie postukał stopą o podłogę pod stołem. – Jak często pełniła funkcję pierwszego audytorium moich przemówień... biedna, nic nierozumiejąca istotka! Cóż, tak to jest. Lata przelatują jak liście gnane wicherem i nic nie można na to poradzić.

To były tego wieczoru jego ostatnie słowa, które wypowiedział do mnie. Udał się do łóżka, a ja, zgasiwszy świece w gabinecie, poszedłem do siebie. Życzyłem dobrej nocy wartownikom w atrium i zaniósłem lampę do swojego pokoju. Postawiłem ją na stoliku obok posłania, rozebrałem się i leżąc bezsen- nie, myślałem o wydarzeniach dnia, dopóki nie poczułem, że zapadam w sen.

Była północ – panowała cisza.

Obudziło mnie walenie pięściami w drzwi frontowe. Usiadłem ze strachem. Spałem zaledwie kilka chwil. Znowu usłyszałem łomot, po którym rozległo się wściekłe szczekanie, krzyki i tupot nóg. Chwyciłem tunikę i wciągnąłem ją na siebie, a potem pobiegłem w kierunku atrium. Cycero, całkowicie ubrany, schodził już po schodach z sypialni, poprzedzany przez dwóch strażników z wyciągniętymi mieczami. Za nim, otulona w szal, szła Terencja z papilotami we włosach. Ponownie dało się słyszeć walenie w drzwi, teraz ostrzejsze – odgłos uderzeń pałek albo butów o ciężkie drewno. Mały Marek zaczął płakać w pokoju dziecięcym.

– Idź, zapytaj, kto to – nakazał mi Cycero. – Ale nie otwieraj drzwi. – A potem powiedział do ekwitów: – Idźcie z nim.

Ostrożnie przeszedłem korytarzem. Mieliśmy już psa obronnego – potężnego, czarnobrazowego, z gór – który wabił się Sargon, od asyryjskich królów. Psisko warczało teraz i szczekało, szarpiąc się na łańcuchu z taką siłą, że myślałem, iż wyrwie go ze ściany.

– Kto tam?! – zawołałem.

Odpowiedź była cicha, ale zrozumiała:

– Marek Licyniusz Krassus!

Przekrzykując psa, zawołałem do Cyclerona:

– Mówi, że Krassus!

– I to on?

– Chyba tak.

Cycero zastanawiał się przez chwilę. Wiedziałem, o czym myśli: Krassus chętnie widziałby go martwego, ale z drugiej strony było mało prawdopodobne, żeby ktoś o jego pozycji próbował zamordować urzędującego konsula. Mój pan wyprostował ramiona i przygładził włosy.

– W takim razie, jeśli przedstawia się jako Krassus i wszystko wskazuje, że to on, lepiej go wpuść.

Uchyliłem drzwi i zobaczyłem grupę złożoną z kilkunastu mężczyzn, którzy trzymali w dłoniach świece. Łysa głowa Krassusa błyszczała w żółtym świetle jak księżyc w pełni. Otworzyłem drzwi szerzej. Krassus popatrzył z niesmakiem na szczekającego psa, a potem ominął go łukiem i wszedł do domu. Miał z sobą sfatygowaną skórzaną sakwę na dokumenty. Za nim jak zwykle podążał jak cień były pretor Kwintus Arriusz oraz dwaj młodzi patrycjusze, przyjaciele Krassusa, którzy niedawno zajęli miejsca w senacie – Klaudiusz Marcellus i Scypion Nazyka; imiona te figurowały na ostatnich listach rzekomych sympatyków Katyliny. Ich eskorta próbowała wejść za nimi do środka,

ale kazałem jej poczekać na zewnątrz; uznałem, że czterech wrogów naraz w zupełności wystarczy.

Przekręciłem klucz w zamku.

– O co chodzi, Krassusie? – zapytał Cycero, gdy jego dawny przeciwnik wkroczył do atrium. – Jest za późno na wizytę towarzyską, a za wcześnie na interesy.

– Dobry wieczór, konsulu. – Krassus chłodno skłonił głowę. – I dobry wieczór, pani – powiedział do Terencji. – Przepraszam, że zakłócam spokój. Nie zajmę wam dużo czasu. – Odwrócił się znowu do Cycerona i zapytał: – Czy możemy porozmawiać na osobności?

– Obawiam się, że moi przyjaciele będą się denerwować, jeśli stracą mnie z oczu.

– Sugerujesz, że jesteśmy zabójcami?

– Nie, ale trzymacie z nimi.

– Już nie – oświadczył Krassus z nieznacznym uśmiechem i poklepał sakwę. – Dlatego właśnie tu jestem.

Cycero się zawahał.

– Dobrze, wobec tego porozmawiajmy w cztery oczy. – Terencja zaczęła protestować. – Nie martw się, moja droga. Strażnicy staną pod drzwiami, a w razie czego Tiron obroni mnie swoim silnym ramieniem. – To był żart.

Polecił zanieść kilka krzeseł do swojego gabinetu i nasza szóstka z trudem się tam zmieściła. Widziałem, że Cycero jest zdenerwowany. W Krassusie zawsze było coś, co wywoływało u mojego pana ciarki. Mimo to zachowywał się uprzejmie – zapytał gości, czy napiją się wina, ale odmówili.

– Dobrze – orzekł. – Lepiej mieć do czynienia z trzeźwą głową niż zamroczoną. Do rzeczy.

– W Etrurii wrze.

– Znam raporty. Ale jak widziałeś, gdy chciałem podnieść tę kwestię, senat nie potraktował mnie poważnie.

– Cóż, będą musieli szybko się obudzić.

– Ty z pewnością zmieniłeś pogląd!
– To dlatego, że poznałem pewne fakty. Powiedz mu, Arriusz.

– Cóż – zaczął Arriusz. Nie budził zaufania. Był to bystry człowiek niskiego pochodzenia, były żołnierz, i Krassus wysłuchiwał się nim we wszystkich sprawach. Za plecami okropnie wyśmiewano się z jego dziwnego sposobu mówienia, ponieważ wymawiał niektóre głoski z przydechem; pewnie wydawało mu się, że w ten sposób upodobni się do ludzi wykształconych. – Byłem do wczoraj w Hetrurii. Wszędzie tam zbierają się bandy hawanturników. Jak zrozumiałem, planują marsz na Rzym.

– Skąd to wiesz?

– Służyłem w legionach z kilkoma ich prowodyrami. Namawiali mnie, żebym przyłączył się do nich, i dałem im do zrozumienia, że mam taki zamiar... ale po to, żeby zebrać informacje, rozumiesz – dodał szybko.

– Ilu jest tych awanturników?

– Powiedziałbym, że z pięć tysięcy, może dziesięć.

– Aż tylu?

– Jeśli nawet nie, to wkrótce tylu będzie.

– Są uzbrojeni?

– Niektórzy tak. Nie wszyscy. Ale mają plan.

– I co to za plan?

– Żeby zaatakować obóz wojskowy w Praeneste, zdobyć miasto, umocnić je i zrobić z niego bazę dla swoich sił.

– Praeneste jest prawie nie do zdobycia – włączył się Krassus – leży niespełna dzień marszu od Rzymu.

– Manlius rozesłał też swoich ludzi po całej Hitalii, żeby podżegali do buntu.

– Doprawdy! – powiedział Cycero; przeniósł wzrok z jednego na drugiego. – To wam doniesiono!

– Są między nami pewne urazy, konsulu – zimno zauważył

Krassus – ale przede wszystkim jestem lojalnym obywatelem. Nie chcę być świadkiem wojny domowej. Dlatego tu przyszedłem. – Położył sakwę na kolanach, otworzył ją i wyjął z niej plik listów. – Tego wieczoru dostarczono mi te pisma. Jedno było adresowane do mnie; pozostałe do obecnych tu moich przyjaciół, Marcellusa i młodego Scypiona, którzy akurat byli u mnie na ucztach. Są tu także listy do różnych innych członków senatu. Jak widzisz, pieczęcie pozostały niezłamane. Masz. Nie chcę, żeby były między nami jakieś tajemnice. Przeczytaj to, co przyszło do mnie.

Cycero rzucił mu podejrzliwe spojrzenie, szybko przebiegł wzrokiem po słowach listu, a potem wręczył go mnie. Był bardzo krótki: „Czas na rozmowy się skończył. Teraz przyszedł czas na działanie. Katylina opracował swoje plany. Chce cię ostrzec, że w Rzymie dojdzie do rozlewu krwi. Ratuj życie i po cichu wyjedź z miasta. Kiedy będzie można bezpiecznie powrócić, powiadomimy cię”. Brakowało podpisu. Pismo było staranne i zupełnie pozbawione charakteru; mogło należeć do dziecka.

– Rozumiesz już, dlaczego czułem, że muszę natychmiast przyjść z tym do ciebie – powiedział Krassus. – Zawsze wspierałem Katylinę. Ale w tym nie chcę brać udziału.

Cycero ujął dłonią brodę i przez chwilę nic nie mówił. Przeniósł wzrok z Marcellusa na Scypiona.

– A ostrzeżenia, które wy dostaliście? Są takie same? – Dwaj młodzi senatorowie potwierdzili skinieniem głowy. – Anonimowe? – Ponownie skinęli. – I nie macie pojęcia, od kogo pochodzą? – Tym razem pokręcili głowami przecząco. Jak na aroganckich młodych nobilew rzymskich byli potulni jak baranki.

– Tożsamość nadawcy pozostaje tajemnicą – oświadczył Krassus. – Mój odźwierny przyniósł nam te listy, gdy skończyliśmy jeść. Nie widział, kto je dostarczył... leżały na progu, ten,

kto pełnił funkcję posłańca, uciekł. Oczywiście, Marcellus i Scypion przeczytali swoje w tym samym czasie co ja.

– Oczywiście. Mogę zobaczyć tamte pisma?

Krassus sięgnął do teczek na dokumenty i podał mu po jednym wszystkie nieotwarte listy. Cycero przyjrzał się adresom i kolejno przekazywał listy mnie. Pamiętam, że widziałem na nich imiona przedstawicieli Klaudiuszów, Emiliuszów, Waleriuszów i innych, włącznie z Hybrydą; razem ośmiu czy dziewięciu ludzi; samych patrycjuszy.

– Wygląda na to, że ostrzega swoich towarzyszy łowów – zauważył Cycero. – Ze względu na dawne czasy. To dziwne, że wszystkie trafiły do ciebie, nie sądzisz? Dlaczego, jak ci się wydaje?

– Nie mam pojęcia.

– To bardzo dziwny spisek... zwrócić się do człowieka, który twierdzi, że nie bierze w nim udziału, i prosić, żeby odegrał rolę pośrednika.

– Nie potrafię tego wyjaśnić.

– Może to żart?

– Niewykluczone. Ale kiedy się weźmie pod uwagę niepokojące wydarzenia w Etrurii i pamięta o tym, jak blisko Katylina jest związany z Manliuszem... Nie, sądzę, że trzeba potraktować tę sprawę poważnie. Obawiam się, że jestem ci winien przeprosiny, konsulu. Zdaje się, że Katylina może jednak stanowić groźbę dla republiki.

– Stanowi groźbę dla wszystkich.

– Zrobię wszystko, żeby ci pomóc... wystarczy, żebyś poprosił.

– Cóż, na początek muszę dostać te listy, wszystkie.

Krassus wymienił spojrzenia ze swoimi towarzyszami, ale potem wsadził listy z powrotem do sakwy i podał ją Cycleronowi.

– Przedstawisz je senatowi, jak rozumiem?

– Chyba muszę to zrobić, prawda? Będę również potrzebował oświadczenia Arriusza o tym, czego dowiedział się w Etrurii. Zgodzisz się je złożyć, Arriuszu?

Arriusz spojrzał pytająco na Krassusa. Ten lekko skinął głową.

– Hoczywiście – potwierdził.

Krassus zapytał:

– I poprosisz senat o zgodę na powołanie armii?

– Trzeba bronić Rzymu.

– Czy mogę powiedzieć, że jeśli będziesz potrzebował dowódcy takich sił, nie musisz szukać daleko? Nie zapominaj, że to ja stłumiłem powstanie Spartakusa. Mogę stłumić też bunt Manliusza.

Jak Cycero później zauważył, zuchwałość tego człowieka była zdumiewająca. Najpierw przyczynił się do powstania zagrożenia, bo wspierał Katylinę, a teraz liczył, że będzie mógł przypisać sobie zasługę uratowania państwa! Cycero odpowiedział zdawkowo, że jest za późno w nocy, aby powoływać armie i mianować wodzów, i wołałby się przespać, zanim zdecyduje, jak ma postąpić.

– Ale kiedy będziesz przemawiał w senacie, mam nadzieję, że wspomnisz o moim patriotyzmie i o tym, że przyszedłem z tym do ciebie?

– Możesz na to liczyć – odparł Cycero; wyprowadził go z gabinetu do atrium, gdzie czekały strażę.

– Jeśli mogę jeszcze coś zrobić... – powiedział Krassus.

– Właściwie jest pewna sprawa, w której mógłbyś mi pomóc – doszedł do wniosku Cycero, który nigdy nie marnował okazji, gdy mógł coś zyskać. – To oskarżenie przeciwko Murenie... jeśliby uznano je za uzasadnione, stracilibyśmy konsula w bardzo niebezpiecznym momencie. Przyłączysz się do mnie i Hortensjusza jako jego obrońca?

Była to oczywiście ostatnia rzecz, do jakiej palił się Krassus, ale nie miał wyjścia – zrobił dobrą minę do złej gry.

– To będzie dla mnie zaszczyt – odparł.

Obaj mężczyźni podali sobie dłonie.

– Nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem zadowolony, że wszelkie nieporozumienia, które istniały między nami w przeszłości, zostały wyjaśnione – powiedział Cycero.

– Czuję dokładnie to samo, drogi Cyceronie. To dla obu nas pomyślna noc... a jeszcze pomyślniejsza dla Rzymu.

I przy tych wzajemnych zapewnieniach o przyjaźni, zaufaniu i szacunku Cycero odprowadził Krassusa i jego towarzyszy do drzwi, ukłonił im się, życzył dobrej nocy i obiecał, że porozmawiają rano.

– Co za obrzydliwy kłamca z tego drania! – wykrzyknął w chwili, gdy drzwi się zamknęły.

– Nie wierzysz mu, panie?

– Niby w co? W to, że Arriusz był akurat w Etrurii i przypadkiem wdał się w rozmowę z ludźmi, którzy zamierzają wystąpić zbrojnie przeciwko państwu, i pod wpływem impulsu zaczęli go namawiać, żeby się do nich przyłączył? Nie, nie wierzę. A ty?

– Te listy są bardzo dziwne. Myślisz, panie, że sam je napisał?

– Po co miałby je pisać?

– Może po to, aby przyjść do ciebie w środku nocy i odegrać rolę lojalnego obywatela. Są doskonałym pretekstem, żeby wycofać poparcie dla Katyliny. – Nagle ogarnęło mnie wielkie podniecenie, bo odniosłem wrażenie, że odkryłem prawdę. – Tak! Musiał wysłać Arriusza, żeby sprawdził, co dzieje się w Etrurii, a kiedy ten wrócił i powiedział mu, co się kroi, zdjął go strach. Uznał, że Katyliną nie ma szans, i teraz chce publicznie się od niego odciąć.

Cycero pokiwał głową z uznaniem.

– To sprytne. – Powędrował korytarzem do atrium z rękami założonymi na plecach i pochyloną głową, pogrążony w myślach. Nagle się zatrzymał.

- Ciekaw jestem... – zaczął.
- Tak?
- Hm, spójrz na to z innej strony. Wyobraźmy sobie, że plan Katyliny okazuje się skuteczny: armia zabijaków pod wodzą Manliusza rzeczywiście zdobywa Praeneste, a potem rusza na Rzym, werbując zwolenników w każdym miasteczku i każdej wiosce, przez które przechodzi. W stolicy wybucha panika i dochodzi do rzezi. Katylina przejmuje władzę w republice. To nie jest niemożliwe... bogowie wiedzą, że dysponujemy tu niewielką obroną, podczas gdy Katylina ma wielu sympatyków w granicach miasta. Co by się wtedy stało?
 - Nie wiem. To byłby koszmar.
 - Powiem ci, co by się zdarzyło. Pozostali przy życiu urzędnicy nie mieliby innego wyjścia, jak tylko wezwać do kraju jedynego człowieka, który mógłby ocalić naród: Pompejusza Wielkiego na czele swoich wschodnich legionów. Z jego talentem militarnym i z czterdziestoma tysiącami wyszkolonych ludzi bardzo szybko skończyłby z Katyliną, a później już nic nie stałoby na przeszkodzie, aby objął dyktatorską władzę nad całym światem. A którego ze swoich rywali Krassus boi się i nienawidzi najbardziej?
 - Pompejusza?
 - Pompejusza. Otóż to. I o to chodzi. Sytuacja musi być groźniejsza, niż przypuszczałem. Krassus przyszedł dziś do mnie, aby zdradzić Katylinę, nie dlatego, że boi się jego klęski, lecz zwycięstwa.

Nazajutrz o pierwszym świcie wyszliśmy z domu w asyście czterech ekwitów, wśród których byli bracia Sekstusowie, rzadko od tej pory opuszczający Cycerona. Mój pan naciągnął na głowę kaptur płaszcza i szedł z pochyloną głową, ja zaś niosłem skrzynkę z dokumentami. Co jakiś czas musiałem przyspieszać

kroku, żeby za nim nadążyć. Kiedy go zapytałam, dokąd idziemy, odparł:

– Musimy znaleźć sobie wodza.

Trudno w to uwierzyć, ale w ciągu nocy zniknęły całe jego przygnębienie i smutek. Stanąwszy w obliczu zagrożenia, sprawiał wrażenie... może nie szczęśliwego, bo to byłoby za wiele, ale ożywionego. Niemal wbiegł po schodach na Palatyn, a kiedy skręciliśmy w Clivus Victoriae, domyśliłem się, że zmierzamy do domu Metellusa Celera. Minęliśmy portyk Katulusa i zatrzymaliśmy się przy drzwiach następnego budynku, który stał pusty, a okna i wejście miał zabite deskami. Nie chcąc, żeby go zobaczono, Cyncero powiedział, że tu poczeka, ja zaś miałem udać się do sąsiednich drzwi i oznajmić, że konsul pragnie zobaczyć się z pretorem na osobności i w największej tajemnicy. Zrobiłem, co mi kazał, i służący Celera szybko wrócił z odpowiedzią, że jego pan przyjdzie do nas, gdy tylko skończy poranną toaletę. Kiedy wróciłem po Cyncerona, zobaczyłem, że rozmawia z odźwiernym pustego domu.

– Ten budynek należy do Krassusa – powiedział mi, gdy odeszliśmy. – Uwierzysz? Jest wart fortunę, ale on go nie używa, żeby w przyszłym roku uzyskać za niego lepszą cenę. Nic dziwnego, że nie chce wojny domowej... zaszkodziłaby jego interesom!

Służący zaprowadził Cyncerona alejką między dwoma domami do tylnego wejścia i zaprosił go od razu do pomieszczeń prywatnych. Tam czekała, żeby go powitać, żona Celera, Kłodiada, urocza w jedwabnej narzutce, pod którą miała koszulę nocną, otoczona piżmowym zapachem sypialni.

– Gdy usłyszałam, że wchodzisz potajemnie przez tylne drzwi, miałam nadzieję, że chcesz zobaczyć się ze mną – powiedziała tonem wymówki. Patrzyła na niego zaspanymi oczami. – Ale słyszę, że mój mąż chce z tobą porozmawiać, więc się zanudzisz.

– Obawiam się, że wszyscy jesteśmy nudziarzami – zauważył Cyncero, schylając się, żeby ucałować jej dłoń – w porównaniu z tobą, pani, przy której każdy z nas, choćby najbardziej elokwentny, staje się tępym jąkałą.

To, że Cyncero był w nastroju do flirtu, świadczyło, jak bardzo odżył – a pocałunek, który złożył na ręce Klodii, trwał znacznie dłużej, niż to było konieczne. Co za scena: wielki mówca o surowych zasadach moralnych pochylony nad dłonią największej ladacznicy w Rzymie! Przemknęło mi przez myśl – choć było to absurdalne, niewiarygodne – że Cyncero mógłby pewnego dnia opuścić Terencję dla tej kobiety, i ucieszyłem się, gdy do pokoju ze zwykłą wojskową bezpośredniością wkroczył Celer i poufała atmosfera natychmiast zniknęła.

– Konsulu! Witaj! Czym mogę ci służyć?

– Zwołać armię i ocalić państwo.

– Armię! A to dobre! – Ale natychmiast zobaczył, że Cyncero nie żartuje. – O czym ty mówisz?

– Zagrożenie, przed którym od dawna przestrzegałem, w końcu nadeszło. Tironie, pokaż pretorowi list adresowany do Krassusa. – Wykonałem polecenie i patrzyłem, jak twarz Celera tężeje w miarę, jak czytał tekst.

– Krassus dostał tę wiadomość?

– Tak mówi. Otrzymał zeszłej nocy także inne, które miał rozesłać po mieście. – Cyncero skinął na mnie głową, więc podałem Celerowi pozostałe listy. Przeczytał kilka z nich i porównał ich treść. Kiedy skończył, Klodia wzięła je od niego i sama przejrzała. Nie próbował jej powstrzymać i odnotowałem sobie w pamięci, że ta kobieta zna jego sekrety. – A to tylko połowa z nich – ciągnął Cyncero. – Według słów Kwintusa Arriusza w Etrurii roi się od ludzi Katyliny. Manliusz sformował z buntowników armię dorównującą siłą dwom legionom. Zamierzają opanować Praeneste, a potem ruszyć na Rzym. Chcę, abys stanął

na czele obrony. Będziesz musiał szybko działać, żeby ich powstrzymać.

– Co masz na myśli, mówiąc „szybko”?

– Opuścisz miasto jeszcze dzisiaj.

– Ale nie mam pełnomocnictwa...

– Ja ci go udzielam.

– Chwileczkę, konsulu. Muszę przemyśleć kilka spraw, zanim zwołam wojsko i wyruszę z miasta.

– Jakich to spraw?

– Hm, po pierwsze, muszę naradzić się z moim bratem, Neposem. I pomyśleć o drugim bracie... to znaczy szwagrze... Pompejuszu Wielkim...

– Nie mamy na to czasu! Gdyby wszyscy przedkładali interes rodziny nad interes państwa, nie zaszlibyśmy daleko. Posłuchaj, Celerze – powiedział Cyncero łagodniejszym tonem, którym posługiwał się chętnie – już raz, gdy Rabiriusz był w niebezpieczeństwie, swoją odwagą i stanowczym działaniem uratowałeś republikę. Zawsze wiedziałem, że historia przydzieliła ci rolę bohatera. Sytuacja jest groźna, ale daje możliwość zdobycia chwały. Przypomnij sobie słowa Hektora: „Niech mi wszelako nie przyjdzie tu polec bez walki, bez sławy, Niechaj siłą dokażę, by o tym wiedzieli potomni”*. Poza tym jeśli ty się tego nie podejmiesz, chętnie zrobi to Krassus.

* Homer, *Iliada*, przeł. Ignacy Wieniewski.

– Krassus? Żaden z niego wódz! Zna się tylko na pieniądzach.

– Być może, ale właśnie szuka okazji, aby zdobyć chwałę wojenną. Za dzień czy dwa kupi sobie poparcie w senacie.

– Jeśli chodzi o wojenną chwałę, to pragnie jej Pompejusz. Mój brat wrócił do Rzymu, żeby mu ją zapewnić. – Celer oddał mi listy. – Nie, konsulu... doceniam twoją wiarę we mnie, ale

nie mogę przyjąć dowództwa, nie zasięgnąwszy ich rady.

– Dam ci Galię Przedalpejską.

– Co takiego?

– Galię Przedalpejską... daję ci ją.

– Galia Przedalpejska nie należy do ciebie i nie możesz mi jej dać.

– Ależ tak. To moja prowincja, wymieniłem się z Hybrydą, przekazując mu Macedonię, jeśli sobie przypominasz. Zawsze chciałem z niej zrezygnować. Możesz ją mieć.

– Ależ to nie koszyk z jajkami! Musiałoby się odbyć nowe losowanie wśród pretorów.

– Owszem, które ty byś wygrał.

– Sfalszujesz wyniki?

– Nie sfalszuję wyników. To byłoby wielce niestosowne. Nie, nie, zostawię to Hybrydzie. Może nie ma zbyt wielu zdolności, ale fałszowanie wyników to jego specjalność.

– A jeżeli odmówi?

– Nie odmówi. Zawarliśmy układ. Poza tym – zauważył Cyncero i wskazał anonimowy list adresowany do Hybrydy – jestem pewien, że wolałby, aby to nie dostało się do wiadomości publicznej.

– Galia Przedalpejska – mruknął Celer i potarł swoją szeroką brodę. – To lepsze niż Galia Zaalpejska.

– Kochanie – włączyła się Klodia, która położyła dłoń na ramieniu męża – to naprawdę bardzo dobra propozycja i jestem pewna, że Nepos i Pompejusz cię rozumieją.

Celer mruknął niechętnie i zakołysał się na piętach. Widziałem na jego twarzy chęciwość. W końcu zapytał:

– Jak szybko, twoim zdaniem, mógłbym objąć tę prowincję?

– Dzisiaj – odparł Cyncero. – To sprawa bezpieczeństwa narodowego. Oświadczę w senacie, że nigdzie w imperium nie

może być wątpliwości co do struktury dowodzenia i że moje miejsce jest w Rzymie, tak jak twoje w polu, gdzie będziesz tłumić bunt. Będziemy wspólnie bronić republiki. Co ty na to?

Celer zerknął na Klodię.

– Dzięki temu wyprzedzisz wszystkich swoich rywali – zauważyła. – Będziesz miał zapewniony konsulat.

Mruknął znowu i ponownie zwrócił się do Cycerona.

– Zgoda – odrzekł i wyciągnął do konsula swoje potężne, muskularne ramiona. – Ze względu na dobro kraju odpowiadam: „tak”.

Z siedziby Celera Cycero przeszedł kilkaset kroków do domu Hybrydy, wyrwał obecnie przewodniczącego senatowi konsula z pijackiego snu, otrzeźwił, opowiedział mu o rebelianckich siłach, zbierających się w Etrurii, i udzielił wytycznych na resztę dnia. Hybryda wzdrygał się początkowo, gdy usłyszał, że będzie musiał sfałszować wyniki losowania w sprawie Galii Przedalpejskiej, ale wtedy Cycero pokazał mu list adresowany do niego przez spiskowców. Szkliste, przekrwione oczy Hybrydy niemal wyszły z orbit; zaczął się pocić i trząść ze strachu.

– Przysięgam ci, Cyceronie, że nic o tym nie wiem!

– Może, ale, niestety, mój drogi Hybrydo, jak ci dobrze wiadomo, to miasto jest pełne zazdrosnych i podejrzliwych osób, którym można wmówić coś przeciwnego. Jeśli rzeczywiście chcesz ponad wszelką wątpliwość dowieść swojej lojalności, proponuję, żebyś posłuchał mnie w kwestii Galii Przedalpejskiej, a wtedy będziesz mógł liczyć na moje całkowite wsparcie.

W ten sposób dogadał się z Hybrydą i pozostało mu jeszcze tylko przekonać odpowiednich senatorów, czym zajął się przed popołudniową sesją senatu, w czasie gdy przeprowadzano

auspicja. W mieście krążyły już plotki o rebelii i spisku na życie najwyższych urzędników. Katulus, Izaurykus, Hortensjusz, obaj Lukullusowie, Silanus, Murena, nawet Katon, który był obecnie trybunem elektem wraz z Neposem – każdy został odciągnięty na bok i szeptem poinformowany o tym, co się dzieje. W takich chwilach Cycero wyglądał jak przebiegły sprzedawca dywanów na zatłoczonym bazarze, który zerka nad ramieniem klienta, a potem ogląda się za siebie, i mówi cicho, gestykulując żywo, żeby dobić targu. Cezar obserwował go z daleka, a ja z kolei obserwowałem Cezara. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Natomiast nie widziałem Katyliny.

Kiedy senatorowie zebrali się na początek obrad, Cycero zajął swoje miejsce na końcu pierwszej ławy, tuż obok podwyższenia, gdzie zawsze siadywał, kiedy nie przewodniczył sesji; po drugiej stronie miał Katulusa. Był to punkt strategiczny; za pomocą nieznaczących gestów i spojrzeń kierowanych do Hybrydy, a także głośnych szepców mógł stąd kontrolować przebieg obrad nawet w tych miesiącach, kiedy nie zajmował krzesła kurulnego. Trzeba przyznać, że Hybryda potrafił być całkiem przekonujący, gdy odczytywał przekazywane mu teksty, i tak było tego dnia. Ze ściągniętymi do tyłu ramionami oraz odchyloną do tyłu głową oświadczył ochrypłym od wina głosem, że w nocy sprawy przybrały groźny dla republiki bieg, i wezwał Kwintusa Arriusza, żeby powiedział, co wie.

Arriusz był jednym z tych senatorów, którzy rzadko zabierali głos, ale kiedy już to robił, słuchano go z szacunkiem. Nie wiem, dlaczego tak się działo. Może jego szczególna wymowa wywoływała wrażenie szczerości. Wstał więc teraz i zdał pełny raport z tego, co widział i słyszał na obrzeżach Italii: że w Etrurii pod wodzą Manliusza zbierają się zbrojne bandy; że ich liczba może niebawem sięgnąć dziesięciu tysięcy; że bezpieczeństwo samego Rzymu jest zagrożone; i że podobne rebelie są

planowane w Apulii i w Kapui. Gdy usiadł, w izbie zapanowała panika. Hybryda podziękował mu, a następnie wezwał Krassusa, Marcellusa i Scypiona, aby odczytali na głos wiadomości, które przesłano im poprzedniego wieczoru. Przekazał listy woźnym, którzy podali je adresatom. Krassus wstał pierwszy. Opowiedział o tajemniczym przybyciu pism i o tym, że natychmiast udał się z nimi do Cycerona. Potem odczytał wiadomość głośno i wyraźnie: „Czas na rozmowy się skończył. Teraz przyszedł czas na działanie. Katyliną opracował swoje plany. Chce cię ostrzec, że w Rzymie dojdzie do rozlewu krwi. Ratuj życie i po cichu wyjedź z miasta. Kiedy będzie można bezpiecznie powrócić, powiadomimy cię”.

Czy możecie sobie wyobrazić efekt tych słów, z powagą wygłoszonych przez Krassusa, które potem powtórzyli, bardziej nerwowo, Scypion i Marcellus? Wstrząs był tym większy, że Krassus nie raz, ale dwa razy wsparł Katylinę w staraniach o konsulat. Zapadła głęboka cisza, a potem ktoś zawołał:

– Gdzie on jest?!

Okrzyk podjęli inni.

– Gdzie on jest?! Gdzie on jest?!

W tym zamieszaniu Cycero szepnął coś szybko Katulusowi i stary patrycjusz wystąpił przed zebranymi.

– W świetle przerażających wieści, które właśnie przedstawiono senatowi – oznajmił – i zgodnie z dawnymi prerogatywami tego zgromadzenia, proponuję przyznać konsulom prawo przedsięwzięcia wszelkich koniecznych środków do obrony kraju, jak przewiduje akt końcowy. Te uprawnienia powinny obejmować, ale nie wyłącznie, prawo powoływania wojsk i prowadzenia wojny, stosowania nieograniczonej siły zarówno wobec sojuszników, jak i obywateli, a także sprawowania naczelnego dowództwa i jurysdykcji w kraju i za granicą.

– Kwintus Lutacjusz Katulus zaproponował, żebyśmy przyjęli akt końcowy – oznajmił Hybryda. – Czy ktoś chce zgłosić sprzeciw?

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Cezara, także dlatego, że prawomocność aktu końcowego stanowiła sporną kwestię w sprawie oskarżenia Rabiriusza. Cezar jednak, z tego, co zauważyłem, po raz pierwszy wydawał się oszołomiony rozwojem wypadków. Nie zamienił słowa ze swoim sąsiadem, Krassusem, ani nawet na niego nie spojrział – rzadkie zjawisko, bo zazwyczaj trzymali z sobą – z czego wniosłem, że zdrada Krassusa była dla niego całkowitym zaskoczeniem. Nie uczynił żadnego gestu, tylko patrzył prosto przed siebie gdzieś w dal, jak później te jego marmurowe popiersia, które spoglądały beznamiętnie, niewidzącym wzrokiem, z każdego budynku publicznego w Italii.

– Jeśli nikt nie zgłasza sprzeciwu – ciągnął Hybryda – to wniosek przechodzi i przed izbą wystąpi Marek Tulliusz Cyncero.

Gdy tylko Cyncero wstał, rozległy się głośnie wyrazy aprobaty ze strony tych samych senatorów, którzy zaledwie kilka tygodni wcześniej sztychali z jego obaw.

– Senatorowie – zaczął – chciałbym pogratulować Antoniuszowi Hybrydzie stanowczości, z jaką podszedł dziś do zagrożenia. – Wszyscy pomrukami przyznali mu rację; Hybryda się rozpromienił. – Jeśli o mnie chodzi, wierzę w ochronę, jaką zapewnią mi przyjaciele i zwolennicy, więc pozostanę w Rzymie i będę walczył z tym niebezpiecznym szaleńcem Katyliną, tak samo jak dotąd. Ponieważ nikt nie potrafi przewidzieć, jak długo potrwa to zagrożenie, proszę formalnie o możliwość zrzeczenia się namiestnictwa przyznanej mi prowincji, zgodnie zresztą z obietnicą, jaką złożyłem, gdy obejmowałem konsulat... obietnicy tym bardziej zobowiązującej w tej godzinie próby dla naszej republiki.

Patriotyczny gest Cyclerona został przyjęty bardzo ciepło i Hybryda ponownie wyjął świętą urnę, po czym wrzucił do niej los symbolizujący Galię Przedalpejską wraz z siedmioma pustymi – a przynajmniej takie można było odnieść wrażenie. Tak naprawdę jednak, jak dowiedziałem się później, wszystkie losy, które wrzucił, były puste. Podeszło ośmiu pretorów. Pierwszy spróbował szczęścia potężny Lentulus Sura, który – jak dobrze wiedział Cycero – czynnie uczestniczył w knowaniach Katyliny. Ten jeden z głębszych senatorów był blisko związany z Hybrydą; przede wszystkim ożenił się z wdową po jego bracie i wychowywał jej syna z tego związku, Marka Antoniusza, jak własne dziecko; tenże Marek Antoniusz był zaręczony z córką Hybrydy, Antonią. Bacznie więc obserwowałem Hybrydę, aby sprawdzić, czy przeprowadzi oszustwo, do którego się zobowiązał. Ale w polityce panują szczególne układy, silniejsze niż więzy krwi. Sura głęboko wsadził rękę do urny i podał wyciągnięty los Hybrydzie, który ogłosił, że jest pusty, co pokazał izbie. Sura wzruszył ramionami i odwrócił się; nie chciał prowincji, lecz samego Rzymu.

Potem przyszła kolej na Pomptinusa i na Flakkusa, z tym samym skutkiem. Czwarty losował Celer. Sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie, gdy szedł ku podwyższeniu i wyciągał los. Hybryda wziął go od niego, odwrócił się jakby ku światłu, żeby lepiej widzieć, i wtedy właśnie musiał dokonać zamiany, bo kiedy uniósł papirus, wszyscy w pobliżu wyraźnie zobaczyli napisany na nim krzyżyk.

– Galię Przedalpejską wylosował Celer! – ogłosił. – Niech bogowie mu sprzyjają.

Zabrzmiały oklaski. Cycero wstał ponownie.

– Proponuję, żeby Kwintus Cecyliusz Metellus Celer otrzymał z tą chwilą całkowite imperium wojskowe i prawo powoływania armii, do obrony swojej prowincji.

– Czy ktoś jest przeciwny? – zapytał Hybryda.

Przez moment wydawało mi się, że Krassus zerwie się na nogi. Pochylił się do przodu, jakby się zastanawiał, a potem zmienił zdanie.

– Wniosek zostaje przyjęty jednomyślnie.

Po zakończeniu obrad senatu Cycero i Hybryda zwołali naradę wojenną z udziałem wszystkich pretorów, aby wydać edykty niezbędne do obrony miasta. Natychmiast wysłano wiadomość do dowódcy garnizonu w Praeneste i nakazano mu wzmocnić strażę. Przyjęto dawno zgłoszoną propozycję prefekta Reate, że przyśle stu ludzi. Bramy Rzymu miały być zamykane wcześniej niż zwykle. Wprowadzono obowiązującą od dwunastej godziny policyjną i patrole uliczne. Wobec lojalnych względem senatu żołnierzy zawieszono pradawny zakaz noszenia broni w granicach miasta. Zalecono wyrywkowe przeszukiwanie wozów. Zakazano wstępu na Palatyn po zachodzie słońca. Wszystkie szkoły gladiatorów w stolicy i wokół niej miały być zamknięte, a sami gladiatorzy rozesłani do odległych miasteczek i kolonii. Wyznaczono wysokie nagrody – aż do stu tysięcy sestercji – za wszelkie informacje o potencjalnych zdrajcach, które miały być wypłacane wszystkim, zarówno niewolnikom, jak i ludziom wolnym. Celer miał wyjechać o świcie, żeby zacząć musztrować rekrutów. W końcu też uzgodniono, że należy zwrócić się do różnych godnych zaufania obywateli z prośbą, aby – w zamian za gwarancję bezpieczeństwa osobistego – wnosili oskarżenia przeciwko Katylinie za zbrojny zamach na porządek państwowy.

Przez cały ten czas Lentulus Sura siedział spokojnie – podczas gdy znajdujący się obok niego wyzwoleniec robił notatki – i później Cycero z goryczą zwrócił mi na to uwagę: dwaj główni

spiskowcy brali udział w poufnej naradzie dotyczącej bezpieczeństwa państwowego i mogli donieść o jej decyzjach współ-konspiratorom! Co jednak mógł zrobić? Wciąż to samo: nie miał dowodów.

Strażnicy Cycerona chcieli odprowadzić go do domu przed zapadnięciem zmroku, więc gdy narada się zakończyła, ostrożnie wyszliśmy w zmierzch i pospiesznie przeszliśmy przez forum, a potem przez Suburę i wspięliśmy się na Eskwilin. Godzinę później Cycero był już w gabinecie; pisał komunikaty do namiestników prowincji, zawiadamiając ich o decyzjach senatu, gdy pies znowu zaczął szczekać. Po chwili wszedł służący, który powiedział, że przybył Metellus Celer, który chce się zobaczyć z konsulem i czeka w atrium.

Od razu było widać, że Celer jest wzburzony. Krążył po pokoju i wyłamywał palce ze stawów, podczas gdy Kwintus i Tytus Sekstusowie patrzyli na niego podejrzliwie z korytarza.

– Cóż, namiestniku – zaczął Cycero, który zorientował się natychmiast, że trzeba uspokoić gościa – wszystko poszło gładko tego popołudnia.

– Może z twojego punktu widzenia, ale mój brat nie jest zadowolony. Mówiłem ci, że będą kłopoty. Nepos uważa, że jeśli rozruchy w Etrurii są tak poważne, jak sądzimy, trzeba raczej sprowadzić Pompejusza, żeby je stłumił.

– Ale nie mamy czasu, żeby czekać, aż on i jego armia pokonają tysiąc mil w drodze do Rzymu. Zanimby tu przybył, wszystkim nam poderżnięto by w łózkach gardła.

– To ty tak mówisz. Natomiast Katylina zaklina się, że nie knuje nic przeciwko państwu i że nie ma nic wspólnego z tymi listami.

– Rozmawiałeś z nim?

– Przyszedł do mnie zaraz po tym, jak opuściłeś senat. Żeby dowieść dobrych intencji, zaproponował, że odda się pod moją osobistą kuratelę na tak długi czas, jak będę chciał.

– Co za niegodziwiec! Mam nadzieję, że odprawiłeś go z kwitkiem?

– Nie, przyprowadziłem go do ciebie.

– Tutaj?! Jest w moim domu?

– Nie, czeka na ulicy. Uważam, że powinieneś z nim porozmawiać. Jest sam, nieuzbrojony... ręczę za niego.

– Nawet jeśli tak... co dobrego może wyniknąć z naszej rozmowy?

– On jest z rodu Sergiuszów, konsulu – lodowato zauważył Celer – potomków Trojan. Już choćby ze względu na pochodzenie należy mu się trochę szacunku.

Cycero spojrział na braci Sekstusów. Tytus wzruszył ramionami.

– Jeśli jest sam, konsulu, poradzimy sobie z nim.

– Wobec tego przyprowadź go, Celerze – zgodził się Cycero – wysłucham, co ma do powiedzenia. Ale zapewniam cię, że tracimy tylko czas.

Przestraszyłem się, że Cycero podejmie takie ryzyko, i w czasie gdy Celer poszedł po Katylinę, wyraziłem swoje obawy. Ale przerwał mi.

– Wykażę dobrą wolę. Będę mógł przynajmniej powiedzieć w senacie, że przyjąłem tego łotra. Zresztą kto wie? Może przyszedł się pokajać.

Zmusił się do uśmiechu, ale wiedziałem, że ten niespodziewany obrót wydarzeń wytrącił go z równowagi. Co do mnie, czułem się jak ci skazańcy podczas igrzysk, gdy na arenę wypuszcza się tygrysa, bo tak właśnie Katylina wkroczył do pokoju – dziki i ostrożny, pełen ledwie powściągniętej furii; spodziewałem się wręcz, że skoczy Cyceronowi do gardła. Bracia Sekstusowie ruszyli za nim, gdy zatrzymał się kilka kroków przed moim panem. Uniósł rękę w szyderyczym pozdrowieniu.

– Konsulu...

- Powiedz, co masz do powiedzenia, a potem idź sobie.
 - Słyszę, że znowu rozpowszechniasz o mnie oszczerstwa.
 - Widzisz? – Cycero zwrócił się do Celer. – A nie mówiłem? To nie ma sensu.
 - Wysłuchaj go tylko – poprosił Celer.
 - Oszczerstwa – powtórzył Katylina. – Nie wiem nic o tych przeklętych listach, które rzekomo wysłałem zeszłej nocy. Musiałbym być niewiarygodnym głupcem, żeby rozpuszczać takie wieści po całym mieście.
 - Gotów jestem uwierzyć, że nie wysłałeś ich osobiście – odrzekł Cycero – ale masz wokół siebie wystarczająco dużo głupców, którzy mogli to zrobić.
 - Bzdury! To bezczelne fałszerstwo. Wiesz, co myślę? Myślę, że sam je napisałeś.
 - Lepiej skieruj swoje podejrzenia na Krassusa... to on wykorzystał te listy jako pretekst, żeby odwrócić się od ciebie.
 - Stary Łysol prowadzi własną grę, jak zawsze.
 - A bunty w Etrurii? Z nimi też nie masz nic wspólnego?
 - To głodujący nieszczęśnicy, doprowadzeni do rozpacz przez lichwiarzy... współczuję im bardzo, ale nie jestem ich przywódcą. Chcę złożyć ci tę samą propozycję, którą złożyłem Celerowi. Oddam się pod twoją kuratelę i zamieszkać w tym domu, pod okiem twoim i twoich strażników, a wtedy się przekonasz, że jestem niewinny.
 - To nie propozycja, tylko żart! Jeśli nie czuję się bezpiecznie, mieszkając w tym samym mieście co ty, to co będzie, gdy wprowadzisz się pod ten sam dach?
 - Więc nic nie mogę zrobić, żeby cię zadowolić?
 - Owszem, możesz. Opuść Rzym i w ogóle Italię. Idź na wygnanie. I już nie wracaj.
- Oczy Katyliny zabłysły, a jego wielkie dłonie zwinęły się w pięści.

– Mój ród wywodzi się od Sergestusa, towarzysza Eneasza, założyciela naszego miasta... i ty śmiesz nakazywać mi wyjazd?

– Och, oszczędź mi opowieści o swoim rodzie! Moja propozycja jest przynajmniej poważna. Jeśli udasz się na wygnanie, postaram się, aby twojej żonie i dzieciom nie stała się krzywda. Twoi synowie nie będą musieli się wstydzić, że mają ojca skazańca... bo zostaniesz skazany, Katyline, nie miej co do tego wątpliwości. Tym sposobem uciekniesz przed wierzycielami, co chyba też warto wziąć pod uwagę.

– A co z moimi przyjaciółmi? Jak długo będą cierpieć pod twoją dyktaturą?

– Moja dyktatura, jak to nazywasz, ma na celu jedynie chronić nas wszystkich przed tobą. Gdy się usuniesz, nie będzie konieczna i pierwszy z radością zacznę wszystko od nowa, umożliwiając wszystkim obywatelom to samo. Dobrowolne pójście na wygnanie byłoby szlachetnym uczynkiem, Katyline... godnym przodków, na których tak chętnie się powołujesz.

– Więc teraz wnuk chłopca uprawiającego ciecierzycę poucza Sergiusza, co jest szlachetne, a co nie? Za chwilę i ciebie zacznę pouczać, Celerze! – Celer sztywno patrzył przed siebie, jak żołnierz na paradzie. – Spójrz na niego – warknął Katyline. – Typowy Metellus... im zawsze dobrze się powodzi, cokolwiek by się działo. Ale czy zdajesz sobie sprawę, Cynceronie, że on w głębi duszy tobą pogardza? Tak jak oni wszyscy. Ja przynajmniej mam odwagę powiedzieć ci w twarz to, co oni szepczą za twoimi plecami. Być może nawet cię wykorzystują, żeby chronić swoje cenne majątki. Ale kiedy już wykonasz całą brudną robotę, nie będą chcieli mieć z tobą nic wspólnego. Zniszcz mnie, jeżeli chcesz; w końcu zniszczysz tylko samego siebie.

Obrócił się na pięcie, przeszedł między Sekstusami i wymaszerował z pokoju.

– Dlaczego zawsze mam wrażenie, że on zostawia za sobą zapach siarki? – zauważył Cycero.

– Myślisz, że uda się na wygnanie? – zapytał Celer.

– Być może. Nie sądzę, aby wiedział, co zrobi za chwilę. Jest jak zwierzę: kieruje się instynktem. Najważniejsze teraz to zachować ostrożność... ja będę czuwał w mieście, ty w całej Italii.

– Wyruszam o świcie. – Celer zrobił krok w kierunku drzwi, ale zatrzymał się i odwrócił. – A tak przy okazji, to całe gadanie, że tobą pogardzam... nie ma w tym ani słowa prawdy, wiesz przecież.

– Wiem, Celerze, dziękuję ci. – Cycero uśmiechnął się do niego i nie przestawał się uśmiechać, dopóki nie usłyszał trzaśnięcia drzwi, a wtedy uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. Mój pan opadł na najbliższe krzesło i uniósł dłonie, przyglądając im się ze zdumieniem, jakby ich wyraźne drżenie było najdziwniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział.

IX

Następnego dnia przyszedł Kwintus, który chciał pilnie zobaczyć się z Cyncerem. Był bardzo podniecony i miał z sobą kopię listu, który przybito pod siedzibą trybunów. Pismo adresowane było do najbardziej wpływowych senatorów, między innymi do Katulusa, Cezara, Lepidusa, i nosiło podpis Katyliny. Głosił on: „Ponieważ nie mogę przeciwstawić się grupie wrogów, którzy prześladują mnie pod fałszywymi zarzutami, udaję się na wygnanie do Massilii. Wyjeżdżam nie dlatego, że jestem winny haniebnych zbrodni, o które się mnie oskarża, ale żeby zachować spokój w państwie i oszczędzić republice rozlewu krwi, który by nastąpił, gdybym walczył z losem. Powierzam moją żonę i całą rodzinę Waszej opiece, a mój honor – Waszej pamięci. Żegnajcie!”.

– Przyjmij gratulacje, bracie – powiedział Kwintus i klepnął Cyncerona w plecy. – Pozbyłeś się go.

– Ale czy to pewne?

– Już bardziej pewne być nie może. Widziano go, jak rano wyjeżdżał z miasta z kilkoma kompanami. Jego dom jest zamknięty i pusty.

Cycero skrzywił się i podrapał za uchem.

– Nawet jeśli tak, coś mi tu śmierdzi.

Kwintus, który przybiegł na wzgórze specjalnie po tym, żeby podzielić się dobrymi wiadomościami, poczuł się zirytowany jego powściągliwością.

– Katylina musiał uciec. To równoznaczne z przyznaniem się do winy. Pokonałeś go.

W miarę jak mijały dni i słuch po Katylinie zaginał, wszystko zdawało się potwierdzać, że Kwintus miał rację. Cycero jednak nie chciał odwołać środków bezpieczeństwa w Rzymie; i poruszał się po mieście z jeszcze większą eskortą niż do tej pory. W otoczeniu kilkunastu ludzi odważył się nawet wyprawić za mury, gdzie spotkał się z Kwintusem Metellusem, który wciąż miał imperium wojskowe, i prosił go, żeby udał się na południe Italii i sprawdził, co dzieje się w Apulii. Starzec narzekał, ale Cycero zapewnił go, że po tej ostatniej misji będzie miał zagwarantowany triumf, więc ten – jak sądzę, w głębi ducha zadowolony, że ma jakieś zajęcie – od razu wyruszył w drogę. Kolejny był konsul, który także liczył na triumf, Marek Reks, pomaszzerował na północ do Faesulae. Pretor Kwintus Pompejusz Rufus, do którego Cycero miał zaufanie, dostał rozkaz, aby udał się do Kapui, gdzie miał zorganizować pobór. Tymczasem Metellus Celer kontynuował zaciąg do wojska w Picenum.

Któregoś razu Manliusz, w tym czasie przywódca rebelii, przysłał do senatu list następującej treści: „Wzywamy na świadków bogów i ludzi, że naszym celem, gdy chwyciliśmy za broń, nie był atak na kraj ani na innych, lecz obrona przed złem. Jesteśmy ubogimi nieszczęśnikami; bezwzględność lichwiarzy pozbawiła większość z nas domów, a wszyscy straciliśmy dobre imię i szczęście”. Domagał się, żeby każdy dług zaciągnięty w srebrze (a tak było przeważnie) można było spłacić w miedziankach, co redukowało sumę o trzy czwarte. Cycero zaproponował,

aby odpowiedzieć surowo, że nie będzie żadnych negocjacji, dopóki buntownicy nie złożą broni. Wniosek przeszedł w senacie, ale wielu ludzi na forum szeptało między sobą, że sprawa rebeliantów jest słuszna.

Październik przeszedł w listopad. Dni zrobiły się ciemne i chłodne; ludzie w Rzymie byli zmęczeni i przygnębieni. Godzina policyjna uniemożliwiała im oddawanie się rozrywkom, które zazwyczaj pozwalały rozpędzić zimowy smutek. Tawerny i łaźnie zamykano wcześniej, w sklepach panowały pustki. Informatorzy, którzy liczyli na wysokie nagrody za wydanie zdrajców, korzystali z okazji, żeby wyrównać rachunki z sąsiadami. Wszyscy odnosili się podejrzliwie do wszystkich. Sytuacja stała się tak poważna, że w końcu Attyk odważnie podjął się porozmawiać z Cyceronem.

– Niektórzy obywatele mówią, że specjalnie wyolbrzymiasz zagrożenie – ostrzegł go przyjaciel.

– A po co miałbym to robić? Czy wydaje im się, że dla przyjemności zamieniłem Rzym w więzienie, w którym sam jestem najpilniej strzeżonym więźniem?

– Nie, uważają, że masz obsesję na punkcie Katyliny i straciłeś wyczucie proporcji; że twój strach o własne bezpieczeństwo czyni ich życie nieznośnym.

– Czy to wszystko?

– Ich zdaniem zachowujesz się jak dyktator.

– Czyżby?

– Mówią też, że jesteś tchórzem.

– Wobec tego niech będą przekłęci! – wykrzyknął Cycero i po raz pierwszy zobaczyłem, że potraktował Attyka chłodno; odpowiadał na dalsze próby rozmowy jedynie monosylabami. W końcu przyjaciel nie wytrzymał tej lodowatej atmosfery, przewrócił oczami i wyszedł.

Późnym wieczorem szóstego dnia listopada, gdy liktorzy już dawno udali się na spoczynek, Cycero leżał w jadalni z Terencją

i Kwintusem. Czytał raporty urzędników z całej Italii i właśnie podawałem mu kilka listów do podpisania, gdy Sargon zaczął ujadać. Na ten dźwięk poderwaliśmy się wszyscy; każdy z nas miał już stargane nerwy. Usłyszeliśmy, że drzwi frontowe się otwierają, dobiegł nas natarczywy męski głos i zaraz potem do pokoju wkroczył były uczeń Cyncerona, Celiusz Rufus. Pojawił się w naszych progach po raz pierwszy od wielu miesięcy i tym bardziej było to niepokojące, że na początku roku przyłączył się do Katyliny. Kwintus zerwał się na nogi, gotowy do obrony.

– Rufusie – odezwał się spokojnie Cyncero – myślałem, że staliśmy się dla siebie obcy.

– Ty nigdy nie będziesz dla mnie obcy.

Podszedł krok do przodu, ale Kwintus położył mu dłoń na piersi i zatrzymał go.

– Ręce w górę! – polecił i skinął na strażników.

Rufus zrobił, co mu kazano, i Tytus Sekstus go obszukał.

– Pewnie przyszedł na przeszpiegi – zauważył Kwintus, który nigdy nie przepadał za Rufusem i często pytał mnie, dlaczego moim zdaniem brat toleruje takiego narwańca.

– Nie przyszedłem na żadne przeszpiegi. Chcę was ostrzec: Katyliną wrócił.

Cyncero walnął pięścią w stół.

– Wiedziałem! Opuść ręce, Rufusie. Kiedy wrócił?

– Dziś wieczorem.

– I gdzie jest teraz?

– U Marka Lekiego, przy ulicy wytwórców kos.

– Kogo ma z sobą?

– Surę, Cetegusa, Bestię... wszystkich. Właśnie od nich przychodzę.

– No i?

– Chcą cię zamordować o wschodzie słońca.

Terencja podniosła rękę do ust.

- W jaki sposób?
- Dwaj ludzie, Warguntejusz i Korneliusz, przyjdą do ciebie o świcie, żeby zapewnić o swoim oddaniu i powiadomić, że opuścili Katylinę. Będą uzbrojeni. Za nimi przyjdą inni, żeby obezwładnić twoich wartowników. Nie wolno ci nikogo z nich wpuścić do środka.
 - Nie wpuścimy – zapewnił Kwintus.
 - Ale wpuściłbym ich – zauważył Cyncero. – Senator i ekwita... oczywiście, że tak. Wyciągnąłbym do nich rękę na zgodę. – Wydawał się zdziwiony, że mimo wszystkich środków ostrożności znalazłby się tak blisko zagrożenia.
 - Skąd mamy wiedzieć, że chłopak nie kłamie? – zapytał Kwintus. – To może być sztuczka, żeby odwrócić naszą uwagę od prawdziwego niebezpieczeństwa.
 - On ma rację, Rufusie – doszedł do wniosku Cyncero. – Pod względem lojalności obracasz się jak kurek na dachu.
 - Mówię prawdę.
 - A jednak popierasz ich sprawę.
 - Ich sprawę, owszem, ale nie metody, jakimi się posługują... już nie.
 - Co to za metody?
 - Uzgodnili, że podzielą Italię na okręgi militarne. Gdy zginięsz, Katylina pojedzie do rebeliantów w Etrurii. Niektóre części Rzymu zostaną podpalone. Wyrznie się senatorów na Pałacyńcu, a potem otworzy bramy miasta dla Manliusza i jego motłochu.
 - A Cezar? Czy on wie o tym wszystkim?
 - Nie było go tam dziś wieczorem, ale mam przecucie, że wie, co planują. Katyliną rozmawia z nim dość często.
- Pierwszy raz Cyncero otrzymał informacje z pierwszej ręki o zamiarach Katyliny. Na jego twarzy pojawiła się odraza. Pochylił głowę i potarł skronie palcami.
 - Co robić? – mruknął.

– Musimy zabrać cię w nocy z domu – orzekł Kwintus – i ukryć gdzieś, gdzie cię nie znajdą.

– Mógłbyś, panie, pójść do Attyka – podsunąłem.

Cycero pokręcił głową.

– Tam będą mnie szukać przede wszystkim. Bezpieczeństwo gwarantuje tylko ucieczka z Rzymu. Terencja i Marek mogą chociaż pojechać do Tuskulum.

– Nigdzie nie jadę – sprzeciwiła się Terencja – i ty też nie powinienesz. Lud rzymski szanuje różnych przywódców, ale tchórza szanować nie będzie. Tu jest twój dom i dom twojego ojca... zostań na miejscu i rzuć im wyzwanie. Ja bym tak postąpiła, gdybym była mężczyzną.

Spojrzała na Cyclerona i przestraszyłem się, że będziemy świadkami ich kolejnej burzliwej kłótni, które jak grom po niebie nierzadko przetaczały się przez to skromne domostwo. Lecz tym razem Cycero pokiwał głową.

– Masz rację. Tironie, wyślij wiadomość do Attyka, że bezwzględnie potrzebujemy pomocy. Zabarykadujemy drzwi.

– I powinniśmy wnieść na dach kilka beczek wody – dodał Kwintus – na wypadek gdyby chcieli podpalić dom.

– Zostanę i pomogę – zaofiarował się Rufus.

– Nie, mój młody przyjacielu – odparł Cycero. – Ty już zrobiłeś, co do ciebie należało, i jestem ci wdzięczny. Ale powinienesz jak najszybciej wyjechać z miasta. Jedź do domu swojego ojca w Interamnie i zostań tam, dopóki tu sytuacja się nie wyjaśni. – Rufus zamierzał zaprotestować, ale Cycero mu nie pozwolił. – Jeśli Katylinie nie uda się mnie jutro zabić, zaczniesz cię podejrzewać o zdradę; jeśli mu się uda, znajdziesz się w samym środku zawieruchy. Tak czy owak, lepiej, żeby nie było cię w Rzymie.

Rufus próbował się opierać, ale bez skutku. Gdy wreszcie wyszedł, Cycero powiedział:

– Prawdopodobnie jest po naszej stronie, ale kto to może wiedzieć. Na wszelki wypadek lepiej wyprowadzić konia trojańskiego za mury.

Wysłałem jednego z niewolników do Attyka z prośbą o wsparcie. Potem zaryglowaliśmy drzwi i zaciągnęliśmy pod nie ciężką skrzynię oraz sofę. Tylne wejście także zostało zamknięte na klucz, a potem na sztabę; w ramach drugiej linii obrony w przejściu ustawiliśmy przewrócony na bok stół. Razem z Sositeuszem i Laureą zaniósłem na dach kilka kubłów wody, wraz z dywanami i kocami do tłumienia ognia. W tej prowizorycznej fortecy do obrony konsula mieliśmy trzech ludzi z eskorty, Kwintusa, mnie, Sargona i jego tresera, odźwiernego oraz kilku niewolników uzbrojonych w noże i kije. No i nie wolno mi zapomnieć o Terencji, która cały czas nosiła przy sobie ciężki żelazny świecznik i była pewnie bardziej niebezpieczna niż którykolwiek z nas. Służące schroniły się w pokoju dzieciennym z Markiem, który wziął miecz zabawkę.

Cycero wykazywał niezwykle spokojny. Siedział za biurkiem, myślał, robił notatki i własnoręcznie pisał listy. Od czasu do czasu pytał mnie, czy przysłała odpowiedź od Attyka. Chciał, żeby go natychmiast zawiadomić, gdy pojawią się posiłki, wziąłem więc nóż kuchenny i otulony w koc znowu wyszedłem na dach, żeby obserwować, co się dzieje na ulicy. Było ciemno i cicho; jak okiem sięgnąć nikogo. Wydawało się, że cały Rzym śpi. Wróciłem myślą do tego wieczoru, kiedy Cycero wygrał wybory konsularne i przyłączyłem się tu do rodziny, aby zjeść uroczystą kolację przy blasku gwiazd. Mój pan od początku zdawał sobie sprawę, że ma słabą pozycję i że jego urządzenie będzie najeżone trudnościami; ale takiej sytuacji jak ta chyba sobie nie wyobrażał.

Minęło kilka godzin. Słyszałem od czasu do czasu szczekanie

psa, ale nie dochodziły mnie żadne ludzkie głosy oprócz nawoływań straży nocnej na dole, która ogłaszała kolejne pory nocy. Koguty zapiały jak zwykle, a potem ucichły i zrobiło się jakby ciemniej i jeszcze chłodniej. Laurea zawołał, że konsul chce mnie zobaczyć. Zszedłem więc na dół i znalazłem go siedzącego w atrium na krześle kurulnym, z gołym mieczem na kolanach.

– Jesteś pewien, że poprosiłeś Attyka o tych dodatkowych ludzi?

– Oczywiście.

– Zaznaczyłeś, że to pilne?

– Tak.

– A posłaniec był godny zaufania?

– Ze wszech miar.

– Hm – mruknął Cyncero. – Attyk by mnie nie zawiódł; nigdy to się nie zdarzyło.

Ale brzmiało to tak, jakby usiłował uspokoić samego siebie, bo na pewno pamiętał okoliczności ich ostatniego spotkania i chłodne pożegnanie. Już prawie świtało. Pies znowu zaczął gwałtownie szczekać. Cyncero spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem. Twarz miał stężałą.

– Idź i zobacz, co się dzieje – polecił mi.

Wspiąłem się na dach i ostrożnie wyjrzałem za gzyms. Początkowo nic nie widziałem. Stopniowo jednak zdałem sobie sprawę, że po przeciwnej stronie ulicy poruszają się cienie. Zbliżał się szereg mężczyzn, którzy trzymali się blisko muru. W pierwszej chwili pomyślałem, że wreszcie przybyła pomoc. Ale potem Sargon znowu zaczął szczekać z furią. Cienie się zatrzymały i rozległ się szept. Pospiesznie zszedłem do Cyncerona. Kwintus stał obok niego z wyciągniętym mieczem.

Terencja ścisnęła w dłoni świecznik.

– To napastnicy – wyjaśniłem.

– Ilu? – zapytał Kwintus.

– Dziesięciu. Może dwunastu.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi frontowych. Cycero przeklął.

– Jeśli dwunastu ludzi postanowi wedrzeć się do tego domu, to w końcu im się uda.

– Drzwi wytrzymają przez jakiś czas – orzekł Kwintus. – Bardziej niepokoi mnie możliwość podpalenia.

– Wrócę na dach – oznajmiłem.

Niebo już z lekka poszarzało i kiedy spojrzałem w dół na ulicę, zobaczyłem, że ciemne postaci zbiły się w gromadę przed wejściem do domu. Były czymś pochłonięte. Pojawił się błysk i wszyscy się cofnęli, gdy zapłonęła pochodnia. Ktoś musiał zauważyć, że patrzę w dół, bo zawołał:

– Hej, ty tam! Czy konsul jest w domu?! – Umknąłem z widoku.

Inny wykrzyknął:

– Tu senator Lucjusz Warguntejusz, chcę zobaczyć się z konsulem! Mam dla niego pilne wieści!

Wtedy usłyszałem trzask i głosy dochodzące z tyłu domu. Druga grupa próbowała dostać się do środka. Byłem w połowie drogi na drugą stronę dachu, gdy nagle nad gzymsem przeleciała z sykiem zapalona pochodnia. Świsnęła mi koło ucha i upadła głośno na dachówki obok mnie, rozpadając się na dziesiątki płonących skrawków i syjąc iskrami. Zawołałem na dół o pomoc, chwyciłem ciężki dywan i rzuciłem go na małe ogniska, jednocześnie próbując stopami zagasić te, których nie udało mi się przykryć. Kolejna pochodnia przeleciała w powietrzu, wylądowała z hukiem i rozpadła się na kawałki, potem następna i następna. Dach, wykonany ze starego drewna i terakoty, błyszczał w ciemnościach jak pole gwiazd i przekonałem się, że Kwintus miał rację: jeszcze trochę i wykurzyliby nas ogniem, a potem zamordowali Cyncerona na ulicy.

Przepełniony pasją zrodzoną z lęku, złapałem najbliższą

po pochodnię z płonącymi jeszcze pakułami, zbliżyłem się do krawędzi dachu, wycelowałem starannie i rzuciłem nią w stojących na dole ludzi. Trafiłem jednego z nich prosto w głowę, tak że jego włosy zajęły się ogniem i zaczął krzyczeć. Pobiegłem więc po następną pochodnię. W tym czasie Sositeusz i Laurea wpadli na dach, żeby pomóc w gaszeniu ognia, i pewnie pomyśleli, że postradałem zmysły, bo skoczyłem na gzyms, rycząc ze złości, i rzuciłem kolejny płonący pocisk w napastników. Kątem oka zauważyłem, że na ulicę wbiegają następne ciemne sylwetki z pochodniami. Pomyślałem, że nie mamy szans. Ale nagle z dołu dobiegły wściekłe głosy, szcęk stali i echo szybkich kroków.

– Tironie! – zawołał ktoś i w żółtym świetle pochodni poznałem zwróconą ku górze twarz Attyka. Na ulicy tłoczyli się jego ludzie. – Tironie! Czy twój pan jest cały i zdrowy?! Wpuść nas!

Zbiegłem po schodach i popędziłem korytarzem, z konsulem i Terencją, którzy deptali mi po piętach. Razem z Kwintusem i braćmi Sekstusami odciągnęliśmy skrzynię i sofę, a potem odryglowaliśmy drzwi. W chwili gdy je otworzyliśmy, Cycero i Attyk padli sobie w objęcia, czemu towarzyszyły radosne okrzyki około trzydziestu ekwitów zebranych na ulicy.

Gdy wzeszło słońce, dojścia do domu Cyclerona były już zabarykadowane i obsadzone przez wartowników. Każdy, kto chciał zobaczyć się z konsulem, nawet starsi członkowie senatu, musiał zaczekać przy jednym ze zbrojnych posterunków, dopóki mój pan nie został powiadomiony. Potem, jeśli Cycero wyraził chęć przyjęcia go, siedłem potwierdzić jego tożsamość i odprowadzałem go do drzwi. W ten sposób wpuszczeni zostali Katulus, Izaurykus, Hortensjusz i obaj Lukullusowie oraz konsulowie

elekci. Przynieśli oni wieści, że w całym Rzymie Cycero uważany jest teraz za bohatera. Składano za niego ofiary i modlono się o jego bezpieczeństwo, natomiast pusty dom Katyliny był obrzucany kamieniami. I rzeczywiście, przez całe przedpołudnie na Eskwilin podążała procesja, w której niesiono podarunki i dowody sympatii – kwiaty, wino, ciastka, oliwę – aż atrium zaczęło przypominać targowisko. Klodia przysłała koszyk rzadkich owoców ze swojego sadu na Palatynie. Terencja jednak przejęła je, zanim dotarły do męża, i zauważyłem, że przez jej twarz przemknął cień podejrzenia, gdy czytała liścik od Klodii; potem kazała służącemu wyrzucić owoce „z obawy przed trucizną”, jak powiedziała.

Cycero wydał nakaz aresztowania Warguntejusza i Korneliusza. Przywódcy senatu nakłaniali go, żeby kazał także ująć Katylinę, żywego lub martwego. Ale mój pan się wahał.

– Im jest wszystko jedno – powiedział do Kwintusa, gdy delegacja się pożegnała – to nie ich nazwiska będą widniały na rozkazie. Ale gdyby Katyliną został bezprawnie zabity na mój rozkaz, musiałbym walczyć z oskarżycielami do końca życia. Zresztą to byłoby rozwiązanie tymczasowe. W senacie zostaliby przecież jego poplecznicy.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że należy mu pozwolić dalej mieszkać w Rzymie? – zaprotestował Kwintus.

– Nie, chcę tylko, żeby wyjechał... wyjechał i zabrał z sobą zdradzieckich przyjaciół, przyłączył się do armii buntowników i zginął na polu walki, jak najdalej ode mnie. Na bogów, dałbym im nawet list żelazny i gwardię honorową do eskorty przy wyjeździe z miasta, gdyby chcieli... wszystko, żeby tylko się stąd wynieśli.

Ale choćby nie wiem jak długo krążył w kółko, nie potrafił znaleźć wyjścia z sytuacji. W końcu więc uznał, że jedyne, co może zrobić, to wezwać senat na obrady. Kwintus i Attyk

natychmiast zgłosili sprzeciw, bo uważali, że to zbyt niebezpieczne, gdyż nie mogą zapewnić mu ochrony. Cycero zastanowił się nad tym i wpadł na sprytny pomysł. Zamiast zwoływać sesję w budynku senatu, kazał przenieść ławy na drugą stronę forum do świątyni Jowisza Obrońcy. Dawało to dwie korzyści. Po pierwsze, świątynia znajdowała się na niższym stoku Palatynu i łatwiej byłoby się w niej bronić przed atakiem zwolenników Katyliny. Po drugie, miała symboliczną wymowę. Zgodnie z legendą przybytek ten został poświęcony Jowiszowi przez samego Romulusa w krytycznym punkcie wojny z plemieniem Sabinów. W tym miejscu Rzym stanął do walki i bronił się w pierwszej godzinie próby, w tym też miejscu miał bronić się w obecnej, pod przewodnictwem nowego Romulusa.

Gdy Cycero wyruszył do świątyni, chroniony przez liktorów i osobistą eskortę, miasto ogarnęła atmosfera prawdziwego strachu, tak namacalna jak szara listopadowa mgła, która napływała znad Tybru. Na ulicach panowała martwa cisza. Nikt nie klaskał ani nie wiwatował; wszyscy po prostu skryli się w domach. Obywatele zebrawi się za oknami, bladzi i milczący, żeby popatrzeć na przemarsz konsula.

Gdy dotarliśmy do świątyni, zobaczyliśmy, że otaczają ją ekwici, niektórzy nawet wiekowi, wszyscy uzbrojeni w lance i miecze. W bezpiecznej odległości stało w milczących grupach kilkuset senatorów. Rozstąpili się, żeby nas przepuścić, i kilku z nich poklepało Cycerona po plecach, szeptem życząc mu powodzenia. Cycero kiwał głową w podziękowaniu; szybko przeprowadził auspicja, a potem wraz z liktorami wkroczył do dużego budynku. Nigdy wcześniej w nim nie byłem i przekonałem się, że stanowi ponurą scenerię. Liczył kilka wieków i z każdej ściany i każdego kąta spoglądały na nas pamiątki dawnej chwały militarnej Rzymu z początków republiki – zakrwawione sztandary, pogięte pancerze, dzioby okrętów, orły legionowe i posąg

Scypiona Afrykańskiego, tak pomalowany, że wyglądał, jakby on sam we własnej osobie znalazł się wśród nas. Szedłem w świącie Cyclerona na samym końcu, za mną napływali senatorowie, a ponieważ stale odwracałem się i przyglądałem tym wszystkim zabytkom, zostałem daleko w tyle. W każdym razie gdy dochodziłem do podwyższenia, uświadomiłem sobie ku swojemu wielkiemu zażenowaniu, że jedynym dźwiękiem w budynku jest stukot moich kroków na kamiennej podłodze. Cały senat bowiem milczał.

Cycero rozwijał zwój papirusu. Odwrócił się, aby sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyłem, że zmarł. Obróciłem się i z przerażeniem zobaczyłem samego Katylinę, który spokojnie zajmował miejsce na jednej z ław. Niemal wszyscy inni też wstali, żeby popatrzeć. Katylinę tymczasem usiadł, a wtedy siedzący najbliżej zaczęli się od niego odsuwać, jakby był trędowaty. Nawet Cezar nie chciał się do niego zbliżyć. Katylinę nie zwracał na to uwagi; splótł ręce przed sobą i podniósł głowę. Cisza zaczęła się przedłużać, aż w końcu usłyszałem za sobą głos Cyclerona, bardzo spokojny.

– Jak długo, Katylino, będziesz wystawiał na próbę naszą cierpliwość?

Przez całe moje późniejsze życie ludzie pytali mnie o tę moję Cyclerona. „Czy napisał ją wcześniej?” – chcieli wiedzieć. „Zapewne chociaż przygotował sobie, co powie?”. Odpowiedź na oba pytania brzmi „nie”. Była całkowicie improwizowana. Fragmenty tego, co od dawna pragnął powiedzieć, kwestie, które ćwiczył w głowie, myśli, które nawiedzały go w bezsenne noce ostatnich kilku miesięcy – wszystko to złożyło się w całość, gdy wstał.

– Jak długo będziemy musieli znosić twoje szaleństwo?

Zszedł z podwyższenia i bardzo powoli ruszył przejściem w stronę Katyliny. Idąc, wyciągnął obie ręce i nakazał senatorom, żeby usiedli, co też zrobili, i jakimś sposobem ten władczy gest

i natychmiastowy odzew, jaki wywołał, przydały mu władzy. Mówił w imieniu republiki.

– Nie ma kresu twojej arogancji? Nie rozumiesz, że wiemy, co zamierzasz? Nie zdajesz sobie sprawy, że twój spisek został ujawniony? Czy sądzisz, że jest wśród nas ktoś, kto nie wie, co robiłeś zeszłej nocy: gdzie byłeś, kto przyszedł do ciebie na spotkanie i co uzgodniliście? – W końcu zatrzymał się przed Katyliną, wziął się pod boki, zmierzył go wzrokiem i pokręcił głową. – Co za czasy – powiedział z wielkim niesmakiem – co za obyczaje! Senat wie o wszystkim, konsul wie o wszystkim, a mimo to... ten człowiek wciąż jest przy życiu!

Obrócił się dookoła.

– Przy życiu? Nie tylko jest przy życiu, senatorowie! – wykrzyknął. Zostawił Katylinę i stanąwszy pośrodku świątyni, zwrócił się do zatłoczonych ław. – Przychodzi do senatu! Bierze udział w naszych obradach. Słucha nas. Obserwuje... i w tym czasie obmyśla, kogo ma zabić! To tak służymy republice: siedzimy tu, licząc, że to nie będziemy my? Ależ jesteśmy odważni! Upłynęło dwadzieścia dni, odkąd przyznaliśmy sobie nadzwyczajne pełnomocnictwa do działania. Mamy miecz... ale nie wyciągnęliśmy go z pochwy! Powinieneś natychmiast zostać stracony, Katyline. A jednak wciąż żyjesz. I dopóki będziesz żył, nie przestaniesz spiskować... a nawet oddasz się temu z jeszcze większym zaangażowaniem!

Chyba sam Katyline musiał sobie uświadomić, że popełnił błąd, przychodząc do świątyni. Pod względem budowy fizycznej był znacznie silniejszy od Cyncerona, no i miał niezwykły tupet. Jednakże senat to nie arena, na której demonstrowało się brutalną siłę. Tu broń stanowiły słowa, a nikt nie umiał lepiej nimi władać niż Cyncero. Od dwudziestu lat, gdy tylko obradowały sądy, nie było dnia, żeby nie ćwiczył się w swoim rzemiośle. W

pewnym sensie całe jego życie było przygotowaniem do tej właśnie chwili.

– Przypomnijmy sobie wydarzenia minionej nocy. Poszedłeś na ulicę wytwórców kos... powiem dokładnie... do domu Marka Lekiego. Dołączyli do ciebie współpracownicy. Cóż, może zaprzeczysz? Dlaczego milczysz? Jeśli się wyprzesz, dowiodę ci tego. Widzę nawet w senacie kilku tych, którzy byli wczoraj z tobą. W imię bogów, na jakim świecie żyjemy? Co to za kraj? W jakimż to mieście przyszło nam mieszkać? Tu bowiem, senatorowie... tu, między nami, w sercu tego najświętszego i najważniejszego zgromadzenia na świecie, przebywa człowiek, który pragnie nas zniszczyć, pragnie zniszczyć nasze miasto i objąć tym zniszczeniem cały świat! Byłeś w domu Lekiego, Katylinie. Dokonałiście rozbioru Italii. Zdecydowałeś, dokąd chcesz kogo posłać. Powiedziałeś, dokąd sam pojedziesz, gdy tylko będę martwy. Wyznaczyłeś dzielnice miasta, które mają być spalone. Wysłałeś dwóch ludzi, żeby mnie zamordowali. Pytam cię więc, dlaczego nie dokończysz podróży, którą zacząłeś? Opuść wreszcie to miasto! Bramy są otwarte. Ruszaj w drogę! Rebeliancka armia czeka na swojego wodza. Zabierz z sobą wszystkich swoich ludzi. Niech to miasto się oczyści. Niech oddzieli cię od nas mur. Nie możesz dłużej zostać pośród nas... a ja nie mogę na to pozwolić, nie zamierzam i nie wolno mi!

Uderzył się prawą pięścią w pierś i uniósł wzrok ku sklepieniu świątyni, a tymczasem cały senat wstał, aby wyrazić dla niego poparcie.

– Zabić go! – zawołał ktoś. – Zabić go! Zabić!

Okrzyk ten kolejno podejmowali inni. Cyncero ruchem ręki nakazał im usiąść.

– Jeśli wydam nakaz, żeby cię zabić, w kraju pozostanie reszta konspiratorów. Jeżeli natomiast, do czego cię nakłaniam od dłuższego czasu, wyjedziesz z miasta, odprowadzisz z niego

te ścieki, czyli swoich zauszników, a naszych śmiertelnych wrogów. No więc, Katyline? Na co jeszcze czekasz? Jakież jeszcze przyjemności może dać ci to miasto? Poza kręgiem spiskowców, tych zrujnowanych ludzi, nie ma tu ani jednego człowieka, który by się ciebie nie bał, ani jednego, który by nie żywił do ciebie nienawiści.

Cycero mówił jeszcze długo w tym stylu, a potem przeszedł do podsumowania.

– Pozwólmy więc zdrajcom opuścić miasto! – zakończył. – Jedź, Katyline, na tę swoją niegodziwą, niesprawiedliwą wojnę, daj spokój republice, ściągnij klęskę i ruinę na siebie, a także katastrofę na tych, którzy się do ciebie przyłączyli. Jowiszu, chroń nas! – zagrzmiął i jednocześnie wyciągnął rękę ku posągowi bóstwa. – I ześlij wieczną karę na tych podłych ludzi, żywych i umarłych!

Odwrócił się i odmaszerował w stronę podwyższenia. Zebrani zaczęli skandować:

– Jedź! Jedź! Jedź!

Żeby odzyskać panowanie nad sytuacją, Katyline zerwał się na nogi, zaczął wymachiwać rękami i krzyczeć za Ciceronem. Jednak było już za późno, żeby mógł naprawić szkodę, i nie miał odpowiednich umiejętności. Został zdemaskowany, poniżony, dobity. Pochwyciłem słowa „imigrant” i „wygnanie”, ale były zbyt ciche, by mógł je usłyszeć, a zresztą w furii niewiele do niego docierało. Gdy podniosła się wokół niego wrzawa, zamilkł i ciężko oddychał; stał jeszcze przez krótką chwilę, odwracał się to w tę, to w tamtą stronę, jak niegdyś potężny statek miotany sztormem, ale już bez masztu i szarpiający się na kotwicy, aż w końcu jakby coś w nim pękło. Wzdrygnął się i stanął w przejściu, na co kilku senatorów, w tym Kwintus, przeskoczyło ławy, żeby bronić konsula. Ale nawet Katyline nie był aż tak szalony; gdyby rzucił się na przeciwnika, zostałby rozerwany na

strzępy. Potoczył więc tylko pogardliwym spojrzeniem wokół siebie – spojrzeniem obejmującym także te wszystkie dowody chwały, do której przyczynili się i jego przodkowie – i wymaszerował ze świątyni. Tego samego dnia, w towarzystwie dwunastu ludzi, których nazwał swoimi liktorami, pod srebrnym orłem, należącym kiedyś do Mariusza, opuścił miasto i udał się do Arretium, gdzie oficjalnie ogłosił się konsulem.

W polityce nie ma czegoś takiego jak ostateczne zwycięstwo, jest tylko ciągle ścieranie się sił. Jeśli z mojego dzieła wypływa jakiś morał, to właśnie taki. Cycero odniósł oratorski triumf nad Katyliną, o którym mówiono potem przez całe lata. Oстрым językiem jak batem wypędził potwora z Rzymu. Ale ścieki, jak je nazwał, wbrew jego nadziejom nie odpłynęły wraz z Katyliną. Wręcz przeciwnie, po wyjściu swojego przywódcy Sura i cała reszta pozostali na miejscach i dalej przysłuchiwali się debacie. Siedzieli razem, pewnie wierząc w starą zasadę, że w tłumie siła: Sura, Cetegus, Longinus, Annius, Petus, trybun elekt Bestia, bracia Sullowie, a nawet Marek Leka, z którego domu wysłano zabójców. Widziałem, że Cycero na nich spogląda, i ciekaw byłem, co mu chodzi po głowie. Sura nawet wstał w pewnej chwili i zaproponował swoim donośnym głosem, żeby żonę i dzieci Katyliny wziąć pod opiekę senatu! Dyskusja zabrnęła na manowce. Potem o głos poprosił trybun elekt Metellus Nepos. Teraz, gdy Katyliną opuścił miasto – oświadczył – pewnie po to, żeby stanąć na czele powstania, czyż nie najroztropniej byłoby wezwać Pompejusza Wielkiego do Italii, żeby objął dowództwo nad siłami senatu? Cezar szybko wstał i poparł tę propozycję. Cycero, przenikliwy jak zwykle, dostrzegł w tym okazję, żeby wbić klin pomiędzy swoich oponentów, i niewinnym głosem, udając autentyczne zaciekawienie, zapytał o opinię Krassusa,

który był przecież konsulem wraz z Pompejuszem.

Krassus podniósł się z ławy niechętnie.

– Nikt bardziej ode mnie nie ceni Pompejusza Wielkiego – zaczął, ale musiał przerwać na chwilę i z irytacją postukał nogą o podłogę, bo cała świątynia zatrzęsła się od szyderczego śmiechu. – Nikt nie ceni go bardziej ode mnie – powtórzył – ale muszę powiedzieć trybunowi elektowi, na wypadek gdyby to uszło jego uwagi, że jest już prawie zima, najgorsza pora, żeby przeprawiać się z wojskiem przez morze. Jak Pompejusz zdoła przybyć tu przed wiosną?

– To niech Pompejusz Wielki przybędzie bez armii – zaprotestował Nepos. – Jeśliby wyruszył w drogę z niewielką eskortą, byłby tu za miesiąc. Już samo jego imię ma siłę tuzina legionów.

Tego było za wiele dla Katona. W jednej chwili poderwał się na nogi.

– Wrogów, którym musimy stawić czoło, nie pokonają same imiona – zauważył drwiąco – nawet takie z przydomkiem „Wielki”. Potrzebujemy armii, armii w polu, takiej jak ta, którą powołuje w tej chwili rodzony brat trybuna elekta. Poza tym, jeśli chcecie znać moje zdanie, Pompejusz już i tak ma za dużą władzę.

To wywołało wśród zgromadzonych głośne, pełne zdumienia okrzyki: „O!”.

– Jeśli senat nie przyzna Pompejuszowi dowództwa – zapowiedział Nepos – to ostrzegam was lojalnie, że gdy tylko obejmę urząd trybuna, zgłoszę przed zgromadzeniem ludowym wniosek o wezwanie go do powrotu.

– A ja ostrzegam cię lojalnie – odciął się Katon – że zgłoszę weto wobec twojego wniosku.

– Senatorowie, senatorowie! – zawołał Cyncero, który musiał podnieść głos, żeby go usłyszano. – Nic dobrego nie przyjdzie nam ani republice, jeśli będziemy się spierać w chwili zagrożenia

bezpieczeństwa publicznego! Jutro odbędzie się zgromadzenie ludowe. Poinformuję obywateli o waszych propozycjach i mam nadzieję – dodał, patrząc surowo na Surę i jego kolegów – że senatorowie, którzy ciałem są z nami, ale sercem gdzie indziej, zmieniają w nocy front i swoje postępowanie. Zamykam obrady.

Zazwyczaj po zakończeniu sesji Cycero zatrzymywał się przed budynkiem, na wypadek gdyby któryś z senatorów chciał z nim jeszcze porozmawiać. Był to jeden ze sposobów, dzięki którym panował nad izbą i znał wszystkich członków senatu, choćby najmniej znaczących – ich wady i zalety, pragnienia i obawy, to, co mogą jeszcze znieść, a czego nie strawią pod żadnym pozorem. Jednakże tego popołudnia wyszedł pośpiesznie, z twarzą ściągniętą z frustracji.

– To jak walka z Hydrą! – poskarżył się gniewnie, kiedy wróciliśmy do domu. – Gdy tylko odetnę jeden jej łeb, w to miejsce natychmiast wyrasta następny! Tak samo, gdy Katylina się usuwa, jego pacholki siedzą sobie najspokojniej w świetle, a zaraz potem frakcja Pompejusza zaczyna swoje! Został mi jeszcze miesiąc – rozprawiał – tylko miesiąc, zanim nowi trybunowie obejmą urząd... jeśli w ogóle uda mi się przeżyć tak długo... Wtedy dopiero zacznie się kampania na rzecz powrotu Pompejusza. A tymczasem z powodu tego przeklętego procesu nie możemy być nawet pewni, że w styczniu będziemy mieć dwóch nowych konsulów!

Po tych słowach machnął ręką nad biurkiem i zrzucił na podłogę wszystkie dokumenty dotyczące sprawy Mureny.

Gdy ogarniał go taki nastrój, tracił zdrowy rozsądek i wiedziałem z długiego doświadczenia, że nie ma sensu się odzywać. Zirytowany, czekał chwilę na moją odpowiedź, a ponieważ nie dałem mu tej satysfakcji, wypadł z gabinetu, żeby poszukać kogoś innego, na kim mógłby się wyładować, a ja schyliłem się i pozbierałem wszystkie zwoje z dowodami. Wiedziałem, że

prędzej czy później wróci, aby przygotować mowę do ludu na następny dzień, ale godziny mijały, zapadł zmrok, tak że zapalono lampy i świece, a jego nie było i zacząłem się niepokoić. Później dowiedziałem się, że poszedł w towarzystwie liktorów i eskorty do pobliskiego ogrodu, gdzie spacerował w kółko tak długo, że już myśleli, iż wyźłobi koleinę w kamieniach. Kiedy wreszcie wrócił do domu, twarz miał bladą i zaciętą. Obmyślił plan, jak mi powiedział, ale nie był pewny, co bardziej go martwi: to, że mógłby ponieść porażkę, czy możliwość powodzenia.

Następnego ranka wezwał do siebie Kwintusa Fabiusza Sanga. Sanga, jeśli pamiętacie, był tym senatorem, do którego napisał owego dnia, gdy znaleziono ciało zamordowanego chłopca; prosił go o informacje na temat obrzędów galijskich i ofiar z ludzi. Sanga miał około pięćdziesięciu lat i niezmiernie wzbogacił się na inwestycjach w Galii Przed- i Zaalpejskiej. Nie miał nigdy aspiracji, żeby przesiąść się z tylnych ław senatu bardziej do przodu, i traktował swoje członkostwo w nim jako sposób zabezpieczenia własnych interesów finansowych. Był godny szacunku i pobożny, żył skromnie i podobno surowo odnosił się do żony i dzieci. Zabierał głos tylko podczas debat o Galii, a wtedy, szczerze mówiąc, zanudzał wszystkich; gdy tylko zaczynał mówić o jej geografii, klimacie, plemionach, obyczajach i tak dalej, izba pustoszała szybciej niż na ostrzeżenie o pożarze!

– Jesteś patriotą, Sango? – zapytał Cycero w chwili, gdy wprowadziłem senatora.

– Uważam się za niego, konsulu – odparł ten ostrożnie. – A dlaczego pytasz?

– Ponieważ chciałbym, żebyś odegrał ważną rolę w obronie naszej umiłowanej republiki.

– Ja? – Sanga wydawał się przerażony. – Ojej. Dokucza mi podagra...

– Nie, nie, nie to mam na myśli. Pragnę tylko, żebyś poprosił kogoś, aby porozmawiał z kimś, a potem przekazał mi jego odpowiedź.

Sanga wyraźnie się uspokoił.

– Skoro tak, chyba mógłbym to zrobić. Kim są ci ludzie?

– Jeden to Publiusz Umbrenus, wyzwolieniec Lentulusa Surry, często pełni funkcję jego sekretarza. Chyba kiedyś mieszkał w Galii. Może go znasz?

– Owszem, znam.

– Drugi powinien być Galem. Nieważne, z jakiego regionu Galii. Ktoś, kogo znasz. Idealny byłby wysłannik jednego z plemion. Osoba budząca w Rzymie zaufanie, której całkowicie ufasz.

– I co miałby zrobić ten Gal?

– Chciałbym, żeby poszedł do Umbrenusa i zaproponował mu zorganizowanie powstania przeciwko panowaniu Rzymian.

Kiedy Cycero poprzedniego wieczoru przedstawił mi swój plan, byłem zgorszony i przypuszczałem, że zasadniczy Sanga zareaguje tak samo, że podniesie ręce i być może wybiegnie z pokoju na tak potworną propozycję. Ale, jak już się przekonałem, najtrudniej zgorszyć ludzi interesu, trudniej nawet niż żołnierzy czy polityków. Człowiekowi interesu można zaproponować niemal każdą rzecz i na ogół przynajmniej ją rozważy.

Sanga jedynie uniósł brwi.

– Chcesz sprowokować Surę do zdrady?

– Niekoniecznie zdrady, chcę tylko sprawdzić, czy są granice podłości, których on i jego poplecznicy nie przekroczą. Wiemy już, że spokojnie planują zabójstwa, rzezie, podpalenia i zbrojną rebelię. Jedyną haniebną zbrodnią, jaka jeszcze przychodzi mi do głowy, jest zmowa z wrogami Rzymu... nie żebym

uważał Galów za wrogów, ale rozumiesz, co mam na myśli – dodał pośpiesznie.

- Chodzi ci o konkretne plemię?
- Nie. Zostawiam to twojej decyzji.

Sanga milczał przez chwilę, zastanawiał się nad tą sprawą. Miał przebiegłą minę. Zmarszczył nos. Podrapał go i uszczypnął. Widać było, że już czuje zapach pieniędzy.

– Prowadzę w Galii rozmaite interesy, a handel wymaga pokojowych stosunków. Nie chciałbym, aby moi galijscy przyjaciele stali się w Rzymie jeszcze mniej popularni niż są obecnie, to ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy.

– Zapewniam cię, Sango, że jeśli pomogą mi ujawnić ten spisek, w chwili gdy zamknę tę sprawę, będą bohaterami narodowymi.

- I pozostaje chyba jeszcze kwestia mojego udziału...
- Twoja rola pozostanie w całkowitej tajemnicy, z wyjątkiem oczywiście, jeśli się zgodzisz, namiestników Galii Przed i Zaalpejskiej. Obaj są moimi dobrymi przyjaciółmi i jestem pewien, że docenią twoje zasługi.

Na perspektywę zysku Sura uśmiechnął się wreszcie.

– Skoro tak stawiasz sprawę, jest pewne plemię, które mogłoby sprostać zadaniu. To Allobrogowie, którzy kontrolują przejścia przez Alpy, właśnie przysłali delegację do senatu, żeby poskarżyć się na wysokość podatków, które muszą płacić Rzymowi. Przybyli do miasta przed kilkoma dniami.

- I są wojowniczy?
- Bardzo. Mógłbym im zasugerować, że ich petycja ma szansę na przychylnie rozpatrzenie, a wtedy na pewno chętnie by zrobili coś w zamian...

Po jego wyjściu Cycero zapytał mnie:

- Nie pochwalasz tego?
- Nie moją sprawą jest oceniać, panie.

– Och, ale nie pochwalasz! Widzę to po twojej minie! Uważasz za niehonorowe zastawianie pułapek. Ale powiedzcie ci, Tironie, co naprawdę uwłacza zasadom honoru? Otóż mieszkanie w mieście, które zamierzasz zniszczyć, i w tym celu spiskujesz! Jeśli Sura nie ma zdradzieckich zamiarów, wyrzuci za drzwi tych Galów. Jeżeli natomiast zgodzi się rozważyć ich propozycję, będę go miał w garści... osobiście odprowadzę go do bram miasta i wyrzucę za nie, a potem niech rozprawi się z nim Celer i jego wojska. I nikt mi nie powie, że jest w tym coś sprzecznego z honorem!

Mówił z taką pasją, że niemal mnie przekonał.

X

Proces konsula elekta, Licyniusza Mureny, któremu zarzucono przekupstwa wyborcze, zaczął się w idy listopadowe i miał potrwać dwa tygodnie. Jako oskarżyciele występowali Serwiusz i Katon; jako obrońcy – Hortensjusz, Cyncero i Krassus. Była to duża sprawa, odbywała się na forum i sam trybunał sędziowski liczył dziewięćset ludzi. Składał się w równych proporcjach z senatorów, ekwitów i szanowanych obywateli; sędziów było zbyt wielu, aby dało się ich przekupić – stąd właśnie tak duża ich liczba – ale też przez to trudno było przewidzieć, jak zagłosują. Oskarżyciele niewątpliwie bardzo dobrze się przygotowali. Serwiusz miał mnóstwo dowodów na łapówkarstwo Mureny; przedstawiał je w swój suchy prawniczy sposób i długo rozwodził się nad faktem, że Cyncero zdradził ich przyjaźń przez to, iż wystąpił w tym procesie jako obrońca. Katon wybrał stoicką argumentację i narzekał na zepsucie czasów, w których urząd kupuje się, zarządzając uczty i igrzyska.

– Czyż nie dążyłeś do najwyższej władzy, najwyższego stanowiska, samego rządzenia państwem, przemawiając do zmysłów ludzi, mając ich umysły, kusząc przyjemnościami?

Wydawało ci się, że prosisz bandę zepsutych młodzików o posadę stręczyciela czy lud rzymski o władzę nad światem?

Murena nie był z tego wszystkiego zadowolony; cały czas musiał uspokajać go młody Klodiusz, który prowadził jego kampanię wyborczą, a teraz siedział przy nim dzień w dzień i dowcipnymi uwagami usiłował podtrzymać go na duchu. Jeśli chodzi o obrońców – cóż, Murena nie mógł mieć lepszych. Hortensjusz, który jeszcze nie doszedł do siebie po nieudanym występie podczas procesu Rabiriusza, postanowił udowodnić, że wciąż potrafi oddziaływać na sąd, i używał sobie na Serwiuszu, ile wlezie. Krassus, trzeba to powiedzieć, nie był wybitnym adwokatem, ale już sama jego obecność na ławie obrońców miała swoją wymowę. Co do Cyncerona, trzymano go w rezerwie na ostatni dzień rozprawy, kiedy to miał wystąpić przed sądem z mową końcową.

Podczas procesu siedział więc na rostrach, czytał albo pisał, a od czasu do czasu unosił głowę i udawał, że jest wstrząśnięty albo rozbawiony tym, co właśnie powiedziano. Ja kuciałem za nim, żeby podawać mu dokumenty i odbierać polecenia. Nie wiele z nich miało związek z toczącą się rozprawą, ponieważ Cyncero nie tylko codziennie musiał być w sądzie, lecz także samodzielnie rządził Rzymem i tonął po uszy z sprawach administracyjnych. Z całej Italii, jak długa i szeroka, dochodziły raporty o zamieszkach. Celer miał pełne ręce roboty, bo aresztował niezadowolonych w Picenum. Krążyły pogłoski, że Katylina odważy się na ostateczny krok i zacznie werbować niewolników do wojsk rebelianckich w zamian za obietnicę wyzwolenia – gdyby do tego doszło, cały kraj stanąłby w ogniu. Trzeba było powołać więcej żołnierzy i Cyncero przekonał Hybrydę, żeby objął dowództwo nowej armii. Chciał przez to pokazać, że stanowią jednolity front, ale głównie chodziło mu o to, żeby pozbyć się Hybrydy z miasta, bo nie bardzo wierzył w lojalność

kolegi i nie chciał go mieć w Rzymie, gdyby Sura i pozostali konspiratorzy zdecydowali się na następny ruch. Można by pomyśleć, że to szaleństwo powierzać wojsko człowiekowi, któremu się nie ufa, ale Cycero nie był głupi. Wyzaczył senatora o prawie trzydziestoletnim doświadczeniu wojennym, Marka Petrejusza, jako zastępcę Hybrydy i dał mu zapieczętowane rozkazy, które należało otworzyć, w razie gdyby armia miała przystąpić do walki.

Z nadejściem zimy wydawało się, że republika znalazła się na skraju upadku. Podczas zgromadzenia ludowego Metellus Nepos gwałtownie zaatakował Cyncerona jako konsula, oskarżył go o wszelkie możliwe zbrodnie i występki: dyktaturę, słabość, brak rozważli, tchórzostwo, samozadowolenie, nieudolność.

– Jak długo – pytał – lud rzymski będzie pozbawiony usług jedyne go człowieka, który może wybawić go z tej żalosej opresji, Gnejusza Pompejusza, słusznie nazywanego Wielkim?

Cycero nie brał udziału w tym zgromadzeniu, ale dostał pełny raport o tym, co mówiono.

Tuż przed zakończeniem procesu Mureny – to chyba musiał być pierwszy dzień grudnia – Cyncerona odwiedził z samego rana Sanga. Małe oczka senatora błyszcząły, ponieważ przynosił ważne wieści. Galowie zrobili, o co prosił, i zagadnęli na forum wyzwolenca Sury, Umbrenusa. Ich rozmowa miała zupełnie naturalny, przyjacielski charakter. Galowie bardzo narzekali, przeklinali senat i opowiadali się za Katyliną: od życia w niewoli, mówili, już lepsza jest śmierć. Umbrenus zastrzygł uszami i zaproponował, żeby kontynuowali rozmowę w bardziej ustronnym miejscu, po czym zabrał ich do pobliskiego domu Decymusa Brutusa. Sam Brutus – arystokrata, sprawujący urząd konsula przed czterema laty – nie miał nic wspólnego ze spiskiem i wyjechał z Rzymu, ale jego żona, bystra i podstępna kobieta, jedna z licznych kochanek Katyliny, podsunęła pomysł, żeby nawiązali porozumienie. Umbrenus poszedł po jednego z

przywódców spisku i wrócił z Kapitą, który zobowiązał Galów do zachowania tajemnicy i zdradził, że lada dzień w mieście wybuchnie powstanie. Gdy tylko Katyliną i rebelianci podejną pod Rzym, nowo wybrany trybun Bestia zwoła zgromadzenie ludowe i zażąda aresztowania Cyncerona. To będzie sygnał do buntu. Kapito i inny ekwita, Statyliusz, stojący na czele dużej bandy podpalaczy, wywoła pożary w dwunastu miejscach. W panice, która się rozpełta, młody senator Cetegus poprowadzi złożony z ochotników oddział, żeby zamordować Cyncerona; pozostali zabiją inne wyznaczone ofiary; wielu młodych ludzi zamorduje swoich ojców; budynek senatu zostanie zdobyty.

– I co odpowiedzieli Galowie? – zapytał Cyncero.

– Zgodnie z instrukcją poprosili o listę ludzi biorących udział w spisku – odparł Sanga – żeby ocenić szanse powodzenia. – Wyjął tabliczkę woskową, pełną nazwisk wypisanych drobnymi literami. – „Sura – zaczął czytać – Longinus, Bestia, Sulla...”.

– Wiemy to wszystko – przerwał mu Cyncero, ale Sanga wyciągnął palec.

– „...Cezar, Hybryda, Krassus, Nepos...”.

– Ależ to wymyśli, prawda? – Wziął od Sangi tabliczkę i przesunął wzrokiem po liście. – Chcą sprawiać wrażenie silniejszych, niż są w rzeczywistości.

– Tego nie mogę potwierdzić. Mówię tylko, że to nazwiska przekazane przez Kapitę.

– Konsul, kapłan najwyższy, trybun i najbogatszy człowiek w Rzymie, który właśnie wydał spiskowców? Nie wierzę w to. – Jednakże rzucił mi tabliczkę. – Przepisz to – polecił, a potem pokręcił głową. – Hm, uważaj, o co pytasz, żebyś później nie przestraszył się odpowiedzi. – Była to jedna z jego ulubionych sentencji sądowych.

– Co teraz mają zrobić Galowie? – zapytał Sanga.

– Jeśli ta lista jest prawdziwa, radziłbym, żeby przyłączyli

się do spisku! Kiedy dokładnie odbyło się to spotkanie?

- Wczoraj.
- A kiedy mają się spotkać ponownie?
- Dziś.
- Więc widocznie im się spieszy.
- Galowie odnieśli wrażenie, że sprawa rozegra się w ciągu kilku następnych dni.

Cycero zamilkł; zastanawiał się.

– Powiedz im, by zażądali pisemnego dowodu, że ci wszyscy ludzie biorą udział w spisku: listów z osobistymi pieczęciami, które mogliby zabrać z sobą i pokazać krajanom.

– A jeśli konspiratorzy odmówią?

– To Galowie powinni odpowiedzieć, że ich plemię nie może podjąć tak ryzykowanego kroku jak wystąpienie przeciwko Rzymowi bez wiarygodnego dowodu.

Sanga kiwnął głową, a potem powiedział:

– Obawiam się, że później będę musiał wycofać się z tej sprawy.

– Dlaczego?

– Bo pobyt w Rzymie staje się zbyt niebezpieczny.

Ostatecznie zgodził się jeszcze powiadomić nas o odpowiedzi spiskowców, gdy tylko Galowie ją otrzymają; potem zamierzał wyjechać. Tymczasem Cynceronowi nie pozostało nic innego, jak udać się na proces Mureny. Gdy tak siedział na ławie obok Hortensjusza, zachowywał całkowity spokój, ale widziałem, że od czasu do czasu wodzi wzrokiem po zebranych, spogląda na Cezara – który był jednym z sędziów – na Surę, który zajmował miejsce wśród pretorów, i wreszcie, chyba najczęściej, na Krasusa, który siedział na ławie tylko dwa miejsca od niego. Musiał czuć się bardzo samotny i po raz pierwszy zauważyłem, że we włosach ma pasma siwizny, a pod oczami ciemne kręgi. Postarzał się podczas tych wydarzeń. O godzinie siódmej Katon skończył podsumowywać dowody ze strony oskarżenia i sędzia,

Koskoniusz, zapytał Cyncerona, czy chciałby wygłosić mowę końcową jako obrońca. To pytanie jakby go zaskoczyło i po chwili szperania w notatkach wstał i poprosił o odroczenie rozprawy na następny dzień, żeby mógł zebrać myśli. Koskoniusz wydawał się zniecierpliwiony, ale przyznał, że zrobiło się późno. Niechętnie przystał na prośbę Cyncerona i zakończenie procesu Mureny odłożono.

Pospiesznie wróciliśmy do domu jak zwykle w otoczeniu straży i liktorów, ale nie zastaliśmy ani Sangi, ani żadnej wiadomości od niego. Cyncero w milczeniu poszedł do swojego gabinetu i usiadł za biurkiem wsparty na łokciach; ścisnął kciukami skronie i zaczął je pocierać, wpatrzony w stos dowodów, jakby w ten sposób mógł wbić sobie do głowy mowę, którą miał wygłosić. Nigdy nie było mi go bardziej żal. Kiedy jednak zrobiłem krok w jego stronę, żeby zaoferować mu pomoc, machnął ręką, nie unosząc głowy, i dał mi znak, żebym zostawił go samego. Tego wieczoru już więcej go nie widziałem. Natomiast Terencja odciągnęła mnie na bok i wyraziła niepokój o zdrowie konsula. Jej zdaniem za mało jadł i spał. Porzucił nawet poranną gimnastykę, którą uprawiał od powrotu ze studiów. Zdziwiłem się, że dopuściła mnie do takiej poufałości, bo prawdę mówiąc, nigdy za mną nie przepadała i często wyładowywała na mnie frustrację, jaką wywołał w niej mąż. Bo to ja spędzałem z nim najwięcej czasu sam na sam, gdy pracowaliśmy. To ja zakłócałem im rzadkie chwile odpoczynku, gdy przynosiłem stosy listów i wiadomości o ludziach, klientach i gościach, którzy przyszli się z nim zobaczyć. Tym razem jednak rozmawiała ze mną uprzejmie i niemal po przyjacielsku.

– Musisz przemówić mu do rozsądku – powiedziała. – Czasami mam wrażenie, że tylko ciebie posłucha, ja mogę się jedynie o niego modlić.

Nadszedł następny ranek i wciąż nie było wiadomości od Sangi. Zacząłem się niepokoić, że Cyncero będzie zbyt zdenerwowany, by

wygłosić mowę. Pamiętając o prośbie Terencji, zasugerowałem nawet, że mógłby poprosić o dalsze odroczenie procesu.

– Zwariowałaś?! – burknął. – To nie pora, żeby okazywać słabość. Nic mi nie będzie. Potrafię stanąć na wysokości zadania.

Mimo tej brawury nigdy nie widziałem, żeby aż tak drżał na początku wystąpienia ani żeby mówił tak cicho. Na forum pannaował tłok i hałas, chociaż nad Rzymem przewalały się masy chmur i od czasu do czasu na dolinę spadały krótkie ulewne deszcze. Ale jak się okazało, ubarwił swoją mowę humorem; długo pamiętano, jak przeciwstawił sobie postawy Serwiusza i Mureny wobec konsulatu.

– Ty wstajesz przed świtem, żeby zbierać klientów – powiedział do Serwiusza – on, żeby zbierać wojsko. Ciebie budzi pianie kogutów, jego sygnał trąbki. Ty obmyślasz procedury prawne, on strategię bitwy. On potrafi zatrzymać siły wroga, ty wodę deszczową. On zajmuje się rozszerzaniem granic, ty ich zacieśnianiem.

Sędziom ogromnie się to podobało. Śmiali się jeszcze bardziej, gdy zaczął drwić z Katona i jego surowej filozofii.

– Bądźcie spokojni, nadludzkie przymioty, którymi właśnie wykazał się Katon, są wrodzone; za słabości zaś ponosi winę nie natura, lecz jego mistrz. A wszystko dlatego, że żył kiedyś pewien genialny człowiek imieniem Zenon, którego uczniowie nazywają się stoikami. Oto kilka z jego prawd: mądry człowiek nie ulega niczym wpływom i nie zapomina nikomu błędów; tylko głupiec odczuwa litość; wszystkie złe uczynki są sobie równe, przypadkowe zabicie koguta jest nie mniejszą zbrodnią niż uduszenia własnego ojca; mędrzec niczego nie przyjmuje za pewnik, niczego nie żałuje, nigdy się nie myli, nigdy nie zmienia zdania. Niestety, dla Katona ta doktryna nie jest tematem do dyskusji, lecz sposobem życia.

– Ależ dowcipnym człowiekiem jest nasz konsul – sarknął

Katon głośno, gdy wszyscy się zaśmiali. Ale Cycero jeszcze nie skończył.

– Muszę przyznać, że kiedy byłem młodszy, tak samo interesowałem się filozofią. Moimi mistrzami byli jednak Platon i Arystoteles. Nie wyznają oni tak radykalnych, skrajnych poglądów. Uważają, że łaski czasami mogą mieć wpływ na mędrca; że dobry człowiek odczuwa litość; że są różne stopnie zła i różne kary; że mądry człowiek często najpierw czyni założenia, jeśli nie zna faktów; czasami wpada w gniew, czasami przebacza, a czasami zmienia zdanie; cnotą natomiast jest zachowywanie umiaru. Gdybyś poznał tych mistrzów, Katonie, pewnie nie stałbyś się lepszym albo dzielniejszym człowiekiem... to niemożliwe... ale może byłbyś bardziej wyrozumiały. Twierdzisz, że podjąłeś się tego zadania w interesie publicznym. Nie wątpię. Ale popełniasz błąd, bo za dużo myślisz. Bronię Lucjusza Mureny nie ze względu na przyjaźń, ale w imię pokoju, jedności, wolności, instynktu samozachowawczego... krótko mówiąc, mając na względzie dobro nas wszystkich. Posłuchajcie, sędziowie – zwrócił się do trybunału – posłuchajcie konsula, który całe dnie i noce bez ustanku myśli o republice. Jest rzeczą ogromnie ważną, abyśmy pierwszego dnia stycznia mieli w państwie dwóch konsulów. Są bowiem wśród nas ludzie, którzy powzięli plany zniszczenia miasta, rzezi jego mieszkańców, wymazania z map nazwy Rzymu. Ostrzegam was. Mój konsulat dobiega końca. Nie odbierajcie mi człowieka, który będzie czuwał nad wami po mnie. – Położył dłoń na ramieniu Mureny. – Nie usuwajcie tego, któremu pragnę przekazać bezpieczną jeszcze republikę, żeby bronił jej przed tymi śmiertelnymi zagrożeniami.

Przemawiał tak trzy godziny; przerywał tylko na chwilę, żeby napić się rozcieńczonego wina albo otrzeć z deszczu twarz. W jego wystąpieniu było coraz więcej pasji, w miarę jak się rozgrzewał, tak że nasunęło mi się skojarzenie z silną, zgrabną rybą,

która, na pozór martwa, zostaje wrzucona do wody i początkowo unosi się na niej do góry brzuchem; znalazłszy się jednak w swoim żywiole, nagle macha ogonem i wraca do życia. Podobnie Cycero jakby czerpał siły z samego aktu przemawiania i zakończył wśród długo niemilkających wyrazów uznania nie tylko ze strony publiczności, ale i samych sędziów. Był to dobry omen; kiedy policzono głosy, okazało się, że Murena został uwolniony od zarzutów przez przeważającą większość. Katon i Serwiusz natychmiast się oddalili, wielce przygnębieni. Cycero został na rostrach, żeby pogratulować konsulowi elektowi; wtedy Klodiusz, Hortensjusz, a nawet Krassus z uznaniem poklepalili go po plecach i ruszyli do domu.

Wkroczywszy na naszą ulicę, zauważyliśmy, że przed wejściem do domu zatrzymał się okazały powóz. Podeszliśmy bliżej i zobaczyliśmy, że jest wyładowany srebrną zastawą, posągami, dywanami i obrazami. Na stojącym za nim wozie piętrzyły się podobne towary. Cycero pospieszył naprzód. Przed drzwiami frontowymi czekał Sanga, był blady jak ostryga.

– Co jest? – zapytał Cycero.
– Spiskowcy napisali listy.
– Doskonale! – Cycero klasnął w dłonie. – Przyniosłeś je z sobą?

– Poczekaj, konsulu. To nie wszystko. Galowie jeszcze ich nie dostali. Kazano im przygotować się do opuszczenia miasta i przyjść o północy pod Bramę Fontynaliańską. Tam mają się spotkać z człowiekiem, który da im listy i będzie ich eskortował.

– A po co im eskorta?
– Bo mają pojechać do Katyliny. A potem z obozu Katyliny wrócić do Galii.

– Na bogów, jeśli przejmujemy te listy, wreszcie będziemy mogli ich dopaść! – Cycero zaczął chodzić tam i z powrotem po korytarzu. – Musimy zastawiać pułapkę – powiedział do mnie –

i złapać ich na gorącym uczynku. Poślij po Kwintusa i Attyka.

– Będziesz, panie, potrzebował żołnierzy – zauważyłem – i doświadczonego dowódcy.

– To musi być ktoś, komu można całkowicie zaufać.

Wyjąłem tabliczki woskowe i rylec.

– Może Flakkus? Albo Pomptinus? – Obaj byli legatami o wieloletnim doświadczeniu w dowodzeniu legionami, obaj też dowiedli w ostatnim czasie, że są lojalni.

– Dobrze. Sprowadź ich.

– A żołnierze?

– Moglibyśmy ściągnąć centurię z Reate. Jest nadal w koszarach. Ale nie mogą nic wiedzieć o czekającym ich zadaniu. Przynajmniej na razie.

Wezwał Sositeusza i Laureę, szybko wydał konieczne polecenia i odwrócił się, żeby powiedzieć coś do Sangi, ale korytarz za nim świecił pustką, drzwi frontowe stały otworem, a na ulicy nie było żywej duszy. Senator uciekł.

Kwintus i Attyk przybyli w ciągu godziny, niedługo później przyszli też obaj pretorzy, mocno zaniepokojeni nagłym wezwaniem. Nie wdając się w szczegóły, Cycero wyjaśnił tylko, że według jego informacji delegacja Galów zamierza o północy opuścić miasto wraz z pewnym człowiekiem i on ma powody przypuszczać, iż zmierzają do Katyliny z obciążającymi go dokumentami.

– Musimy zatrzymać ich za wszelką cenę, ale najpierw niech oddalą się od miasta.

– Z mojego doświadczenia wynika, że w nocy trudniej jest zastawić zasadzkę, niż się wydaje – zauważył Kwintus. – W ciemnościach zawsze ktoś ucieknie... a jeśli zabierze z sobą dokumenty? Nie możemy ich po prostu zatrzymać przy bramie?

Jednakże Flakkus, który był żołnierzem ze starej szkoły i służył pod rozkazami Izaurykusa, sprzeciwił się natychmiast.

– Co za bzdury! Nie wiem, w jakiej armii służyłeś, bo ja nie widzę trudności. Znam nawet dobre miejsce na zasadzkę. Jeśli pojadą Via Flaminia, będą musieli przebyć Tyber mostem Mulwijskim. Tam ich zaatakujemy. Gdy znajdą się na moście, nie będą mieli gdzie uciec, chyba że rzucą się do rzeki na pewną śmierć.

Kwintus wydawał się urażony i powiedział, że w takiej sytuacji umywa ręce; zrzekł się odpowiedzialności za całą operację i kiedy Cycero zaproponował, żeby przyłączył się do Flakkusa i Pomptinusa na moście, odparł ponuro, że jak widać, nikt tu nie potrzebuje jego rady.

– W takim razie pojedę sam – oświadczył Cycero, ale wszyscy natychmiast zaprotestowali, twierdząc, że to zbyt niebezpieczne. – Wobec tego wyślemy Tirona – zakończył, ale zobaczył na mojej twarzy przerażenie i dodał: – Musi tam być ktoś, kto nie jest żołnierzem. Chcę mieć pisemny raport, sporządzony przez naocznego świadka, który mógłbym jutro przedstawić senatowi, a Flakkus i Pomptinus będą zbyt zajęci kierowaniem akcją.

– A Attyk? – podsunąłem trochę bezczelnie, jak teraz to widzę, ale na szczęście Cycero był zbyt zaabsorbowany, żeby zwrócić na to uwagę.

– Będzie jak zwykle czuwał nad moim bezpieczeństwem w Rzymie. – Za jego plecami Attyk wzruszył ramionami przepraszająco. – Tironie, zapisuj wszystko, co powiedzą, a przede wszystkim postaraj się dostarczyć mi listy z niezłamanymi pieczęciami.

Wyruszyliśmy konno, gdy już na dobre zapadł zmrok: dwaj pretorzy z ośmioma liktorami, jeszcze czterech strażników

i wreszcie, niechętnie, ja. Na domiar złego byłem okropnym jeźdźcem. Podskakiwałem w siodle, a pusta kasetka na dokumenty objęła mi się o plecy. Przejechaliśmy po kamieniach, a potem przez bramę miejską z taką prędkością, że musiałem uczeplić się palcami grzywy mojej biednej klaczy, żeby nie spaść. Na szczęście była łagodnym zwierzęciem, chyba specjalnie przeznaczonym dla kobiet i niedołęgów, bo gdy tylko rozciągnęła się przed nami droga po stoku wzgórze i przez równinę, pogalopowała przed siebie, nie czekając, że będę ją prowadził, i dzięki temu nie zostaliśmy w tyle.

Była to jedna z tych nocy, podczas których niebo samo w sobie staje się zjawiskiem – jasno świecący księżyc mknął przez nieruchome morze srebrzystych chmur. Pod tą niebieską odyseją grobowce otaczające Via Flaminia wylaniały się z mroku jak podczas burzy z piorunami. Jechaliśmy miarowym truchtem, aż po dwóch milach dotarliśmy do rzeki. Tam się zatrzymaliśmy i nadstawiliśmy uszu. Słyszałem w ciemności szum wody, a gdy spojrzałem przed siebie, dostrzegłem płaskie dachy kilku domów oraz wyraźne na tle nieba zarysy drzew. Niedaleko jakiś głos poprosił o hasło. Pretorzy odpowiedzieli: „Emiliusz Skarus!” i nagle po obu stronach drogi z rowów wyłonili się żołnierze z centurii reakcyjnej; twarze mieli posmarowane węglem i błotem. Pretorzy szybko podzielili ich na dwa oddziały. Pomptinus został na miejscu z jednym, a Flakkus przeprowadził drugi na przeciwną stronę rzeki. Uznałem, że bezpieczniej będzie pojechać z Flakkusem, i ruszyłem za nim na most. Rzeka była szeroka i płytka, płynęła wartko po dużych płaskich kamieniach. Wychyliłem się, spojrzałem na spienione, kłębiące się wokół filarów wody ponad czterdzieści stóp niżej i zdałem sobie sprawę, jaką świetną pułapkę stanowi most, gdyż skok na dół, żeby uniknąć złapania, równałby się samobójstwu.

Rodzina, zamieszkująca dom po drugiej stronie rzeki, spała.

Początkowo nie chcieli nas wpuścić, ale drzwi szybko się otworzyły, gdy Flakkus zagroził, że je wyważy. Domownicy tak go wyprowadzili z równowagi, że kazał ich zamknąć w piwnicy. Z okna na piętrze mieliśmy doskonały widok na drogę, więc zaczęliśmy się przy nim i czekaliśmy. Plan przewidywał, że wszyscy podróżni, niezależnie, z którego kierunku by nadjechali, zostaną wpuszczeni na most, a po drugiej stronie zatrzymani i poddani kontroli, a potem ewentualnie puszczeni dalej. Mijały kolejne godziny i nie widać było żywego ducha, powoli zacząłem więc nabierać przekonania, że wyprowadzono nas w pole. Albo tej nocy żadni Galowie nie wyjechali z miasta, albo zrobili to wcześniej, albo wybrali inną drogę. Wyraziłem swoje wątpliwości, ale Flakkus tylko pokręcił swoją siwiejącą głową.

– Zjawią się – powiedział, a kiedy zapytałem, skąd ta pewność, odparł: – Ponieważ bogowie czuwają nad Rzymem.

Potem złożył swoje duże ręce na brzuchu i zasnął.

Chyba sam też się zdrzemnąłem. W każdym razie później poczułem rękę na ramieniu i usłyszałem głos szepczący mi do ucha, że na moście są ludzie. Wyteżyłem wzrok, wpatrując się w ciemność, i usłyszałem stukot końskich kopyt, a zaraz potem dostrzegłem sylwetki jeźdźców – pięciu, dziesięciu i więcej, którzy przejeżdżali wolno na drugą stronę.

– To oni! – syknął Flakkus. Chwycił hełm i z zaskakującą sprawnością jak na człowieka jego tuszy zbiegł po schodach po trzy stopnie, a potem wypadł na drogę. Gdy biegłem za nim, usłyszałem gwizdki i trąbkę. Ze wszystkich stron pojawili się legioniści, którzy dobyli mieczy i wbiegli na most. Zbliżające się konie stanęły dęba i zatrzymały się. Ktoś rozkazał ludziom przedrzeć się na drugą stronę. Dźgnął konia piętami i skierował się w stronę, gdzie stałem, a następnie wpadł na nas, siekąc mieczem na prawo i lewo. Obok mnie ktoś próbować złapać za jego cugle, i nagle, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczyłem, że ręka ta

zostaje odcięta i upada mi niemal pod nogi. Jej właściciel wrzasnął i jeździec, który rozumiał, że ma przed sobą zbyt wielu przeciwników, aby utorować sobie wśród nich drogę, obrócił się szybko i ruszył z powrotem, skąd nadjechał. Krzyknął na pozostałych, żeby jechali za nim, i cały oddział próbował wycofać się w stronę Rzymu. Ale już z przeciwnej strony na most wjeżdżali ludzie Pomptinusa. Widzieliśmy ich pochodnie i słyszeliśmy pełne podniecenia okrzyki. Wszyscy ruszyliśmy w pościg – nawet ja zapomniałem o strachu, tak bardzo pragnąłem przechwycić listy, zanim zostałyby wrzucone do rzeki.

Gdy znaleźliśmy się na środku mostu, było już niemal po walce. Galowie, których można było rozpoznać po długich włosach, brodach i strojach dzikich, rzucali broń i zsiadali z koni; musieli spodziewać się zasadzki. Porywczy jeździec, który próbował się przedrzeć przez nasze szeregi, wciąż siedział w siodle i nawoływał towarzyszy, żeby się nie poddawali. Ale okazało się, że byli to niewolnicy, którzy nie mieli w sobie woli walki; wiedzieli, że podniesienie ręki na obywatela rzymskiego karane jest ukrzyżowaniem. Poddawali się więc jeden po drugim. W końcu także ich przywódca rzucił swój zakrwawiony miecz. Potem pochylił się i pospiesznie odpiął pasy sakwy przy siodle, co widząc, wykazałem się rzadką przytomnością umysłu – podbiegłem, żeby chwycić sakwę jeźdźcy. Był młody i bardzo silny, prawie udało mu się wyrzucić ją do rzeki; tak by się stało, gdyby nie inne pomocne ręce, które ściągnęły go z konia. Ci legioniści musieli być przyjaciółmi żołnierza, któremu ten odciął dłoń, bo mocno go skopali, zanim flegmatycznie interweniował Flakkus i nakazał im przestać. Dowódca Galów szarpnięciem za włosy odchyłono głowę i Pomptinus rozpoznał w nim Tytusa Wolturcjusza, ekwite z miasteczka o nazwie Kroton. Ja miałem już sakwę w dłoni i przywołałem legionistę z łuczywem, żeby ją przeszukać. Znalazłem w środku sześć listów, wszystkie były zapieczętowane.

Natychmiast wysłałem Cynceronowi wiadomość, że nasza misja okazała się owocna. Potem, gdy jeńcom związane ręce na plecach i zarzucono powrozy na szyje – oprócz Galów, którzy zostali potraktowani jak wysłannicy – wyruszyliśmy w drogę powrotną do Rzymu.

Wjechaliśmy do miasta tuż przed świtem. Niektórzy z mieszkańców byli już na nogach. Zatrzymywali się i gapili na naszą groźną procesję, gdy przecinaliśmy forum i wspinaliśmy się na wzgórze do domu Cyncerona. Zostawiliśmy jeńców na ulicy pod silną strażą. Konsul przyjął nas w środku, w otoczeniu Kwintusa i Attyka. Wysłuchał relacji pretorów, podziękował im serdecznie i potem poprosił, żeby przyprowadzono Wolturcjusza. Poturbowany i przestraszony Wolturcjusz opowiedział jakąś wymyśloną historię o tym, jak to Umbrenus poprosił go, żeby odekortaował Galów z miasta; w ostatniej chwili dostał od niego jakieś listy, których treści nie znał.

– To dlaczego tak broniłeś się na moście? – zapytał Pomptinus.

– Bo myślałem, że napadli nas rabusie.

– Rabusie w mundurach legionistów? Pod dowództwem pretorów?

– Zabierzcie tego łotra – polecił Cyncero – nie chcę go widzieć, dopóki nie będzie gotów powiedzieć prawdy.

Gdy wyprowadzono jeńca, Flakkus zauważył:

– Musimy działać szybko, zanim po Rzymie rozejdą się wieści.

– Masz rację – zgodził się Cyncero.

Poprosił o listy i przejrzelśmy je razem. Dwa z nich, jak się od razu zorientowałem, pochodziły od pretora miejskiego, Lentulusa Sury; na jego pieczęci widniał portret dziadka, który przed wiekiem sprawował urząd konsula. Autorów pozostałych

czterech zidentyfikowaliśmy na podstawie listy nazwisk jako młodego senatora Korneliusza Cetegusa i trzech ekwitów: Kapi-tę, Statyliusza i Cepariusza. Pretorzy przyglądali się temu niecierpliwie.

– Chyba łatwo ustalić, kto je napisał? – zapytał Pomptinus.
– Dlaczego po prostu nie otworzycie tych listów?

– Zostałbym oskarżony o fałszowanie dowodów – wyjaśnił Cycero i kontynuował oglądanie pism.

– Z całym szacunkiem, konsulu – jęknął Flakkus – ale tracimy czas.

Teraz rozumiem, że Cycleronowi właśnie o to chodziło. Wiedział, że znalazłby się w trudnej sytuacji, gdyby sam musiał zdecydować o losie spiskowców. Dał im więc ostatnią szansę ucieczki. Wolał, żeby rozprawiło się z nimi wojsko. Ale nie mógł grać na zwłokę w nieskończoność i w końcu kazał nam po nich pójść.

– Ale pamiętajcie – zapowiedział. – Nie chcę, żebyście ich aresztowali. Po prostu przekazcie im, że konsul chciałby wyjaśnić parę spraw i prosi, aby do niego przyszli.

Pretorzy chyba uznali, że się boi, ale zrobili, co im kazał. Ja miałem towarzyszyć Flakkusowi do domów Sura i Cetegusa, którzy mieszkali na Palatynie; Pomptinus poszedł po innych. Pamiętam, jak dziwnie się czułem, gdy zbliżyliśmy się do wielkiej, starej rezydencji Lentulusa Sura i zobaczyliśmy, że życie toczy się tam całkiem normalnie. Sura nie uciekł; wręcz przeciwnie. Jego klienci czekali cierpliwie w pomieszczeniach dla gości na posłuchanie. Kiedy usłyszał, że przybyliśmy, wysłał pasierba, Marka Antoniusza, aby się dowiedział, czego chcemy. Antoniusz, wtedy zaledwie dwudziestoletni, bardzo wysoki i silny, miał modną kozią bródkę i mnóstwo pryszczycy na twarzy. Wtedy widziałem go po raz pierwszy i żałuję, że nie zapamiętałem lepiej tego spotkania, bo przypominam sobie tylko te jego pryszczce. Odszedł, żeby przekazać ojczymowi odpowiedź,

i wrócił z wiadomością, że pretor stawi się u konsula, gdy tylko skończy poranną toaletę.

Tak samo było w domu Gajusza Cetegusa, porywczego młodego patrycjusza, który, jak jego krewny Sura, wywodził się z rodu Korneliuszów. Do niego też stali w kolejce klienci, ale przynajmniej wyświadczył nam tę uprzejmość, że osobiście zjawił się w atrium. Spojrzał na Flakkusa jak na psa przybłądę, wysłuchał go i odparł, że nie ma zwyczaju przybiegać do nikogo na zawołanie, ale z szacunku dla urzędu, jeśli już nie osoby, wkrótce odwiedzi konsula.

Wróciliśmy do Cyclerona, który bardzo się zdziwił, gdy usłyszał, że obaj senatorowie wciąż są w Rzymie.

– Co oni sobie myślą? – mruknął do mnie.

Okazało się, że tylko jeden z całej piątki – Cepariusz, ekwita z Terracyny – uciekł z miasta. Pozostali w ciągu następnej godziny zjawiali się kolejno u Cyclerona, tak byli pewni swojej nietykalności. Często się zastanawiam, kiedy zaczęli sobie uświadamiać, że straszliwie się przeliczyli. Gdy znaleźli się na ulicy, przy której mieszkał Cycero, i zobaczyli, że zastawiona jest zbrojnymi ludźmi, jeńcami i gapiami? Czy wtedy, gdy weszli do środka i zastali tam nie tylko Cyclerona, ale także obu konsuli elektów, Silanusa i Murenę, oraz przywódców senatu – Katulusa, Izaurykusa, Hortensjusza, Lukullusa i kilku innych – których Cycero wezwał na świadków? A może kiedy zobaczyli na stole listy z niezłamanymi pieczęciami? Czy gdy zauważyli Galów, którzy siedzieli niczym honorowi goście w sąsiednim pokoju? A może gdy Wolturcjusz nagle zmienił zdanie; postanowił ratować własną skórę i zaczął zeznawać przeciwko nim w zamian za obietnicę łaski? Chyba musieli czuć się, jakby tonęli – nagle uświadomili sobie, że zapuścili się za daleko i że z każdą chwilą są unoszeni coraz dalej i dalej od brzegu. Ale dopiero gdy Wolturcjusz wprost oskarżył Cetegusa, że chwalił się, iż

zabije Cyncerona, a potem ruszy na senat, ten w końcu zerwał się z miejsca i oświadczył, że nie zostanie tu i nie będzie tego słuchał ani chwili dłużej.

Drogę jednak zagrodzili mu dwaj legioniści z centurii Reate, którzy stanowczo posadzili go z powrotem na krzesło.

Cyncero zwrócił się do swojego nowego świadka:

– A co z Lentulusem Surą? Co dokładnie ci powiedział?

– Mówił, że według przepowiedni ksiąg sybillańskich Rzymem ma rządzić trzech przedstawicieli rodu Korneliuszów; pierwszymi byli Cynna i Sulla, a trzecim będzie on i niebawem zostanie panem miasta.

– To prawda, Suro?

Jednakże Sura nie odpowiedział, tylko patrzył przed siebie, mrugając oczami. Cyncero westchnął.

– Jeszcze godzinę temu mogłeś bez przeszkód opuścić miasto. Teraz byłbym tak samo winny jak ty, gdybym puścił cię wolno. – Skinął na żołnierzy, którzy stali w atrium. Ci wkroczyli i ustawili się w dwuszeregu za spiskowcami.

– Otwórz listy Suro! – zawołał Katulus, który nie mógł już zapanować nad furią wobec zdrady republiki przez potomka jednego z pierwszych rodów rzymskich. – Otwórz listy i przekonajmy się, jak daleko gotów był posunąć się ten podły zdrajca!

– Jeszcze nie – odparł Cyncero. – Zrobimy to przed senatem. – Spojrzał ze smutkiem na konspiratorów, którzy byli teraz jego więźniami. – Cokolwiek się zdarzy, nie chcę, aby ktokolwiek powiedział, że sfałszowałem dowody albo wymusiłem zeznania.

Zbliżało się już południe. W domu zaczęły pojawiać się kwiaty i zieleń na coroczne święto Dobrej Bogini; ceremonii, która miała odbyć się tego wieczoru, przewodniczyła Terencja jako żona najwyższego urzędnika państwowego. Gdy niewolnicy wnosili kosze jemioli, mirtu i zimowych róż, Cyncero zwołał

na popołudnie posiedzenie senatu, które miało się odbyć nie w zwykłym miejscu, lecz w świątyni Zgody, żeby obradom patronowała sama bogini. Wydał też polecenie, żeby na forum, przed rostrami, postawiono nowy posąg Jowisza, który pierwotnie miał stanąć na Kapitolu.

– Otoczę się bogami – powiedział do mnie. – Bo... zapamiętaj moje słowa... gdy to się skończy, być może będę potrzebował wszelkiej możliwej opieki.

Pięciu spiskowców trzymano pod strażą w atrium, podczas gdy Cycero poszedł do swojego gabinetu, żeby przesłuchać Galów. Ich zeznania były, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej obciążające niż to, co powiedział Wolturcjusz, bo jak się okazało, tuż przed wyjazdem z Rzymu delegaci zostali zaprowadzeni do domu Cetegusa, gdzie pokazano im stos broni, która miała być rozdana na sygnał wzywający do walki. Udałem się więc z Flakkusem, żeby dokonać inwentaryzacji tego arsenału; znaleźliśmy go w tablinum, w pudłach stojących od podłogi do sufitu. Miecze i noże były nieużywane, całe lśniły, miały różne ciekawe kształty i dziwne nacięcia na rękojeściach. Zdaniem Flakkusa nie pochodziły z Italii. Przeciągnąłem kciukiem po ostrzu jednego z mieczy. Było jak brzytwa i wzdrygnąłem się na myśl, że mogło przeciąć nie tylko gardło Cyclerona, ale, co bardzo prawdopodobne, także moje.

Gdy skończyłem przeglądać pudła i wróciłem do domu Cyclerona, przyszła pora, aby wyruszyć do senatu. Pomieszczenia na parterze ozdobione były pachnącym kwieciem, a z ulicy wciąż przynoszono kolejne amfory z winem. Ceremonia na cześć Dobrej Bogini, jakkolwiek bardzo tajemnicza, nie zapowiadała się skromnie. Terencja odciągnęła męża na bok i objęła go. Nie słyszałem, co powiedziała, i nie próbowałem podsłuchiwać, ale widziałem, że wzięła go za rękę i ucisnęła ją mocno. Potem ruszyliśmy w drogę, otoczeni przez legionistów, a każdego ze spiskowców eskortował do świątyni Zgody senator w randze

konsula. Byli niezwykle spokojni, wręcz pokorni; nawet Cetusowi zrzęda mina. Nikt z nas nie wiedział, czego się spodziewać. Gdy wkroczyliśmy na forum, Cycero wziął Surę pod rękę, na znak szacunku, ale patrycjusz wydawał się zbyt oszłomiony rozwojem wypadków, żeby zwrócić na to uwagę. Szedłem zaraz za nimi, niosłem skrzynkę z listami. Zdziwiający był nie tyle tłum, który się zgromadził – nie muszę mówić, że niemal wszyscy mieszkańcy miasta wylegli na forum, aby zobaczyć, co się dzieje – ile jego zupełnie milczenie.

Świątynia otoczona była pierścieniem zbrojnych. Czekaający senatorowie zdziwili się bardzo, gdy zobaczyli, że Cycero prowadzi Surę. Po wejściu do środka spiskowcy zostali zamknięci w małej komórce obok drzwi, Cycero zaś skierował się od razu do prowizorycznego podwyższenia, na którym pod posągim Zgody ustawiono jego krzesło.

– Senatorowie – zaczął – dziś rano, tuż przed świtem, waleczni pretorzy, Lucjusz Flakkus i Gajusz Pomptinus, działając z mojego polecenia, wraz z dużym oddziałem legionistów zatrzymali na moście Mulwijskim grupę jeźdźców, którzy zmierzali do Etrurii... – Nikt nie szeptał, nikt nawet nie zakaszał. Panowała taka cisza, jakiej nigdy wcześniej nie słyszałem w senacie: przerażająca, złowroga, ciężka. Od czasu do czasu unosiłem głowę znad notatek, żeby spojrzeć na Cezara i Krassusa. Obaj siedzieli pochyleni do przodu, żeby nie uronić ani słowa Cycerona.

– Dzięki lojalności naszych sprzymierzeńców, galijskich wysłanników, których oburzyła otrzymana propozycja, zostałem ostrzeżony o zdradzieckich knowaniach pewnych naszych współobywateli i mogłem przedsięwziąć niezbędne środki ostrożności...

Kiedy konsul zakończył swoją relację, łącznie z opisem planów przewidujących podpalenia w różnych częściach miasta, rzeń większości senatorów i innych znaczących osobistości, rozległo się zbiorowe westchnienie czy też jęk.

– Powstaje więc teraz pytanie, senatorowie, co mamy zrobić z tymi niegodziwcami. Proponuję, abyśmy najpierw zbadali dowody przeciwko oskarżonym i wysłuchali, co mają do powiedzenia na swoją obronę. Wprowadzić świadków!

Najpierw weszło czterech Galów. Rozejrzeli się wokół siebie, zdziwieni widokiem długich szeregów ubranych na biało senatorów, którzy stanowili tak jaskrawy kontrast z nimi samymi. Za nimi szedł Tytus Wolturcjusz, który tak się trząsał, że z trudem stawiał kroki. Gdy wszyscy z nich znaleźli się na miejscach, Cycero zawołał do Flakkusa, który stał przy wejściu:

- Wprowadzić pierwszych jeńców!
- Którego chcesz przesłuchać pierwszego, konsulu?! – za-
pytał w odpowiedzi Flakkus.
- Wszystko jedno – odparł Cycero ponuro i padło na Cete-
gusa, który pod eskortą dwóch wartowników został wyprowa-
dzony z komórki i zawiedziony na drugi koniec świątyni, gdzie
czekał Cycero. Zobaczywszy wśród zebranych swoich kolegów,
młody senator odzyskał dawnego ducha.

Szedł przez środek niemal spacerowym krokiem i kiedy kon-
sul pokazał mu listy i poprosił, żeby wskazał swoją pieczęć,
wziął jeden z nich.

- Chyba ten jest mój.
- Proszę mi go podać.
- Jeśli nalegasz. – Cetegus podał mu list. – Zawsze mnie
uczono, że to szczyt złych manier czytać cudze listy, jeśli mogą
zauważyć.

Cycero zignorował go, złamał pieczęć i przeczytał głośno
list: „Od Gajusza Korneliusza Cetegusa do Katugnatusa, wodza
Allobrogów – bądź pozdrowiony! Tym listem daję Ci słowo, że
zarówno ja, jak i moi towarzysze dotrzemy obietnic danych
Waszym wysłannikom. Jeśli Wasz naród powstanie przeciwko
niesprawiedliwym ciemiężycielom z Rzymu, nie będzie miał
lojalniejszego sprzymierzeńca niż my”.

Usłyszawszy to, zebrani senatorowie aż ryknęli z oburzenia.
Cycero uniósł dłoń.

– Czy to twoje pismo? – zapytał Cetegusa.

Ten, zbity z tropu taką reakcją zgromadzenia, wymamrotał coś, czego nie usłyszałem.

– Czy to twoje pismo? – powiódł pytanie Cycero. – Mów głośniej!

Cetegus się zawahał, a potem odrzekł cicho:

– Tak.

– Hm, młody człowieku, pewnie mieliśmy różnych nauczycieli, bo mnie zawsze uczono, że szczytem złych manier nie jest czytanie cudzych listów, ale spiskowanie z obcymi siłami! Dziś rano w twoim domu – ciągnął Cycero, zaglądając do notatek – odkryliśmy skład broni liczący sto mieczy i tyle samo sztyletów. Co możesz powiedzieć na swoją obronę?

– Jestem kolekcjonerem broni... – zaczął Cetegus. Może chciał być dowcipny; jeśli tak, był to głupi żart, no i ostatni. Reszta jego słów utonęła w gniewnych protestach, które rozległy się we wszystkich zakątkach świątyni.

– Dość już od ciebie usłyszeliśmy – skwitował Cycero. – Uznajemy to za przyznanie się do winy. Zabrać go i przyprowadzić następnego.

Cetegus, już nie tak hardy, wyszedł pod strażą i do świątyni wprowadzono Statyliusza. Procedura się powtórzyła: Statyliusz zidentyfikował swoją pieczęć, list otwarto i przeczytano (tekst był niemal taki sam jak w liście Cetegusa), autor potwierdził, że to jego pismo; ale kiedy oddano mu głos, żeby się wytłumaczył, oświadczył, że listu nie należy traktować poważnie.

– Nie jest poważny? – zdziwił się Cycero. – Propozycja skierowana do obcego plemienia, żeby wyciął Rzymian, dzieci, kobiety i mężczyzn? – Statyliusz na to zwiesił tylko głowę.

Przyszła kolej na Kapita, z tym samym rezultatem, a potem pojawił się poszarpany i obdarty Cepariusz. Próbował zbiec

o świecie, ale został schwytany w drodze do Apulii z wiadomością dla sił rebelianckich. Jego zeznanie było najżałośniejsze ze wszystkich. W końcu pozostało już tylko przesłuchać Lentulusa Surę; nastąpiła bardzo dramatyczna chwila, gdyż musicie pamiętać, że nie tylko był on pretorem miejskim, czyli trzecim co do ważności urzędnikiem w państwie, lecz także sprawował w przeszłości urząd konsula. Miał dobrze po pięćdziesiątce, wywodził się z dobrego rodu i miał szlachetną powierzchowność. Wszedł i spojrzał błagalnie na kolegów, z którymi od ćwierć wieku zasiadał w tej najwyższej radzie państwowej, ale wszyscy unikali jego wzroku. Z wielką niechęcią zidentyfikował dwa listy, oba ze swoją pieczęcią. Jeden z nich, do Galów, zawierał mniej więcej taką treść jak te, które odczytano wcześniej. Drugi był adresowany do Katyliny. Cycero złamał pieczęć i otworzył list.

„Zorientujesz się, kim jestem, po doręczycielu tego pisma – przeczytał. – Bądź mężczyzną. Pamiętaj, że jesteś w krytycznym położeniu. Zastanów się, co możesz zrobić, pozyskaj wszelką możliwą pomoc – nawet od najnędnějších z nędznych”.

Cycero wyciągnął list w stronę Sura.

– Czy to twoje pismo?

– Tak – odpowiedział Sura z wielką godnością – ale nie ma w tych słowach nic karygodnego.

– To określenie „najnędnějších z nędznych”... co znaczy?

– Ubodzy ludzie: pasterze, chłopcy i tak dalej.

– Czy godzi się, aby rzekomy obrońca najbiednějších tak mówił o współobywatelach? – Cycero zwrócił się do Wolturcjusza: – Miałeś dostarczyć ten list Katylinie, do jego kwatery, czy tak?

Wolturcjusz opuścił wzrok.

– Tak.

– Kogo dokładnie Sura miał na myśli, pisząc „najędźniejsi z nędznych”? Powiedział ci?

– Tak, konsulu, powiedział. Chodziło mu o to, że Katylina powinien wezwać do powstania niewolników.

Okrzyki oburzenia, którym przyjęto to oświadczenie, niemal wstrząsnęły świątynią. Podburzanie niewolników do buntu po zamieszaniu, jakie wywołał Spartakus i jego naśladowcy, było jeszcze większą zbrodnią niż przymierze z Galami.

– Złóż urząd! Złóż urząd! Złóż urząd! – senat wezwał jednomyślnie pretora miejskiego.

Kilku senatorów podbiegło nawet do Sury z różnych stron świątyni i zaczęło z niego zdierać togę z purpurowym obramowaniem. Ten upadł na podłogę i zniknął na chwilę w tłumie napastników i straży. W powietrze wleciały duże kawałki togi i wkrótce znalazł się tylko w bieliźnie. Z nosa ciekła mu krew, a włosy, zazwyczaj posmarowane oliwą i przygładzone, sterczały we wszystkie strony. Cycero poprosił o przyniesienie czystej tuniki i kiedy ją znaleziono, podszedł do Sury i pomógł mu ją włożyć.

Gdy przywrócono jako taki spokój, Cycero przeprowadził głosowanie w sprawie pozbawienia Sury urzędu. Senatorowie w przeważającej większości ryknęli w odpowiedzi: „Taaak!”, co miało doniosłe znaczenie, bo oznaczało, że Sura nie jest już nie-tykalny i podlega karze. Ten otarł nos, a kiedy został wyprowadzony, Cycero wrócił do przesłuchania Wolturcjusza.

– Mamy tu pięciu spiskowców, w końcu zdemaskowanych, tak że nie mogą już ukrywać się przed obywatelami. Czy według tego, co wiesz, są jeszcze inni?

– Tak.

– A jak się nazywają?

– Autroniusz Peius, Serwiusz Sulla, Kasjusz Longinus, Marek Leka, Lucjusz Bestia.

Wszyscy rozejrzeli się po świątyni, żeby sprawdzić, czy któryś z wymienionych jest obecny; żadnego nie było.

- Wciąż te same nazwiska, jak na apelu – zauważył Cycero.
- Czy izba się zgadza, że ci ludzie powinni być aresztowani?
- Taaak! – zabrzmiał chór głosów.

Cycero ponownie zwrócił się do Wolturcjusza.

- Byli jeszcze inni?
- Tak słyszałem.
- A ich nazwiska?

Wolturcjusz zawahał się i nerwowo spojrzał na zgromadzonych.

– Gajusz Juliusz Cezar – powiedział cicho – i Marek Licyniusz Krassus.

Rozległy się stłumione okrzyki zdumienia i gwizdy. Zarówno Cezar, jak i Krassus gniewnie pokręcili głowami.

- Ale nie masz konkretnego dowodu ich udziału?
- Nie, konsulu. Słyszałem tylko pogłoski.
- Więc wykreśl ich nazwiska z zapisu – poinstruował mnie Cycero. – Działamy, opierając się na dowodach, senatorowie. – Podniósł głos, żeby przekrzyczeć szmer podniecenia. – Dowodach, a nie spekulacjach!

Mógł kontynuować jednak dopiero po chwili. Cezar i Krassus wciąż kręcili głowami; wypierali się winy, z żywą gestykulacją przekonując siedzących wokół senatorów. Od czasu do czasu zwracali głowy w stronę Cyclerona i patrzyli na niego, ale trudno było dostrzec ich wyrazy twarzy. W świątyni panował mrok nawet w słoneczny dzień. Teraz, zimą, słońce zachodziło wcześniej i ledwie było widać nawet twarze sąsiadów.

– Mam propozycję! – zawołał Cycero i zaklaskał w ręce, żeby przywrócić porządek. – Mam propozycję, senatorowie! – W końcu zgiełk powoli ucichł. – To oczywiste, że nie możemy dzisiaj zdecydować o losie tych ludzi. Dlatego muszą pozostać

pod strażą do rana, dopóki nie ustalimy, co z nimi zrobić. Nie powinni znaleźć się razem w tym samym miejscu, bo to mogłoby sprowokować próbę ich uwolnienia. Proponuję zatem, żeby rozdzielić więźniów i oddać każdego z nich pod straż członka senatu w randze pretora. Czy ktoś jest temu przeciwny? – Odpowiedzią było milczenie. – Doskonale. – Cycero zmrzył oczy w mroku świątyni. – Kto podejmie się tego zadania? – Nikt nie podniósł ręki. – No, dalej, senatorowie... nie ma niebezpieczeństwa. Każdy z więźniów będzie dobrze strzeżony. Kwintusie Kornificjuszu – zwrócił się w końcu do byłego pretora o nieskazitelnej opinii – czy będziesz tak uprzejmy, żeby wziąć pod opiekę Cetegusa?

Kornificjusz rozejrzał się wokół, po czym wstał.

– Jeśli tak sobie życzysz, konsulu – odparł niechętnie.

– Spinterze, weźmiesz Surę?

Spinter wstał.

– Dobrze, konsulu.

– Terencjuszu... udzielisz gościny Cepariuszowi?

– Jeśli taka jest wola senatu – odrzekł Terencjusz posępnym głosem.

Cycero rozglądał się dalej za potencjalnymi strażnikami i w końcu jego spojrzenia padło na Krassusa.

– Wobec tego – powiedział, jakby ta myśl właśnie zaświtała mu w głowie – Krassusie, chyba najlepiej dowiedziesz swojej niewinności... nie mnie, bo ja nie potrzebuję dowodu, ale tym nielicznym, którzy mogą mieć wątpliwości... jeśli weźmiesz pod straż Kapita. I na tej samej zasadzie, Cezarze... jesteś pretorem elektem... może zabierzesz Statiliusza do rezydencji kapłana najwyższego? – I Cezar, i Krassus spojrzeli na niego z rozdziawionymi ustami. Cóż jednak mogli zrobić innego, niż kiwnąć głową na zgodę? Wpadli w pułapkę. Odmowa oznaczałaby przyznanie się do winy, podobnie jak umożliwienie więźniowi ucieczki.

– No to ustalone – oznajmił Cyncero – zamykam więc posiedzenie do jutra rana.

– Jeszcze chwilę, konsulu! – dobiegł ostry głos i ze słyszalnym strzykaniem w starych kolanach podniósł się Katulus. – Senatorowie – powiedział – zanim rozejdziemy się do domów na noc, aby zastanowić się, jak jutro mamy zagłosować, muszę zwrócić uwagę, że jeden spośród nas jest bardzo konsekwentny w działaniu, stale spotyka się z tego powodu z atakami, ale też, jak dowiodły wydarzenia, od dawna ma rację. Dlatego chcę złożyć następujący wniosek: w uznaniu dla Marka Tuliusza Cyncerona za to, że uratował Rzym przed spalaniem, jego obywateli przed rzezią, a całą Italię przed wojną, ta izba ustanawia trzydniowe publiczne modły dziękczynne w świątyniach wszystkich nieśmiertelnych bogów za to, że zesłali nam w tak trudnym czasie takiego konsula.

Oślupiałem. Co do Cyncerona, odebrało mu mowę. Pierwszy raz w historii republiki ustanowiono modły dziękczynne w intencji kogoś innego niż zwycięski wódz. Nie trzeba było poddawać tego wniosku pod głosowanie. Wszyscy powstali, żeby wyrazić entuzjastyczną zgodę. Tylko jeden człowiek siedział jak skamieniały na swoim miejscu – Cezar.

XI

Dochodzę teraz do sedna mojej opowieści, punktu zwrotnego zarówno w życiu Cycerona, jak i wielu z nas – decyzji o dalszym losie więźniów.

Cycero opuścił senat wśród okrzyków uznania, które długo mu towarzyszyły. Senatorowie wylegli za nim z budynku, a on skierował się przez forum do rostrów, żeby wygłosić mowę do ludu. Mimo że zapadał zmrok i robiło się chłodno, pod senatem gromadziły się wciąż setki obywateli, którzy mieli nadzieję, że dowiedzą się, co się dzieje. Zauważyłem wśród nich wielu przyjaciół i krewnych oskarżonych, a młody Marek Antoniusz chodził od grupki do grupki, żeby uzyskać wsparcie dla swojego ojczyma, Sury.

Przemówienie, które Cycero później opublikował, bardzo różniło się od tego, które naprawdę wygłosił – do czego dojdę w swoim czasie. Nie podkreślając swoich zasług, zdał rzeczowy raport, niemal taki sam jak niedawno w senacie. Opowiedział ludowi o spisku: o planach spalenia miasta i wymordowania urzędników, próbach zawarcia paktu z Galami i zasadzce na moście Mulwijskim. Potem przedstawił reakcje oskarżonych na otwarcie ich listów. Ludzie słuchali w ponurej ciszy albo przepełnieni

nabożnym lękiem, zależnie od interpretacji. Dopiero gdy Cyncero ogłosił, że senat właśnie ustanowił trzydniowe święto państwowe, żeby uczcić ocalenie kraju, zaczęli klaskać i wiwatować. Mój pan otarł pot z czoła, uśmiechnął się i zaczął machać do tłumu, ale musiał zdawać sobie sprawę, że te wiwaty są nie tyle wyrazem uznania dla niego, ile radości na wieść o święcie. Na koniec swojego wystąpienia wskazał wielki posąg Jowisza, który sam kazał ustawić w tym miejscu z samego rana.

– Czyż już samo to, że postawiono ten posąg, gdy konspiratorzy i świadkowie byli prowadzeni na mój rozkaz przez forum do świątyni Zgody, nie jest wyraźnym dowodem interwencji Jowisza Najlepszego i Największego? Gdybym powiedział, że zupełnie sam udaremniłem ich knowania, przypisałbym sobie zbyt dużą zasługę. To Jowisz, potężny Jowisz, im przeszkodził; to Jowisz ocalił Kapitol, te świątynie, całe miasto i was wszystkich.

Pełen szacunku aplauz, jakim przyjęto to oświadczenie, przeznaczony był bez wątpienia dla bóstwa, nie dla mówcy, ale przynajmniej umożliwił Cynceronowi godne opuszczenie mównicy. Przezornie bowiem nie zamierzał zatrzymać się na niej zbyt długo. Gdy tylko zszedł, zaraz otoczyła go eskorta, i poprzedzani przez liktorów, którzy torowali nam drogę, ruszyliśmy w gęstym tłumie przez forum w kierunku Kwirynału. Wspominam o tym, aby pokazać, że sytuacja w Rzymie z zapadnięciem zmroku nie była wcale stabilna, i Cyncero bynajmniej nie był taki pewny, co ma dalej zrobić, jak później utrzymywał. Chętnie by wrócił do domu i naradził się z Terencją, ale była to akurat ta jedna noc, kiedy nie mógł pod żadnym pozorem przekroczyć progów swojego domu: podczas ceremonii na cześć Dobrej Bogini żaden mężczyzna nie miał bowiem prawa przebywać pod jednym dachem z kapłanką tego kultu; nawet małego Marka odesłano z domu. Wspięliśmy się więc Via Salutaris do domu

Attyka, gdzie, jak wcześniej uzgodniono, konsul miał przenocować.

Dlatego właśnie z tego budynku, otoczonego uzbrojonymi strażnikami, w obecności rozmaitych ludzi – senatorów, ekwitów, urzędników skarbu, liktorów i posłańców – którzy wpadali do zatłoczonego atrium i z niego wybiegali, Cyncero wydawał różne edykty, aby chronić miasto. Wysłał także list do Terencji, w którym powiadał ją, co się wydarzyło. Potem schronił się w zacisze biblioteki, aby zastanowić się z przyjaciółmi, co począć z piątką spiskowców. Z czterech kątów pokoju na radzących spoglądali nieporuszeni Arystoteles, Platon, Zenon i Epikur, których popiersia ozdobione wieńcami niedawno tu wstawiono.

– Jeśli zgodzę się na egzekucję zdrajców, ich zwolennicy będą mnie prześladowali do końca życia... widzieliście, że tłum wcale nie jest tak przychylnie nastawiony. Z drugiej strony jeśli pozwolę im po prostu udać się na wygnanie, ci sami zwolennicy będą domagać się ich powrotu i nieustannie za tym agitować; nigdy nie zaznam spokoju i to wrzenie niebawem zacznie się od nowa. – Spojrzał z przygnębieniem na popiersie Arystotelesa. – Filozofia złotego środka w tej sytuacji nie znajduje zastosowania.

Wyczerpany usiadł na brzegu krzesła, z rękami założonymi na karku pochylił się do przodu i wbił wzrok w podłogę. Usłyszał mnóstwo rad. Jego brat Kwintus był rzecznikiem ostrego kursu: spiskowcom dowiedziono winy i jeśli nie ukarze ich śmiercią, cały Rzym – a nawet cały świat – uzna go za słabszego. To czas wojny! Łagodny Attyk był przeciwnego zdania: jeśli Cyncero trzymał się czegoś podczas swojej kariery politycznej, to właśnie litery prawa. Od wieków każdy obywatel mógł odwołać się od wyroku sądowego. O co chodziło w sprawie Werresa, jeśli nie o to właśnie? *Civis Romanus sum**! Co do mnie, obawiam się, że gdy przyszła moja kolej, aby się wypowiedzieć,

podsunąłem wyjście asekuracyjne. Cynceronowi pozostało już tylko dwadzieścia sześć dni do końca urzędowania. Dlaczego więc nie zamknąć gdzieś więźniów i nie zostawić następnym konsulom podjęcia decyzji o ich losie? Na to Kwintus i Attyk zaprotestowali, podnosząc ręce, ale Cyncero dostrzegł pewne zalety mojej rady i wiele lat później powiedział mi, że miałem wtedy rację.

* *Civis Romanus sum!* (łac.) – Jestem rzymskim obywatelem!

– Ale oczywiście mówię tak z perspektywy czasu – zauważył – a biegu historii nie da się odwrócić. Pamiętasz, jaka była sytuacja: żołnierze na ulicach, zbierające się uzbrojone bandy, pogłoski, że Katylina może w każdej chwili uderzyć na miasto, aby uwolnić swoich braci... jak mogłem nie zająć stanowiska?

Najbardziej radykalne rozwiązanie zaproponował Katulus, który przybył późnym wieczorem, gdy Cyncero miał już położyć się do łóżka; towarzyszyła mu grupa byłych konsulów, między innymi bracia Lukullusowie, Lepidus, Torkwatus i eksnamiestnik Galii Przedalpejskiej, Gajusz Pizon. Przyszli domagać się aresztowania Cezara.

– Pod jakim zarzutem? – zapytał Cyncero, który wstał zmęczony, żeby powitać delegację.

– Zdrady, oczywiście – odparł Katulus. – Masz jeszcze jakieś wątpliwości, że od początku maczał w tym palce?

– Żadnych. Ale nie mamy na to dowodów.

– No to je znajdź – szybko rzucił Lukullus. – Trzeba jedynie wydobyć od Wolturcjusza konkretne informacje na temat Cezara, i koniec.

– Gwarantuję ci, że większość senatu będzie głosować za aresztowaniem go – dodał Katulus. Jego towarzysze mruknęli na potwierdzenie.

– I co potem?

– Stracić go razem z pozostałymi.

– Stracić najwyższego kapłana pod zarzutem niepopartym dowodami? Rozpęta się wojna domowa.

– Któregoś dnia i tak przez Cezara wybuchnie wojna domowa – zauważył Lukullus. – Jeśli teraz zadziałasz, zapobiegiesz temu. Pamiętaj, jaką masz władzę. Właśnie uchwalono dziękczynne święto za twoje zasługi. Nigdy nie miałeś większego poważania w senacie.

– Nie po to uchwalono święto na moją cześć, żebym teraz zachowywał się jak tyran i wyróżnął przeciwników!

– Nie, i uchwalono je tylko dlatego, że wystąpiłem z takim wnioskiem – odciął się Katulus.

– Ponieważ Cezar pozbawił cię pontyfikatu i jesteś tak zaślepiony nienawiścią do niego, że nie widzisz jasno! – Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby Cycero zwracał się w taki sposób do któregoś ze starych patrycjuszy, i Katulus aż wzdrygnął się na to. – A teraz posłuchajcie mnie – ciągnął, unosząc palec. – Posłuchajcie mnie wszyscy. Mam Cezara w garści. To tak jakbym chwycił Lewiatana za ogon. Jeśli pozwoli swojemu więźniowi uciec w nocy, zgoda: możemy go aresztować, bo w ten sposób dowiedzie swojej winy. Ale właśnie dlatego nie da mu zbiec. Tym razem posłusznie wypełni wolę senatu. I zamierzam przypilnować, żeby weszło mu to w krew.

– Dopóki nie zrobi tego samego znowu – zauważył Pizon, który dopiero co uszedł zakusom Cezara, gdyż ten chciał go zesłać na wygnanie za przekupstwo.

– No to kolejny raz będziemy musieli go przechytryć – odparł Cycero. – A potem jeszcze raz. I jeszcze. I tak dalej, jak długo będzie to konieczne. Ale sądzę, że już go znam, a moje postępowanie podczas tych wydarzeń w ciągu roku dowiodło, że nie myłę się w takich sprawach.

Goście zamilkli. To była jego godzina chwały. Nie mógł mieć mocniejszej pozycji. Choć raz nikt nie odważył mu się przeciwstawić, nawet Lukullus. W końcu Pizon zapytał:

- A spiskowcy?
- Decyzja zależy od senatu, nie ode mnie.
- Senat będzie czekał na twoją opinię.

– No to się nie doczeka. Dobrzy bogowie, czy nie zrobiłem już wystarczająco dużo?! – zawołał nagle. – Ujawniłem spisek. Nie pozwoliłem Katylinie zdobyć urzędu konsula. Wygnałem go z Rzymu. Udaremniłem próbę spalenia połowy miasta i zamordowania nas wszystkich w naszych własnych domach. Oddałem zdrajców pod straż. A teraz mam jeszcze wziąć na siebie odium za pozbawienie ich życia? Pora, żebyście wreszcie wy coś zrobili, senatorowie.

– Co takiego? – zapytał Torkwatus.

– Przybądźcie jutro do senatu i wypowiedzcie się, jak według was należy postąpić ze spiskowcami. Wskażcie drogę reszcie. Nie oczekujcie, że wezmę na swoje barki cały ciężar odpowiedzialności. Po kolei zapytam was o zdanie. Wyrażcie swoją opinię... zażądajcie ich śmierci, bo nie widzę innego wyjścia... ale uczynicie to głośno i wyraźnie, abym, gdy stanę przed ludem, mógł powiedzieć, że jestem tylko przedstawicielem senatu, a nie dyktatorem.

– Możesz na nas liczyć – oświadczył Katulus i spojrzał na pozostałych. Ci pokiwali głowami. – Ale mylisz się co do Cezara. Nie będziemy mieli już lepszej okazji, żeby go powstrzymać. Przemyśl to do rana, proszę cię.

Gdy wyszli, trzeba było rozważyć dalsze nieprzyjemne ewentualności. Jeśli senat zagłosuje za karą śmierci, to powstaje pytanie, kiedy skazańcy mają zostać zabici, jak, gdzie i przez kogo? Nie istniały żadne precedensy. Kiedy – to nie budziło wątpliwości: najlepiej zaraz po wydaniu wyroku, żeby udaremnić więźniom wszelkie próby ucieczki, a innym ratowania ich. Przez kogo – to także było oczywiste: przez kata, aby pokazać, że są to zwykli przestępcy. Gdzie i jak – tu już zaczynały się trudności. Raczej nie można było ich zrzucić ze Skały Tarpejskiej

– to mogłoby wywołać rozruchy. Cycero poradził się dowódcy swojej straży, najbliższego liktora, który orzekł, że najlepszym miejscem egzekucji – bo najłatwiejszym do obrony – byłaby izba służąca do wykonywania wyroków śmierci w podziemiach karceru, czyli akurat naprzeciwko świątyni Zgody. Jednakże była ciasna i za słabo oświetlona, żeby ścinać w niej głowy, twierdził, w drodze eliminacji doszli więc do wniosku, że spiskowców powinno się udusić. Liktor poszedł dopilnować, aby kat i jego pomocnicy byli w gotowości.

Widziałem, że Cyclerona przygnębiła ta rozmowa. Nie chciał nic jeść, mówił, że nie ma apetytu. Zgodził się napić trochę doskonałego wina Attyka, z jednego z jego pięknych neapolitańskich kielichów, ale, niestety, tak trzęsła mu się ręka, że upuścił naczynie i szkło rozbiło się na mozaice podłogi. Gdy je posprzą-tano, Cycero uznał, że potrzebuje świeżego powietrza. Attyk kazał niewolnikowi odryglować drzwi i wyszliśmy z biblioteki na wąski taras. Rozciągający się w dole Rzym był wskutek zaciemnienia pograżony w mroku i przypominał czarne jezioro. Można było dostrzec tylko oświetloną pochodniami świątynię Luny na stokach Palatynu. Wydawała się zawieszona pośród nocy jak jakiś biały okręt, który spłynął z gwiazd na inspekcję. Oparci o balustradę, wpatrywaliśmy się w coś, czego i tak nie mogliśmy zobaczyć.

Cycero westchnął i powiedział bardziej do siebie niż do kóregoś z nas:

– Ciekaw jestem, co ludzie będą myśleć o nas za tysiąc lat. Może Cezar ma rację... należy obalić tę całą republikę i stworzyć ją od nowa. Mówię wam, przestałem szanować tych patrycjuszy, tak jak szanować motłoch... ale ten przynajmniej można tłumaczyć biedą i ignorancją. – I dodał chwilę później: – Mamy tak wiele: naszą sztukę i naukę, prawa, skarb państwa, niewolników, piękną Italię, panowanie nad całym światem... dlaczego więc pod wpływem jakiejś nieokiełznanej myśli jesteśmy

zmuszeni kalać własne gniazdo? – Pospiesznie zanotowałem te obie uwagi.

Spędziłem tę noc w komórce przylegającej do pokoju Cycerona i źle spałem. Ciężkie kroki strażników, którzy obchodzili ogród, i ich szepty mieszały się z moimi snami. Widok Lukullusa przypomniał mi o Agathe i nawiedził mnie koszmar, w którym pytałem go o nią, a on odpowiedział, że nie ma pojęcia, o kogo mi chodzi, lecz wszyscy jego niewolnicy z Misenum nie żyją. Kiedy zlany potem obudziłem się o szarym świcie, miałem wrażenie, jakby ktoś zwalił mi na pierś ciężki kamień. Zajrzałem do pokoju Cycerona, ale jego łóżko było puste. Zostałem go w bibliotece, siedział bez ruchu za zamkniętymi okiennicami, przy świetle małej lampy. Zapytał, czy już świta. Chciał wrócić do domu i porozmawiać z Terencją.

Niebawem wyruszyliśmy w drogę, eskortowani przez nowy oddział straży pod dowództwem Klodiusza. Od czasu gdy powstało zagrożenie, ten znany swawolnik regularnie zgłaszał chęć opieki nad konsulem i te demonstracje lojalności, wsparte postawą Cycerona podczas obrony Mureny, zacieśniły więź między nimi. Myślę, że Klodiusza przyciągała do Cycerona możliwość uczenia się sztuki, jaką jest polityka, od samego mistrza – następnego roku sam bowiem zamierzał ubiegać się o przyjęcie do senatu – mojego pana z kolei bawił u Klodiusza młodzieńczy brak rozwagi. W każdym razie, choć nie ufałem temu człowiekowi, cieszyłem się, że tego rana stawił się na służbę, bo wiedziałem, że poprawi konsulowi humor, opowiadając jakieś plotki. I rzeczywiście – zaczął od razu.

- Słyszałeś, że Murena znowu się żeni?
- Naprawdę? – zapytał Cycero ze zdziwieniem. – Z kim?
- Z Sempronią.
- Czy Sempronia nie jest już zamężna?
- Rozwodzi się. Murena będzie jej trzecim mężem.
- Trzech mężów! Co za latawica!

Razem szli dalej w milczeniu.

– Ma piętnastoletnią córkę z pierwszego małżeństwa – zauważył z namysłem Klodiusz. – Wiedziałeś o tym?

– Nie.

– Zastanawiam się, czy nie poślubić tej dziewczyny. Co o tym sądzisz?

– Murena zostałby twoim teściem?

– Właśnie.

– Niezły pomysł. Może pomóc ci w karierze.

– Ona jest bardzo bogata. Dziedziczy majątek Grakchów.

– To na co czekasz? – zapytał Cycero i Klodiusz się zaśmiał.

Gdy dotarliśmy do domu Cyclerona, niewyspane czcicielki Dobrej Bogini wychodziły właśnie w chłodny ranek, poprzędzane przez westalki. Na ulicy zebrał się tłum gapiów. Niektóre z kobiet, jak żona Cezara, Pompeja, słaniały się na nogach i musiały je podtrzymywać służące. Inne, jak matka Cezara, Aurelia, sprawiały wrażenie zupełnie nieporuszonych tym, czego właśnie były świadkami. Minęła ona Cyclerona z kamienną twarzą, nawet na niego nie spojrzawszy, co moim zdaniem świadczyło, że doniesiono jej o wydarzeniach w senacie poprzedniego popołudnia. Zdziwiająco wiele kobiet wychodzących właśnie z domu miało jakieś powiązania z Cezarem.

Naliczyłem przynajmniej trzy jego byłe kochanki: Mucję, żonę Pompejusza Wielkiego; Postumię, żonę Serwiusza; i Lollię, która wyszła za mąż za Aulusa Gabiniusza. Klodiusz gapił się z podnieceniem na tę wyperfumowaną gromadkę. W końcu pojawiła się obecna, największa miłość Cezara, Serwilia, żona konsula elekta, Silanusa; przeszła przez próg i znalazła się na ulicy. Nie była szczególnie piękna, miała ładną twarz, można by powiedzieć, że trochę męską, ale inteligentną i pełną charakteru. I ona jedna ze wszystkich żon urzędników państwowych zatrzymała się – w sposób dla siebie typowy – aby zapytać Cyclerona, co według jego przewidywań przyniesie dzień.

- Senat zdecyduje – odparł ostrożnie.
- A twoim zdaniem, jaka będzie jego decyzja?
- To zależy od senatorów.
- Ale ty nimi pokierujesz?
- Jeśli nawet... to wybaczyć... ujawnię swoją opinię później, w senacie, a nie tu, na ulicy.
- Nie masz do mnie zaufania?
- Ależ mam, pani. Jednak ktoś mógłby dowiedzieć się o naszej rozmowie.
- Nie wiem, co masz na myśli! – powiedziała z oburzeniem, ale w jej przenikliwych niebieskich oczach pojawił się błysk złośliwego rozbawienia.
- To bez dwóch zdań najinteligentniejsza z kobiet Cezara – zauważył Cyncero, gdy odeszła – bystrzejsza nawet od jego matki, a to wiele mówi. Powinien się jej trzymać.

W pokojach było jeszcze ciepło od niedawnej obecności kobiet, a w powietrzu unosił się zapach perfum i kadzidła, drewna sandałowego i jałowca. Niewolnice zamiatły podłogi i sprzątały śmieci; na ołtarzu w atrium wznosiła się kupka białego popiołu. Klodiusz nawet nie krył ciekawości. Chodził dookoła, brał do ręki różne przedmioty i oglądał je; widać było, że chciałby zadać mnóstwo pytań, zwłaszcza gdy pojawiła się Terencja. Wciąż miała na sobie szaty najwyższej kapłanki, ale nawet ich nie wolno było oglądać mężczyznom, więc narzuciła na nie płaszcz, którym okryła się wysoko, aż pod samą szyję. Była zarumieniona; mówiła dziwnym, piskliwym głosem.

– Dostałyśmy znak – oznajmiła – niecałą godzinę temu, od samej Dobrej Bogini! – Cyncero spojrział na nią z powątpiewaniem, ale była zbyt przejęta, aby zwrócić na to uwagę. – Otrzymałam specjalną dyspensę od westalek, żeby ci o tym powiedzieć. Tam, na ołtarzu – wskazała dramatycznym gestem – ogień już całkiem się dopalił. Popiół był zupełnie zimny. Ale

nagle strzelił w górę wielki jasny płomień. To najbardziej niezwykły znak, jaki którakolwiek z nas pamięta.

– Co waszym zdaniem ma on znaczyć? – zapytał Cycero, mimowolnie zaciekawiony.

– To znak łaski, przesłany wprost do twojego domu w doniosły dzień. Zwiastuje ci bezpieczeństwo i chwałę.

– Naprawdę?

– Bądź odważny – powiedziała i wzięła go za rękę. – Wykaż się męstwem. Zdobędziesz wieczną sławę. I nie stanie ci się żadna krzywda. Taką wiadomość przesyła ci Dobra Bogini.

Często w późniejszych latach zastanawiałem się, czy wpłynęło to na decyzję Cyclerona. To prawda, wielokrotnie wyśmiewał przy mnie wróżby augurów i inne znaki, uważał je za dziecinadę. Ale przekonałem się, że nawet najwięksi niedowiarkowie w nadzwyczajnych okolicznościach modlą się do każdego boga na firmamencie, jako że nie zaszkodzi mieć ich po swojej stronie. Na pewno nie skłamię, jeśli powiem, że Cycero był zadowolony. Ucałował dłoń Terencji i podziękował jej za oddanie i troskę o jego dobro. Potem poszedł na górę, żeby przygotować się do obrad senatu, a tymczasem wieść o boskim znaku – na jego polecenie – rozniosła się wśród zebranego na ulicy tłumu. Kłodiusz znalazł zaś pod jedną z sof damską tunikę i zobaczyłem, że przytknął ją do nosa i z lubością wciągnął w nozdrza jej zapach.

Na rozkaz konsula więźniowie nie zostali przyprowadzeni do senatu, ale pozostawiono ich pod kluczem tam, gdzie spędzili noc. Cycero twierdził, że podjął tę decyzję ze względu na bezpieczeństwo, ale moim zdaniem po prostu nie mógł patrzeć im w twarz. Obrady znowu odbywały się w świątyni Zgody, przybyli wszyscy przywódcy republiki, z wyjątkiem Krassusa, który przysłał wiadomość, że jest chory. Tak naprawdę chciał jednak

uniknąć głosowania w sprawie kary śmierci. Być może bał się także napaści: wielu patrycjusza i ekwitów uważało bowiem, że powinien zostać aresztowany. Cezar natomiast jak zwykle zachował zimną krew; roztrącił swoimi szerokimi kanciastymi ramionami strażę, nie zważając na przekleństwa i obelgi. Wcisnął się pomiędzy innych na pierwszą ławę, sadowił się na niej przez chwilę, a potem wyciągnął w przejściu swoje długie nogi. Naprzeciwko niego siedział Katon, który jak zazwyczaj pochylał swoją wąską głowę nad rachunkami państwa. Było bardzo zimno. Drzwi na drugim końcu świątyni pozostawiono otwarte, żeby tłum mógł śledzić obrady, i w przejściu naprawdę hulał wiatr. Izaurykus miał stare szare rękawiczki bez placów, zewsząd słychać było pokasływania i kichnięcia, a kiedy Cycero wstał, żeby przywołać zebranych do porządku, z jego ust dobył się obłok pary jak ze stojącego na ogniu garnka.

– Senatorowie – przemówił – to najdonioślejsze obrady naszego zgromadzenia, jakie pamiętam. Zebraliśmy się, żeby zdecydować, co należy uczynić z przestępcami, którzy zagrozili naszej republice. Pragnę, żeby każdy, kto będzie chciał zabrać głos, miał taką możliwość. Sam nie zamierzam się wypowiadać... – Uniósł dłoń, żeby uciszyć protesty. – Nikt nie może mi zarzucić, że nie zająłem się tą sprawą. Lecz chciałbym od tej pory być tylko sługą senatu i po prostu wprowadzić w życie waszą decyzję, jakakolwiek będzie. Domagam się jedynie, aby ta decyzja zapadła dziś, przed nadejściem nocy. Nie wolno nam zwlekać. Kara, jakakolwiek przybierze formę, musi nastąpić szybko. A teraz wzywam Decymusa Silanusa, żeby wyraził swoje zdanie.

Starszy konsul elekt miał ten przywilej, że zabierał głos w debatach pierwszy, ale jestem pewny, że tego szczególnego dnia Silanus chętnie by z niego zrezygnował. Jak dotąd niewiele o nim mówiłem, po części dlatego, że bardzo słabo go pamiętam: w tej epoce gigantów był karłem – szanowanym, nijakim, nudnym,

chorowitym i nużąco ponurym. Nie doszedłby do tego stanowiska za tysiąc lat, gdyby nie energia i ambicje Serwili, której tak bardzo zależało, aby jej trzy córki miały za ojca konsula, że została kochanką Cezara, bo mógł on pomóc w karierze jej męża. Nerwowo zerkając od czasu do czasu w stronę pierwszej ławy, na tego, który przyprawiał mu rogi, Silanus zaczął mówić urywanym głosem o jednoczesnej potrzebie sprawiedliwości i litości, bezpieczeństwa i zachowania swobód, o swojej przyjaźni z Lentulusem Surą i nienawiści do zdrajców. Do czego zmierzał? Trudno było się zorientować.

W końcu Cycero zapytał go wprost, jaką karę zaleca. Silanus zaczerpnął głęboko powietrza i zamknął oczy.

– Śmierć – wydusił z siebie.

W senacie zapanowało poruszenie, gdy padło to straszne słowo. Następny został wezwany Murena. Pojąłem, dlaczego Cycero wołał, żeby to on, a nie Serwiusz został konsulem w trudnym czasie.

– Jestem żołnierzem – oznajmił. – Rzym prowadzi wojnę. Kobiety i dzieci na wsi są zniewalane, świątynie plądrowane, zbiory niszczone; a teraz czujny konsul odkrył, że podobny chaos miał zapanować w naszym ojczystym mieście. Gdybym dowiedział się, że jacyś ludzie w moim obozie zamierzają go podpalić i zamordować dowódców, nie wahałbym się ani chwili i kazałbym ich stracić. Karą dla zdrajców zawsze była i jest... i powinna być... śmierć.

Cycero kolejno wzywał siedzących w pierwszej ławie byłych konsulów. Katulus wygłosił mrozące krew w żyłach przemówienie, przedstawiając okropieństwa, jakie towarzyszą mordom i podpaleniu, i także stanowczo optował za karą śmierci; podobnie uczynili bracia Lukullusowie, Pizon, Kuriusz, Kotta, Figulus, Wolkacjusz, Serwiliusz, Torkwatus i Lepidus; nawet kuzyn Cezara, Lucjusz, choć niechętnie, wypowiedział się za najwyższym wymiarem kary. Razem więc z Silanusem i Mureną aż

czternastu senatorów w randze konsula domagało się śmierci dla spiskowców. Nikt nie zgłosił sprzeciwu. Panowała taka jedno-myślność, że jak mi potem powiedział Cycero, bał się, iż zostanie oskarżony o manipulację. Po kilku godzinach, podczas których nie padła żadna inna propozycja, wstał więc i zapytał, czy jest w izbie ktoś, kto byłby rzecznikiem odmiennej kary.

Wszyscy oczywiście zwrócili wzrok na Cezara. Ale przed nim zerwał się na nogi były pretor Tyberiusz Klaudiusz Neron. Był jednym z dowódców Pompejusza podczas wojny przeciwko piratom i przemówił w imieniu swojego wodza.

– Dlaczego tak się spieszymy, senatorowie? Spiskowcy siedzą bezpiecznie pod strażą. Sądzę, że powinniśmy wezwać do kraju Pompejusza Wielkiego, aby rozprawił się z Katyliną. Gdy pokonamy przywódcę, spokojnie zdecydujemy, co uczynić z jego sługusami.

Kiedy Neron skończył, Cycero zapytał:

– Czy jeszcze ktoś jest przeciwny bezzwłocznej karze śmierci?

Wtedy Cezar powoli wyprostował skrzyżowane dotąd nogi i wstał. Natychmiast rozległy się krzyki i gwizdy, on jednak widocznie spodziewał się takiej reakcji, bo był na nią przygotowany. Splótł ręce za plecami i cierpliwie czekał, aż hałas ucichnie.

– Senatorowie, każdy, kto musi podjąć decyzję w trudnej sprawie – powiedział cichym, niebezpiecznym głosem – powinien pozbyć się wszelkiej nienawiści i gniewu, tak samo jak sympatii i współczucia. Niełatwo jest dotrzeć do prawdy, gdy podlega się emocjom. – Wypowiedział to ostatnie słowo z taką bezbrzeżną pogardą, że na chwilę jego przeciwnikom odebrało głos. – Być może zapytacie, dlaczego sprzeciwiam się karze śmierci...

– Bo jesteś tak samo winny! – wykrzyknął ktoś.

– Gdybym był winny – odciął się Cezar – czyż nie wolałbym

tego zamaskować, domagając się razem z wami wszystkimi kary śmierci? Nie, nie dlatego jestem jej przeciwny, że ci ludzie byli niegdyś moimi przyjaciółmi... w życiu publicznym nie należy brać tego pod uwagę. Ani dlatego, że uważam ich winę za błąhą. Szczerze mówiąc, jestem zdania, że nie ma takich tortur, na jakie by nie zasługiwali. Lecz ludzie mają krótką pamięć. Gdy przestępcom wymierzy się sprawiedliwość, szybko zapominają o ich winie albo zaczynają ją kwestionować. Nigdy natomiast nie zapominają o karze, zwłaszcza jeśli jest tak surowa. Jestem pewien, że Silanus miał na względzie dobro kraju, gdy zgłosił swoją propozycję. Mam jednak przemożne wrażenie, że jest ona nie tyle surowa, bo nie można być zbyt surowym dla takich ludzi, ile sprzeczna z tradycjami naszej republiki. Wszystkie złe precedensy biorą się z czegoś, co kiedyś wydawało się słuszne. Dwadzieścia lat temu, gdy Sulla nakazał stracić Brutusa i innych buntowników, kto spośród nas nie pochwalił jego decyzji? Tamci ludzie byli łotrami i wichrzycielami; nikt nie miał wątpliwości, że zasłużyli na śmierć. Lecz te egzekucje okazały się pierwszym krokiem na drodze do katastrofy. Wkrótce każdy, kto zapragnął czyjejs ziemie czy willi... a potem nawet zastawy czy strojów... mógł zabić ich właściciela, a później ogłosić wszem wobec, że był on zdrajcą. Ci więc, którzy ucieszyli się ze śmierci Brutusa, sami niebawem stanęli przed katem i nie było końca tym mordom, dopóki Sulla nie zasypał swoich zwolenników bogactwami. Oczywiście, nie obawiam się, że do czegoś takiego zdolny jest Marek Cyncero. Ale w tak licznych narodzie jak nasz są różni ludzie, o różnych charakterach, i może się zdarzyć, że kiedyś w przyszłości, gdy inny konsul też będzie miał do dyspozycji siły zbrojne, fałszywe oskarżenie zostanie uznane za prawdę. A wtedy, przy takim precedensie, kto go powstrzyma?

Na wzmiankę o sobie włączył się Cyncero.

– Z wielką uwagą słucham wypowiedzi najwyższego kapłana – powiedział. – Czyżby proponował, żeby wypuścić więźniów i pozwolić im dołączyć do oddziałów Katyliny?

– W żadnym razie – odparł Cezar. – Przyznaję, że powinno się ich pozbawić prawa oddychania tym samym powietrzem i oglądania tego samego światła co reszta z nas. Jednak śmierć została nam zesłana przez nieśmiertelnych bogów nie jako kara, ale wyzwolenie od trosk i znojów. Jeśli ich zabijemy, przestaną cierpieć. Dlatego proponuję gorszy los: żeby skonfiskować im wszelkie dobra i uwięzić każdego z nich w innym mieście, na resztę życia; żeby skazani nie mieli prawa odwołania się od tego wyroku, a wszelkie próby składania apelacji w ich imieniu były traktowane jako akt zdrady. Życie, senatorowie, niech oznacza życie.

Cóż to był za przykład bezczelności, ale też przebiegłości i skuteczności! Gdy spisywałem wniosek Cezara i podawałem Cyceronowi, słyszałem podekscytowane szepty w całym senacie. Konsul wziął ode mnie tabliczki z niepokojem na twarzy. Czuł, że przeciwnik wykonał podstępny ruch, ale nie wiedział jeszcze, jakie będą wszystkie jego skutki i jak na niego odpowiedzieć. Odczytał głośno propozycję Cezara i spytał, czy ktoś chciałby się do niej odnieść, a wtedy kto wstał, jeśli nie konsul elekt, rogacz Silanus?

– Głęboko poruszyły mnie słowa Cezara – oświadczył i świętoszkowato złożył ręce. – Tak głęboko, że nie będę głosił za własną propozycją. Rzeczywiście, ja także uważam, że słusniejszą karą będzie dożywotnie uwięzienie.

To wywołało pomruki zdziwienia, po których w ławach rozległy się szmery, i natychmiast pojąłem, że nastroje uległy zmianie. Mając wybór między śmiercią a wygnaniem, większość senatorów wypowiedziała się za śmiercią. Ale gdy dano im do wyboru śmierć i dożywotnie więzienie, dokonali kalkulacji od nowa. I czy można było ich winić? Wydawało się to idealnym

rozwiązaniem: spiskowcy zostaną surowo ukarani, a senat nie będzie miał ich krwi na rękach. Cycero rozejrzał się z niepokojem, szukał zwolenników kary śmierci, ale kolejni mówcy, którzy wstawali, by się wypowiedzieć, jeden po drugim wychwalali zalety dożywotniego uwięzienia. Hortensjusz poparł wniosek Cezara; tak samo, o dziwo, Izaurykus. Metellus Nepos powiedział, że egzekucja bez możliwości apelacji byłaby bezprawna i powtórzył propozycję Nerona, żeby wezwać Pompejusza. Po godzinie czy dwóch, gdy tylko kilku senatorów wypowiedziało się za karą śmierci, Cycero ogłosił krótką przerwę przed głosowaniem, żeby jedni senatorowie mogli wyjść na zewnątrz i sobie ulżyć, a drudzy napić się czegoś. W tym czasie odbył szybką naradę z Kwintusem i ze mną. Znowu zaczęło się ściemniać i nic nie dało się na to poradzić – zapalenie ognia czy jakichkolwiek lamp w świątyni było oczywiście zakazane. Nagle uświadomiłem sobie, że zostało bardzo niewiele czasu.

– Hm, co o tym myślicie? – zapytał nas cicho Cycero.

Pochylił się na krzesło.

– Przejdzie wniosek Cezara – odpowiedział szeptem Kwintus. – Nie ma co do tego wątpliwości. Nawet patrycjusze miękną.

Cycero wydał jęk.

– Na tyle zdały się ich obietnice...

– To dla ciebie dobrze, panie – zauważyłem skwapliwie, bo byłem rzecznikiem kompromisu. – Wybrniesz z kłopotu.

– Ale ta jego propozycja jest niedorzeczna! – syknął Cycero i spojrzał gniewnie w stronę Cezara. – Senat nie może uchwalić prawa, które wiąże na wieczność jego następnych członków, i Cezar dobrze o tym wie. Bo co będzie, jeśli któryś z urzędników w przyszłym roku zgłosi wniosek, że to nie zdrada domagać się uwolnienia więźniów, i przedstawi go na zgromadzeniu ludowym? Łotrowi chodzi tylko o to, żeby dla własnych celów nie

zamykać sprawy.

– To w każdym razie będzie już problem twoich następców, panie – zwróciłem mu uwagę – nie twój.

– Wyjdiesz na słabego – przestrzegł Kwintus. – Co powie o tym historia? Będziesz musiał jednak wypowiedzieć swoje zdanie.

Cyceronowi opadły ramiona. Właśnie tego się obawiał. Nigdy nie widziałem go tak rozdartego.

– Masz rację – odrzekł w końcu – choć nie widzę wyjścia, które nie byłoby dla mnie zgubne.

Gdy więc przerwa się skończyła, oznajmił, że jednak przedstawi swój pogląd.

– Widzę, senatorowie, że zwracacie twarze i spojrzenia na mnie, a zatem powiem, co jako konsul muszę powiedzieć. Mam dwa wnioski: pierwszy, Silanusa... choć on sam już nie będzie za nim głosował... domagający się śmierci dla spiskowców; drugi, Cezara, aby za taką haniebną zbrodnię ukarać ich dożywotnim uwięzieniem, dla przykładu. To, jak twierdzi, znacznie gorsze niż śmierć, ponieważ odbiera nadzieję, jedyne pocieszenie ludzi w nieszczęściach. Żąda także konfiskaty ich majątków, aby do ich cierpień dołączyła bieda. Chce zostawić tym niegodziwcom tylko życie... bo gdyby im je odebrał, jednym bolesnym ruchem uwolniłby ich od duchowych i cielesnych cierpień. Wiem, senatorowie, co nakazywałyby mi uczynić mój własny interes. Jeślibyście przyjęli propozycję Cezara, nie musiałbym obawiać się ataków ludu, ponieważ jest popularnym, a ja postąpiłbym zgodnie z jego wolą. Jeżeli natomiast przychyliłbym się do drugiego wniosku, ściągnąłbym na swoją głowę dalsze kłopoty. Niech jednak interes publiczny przeważy nad moim osobistym bezpieczeństwem. Musimy uczynić to, co słuszne. Odpowiedzcie mi więc: jeśli ojciec rodziny znajdzie swoje dzieci martwe, zamordowane przez niewolników, żonę zabitą, a dom

spalony, i nie będzie domagał się za to najwyższej kary dla winowajców, czy zostanie uznany za wyrozumiałego i pełnego współczucia, czy za nieludzkiego, pozbawionego uczuć, bo nie domaga się odwetu za cierpienia swoich bliskich? Według mnie człowiek, który nie szuka ukojenia dla smutku i bólu, zadając podobne cierpienie winnemu, jest nieczuły i ma serce z kamienia. Popieram wniosek Silanusa.

Cezar podniósł się czym prędzej, żeby zaoponować.

– Lecz słabym punktem wyводу konsula jest to, że oskarżeni nie dopuścili się żadnego z tych aktów... mają być ukarani za zamiary, a nie za to, co zrobili.

– Właśnie! – zawołał ktoś z drugiego końca izby i wszyscy zwrócili wzrok na Katona.

Gdyby przeprowadzono głosowanie w tej chwili, nie mam wątpliwości, że wniosek Cezara by przeszedł, niezależnie od zdania konsula. Więźniowie zostaliby rozesłani do karcerów w całej Italii, w których by gnili albo żyli sobie wygodnie, zależnie od kaprysów polityki, a życie Cyncerona ułożyłoby się inaczej. Ale gdy sprawa wydawała się przesądzona, z ostatniej ławy z tyłu świątyni podniosła się znajoma niechlujna chuda postać z włosami w nieładzie, gołymi mimo zimna ramionami i żylastą ręką, wyciągniętą do góry, by prosić o głos.

– Marek Porcjusz Katon – ogłosił z niepokojem Cyncero, bo nikt nigdy nie wiedział, dokąd zaprowadzą Katona jego surowe zasady. – Chcesz się wypowiedzieć?

– Tak, chcę się wypowiedzieć – potwierdził Katon. – Chcę się wypowiedzieć, ponieważ ktoś przypomniał tej izbie, z czym mamy do czynienia. Właśnie o to chodzi, senatorowie, że nie stoimy w obliczu przestępstw dokonanych, ale przestępstw planowanych. Dlatego nie ma sensu powoływać się na przyszłe prawa... bo gdyby te plany się powiodły, wszyscy bylibyśmy już zarżnięci! – Zabrzmiał pomruk uznania; Katon mówił prawdę. Spojrzałem na Cyncerona. On również kiwał głową. – Zbyt wielu

siedzących tutaj – ciągnął Katon coraz głośniejszym głosem – bardziej dba o swoje wille i posągi niż o państwo. Na niebiosach, senatorowie, zbudźcie się! Zbudźcie się, dopóki czas, i wystąpcie w obronie republiki! Stawką jest nasza wolność i życie! W takim momencie ktoś ośmiela się mi mówić o wyrozumiałości i współczuciu?

Przeszedł bosą stopą wzdłuż ławy i stanął w przejściu, a jego szorstki, nieposkromiony głos brzmiał jak zgrzyt ostrza na kamieniu szlifierskim. Można by odnieść wrażenie, że jego słynny pradziad wstał z grobu i z wściekłością potrząsa przed nami swoimi siwymi włosami.

– Nie wyobrażajcie sobie, senatorowie, że nasi przodkowie dzięki wojsku przekształcili to małe państewko w wielką republikę. Gdyby tak było, Rzym sięgałby właśnie szczytu chwały, ponieważ mamy więcej obywateli i poddanych, więcej wojska i koni niż kiedykolwiek wcześniej. Nie, za sprawą czegoś zupełnie innego stali się wielcy, czegoś, czego nam całkowicie brak. Pracowali ciężko w kraju, tylko za granicą byli panami, a do senatu przychodzili wolni od poczucia winy i niemiotani pasją. To właśnie straciliśmy. Gromadzimy dla siebie bogactwa, gdy państwo stoi w obliczu bankructwa, i wiemy tak gnuśne życie, że gdy dochodzi do zamachu na republikę, nie ma komu jej bronić. Obywatele najszlachetniejszego pochodzenia uknuli spisek, żeby podpalić ojczyste miasto. Wezwali pod broń Galów, śmiertelnego wroga wszystkiego, co rzymskie. Nieprzyjacielska armia i jej wódz stoją już w gotowości, aby na nas uderzyć. A wy wciąż się wahacie i nie umiecie podjąć decyzji, jak postąpić z publicznymi wrogami ujętymi w granicach waszego miasta? – Dosłownie pluł z pogardą, opryskiwał śliną najbliższych senatorów. – Wobec tego może zlitujecie się nad nimi... to młodzi ludzie, których ambicja zawiodła na manowce. Są wprawdzie uzbrojeni, ale puśćmy ich. Tylko pamiętajcie, co może spowodować wasza wyrozumiałość i współczucie: jeśli

wyciągną miecz, będzie za późno, żeby cokolwiek na to poradzić. O tak, powiecie, sytuacja z całą pewnością jest przykra, ale się nie boimy. Bzdury! Trzęsiecie się ze strachu! Jesteście tak niemrawi i słabi, że nie umiecie zająć stanowiska, każdy z was czeka, żeby ktoś inny coś zrobił... niewątpliwie licząc na pomoc boską. Cóż, powiem wam, modły i babskie błagania nie zapewnią wam boskiej pomocy. Tylko czujność i stanowczość mogą przynieść sukces. Jesteśmy okrażeni. Katylna i jego armia tylko czekają, żeby nam skoczyć do gardła. Mamy wrogów w samym sercu miasta. Dlatego musimy działać szybko. Składam więc propozycję, konsulu. Zapisz to, skrybo. Jeśli na skutek przestępczych zamiarów niegodziwych obywateli republice grozi poważne niebezpieczeństwo i jeśli za pomocą dowodów albo ich własnych zeznań oskarżonym dowiedzie się, że planowali rzeź, podpalenie albo jakiegokolwiek inne akty przemocy wobec współobywateli, to, po przyznaniu się do winy, powinni zostać skazani na śmierć, zgodnie ze starym zwyczajem, tak jakby złapano ich na popełnieniu największych zbrodni.

Przez trzydzieści lat bywałem na obradach senatu i słuchałem wielu wspaniałych, sławnych potem mów. Ale żadna z nich, ani jedna, nie mogła się równać z tym krótkim wystąpieniem Katona pod względem efektu. Czym bowiem jest sztuka oratorska, jeśli nie próbą ubrania emocji w słowa? Katon powiedział to, co czuli zebrani, a przynajmniej ich większość, tylko nie potrafili tego wyrazić słowami, nawet sami przed sobą. Upomniął ich, ale to im się spodobało. W całej izbie senatorowie wstawali więc z miejsc, klaskali i podchodzili do swojego bohatera, żeby wyrazić swoje poparcie. Katon nie był już dziwakiem z ostatniej ławy. Był opoką dawnej republiki, krwią z jej krwi i kością z kości. Cyncero patrzył ze zdumieniem. Co do Cezara, zerwał się i zażądał prawa do odpowiedzi, a nawet zaczął przemawiać. Ale wszyscy już wiedzieli, że chce tylko osłabić wydźwięk wniosku

Katona i odwlec głosowanie, bo słońce stało już bardzo nisko i w izbie kładły się długie cienie. Z otoczenia Katona dobiegły okrzyki gniewu i gwizdy, a kilku ekwitów, którzy przypatrywali się w progu obradom, wbiegło do środka z wyciągniętymi mieczami. Cezar szarpał się, żeby strącić ręce, które próbowały go usadzić, i nie przestawał mówić. Ekwici spojrzeli na Cyncerona; czekali na instrukcje. Wystarczyło, żeby skinął głową albo uniósł palec, a Cezar zostałby obalony na ziemię. I mój pan wahał się przez krótki moment. Potem jednak pokręcił głową, Cezara puszczono i w tym zamieszaniu musiał wybiec ze świątyni, bo później straciłem go z oczu. Cyncero zszedł z podwyższenia. Ruszył przejściem i mitygował senatorów, wraz z liktorami rozdzielał walczących, kilku z nich usadził na miejsca, a kiedy znowu zapanował względny spokój, wrócił na krzesło.

– Senatorowie – powiedział; jego twarz była w mroku biała jak mleko, a głos bardzo słaby i pełen napięcia – wola tej izby jest jasna. Wniosek Marka Katona przechodzi. Karą jest śmierć.

Teraz najważniejsze było działać szybko. Skazańców należało zaprowadzić do pomieszczenia, w którym miała się odbyć egzekucja, zanim o ich losie dowiedzieliby się przyjaciele i zwolennicy. Na czele oddziałów, które miały pójść po więźniów, Cyncero postawił byłych konsulów: Katulus udał się po Cetegusa, Torkwatus po Kapitę, Pizon po Cepariusza, a Lepidus po Statyliusza. Ustaliwszy szczegóły i nakazawszy pozostałym senatorom zostać na miejscach, sam poszedł po najstarszego rangą z oskarżonych, Lentulusa Surę.

Słońce właśnie zaszło. Na forum zebrał się groźnie wyglądający tłum, ale rozstąpił się natychmiast, aby nas przepuścić. Ci ludzie przypominali mi świadków składania ofiary – byli poważni, pełni szacunku i lęku wobec tajemnic życia i śmierci. Weszliśmy z eskortą na Palatyn, do domu Spintera, krewniaka

Sury, i zastaliśmy więźnia w atrium; grał w kości z jednym ze strażników. Właśnie wykonał rzut; gdy weszliśmy, kości zagrzechotały o planszę. Po minie Cyclerona musiał zorientować się od razu, że przyszliśmy po niego. Spojrzał w dół, żeby sprawdzić, co wyrzucił, a potem popatrzył na nas i uśmiechnął się słabo.

– Chyba przegrałem – powiedział.

Nie mogę nic zarzucić jego zachowaniu. Dziad oraz pradziad Sury sprawowali konsulat i byłiby dumni z jego postawy przynajmniej w tej ostatniej godzinie. Oddał nam swoją sakiewkę, żebyśmy rozdzielili pieniądze między strażników, a potem wyszedł z domu tak spokojnie, jakby zmierzał do łaźni. Powiedział tylko z lekkim wyrzutem:

– Chyba schwytałeś mnie w pułapkę.

– Sam w nią wpadłeś – odparł Cycero.

Sura nie odezwał się słowem, gdy szliśmy przez forum; marszerował pewnym krokiem z wysuniętą do przodu brodą. Miał na sobie tę samą prostą tunikę, którą dano mu poprzedniego dnia. Sądząc po zachowaniu ich dwóch, można by pomyśleć, że to śmiertelnie blady Cycero, mimo konsularnej purpury, jest skazańcem, a Sura jego strażnikiem. Czuję, że śledzą nas spojrzenia nieprzebranego tłumu; były zaciekawione i potulne jak spojrzenia owiec. Gdy znaleźliśmy się u stóp schodów prowadzących do karceru, przedarł się ku eskorcie pasierb Sury, Marek Antoniusz, który z niepokojem zapytał, co się dzieje.

– Mam tu krótkie spotkanie – odparł spokojnie Sura. – Niebawem będzie po wszystkim. Idź i pociesz matkę. Będzie cię teraz bardziej potrzebowała niż ja.

Antoniusz zaczął krzyczyć ze wzburzenia i bólu, wyciągał ręce do Sury, ale liktorzy nie dopuścili go do niego. Weszliśmy po schodach między dwoma szeregami legionistów, wkroczyliśmy

w pochyleniu przez niskie, ale bardzo grube drzwi, przypominające wręcz tunel, i znaleźliśmy się w owalnym kamiennym pomieszczeniu bez okien, w którym paliły się pochodnie. Powietrze było gęste, cuchnęło śmiercią i ludzkimi odchodami. Gdy wzrok przyzwyczał mi się do mroku, zobaczyłem Karulusa, Pizona, Torkwatusa i Lepidusa, którzy przytykali fałdy tog do nosa, a także przysadzistą postać kata, carnifexa, w skórzanym fartuchu, i kilku jego pomocników. Pozostali skazańcy leżeli już na ziemi z rękami ciasno związanymi za plecami. Kapito, który spędził ostatni dzień u Krassusa, płakał cicho. Statyliusz, który przebywał w oficjalnej rezydencji Cezara, był pijany i nieprzytomny. Cepariusz stracił przytomność, leżał zwinięty w kłębek, z zamkniętymi oczami. Cetegus protestował głośno, mówił, że to bezprawie, i domagał się prawa wystąpienia przed senatem; uciszył się, gdy ktoś kopnął go w żebra. Carnifex chwycił Surę za ręce i skrzepował je szybko w nadgarstkach i łokciach.

– Konsulu – powiedział Sura, krzywiąc się, gdy go wiązano – dasz mi słowo, że mojej żonie i całej rodzinie nie stanie się krzywda?

– Tak, obiecuję ci to.

– I że oddasz nasze ciała krewnym, żeby je pochowali?

– Tak.

(Marek Antoniusz twierdził potem, że Cycero odmówił tej prośbie; to jeszcze jedno z jego niezliczonych kłamstw).

– Nie taki miał być los. Przepowiednie głosiły wyraźnie.

– Dałeś się zwieść podłym ludziom.

Chwilę później, gdy już go dobrze związano, Sura rozejrzał się wokół.

– Umrę jako rzymski nobil! – zawołał wyzywająco. – I jako patriota!

Tego było już za wiele nawet dla Cyncerona.

– Nie – odparł krótko i skinął na carnifexa. – Zginiesz jak zdrajca.

Na te słowa Surę zawleczono w stronę dużej czarnej dziury pośrodku podłogi, gdzie znajdowało się jedyne wejście do izby straceń pod nami. Dwaj potężni mężczyźni wepchnęli go do niej i po raz ostatni ujrzałem w świetle pochodni jego szlachetną, zdziwioną, nic nierozumiejącą twarz. Potem z dołu musiały go ująć inne silne ręce, bo nagle zniknął. Zaraz po Surze spuszczone na dół bezwładne ciało Statyliusza; wkrótce przyszła pora na Kapitę, który trząsał się tak bardzo, że szczękały mu zęby; potem na Cepariusza, wciąż omdlałego; i wreszcie Cetegusa, którzy krzyczał, szlochał i tak się wyrywał, że dwaj ludzie musieli na nim usiąść, podczas gdy trzeci wiązał mu wierzgające nogi – w końcu spuścili go do dziury głową w dół, tak że upadł z głuchym łoskotem. Potem już niewiele było słycać, jedynie odgłosy szamotaniny od czasu do czasu; ale w końcu i one ustały. Dowiedziałem się później, że wszystkich ich powieszono na hakach pod sufitem. Wydawało się, że upłynęła wieczność, gdy carnifex zawołał, że zadanie wykonane, a wtedy Cyncero z wielką niechęcią podszedł do dziury i spojrział w dół. Ciała oświetlono pochodnią. Uduszeni mężczyźni leżeli rzędem i patrzyli na nas wytrzeszczonymi martwymi oczami. Nie czułem litości; przypomniałem sobie zmasakrowane ciało chłopca, którego zabili, żeby przypieczętować swój pakt. Pomyślałem, że Katon miał rację: zasłużyli na śmierć; i jestem tego samego zdania do dziś.

Upewniwszy się, że spiskowcy nie żyją, Cyncero nie mógł się już doczekać, kiedy opuści ten „przedsionek piekła”, jak później to nazwał. Przecisnęliśmy się z powrotem przez wąskie, niskie przejście i prostując się na zewnątrz, zaczerpnęliśmy świeżego powietrza – a wtedy zobaczyliśmy zadziwiający widok. Całe forum oświetlone było w zapadającym zmierzchu pochodniami

– rozciągał się przed nami kobierzec migających świateł. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, stali ludzie, nieruchomi i milczący, łącznie z senatorami, którzy wyszli ze świątyni Zgody naprzeciwko więzienia. Każdy z nich patrzył na Cyncerona. Miał on teraz oznajmić, co się stało, ale nie wiedział, jak to zostanie przyjęte; musiał także pamiętać o pewnym szczególnym ograniczeniu, które ukazuje bezprecedensową naturę ostatnich wydażeń; istniał bowiem wtedy przesąd, że urzędnik nie może wypowiadać na forum takich słów jak „śmierć” czy „zabity”, bo ściągnie klątwę na miasto. Dlatego Cyncero zastanawiał się przez chwilę, odchrząknął, żeby przełknąć ślinę, która zebrała mu się w gardle podczas krótkiego pobytu w karczerze, wyprostował się i wykrzyknął głośno:

– Zakończyli życie!

Jego głos poniósł się echem między budynkami, a potem zapadła głęboka cisza. Zacząłem się już obawiać, że tłum jest jednak wrogo nastawiony i że teraz my zawiśniemy na hakach. Przypuszczam jednak, że wszyscy po prostu zastanawiali się, co chciał przez to powiedzieć. Kilku senatorów zaczęło klaskać. Dołączyli do nich inni. I powoli w tłumie rozległy się wiwaty.

– Chwała Cynceronowi! – krzyczeli ludzie. – Chwała Cynceronowi!

– Bogom dzięki za Cyncerona!

– Cyncero, zbawca republiki!

Stałem zaledwie kilka kroków od niego i widziałem, że łzy napływają mu do oczu. Miałem wrażenie, jakby przerwała się w nim jakaś tama i wszystkie emocje, jakie w nim wzbierały, nie tylko w ostatnich kilku godzinach, ale też w ciągu całego jego konsulatu, miały wreszcie znaleźć ujście. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł, co tylko wzmogło wyrazy uznania ze strony tłumu. W końcu nie pozostało mu nic innego, jak zejść po schodach, i gdy zstąpił na forum, wśród wiwatów zarówno przyjaciół,

jak i przeciwników, które dochodziły zewsząd, płakał już w sposób nieopanowany. Za nami wyciągano na hakach ciała więźniów.

Historię ostatnich kilku dni konsulatu Cyclerona da się szybko streścić. Żadna osoba cywilna nie była tak wychwalana w dziejach republiki jak on wtedy. Po miesiącach wstrzymywania oddechu miasto jakby odetchnęło z ulgą. Wieczorem, po egzekucji spiskowców, konsul został odprowadzony z forum do domu przez wszystkich senatorów; była to procesja z pochodniami, którą witano na każdym kroku wiwatami. Dom był jasno oświetlony na jego przyjęcie; drzwi, u których czekała z dziećmi Terencja, udekorowano gałązkami wawrzynu; niewolnicy stali w szeregu, żeby wśród oklasków odprowadzić swojego pana do atrium. Dziwny to był powrót. Cycero czuł się zbyt wyczerpany, żeby spać, zbyt głodny, żeby jeść, zbyt pragnął zapomnieć o przerażającej egzekucji, żeby mógł mówić o czymś innym. Przypuszczałem, że odzyska równowagę za dzień czy dwa. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że zaszła w nim jakaś zmiana, już na zawsze, coś w nim pękło jak oś. Następnego rana senat przyznał mu tytuł ojca ojczyzny. Cezar nie przybył na obrady, ale zjawił się Krassus, głosował wraz z innymi i wynosił zasługi Cyclerona pod niebiosa.

Podczas głosowania nie było jednak jednomyślności. Metellus Nepos, który kilka dni później objął urząd trybuna, nadal twierdził, że egzekucja była bezprawna. Zapowiadał, że gdy tylko Pompejusz wróci do Italii, żeby przywrócić porządek, zajmie się nie tylko Katyliną, ale i tym małym tyranem, jakim jest Cycero. Mimo swojej wielkiej popularności mój pan był tym tak zaniepokojony, iż udał się do Klodii i poprosił ją, aby w sekrecie powiedziała swojemu szwagrowi, że jeśli nie zmieni swojego postępowania, on jako konsul oskarży go o związki z

Katylina. Klodia otworzyła szeroko swoje błyszczące brązowe oczy, zachwycona, że angażuje się ją w sprawy państwowe. Jednakże Nepos zignorował ostrzeżenie; rozumował słusznie, że Cyncero nie ośmieli się wystąpić przeciwko najbliższemu politycznemu sprzymierzeńcowi Pompejusza. Teraz wszystko zależało od tego, jak szybko pokona się Katylina.

Kiedy wieści o egzekucji Sury i innych dotarły do obozu Katyliny, od razu opuściła go większość zwolenników. (Wątpię, by to uczynili, gdyby senat przegłosował karę dożywotniego uwięzienia). Zrozumiawszy, że nie zdobędą już Rzymu, on i Manlius postanowili powieść wojska rebelianckie na północ, z zamiarem przejścia przez Alpy do Galii Zaalpejskiej i utworzenia górskiej enklawy, w której mogliby się bronić latami. Nadchodziła jednakże zima i niżej położone przełęcze zostały obstawione przez Metellusa Celera dowodzącego trzema legionami. Tymczasem rebeliantom deptała już po piętach druga armia senacka pod dowództwem Hybrydy. Ku temu przeciwnikowi postanowił zwrócić się Katylina, a jako miejsce bitwy wybrał wąską równinę na wschód od Pisae.

Zrodziły się oczywiście podejrzenia, które żyją do dziś, że Katylina i jego dawny stronnik Hybryda cały czas utrzymywali z sobą potajemne kontakty. Cyncero to przewidział i kiedy stało się jasne, że dojdzie do walki, stary legat Hybrydy, Marek Petrejusz, otworzył zapieczętowane rozkazy, które dostał jeszcze w Rzymie. Te nakazywały, by to on przejął dowództwo, rzekomo z powodu choroby Hybrydy, któremu nie wolno było wziąć udziału w walce; gdyby odmówił, Petrejusz miał go aresztować. Kiedy przedstawiono sprawę Hybrydzie, ten szybko się zgodził i ogłosił, że cierpi na podagrę. Dzięki temu Katylinie niespodziewanie przyszło zmierzyć się z jednym z najlepszych wodzów w armii rzymskiej, który stał na czele znacznie większych i lepiej uzbrojonych sił niż on.

Rankiem przed bitwą Katylina tymi słowami przemówił do swoich żołnierzy, z których większość uzbrojona była jedynie w widły i oszczepy do polowania:

„Ludzie, walczymy za nasz kraj, za naszą wolność i życie, podczas gdy przeciwnicy walczą za skorumpowaną oligarchię. Być może przewyższają nas liczebnie, ale jesteśmy od nich silniejsi duchem i wygramy. Lecz jeśli z jakiegoś powodu tak się nie stanie i Fortuna odwróci się od nas, nie dajcie się zarznąć jak bydło; walczcie jak mężczyźni i postarajcie się, żeby za swoje zwycięstwo wróg zapłacił krwią i żałobą”.

Wtedy zagrały trąbki i pierwsze szeregi walczących ruszyły przeciwko sobie.

Nastąpiła straszliwa rzeź i Katylina przez cały dzień znajdował się w jej centrum. Żaden z jego przybocznych się nie poddał. Walczyli z dziką desperacją ludzi, którzy nie mają nic do stracenia. Dopiero gdy Petrejusz wysłał do boju doborową kohortę pretorianów, opór rebeliantów wreszcie się załamał. Wszyscy poplecznicy Katyliny, łącznie z Manliuszem, oddali życie tam, gdzie stali; później stwierdzono, że rany mają tylko z przodu, żadnej z tyłu. Z zapadnięciem nocy, już po bitwie, znaleziono samego Katylinę – leżał daleko za liniami wroga, otoczony ciałami przeciwników, których rozniósł na strzępy. Jeszcze oddychał, ale wkrótce wyzionął ducha od straszliwych ran. Na rozkaz Hybrydy jego głowę odesłano do Rzymu w beczce lodu i przedstawiono senatowi. Jednakże Cyncero, który kilka dni wcześniej zdał konsulat, nie chciał jej oglądać.

I tak skończył się spisec Lucjusza Sergiusza Katyliny.

Część druga

PATER PATRIAE

62–58 r, p.n.e.

*Nam Catonem nostrum non tu amas plus quam ego;
sed tamen ille optimo animo utens et summa fide nocet interdum
rei publicae; dicit enim tamquam in Platonis politeia,
non tamquam in Romuli faece, sententiam.*

„Co do naszego przyjaciela Katona, lubię go tak jak ty.
Lecz faktem jest, że szkodzi on republice mimo swojej mądrości
i dobrej woli; wypowiada się, jakby żył w państwie Platona,
a nie w tej norze Romulusa”.

Cycero, list do Attyka z 2 czerwca 60 r, p.n.e.

XII

Przez kilka pierwszych tygodni po ustąpieniu Cycerona ze stanowiska wszyscy chcieli usłyszeć, jak udaremnił spisek Katyliny. Nie było żadnej modnej uczty w Rzymie, na którą by go nie zaproszono. Chadzał na nie często; nie znosił być sam. Towarzyszyłem mu wielokrotnie; stałem z pozostałymi członkami świty za jego sofą, gdy raczył zebranych fragmentami swoich mów czy też opowieścią o tym, jak uszedł przed zamachem w dniu wyborów na Polu Marsowym albo jak na moście Mulwiskim urządził zasadzkę na Lentulusa Surę. Zazwyczaj ilustrował te historie, przesuwając talerze i kubki, tak jak Pompejusz, gdy przedstawiał jakąś dawną bitwę. Jeśli ktoś mu przerwał albo próbował zmienić temat, czekał cierpliwie na okazję, żeby znowu dojść do słowa, patrzył na winowajcę karcąco, po czym kontynuował: „Jak mówiłem...”. Co rano przedstawiciele najstarszych rodów rzymskich odwiedzali go podczas porannej toalety, a on pokazywał im miejsce, gdzie stał Katylina w dniu, w którym proponował, że odda się pod jego kuratelę, albo wskazywał meble, które zostały użyte do zabarykadowania drzwi, gdy spiskowcy otoczyli dom. W senacie, gdy tylko wstawał, wśród

zgromadzonych zapadała pełna szacunku cisza; a wtedy, korzystając z okazji, przypominał im, że mogą zebrać się tu wszyscy razem tylko dzięki niemu, bo ocalił republikę. Krótko mówiąc, Cycero stał się – kto by pomyślał! – typowym nudziarzem.

Byłoby dla niego o wiele lepiej, gdyby wyjechał z Rzymu na rok czy dwa, aby zarządzać prowincją; jego sława w tym czasie jeszcze by wzrosła, stałby się legendą. Lecz zrzekł się namiestnictwa na rzecz Hybrydy i Celera i teraz nie miał innego wyjścia, jak pozostać w mieście i podjąć praktykę prawniczą. Zażyłość sprawia, że nawet najbardziej fascynująca postać powszednieje; pewnie można by się znudzić samym Jowiszem, gdyby codziennie mijalo się go na ulicy. Blask, jaki otaczał Cyclerona, powoli zbladł. Przez kilka tygodni mój pan zajmował się dyktowaniem mi obszernego raportu ze swojego konsulatu, który chciał ofiarować Pompejuszowi. Był to dokument wielkości księgi i szczegółowo przedstawiał wszystkie jego dokonania. Wiedziałem, że wysłanie go będzie błędem, i próbowałem wszelkimi sposobami, jakie tylko przychodziły mi do głowy, to opóźnić, ale daremnie. Raport został wysłany przez specjalnego posłańca na wschód i Cycero, czekając na odpowiedź od wielkiego człowieka, zabrał się do redagowania i wydawania mów, które wygłosił podczas spisku Katyliny. Zamieszczał w nich wiele pompatycznych fragmentów o sobie, zwłaszcza w przemówieniu, które wygłosił na rostrach w dniu aresztowania spiskowców. Byłem już tak tym zaniepokojony, że pewnego rana, gdy Attyk wychodził z domu, odciągnąłem go na bok i przeczytałem mu kilka akapitów.

„Dzień, w którym zostajemy ocaleni, jest według mnie tak promienny i radosny jak dzień naszych narodzin. I jak dziękujemy bogom za zesłanie człowieka, który założył to miasto, tak wy i wasi potomkowie będziecie mogli czcić człowieka, który je uratował”.

– Co?! – wykrzyknął Attyk. – Nie pamiętam, żeby coś takiego powiedział.

– Bo nie powiedział – odparłem. – Byłoby niedorzecznością, gdyby w takiej chwili porównywał się do Romulusa. A posłuchaj, panie, tego. – Ściszyłem głos i rozejrzałem się, aby sprawdzić, czy Cyclerona nie ma w pobliżu. – „W uznaniu tak wielkich zasług, obywatelu, nie będę od was oczekiwał żadnej nagrody za męstwo, żadnych wyróżnień, żadnych pomników na moją cześć; chcę tylko, aby ten dzień został zapamiętany po wsze czasy i abyście dziękowali bogom nieśmiertelnym za to, że znaleźli się w tym momencie naszej historii dwaj ludzie, ten, który przesunął granice waszego imperium nie tylko na krańce ziemi, ale i nieba, oraz ten, który ocalił serce tegoż imperium...”.

– Pokaż mi to – zażądał Attyk.

Wyrwał mi zwój z rąk i przeczytał mowę, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Porównywanie się do Romulusa to jeszcze nic, ale porównywanie się do Pompejusza...! Byłoby wystarczająco niebezpieczne, gdyby ktoś inny powiedział to o nim, ale żeby sam mówił tak o sobie...? Miejmy nadzieję, że Pompejusz się o tym nie dowie.

– Ale tak się stanie.

– Dlaczego?

– Bo dostałem polecenie, żeby wysłać mu kopię. – Znowu sprawdziłem, czy nikt nas nie słyszy. – Wybacz mi, panie, że zajmuję się czymś, co do mnie nie należy – dodałem – ale coraz bardziej się o niego martwię. Nie jest sobą od czasu tamtej egzekucji. Żle sypia, nie chce nikogo słuchać, a mimo to nie potrafi spędzić sam zaledwie godziny. Myślę, że tak podziałał na niego widok martwych spiskowców... wiesz, panie, jaki ma delikatny żołądek.

– To nie żołądek daje mu się we znaki, ale sumienie. Gdyby

czepał satysfakcję z tego, co zrobił, nie czułby potrzeby ciągle go uzasadniania swoich racji.

Była to przenikliwa uwaga i teraz, z perspektywy czasu, jeszcze bardziej żał mi Cyclerona niż wtedy, bo musiał się czuć bardzo samotny, gdy z takim mozołem wznosił własny pomnik. Ale szczytem jego szaleństwa okazał się nie ten chełpliwy list do Pompejusza ani nieustanne przechwałki czy poprawianie mów, lecz kupno domu.

Cycero nie był pierwszym politykiem i na pewno nie będzie ostatnim, który sprawił sobie dom przekraczający jego możliwości finansowe. W jego przypadku była to ta zabita deskami rezydencja na Palatynie, obok domu Celera przy Clivus Victoriae, którą zauważył, gdy poszedł przekonać pretora, aby objął dowództwo armii w walce z Katyliną. Należała do Krassusa, ale przedtem stanowiła własność wyjątkowo bogatego trybuna Marka Liwiusza Druzusa. Jej budowniczy, jak głosiła wieść, obiecał Druzusowi, że postara się, aby nikt z sąsiadów nie mógł go podglądać.

– Przeciwnie – odparł Druzus – raczej zbuduj ją tak, żeby wszyscy współobywatele widzieli, co robię.

I tak właśnie to wyglądało: rezydencja stała na szczycie wzgórza, wysoka, rozległa i pretensjonalna, doskonale widoczna z każdego zakątka forum i Kapitolu. Po jednej stronie znajdował się dom Celera, a po drugiej duży ogród publiczny i portyk, który wzniosł ojciec Katulusa. Nie wiem, kto podsunął Cycleronowi pomysł kupienia tej willi. Sądzę, że mogła to być Klodia. Z całą pewnością powiedziała mu któregoś wieczoru na ucztach, że dom jest wciąż do kupienia i „byłoby bardzo zabawnie”, gdyby Cycero został jej sąsiadem. Oczywiście, to wystarczyło, żeby Terencja od razu się temu sprzeciwiła.

– Ten dom jest zbyt nowoczesny i wulgarny – oświadczyła.
– Stanowi wyobrażenie parweniusza, jak powinien żyć nobil.

– Jestem ojcem ojczyzny. Ludziom spodoba się myśl, że jak ojciec czuwać nad nimi z góry. Zaslugujemy na to, aby mieszkać wśród Klaudiuszów, Emiliuszów Skaurusów, Metellusów... Cynceronowie są teraz znanym rodem. Poza tym sądziłem, że nie znosisz naszego obecnego domu.

– Nie jestem przeciwna przeprowadzce, mężu; nie chcę tylko przenieść się tam. Zresztą czy stać cię na taki zakup? Ta willa należy do największych w Rzymie... musi być warta co najmniej dziesięć milionów.

– Pójdę do Krassusa i porozmawiam z nim. Może odstąpi mi ją taniej.

Dom, w którym mieszkał sam Krassus, również stał na Pałacyńcu, ale wydawał się z zewnątrz dziwnie skromny, zwłaszcza jak na człowieka posiadającego rzekomo osiem tysięcy amfor wypełnionych srebrnymi monetami. Rezydował on w nim z liczydłem i swoimi księgami rachunkowymi, w otoczeniu niewolników i wyzwolenców, którzy prowadzili jego interesy. Towarzyszyłem Cynceronowi, gdy poszedł się z nim zobaczyć, i po krótkiej wstępnej rozmowie o sytuacji politycznej mój pan przeszedł do sprawy domu Druzusa.

– Chcesz go kupić? – zapytał Krassus, nagle czujny.

– Być może. A ile kosztuje?

– Czternaście milionów.

– Och! Obawiam się, że to dla mnie za drogo.

– Sprzedam ci go za dziesięć milionów.

– To wspaniałomyślna oferta, ale wciąż przekracza moje możliwości.

– Osiem?

– Nie, doprawdy, Krassusie... doceniam to, ale nie powinienem być w ogóle poruszać tego tematu. – Cyncero wstał z krzesła.

– Sześć? – zaproponował Krassus. – Cztery?

Cyncero usiadł.

- Mógłbym wysupłać trzy.
- To może staniemy na trzech i pół?

Później, gdy wracaliśmy do domu, próbowałem delikatnie zwrócić mu uwagę, że kupno takiego domu za jedną czwartą jego wartości nie zrobi dobrego wrażenia na wyborcach. Zwęszają w tym coś podejrzanego.

– A kto by się przejmował wyborcami? – odparł Cyncero. – Nie mogę stanąć do wyborów konsularnych przez następnych dziesięć lat, choćbym wychodził ze skóry. Poza tym nikt nie musi wiedzieć, ile za niego zapłaciłem.

– Ktoś się dowie – ostrzegłem go.

– Na bogów, przestaniesz mnie w końcu pouczać, jak mam żyć? Nie dość, że stale słyszę to od żony, to jeszcze muszę wysłuchiwać od sekretarza! Czy nie zasłużyłem wreszcie na trochę luksusu? Połowa tego miasta obróciłaby się w popiół, gdyby nie ja! To mi przypomina... czy dostaliśmy już odpowiedź od Pompejusza?

– Nie – odparłem, pochylając głowę.

Nie wracałam już do tej sprawy, ale wciąż się niepokoiłem. Byłem pewien, że Krassus będzie chciał czegoś w zamian; a może tak nienawidził Cyncerona, że chciał wywołać wśród ludzi zawiść i niechęć do niego? W skrytości ducha liczyłem, że Cyncero za dzień lub dwa się opamięta, choćby dlatego, że jak wiedziałem, nie miał trzech i pół miliona sestercji ani żadnego majątku tej wartości. On jednak zawsze uważał, że to dochód należy dostosowywać do wydatków, a nie odwrotnie. Pragnął przeprowadzić się na Clivus Victoriae, żeby znaleźć się w panteonie największych rodów republiki, i postanowił zdobyć pieniądze. Wkrótce wpadł na pomysł, skąd je weźmie.

Niemal codziennie na forum toczył się proces kogoś z ocalałych spiskowców. Autroniusz Peius, Kasjusz Longinus, Marek Leka, dwaj niedoszli zabójcy Warguntejusz i Korneliusz oraz inni przewijali się przed trybunałem w ponurej procesji. Cyncero

w każdej z tych spraw był świadkiem oskarżenia, a ponieważ cieszył się teraz wielkim poważaniem, wystarczyło jedno jego słowo, aby przekonać sędziów. Oskarżeni jeden po drugim byli uznawani za winnych – choć, na ich szczęście, nie groziła im już kara śmierci, bo minęło bezpośrednie zagrożenie dla państwa. Jednakże każdego z nich pozbawiano obywatelstwa oraz majątku i zsyłano na wygnanie. Spiskowcy i ich rodziny bali się więc i nienawidzili Cyncerona bardziej niż kiedykolwiek, przez co musiał nadal chodzić wszędzie w otoczeniu eskorty.

Być może najbardziej oczekiwano procesu Publiusza Korneliusza Sulli, który tkwił w spisku po uszy. Gdy nadszedł termin rozprawy, u Cyncerona zjawił się jego obrońca – oczywiście Hortensjusz.

– Mój klient pragnie cię o coś prosić – zaczął.

– Tylko mi nie mów, że chce, abym nie zeznawał przeciwko niemu.

– Owszem. Jest niewinny i zawsze miał wielki respekt...

– Och, oszczędź mi tej hipokryzji. Jest winny i dobrze o tym wiesz. – Cyncero przyjrzał się pozbawionej wyrazu twarzy Hortensjusza, jakby się nad czymś zastanawiał. – Choć możesz mu powiedzieć, że w tym wypadku gotów jestem trzymać język za zębami... pod jednym warunkiem.

– To znaczy?

– Że da mi milion sestereji.

Jak zwykle zapisywałem przebieg rozmowy, ale muszę powiedzieć, że ręka odmówiła mi posłuszeństwa, gdy to usłyszałem. Nawet Hortensjusz, którego po trzydziestu latach praktyki adwokackiej w Rzymie mało co dziwiło, wydawał się zaskoczony. Odszedł jednak, spotkał się z Sullą i wrócił jeszcze tego samego dnia.

– Mój klient ma inną propozycję. Jeśli się zgodzisz wygłosić w jego obronie mowę końcową, zapłaci ci dwa miliony.

– Zgoda – odparł Cyncero bez chwili wahania.

Nie ma wątpliwości, że gdyby Cyncero nie poszedł na tę ugodę, Sulla zostałby skazany na wygnanie jak cała reszta; mówiono nawet, że już wysłał dużą część swego majątku za granicę. Kiedy więc w dniu rozpoczęcia rozprawy Cyncero pojawił się i zasiadł na ławie obrońców, oskarżyciel, Torkwatus – dawny jego sprzymierzeniec – ledwie mógł opanować wściekłość i zawód. Później, w mowie końcowej, ostro zaatakował Cyncerona: oskarżył go, że stał się tyranem, że mianował się sędzią i trybunałem sędziowskim jednocześnie, że jest trzecim obcym królem Rzymu, po Tarkwiniuszu i Numie. Przykro było tego słuchać, a co gorsza, jego słowa wywołały pewien aplauz wśród widowni na forum. Ta demonstracja nastrojów przebiła się nawet przez pancerz pewności siebie Cyncerona i kiedy z kolei przyszła pora na jego mowę końcową, wygłosił nawet coś w rodzaju przeprosin.

– Tak – powiedział. – Rzeczywiście, chyba za sprawą moich dokonań stałem się zbyt dumny i zrodziła się we mnie pewna arogancja. Ale też ze względu na te wspaniałe i nieśmiertelne dokonania mogę powiedzieć jedno: zostanę hojnie wynagrodzony za ocalenie tego miasta i jego obywateli, jeśli nie spotka mnie nic złego za ową wielką przysługę wyrządzoną ludzkości. Na forum bowiem wciąż jest pełno tych, którzy dzięki mnie już nie poderzną wam gardel, ale moje gardło jest nadal zagrożone.

Mowa okazała się przekonująca i Sulla zgodnie z planem został uniewinniony. Cyncero powinien był jednak zwrócić większą uwagę na oznaki nadchodzącej burzy. Niestety, był zbyt pochłonięty zbieraniem pieniędzy na kupno nowego domu i szybko zapomniał o tym incydencie. Brakowało mu już tylko półtora miliona sestercji, więc zwrócił się do lichwiarzy. Ci zażądali zabezpieczenia i dlatego – w zaufaniu – powiedział co najmniej

dwom z nich o swojej umowie z Hybrydą: że spodziewa się części dochodów z Macedonii. To wystarczyło, żeby udzielili mu pożyczki, i pod koniec roku wprowadziliśmy się do rezydencji przy Clivus Victoriae.

Dom prezentował się równie wspaniale w środku, jak z zewnątrz. W jadalni znajdował się kasetonowy sufit ze złożonymi krokwiemi. W korytarzu stały złote posągi przedstawiające młodych mężczyzn, którzy w wyciągniętych rękach mieli trzymać płonące pochodnie. Cyncero zamienił swój ciasny gabinet, w którym spędziliśmy tak wiele pamiętnych godzin, na piękną bibliotekę. Nawet ja dostałem większy pokój, w którym wcale nie czuło się wilgoci, mimo że znajdował się poniżej poziomu gruntu, i który miał małe zakratowane okienka; dochodził przez nie zapach kwiatów z ogrodu i poranny śpiew ptaków. Wolałbym, oczywiście, otrzymać wolność i własny skrawek ziemi, ale Cyncero nigdy o tym nie wspominał, a ja byłem zbyt lękliwy – i w dziwny sposób zbyt dumny – żeby o to poprosić.

Gdy już złożyłem w pokoju mój skromny dobytek i znalazłem kryjówkę na oszczędzane pieniądze, dołączyłem do Cyncerona, który dokonywał obchodu posiadłości. Ścieżka z kolumnadą zaprowadziła nas do fontanny i letniego domku, a następnie pod pergolę i do ogrodu różanego. Na krzakach pozostało kilka pełnych, przekwitających już pąków; kiedy Cyncero wyciągnął rękę, żeby zerwać jeden z nich, posypały się płatki. Miałem wrażenie, że patrzy na nas całe miasto; czułem się tym skrępowany, ale taka była cena za rozciągającą się stąd panoramę, naprawdę zdumiewającą. Za świątynią Kastora widać było rostra, a za nimi sam budynek senatu, jeśli zaś spojrzano się w przeciwną stronę, można było nawet dostrzec tyły oficjalnej rezydencji Cezara.

– Udało mi się wreszcie – zauważył Cyncero, patrząc z lekkim uśmieszkiem w tamtym kierunku. – Mam okazalszy dom niż on.

Święto Dobrej Bogini przypadało jak zwykle czwartego dnia grudnia. Minął dokładnie rok od aresztowania spiskowców i zaledwie tydzień od przeprowadzki do naszej nowej siedziby. Cycero nie miał żadnych spraw w sądzie; obrady senatu były nudne. Powiedział mi, że choć raz nie będziemy musieli zejść do miasta. Popracujemy nad jego wspomnieniami.

Postanowił napisać jedną wersję swojej biografii po łacinie, dla przeciętnego czytelnika, i w grece, dla węższego grona. Chciał też namówić jakiegoś poetę, żeby opisał jego konsulat w poemacie epickim. Jego wybór padł na Archiasza, który wyświadczył podobną przysługę Lukullusowi, ale ten odniósł się do tej propozycji niechętnie; powiedział, że jest za stary, aby podjąć takiej doniosłej tematyce. Drugi z kandydatów Cyncerona, modny wtedy Thyillus, odparł skromnie, że jest tylko marnym wierszokletą, niegodnym tego zadania.

– Poeci! – narzekał Cycero. – Nie wiem, o co im chodzi. Historia mojego konsulatu to prawdziwa gratka dla kogoś, kto ma choćby odrobinę wyobraźni. Wszystko wskazuje na to – ciągnął ponuro i ten wstęp przepoił mnie lękiem – że sam będę musiał napisać ten poemat.

– Czy to aby mądre? – zapytałem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Poczułem, że oblewa mnie pot.

– Hm, cóż, nawet Achilles potrzebował swojego Homera. Jego historia nie miałaby prawdopodobnie... jak to powiedzieć...? Tego epickiego wydzwięku, gdyby przedstawił ją ze swojego punktu widzenia.

– Zeszłego wieczoru w łóżku znalazłem na to sposób. Mam zamiar opowiedzieć moją historię głosami bogów. Zrelacjonuję po kolei moją karierę, witając mnie jako nieśmiertelnika na Olimpie. – Zerwał się z miejsca i odchrząknął. – Pokażę ci, co mam na myśli:

*Ciebie, spośród nich wyrwanego, od wczesnej młodości
Wezwał kraj ojczysty do pięknej pracy publicznej.
Jednakże ty wypoczynkiem łagodząc kłopoty i troski
Czas wolny od służby ojczyźnie – nauce i nam poświęciłeś*.*

* Marcus Tullius Cicero, *O naturze bogów. O wróżbiarstwie. O przeznaczeniu*, przełożył Wiktor Kornatowski, Warszawa 1960, s. 243.

Na niebiosa, to było straszne! Bogowie by zapłakali, gdyby usłyszeli te wiersze. Ale kiedy Cycero był w nastroju, potrafił układać heksametr, jak murarz układa cegły: trzysta, czterysta, nawet pięćset wersów dziennie to była dla niego błahostka. Krążył po swojej wielkiej, przestronnej bibliotece i odgrywał rolę Jowisza, Minerwy oraz Uranii, a słowa płynęły z jego ust tak szybko, że nie nadążałem notować, mimo że posługiwałem się stenografią. Kiedy w końcu Sositeusz wszedł na palcach i oznajmił, że Klodiusz czeka na zewnątrz, muszę przyznać, że odetchnąłem z ulgą. Lecz był już dość późny ranek – co najmniej szósta godzina – a Cycero miał natchnienie, więc niemal odprawił gościa. Domyślał się jednak, że Klodiusz przynosi jakieś smakowite plotki, i ciekawość zwyciężyła. Kazał Sositeuszowi go wprowadzić i Klodiusz wszedł do biblioteki ze swoimi elegancko ułożonymi złotymi lokami, przystrzyżoną kozią bródką i brązową opalenizną, roztaczając woń olejku z krokusa. Miał już trzydzieści lat i był żonaty, latem poślubił bowiem piętnastoletnią dziedziczkę Fulwię, a w tym samym czasie wygrał wybory na urzędnika miejskiego. Małżeństwo nie sprawiło jednak, że stał się domatorem. Za posag żony kupił dużą rezydencję na Palatynie, ale wieczory młoda Fulwia spędzała w niej sama, gdyż on włóczył się jak dawniej po tawernach Subury.

– Sensacyjne wieści – zaczął Klodiusz. Uniósł palec z wypolerowanym paznokciem. – Tylko nikomu ani mru-mru.

Cycero gestem zaprosił go, żeby usiadł.

– Wiesz, jaki jestem dyskretny.

– Będziesz po prostu zachwycony – ciągnął Klodiusz i usiadł. – To wiadomość dnia.

– Mam nadzieję, że nie przesadzasz.

– Nie. – Klodiusz z zadowoleniem pogładził swoją bródkę.

– Strażnik Ziemi i Wód się rozwodzi.

Cycero siedział rozparty na krześle z półuśmiechem na twarzy, jak zwykle gdy gawędził z Klodiuszem. Teraz jednak powoli się wyprostował.

– Jesteś tego pewny?

– Właśnie dowiedziałem się od twojej najbliższej sąsiadki, mojej drogiej siostry... która przy okazji przesyła ci pozdrowienia... dostała tę wiadomość zeszłego wieczoru, przez specjalnego posłańca, od swojego męża, czyli Celera. Pompejusz, zdaje się, napisał do Mucji, żeby wyprowadziła się z domu do czasu jego powrotu.

– A kiedy on wraca?

– Za kilka tygodni. Jego flota zbliża się do Brundisium. Może już nawet przybił do brzegu.

Cycero gwizdnął cicho.

– Więc wreszcie powrócił do kraju. Po sześciu latach nieobecności. Już myślałem, że nigdy więcej go nie zobaczę.

– Chyba raczej miałeś nadzieję.

Była to bezczelność ze strony Klodiusza, ale Cycero myślał o zbliżającym się powrocie Pompejusza i nie zwrócił na to uwagi.

– Jeśli się rozwodzi, to znaczy, że chce się ożenić z kimś innym. Czy Klodia wie, o kogo może chodzić?

– Nie, wie tylko, że Mucja wylatuje za drzwi na pysk, a dzieci zostają z Pompejuszem, choć prawie ich nie zna. Jej bracia, jak możesz sobie wyobrazić, są oburzeni. Celer uważa, że to zdrada. Nepos węszy w tym coś więcej. Klodii oczywiście wydaje się to bardzo zabawne. Ale nie ulega wątpliwości, że to

zniewaga, zwłaszcza po tym, co dla niego zrobili... żeby wyrzucić ich siostrę na bruk za cudzołóstwo!

– A dopuściła się cudzołóstwa?

– Czy dopuściła się cudzołóstwa?! – Klodiusz nagle zachichotał piskliwie. – Mój drogi Cynceronie, ta suka wyciera się po wszystkich łózkach i rozkłada nogi od chwili, gdy wyjechał! Tylko mi nie mów, że jej nie miałeś. W takim razie musisz być jedynym mężczyzną w Rzymie.

– Jesteś pijany? – zapytał ostro Cyncero. Pochylił się ku niemu i pociągnął nosem, a potem się skrzywił. – A owszem, bądź przeklęty! Radzę ci, wracaj do domu i wytrzeźwiej, a w przyszłości pamiętaj o manierach.

Przez chwilę miałem wrażenie, że Klodiusz go uderzy. Ale potem prychnął i zaczął szyderczo kręcić głową.

– Och, jestem okropnym człowiekiem. Okropnym, okropnym człowiekiem...

Wyglądał tak komicznie, że Cyncero zapomniał o gniewie i zaczął śmiać się razem z nim.

– Idź już – powiedział. – Idź i wygłupiaj się gdzie indziej.

Taki był Klodiusz, zanim się zmienił: kapryśny, zepsuty, czarujący młodzieniec.

– Ten chłopiec mnie bawi – zauważył Cyncero, gdy młody patrycjusz wyszedł. – Choć nie mogę powiedzieć, żebym go lubił. Mimo to – dodał – gotów jestem wybaczyć zuchwałość komuś, kto przynosi tak intrygujące wieści.

Od tej chwili był zbyt zajęty dociekaniem, co oznacza powrót Pompejusza, aby powrócić do pisania poematu. Przynajmniej za to byłem Klodiuszowi wdzięczny – i przez resztę dnia nie myślałem już o jego wizycie.

Kilka godzin później do biblioteki przyszła Terencja, żeby pożegnać się z mężem. Wychodziła na nocne obrzędy ku czci

Dobrej Bogini i miała wrócić dopiero następnego rana. Stosunki między nią a Cyceronem były chłodne. Mimo że jej prywatne pokoje na górze były bardzo eleganckie, nienawidziła tego domu, a szczególnie denerwowały ją nocne wizyty gości w salonie Klodii, prowadzącej swobodny tryb życia, i bliskość hałaśliwych tłumów na forum, które gapiły się na nią za każdym razem, gdy ze służącymi wychodziła na taras. Aby ją udobruchać, Cycero, wbrew swoim zwyczajom, starał się być dla niej niezwykle miły.

– A gdzie tej nocy będzie czczona Dobra Bogini? – zapytał.
– Jeśli mężczyźnie można zdradzić taką informację? – dodał.

(Obrzędy odbywały się zawsze w domu najwyższego urzędnika, którego żona była odpowiedzialna za ich organizację; małżonki konsulów urzęduwały je na zmianę).

– U Cezara.
– Pod przewodnictwem Aurelii?
– Nie, Pompei.
– Ciekawe, czy przybędzie Mucja.
– Chyba tak. Dlaczego miałyby nie przybyć?
– Może będzie wstydziła się pokazać.
– A dlaczegóż to?
– Zdaje się, że Pompejusz się z nią rozwodzi.
– Niemożliwe? – Terencja nie mogła ukryć zaciekawienia. – Skąd to wiesz?

– Klodiusz właśnie tu był i mi powiedział.
Natychmiast z dezaprobatą zacisnęła usta w wąską kreskę.
– Więc raczej to tylko plotki. Doprawdy, powinieneś staranniej dobrać sobie towarzystwo.
– Będę sobie dobiarał, jakie zechcę.
– Nie mam co do tego wątpliwości, ale czy musisz mieszać w to i nas? Nie wystarczy, że mieszkamy w sąsiedztwie jego siostry? Jeszcze jej brat musi przychodzić pod nasz dach?

Odwróciła się bez pożegnania i odeszła po marmurowej podłodze. Cyncero skrzywił się, robiąc minę za jej plecami.

– Stary dom stał za daleko od wszystkich, nowy stoi za blisko. Masz szczęście, Tironie, że nie jesteś żonaty.

Miałem ochotę odpowiedzieć, że jeśli o to chodzi, nie dano mi wyboru.

Przed kilkoma tygodniami Attyk zaprosił Cyncerona na ucztę, która miała się odbyć tego wieczoru. Kwintus też dostał zaproszenie; o dziwo, ja również: nasz gospodarz chciał, żeby nasza czwórka spotykała się raz do roku w tym samym miejscu i o tej samej porze i świętowała ocalenie – nas samych i Rzymu. Cyncero i ja zjawiliśmy się u niego po zapadnięciu zmroku. Kwintus już przybył. Ale choć jedzenie i wino były dobre, a biblioteka stanowiła otoczenie sprzyjające rozmowie na ciekawy temat, jakim była najnowsza plotka o rozwodzie Pompejusza, spotkanie nie należało do udanych. Wszyscy mieli kiepskie humory. Cyncero był wytrącony z równowagi starciem z Terencją i niepokoił go powrót Pompejusza. Kwintus, który niebawem miał złożyć urząd pretora, tonął w długach i martwił się, jaka prowincja przypadnie mu w udziale podczas zbliżającego się losowania. Nawet Attyk, którego epikurejskiej pogody ducha zazwyczaj nie zakłócały sprawy tego świata, czymś się gryzł. Jak zwykle udzielił mi się ich nastroj i odzywałem się tylko wtedy, gdy mnie o coś pytano. Wypiliśmy za doniosłe wydarzenia czwartego grudnia, ale Cyncero po raz pierwszy nie miał ochoty na wspomnienia. Nagle czczenie śmierci pięciu ludzi, choćby podłych, wydało się czymś niestosownym. Przeszłość rzuciła na nas cień i rozmowa zamarła. W końcu Attyk oznajmił:

– Myślę o powrocie do Epiru.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Kiedy? – zapytał cicho Cyncero.

– Zaraz po Saturnaliach.

– Wcale nie myślisz o powrocie – zauważył Kwintus z nieprzyjemną nutą w głosie – już podjąłeś decyzję. I powiadamasz nas o niej.

– Dlaczego chcesz wyjechać? – spytał Cyncero.

Attyk obracał w palcach nóżkę kielicha.

– Wróciłem do Rzymu dwa lata temu, żeby pomóc ci podczas wyborów. Zostałem tu, żeby cię wspierać. Ale teraz, gdy wszystko się ułożyło, już chyba mnie nie potrzebujesz.

– Ależ potrzebuję – sprzeciwił się Cyncero.

– Poza tym prowadzę tam interesy, którymi powinienem się zająć.

– Aha – rzucił Kwintus, patrząc w głąb kieliszka. – Interesy. No to dotarliśmy do sedna sprawy.

– Co masz na myśli?

– Nic.

– Nie, proszę... powiedz, co ci leży na sercu.

– Daj spokój, Kwintusie – ostrzegł go Cyncero.

– Nic takiego – odparł ten. – Oprócz tego, że Marek i ja bierzemy na siebie całe ryzyko związane z życiem publicznym, wykonujemy czarną robotę, a ty jeździsz sobie z jednej posiadłości do drugiej i dbasz o interesy. Świetnie prosperujesz dzięki stosunkom z nami, a my wciąż nie mamy pieniędzy. To wszystko.

– Ależ kariera publiczna daje wam wiele satysfakcji! Macie sławę i władzę, zostaniecie zapamiętani przez potomnych, podczas gdy ja jestem nikim.

– Nikim! Nikt, a zna wszystkich! – Kwintus pociągnął następny łyk wina. – Chyba nie mam co liczyć, że zabierzesz do Epiru swoją siostrę, co?

– Kwintusie! – zawołał Cyncero.

– Jeśli jesteś nieszczęśliwy w małżeństwie – odparł łagodnie Attyk – to bardzo mi przykro. Ale to nie moja wina.

– I znowu wracamy do tego samego punktu – zauważył Kwintus. – Tobie udało się nawet uniknąć małżeństwa! Klnę się

na bogów, ten człowiek posiadał tajemnicę życia! Dlaczego nie masz też żadnych domowych trosk jak reszta z nas?

– Wystarczy tego – orzekł Cyncero i wstał. – Powinniśmy cię opuścić, Attyku, zanim padną dalsze słowa, których będziemy potem żałować. Kwintusie? – Wyciągnął rękę do brata, który zmarszczył brwi i odwrócił wzrok. – Kwintusie! – Cyncero powtórzył gniewnie i ponownie podał mu dłoń. Kwintus niechętnie zwrócił ku niemu głowę, spojrzał na niego i przez moment dostrzegłem taki błysk nienawiści w jego oczach, że aż zaparło mi dech w piersiach. Potem jednak rzucił serwetkę i wstał. Zachwiał się lekko na nogach i niemal upadł na stół, ale chwyciłem go pod ramię i odzyskałem równowagę. Wytoczył się z biblioteki i ruszyliśmy za nim do atrium.

Cyncero wezwał wcześniej lektykę, którą mieliśmy wrócić do domu, ale teraz nalegał, żeby Kwintus z niej skorzystał.

– Jedź do siebie, bracie. My się przejdziemy.

Pomogliśmy mu wsiąść do lektyki i Cyncero polecił tragarzom, żeby zanieśli ją do naszego starego domu na Eskwilinie, obok świątyni Tellus, do którego Kwintus się przeniósł po wyprowadzce Cyncerona. Kwintus zasnął, zanim jeszcze lektyka ruszyła. Gdy patrzyliśmy za nią, uświadomiłem sobie, że nie jest łatwo być młodszym bratem geniusza i że wszystkie decyzje, jakie Kwintus podejmował w życiu – o karierze, miejscu zamieszkania, nawet wyborze żony – związane były z osobą błyskotliwego, ambitnego Cyncerona, który zawsze potrafił go na coś namówić.

– On nie miał nic złego na myśli – powiedział Cyncero do Attyka. – Martwi się o przyszłość, to wszystko. Gdy senat rozstrzygnie, które prowincje wezmą udział w losowaniu, i Kwintus dowie się, dokąd pojedzie, odzyska równowagę.

– Pewnie masz rację. Ale obawiam się, że wierzy w część tego, co powiedział. Mam tylko nadzieję, że nie mówił w twoim imieniu.

– Drogi przyjacielu, doskonale zdaję sobie sprawę, że straciłeś na naszej znajomości znacznie więcej, niż na niej zyskałeś. Po prostu wybraliśmy inne drogi życiowe, i tyle. Ja zawsze marzyłem o karierze politycznej, podczas gdy ty wolałeś niezależność, ale kto ma ocenić, który z nas wybrał lepiej? Natomiast jeśli chodzi o przymioty, które naprawdę się liczą, nie ma od ciebie szlachetniejszego człowieka, sam ustawiam się za tobą. Czy wyjaśniliśmy sobie wszystko?

– Tak, wszystko.

– I przyjdiesz mnie odwiedzić przed wyjazdem, a później będziesz często do mnie pisywał?

– Obiecuję.

Po tych słowach Cycero ucałował go w policzek i dwaj przyjaciele się rozstali; Attyk wrócił do swojego pięknego domu ze wspaniałym księgozbiorem i innymi skarbami, a były konsul w towarzystwie eskorty powlókł się stokiem wzgórza w stronę forum. W kwestii mądrego życia i kierowania nim – jeśli o mnie chodzi, czysto teoretycznej – cała moja sympatia była po stronie Attyka. Wydawało mi się wtedy – i wydaje nadal, może nawet bardziej – że dążenie do władzy to szaleństwo, jeśli można siedzieć w słońcu i czytać książkę. Wiem też, że nawet gdybym urodził się jako człowiek wolny, nie miałbym tych ambicji, bez których nie powstałoby żadne miasto, ale i żadne też nie zostałyby zniszczone.

Tak się złożyło, że w drodze powrotnej do domu mijaliśmy sceny wszystkich triumfów Cyclerona, i mój pan zamilkł; niewątpliwie rozmyślał o rozmowie z Attykiem. Przeszliśmy obok zamkniętego, pustego budynku senatu, gdzie wygłosił tyle pamiętnych mów; obok rostrów z ich posągami bohaterów, skąd przemawiał do tysięcznych tłumów Rzymian; i wreszcie obok świątyni Kastora, gdzie przedstawiał swoją sprawę w sądzie do spraw wymuszeń podczas długiej batalii sądowej przeciwko Werresowi, u zarania swojej kariery. Te wspaniałe budowle

publiczne i pomniki, tak ciche i potężne w ciemnościach, wydały mi się tego wieczoru ulotne jak powietrze. W oddali słyszeliśmy głosy, od czasu do czasu dobiegały nas jakieś szmery, ale były to tylko szczury buszujące w stosach śmieci.

Opuściliśmy forum i zobaczyliśmy przed sobą tysiące świateł na Palatynie, które wyznaczały sylwetkę wzgórza – żółte błyski pochodni i piecyków na tarasach, płomyczki świec i lamp w oknach pośród drzew. Nagle Cycero się zatrzymał.

– Czy to nie nasz dom? – zapytał i wskazał podłużne skupisko świateł. Podążyłem wzrokiem za jego wyciągniętą ręką i odparłem, że chyba tak. – Ale to dziwne – zauważył. – Świeci się w większości pokoi. Czyżby Terencja już wróciła?

Szybko wspięliśmy się na wzgórze.

– Jeśli wyszła z uroczystości – rzucił przez ramię zdyszany Cycero – to nie z własnej woli. Coś musiało się stać. – Prawie biegł ulicami w stronę domu i zastukał do drzwi. Weszliśmy do środka i zastaliśmy Terencję w atrium; stała w otoczeniu służących i innych kobiet, które na widok Cycerona rozbiegły się jak spłoszone ptactwo domowe. Znowu miała na sobie płaszcz, który przytrzymywała wysoko przy szyi, żeby zasłonić święte szaty.

– Terencjo? – zapytał, podchodząc do niej. – Co się stało? Nic ci nie jest?

– Mnie nic – odparła, ale głos miała zimny, drżący z gniewu. – To Rzym jest chory!

To, że tak wiele krzywdy wyniknęło z tak śmiesznego epizodu, bez wątplenia wyda się przyszłym pokoleniom absurdalne. Prawdę mówiąc, już wtedy się takie wydawało, jak wiele przypadków obraży moralności. Jednakże życie ludzkie jest dziwaczne i nieprzewidywalne. Bywa, że z powodu jakiegoś żartownisia ktoś siada na jajku, a wynika z tego tragedia.

Fakty były takie. Terencja zrelacjonowała je tego wieczoru Cycleronowi i nikt potem ich nie kwestionował. Przybyła do rezydencji Cezara i powitała ją służąca Pompei, Abra – dziewczyna wątpliwej cnoty, podobnie jak pani, u której służyła, i pan, jeśli o to chodzi, choć jego oczywiście wtedy tam nie było. Abra zaprowadziła Terencję do głównej części domu, gdzie czekały już Pompeja, gospodyni wieczoru, i westalki, wraz z matką Cezara, Aurelią. W ciągu godziny przybyła większość żon wyższych urzędników rzymskich i rozpoczęto obrzędy. Na czym polegały, tego Terencja nie mogła zdradzić; powiedziała tylko, że dom był pogrążony w ciemnościach, gdy nagle dały się słyszeć krzyki. Kobiety pobiegły w ich kierunku i znalazły jedną z wyzwolenic Aurelii w ataku hysterii. Nieszczęsna pomiędzy szlochami wydusiła z siebie, że ktoś dostał się do domu. Myślała, że to kobieta grająca na lirze, ale gdy podeszła do niej, zorientowała się, że to mężczyzna w przebraniu! Wtedy Terencja zauważyła, że zniknęła Pompeja.

Aurelia natychmiast opanowała sytuację. Nakazała przykryć wszystkie święte przedmioty, zamknąć drzwi na klucz i pilnować ich. Potem wraz z kilkoma odważnymi kobietami, wśród których znalazła się Terencja, rozpoczęła przeszukiwanie domu. Po jakimś czasie, w sypialni Pompei, odkryły zawołowaną postać w damskim stroju, która kryła się z lirą za zasłoną. Zaczęły ją gonić po schodach, a potem pobiegły za nią do jadalni. Tam intruz potknął się o sofę i spadł mu welon. Niemal wszystkie go rozpoznały. Zgolił swoją bródkę i umalował się różem, węglem i szminką, ale to nie wystarczyło, żeby zamaskować dobrze znane chłopięce rysy Publiusza Klodiusza Pulchera – „twojego przyjaciela Klodiusza”, jak gorzko rzuciła pod adresem Cyclerona Terencja.

Klodiusz, który okazał się pijany, zrozumiał, że został zde-maskowany, więc wskoczył na stół w jadalni i zadarł tunikę, obnażając się przed zebranymi, łącznie z westalkami, i wreszcie,

gdy kobiety zaczęły krzyczeć i mdleć, wybiegł z pokoju i uciekł z domu przez okno kuchenne. Wtedy pojawiła się Pompeja, razem z Abra, i Aurelia oskarżyła swoją synową i jej służącą o świętokradztwo. Obie wypierały się ze łzami, ale najstarsza westalka oświadczyła, że ich protesty są bez znaczenia; doszło do świętokradztwa, trzeba zakończyć święte obrzędy i wszystkie uczestniczki muszą natychmiast wrócić do domów.

Tak brzmiała opowieść Terencji; Cycero słuchał z niedowierzaniem, niesmakiem i ledwie powściąganym rozbawieniem. Oczywiście, publicznie i w obecności Terencji musiał wyrazić oburzenie – to była zniewaga, zgadzał się z nią całkowicie – ale w głębi ducha uważał, że to najzabawniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszał. Szczególnie wizja Klodiusza demonstrującego swoją męskość przerażonym matronom, najsurowszym z Rzymianek, tak go rozbawiła, że popłakał się ze śmiechu. Jeśli chodzi o aspekt polityczny, był zdania, że Klodiusz okazał się niepoprawnym głupcem – „na bogów, ma już trzydzieści lat, a nie trzynaście” – i że jego kariera urzędnicza, która dopiero się zaczęła, jest już skończona. Podejrzał też, ku swojej radości, że kłopoty może mieć sam Cezar; skandal wydarzył się w jego domu, dotyczył jego żony, a to musiało wyrzucić złe wrażenie.

W takim duchu Cycero udał się następnego rana do senatu, rok po debacie nad losem spiskowców. Wielu starszych rangą senatorów dowiedziało się już od żon o tym, co zaszło, i gdy stali na senaculum, czekając na wynik wróżb, o niczym innym nie rozmawiali, przynajmniej do czasu, gdy Cycero zakończył swój obchód. Ojciec ojczyzny wędrował bowiem od grupki do grupki z poważnym, świątobliwym wyrazem twarzy i ze splecionymi pod togą ramionami, kręcił głową i z odrazą opowiadał o profanacji tym, którzy jeszcze o niej nie słyszeli.

– Och – dodawał na końcu, zerkając na drugą stronę senaculum – biedny Cezar... to musi być dla niego okropny wstyd.

I Cezar, młody kapłan najwyższy, rzeczywiście wydawał się błądy i przybity, gdy tak stał samotnie tego ponurego grudniowego dnia; był na dnie. Jego pretura, mająca się ku końcowi, nie przyniosła mu uznania; w pewnym momencie nawet został zawieszony w tej funkcji i miał szczęście, że nie postawiono go przed sądem jak innych popleczników Katyliny. Z niecierpliwością czekał na rozstrzygnięcie, którą dostanie prowincję; zależało mu na jak najbogatszej, gdyż był mocno zadłużony u lichwiarzy. A teraz jeszcze wybuchła ta afera z Pompeją i Klodiuszem, która go ośmieszyła. Można mu było nawet współczuć, gdy tak patrzył swoim bystrym wzrokiem, jak Cycero obchodzi senaculum i dzieli się ze wszystkimi najnowszą plotką. On, który stale przyprawia rogi innym, stał się rogaczem! Ktoś inny nie pokazywałby się w senacie przez dzień czy dwa, ale to nie było w stylu Cezara. Kiedy odczytano wróżby, wszedł do izby i usiadł na ławie pretorów, dwa miejsca od Kwintusa, gdy tymczasem Cycero dołączał do pozostałych ekskonsulów po przeciwnej stronie przejścia.

Obrady ledwie się zaczęły, gdy z miejsca zerwał się były pretor Kornificjusz, który uważał się za strażnika moralności i czystości religijnej, i zażądał podjęcia debaty na temat „haniebnych, niemoralnych” wydarzeń, do jakich podobno doszło w nocy w oficjalnej rezydencji kapłana najwyższego. Patrząc z perspektywy czasu, można by orzec, że wtedy właśnie nastąpił koniec Klodiusza. Nie osiągnął on jeszcze odpowiedniego wieku, żeby zająć miejsce w senacie. Ale szczęśliwie dla niego grudniowym sesjom przewodniczył jako konsul jego przybrany teść, Murena, i niezależnie od osobistego stosunku do tej sprawy, nie miał zamiaru jeszcze bardziej kompromitować rodziny.

– To nie jest kwestia podlegająca senatowi – oświadczył. – Jeśli rzeczywiście coś się stało, powinno to zbadać Kolegium Kapłańskie.

Na to wstał Katon; oczy płonęły mu z podniecenia na myśl o takim upadku obyczajów.

– W takim razie postuluję, żeby ta izba nakazała Kolegium Kapłańskiemu przeprowadzenie śledztwa i jak najszybsze zdanie nam raportu.

Murena nie miał innego wyjścia, jak poddać propozycję pod głosowanie, w którym ją zatwierdzono. Cycero powiedział mi wcześniej, że nie będzie się odzywał (niech Katon i inni robią swoje, jeśli mają ochotę; ja będę trzymał się od tego z daleka; to godniejsza postawa). Jednakże, kiedy przyszło co do czego, nie mógł sobie darować. Wstał z powagą i spojrzął prosto na Cezara.

– Ponieważ do rzekomego świętokradztwa doszło pod dachem samego kapłana najwyższego, mógłby on zaoszczędzić nam czekania na wynik śledztwa i powiedzieć, czy rzeczywiście zdarzyło się coś niewłaściwego, czy nie.

Cezar miał tak zaciętą minę, że nawet ja, ze swojego miejsca przy drzwiach – gdzie musiałem powrócić, gdy Cycero ustąpił ze stanowiska konsula – widziałem, jak drgały mu mięśnie szczęki, gdy wstawał, aby odpowiedzieć.

– Obrzędy na cześć Dobrej Bogini nie są sprawą kapłana najwyższego, który nawet nie może być podczas nich obecny. – I usiadł.

Cycero zrobił zdziwioną minę i wstał ponownie.

– Ależ ceremonii przewodniczyła chyba małżonka kapłana najwyższego? Powinien więc wiedzieć, co się stało. – Opadł na swoje miejsce.

Cezar wahał się przez moment, potem wstał i odpowiedział spokojnie:

– Ta kobieta nie jest już moją żoną.

Znowu w izbie rozległy się szepty podniecenia. Cycero wstał jeszcze raz. Teraz w jego głosie brzmiało prawdziwe zdziwienie.

– Można więc z tego wnosić, że zdarzyło się coś haniebnego?

– Wcale nie – odparł Cezar i usiadł znowu.

Cycero podniósł się kolejny raz.

– Jeśli nic haniebnego się nie zdarzyło, to dlaczego kapłan najwyższy miałby rozwodzić się z żoną?

– Ponieważ żona kapłana najwyższego musi być poza wszelkimi podejrzeniami.

W jego chłodnej, rzeczowej odpowiedzi można było wyczuć rozbawienie. Cycero więcej nie wstawał i dał znak Murenie, że nie chce dłużej drażyć tego tematu. Później, podczas drogi powrotnej do domu, powiedział do mnie nie bez nuty podziwu:

– To był przejaw największego okrucieństwa, jaki widziałem w senacie. Jak długo według twojej oceny Cezar i Pompeja byli małżeństwem?

– Sześć albo siedem lat.

– A mimo to jestem pewny, że zdecydował się na rozwód z nią w chwili, gdy zadałem mu to pytanie. Uznał, że to najlepszy sposób, aby nie dać się zapędzić w kozi róg. Trzeba mu przyznać... większość ludzi nie wyrzekłaby się tak łatwo nawet psa.

Pomyślałem ze smutkiem o pięknej Pompei; ciekaw byłem, czy wie, że jej mąż publicznie zakończył ich małżeństwo. Znając Cezara i sposób jego działania, przypuszczałem, że przed zapadnięciem nocy nie będzie jej już pod jego dachem.

Po powrocie do domu Cycero od razu udał się do biblioteki, aby uniknąć spotkania z Terencją, i położył się na sofie.

– Muszę posłuchać jakiegoś szlachetnego Greka, żeby strząsnąć z siebie brudy polityki – zauważył.

Sositeusz, który zazwyczaj mu czytał, był chory, więc mój pan zapytał, czy mógłbym w jego zastępstwie czynić honory. Na jego prośbę zdjąłem z półki Eurypidesa i rozwinąłem zwój przy świetle lampy. Cycero chciał posłuchać *Błagalnic*, pewnie dlatego, że owego dnia jego myśli zajmowała egzekucja spiskowców, i miał nadzieję, że przekazując ciała przeciwników, aby je

godnie pochowano, odegrał rolę Tezeusza. Właśnie dotarłem do jego ulubionego fragmentu: „Pośpiech przywódcy nie służy; sternik okrętu spokój zachowuje i rozum, gdy trzeba. I przezorność, a owszem; to też jest odwagi rodzaj” – gdy wszedł niewolnik i powiedział, że Klodiusz czeka w atrium.

Cycero zaklął.

– Idź, powiedz mu, żeby wyniósł się z mojego domu – polecił mi. – Nikt nie może zobaczyć, że cokolwiek mnie z nim łączy.

Nie było to przyjemne zadanie, ale odłożyłem zwój Eurypidesa z tragedią i poszedłem do atrium. Spodziewałem się, że Klodiusz będzie bardzo przygnębiony. A tymczasem miał na twarzy tylko smutny uśmiech.

– Witaj, Tironie. Pomyślałem, że od razu przyjdę i spotkam się z moim mentorem: zostanę ukarany i będzie po wszystkim.

– Obawiam się, że mojego pana nie ma.

Trochę zrzędała mu mina, gdyż oczywiście domyślił się, że kłamię.

– Ależ specjalnie dla niego przekształciłem tę historię we wspaniałą opowiastkę. Musi ją usłyszeć. Nie, to śmieszne. Nie dam się odprawić.

Odepchnął mnie i ruszył szerokim korytarzem do biblioteki. Poszedłem za nim, wyłamując sobie palce. Lecz ku jego i mojemu zdziwieniu pokój był pusty. W przeciwległym rogu znajdowały się małe drzwi, którymi wchodzili i wychodzili niewolnicy, i gdy do nich podeszliśmy, zamknęły się delikatnie.

Eurypides spoczywał tam, gdzie go zostawiłem.

– Hm – mruknął Klodiusz, w którego głosie nagle zabrzmiał niepokój – powiedz mu, że przyszedłem z wizytą.

– Nie omieszka – odparłem.

XIII

Mniej więcej w tym czasie, zgodnie z przewidywaniami Kłodiusza, Pompejusz wrócił do Italii – przybił do Brundisium. Posłańcy senatu przebyli sztafetą prawie trzysta mil do Rzymu, żeby przekazać te wieści. Według ich informacji wraz z Pompejuszem przybyło dwadzieścia tysięcy legionistów i następnego dnia na forum miasteczka jako wódz wygłosił do nich mowę.

„Żołnierze! – powiedział podobno. – Dziękuję wam za służbę. Pokonaliśmy Mitrydatesa, największego wroga republiki od czasów Hannibala, i dokonaliśmy razem bohaterskich czynów, które świat będzie pamiętał za tysiąc lat. Gorzki to dzień, w którym musimy się rozstać. Ale jesteśmy praworządnym narodem, a nie mam pozwolenia od senatu i ludu rzymskiego, żeby w Italii trzymać armię pod bronią. Rozjedźcie się do swoich rodzinnych miast. Wracajcie do domów. Obiecuję wam, że wasza służba zostanie wynagrodzona. Wszyscy dostaniecie pieniądze i ziemię. Macie moje słowo. A tymczasem bądźcie w gotowości, aby dołączyć do mnie w Rzymie, gdzie otrzymacie nagrodę i weźmiecie udział w największym triumfie, jaki stolica naszego właśnie powiększonego imperium kiedykolwiek widziała!”

Potem ruszył w drogę do Rzymu. Towarzyszyła mu tylko oficjalna eskorta liktorów i kilku najbliższych przyjaciół. Wieść o tak skromnej świcie miała zdumiewający efekt. Ludzie obawiali się, że Pompejusz pomaszeruje na północ z całą swoją armią, zostawiając za sobą pas gołej ziemi jak po przejściu szarańczy. Tymczasem Strażnik Ziemi i Wód jechał niespiesznie i zatrzymywał się na odpoczynek w wiejskich gospodach, jakby był zwykłym podróżnikiem, który wraca z wakacji za granicą. W każdym miasteczku na trasie – w Tarence i Venusii, w górach i na równinach Kampanii, w Kapui i Minturnae – witały go tłumy. Setki ludzi opuszczało swoje domy i szło za nim i wkrótce do senatu zaczęły docierać raporty, że maszeruje z nim do Rzymu pięć tysięcy obywateli.

Cycero czytał o tym wszystkim z rosnącym niepokojem. Nie doczekał się jak dotąd odpowiedzi od Pompejusza na sążnisty list, który do niego wysłał, i zaczął sobie uświadamiać, że przechwałki na temat swoich zasług podczas konsulatu mogły mu zaszkodzić. Co gorsza, dowiedział się z kilku źródeł, że Pompejusz wyrobił sobie złą opinię o Hybrydzie, bo gdy wracał do Rzymu, podróżował przez Macedonię i osobiście widział dowody jego korupcji i nieudolności, a po powrocie do stolicy zażądał natychmiastowego odwołania namiestnika. To posunięcie groziło Cycleronowi ruiną finansową, także dlatego, że nie dostał jeszcze od Hybrydy ani sestercji. Wezwał mnie więc do biblioteki i podyktował długi list do byłego kolegi: „Spróbuję ratować Ci tyłek, pod warunkiem że nie padnie na mnie cień. Ale jeśli się okaże, że nie otrzymam za to żadnego dowodu wdzięczności, nie pozwolę dłużej robić z siebie idioty – nawet Tobie”. Kilka dni po Saturnaliach odbyła się pożegnalna uczta na cześć Attyka, pod której koniec Cycero dał mu ten list i poprosił, żeby osobiście dostarczył go Hybrydzie. Attyk przysiągł, że spełni tę prośbę, gdy tylko dotrze do Macedonii. Później, wśród łez i uścisków, przyjaciele pożegnali się z sobą. Obaj głęboko boleli

nad tym, że Kwintus nie raczył przyjść na ucztę i ostatni raz zobaczyć się z Attykiem.

Gdy Attyk wyjechał z miasta, Cyclerona ze wszystkich stron dopadły troski. Był głęboko zaniepokojony, a ja jeszcze bardziej, pogarszającym się stanem zdrowia młodszego sekretarza, Sositeusza. Sam uczyłem tego chłopca gramatyki łacińskiej, greki i stenotypii, był on zresztą bardzo lubianym domownikiem. Zawsze czytał Cycleronowi melodyjnym głosem. Miał około dwudziestu sześciu lat, spał w małym pokoiku w piwnicy, tuż obok mnie. Jego suchy kaszel przeszedł w gorączkę i Cycero posłał po medyka, żeby zbadał biedaka. Oczywiście, puszczenie krwi nie przyniosło poprawy; podobnie jak przystawianie pijawek. Cycero był bardzo przejęty, wiele dni siedział przy posłaniu młodego człowieka, przykładał mu zimny wilgotny ręcznik do rozpalonego czoła. Ja przez tydzień doglądałem Sositeusza w nocy, słuchałem jego majaczeń, próbowałem go uspokajać i namawiałem, żeby napił się wody.

W tych strasznych gorączkach ostatni atak choroby poprzedzany bywa przez chwilowy powrót przytomności. Tak też było u Sositeusza. Pamiętam to bardzo dobrze. Dawno minęła północ. Leżałem na sienniku obok jego wąskiego łóżka, na którym spoczywał skulony, okryty kocem i owczą skórą. Przestał się rzucać, więc w ciszy i żółtym przymglonym świetle lampy sam się zdrzemnąłem. Coś jednak mnie zbudziło i gdy się do niego odwróciłem, zobaczyłem, że siedzi i patrzy na mnie z wielkim przerażeniem.

– Listy – powiedział.

W sposób typowy dla siebie martwił się o pracę, tak że zachciało mi się płakać.

– Zajęliśmy się listami – odparłem. – Nie ma żadnych zaległości. Kładź się i śpij.

– Skopiowałem je.

– Tak, tak, skopiowałeś listy. A teraz śpij. – Próbowałem

delikatnie go pchnąć, żeby się położył, ale się opierał. Zostały z niego tylko skóra i kości, był słaby jak dziecko. Nie chciał się położyć. Pragnął mi coś powiedzieć.

– Krassus wie.

– Oczywiście, że wie – powiedziałem uspokajająco. Ale nagle się przeraziłem. – O czym ma wiedzieć?

– O listach.

– Jakich listach? – Sositeusz nie odpowiedział. – Tych anonimach? Przestrzegających przed gwałtami w Rzymie? Skopiowałaś je? – Pokiwał głową. – Skąd Krassus wie? – zapytałem szeptem.

– Ja mu powiedziałem. – Chwycił mnie za ramię swoją słabą, wychudłą ręką, z palcami jak szpony. – Nie gniewaj się.

– Nie gniewam się. – Otarłem pot z jego czoła. – Musiał cię nastraszyć.

– Powiedział, że wie.

– To znaczy, wyprowadził cię w pole?

– Przepraszam... – Zamilkł, a potem jęknął głośno, strasznie głośno, jak na kogoś tak bardzo wycieńczonego, i cały zadrzał. Opadły mu powieki, potem otworzyły się po raz ostatni i spojrział na mnie tak, że nigdy tego nie zapomniałem, w tych wytreszczonych oczach była prawdziwa otchłań, i wreszcie padł w moje ramiona nieprzytomny. Przeraził mnie ten widok, chyba dlatego, że to było tak, jakbym patrzył w najczarniejsze lustro, gdzie jest już tylko zapomnienie, i uświadomiłem sobie w tej jednej chwili, że umrę tak samo jak Sositeusz, bezdziejnie, nie zostawiając po sobie nic. Od tej chwili jeszcze bardziej utwierdziłem się w postanowieniu, że spiszę te wszystkie wydarzenia, których byłem świadkiem, aby moje życie miało jakiś sens.

Sositeusz trzymał się jeszcze przez całą noc i następny dzień, ale w ostatni wieczór roku wyzionął ducha. Natychmiast poszedłem zawiadomić o tym Cyclerona.

– Biedny chłopiec. – Westchnął. – Jego śmierć boli mnie bardziej, niż powinna, choć przecież był niewolnikiem. Postaraj się, żeby jego pochówek pokazał światu, jak bardzo go ceniłem. – Powrócił do księgi, którą czytał, ale zauważył, że nie wychodzę. – O co chodzi?

Byłem z rozterce. Czułem, że Sositeusz powierzył mi wielki sekret, ale nie miałem pewności, czy to prawda, czy bredzenia człowieka w gorączce. Byłem też rozdarty pomiędzy lojalnością wobec zmarłego i poczuciem obowiązku wobec żyjącego – nie wiedziałem, czy mam dochować sekretu przyjaciela, czy ostrzec Cyncerona. W końcu wybrałem to drugie.

– Powinieneś coś wiedzieć, panie – zacząłem. Wyjąłem tabliczki i przeczytałem słowa umierającego Sositeusza, które na wszelki wypadek spisałem.

Cyncero przyglądał mi się, podtrzymując dłonią brodę, a kiedy skończyłem, powiedział:

– Powinieneś być cię poprosić o ich skopiowanie.

Do tej chwili nie chciałem w to wierzyć. Usiłowałem ukryć wzburzenie.

– Dlaczego, panie, tego nie zrobiłeś?

Po raz drugi spojrział na mnie badawczo.

– Uraziłem twoje uczucia?

– Trochę.

– Hm, niepotrzebnie. To dowód uznania dla twojej uczciwości. Czasami masz za dużo skrupułów, Tironie, nie nadajesz się do tej brudnej roboty, jaką jest polityka, i ciężko by mi było przeprowadzić tę mistyfikację, czując na sobie twój potępiający wzrok. Więc cię przechytryłem, co? – Wydawał się całkiem zadowolony z siebie.

– Uhm – potwierdziłem. – I to jak. – Bo rzeczywiście; gdy przypomniałem sobie jego autentyczne zdziwienie tamtego wieczoru, gdy Krassus razem ze Scypionem i Metellusem przyniósł

listy, musiałem przyznać, że wykazał się dużymi zdolnościami aktorskimi, jeśli już nie czymś innym.

– Cóż, żałuję, że cię oszukałem. Ale, jak się zdaje, nie udało mi się zwieść starego Łysola... w każdym razie już wie o wszystkim. – Westchnął znowu. – Biedny Sositeusz. Domyślałem się, kiedy Krassus wydobyl z niego prawdę. To musiało być tamtego dnia, gdy wysłałem go po tytuł własności tego domu.

– Powinieneś był wysłać mnie, panie!

– Zrobiłbym to, ale nie było cię wtedy, a nikomu innemu nie ufałem. Ależ musiał się wystraszyć, gdy ten stary lis złapał go w pułapkę i zmusił do ujawnienia prawdy! Szkoda, że mi nie powiedział... przynajmniej bym go uspokoił.

– Nie martwisz się, panie, co teraz uczyni Krassus?

– A dlaczego miałbym się martwić? Dostał, czego chciał, oprócz dowództwa nad armią, żeby zgnieść Katylinę... zdumiewa mnie, że w ogóle śmiał o nie poprosić! A co do reszty... listy, które Sositeusz napisał pod moje dyktando i zostawił na progu jego domu, były dla niego jak dar od bogów. Odciął się od spiskowców, a ja musiałem posprzątać ten bałagan i powstrzymać interwencję Pompejusza. W gruncie rzeczy Krassus więcej zyskał na tej całej sprawie niż ja. Ucierpieli tylko winni.

– A co będzie, jeśli ujawni twoje oszustwo, panie?

– Wyprę się wszystkiego... bo przecież nie ma dowodu. Ale nie zrobi tego. Na pewno nie zechce odgrzebywać tego śmierdzącego dołu z kośćmi, to ostatnia rzecz, na jakiej by mu zależało. – Wziął do ręki księgę. – Idź i włóż monetę w usta naszego drogiego zmarłego przyjaciela. Miejmy nadzieję, że po przebyciu wiecznej rzeki znajdzie się w ucziwszym świecie niż ten.

Zrobiłem, jak mi polecił, i nazajutrz ciało Sositeusza zostało spalone na Polu Eskwilińskim. Przybyła większość domowników, żeby złożyć mu uszanowanie, a ja nie szczędziłem pieniędzy

Cycerona na kwiaty, fletnistów i kadzidło. W sumie była to okazała uroczystość; można by pomyśleć, że żegnamy wyzwolenca albo nawet wolnego obywatela. Myśląc o tym, czego się dowiedziałem, nie ośmielałem się oceniać Cycerona pod względem moralnym ani nie czułem się urażony w swojej dumie, że bał się mi zaufać. Przypuszczałem jednak, że Krassus zechce się odegrać, i gdy gęsty czarny dym uniósł się ze stosu ku niskim chmurom, które napływały ze wchodu, poczułem lęk.

Pompejusz znalazł się pod miastem w idy styczniowe. Dzień przed jego spodziewanym przybyciem Cycero został zaproszony na powitanie imperatora w Villa Publica, będącą wtedy państwową rezydencją dla gości. Zaproszenie było pełne szacunku. Cycero nie widział powodu, dla którego miałby go nie przyjąć. Zresztą odmowę uznano by za afront.

– Niemniej – wyznał mi, gdy następnego rana ubierał się z pomocą służącego – czuję się jak poddany, którego wzywa się na powitanie zdobywcy, a nie jak przedstawiciel państwa spotykający się z drugim jego przedstawicielem na równych prawach.

Gdy dotarliśmy na Pole Marsowe, tysiące obywateli wyglądało już swojego bohatera, który jak głosiła wieść, znajdował się w odległości mili czy dwóch. Cycero, jak zauważyłem, był wytracony z równowagi faktem, że ludzie tym razem nie zwracali na niego uwagi, patrzyli gdzie indziej, a kiedy weszliśmy do Villa Publica, doświadczył kolejnej przykrości. Mój pan założył, że spotka się z Pompejuszem prywatnie, a zobaczył kilku innych senatorów, którzy czekali już na wodza wraz ze służącymi; byli wśród nich nowi konsule, Pupiusz Pizon i Waleriusz Messalla. W pokoju panował mrok i chłód, bo takie budynki publiczne są rzadko używane, i choć wyraźnie zalatywało w nim wilgocią, nikt nie zadał sobie trudu, żeby rozpaścić ogień. Cycero musiał

usiąść na twardym złożonym krześle i czekać; w tym czasie prowadził sztywną rozmowę z Pupiuszem, mruklwym przybocznym Pompejusza, człowiekiem, którego znał od wielu lat i nie lubił.

Mniej więcej po godzinie wrzawa na zewnątrz się nasiliła i zrozumiałem, że musiał pojawić się Pompejusz. Niebawem hałas stał się tak przeraźliwy, że senatorowie porzucili próby rozmowy i siedzieli w milczeniu jak nieznajomi, których zetknął przypadek, gdy szukali schronienia przed burzą. Ludzie na dworze biegali tam i z powrotem, krzyczeli, wiwatowali. Zabrzmiała trąbka. W końcu usłyszeliśmy tupot butów w przedsiönku za drzwiami i ktoś powiedział:

– Cóż, nie można zarzucić ludowi rzymskiemu, że cię nie kocha, imperatorze!

A potem Pompejusz odpowiedział swoim donośnym głosem:

– Tak, wypadło nie najgorzej. Rzeczywiście, nie najgorzej.

Cycero wstał razem z pozostałymi senatorami i chwilę później do pokoju wkroczył sam wielki wódz, w purpurowym płaszczu i błyszczącym brązowym napierśniku, na którym wyryto słońce z wybiegającymi we wszystkie strony promieniami. Podał hełm z pióropuszem przybocznemu, a za nim weszli dowódcy i liktorzy. Miał jak dawniej bardzo gęste włosy i przesunął po nich grubymi palcami, zaczesując je do tyłu w czub, który sterczał nad jego szeroką, opaloną twarzą. W ciągu sześciu lat niewiele się zmienił, poza tym, że – o ile to możliwe – wydawał się jeszcze potężniejszy. Miał bardzo szeroki tors. Ucisnął ręce konsulom i pozostałym senatorom, wymienił z każdym z nich kilka słów, podczas gdy Cycero ze skrzępowaniem czekał na swoją kolej. W końcu Pompejusz podszedł do mojego pana.

– Marek Tuliusz! – wykrzyknął.

Cofnął się o krok, zlustrował Cyclerona od stóp do głów, wskazał żartobliwie jego wypolerowane czerwone buty, świeżą

togę z purpurowym obramowaniem i starannie przystrzyżone włosy.

– Doskonale wyglądasz. Podejdz. – Skinął na niego. – Niech uściskam człowieka, bez którego nie miałbym dokąd wracać! – Objął Cyncerona, przycisnął go mocno do swojego napierśnika i mrugnął do nas nad jego ramieniem. – Wiem, że to musi być prawda, bo stale mi to powtarza! – Wszyscy się zaśmiali i Cyncero próbował im zawtórować. Ale w uścisku Pompejusza zabrało mu tchu i zdołał tylko wydać słaby pisk.

– Cóż, senatorowie – ciągnął Pompejusz, uśmiechając się promiennie do wszystkich – może usiądziemy?

Przyniesiono duży fotel dla imperatora, który wbił się weń. W dłoń włożono mu wskaźnik z kości słoniowej. U jego stóp rozłożono dywan, który przedstawiał mapę wschodu, i gdy senatorowie pochylili nad nim głowy, zaczął demonstrować im swoje dokonania. Gdy mówił, robiłem notatki i później Cyncero studiował je długi czas z wyrazem niedowierzania na twarzy. Pompejusz twierdził, że podczas swojej kampanii zdobył tysiąc umocnień, dziewięćset miast i czternaście krain, łącznie z Syrią, Palestyną, Arabią, Mezopotamią i Judea. Wskaźnik powędrował dalej. Pompejusz założył aż trzydzieści dziewięć nowych miast, z których tylko trzem ośmielił się nadać nazwę Pompeiopolis. Nałożył podatek od majątku na mieszkańców wschodu, co miało podnieść roczny dochód Rzymu o dwie trzecie. Zamierzał przekazać też do skarbu dwieście milionów sestercji ze swoich prywatnych funduszy.

– Podwoiłem obszar naszego imperium, senatorowie. Granice Rzymu sięgają teraz do Morza Czerwonego.

Już gdy to pisałem, uderzył mnie ton, jakim Pompejusz zdawał tę relację. Cały czas mówił „mój” i „mój”. A przecież te wszystkie państwa i miasta, te ogromne sumy pieniędzy, należały do Rzymu, a nie do niego.

– Oczywiście, będę prosił o ustawę z mocą wsteczną, żeby to wszystko zalegalizować – zakończył.

Nastąpiła chwila ciszy. Cyncero, który właśnie odzyskał dech w piersiach, uniósł brew.

– Doprawdy? Tylko jedną ustawę?

– Tylko jedną – potwierdził Pompejusz i oddał wskaźnik przybocznemu. – Wystarczy jedno zdanie: „Senat i lud rzymski niniejszym uznają wszelkie decyzje Pompejusza Wielkiego, jakie podjął podczas podboju wschodu”. Oczywiście, możecie dodać kilka zdań z wyrazami uznania, jeśli chcecie, ale to by była zasadnicza treść.

Cyncero zerknął na pozostałych senatorów. Nikt nie odpowiedział na jego spojrzenie. Woleli, żeby mówił za nich.

– Czy jeszcze czegoś sobie życzysz?

– Konsulatu.

– Kiedy?

– W przyszłym roku. Dziesięć lat po pierwszym. Całkowicie zgodnie z prawem.

– Ale żeby stanąć do wyborów, musiałbyś wjechać do miasta, a to oznaczałoby oddanie imperium. I na pewno zamierzasz odbyć triumf?

– Naturalnie. Odbędę go w moje urodziny, we wrześniu.

– A jak to możliwe?

– Zwyczajnie. Kolejna ustawa. Też wystarczy jedno zdanie: „Senat i naród rzymski niniejszym zezwalają Pompejuszowi Wielkiemu stanąć do wyborów konsularnych *in absentia*”. Nie muszę organizować kampanii wyborczej. Ludzie wiedzą, kim jestem! – Uśmiechnął się i spojrzał na zebranych.

– A twoja armia?

– Rozwiązana. Żołnierze rozjechali się do domów. Rzecz jasna, będą musieli otrzymać wynagrodzenie. Przynależem im to.

Odezwał się konsul Messalla.

– Dostaliśmy raporty, że obiecałeś im ziemię.
– Owszem. – Nawet Pompejusz wyczuł wrogość w milczeniu, które zapadło. – Posłuchajcie, senatorowie. – Pochylił się w przypominającym tron fotelu. – Zdajecie sobie sprawę, że mogłem przybyć z moimi legionami pod bramy Rzymu i zażądać, czego zechcę. Ale pragnę służyć senatowi, a nie mu nakazywać, i przebyłem całą drogę do Rzymu jak najskromniej, żeby tego dowieść. I zamierzam dowodzić w dalszym ciągu. Słyszeliście, że się rozwiodłem? – Senatorowie skinęli głowami. – A gdybym tak zawarł małżeństwo, które na zawsze związałoby mnie ze stronictwem senackim?

– Chyba wyrażę opinię nas wszystkich – zaczął Cyncero ostrożnie i spojrzał na resztę – kiedy powiem, że senat nie pragnie niczego innego, jak współdziałać z tobą, i takie małżeństwo bardzo by pomogło. Masz już jakąś kandydatkę?

– Tak, właściwie mam. Słyszę, że Katon ostatnio cieszy się dużym uznaniem w senacie, a ma siostrzenice i córki na wydaniu. Chciałbym wziąć sobie jedną z tych dziewcząt za żonę, a mój syn wzięłby inną. No. – Opadł z zadowoleniem na oparcie. – Odpowiada wam to?

– Bardzo nam odpowiada – odparł Cyncero i znowu zerknął na kolegów. – Przymierze między rodami Katona i Pompejusza zagwarantuje pokój na całe pokolenia. Popularzy nie podniosą się po tym wstrząsie, a dobrzy ludzie będą mogli się radować. – Uśmiechnął się. – Gratuluję ci błyskotliwego pomysłu, imperatorze. Co powiedział Katon na tę propozycję?

– Och, jeszcze o niej nie wie.

Uśmiech zamarł Cynceronowi na twarzy.

– Rozwiodłeś się z Mucją i zerwałeś stosunki z Metellusami, żeby związać się z rodem Katona... a nawet nie wiesz, co on na to?

– Chyba można tak powiedzieć. A o co chodzi? Myślisz, że będą jakieś problemy?

– Gdyby chodziło o kogoś innego, powiedziałbym, że nie, ale z Katonem... nigdy nie wiadomo, dokąd zaprowadzi go ta jego niezachwiana moralność. Jak wielu ludziom zdradziłeś swoje zamiary?

– Tylko kilku.

– W takim razie proponuję, imperatorze, żebyśmy wstrzymali nasze rozmowy, dopóki nie wyślesz posłańca do Katona.

Uśmiechnięte do tej pory oblicze Pompejusza zasnuła ciemna chmura – jak dotąd nie przyszło mu do głowy, że Katon mógłby odmówić; gdyby tak się stało, straciłby twarz – więc z roztarżeniem przyjął propozycję Cyncerona. Gdy wychodziliśmy, już pilnie naradzał się z Lucjuszem Afraniuszem, swoim najbardziej zaufanym człowiekiem. Tłumy na zewnątrz były wciąż nieprzebrane i choć strażnicy Pompejusza otworzyli bramy tylko na tyle, żebyśmy mogli przejść, naparła na nich taka liczba ludzi pragnących dostać się za nie, że ledwie sobie z nimi poradzili. Zebrani krzyczeli do Cyncerona i konsulów, gdy próbowaliśmy przedostać się z powrotem do miasta:

– Rozmawialiście z nim?! Co mówił?! To prawda, że stał się bogiem?!

– Nie wyglądał na boga, gdy go ostatnio widziałem – odparł pogodnie Cyncero – choć niewiele mu brakuje! Nie może się doczekać, kiedy dołączy do nas w senacie. Co za komedia – rzucił do mnie kącikiem ust. – Plaut nie wymyśliłby bardziej niedorzecznej.

Skończyło się tak, jak przewidywał Cyncero. Pompejusz jeszcze tego samego dnia posłał po przyjaciela Katona, Munacjusza, który udał się ze wspaniałomyślną propozycją wielkiego wodza do domu tegoż, gdzie akurat na ucztę zgromadziła się cała rodzina. Kobiety niezmiernie się ucieszyły – taka była pozycja Pompejusza jako największego rzymskiego bohatera wojennego i sława jego postury fizycznej. Katon jednak wpadł we wściekłość

i bez zastanowienia, nie zasięgając niczyjej rady, odpowiedział następująco:

– Idź, Munacjusz, idź i powiedz Pompejuszowi, że Katona nie da się podejść od strony kobiecych pokojów. Bardzo docenia dobrą wolę Pompejusza i jeśli będzie on zachowywał się jak należy, zdobędzie jego przyjaźń, która jest silniejsza niż wszelkie małżeńskie koneksje. Ale Katon nie odda zakładników w imię jego chwały na zgliszcza republiki!

Pompejusz, jak głośzą wieści, był zdumiony tą ostrą i arogancką odpowiedzią (Jeśli Pompejusz będzie zachowywał się jak należy!), natychmiast w straszliwie złym humorze opuścił Villa Publica i pojechał do swojego domu na Wzgórzach Albańskich. Ale nawet tam dopadły go demony urażonej godności. Jego córka, wówczas dziewięcioletnia, której nie widział od czasu, gdy zaczynała mówić, zgodnie z zaleceniem swojego nauczyciela, słynnego gramatyka, Arystodemusa z Nyssy, miała powitać ojca jakimś fragmentem z Homera. Na nieszczęście, gdy stanął on w drzwiach, wypowiedziała słowa Heleny, skierowane do Parysa: „Wróciłeś z pojedynku. Obyś legł orężem”. Zbyt wielu było świadków tego epizodu, żeby nie przedostał się do wiadomości publicznej, i Cycero, obawiam się, uznał go za tak śmieszny, że dołożył wszelkich starań, aby rozpowszechnić tę historię w całym Rzymie.

Można było przypuszczać, że w całym tym zamieszaniu afera z Dobrą Boginią zostanie zapomniana. Minął już ponad miesiąc od owego zdarzenia, a Klodiusz przezornie nie pokazywał się publicznie. Ludzie zaczęli mówić o innych sprawach. Lecz dzień czy dwa po powrocie Pompejusza Kolegium Kapłanów wreszcie przekazało senatowi swoją opinię o tym zajściu. Pupiusz, który jako konsul przewodniczył obradom, był przyjacielem Klodiusza i chętnie zatuszowałby skandal. Musiał jednak odczytać raport kapłanów, a ich orzeczenie było jednoznaczne.

Postępek Klodiusza stanowił jaskrawy przykład *nefas* – czynu bezbożnego, haniebnego, zniewagi wobec bóstwa.

Pierwszy z senatorów wstał Lukullus i musiał rozkoszować się tą chwilą, ponieważ z wielką powagą oświadczył, że jego były szwagier pokalał tradycje republikańskie i naraził miasto na gniew bogów.

– Ten gniew – ciągnął – można ułagodzić jedynie surową karą dla świętokradcy.

I formalnie zaproponował, żeby Klodiusza oskarżono o zhańbienie świętych westalek – a była to zbrodnia karana zachłostaniem na śmierć. Katon poparł wniosek. Dwaj przywódcy patrycjuszy, Hortensjusz i Katulus, skwapliwie wstali, aby udzielić mu poparcia, i stało się jasne, że sympatyzuje z nimi większość zebranych. Zażądali, żeby najważniejszy po konsulach urzędnik w Rzymie, pretor miejski, zwołał trybunał sędziowski, złożony z osobiście wybranych członków senatu, i rozpatrzył sprawę najszybciej, jak się da. Przy takich sędziach wyrok łatwo było przewidzieć. Pupiusz niechętnie zgodził się przyjąć wniosek i gdy obrady dobiegły końca, wszystko wskazywało na to, że Klodiusz już nie żyje.

Gdy tego dnia, późnym wieczorem, usłyszałem pukanie do drzwi frontowych, byłem pewny, że to Klodiusz. Mimo reprimendy Cyserona dzień po święcie Dobrej Bogini młody człowiek regularnie przychodził do jego domu w nadziei, że zostanie przyjęty. Dostałem jednak surowe polecenie, aby go nie wpuszczać; i ku swojej wielkiej irytacji nigdy nie zdołał przedostać się poza atrium. Teraz, idąc korytarzem, przygotowałem się na kolejną nieprzyjemną scenę. Ale zdziwiłem się, bo kiedy otworzyłem drzwi, ujrzałem stojącą na progu Klodię. Zazwyczaj przemieszczała się po mieście w asyście służących, ale tego wieczoru przybyła sama. Zapytała chłodno, czy mój pan jest w domu, a ja odparłem, że sprawdzę. Wpuściłem ją do środka i

poprosiłem, aby zaczekała, a sam niemal pobiegłem do biblioteki, gdzie pracował Cyncero. Kiedy powiedziałem, kto przyszedł, aby się z nim zobaczyć, odłożył pióro i zastanawiał się przez chwilę.

– Czy Terencja poszła już do swojego pokoju?

– Tak mi się wydaje.

– No to wprowadź gościa. – Zdumiałem się, że chce podjąć takie ryzyko, i sam musiał zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, bo gdy już wychodziłem, dodał: – Ale nie zostawiaj nas samych.

Poszedłem po Klodię. Po wejściu do gabinetu podbiegła do Cyncerona i padła przed nim na kolana.

– Przyszłam błagać cię o wsparcie – powiedziała i skłoniła głowę. – Mój kochany brat wychodzi z siebie ze strachu i dręczą go wyrzuty sumienia, ale jest zbyt dumny, żeby samemu prosić o pomoc, więc przyszłam tu w jego imieniu. – Ujęła brzeg jego togi i ucałowała ją. – Mój drogi przyjacielu, Klaudiusze nie kłękają, ale błagam cię, pomóż mu.

– Wstań, Klodio – odparł Cyncero i spojrzał ze strachem na drzwi. – Ktoś może cię zobaczyć i wieść o twojej wizycie rozejdzie się po całym Rzymie. – Ponieważ nie zareagowała, dodał łagodniej: – Nie będę z tobą rozmawiał, jeżeli nie wstaniesz! – Klodia wstała więc, ale wciąż nie podnosiła głowy. – A teraz posłuchaj mnie – zaczął. – Powiem to tylko raz, a potem będziesz musiała wyjść. Chcesz, żebym pomógł twojemu bratu, tak? – Klodia skinęła głową. – No to przekaz mu, żeby zrobił, co mówię. Niech napisze listy do każdej z tych kobiet, które obraził. Oświadczy w nich, że bardzo żałuje swego postępuku, że działał pod wpływem szaleństwa, że nie jest godzien oddychać tym samym powietrzem, co one i ich córki, i tak dalej, i tak dalej... uwierz mi, musi się ukorzyć. Potem niech zrezygnuje z kwestury. I wyjedzie z Rzymu. Uda się na wygnanie. Powinien

trzymać się z dala od miasta przez kilka lat. A kiedy sprawa ucichnie, wróci i zacznie od nowa. To jedyna rada, jaką mogę mu dać. Żegnaj.

Już miał się od niej odwrócić, ale chwyciła go za rękę.

– Wyjazd z Rzymu będzie dla niego jak śmierć!

– Nie, pani, śmiercią będzie pozostanie w Rzymie. Postawią go przed sądem i uznają za winnego. Lukullus się o to postara. Ale jest stary i leniwy, a twój brat młody i energiczny. Czas to jego największy sprzymierzeniec. Przekaż mu to, powiedz, że mu dobrze życzę, ale radzę, żeby wyjechał już jutro.

– Jeśli zostanie w Rzymie, przyłączysz się do ataków na niego?

– Zrobię, co mogę, żeby tego uniknąć.

– A jeśli dojdzie do procesu – zapytała, nie puszczając jego ręki – będziesz go bronił?

– Nie, to wykluczone.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – Cycero zaśmiał się z niedowierzaniem. – Z tysiąca powodów.

– Dlatego, że twoim zdaniem jest winny?

– Moja droga Klodio, wszyscy wiedzą, że jest winny!

– Ale przecież broniłeś Korneliusza Sulle, chociaż też wszyscy wiedzieli, że był winny.

– To co innego.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim chodzi o moją żonę – wyjaśnił cicho Cycero i znowu zerknął na drzwi. – Moja żona była przy tym obecna. Widziała całe zdarzenie.

– Chcesz powiedzieć, że żona się z tobą rozwiedzie, jeśli podejmiesz się obrony mojego brata?

– Owszem, tak sędzę.

– To ożenisz się z inną – odparła Klodia; cofnęła się i nie odrywając od niego wzroku, szybko rozpięła płaszcz i zsunęła go z ramion. Pod spodem była naga. Jej sniada, gładka, natarta

olejkiem skóra błyszczała w blasku świecy. Stałem za nią, niemal na wprost. Wiedziała, że patrzę, ale nie przeszkadzała jej moja obecność, byłem dla niej jak stół czy zydeł. Atmosfera zrobiła się duszna. Cyncero stał bez ruchu. Gdy teraz o tym myślę, przypomina mi się ten moment w izbie senatu, kiedy w zamieszaniu po debacie o losie spiskowców jedno jego słowo czy gest wystarczyły, żeby Cezar stracił życie, i świat – nasz świat – wyglądałby zupełnie inaczej. Tak samo było teraz. Po dłuższej chwili nieznacznie pokręcił głową, pochylił się, podniósł płaszcz i go jej oddał.

– Ubierz się – nakazał cicho.

Nie posłuchała. Położyła dłonie na biodrach.

– Naprawdę zamiast mnie wolisz ten pruderyjny kij od szczotki?

– Tak. – Sam wydawał się zdziwiony swoją odpowiedzią. – Skoro pytasz, tak, chyba tak.

– Ależ z ciebie głupiec – orzekła i odwróciła się, żeby Cyncero mógł narzucić jej płaszcz na ramiona. Ten gest był tak niedbały, jakby po uczcie wracała do domu. Zobaczyła, że na nią patrzę, i spojrzała na mnie tak, że czym prędzej opuściłem wzrok.

– Będiesz wracał pamięcią do tej chwili – powiedziała i szybko zapięła płaszcz – i żałował swojej decyzji do końca życia.

– Nie, nie będę, bo wyrzucę to z pamięci i radzę ci, abyś zrobiła tak samo.

– Dlaczego miałabym o tym zapomnieć? – Uśmiechnęła się i pokręciła głową. – Mój brat się uśmieje, gdy mu opowiem.

– Opowiesz mu o tym?

– Oczywiście. To był jego pomysł.

– Ani słowa – nakazał Cyncero, gdy Klodia wyszła. Ostrzegawczym gestem uniósł rękę. Nie zamierzał o tym rozmawiać i

nigdy nie wróciliśmy do tego zdarzenia. Przez wiele lat po Rzymie krążyły plotki, że do czegoś między nimi doszło, ale nie chciałem ich komentować.

Ambicja i pożądanie często splatają się z sobą. W przypadku takich ludzi jak Cezar czy Klodiusz są splecione tak ciasno jak włókna liny. Cycero stanowił jednak ich przeciwieństwo. Był chyba namiętny z natury, ale bał się tego. Podobnie jak jąkanie, młodzieńcze choroby czy słabe nerwy traktował namiętność jako przejaw słabości, którą można przewyciężyć dzięki dyscyplinie. Dlatego też nauczył się tłumić tę cechę w sobie. Bogowie są jednak nieubłagani i mimo postanowienia, że nie będzie miał nic wspólnego z Klodią i jej bratem, niebawem dał się wciągnąć w potężny wir skandalu.

Z perspektywy czasu trudno zrozumieć, dlaczego skandal z Dobrą Boginią wstrząsnął życiem publicznym w Rzymie do tego stopnia, że sparaliżował rządzenie państwem. Sytuacja Klodiusza z pozoru wydawała się beznadziejna. Bez wątplenia dopuścił się tej śmiesznej zniewagi i prawie cały senat żądał dla niego kary. Lecz czasami w polityce wielka słabość może przekształcić się w siłę i od chwili gdy przeszedł wniosek Lukullusa, lud rzymski zaczął szemrać przeciwko niemu. Bo czego takiego dopuścił się ten młody człowiek, jeśli nie szaleńczego wybryku? Czy ma być zachłostany na śmierć z powodu głupoty? Kiedy Klodiusz niepewnie pojawił się na forum, stwierdził, że obywatele, zamiast obrzucić go łąjnem, pragną mu ucisnąć dłoń.

W Rzymie były wciąż tysiące plebejuszy, którzy nie darzyli sympatią wzmocnionego, jeśli chodzi o władzę, senatu i z nostalgią wspominali dni, gdy na ulicach rządził Katylin. Takich ludzi masowo przyciągał Klodiusz. Gromadzili się wokół niego tłumami. Z czasem zaczął więc wskakiwać na najbliższy wóz czy stragan, z którego zlorzeczył senatowi. Nauczył się od Cicerona sztuczek politycznych: przemawiał krótko, pamiętał

nazwiska, opowiadał żarty, urządzał widowisko; a przede wszystkim całą sprawę, złożoną przecież, przekształcił w historijkę, którą każdy mógł zrozumieć. Opowieść Klodiusza była prosta, najprostsza z możliwych: był samotnym obywatelem, niesłusznie prześladowanym przez oligarchów. „Uważajcie, przyjaciele! – krzyczał. – Jeśli coś takiego mogło przydarzyć się mnie, patrycjuszowi, to może też przydarzyć się każdemu z was!”. Niebawem organizował już codziennie takie wystąpienia publicznie, a porządku podczas nich pilnowali jego przyjaciele z tawern i miejsc, gdzie uprawia się hazard, z których wielu popierało Katylinę.

Klodiusz atakował Lukullusa, Hortensjusza i Katulusa, stale wymieniał ich z nazwiska, ale jeśli chodzi o Cyncerona powtarzał jedynie dawny żart, że były konsul wciąż otrzymuje „doniesienia”. Mój pan miał często ochotę odpowiedzieć i Terencja go do tego namawiała, lecz pamiętał o danej Klodii obietnicy i trzymał język na wodzy. Jednakże, mimo jego milczenia, konflikt narastał. Towarzyszyłem Cynceronowi tego dnia, w którym przedstawiono ludowi wniosek o powołanie specjalnego sądu do rozpatrzenia sprawy Klodiusza. Jego zbiry zdobyły jednak panowanie nad zgromadzeniem, zastawiły przejścia i przejęły urny do głosowania. Wrzawa tak wytrąciła z równowagi konsula, Pupiusza, że wypowiedział się przeciwko własnemu wnioskowi – w szczególności przeciwko klauzuli, która pozwalała pretorowi miejskiemu wybrać trybunał sędziowski.

Wielu senatorów zwróciło się do Cyncerona, spodziewali się bowiem, że przejmie kontrolę nad sytuacją, ale on tylko siedział na ławie, płonąc z gniewu i wstydu, tak że w końcu Katon wygłosił druzgocącą mowę pod adresem konsula. Zgromadzenie zostało przerwane. Senatorowie pospiesznie wycofali się do swojej izby i zatwierdzili wniosek stosunkiem czterystu do piętnastu głosów, mimo ryzyka zamieszek. Fufiusz, trybun, który trzymał z Klodiuszem, natychmiast ogłosił, że zawetuje uchwałę.

Sprawa naprawdę zaczęła wymykać się z rąk, więc Cycero czym prędzej opuścił senat i purpurowy na twarzy schronił się w domu.

Punktem zwrotnym okazała się decyzja Fufiusza, który postanowił zwołać zgromadzenie ludowe za murami miasta, aby można było wezwać Pompejusza i zapytać go o zdanie w tej sprawie. Narzekając, że zabiera mu się czas i naraża godność na szwank, Strażnik Ziem i Wód musiał przyjechać ze Wzgórz Albańskich do cyrku Flaminiusza i odpowiedzieć na szereg bezczelnych pytań z trybuny, pod baczным okiem przybyłego na targ tłumu, który odłożył na chwilę interesy i zaciekawiony zebrał się wokół.

– Czy znasz sprawę tak zwanego świętokradztwa, którego dopuszczono się w święto Dobrej Bogini? – zapytał Fufiusz.

– Tak, znam.

– Popierasz wniosek senatu, żeby wnieść oskarżenie przeciwko Klodiuszowi?

– Tak, popieram.

– Czy uważasz, że Klodiusz powinien być sądzony przez trybunał senatorów wybranych przez pretora miejskiego?

– Tak, uważam.

– Nawet gdyby sam pretor miejski miał być sędzią?

– Chyba tak, jeśli pozwalają na to procedury senatu.

– I tak ma wyglądać sprawiedliwość?

Pompejusz spojrział na Fufiusza jak na natrętnego owada, który nie daje mu spokoju.

– Darzę senat największym szacunkiem – odparł i wygłosił mowę na temat ustroju rzymskiego, którą mógłby mu napisać nawet czternastolatek.

Stałem z Cycleronem na czele tłumów i czułem, że publiczność coraz bardziej traci zainteresowanie. Niebawem ludzie zaczęli się kręcić i gadać. Sprzedawcy gorących kiełbasek i pasztecików na obrzeżach zgromadzenia zajęli się handlem.

Pompejusz był nudnym mówcą nawet w najlepszych swoich chwilach, ale gdy tak stał na podwyższeniu, musiał się czuć, jakby śnił mu się koszmar. W swoim namiocie pod jasnymi gwiazdami Arabii snuł po nocach wizje triumfalnego powrotu i w efekcie na co mu przyszło? Senat i lud skupili się nie na jego podbojach, ale na gołowąsie przebranym w damskie szaty!

Gdy zgromadzenie publiczne szczęśliwie dobiegło końca, Cycero zaprowadził Pompejusza przez cyrk do świątyni Bellony, gdzie senat zebrał się specjalnie, aby powitać zwycięskiego wodza. Ten przyjął pełne szacunku oklaski, usiadł na ławie z przodu obok Cyclerona i czekał na mowy pochwalne. Ale zamiast nich znowu został poddany przez konsula przesłuchaniu na okoliczność świętokradztwa. Powtórzył więc to, co już powiedział na zewnątrz, ale gdy ponownie zajął swoje miejsce, odwrócił się do Cyclerona i mruknął coś do niego z irytacją. (Powiedział, jak później dowiedziałem się od mojego pana: „Mam nadzieję, że wreszcie pomówimy o czymś innym”). Przez cały ten czas miałem na oku Krassusa, który siedział na brzegu ławy, gotów zabrać głos, gdy tylko nadarzy się okazja. W jego niecierpliwym oczekiwaniu, aby się wypowiedzieć, było coś dziwnego, jakaś pełna zadowolenia przebiegłość, i wydał mi się żaloszny.

– Senatorowie – powiedział, gdy wreszcie go wezwano – wspaniale jest mieć wśród nas, pod tym świętym dachem, człowieka, który rozszerzył granice imperium, a obok niego innego, który ocalił naszą republikę. Błogosławieni bogowie, którzy sprawili, że niebezpieczeństwo minęło. Jak wiem, Pompejusz czekał już z armią, żeby przyjść na pomoc ojczyźnie, gdyby zaszła konieczność... ale chwała niebiosom, zostało mu to oszczędzone dzięki mądrości i dalekowzroczności ówczesnego konsula. Mam nadzieję, że nie ujmę niczego Pompejuszowi, gdy powiem, że to Cycleronowi zawdzięczam status senatora i obywatela; że to jemu zawdzięczam życie i wolność. Za każdym razem, gdy spoglądam na moją żonę i mój dom albo na miasto,

w którym się urodziłem, widzę, jaki dar otrzymałem od Cycerona...

Kiedyś Cycero zwietrzyłby tak oczywisty podstęp na miłą. Obawiam się jednak, że u wszystkich ludzi, którzy spełnili swoje życiowe ambicje, tylko cienka linia oddziela godność od próżności, trzeźwą ocenę od złudzeń, dumę od niszczycielskiej pychy. Zamiast siedzieć na miejscu i skromnie protestować przeciwko takim pochwałom, Cycero wstał i wygłosił długą przemowę, w której zgadzał się z każdym słowem Krassusa, a w tym czasie Pompejusz gotował się z zazdrości i nienawiści. Gdy tak patrzyłem na to zza drzwi, miałem ochotę podbiec i zawołać do Cycerona, żeby zamilkł, zwłaszcza kiedy Krassus podniósł się ponownie i zapytał go, czy jako ojciec ojczyzny nie widzi w Klodiuszu drugiego Katyliny.

– Jak mogę nie widzieć – odparł Cycero, bo nie mógł się oprzeć pokusie, aby przywołać w obecności Pompejusza chwałę swojego przewodnictwa w senacie – kiedy to ci sami rozpustnicy przechodzą z jednej bandy do drugiej i kiedy na co dzień stosuje się te same praktyki? Tak jak wtedy, naszą jedyną nadzieją na ocalenie, senatorowie, jest jedność. Jedność senatu i stanu ekwickiego; jedność wszystkich klas; jedność całej Italii. Dopóki będziemy pamiętać o wspaniałej zgodzie, która panowała za mojego konsulatu, dopóty nie musimy się bać, bo duch, który wygnał stąd Sergiusza Katylinę, wygna też z pewnością jego nieślubnego syna!

Senat zaczął wiwatować, a Krassus usiadł na ławie, zadowolony ze swojej roboty, bo oczywiście wieść o tym, co powiedział Cycero, natychmiast rozeszła się po Rzymie i szybko dotarła do uszu Klodiusza. Pod koniec obrad, kiedy mój pan wracał do domu ze swoją świtą, Klodiusz czekał już na forum z bandą swoich zwolenników. Stanęli nam na drodze i bałem się, że nie obejdzie się bez rozbitych głów, lecz Cycero zachował spokój. Zatrzymał swoich ludzi.

– Nie dajcie się sprowokować! – zawołał. – Nie dajcie im okazji do wszczęcia rozruchów. – Po czym zwrócił się do Klodiusza: – Powinieneś być posłuchać mojej rady i udać się na wygnanie. Droga, którą wybrałeś, może cię zaprowadzić tylko w jedno miejsce.

– Czyli gdzie? – warknął Klodiusz.

– Tam – odparł Cyncero i wskazał karcer – na sznur.

– Nie sądzę – odrzekł Klodiusz i wyciągnął rękę w przeciwną stronę, ku rostrom z ich naturalnej wielkości posągami. – Któregoś dnia znajdę się tam, wśród bohaterów narodu rzymskiego.

– Doprawdy? A powiedz mi, przedstawia cię w damskim stroju, z lirą w ręce? – Zaczęliśmy się śmiać. – „Publiusz Klodiusz Pulcher: pierwszy bohater stanu transwestytów?”. Raczej wątpię. Zejdź mi z drogi.

– Chętnie – odparł Klodiusz z uśmiechem.

Ale gdy odsunął się, aby przepuścić Cyncerona, zauważyłem, że bardzo się zmienił. Nie tylko wydawał się potężniejszy i silniejszy fizycznie; w oczach miał zdecydowanie, którego wcześniej mu brakowało. Zdałem sobie sprawę, że zła sława stała się dla niego pożywką, czerpał energię od motłochu.

– Żona Cezara była jedną z najlepszych kobiet, jakie miałem – powiedział cicho, gdy Cyncero przechodził obok niego. – Prawie tak dobrą jak Klodia. – Chwycił go za łokieć i dodał głośno: – Chciałem być twoim przyjacielem. Powinieneś być zaprzyjaźnić się ze mną.

– Klaudiusze to zawodni przyjaciele – odciął się Cyncero i oswobodził z jego uścisku.

– Może, ale jesteśmy niezawodnymi wrogami.

I nie kłamał. Od tej pory, gdy przemawiał na forum, zawsze wskazywał nowy dom Cyncerona wznoszący się na Palatynie, wysoko nad głowami tłumu, jako symbol dyktatury.

– Spójrzcie, jak świetnie dzięki swojemu dziełu prosperuje tyran, który zarzął obywateli bez sprawiedliwego procesu... nic dziwnego, że pragnie świeżej krwi!

Cycero odpowiadał pięknym za nadobne. Wzajemne zniewagi stawały się coraz bardziej mordercze. Czasami Cycero i ja stawaliśmy na tarasie, patrzyliśmy na początkującego demagoga w akcji, i choć byliśmy zbyt daleko, aby usłyszeć, co dokładnie mówi, docierał do nas aplauz tłumu. I zrozumiałem, co widzimy: potwór, którego Cycero w swoim przekonaniu zabił, zaczął podnosić łeb.

XIV

Mniej więcej w połowie marca przyszedł do Cyclerona Hortensjusz. Przyprowadził z sobą Katulusa i kiedy stary patrycjusz, powłócząc nogami, wszedł do środka, przypominał żółwia bez swojej skorupy. Ostatnio usunięto mu ząb i na skutek tego przeżycia, długich miesięcy bólu, które go poprzedzały, a także zniekształconego wyrazu ust wyglądał na swoje sześćdziesiąt lat, ani dnia młodziej. Nie mógł powstrzymać ślinienia i miał z sobą dużą chusteczkę do nosa, żółtawą i mokrą. Przywodził mi kogoś na myśl, początkowo nie wiedziałem kogo, a potem sobie przypomniałem – Rabiriusza. Cycero zerwał się na nogi, aby podprowadzić go do krzesła, ale on odprawił go ruchem ręki, mamrocząc, że nic mu nie jest.

– Ta okropna afera z Klodiuszem musi się skończyć – zaczął Hortensjusz.

– Zgadzam się z tobą – odparł Cycero, który jak wiedziałem, czuł się już zmęczony tą wyniszczającą wojną na słowa z Klodiuszem. – Sprawy państwowe znalazły się w zastoju. Wrogowie się z nas śmieją.

– Musimy jak najszybciej doprowadzić do procesu. Uważam,

że powinniśmy zrezygnować z żądania, aby to pretor miejski wyznaczył sędziów.

– To jak się ich wybierze?

– Jak zwykle, przez losowanie.

– A jeśli potem się okaże, że mamy w trybunale niepewnych moralnie sędziów? Przecież nie chcemy, żeby łotra niewinniono. To dopiero byłaby katastrofa.

– Uniewinnienie jest niemożliwe. Gdy tylko sąd, niezależnie jaki, pozna dowody przeciwko niemu, będzie musiał go skazać. Potrzebujemy tylko większości. Trzeba wierzyć w rozsądek narodu rzymskiego.

– Musimy go zmiażdżyć faktami – włączył się Katulus, przykładając chusteczkę do ust. – Im szybciej, tym lepiej.

– Czy Fufiusz zgodzi się zrezygnować z weta, jeśli my zrezygnujemy z klauzuli o specjalnie wybranym trybunale?

– Zapewnia mnie, że tak, pod warunkiem że złagodzimy karę: ze śmierci na wygnanie.

– Co na to Lukullus?

– Chce procesu, wszystko jedno na jakich warunkach. Wiesz, że od lat czekał na ten dzień. Ma najrozmaitszych świadków, którzy już stoją w kolejce, żeby zeznawać przeciwko Klodiuszowi i jego niemoralnym praktykom... nawet niewolnicę, która zmieniała pościel w jego łóżku w Misenum po nocy z siostrą.

– Dobrzy bogowie! Czy to aby mądre... wywlekać publicznie takie szczegóły?

– Nigdy nie słyszałem o podobnej rozpuście. – Katulus się zaślinił. – Trzeba wysprzątać całą tę stajnię Augiasza, bo inaczej dla nas wszystkich źle to się skończy.

– Mimo to... – Cyncero zmarszczył czoło i urwał.

Nie był przekonany i chyba po raz pierwszy poczuł się niepewnie. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, po prostu sprawa brzydko mu pachniała. Jeszcze przez chwilę zgłaszał zastrzeżenia:

– Nie lepiej byłoby porzucić ten wniosek? Czyż nie dowiedliśmy już swego? Rzykujemy, że z młodego głupca zrobi się męczennik.

Ale w końcu niechętnie ustąpił Hortensjuszowi.

– Cóż, chyba musicie zrobić, co uważacie za stosowne. To wy od początku temu przewodzicie. Chcę tylko postawić sprawę jasno... nie zamierzam brać udziału w procesie.

Z wielką ulgą przyjąłem te słowa; moim zdaniem była to pierwsza rozsądna decyzja, jaką podjął po zdaniu konsulatu. Hortensjusz sprawiał wrażenie rozczarowanego, niewątpliwie liczył, że Cycero stanie na czele oskarżycieli, ale nie próbował dłużej go przekonywać i poszedł dobić targu z Fufuszem. Wniosek przeszedł i lud rzymski zatarł ręce w oczekiwaniu na najbardziej skandaliczny proces w historii republiki.

Można więc było znowu zająć się sprawami państwowymi, począwszy od losowania prowincji dla pretorów. Kilka dni przed tą ceremonią Cycero pojechał na Wzgórza Albańskie, żeby spotkać się z Pompejuszem i prosić go o przysługę: by nie domagał się odwołania Hybrydy.

– Ależ ten człowiek przynosi wstyd naszemu imperium – zaoponował Pompejusz. – Nigdy nie słyszałem o takich rabunkach i niekompetencji.

– Na pewno nie jest taki zły.

– Kwestionujesz moje słowa?

– Nie. Ale byłbym wdzięczny, gdybyś uległ mi w tej kwestii. Obiecałem mu, że go wesprę.

– Aha, rozumiem, że i ty na tym skorzystasz? – Pompejusz zmrużył oko i znacząco potarł kciuk o palec wskazujący.

– Ależ skąd. Czuję się po prostu zobowiązany chronić go w zamian za pomoc, jakiej mi udzielił podczas ratowania republiki.

Pompejusz wydawał się nieprzekonany. Ale uśmiechnął się i klepnął Cyclerona w ramię. Czym była w końcu Macedonia dla Strażnika Ziemi i Wód? Zwykłym ogrodem warzywnym!

– Dobrze, niech ma jeszcze rok. Ale oczekuję w zamian, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby przepchnąć w senacie trzy moje wnioski.

Cycero wyraził zgodę i gdy w izbie senatu przeprowadzano losowanie prowincji, nie było wśród nich Macedonii, najcenniejszej zdobyczy. Pomiedzy ośmiu pretorów miano rozlosować tylko pięć krain. Wszyscy rywale zasiedli rzędem na pierwszej ławie; Cezar zajął miejsce z samego brzegu, jak najdalej od Kwintusa. Wergiliusz losował pierwszy i jeśli dobrze pamiętam, wyciągnął Sycylię, po nim z kolei próbował szczęścia Cezar. Była to dla niego ważna chwila. Z powodu rozwodu musiał oddać posag Pompei i naciskali go wierzyciele; mówiono, że jest niewypłacalny i może będzie nawet musiał opuścić senat. Wsadził więc teraz rękę do urny i podał wyciągnięty los konsulowi. Skrzywił się, kiedy ten odczytał wynik: „Cezar wylosował Hiszpanię Dalszą!”. Na nieszczęście dla niego w tej odległej krainie nie było szans na żadną wojnę; o wiele bardziej wolałby Afrykę czy nawet Azję, gdzie miałyby większe możliwości dorobienia się majątku. Cycero zdołał powściągnąć triumfalny uśmieszek, ale tylko na moment, bo gdy chwilę później Azja przypadła Kwintusowi, pierwszy podniósł się z ławy, żeby pogratulować bratu. Kolejny raz pozwolił sobie na łzy. Wszystko wskazywało na to, że po powrocie z prowincji teraz Kwintus uzyska konsulat. Ich ród stawał się coraz bardziej wpływowy i wieczorem odbyła się w domu radosna uczta, na którą i mnie zaproszono. Cycero i Cezar znajdowali się teraz po przeciwnych stronach koła Fortuny – mój pan na górze, a Cezar na dole.

Zazwyczaj nowi namiestnicy natychmiast wyruszali do swoich prowincji; właściwie powinni byli wyjechać już przed kilkoma

miesiącami. Ale w tym wypadku senat nie pozwolił im opuszczać Rzymu przed zakończeniem procesu Klodiusza, w razie gdyby trzeba było przywrócić porządek publiczny.

Sąd zebrał się w maju; wśród oskarżycieli znaleźli się trzej młodzi członkowie rodu Korneliuszów Lentulusów: Krus, Marcellinus i Niger, który był także głównym kapłanem Marsa. Rywalizowali oni z klanem Klaudiuszów, a szczególne porachunki mieli z Klodiuszem, ponieważ uwiódł kilka kobiet z ich rodu. Głównym obrońcą był ekskonsul Skryboniusz Kurion, ojciec jednego z najbliższych przyjaciół Klodiusza. Dorobił się fortuny na wschodzie, pod dowództwem Sulli, ale nie był zbyt lotny i miał słabą pamięć. Jako mówca nazywany był Packą na Muchy, bo gdy mówił, machał rękami. Dowody miał ocenić trybunał złożony z pięćdziesięciu sześciu obywateli wybranych w drodze losowania. Byli to rozmaici ludzie, różnych stanów, począwszy od senatorów i patrycjuszy, aż po takie znane szumowiny jak Taina i Spongia. Początkowo powołano osiemdziesięciu sędziów, ale obrona i oskarżenie miały prawo zakwestionować po dwunastu z nich, z czego od razu skorzystały; obrona odrzuciła tych poważanych, a oskarżenie – podejrzanych moralnie. Ci, którzy przetrwali selekcję, siedzieli teraz razem niespokojnie.

Skandal obyczajowy zawsze przyciąga tłumy, a skandal obyczajowy, w który jeszcze zamieszane są klasy rządzące, budzi wręcz powszechne podniecenie. Ze względu na tych wszystkich, którzy chcieli mu się przysłuchiwać, proces miał się odbywać przed świątynią Kastora. Z boku ustawiono specjalne ławy dla senatorów i Cycero pierwszego dnia zajął na jednej z nich miejsce obok Hortensjusza. Była żona Cezara przezornie wyjechała z Rzymu, żeby nie składać zeznań, ale matka najwyższego kapłana, Aurelia, i jej siostra, Julia, przybyły, wystąpiły w roli świadków i identyfikowały Klodiusza jako tego, który zakłócił święte obrzędy. Aurelia wywarła szczególnie silne wrażenie,

gdy wskazała szponiastym palcem siedzącego niespełna dziesięć stóp od niej oskarżonego i oświadczyła ostrym tonem, że Dobrą Boginię należy przebłagać, skazując go na wygnanie, bo w przeciwnym razie na Rzym spadnie klęska. Tak zakończył się pierwszy dzień rozprawy.

Drugiego dnia z kolei Cezar wystąpił jako świadek i znowu uderzyło mnie podobieństwo między nim a matką – oboje byli silni i żyłaści, i tak pewni siebie, że aż aroganczy, do tego stopnia, iż uważali wszystkich, czy to arystokratów, czy plebejuszy, za znacznie niżej postawionych od siebie. (Myślę, że właśnie dlatego cieszył się taką popularnością wśród ludu; miał zbyt duże poczucie wyższości, aby być snobem). Przesłuchiwany, oświadczył, że nie może powiedzieć, co stało się tamtej nocy, gdyż nie był przy tym obecny. Dodał bardzo chłodno, że nie żywi urazy do Klodiusza – w którego stronę jednak nie spojrzął ani razu – ponieważ nie ma pojęcia, czy jest on winny, czy nie; najwyraźniej jednak nim pogardzał. Jeśli chodzi o swój rozwód, może tylko powtórzyć to, co powiedział w senacie Cyceronowi: oddalił Pomponie nie dlatego, że była winna, ale dlatego, że jako żona kapłana najwyższego powinna być ponad wszelkim podejrzeniem. Ponieważ wszyscy znali reputację Cezara – wiedzieli choćby o jego romansie z żoną Pompejusza – ta jego jaskrawa hipokryzja wywołała długie, szydercze śmiechy, które znosił, przybierając maskę całkowitej obojętności.

Skończył składanie zeznań i zszedł z podwyższenia akurat w chwili, gdy Cycero wstał, aby opuścić rozprawę. Niemal wpadli na siebie, więc nie mogli uniknąć choćby krótkiej wymiany zdań.

- Cóż, Cezarze, musisz być zadowolony, że masz już to za sobą.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Rozumiem, że to musiało być dla ciebie niezręczne.

– Ja nigdy nie czuję się niezręcznie. Ale rzeczywiście, masz rację, cieszę się, że nie muszę już występować w tej absurdalnej sprawie, bo wreszcie będę mógł wyjechać do Hiszpanii.

– Kiedy planujesz wyjazd?

– Dziś wieczorem.

– Myślałem, że senat zabronił nowym namiestnikom opuszczać Rzym, dopóki proces się nie skończy?

– Owszem, ale nie mam chwili do stracenia. Ścigają mnie wierzyciele. Muszę zdobyć w jakiś sposób dwadzieścia pięć milionów sestercji i oddać je, nic za to nie zyskując. – Wzruszył ramionami, gestem nałogowego gracza i zupełnie nieprzejęty, jak pamiętam, po czym oddalił się do swojej oficjalnej rezydencji. W ciągu godziny, w towarzystwie nielicznej świty, wyjechał z Rzymu i za jego długi musiał poręczyć Krassus.

Zeznania Cezara już były zabawne. Ale prawdziwe przedstawienie odbyło się trzeciego dnia procesu Klodiusza, gdy wystąpił Lukullus. Mówi się, że u wejścia do świątyni Apollina w Delfach widnieją trzy sentencje: „Poznaj samego siebie”, „Nie pragnij zbyt wiele” i „Nigdy nie idź do sądu”. Czy kiedykolwiek ktoś tak skwapliwie zignorował te zalecenia jak Lukullus podczas tej sprawy? Zapomniawszy, że ma być bohaterem wojennym, wszedł na podwyższenie, drżąc z pragnienia, żeby doprowadzić do upadku Klodiusza, i zaczął opowiadać, jak to zaskoczył swoją żonę w łóżku z jej bratem podczas wakacji przed dziesięcioma laty, kiedy Klodiusz gościł w jego domu nad Zatoką Neapolitańską. Od tej pory obserwował ich przez wiele tygodni, mówił Lukullus – o tak, widział, jak się dotykali, jak szepta-
li za jego plecami, gdy sądzili, że nie patrzy, mieli go za głupca – i rozkazał służkom żony, żeby co rano przynosiły mu jej prześcieradła do obejrzenia i donosiły o wszystkim, co widziały. Niewolnice te, cała szóstka, zostały wezwane przed sąd i gdy weszły na podium, zdenerwowane, z opuszczonym wzrokiem,

zobaczyłem wśród nich moją ukochaną Agathe, której obraz miałem stale przed oczami od prawie dwóch lat, kiedy to byliśmy z sobą.

Stały potulnie, gdy prezentowano ich zeznania, a ja tylko pragnąłem, żeby Agathe uniosła głowę i spojrzała w moją stronę. Machałem do niej. Nawet zagwizdałem. Stojący wokół mnie pewnie myśleli, że oszalałem. W końcu przyłożyłem do ust złożone dłonie i zawołałem jej imię. Wtedy uniosła wzrok, ale na forum tłoczyło się tyle tysięcy widzów, taki był hałas i tak jasne słońce, że nie mogła mnie dostrzec. Usiłowałem przepchnąć się do przodu, ale ludzie przede mną, którzy godzinami stali w kolejce, żeby zdobyć te miejsca, nie zamierzali mnie przepuścić. Z rozpaczą usłyszałem, że obrońca Klodiusza nie ma pytań do tych świadków, bo ich zeznania nie dotyczą sprawy, i niewolnicom kazano opuścić podwyższenie. Agathe odwróciła się, zeszła wraz z innymi i zniknęła mi z oczu.

Lukullus podjął składanie zeznań, a ja poczułem, że wzbiera we mnie straszliwa nienawiść do tego zepsutego plutokraty, nieświadomego nawet, że ma skarb, za który w tamtej chwili oddałbym życie. Byłem tak pogrążony w rozmyślaniach, że na chwilę przestałem śledzić, co mówił, i dopiero gdy dotarło do mnie, że tłum ryczy ze śmiechu, zacząłem słuchać ponownie. Lukullus opowiadał teraz, jak ukrył się w sypialni żony i był świadkiem jej cudzołóstwa z bratem, „na pieska”, jak to określił. Ale – ciągnął, ignorując rozbawienie tłumu – Klodiusz bynajmniej nie ograniczał swoich występnych praktyk do jednej siostry; chwalił się, że zdobył także dwie pozostałe. To wyznanie wywołało szczególną sensację, gdyż wszyscy przypomnieli sobie, że mąż Klodii, Celer, właśnie powrócił z Galii Przedalpejskiej, żeby ubiegać się o konsulat. Klodiusz przez cały czas siedział spokojnie i uśmiechał się szeroko do byłego szwagra, w pełni świadomy, że jeśli Lukullus pragnie mu zaszkodzić, to najbardziej szkodzi sobie i swojej reputacji. Był to trzeci dzień procesu

i u jego schyłku oskarżenie wniosło o odroczenie sprawy. Kręciłem się jeszcze jakiś czas w pobliżu, mając nadzieję, że znów zobaczę Agathe, ale już ją zabrano.

Czwartego dnia obrona podjęła próbę oczyszczenia Klodiusza z tych brudów. Zadanie to wydawało się jednak beznadziejne, bo nikt, nawet Kurion, nie miał cienia wątpliwości, że jego klient dopuścił się zniewagi, którą mu zarzucano. Niemniej jako obrońca robił, co mógł. Starał się dowieść, że cały epizod jest kwestią pomyłki, mylnej identyfikacji. Panował mrok, kobiety wpadły w histerię, intruz był w przebraniu – jak ktokolwiek może mieć pewność, że to był Klodiusz? Ale była to mało przekonująca argumentacja. Gdy jednak zbliżało się południe, obrona powołała zaskakującego świadka. Był to niejaki Gajusz Kauzyniusz Schola, jak się okazało, szanowany obywatel z położonego jakieś dziewięćdziesiąt mil od Rzymu miasta Interamna, który przyjechał, aby oświadczyć, że tamtej nocy Klodiusz był u niego w domu. Nie ugiął się nawet w krzyżowym ogniu pytań i choć stanowił tylko jeden głos przeciwko kilkunastu innym ze strony przeciwnej, łącznie z pełną przekonania matką Cezara, wydawał się dziwnie wiarygodny.

Cycero, który oglądał to z ławy dla senatorów, skinął na mnie, żebym podszedł.

– Ten człowiek albo kłamie jak z nut, albo jest niepoczytalny – szepnął. – Przecież w dniu uroczystości ku czci Dobrej Bogini Klodiusz przyszedł się ze mną zobaczyć. Pamiętam, że pokłóciłem się o to z Terencją.

Gdy zwrócił mi uwagę, sam sobie o tym przypomniałem i potwierdziłem, że ma rację.

– O co chodzi? – zapytał Hortensjusz, który jak zwykle siedział obok i próbował podsłuchać, o czym rozmawiamy.

Cycero odwrócił się do niego.

– Właśnie mówiłem, że Klodiusz był u mnie tamtego dnia,

więc jak mógł dojechać do Interamny przed zapadnięciem nocy? Jego alibi jest śmieszne. – Powiedział to bez żadnej intencji; gdyby zastanowił się nad następstwem swoich słów, byłby ostrożniejszy.

– Wobec tego musisz zeznawać – natychmiast odparł Hortensjusz. – Trzeba unieszkodliwić tego świadka.

– O nie – odmówił pospiesznie Cycero – mówiłem ci od początku, że nie chcę brać w tym udziału. – Dał mi znak, żebym poszedł za nim, wstał i opuścił forum w towarzystwie dwóch potężnie umięśnionych niewolników, którzy pełnili wtedy funkcję jego straży.

– To była głupota z mojej strony – wyznał, gdy wspinaliśmy się po stoku wzgórza do domu. – Chyba się starzeję.

Słyszeliśmy, że ludzie za nami wybuchli śmiechem na jakąś uwagę jednego ze zwolenników Klodiusza; dowody być może świadczyły przeciwko niemu, ale tłum był po jego stronie. Czuję, że Cycero jest zaniepokojony przebiegiem procesu. O dziwo, obrona zaczęła zdobywać przewagę.

Gdy odroczone rozprawę na następny dzień, wszyscy trzej oskarżyciele, w tym Hortensjusz, przyszli zobaczyć się z Cyce-ronem. Domyśliłem się, czego chcą, gdy tylko ich zobaczyłem, i w duchu przekląłem Hortensjusza za to, że stawia mojego pana w takiej sytuacji. Wprowadziłem ich do ogrodu, gdzie Cycero siedział z Terencją i oboje przyglądali się, jak mały Marek gra w piłkę. Było to piękne późne popołudnie wczesnego lata. Zapach kwiatów przesycił powietrze, a odgłosy dochodzące z forum przypominały stłumione, odległe brzęczenie owadów na łące.

– Chcemy, żebyś zeznawał – zaczął Krus, który przewodniczył oskarżeniu.

– Przypuszczałem, że to powiecie – odparł Cycero, patrząc gniewnie na Hortensjusza. – I chyba domyślacie się, jaka jest

moja odpowiedź. Oprócz mnie setki ludzi musiały widzieć Klodiusza tego dnia w Rzymie.

– Nie znajdziemy nikogo – odrzekł Krus. – To znaczy nikogo, kto zgodziłby się złożyć zeznanie.

– Klodiusz ich zastraszył – wyjaśnił Hortensjusz.

– A już na pewno nie znajdzie się nikt o takim autorytecie jak twój – dodał Marcellinus, który zawsze wspierał Cyncerona, jeszcze od czasów procesu Werresa. – Jeśli wyświadczysz nam jutro tę przysługę i potwierdzisz, że Klodiusz był tego dnia u ciebie, trybunał nie będzie miał innego wyjścia, jak go skazać. Tylko to alibi nie pozwala go zesałać na wygnanie.

Cyncero spojrział na nich z niedowierzaniem.

– Chwileczkę, senatorowie. Chcecie mi powiedzieć, że bez mojego zeznania zostanie uniewinniony? – Wszyscy zwiesili głowy. – Jak to możliwe? Nigdy przed sądem nie stanął nikt bardziej winny. – Odwrócił się do Hortensjusza. – Mówiłeś, że uniewinnienie jest w jego przypadku niemożliwe. „Trzeba wierzyć w rozsadek ludu rzymskiego”... czy nie tak powiedziałeś?

– Klodiusz stał się bardzo popularny. A ci, którzy może i za nim nie przepadają, boją się jego zwolenników.

– Zaszkoził nam też Lukullus – włączył się Krus. – Cała ta afera z prześcieradłami i ukrywaniem się za zasłoną tylko nas ośmieszyła. Niektórzy z sędziów nawet mówią, że Klodiusz jest nie bardziej zepsuty od ludzi, którzy go oskarżają.

– Więc teraz ja jestem ostatnią deską ratunku? – Cyncero podniósł ręce z desperacją.

Terencja, która trzymała małego Marka na kolanach, nagle postawiła go na ziemi i kazała mu wracać do domu. Zwróciła się do męża i powiedziała:

– Może ci się to nie podoba, ale musisz zeznawać... jeśli nie dla dobra publicznego, to we własnym interesie.

– Już mówiłem, nie chcę brać w tym udziału.

- Ale nikt bardziej od ciebie nie zyska na wygnaniu Klodiusza. Stał się twoim największym wrogiem.
- Owszem... to prawda...! Ale czyja to wina?
- Twoja... przede wszystkim dlatego, że kiedyś wspierałeś jego karierę.

Kłócili się przez dłuższą chwilę, a senatorowie przysłuchiwali się temu z pewnym rozbawieniem. W Rzymie wiadomo już było powszechnie, że Terencja nie jest zwykłą cichą, posłuszną żoną, i wieść o tej scenie także miała rozejść się po mieście. Ale chociaż Cycero miał żonie za złe, że sprzeciwia mu się w obecności kolegów, wiedziałem, że w końcu przyzna jej rację. Przeszedł mu gniew, gdy zrozumiał, że nie ma wyboru; znalazł się w pułapce.

– Dobrze – oświadczył wreszcie. – Spełnię swój obowiązek wobec Rzymu, jak zawsze, choć może mi to bardzo zaszkodzić. Ale chyba powinienem się już do tego przyzwyczaić. Zobaczymy się jutro rano, senatorowie. – I odprawił ich pełnym irytacji machnięciem ręki.

Gdy wyszli, usiadł.

– Rozumiesz, że to pułapka? – zapytał mnie z przygnębieniem.

– Pułapka na kogo?

– Na mnie, oczywiście. – Zwrócił się do Terencji: – Zastanów się: okazuje się, że w całej Italii jest tylko jeden człowiek, który może podważyć alibi Klodiusza... i tym człowiekiem jest Cycero. Myślisz, że to przypadek? – Terencja nie odpowiedziała; mnie też nie przyszło to do głowy, dopóki nie zwrócił nam na to uwagi. Powiedział do mnie: – Ten ich świadek z Interamny... Kauzyniusz Schola czy jak się tam nazywa... musimy dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Znamy kogoś w Interamnie?

Wyteżyłem pamięć i po chwili odparłem z zamierającym sercem:

– Celiusza Rufusa.

– Celiusza Rufusa – powtórzył Cyncero, uderzając ręką w krzesło. – Oczywiście.

– Jeszcze jeden człowiek, którego niepotrzebnie wpuściłeś do naszego domu – zauważyła Terencja.

– Kiedy ostatnio się z nim widzieliśmy?

– Wiele miesięcy temu.

– Celiusz Rufus! Towarzyszył Klodiuszowi w jego pijackich eskapadach i łajdactwach, gdy jeszcze był moim uczniem. – Im dłużej Cyncero się nad tym zastanawiał, tym większej nabierał pewności. – Najpierw oprowadzał się z Katyliną, a potem z Klodiuszem. Co za podstępny wąż z tego chłopca! Ten przeklęty świadek z Interamny to na pewno klient jego ojca, możesz być pewny.

– Więc myślisz, panie, że Rufus i Klodiusz dogadali się, aby zastawić na ciebie pułapkę?

– Chyba nie wątpisz, że są do tego zdolni?

– Nie. Ale mam wątpliwości, czy zadaliby sobie tyle trudu i wymyślili fałszywe alibi, żeby sprowokować cię do wystąpienia w roli świadka i obalenia go. Klodiuszowi chyba raczej zależy, żeby je uznano.

– Więc sądzisz, że stoi za tym ktoś inny?

Zawahałem się.

– Kto? – zapytała Terencja.

– Krassus.

– Ale przecież Krassus i ja już się pogodziliśmy – zauważył Cyncero. – Słyszałeś, jak mnie wychwalał w obecności Pompejusza. A potem tak tanio odstąpił mi ten dom... – Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nagle urwał.

Terencja odwróciła się i spojrzała na mnie badawczo.

– Dlaczego Krassus miałby posunąć się do czegoś takiego, żeby narobić twojemu panu kłopotów?

– Nie wiem – skłamałem. Czuję, że twarz oblewa mi rumieniec.

Cycero odpowiedział cicho:

– Równie dobrze mogłabyś zapytać dlaczego skorpion atakuje? Bo tak właśnie zachowują się skorpiony.

Rozmowa wkrótce dobiegła końca. Terencja poszła zajrzeć do Marka. Ja udałem się do biblioteki, żeby zająć się korespondencją senatora. Tylko Cycero pozostał na tarasie i patrzył w zamyśleniu na forum i dalej na Kapitol, gdy cienie powoli zaczęły się wydłużać.

Następnego rana Cycero, blady i milczący ze zdenerwowania – bo dobrze wiedział, z jakim spotka się przyjęciem – zszedł na forum w eskorcie tych samych straży, które towarzyszyły mu podczas rozprawy z Katyliną. Już rozeszła się wiadomość, że oskarżenie niespodziewanie wezwało go na świadka, i w chwili, gdy sympatycy Klodiusza zobaczyli, że przepycha się ku trybunałowi, zaczęli gwizdać i krzyczeć. Kiedy wchodził po stopniach świątyni, żeby dostać się na podwyższenie, poleciały na niego jajka i jakieś nieczystości, co sprowokowało niezwykle odzew. Niemal wszyscy sędziowie wstali z miejsc i otoczyli Cycerona kordonem, żeby go osłonić przed tymi pociskami. Niektórzy nawet odwrócili się do tłumu, odsłoniли szyje i wskazywali na nie, jakby chcieli powiedzieć do żądnych krwi popleczników Klodiusza: „Będziecie musieli zabić nas, zanim zabijecie jego”.

Cycero był przyzwyczajony do składania zeznań jako świadek. W ciągu ostatniego roku występował co najmniej w dwunastu procesach przeciwko współnikom Katyliny. Nigdy jednak nie stawał na takiej arenie jak ta i pretor miejski musiał przerwać rozprawę, dopóki nie udało się zaprowadzić porządku. Klodiusz siedział z założonymi rękami i patrzył na Cycerona ponuro; zachowanie sędziów musiało go głęboko zaniepokoić. Obok niego, po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu, zasiadła

Fulwia. Sprowadzenie jej do sądu było sprytnym posunięciem obrońcy, ponieważ miała dopiero szesnaście lat i wyglądała bardziej na córkę Klodiusza niż na zamężną kobietę – właśnie takie bezbronne młode dziewczęta potrafiły zmiękczyć serca sędziów. Poza tym pochodziła z rodu Grakchów, który cieszył się wielką popularnością wśród ludu. Miała zacięty, nieprzyjazny wyraz twarzy, ale małżeństwo z Klodiuszem musiało przecież zmienić charakter nawet najśłodszej istoty.

Kiedy w końcu wezwano głównego oskarżyciela, Lentulusa Krusa, żeby przesłuchał świadka, zapadło pełne wyczekiwania milczenie. Krus podszedł do Cyncerona.

– Chociaż zna cię cały świat, proszę, powiedz, jak się nazywałeś.

– Marek Tulliusz Cyncero.

– Czy przysięgasz na bogów, że będziesz mówić prawdę?

– Przysięgam.

– Znasz oskarżonego?

– Znam.

– Gdzie był w dniu, w którym odbywały się obrzędy ku czci Dobrej Bogini, między godziną szóstą a siódmą? Możesz odpowiedzieć sądowi?

– Mogę. Pamiętam bardzo dobrze. – Cyncero odwrócił się od przesłuchującego go do sędziów. – Był u mnie w domu.

Przez tłum widzów i trybunał sędziowski przebiegł pomruk podniecenia. Klodiusz rzucił głośno: „Kłamca!” – i jego klaka zaczęła szemrać i gwizdać. Pretor Wokoniusz nakazał ciszę. Gestem polecił oskarżycielowi, żeby kontynuował.

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości? – zapytał Krus.

– Żadnych. Oprócz mnie widzieli go też inni domownicy.

– Jaki był cel jego wizyty?

– Towarzyski.

– Czy według ciebie to możliwe, żeby oskarżony po wyjściu z twojego domu zdążył przed zmrokiem dotrzeć do Interamny?

- Nie, chyba że włożył skrzydła tak jak damski strój. To wywołało śmiechy. Nawet Klodiusz się uśmiechnął.
- Fulwia, żona oskarżonego, która także tu siedzi, twierdzi, że tamtej nocy była z mężem w Interamnie. Co na to powiesz?
- Powiem, że rozkosze małżeństwa tak zmąciły jej rozeznanie, iż nie wie już, jaki jest dzień tygodnia.

Śmiechy trwały jeszcze dłużej i znowu przyłączył się do nich Klodiusz, natomiast Fulwia uparcie patrzyła przed siebie, a jej twarz przypominała piąstkę dziecka – małą, bladą i ściągniętą. Ta kobieta umierała ze strachu.

Krus nie miał więcej pytań i wrócił na ławę dla oskarżycieli, ustępując pola adwokatowi Klodiusza. Kurion był bez wątpienia odważnym człowiekiem na polu walki, ale w sądzie nie czuł się pewnie i podszedł do wielkiego mówcy jak zdenerwowany chłopiec, który dźga patykiem węża.

- Mój klient od dawna jest twoim wrogiem, prawda?
- Ależ skąd. Póki nie dopuścił się tego aktu świętokradztwa, byliśmy w przyjacielskich stosunkach.
- Ale kiedy oskarżono go o to przestępstwo, opuściłeś go?
- Nie, opuściła go przyzwoitość i wtedy dopuścił się tego przestępstwa.

Znowu rozległy się śmiechy. obrońca wyglądał na zirytowanego.

- Twierdzisz, że czwartego dnia grudnia zeszłego roku mój klient przyszedł do ciebie z wizytą?
- Tak.
- Podejrzenie szczęśliwie się złożyło, nieprawdaż, że nagle przypomniałeś sobie o odwiedzinach Klodiusza w tamtym dniu?
- Powiedziałbym, że jeśli chodzi o daty, to najszczęśliwiej złożyły się dla niego.
- Co przez to rozumiesz?
- Hm, wątpię, żeby spędzał w Interamnie wiele dni w roku. Ale nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności tej jednej nocy, w

której przypadkiem los rzucił go do tej odległej dziury, kilkunastu świadków, jak twierdzą pod przysięgą, widziało go hasającego w kobiecym stroju po Rzymie!

Teraz, gdy znowu wszystkich ogarnęła wesołość, Klodiusz przestał się uśmiechać. Widocznie nie mógł już patrzeć, jak jego adwokat dostaje ciągi przed sądem, bo przywołał go gestem do siebie, żeby coś mu powiedzieć. Lecz Kurion, który zbliżał się do sześćdziesiątki i nie nawykł, żeby się z niego śmiano, stracił panowanie nad sobą i zaczął wymachiwać rękami.

– Niektórzy głupcy może uznają, że to bardzo zabawne gry słowne, ale ja twierdzę, że się pomyliłeś i że mój klient przyszedł do ciebie w odwiedziny zupełnie innego dnia.

– Nie mam żadnych wątpliwości co do daty... nie bez powodu. Była to pierwsza rocznica uratowania przeze mnie republiki. Wierz mi, na zawsze zapamiętam ten dzień: czwarty grudnia.

– Tak samo jak żony i dzieci tych, których zamordowałeś! – zawołał Klodiusz. Zerwał się na równe nogi. Wokoniusz natychmiast nakazał spokój, ale Klodiusz nie chciał usiąść i dalej miotał obelgi. – Postąpiłeś jak tyran i teraz też się tak zachowujesz! – Zwrócił się do swoich sympatyków na forum i zachęcił ich gestem, żeby się przyłączyli. Nie trzeba ich było długo namawiać. Niemal wszyscy ruszyli naprzód, gwizdząc i wznosząc okrzyki. Na podium spadła kolejna seria pocisków. Po raz drugi tego dnia sędziowie przyszedli Cynceronowi na ratunek: otoczyli go i próbowali osłonić jego głowę. Pretor miejski, przekrzykując zgiełk, zapytał Kuriona, czy obrona chce jeszcze przesłuchiwać świadka. Kurion, który wydawał się zdegustowany postawą sędziów broniących Cyncerona, dał znak, że już skończył, i rozprawę pospiesznie odroczone. Część sędziów, strażnicy i klienci utorowali Cynceronowi drogę na forum, a potem na Palatyn, do domu.

Spodziewałem się, że Cyncero będzie głęboko poruszony tym

zajściem, i początkowo można było odnieść takie wrażenie. Włosy miał zmierzwione, togę pomiętą i brudną. Ale poza tym wyszedł bez szwanku. Wpadł nawet w uniesienie: krążył po bibliotece i powtórnie przeżywał główne punkty swojego wystąpienia. Miał poczucie, że po raz drugi pokonał Katylinę.

– Widziałeś, jak sędziowie zwarli szeregi wokół mnie? Jeśli by szukać symbolu sprawiedliwości rzymskiej, Tironie, to widziałeś go dziś rano.

Postanowił wrócić na rozprawę, aby wysłuchać mów końcowych, i dwa dni później, kiedy miano ogłosić wyrok, wyruszył do świątyni Kastora, żeby być świadkiem skazania Klodiusza.

Sędziowie tymczasem zażądali zbrojnej ochrony od senatu i stopnie prowadzące na podwyższenia obstawiała centuria legionistów. Zbliżając się do ław zarezerwowanych dla senatorów, Cycero pozdrowił wyciągnięciem ręki sędziów i kilku z nich mu odpowiedziało, ale wielu nerwowo odwróciło wzrok.

– Pewnie boją się okazać mi przychylność w obecności zbirów Klodiusza – powiedział do mnie. – Chyba powinienem do nich podejść, gdy już oddadzą głosy, i stanąć z nimi, aby zademonstrować swoje wsparcie. Bo będą kłopoty, mimo obecności wojska. – Nie byłem pewny, czy to mądre posunięcie, ale nie zdążyłem odpowiedzieć, bo pretor właśnie wyszedł ze świątyni. Zostawiłem Cyclerona, który zajął miejsce na ławie, i dołączyłem do pozostałych widzów.

Zarówno oskarżenie, jak i obrona przedstawiły dowody i Wokoniuszowi pozostało już tylko podsumować ich argumenty, a także pouczyć sędziów o procedurach prawnych. Klodiusz siedział obok Fulwii, jak poprzednio. Od czasu do czasu odwracał się do niej i coś szeptał, a ona patrzyła surowym wzrokiem na ludzi, którzy mieli zdecydować o losie jej męża. Wszystko w sądzie zawsze dzieje się dłużej, niż można się spodziewać – trzeba odpowiedzieć na pytania, zajrzeć do kodeksów, znaleźć

dokumenty – i minęła co najmniej godzina, zanim urzędnicy wreszcie zaczęli rozdawać sędziom woskowe tabliczki do głosowania. Po jednej stronie wyryto rylcem N, czyli „niewinny”, a po drugiej W, czyli „winny”. Ten system miał służyć zachowaniu tajemnicy; wystarczyła bowiem chwila, aby zatrzeć kciukiem którąś literę i wrzucić tabliczkę do urny, która krążyła wokoło. Gdy wszyscy już oddali głosy, urnę zabrano, postawiono na stole przed pretorem i opróżniono. Ludzie stojący wokół mnie wspinali się na palce i wyciągali szyje, aby zobaczyć, co się dzieje. Dla niektórych ta pełna napięcia cisza była nie do wytrzymania, więc przerywali ją jałowymi okrzykami: „Spokojnie, Klodiuszu!”, „Niech żyje Klodiusz!” – które jednak nie wywoływały aplauzu w tłumie. Licząc się z niepogodą, nad sędziami rozpostarto baldachim i pamiętam, że łopotał jak maszt w porywach majowego wiatru. Wreszcie zakończono liczenie głosów i podano wynik pretorowi. Ten wstał i sędziowie zrobili to samo. Fulwia chwyciła Klodiusza za ramię. Zacisnąłem powieki i zacząłem się modlić. Potrzebowaliśmy tylko dwudziestu dziewięciu głosów, żeby na resztę życia pozbyć się Klodiusza.

– Za skazaniem oskarżonego głosowało dwudziestu pięciu, a za uniewinnieniem trzydziestu jeden. Werdyktem tego sądu Publiusz Klodiusz Pulcher zostaje więc uniewinniony od wniesionych przeciwko niemu zarzutów, a sprawa...

Ostatnie słowa pretora zagłuszył ryk radości. Jeśli o mnie chodzi, jakby ziemia usunęła mi się spod nóg. Czułem, że uginają się pode mną kolana, a kiedy otworzyłem oczy, oślepiony blaskiem, zobaczyłem, że Klodiusz obchodzi trybunał i ściska sędziom ręce. Legioniści splekli ramiona, żeby powstrzymać tłum napierający na podium. Zebrani wokół mnie sympatycy Klodiusza podawali mi ręce, więc ściskałem je i starałem się uśmiechać, bo w przeciwnym razie mogliby mnie pobić, albo nawet gorzej. Wśród tych wszystkich objawów radości senatorowie siedzieli na ławie bladzi i nieruchomi, tak że przypominali

połąć świeżego śniegu. Dostrzegłem miny kilku z nich – zbolałą Hortensjusza, oniemiałą Lukullusa, oburzoną Katulusa, który aż rozdziawił usta. Cycero przybrał maskę obojętności i patrzył w dal jak mąż stanu.

Chwilę później Klodiusz stanął na brzegu podium. Nie zważał na krzyki pretora, że to sąd, a nie zgromadzenie publiczne, i wyciągnął ręce, żeby nakazać spokój. Hałasy natychmiast ucichły.

– Współobywatele – powiedział – to nie jest moje zwycięstwo. To wasze zwycięstwo, was, ludu. – Podniosła się kolejna fala entuzjazmu, która dotarła do świątyni, a on zwrócił się ku niej jak Narcyz do lustra. Tym razem pozwolił na oklaski. – Urodziłem się jako patrycjusz – podjął w końcu – ale członkowie mojej klasy zwrócili się przeciwko mnie. To wy mnie wsparliście i podtrzymaliście na duchu. To wam zawdzięczam życie. Jestem wasz. Chciałbym być wśród was. I od tej chwili będę wam służył. Dlatego chcę ogłosić, że w dniu tego wspaniałego zwycięstwa postanawiam wyrzec się mojego dziedzictwa jako patrycjusz i zostać plebejuszem. – Zerknął na Cyncerona. Ten nie przypominał już opanowanego męża stanu. Patrzył na Klodiusza z jawnym zdumieniem. – I jeśli mi się powiedzie, będę robił karierę nie poprzez senat... nadęty i skorumpowany... ale jako przedstawiciel ludu, jeden z was, jako trybun! – Aplauz się nasilił, lecz Klodiusz, jak poprzednio, uciszył go uniesieniem ręki. – I jeśli wy, lud, wybieriecie mnie na trybuna, obiecuję wam, moi przyjaciele: ci, którzy bezprawnie odebrali życie obywatelom rzymskim, wkrótce dowiedzą się, jak smakuje ludowa sprawiedliwość!

Później Cyncero wrócił do swojej biblioteki, żeby naradzić się w sprawie wyroku z Hortensjuszem, Katulusem i Lukullusem,

a Kwintus poszedł się dowiedzieć, co się naprawdę stało. Gdy senatorowie siadali wzburzeni, Cycero kazał mi przynieść wina.

– Cztery głosy – mamrotał. – Tylko cztery głosy za skazaniem, a ten nieodpowiedzialny rozpustnik byłby już w drodze za granice Italii i więcej byśmy go nie widzieli. Cztery głosy! – powtarzał nieustannie.

– Cóż, to dla mnie oznacza koniec, senatorowie – oznajmił Lukullus. – Wycofam się z życia publicznego. – Z daleka wydawało się, że zachował dawny chłodny sposób bycia, ale kiedy podeszło się bliżej, tak jak ja, gdy podawałem mu kielich wina, można było zauważyć, że w sposób nieopanowany mruga powiekami. Został poniżony. Szybko wypił wino i wyciągnął kielich, żebym napelnił go ponownie.

– Nasi koledzy wpadną w popłoch – zauważył Hortensjusz.

– Ja się czuję tak, jakbym zaraz miał zemdleć – powiedział Katulus.

– Cztery głosy!

– Zajmę się hodowlą ryb, będę studiował filozofię i przygotowuję się do śmierci. W tej republice nie ma już dla mnie miejsca.

Akurat przybył Kwintus, który przynosił wieści z sądu. Jak powiedział, rozmawiał z oskarżycielami, a także z trzema sędziami, którzy głosowali za skazaniem Klodiusza.

– Zdaje się, że jeszcze nie było takiego przekupstwa w historii rzymskiego wymiaru sprawiedliwości. Krążą plotki, że ci najbardziej wpływowi dostali po czterysta tysięcy, aby wyrok był po myśli Klodiusza.

– Czterysta tysięcy? – powtórzył Hortensjusz z niedowierzaniem.

– Ale skąd Klodiusz wziął takie sumy? – zapytał stanowczo Lukullus. – Ta mała suka, jego żona, jest bogata, ale mimo wszystko...

Kwintus wyjaśnił:

– Mówi się, że pieniądze wyłożył Krassus.

Po raz drugi tego dnia poczułem się tak, jakby ziemia rozstała mi się pod nogami. Cycero zerknął szybko w moją stronę.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedział Hortensjusz. – Po co Krassus miałby wyrzucać fortunę, aby ratować Klodiusza, właśnie jego?

– Cóż, powtarzam tylko to, co mówią ludzie – odparł Kwintus. – Krassus zeszłego wieczoru zaprosił do siebie dwudziestu sędziów, jednego po drugim, i pytał każdego z nich, co by chcieli. Niektórym spłacił długi. Z innymi poszedł na układy. Reszta wzięła gotówkę.

– Ale to jeszcze nie stanowi większości – zauważył Cycero.

– Nie, mówi się, że Klodiusz i Fulwia też nie próżnowali – ciągnął Kwintus. – Szafowali nie tylko złotem. Zeszłej nocy trzeszczały łóżka w wielu dobrych domach rzymskich, bo niektórzy sędziowie woleli zapłatę w innej monecie... od mężczyzny albo kobiety. Słyszałem, że Klodia nie szczędziła sił, aby zdobyć kilka głosów.

– Katon od początku miał rację! – wykrzyknął Lukullus. – Nasza republika gnije od środka. Jesteśmy skończeni. A Klodiusz to czerw, który nas niszczy.

– Wyobrażacie sobie, żeby patrycjusz przeszedł do plebsu? – zapytał Hortensjusz ze zdumieniem. – Wyobrażacie sobie, że ktoś w ogóle mógłby wpaść na taki pomysł?

– Senatorowie, senatorowie – powiedział uspokajająco Cycero – przegraliśmy sprawę, to wszystko... nie traćcie zimnej krwi. Klodiusz to nie pierwszy winny, który wychodzi z sądu wolny.

– On dobierze się do ciebie, bracie – ostrzegł Kwintus. – Jeśli przejdzie do plebsu, na pewno zostanie wybrany na trybuna...

jest zbyt popularny, żebyśmy mogli temu zapobiec... a gdy zdobędzie władzę wiążącą się z tym stanowiskiem, może przysporzyć nam wielu kłopotów.

– Nie dojdzie do tego – odparł Cycero. – Procedury nie pozwolą mu przejść do plebsu. A jeśli jakimś fatalnym zrządzeniem losu tak się stanie, to czy naprawdę sądzicie, że ja... po tym, co osiągnąłem w tym mieście, zaczynając od zera... naprawdę sądzicie, że nie poradzę sobie z takim rozchichotanym małym zwyrodnialcem jak nasza Królowa Piękności? Przetraściłbym mu kręgosłup jedną mową!

– Masz rację – przyznał Hortensjusz – i chcę, byś wiedział, że nigdy cię nie opuścimy. Jeśli ośmieli się wystąpić przeciwko tobie, będziesz miał nasze bezwarunkowe wsparcie. Czy nie tak, Lukullusie?

– Oczywiście.

– Mam rację, Katulusie? – Stary patrycjusz jednakże nie odpowiedział. – Katulusie? – Znowu nie było odpowiedzi. Hortensjusz westchnął. – Obawiam się, że ostatnio bardzo się postarzał. Obudź go, Tironie, dobrze?

Położyłem Katulusowi dłoń na ramieniu i delikatnie nim potrząsnąłem. Głowa opadła mu na bok i musiałem go złapać, żeby nie osunął się na podłogę. Wtedy z kolei głowa odchyliła mu się do tyłu, tak że jego pergaminowa twarz nagle znalazła się naprzeciwko mojej. Oczy miał otwarte, a usta uchylone i ciekła z nich ślina. Gwałtownie cofnąłem rękę z przerażenia. Kwintus podszedł, dotknął jego szyi i oświadczył, że starzec nie żyje.

Tak odszedł z tego świata Kwintus Lutacjusz Katulus w sześćdziesiątym pierwszym roku życia: konsul, kapłan, zagorzały obrońca władzy senatu. Pochodził z poprzedniej, surowszej epoki i jego śmierć była dla mnie, podobnie jak odejście Metellusa Piusa, kamieniem milowym w dziejach schyłku republiki.

Hortensjusz, który był szwagrem Katulusa, wziął od Cyncerona świecę, zbliżył ją do twarzy starca i próbował przywołać go do życia. Nigdy wyraźniej nie dostrzegłem sensu tej dawnej tradycji niż w tamtej chwili, bo naprawdę wydawało się, że duch Katulusa tylko na chwilę wymknął się z pokoju i zaraz wróci, gdy się go przywoła. Czekaliśmy, żeby ożył, ale oczywiście tak się nie stało, więc po chwili Hortensjusz ucałował zmarłego w czoło i zamknął mu powieki. Uroniłem łzę i nawet Cyncero miał zaczerwienione oczy, bo choć początkowo on i Katulus byli wrogami, to z biegiem czasu zaczęli współdziałać i mój pan szanował go za uczciwość. Tylko Lukullus wydawał się zupełnie nieporuszony, ale doszedł chyba już do punktu, w którym od ludzi wolał ryby.

Oczywiście, dyskusja o procesie się zakończyła. Wezwano niewolników Katulusa, żeby zabrali ciało swojego pana do pobliskiego domu, a potem Hortensjusz poszedł zanieść wieść o jego śmierci domownikom, Lukullus zaś udał się do siebie, żeby posilić się samotnie w swojej wielkiej sali Apollina, gdzie pewnie podano mu skrzydła skowronków albo języki słowików. Co do Kwintusa, oznajmił, że musi wyruszyć o świcie następnego rana w długą podróż do Azji. Cyncero wiedział, że brat jest zobowiązany wyjechać zaraz po ogłoszeniu wyroku, ale widziałem, że jest to dla niego największy cios ze wszystkich, które dotknęły go tego dnia. Wezwał Terencję i małego Marka, żeby się z nim pożegnali, a potem nagle umknął sam do biblioteki, powierzając mi odprowadzenie Kwintusa do drzwi.

– Żegnaj, Tironie – powiedział Kwintus, biorąc moją dłoń w obie ręce. Były stwardniałe, miały odciski; nie jak delikatne ręce Cyncerona, który nigdy nie pracował fizycznie, lecz parął się prawem. – Będzie mi brakowało twoich rad. Pisz do mnie często i donoś mi, jak radzi sobie mój brat, dobrze?

– Z chęcią.

Miał już wyjść na ulicę, ale odwrócił się jeszcze i powiedział:
– Powinien był cię wyzwolić, gdy przestał być konsulem.
Taki miał zamiar. Wiedziałaś o tym?

Oniemiałem, słysząc tę nowinę.

– Przestał o tym wspominać – wyjąkałem. – Uznałem, że zmienił zdanie.

– Boi się, że za dużo wiesz, tak mi mówił.

– Ależ nie zdradziłbym nikomu ani słowa z tego, czego dowiedziałem się w zaufaniu.

– Wiem i on też to wie w głębi serca. Nie martw się. W gruncie rzeczy to tylko wymówka. Po prostu się lęka, że mógłbyś go opuścić jak Attyk i ja. Polega na tobie bardziej, niż się domyślasz.

Byłem zbyt poruszony, aby coś powiedzieć.

– Kiedy wrócę z Azji – ciągnął – zostaniesz wyzwolony, obiecuję ci to. Należysz do rodziny, nie tylko do mojego brata. Tymczasem czuwaj nad jego bezpieczeństwem, Tironie. W Rzymie dzieje się coś, co bardzo mnie niepokoi.

Uniósł rękę w geście pożegnania i w towarzystwie służących ruszył ulicą. Stałem na stopniu i patrzyłem za nim, dopóki jego znajoma krępa sylwetka, z szerokimi ramionami, oddalająca się miarowym krokiem po stoku wzgórza, nie zniknęła z widoku.

XV

Klodiusz powinien natychmiast wyjechać na Sycylię jako młodszy urzędnik. Wolał jednak pozostać w Rzymie, żeby upajać się zwycięstwem. Miał nawet chęć zasiąść w senacie, do czego właśnie nabył prawo. Było to w idy majowe, dwa dni po zakończeniu procesu, i izba debatowała na temat sytuacji politycznej w efekcie porażki, jaką się okazał. Przywitany głośnymi syknięciami Klodiusz uśmiechnął się do siebie, jakby te objawy wrogości tylko go bawiły, a kiedy żaden z senatorów nie przesunął się na ławie, żeby zrobić mu miejsce, oparł się o ścianę i splótł ramiona na piersi, patrząc z drwiącym uśmieszkiem na przemawiającego. Krassus, który zajmował swoje zwykłe miejsce na pierwszej ławie, sprawiał wrażenie bardzo skrępowanego i udawał, że ogląda zadrapanie na swoim skórzanym czerwonym bucie. Cycero po prostu zignorował Klodiusza i przemawiał dalej.

– Senatorowie – mówił – nie możemy się ugiąć ani załamać pod jednym ciosem. Zgadzam się, musimy być świadomi, że nasz autorytet został podważony, ale to nie znaczy, że powinniśmy wpadać w panikę. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie przejęli się tym, co zaszło, ale też tchórzami, gdybyśmy dali się

zastraszyć. Być może sędziowie puścili wolno wroga państwa...

Klodiusz zawołał:

– Puścili mnie wolno nie dlatego, że jestem wrogiem państwa, ale po to, żebym zrobił w Rzymie porządki!

– Mylisz się, Klodiuszu – odparł Cyncero spokojnie, nawet nie racząc na niego spojrzeć. – Sędziowie oszczędzili cię nie po to, żebyś wyszedł na ulice Rzymu, ale żebyś skończył w celi śmierci. Zależało im nie tyle na tym, żebyś z nami został, ile na tym, żebyś nie uciekł na wygnanie. – Po czym podjął poprzedni wątek: – A zatem, senatorowie, nie lękajcie się i zachowajcie godność...

– A co z twoją godnością, Cynceronie?! – znowu wykrzyknął Klodiusz. – Bierzesz łapówki!

– Wciąż istnieje porozumienie uczciwych ludzi...

– Wziąłeś łapówkę, żeby kupić sobie dom!

Teraz Cyncero obrócił się ku niemu.

– Ale przynajmniej nie przekupiłem sędziów – odparł.

Senat ryknął śmiechem i przywiodło mi to na myśl starego lwa, który uderzeniem łapy karci niegrzeczne młode. Ale Klodiusz mówił dalej:

– Powiem ci, dlaczego mnie uniewinniono... bo skłamałeś, składając zeznanie, i sędziowie ci nie uwierzyli.

– Wręcz przeciwnie, uwierzyło mi dwudziestu pięciu sędziów. Tobie nie ufało trzydziestu jeden... bo zażądali łapówki z góry.

Może teraz nie brzmi to szczególnie śmiesznie, ale wtedy wydawało się, że Cyncero rzucił najdowcipniejszą uwagę w historii. Prawdopodobnie swoim głośnym śmiechem zebrani pragnęli okazać mu poparcie i za każdym razem, gdy Klodiusz próbował odpowiedzieć, śmiali się jeszcze głośniej, tak że w końcu dał za wygraną i z irytacją opuścił izbę. Uznane to zostało za wielki sukces Cyncerona, zwłaszcza że parę dni później Klodiusz

wyjechał z Rzymu na Sycylię, i przez kilka następnych miesięcy mój pan mógł zapomnieć o Królowej Piękności.

Tymczasem Pompejuszowi Wielkiemu wyraźnie dano do zrozumienia, że jeśli chce ubiegać się po raz drugi o konsulat, będzie musiał porzucić nadzieje na triumf i przybyć do Rzymu, aby wziąć udział w kampanii wyborczej, a na to nie mógł się zdobyć, bo choć lubił władzę i wpływy, jeszcze bardziej lubił wielkie widowiska – jarmarczne kostiumy, ryk trąb, pomruki i smród dzikich zwierząt w klatkach, stukot butów i hałaśliwe wiwaty żołnierzy, uwielbienie tłumu.

Zrezygnował więc z planów ubiegania się o konsulat i wyznaczono mu datę triumfalnego wjazdu do miasta, która, tak jak tego chciał, zbiegała się z jego czterdziestymi piątymi urodzinami, pod koniec września. Taka była jednak skala jego dokonań, że parada – która, jak obliczono, miała ciągnąć się co najmniej przez dwadzieścia mil – musiała trwać pełne dwa dni. Dlatego już w przeddzień urodzin imperatora Cycero i reszta senatu wyruszyli na Pole Marsowe, żeby oficjalnie go powitać. Na tę okazję Pompejusz nie tylko pomalował sobie twarz na czerwono, ale także przywdział olśniewającą złotą zbroję i narzucił na nią wspaniałą płaszcz, który podobno niegdyś należał do Aleksandra Wielkiego. Wokół niego zebrały się tysiące weteranów, którzy strzegli setek wozów wyładowanych łupami wojennymi.

Aż do tej pory Cycero nie zdawał sobie sprawy z wielkości majątku Pompejusza. Powiedział do mnie:

– Milion, dziesięć milionów czy sto... co to takiego? Tylko słowa. Wyobraźnia nie ogarnia ich znaczenia.

Pompejusz jednak zgromadził te wszystkie bogactwa w jednym miejscu, by zademonstrować swoją potęgę. Wykwalifikowany robotnik na przykład, który pracowałby w Rzymie od rana do wieczora, mógł uważać się za szczęśliwca, jeśli na koniec dnia

dostał jedną srebrną drachmę. Pompejusz tego ranka wystawił otwarte skrzynie, które zawierały siedemdziesiąt pięć milionów drachm w srebrze; przekraczało to roczne dochody z podatków z całego rzymskiego świata. A była to tylko gotówka. Nad całą paradą górował złoty posąg Mitrydatesa wysokości dwunastu stóp, ciągnięty przez cztery woły. Niesiono także tron króla i jego berło, również ze złota; trzydzieści trzy jego korony, wykonane z pereł, oraz trzy złote posągi Apollina, Minerwy i Marsa; złotą górę w kształcie piramidy, z jeleniem i lwami, rozmaitymi owocami i winną latoroślą, która to wszystko oplatała; wielką szachownicę, liczącą trzy stopy szerokości i cztery długości, zrobioną z cennych klejnotów, zielonych i niebieskich, ze złotym księżycem o wadze trzydziestu funtów; a także zegar słoneczny z pereł. Kolejnych pięć wozów wiozło najcenniejsze księgi z królewskiej biblioteki. Wszystko to zrobiło ogromne wrażenie na Cycleronie, który zdawał sobie sprawę, że takie bogactwo musi wywrzeć nieprzewidywalny wpływ na Rzym i jego politykę. Z wielką przyjemnością podszedł do Krassusa i drażnił się z nim:

– Cóż, Krassusie, kiedyś uchodziłeś za najbogatszego człowieka w Rzymie... ale to już chyba należy do przeszłości. Teraz nawet ty będziesz prosił Pompejusza o pożyczkę!

Krassus uśmiechnął się krzywo; widać było, że ten widok odebrał mu mowę.

Pompejusz pierwszego dnia wysłał to wszystko do miasta, ale sam pozostał za murami Rzymu. Parada rozpoczęła się drugiego dnia, w jego urodziny; na jej czele szli jeńcy, których sprowadził ze wschodu: najpierw dowódcy wojskowi i dostojnicy z otoczenia Mitrydatesa, potem hersztowie wziętych do niewoli piratów, następnie król żydowski oraz król Armenii z żoną i synem, i wreszcie, w centralnym punkcie tej części pochodu, siedmioro dzieci Mitrydatesa i jedna z jego sióstr. Tysiące Rzymian na Forum Boarium i w Circus Maximus szczydziło z nich i

obrzucało ich łajnem oraz ziemią, tak że gdy w końcu dowlekli się Via Sacra do karceru, wyglądali jak figurki z gliny, które ożyły. Przy karcerze zostali zatrzymani i czekali pod okiem kata i jego pomocników, trzęsąc się ze strachu na myśl o swoim dalszym losie, podczas gdy od strony Bramy Triumfalnej dobiegły donośne ryki, świadczące, że wreszcie do miasta wjechał ten, który wziął ich w niewolę.

Cycero stał z resztą kolegów przed budynkiem senatu i też czekał. Ja znajdowałem się po przeciwnej stronie forum i gdy tak sunął między nami ten pochód, straciłem go z oczu wśród tych wszystkich świadectw chwały. Przejechały wozy z barwnymi obrazami, które przedstawiały wszystkie krainy podbite przez Pompejusza: Albanie, Syrię, Palestynę, Arabię i tak dalej; za nimi wieziono osiemset ciężkich brązowych dziobów okrętów, które zdobył, oraz stopy błyszczących zbroi, tarczy i mieczy, należących niegdyś do wojsk Mitrydatesa. Za tym wszystkim maszerowali legionieści Pompejusza, którzy śpiewali sprośne piosenki o swoim wodzu, i wreszcie na forum pojawił się sam Pompejusz; jechał wysadzonym klejnotami rydwanem, ubrany w purpurową togę z wyszytymi złotymi gwiazdami i oczywiście płaszcz Aleksandra. Za nim na stopniu stał niewolnik, który zgodnie z tradycją miał mu szeptem przypominać, że jest tylko człowiekiem. Nie zazdrościłem nieszczęśnikowi jego roboty i widać było, że już działa Pompejuszowi na nerwy, bo gdy tylko powożący rydwanem zajechał przed karcer i ściągnął koniom wodze, a cała parada się zatrzymała, Pompejusz zepchnął go na ziemię i zwrócił swoją pomalowaną na czerwono twarz w stronę brudnych jeńców, do których przemówił.

– Ja, Pompejusz Wielki, zdobywca trzystu dwudziestu czterech krain, otrzymawszy władzę życia i śmierci od senatu i ludu rzymskiego, niniejszym ogłaszam, że wszyscy z was, jako poddani imperium rzymskiego, zostaniecie natychmiast... – tu urwał – ...uwolnieni i będziecie mogli powrócić w swoje ojczyste strony.

Idźcie i powiedzcie światu o mojej łaskawości!

Było to równie wspaniałomyślne jak nieoczekiwane, ponieważ Pompejusz za młodu nazywany był „chłopcem od rzeźnika” i rzadko okazywał komukolwiek łaskę. Tłum początkowo wydawał się rozczarowany, lecz potem zaczął klaskać, a jeńcy, gdy dotarło do nich, co powiedział, wyciągnęli ręce i dziękowali Pompejuszowi każdy w swoim języku. Ten skwitował wyrazy ich wdzięczności machnięciem ręki, po czym zeskoczył z rydwanu i podążył na Kapitol, gdzie miał złożyć ofiarę Jowiszowi. Senatorowie, łącznie z Cynceronem, poszli za nim i miałem już ruszyć za nimi, gdy dokonałem niezwykłego odkrycia.

Teraz, gdy parada się skończyła, wozy wyładowane bronią i rynsztunkiem zaczęły ustawiać się w kolejce, żeby opuścić forum, i po raz pierwszy miałem okazję przyjrzeć się z bliska niektórym mieczom i nożom. Nie znałem się specjalnie na żołnierce, ale nawet ja zauważyłem, że ta nowiutka broń z orientalnymi zakrzywionymi ostrzami i tajemniczymi grawerunkami na rękojeściach bardzo przypomina tę, którą znalazłem w domu Cete-gusa i opisałem w przeddzień jego egzekucji. Już wyciągałem rękę, żeby wziąć jeden z tych noży i pokazać Cynceronowi, ale legionista, który strzegł wozu, krzyknął do mnie, żebym trzymał się z daleka. Chciałem mu powiedzieć, kim jestem i dlaczego potrzebuję tego noża, ale na szczęście odzyskałem rozum i ugryzłem się w język. Odwróciłem się bez słowa i pospiesznie odszedłem, a kiedy zerknąłem za siebie, legionista wciąż patrzył na mnie podejrzliwie.

Cyncero musiał być obecny na oficjalnej uczcie na cześć Pompejusza, która odbywała się po złożeniu ofiary, i gdy wieczorem wrócił do domu, był w złym humorze, jak zwykle gdy przyszło mu spędzić jakiś czas w jego towarzystwie. Ze zdziwieniem zobaczył, że na niego czekam, i słuchał z uwagą, gdy

opowiadałem mu o swoim odkryciu. Byłem niezwykle zadowolony z własnej spostrzegawczości i spodziewałem się, że mnie pochwalą. On jednak zirytował się jeszcze bardziej.

– Chcesz mi powiedzieć – rzucił, gdy skończyłem – że Pompejusz wcześniej odesłał zdobyczną broń, żeby wesprzeć spisek Katyliny?

– Wiem jedynie, że znaki i wzory były identyczne...

Cycero mi przerwał.

– To wyrotowe uwagi! Nie mogę pozwolić, żebyś mówił takie rzeczy! Widziałeś, jak potężny jest Pompejusz. Nie wspominaj o tym więcej, słyszysz, co mówię?

– Przepraszam – powiedziałem, zacinając się z zakłopotania.
– Proszę, wybac mi, panie.

– Poza tym jak Pompejusz dostarczyłby tę broń do Rzymu? Był tysiące mil stąd.

– Może przywiózł ją Metellus Nepos.

– Idź do łóżka – polecił mi gniewnie. – Wygadujesz bzdury.
– Jednakże musiał przemyśleć to w nocy, bo następnego rana był już dla mnie łagodniejszy. – Może masz rację i rzeczywiście broń pochodziła od Mitrydatesa. W końcu zdobyto cały królewski arsenał i to możliwe, że Nepos przywiózł jego część z sobą. Co nie znaczy, że Pompejusz aktywnie wspierał Katylinę.

– Oczywiście, że nie – potwierdziłem.

– To byłoby zbyt odrażające. Tymi nożami zamierzano poderżnąć mi gardło!

– Pompejusz nie zrobiłby krzywdy ani tobie, panie, ani nikomu z senatorów – zapewniłem go.

A następnego dnia Pompejusz zaprosił Cycerona do siebie.

Strażnik Ziemi i Wód rezydował w swoim starym domu na Eskwilinie. Budynek w lecie został przebudowany. Jego ściany ozdabiały teraz dzioby zdobycznych pirackich okrętów. Niektóre

z nich wykonano z brązu i przypominały głowy gorgon. Inne były w kształcie pysków zwierzęcych i miały rogi. Cyncero nie widział ich wcześniej i patrzył na nie z niesmakiem.

– Wyobraź sobie, jak się tam śpi co noc – powiedział, gdy czekaliśmy, aż odzwierny otworzy nam drzwi. – To jak komora grobowa faraona. – I od tego czasu często mówił o Pompejuszu „Faraon” albo „Szach”.

Na ulicy zebrał się spory tłum ludzi, którzy podziwiali dom. W środku tłoczyli się klienci, którzy liczyli, że pożywią się przy złotym korycie Pompejusza. Byli wśród nich zubożali senatorowie gotowi sprzedać swój głos, przedsiębiorcy, którzy chcieli przekonać Pompejusza, aby powierzył im swoje pieniądze, właściciele statków, treserzy koni, wytwórcy mebli i biżuterii, a także zwyczajni żebracy, mający nadzieję, że wzruszą go opowieściami o swoich nieszczęściach. Ku zazdrości tych wszystkich sępów zostaliśmy od razu wprowadzeni do dużego prywatnego pokoju. W jednym jego rogu stał manekin krawiecki, na którym wisiały triumfalna toga Pompejusza i płaszcz Aleksandra; w innym widniało wielkie popiersie imperatora, wykonane z samych pereł, które widziałem już podczas parady. Na środku zaś, na kozłach, stał model wielkiego kompleksu budynków. Nad nim pochylał się nasz gospodarz, trzymając w obu rękach dwie miniaturowe świątynie. Grupa stojących za nim mężczyzn jakby czekała z niepokojem na jego decyzję.

– Ach – powiedział Pompejusz, unosząc głowę – oto i Cyncero. To bystry człowiek. On mi doradzi. Jak sądzisz, Cynceronie? Powinienem tu zbudować cztery świątynie czy trzy?

– Ja zawsze buduję świątynie czwórkami – odparł Cyncero – jeśli oczywiście mam miejsce.

– Doskonała rada! – wykrzyknął Pompejusz. – Niech więc będą cztery. – Po czym wśród oklasków zgromadzonych ustawił świątynie w szeregu. – Później zdecydujemy, którym bogom je

dedykować. No? – zwrócił się do Cyncerona, wskazując makietę.
– Co o tym myślisz?

Cyncero spojrział na wymyślną konstrukcję.

– Imponujące. Co to jest? Pałac?

– Teatr na dziesięć tysięcy widzów. Będą tam ogrody publiczne otoczone portykiem. I świątynie. – Odwrócił się do stojących za nim ludzi, którzy, jak się zorientowałem, byli architektami. – Przypomnijcie mi jeszcze raz. Jak wielkie to będzie?

– Cała ta konstrukcja będzie się ciągnąć przez ćwierć mili, panie.

Pompejusz uśmiechnął się szeroko i potarł rękę.

– Budynek długości ćwierci mili? Wyobraź to sobie!

– A gdzie stanie? – zapytał Cyncero.

– Na Polu Marsowym.

– A gdzie ludzie będą głosować?

– Och, gdzieś tutaj – odparł Pompejusz i machnął ręką nie dbale. – Albo tu, nad rzeką. Miejsca nie zabraknie. Zabierzcie to – nakazał architektom – zabierzcie i zacznijcie kopać fundamenty, a o koszty się nie martwcie.

Gdy wyszli, Cyncero zauważył:

– Nie chciałbym cię zniechęcać, Pompejuszu, ale obawiam się, że możesz napotkać trudności u cenzorów z realizacją tego przedsięwzięcia.

– A dlaczegoż to?

– Zawsze zabraniali budowy stałego teatru w Rzymie, ze względów moralnych.

– Myślałem o tym. Powiem im, że buduję świątynię Wenus. Dobuduje się do niej scenę... ci architekci znają się na rzeczy.

– Sądzisz, że cenzorzy ci uwierzą?

– Dlaczego by mieli nie uwierzyć?

– Świątynia Wenus długości ćwierci mili? Pomyślą, że przesadzasz z tą pobożnością.

Jednakże Pompejusz nie był w nastroju do żartów, a już na pewno nie miał ochoty słuchać docinków Cyclerona. Natychmiast wydał swoje wydatne usta, tak że zadrgały mu kąciki. Słyszał z tego, że łatwo traci panowanie nad sobą, i po raz pierwszy byłem świadkiem, jak szybko to się dzieje.

– To miasto! – wykrzyknął. – Pełno w nim małych ludzi... zawistnych małych ludzi! Chcę ofiarować Rzymianom najwspanialszy budynek w dziejach świata, ja, Pompejusz Wielki, i czy słyszę jakieś podziękowania? Nie. Żadnych! – Kopnął jeden z kozłów. Przypomniał mi się mały Marek w pokoju dziecięcym, gdy kazano mu skończyć zabawę. – A skoro mowa o małych ludziach – ciągnął groźnie – czy senat wreszcie przegłosował którąś z ustaw, o które prosiłem? Gdzie wniosek o ratyfikowanie moich postanowień na wschodzie? A ziemia dla weteranów... co się z tym dzieje?

– To wymaga czasu...

– Myślałem, że się rozumiemy: wesprę cię w sprawie Hybrydy, a ty załatwisz mi ustawy w senacie. Hm, ja wywiązałem się ze swoich zobowiązań. A ty?

– To niełatwa sprawa. Sam tych wniosków nie przegłosuję. Jestem tylko jednym z sześciuset senatorów, a ty, niestety, masz wśród nich wielu przeciwników.

– Kogo? Powiedz!

– Wiesz lepiej ode mnie. Celer nie wybaczy ci, że rozwiodłeś się z jego siostrą. Lukullus wciąż ma do ciebie pretensje, że przejąłeś po nim dowództwo na wschodzie. Krassus zawsze był twoim rywalem. Katon uważa, że zachowujesz się jak władca...

– Katon! Nie wspominaj przy mnie o nim! To przez niego nie mam żony! – Donośny głos Pompejusza słychać było w całym domu i zauważyłem, że niektórzy z jego służących podkraśli się na palcach pod drzwi i patrzyli ze strachem na to, co się dzieje. – Odkładałem rozmowę z tobą do czasu, aż odbędę triumf, gdyż liczyłem, że zdążysz czegoś dokonać. Ale wróciłem

do Rzymu i domagam się należnego szacunku! Słyszysz mnie? Domagam się szacunku!

– Oczywiście, że słyszę. Nawet głuchy by cię usłyszał. Jestem twoim przyjacielem i będę wspierał twoje interesy, jak zawsze zresztą.

– Jak zawsze? Jesteś tego pewny?

– Powiedz, kiedy nie byłem wobec ciebie lojalny.

– A sprawa Katyliny? Mogłeś sprowadzić mnie do kraju, żebym bronił republiki.

– Powinieneś mi podziękować, że tego nie zrobiłem, bo oszczędziłem ci odium za rozlanie rzymskiej krwi.

– Poradziłbym sobie z tym o tak! – Pompejusz pstryknął palcami.

– Ale najpierw Katyliną by wymordował wszystkich przywódców senatu, łącznie ze mną. A może to by ci odpowiadało?

– Oczywiście, że nie.

– Wiesz, że taki miał zamiar? Znaleźliśmy w mieście arsenał broni do tego celu.

Pompejusz spojrział na niego groźnie i tym razem Cycero wytrzymał jego spojrzenie, aż tamten pierwszy opuścił wzrok.

– Nic nie wiem o żadnej broni – mruknął. – Nie umiem się z tobą kłócić. Nigdy nie umiałem. Jesteś dla mnie za bystry. Prawda jest taka, że lepiej znam się na wojnie niż na polityce. – Zmusił się do uśmiechu. – Chyba muszę przyzwyczać się do tego, że świat nie będzie słuchał moich rozkazów. – „Niechaj broń ustąpi todze, a laur słowom”... czy to nie ty napisałeś? „O, szczęśliwy Rzym, zrodzony za mego konsulatu”... pamiętam, widzisz? Następny fragment. Co na to powiesz? Gorliwie studiuję to twoje dzieło.

Pompejusz nie przepadał za poezją i to, że potrafił wyrecytować kolejne linijki z poematu Cycerona poświęconego jego dokonaniom – który był już czytany w całym Rzymie – stanowiło dowód, że jest niebezpiecznie zazdrosny. Jednakże zdobył się

na to, żeby poklepać mojego pana po ramieniu, i zebrani przy drzwiach odetchnęli z ulgą. Powoli rozeszli się do swoich obowiązków i niebawem znowu rozległy się odgłosy życia domowego, a Pompejusz – któremu dobry humor wracał równie szybko, jak przechodził – nagle zaproponował, żeby napili się wina. Przyniosła je bardzo piękna kobieta, która, jak się potem dowiedziałem, miała na imię Flora. Była jedną z najstynniejszych kurtyzan w Rzymie i mieszkała pod dachem Pompejusza, dopóki ponownie się nie ożenił. Zawsze nosiła szal na szyi, aby ukryć, jak twierdziła, ślady po miłosnych ukąszeniach Pompejusza. Skromnie naląła wina, a potem wyszła, podczas gdy Pompejusz pokazał nam płaszcz Aleksandra, który rzekomo znalazł w prywatnych apartamentach Mitrydatesa. Płaszcz wydał mi się jednak całkiem nowy i zauważyłem, że Cycero z trudem zachowuje powagę na twarzy.

– Pomyśleć tylko – powiedział z nabożnym szacunkiem, dotykając materiału – ma trzysta lat, a wygląda, jakby go uszyto niespełna dziesięć lat temu.

– Ma magiczne właściwości – dodał Pompejusz. – Dopóki mam go przy sobie, nic mi nie grozi. – Gdy odprowadzał Cicerona do drzwi, zrobił się bardzo poważny. – Porozmawiasz z Celerem i innymi w moim imieniu? Obiecałem moim żołnierzom, że dostaną ziemię, a Pompejusz Wielki nie cofa danego słowa.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Wolałbym współpracować z senatem, ale jeśli będę musiał poszukać przyjaciół gdzieś indziej, nie zawaham się. Możesz im to powiedzieć.

Gdy wracaliśmy do domu, Cycero zapytał:

– Słyszałeś? „Nic nie wiem o żadnej broni”! Nasz Faraon to może wielki wódz, ale nie umie kłamać.

– Co teraz zrobisz, panie?

– A co mogę zrobić? Muszę go wesprzeć, rzecz jasna. Nie

podoba mi się, gdy mówi, że może poszukać przyjaciół gdzieś indziej. Muszę się postarać ze wszystkich sił, żeby nie padł w ramiona Cezara.

Tak więc Cyncero wyzbył się odrazy oraz podejrzeń i zaczął działać na rzecz Pompejusza, tak jak przed laty, gdy był jeszcze młodym, nieznanym senatorem. Stanowiło to dla mnie kolejną lekcję – że polityka, jeśli ma się ją uprawiać z powodzeniem, wymaga niezwyklej samodyscypliny, którą naiwni często biorą za obłudę.

Przede wszystkim Cyncero zaprosił Lukullusa na obiad i przez kilka godzin bezskutecznie próbował go przekonać, żeby przestał bojkotować wnioski Pompejusza; ten jednakże nie wybaczył Faraonowi tego, że to jemu przypadła cała chwała za pokonanie Mitrydatesa, i stanowczo odmówił współpracy. Potem mój pan poszedł do Krassusa, który mimo że chętnie unicestwiłby swojego gościa, przyjął go bardzo uprzejmie. Usiadł na swoim krześle, a następnie, zetknąwszy z sobą czubki palców i przymknąwszy powieki, wysłuchał prośby Cyncerona, jakby delektował się każdym jego słowem.

– Zatem – podsumował – Pompejusz obawia się, że straci twarz, jeśli jego wnioski nie przejdą, więc prosi mnie, żebym zapomniał o dawnych urazach i udzielił mu poparcia dla dobra republiki.

– Otóż to.

– Cóż, nie zapomniałem, jak chciał pozbawić mnie zasług za pokonanie Spartakusa... wyłącznie moje zwycięstwo... więc możesz mu powiedzieć, że nie kiwnę palcem, aby mu pomóc, nawet gdyby zależało od tego moje życie. A jak twój dom, tak przy okazji?

– Doskonale, dziękuję.

Później Cyncero postanowił porozmawiać z Metellusem Celerem, który był obecnie konsulem elektem. Musiał zebrać się na

odwagę, żeby pójść do niego z sąsiedzką wizytą; przekraczał próg jego domu pierwszy raz od czasu, gdy Klodiusz dopuścił się świętokradztwa podczas ceremonii na cześć Dobrej Bogini. Jednakże, tak jak Krassus, Celer nie mógł okazać mu większej życzliwości. Perspektywa przyszłej władzy – do której się urodził, podobnie jak koń wyścigowy do biegu – nastawiła go jednak łaskawie, więc uważnie wysłuchał Cyncerona, który wyłuszczył mu sprawę.

– Wyniosły sposób bycia Pompejusza nie robi na mnie większego wrażenia niż na tobie – zakończył Cyncero – ale pozostaje faktem, że to jak dotąd człowiek na świecie i byłoby katastrofą, gdyby odwrócił się od senatu. A to się stanie, jeśli nie przegłosujemy jego wniosków.

– Myślisz, że się zemści?

– Mówi, że nie będzie miał innego wyboru, jak znaleźć przyjaciół gdzieś indziej, co oznacza, że zwróci się do trybunów albo... jeszcze gorzej... do Cezara. A jeśli pójdzie tą drogą, będziemy mieli zgromadzenia ludowe, weta, zamieszki, paraliż, lud i senat skoczą sobie do gardeł, krótko mówiąc, będzie źle.

– To ponura wizja, przyznaję – odparł Celer – ale obawiam się, że nie mogę ci pomóc.

– Nawet dla dobra kraju?

– Rozwodząc się z moją siostrą w atmosferze skandalu, Pompejusz ją poniżył. Obraził także mnie, mojego brata i całą rodzinę. Wiem już, co to za człowiek: zupełnie niegodny zaufania, skupiony wyłącznie na sobie. Powinieneś się go strzec, Cynceronie.

– Masz powód do urazy, nikt nie może w to wątpić. Ale pomyśl, jaką okazałbyś wspaniałomyślność, gdybyś w swojej mowie inauguracyjnej powiedział, że dla dobra narodu powinniśmy spełnić wolę Pompejusza.

– To nie byłaby z mej strony wspaniałomyślność, lecz słabość.

Metellusowie nie są może najstarszym rodem w Rzymie ani największym, ale osiągnęliśmy najwyższą pozycję, a to dlatego, że nie ustępujemy pola naszym wrogom. Wiesz, jakie zwierzę jest naszym symbolem?

– Słoń?

– Tak, słoń. Przybraliśmy go sobie, ponieważ nasi przodkowie pokonali Kartagińczyków, ale także dlatego, że nasz ród najbardziej przypomina słonia. Jest potężny, porusza się wolno, niczego nie zapomina i zawsze zwycięża.

– Owszem, ale słoń jest przy tym dość głupi i łatwo go schwytać.

– Może – przyznał Celer z lekką niechęcią. – Ty z kolei, moim zdaniem, przywiązujesz zbyt dużą wagę do inteligencji. – Po czym wstał na znak, że rozmowa jest skończona.

Odprowadził nas do atrium ozdobionego dużą liczbą konsularnych masek pośmiertnych i gdy kroczyliśmy marmurową podłogą, wskazał swoich przodków, jakby te wszystkie pozbawione wyrazu martwe twarze dowodziły słuszności jego stanowiska znacznie lepiej niż wszelkie słowa. Dochodziliśmy już do drzwi frontowych, gdy pojawiła się Klodia ze służącymi. Nie mam pojęcia, czy był to przypadek, czy rozmyślne działanie, ale podejrzewam raczej, że to drugie, ponieważ była bardzo wymyślnie uczesana i mocno umalowana jak na tak wczesną porę dnia. „W pełnym rynsztunku na nocne boje” – jak później zauważył Cyncero. Mój pan skłonił się jej.

– Cynceronie – odparła na to – stałeś się dla mnie jak nieznanomy.

– Niestety, tak się stało, rzeczywiście, choć nie z mojej woli.

Włączył się Celer:

– Słyszałem, że wy dwoje bardzo się przyjaźniliście, gdy mnie nie było. Cieszę się, że znowu z sobą rozmawiacie. – Kiedy usłyszałem te słowa i swobodny ton, jakim je wypowiedział, zorientowałem się od razu, że nie ma pojęcia o reputacji swojej

żony. Udało mu się zachować tę przedziwną niewinność w sprawach życiowych, którą niejednokrotnie zauważałem u żołnierzy.

– Mam nadzieję, że masz się dobrze, Klodio? – zagadnął uprzejmie Cycero.

– Doskonale. – Spojrzała na niego spod długich rzęs. – Podobnie jak mój brat na Sycylii... mimo twoich wysiłków.

Posłała mu uśmiech, równie ciepły jak ostrze sztyletu, i odeszła, zostawiając za sobą ledwie wyczuwalną woń perfum. Celer wzruszył ramionami i powiedział:

– Hm, no tak. Szkoda, że nie poświęca ci tyle czasu, ile temu przekłętemu poecie, który wciąż kręci się wokół niej. Ale jest bardzo lojalna wobec Klodiusza.

– Czy on naprawdę zamierza stać się plebejuszem? – zapytał Cycero. – Nie wydaje mi się, aby twoi wspaniali przodkowie byli zadowoleni, że w rodzinie znajdzie się plebejusz.

– Nie dopuszczę do tego. – Celer upewnił się, że Klodia go nie usłyszy. – Między nami mówiąc, uważam, że ten chłopak przynosi nam hańbę.

Przynajmniej to wyznanie uradowało Cyclerona, bo wszystkie jego zabiegi polityczne spełzły na niczym. Następnego dnia udał się więc do Katona, który był jego ostatnią nadzieją. Stoik mieszkał w pięknym, ale starannie zaniedbywanym domu na Awentynie, w którym zalaływało zepsutym jedzeniem oraz brudnymi ubraniami, i nie było na czym usiąść oprócz kilku twardych drewnianych krzesel. Ściany pozbawione były wszelkich dekoracji. Brakowało dywanów. Przez otwarte drzwi dostrzegłem dwie skromnie ubrane, poważne kilkunastoletnie dziewczynki, zajęte szyciem, i zacząłem się zastanawiać, czy to są te córki lub siostrzenice, z których Pompejusz chciał wybrać dla siebie i swojego syna żony. Zupełnie inaczej przedstawiałaby się sytuacja w Rzymie, gdyby Katon zgodził się na ten układ małżeński! Utykający odźwierny wprowadził nas do małego

ciemnego pokoju, gdzie Katon pod popiersiem Zenona załatwiał oficjalne sprawy. Cycero kolejny raz przedstawił swoją sprawę, tłumacząc konieczność zawarcia kompromisu z Pompejuszem, ale Katon, podobnie jak inni przed nim, nawet nie chciał o tym słyszeć.

– Ma za dużą władzę – odparł, powtarzając swój dawny zarzut. – Jeśli wpuścimy do Italii jego weteranów z kolonii, będzie miał pod boki całą armię na zawołanie. I dlaczego, na niebios, mielibyśmy zatwierdzić te wszystkie zawarte przez niego traktaty, nie rozważając ich kolejno? Jesteśmy najwyższym organem władzy wykonawczej w republice rzymskiej czy małymi dziewczynkami, które trzeba pouczyć, gdzie mają siedzieć i co robić?

– Masz rację – odparł Cycero – ale musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Kiedy z nim ostatnio rozmawiałem, nie mógł wyrazić jaśniej swoich intencji. Jeżeli nie będziemy z nim współdziałać, znajdzie trybuna, który przedłoży jego wnioski zgromadzeniu ludowemu, a to wywoła niekończący się konflikt. Albo, co gorsza, sprzymierzy się z Cezarem, gdy ten powróci z Hiszpanii.

– Czego się obawiasz? Konflikty bywają zdrowe. Z walki wynikają i dobre rzeczy.

– Nic dobrego nie wyniknie z walki między ludem a senatem, możesz mi wierzyć. Będzie jak podczas procesu Klodiusza, tylko gorzej.

– Ach! – Katon zmrużył swoje pełne fanatyzmu oczy. – Mylisz różne kwestie. Klodiusz został uniewinniony nie za sprawą ludu, ale dlatego, że przekupił sędziów. A istnieje skuteczny środek przeciwko przekupstwom sądowym, który zamierzam wcielić w życie.

– Co masz na myśli?

– Chcę przedstawić w senacie wniosek, żeby wszyscy sędziowie, którzy nie są senatorami, byli pozbawiani tradycyjnej

nietykalności, jeśli zostaną oskarżeni o przekupstwo.

Cycero złapał się za głowę.

- Nie możesz tego zrobić!
- Dlaczego nie?
- Bo to będzie wyglądało jak atak senatu na lud!
- Ależ skąd. To atak senatu na nieuczciwość i korupcję.
- Być może, ale w polityce pozory są czasami ważniejsze niż istota sprawy.

– Wobec tego polityka powinna się zmienić.

– Błagam cię, przynajmniej nie rób tego teraz... nie po tym wszystkim, co się ostatnio działo.

– Zło należy naprawiać jak najszybciej.

– Posłuchaj mnie, Katonie. Być może nie ma uczciwszego od ciebie człowieka, ale ta uczciwość zakłóca ci jasność myślenia i jeśli będziesz dalej tak postępował, twoje szlachetne intencje zniszczą nasz kraj.

– Lepiej, żeby został zniszczony, niż przekształcił się w zwyrodniałą monarchię.

– Ależ Pompejusz nie chce być monarchą! Rozwiązał armię. Od początku pragnie współpracować z senatem, ale my rzucamy mu kłody pod nogi. I nie tylko nie korumpuje Rzymu, ale jeszcze wzmacnia jego potęgę bardziej niż ktokolwiek inny z żyjących!

– Nie – odparł Katon, kręcąc głową – mylisz się. Pompejusz podbił narody, z którymi nie mieliśmy na pieńku, wkroczył do krajów, w których nie prowadziliśmy żadnych interesów, i przywiózł bogactwa, na które nie zasłużyliśmy. Doprowadzi nas do ruiny. Mam obowiązek mu się przeciwstawić.

Nawet Cycero, ze swoim lotnym umysłem, nie potrafił wymyślić jakiegoś wyjścia z tego impasu. Jeszcze tego samego dnia po południu udał się do Pompejusza, żeby donieść mu o

swoim niepowodzeniu, i zastał go w półmroku, pochylonego nad modelem teatru. Spotkanie było zbyt krótkie, żebym coś z niego zanotował. Pompejusz wysłuchał wieści, zgrzytnął zębami i gdy wychodziliśmy, zawołał do Cyncerona:

– Chcę, żeby Hybryda został natychmiast odwołany z Macedonii!

To groziło Cynceronowi poważnymi problemami finansowymi, bo naciskali go już wierzyciele. Nie tylko musiał zwrócić dużą sumę za dom na Palatynie, lecz także spłacić kilka nowych posiadłości, i gdyby Hybryda przestał mu wysyłać część łupów z Macedonii – bo wreszcie zaczął to robić – sytuacja mojego pana byłaby nie do pozazdroszczenia. Znalazł jednak rozwiązanie; zamierzał przedłużyć Kwintusowi namiestnictwo Azji na następny rok. Dzięki temu mógłby pobrać ze skarbu państwa fundusze na pokrycie wydatków brata (miał bowiem wszelkie pełnomocnictwa) i oddać całą tę sumę swoim wierzycielom, żeby zamknąć im usta.

– Nie patrz na mnie z takim wyrzutem, Tironie – powiedział mi, gdy wyszliśmy ze świątyni Saturna z bonem skarbowym na pół miliona sestercji, który spoczywał bezpiecznie w mojej sakwie na dokumenty. – Gdyby nie ja, w ogóle nie zostałby namiestnikiem, a poza tym go spłacę.

Mimo to było mi bardzo żal Kwintusa, który wcale nie bawił się dobrze w tej wielkiej, obcej, dalekiej prowincji i ogromnie tęsknił za domem.

W ciągu następnych kilku miesięcy wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami Cyncerona. Krassus, Lukullus, Kanton i Celer, połączeni sojuszem, zablokowali wnioski Pompejusza w senacie i ten zwrócił się do zaprzyjaźnionego trybuna, Fulwiusza, żeby przedłożył zgromadzeniu ludowemu nową ustawę o rozdziale ziemi. Celer zaatakował ją jednak z taką siłą,

że Fulwiusz doprowadził do osadzenia go w więzieniu. Konsul w odpowiedzi na to kazał rozebrać tylną ścianę karceru, żeby nadal protestować ze swojej celi przeciwko jego ustawie. Ta jego determinacja tak spodobała się ludziom i podważyła pozycję Fulwiusza, że Pompejusz zrezygnował z wniosku. Wtedy Katon całkowicie zniechęcił ekwitów do senatu, ponieważ pozbawił ich nietykalności jako sędziów i odmówił unieważnienia długów, które wielu z nich zaciągnęło w wyniku nierozważnych operacji finansowych na wschodzie. W obu wypadkach moralnie miał całkowitą rację, ale konsekwencją jego postawy były błędy polityczne.

Cycero w tym czasie rzadko przemawiał publicznie, gdyż prawie całkowicie ograniczył się do praktyki sądowej. Bardzo mu brakowało Kwintusa i Attyka i często przyłapywałem go na tym, że wzdychał i mówił coś do siebie, gdy myślał, że jest sam. Źle sypiał, budził się w środku nocy, leżał w łóżku bezsennie do świtu, bo nie mógł ponownie zasnąć. Zwierzył mi się, że w takich chwilach po raz pierwszy w życiu dopadały go myśli o śmierci, co zresztą często zdarza się ludziom w jego wieku – miał już czterdzieści sześć lat. „Jestem tak bardzo samotny – pisał do Attyka – że odprężam się tylko w chwilach, które spędzam z żoną, córeczką i kochanym Markiem. Moje światowe, pozorne przyjaźnie może dobrze prezentują się publicznie, ale tak naprawdę są puste. Rankiem w moim domu panuje tłok, idę na forum w otoczeniu osób życzliwych, ale wśród tych wszystkich tłumów nie widzę nikogo, z kim mógłbym poartować swobodnie albo sobie westchnąć”.

Chociaż był zbyt dumny, aby się do tego przyznać, spokój zakłócało mu także widmo Klodiusza. Na początku nowej sesji senatu trybun Herenniusz zgłosił wniosek, żeby lud rzymski zebrał się na Polu Marsowym i zdecydował w drodze głosowania, czy Klodiusz może zostać plebejuszem. To jeszcze nie

przeraziło Cyncerona; wiedział, że propozycję zawetują z kolei inni trybuni. Zaniepokoiło go natomiast to, że Celer poparł propozycję, więc po zakończeniu obrad poszedł z nim porozmawiać.

– Myślałem, że jesteś przeciwny przejściu Klodiusza do plebsu.

– Bo jestem, ale Klodia zdręcza mnie tym od rana do wieczora. Wniosek i tak nie przejdzie, a ja, mam nadzieję, będę miał spokój przez kilka tygodni. Nie martw się – dodał pośpiesznie. – Jeśli przyjdzie do poważnego starcia, powiem, co naprawdę myślę.

Ta odpowiedź nie do końca uspokoiła Cyncerona, który zaczął szukać sposobu, aby bardziej związać z sobą Celerą. Akurat wybuchły niepokoje w Galii Zaalpejskiej. Spora liczba Germanów – sto dwadzieścia tysięcy jak donoszono – przekroczyła Ren i zajęła tereny Helwetów, wojowniczego plemienia, które w odpowiedzi ruszyło na zachód, w głąb Galii, aby szukać dla siebie nowych ziem. Ta sytuacja głęboko zaniepokoiła senat, który postanowił, że trzeba natychmiast dokonać między konsulami losowania Galii Zaalpejskiej jako prowincji, na wypadek gdyby trzeba było przeprowadzić tam akcję wojskową. Kampania ta zapowiadała się obiecująco, można było się podczas niej wzbogacić i zdobyć sławę. Ponieważ ubiegali się o to obaj urzędnicy – kolegą Celerą był Afraniusz, pionek Pompejusza – nad losowaniem miał czuwać Cyncero i choć nie posunął się do oskarżenia go o sfałszowanie wyników, tak się złożyło, że zwycięski los wyciągnął Celer. I szybko spłacił swój dług. Kilka tygodni później, gdy Klodiusz po zdaniu kvestury wrócił z Sycylii do Rzymu i stanął przed senatem, żądając prawa przejścia do plebsu, to właśnie Celer sprzeciwił się temu najostrzej.

– Urodziłeś się jako patrycjusz – perorował – i jeśli zrezygnujesz z praw przysługujących ci z racji urodzenia, przekreślisz

związki krwi, więzi rodowe i tradycje, na których opiera się republika!

Stałem za drzwiami senatu, kiedy Celer dokonał tej wolty, i na twarzy Klodiusza pojawiło się całkowite zaskoczenie i przerażenie.

– Może i urodziłem się jako patrycjusz – zaprotestował – ale nie chcę umrzeć jako taki.

– Z całą pewnością umrzesz jako patrycjusz – odparł Celer – i jeśli nie zmienisz postanowienia, powiem ci szczerze, że to spotka cię prędzej, niż myślisz.

W senacie ta groźba wywołała szmery zdumienia i choć Klodiusz próbował ją zlekceważyć, musiał zrozumieć, że jego szanse, aby stać się plebejuszem, a co za tym idzie – trybunem, niniejszym legły w gruzach.

Cycero był zachwycony. Przestał się bać Klodiusza i od tej pory nierozsądnie korzystał z każdej okazji, by z niego szydzić. Pamiętam zwłaszcza jedno zdarzenie, do którego doszło niedługo potem, gdy on i Klodiusz spotkali się przypadkiem w drodze na forum, żeby przedstawić kandydatów w okresie wyborów. Nieroztropnie, bo słuchało ich wielu zebranych wokół ludzi, Klodiusz zaczął się chwalić, że zastąpił Cyncerona jako patron Sycylijczyków i od tej pory będzie zapewniał im miejsca podczas igrzysk.

– Nie sądzę, żebyś ty kiedykolwiek mógł się o to zatroszczyć – warknął.

– Rzeczywiście, nie – przyznał Cycero.

– A trudno wtedy o miejsce. Nawet moja siostra, żona konsula, mówi, że więcej niż stopy się nie da.

– Cóż, jeśli chodzi o twoją siostrę, dobra i jedna stopa – odciął się Cycero. – Zawsze możesz unieść tę drugą.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby Cycero pozwalał sobie na sprośne żarty, i później żałował, że zachował się „nie jak przystało na konsula”. Ale warto było, bo ta uwaga wywołała

salwy śmiechu u wszystkich stojących dookoła i tak podziałała na Klodiusza, że jego twarz przybrała odcień senackiej purpury.

Żart stał się słynny i obiegił całe miasto, choć na szczęście nikt nie miał tyle odwagi, żeby powtórzyć go Celerowi.

A potem w jednej chwili wszystko się zmieniło i jak zwykle była to robota Cezara; przebywał poza Rzymem prawie rok, ale Cyncero wciąż o nim myślał.

Pewnego popołudnia pod koniec maja Cyncero siedział na pierwszej ławie w izbie senackiej obok Pompejusza. Spóźnił się z jakiegoś powodu, bo w przeciwnym razie na pewno zorientowałby się, na co się zanosí. Dowiedział się jednak razem ze wszystkimi. Gdy przeprowadzono wróżby, Celer wstał i oświadczył, że właśnie nadeszły wieści od Cezara z Hiszpanii, które chciałby odczytać.

– „Do senatu i ludu rzymskiego, od Gajusza Juliusza Cezara, imperatora...”

Na słowo „imperator” w izbie zapanowało poruszenie. Zauważyłem, że Cyncero szybko się wyprostował i wymienił spojrzenia z Pompejuszem.

– „Od Gajusza Juliusza Cezara, imperatora... – powtórzył Celer z emfazą – pozdrowienia. Wojsko sprawuje się dobrze. Przeprowadziłem legion i trzy kohorty przez góry o nazwie Herminius i spacyfikowałem ziemie po obu stronach rzeki Durius. Wysłałem z Gadesu flotyllę siedemset mil na północ i zdobyłem Brigantium. Podbiłem plemiona Galecji i Luzytanii i zostałem w polu obwołany przez wojsko imperatorem. Zawarłem traktaty, które przyniosą skarbowi roczny dochód wysokości dwudziestu milionów sestercji. Panowanie Rzymu sięga obecnie do najdalszych brzegów Morza Atlantyckiego. Niech żyje republika”.

Styl Cezara zawsze był oszczędny i senatorowie dopiero po

chwili zrozumieli doniosłość tego, czego właśnie wysłuchali. Cezar został wysłany do Hiszpanii Dalszej, prowincji uważanej za mniej lub bardziej spacyfikowaną, po prostu jako zarządca, a tymczasem jakimś sposobem podbił sąsiednie ziemie! Jego poręczyciel Krassus natychmiast zerwał się na nogi i zaproponował, żeby dokonania Cezara uczcić trzydniowym świętem dziękczynnym. Po raz pierwszy Katon był zbyt oszołomiony, aby się temu sprzeciwić, i wniosek przeszedł jednomyślnie. Później senatorowie wyszli na słońce. Większość dyskutowała z podnieceniem o tym błyskotliwym wyczynie. Ale nie Cycero; wśród tego poruszenia szedł powolnym krokiem, z opuszczoną głową jak na pogrzebie.

– Myślałem, że jest skończony po tych wszystkich skandalach i prawie bankructwach – mruknął do mnie, gdy doszedł do drzwi. – A przynajmniej, że będzie z nim spokój na rok czy dwa.

Dał mi znak, żebym poszedł za nim, stanęliśmy więc w ocienionym miejscu w senaculum, gdzie dołączyli do nas Hortensjusz, Lukullus i Katon; wszyscy trzej wydawali się równie przybici.

– Co teraz robi Cezar? – zapytał Hortensjusz ponuro. – Będzie ubiegał się o konsulat?

– To chyba pewne, nie sądzicie? – zapytał Cycero. – Stać go teraz na kampanię... jeśli oddaje dwadzieścia milionów do skarbu, to na pewno znacznie więcej zatrzymał dla siebie.

W tej chwili przeszedł obok nich pogrążony w myślach Pompejusz i grupa zamilkła, dopóki nie oddalił się na tyle, aby nie mógł słyszeć, co mówią.

Cycero zauważył cicho:

– No i jeszcze Faraon. Przypuszczam, że jego wielki przy ciężki umysł pracuje teraz jak koło młyńskie. Wiem, do jakiego wniosku doszedłbym na jego miejscu.

– Do jakiego? – zapytał Katon.

- Zawarłbym układ z Cezarem.
- Pozostali pokręcili głowami z niedowierzaniem.
- Nigdy do tego nie dojdzie – orzekł Hortensjusz. – Pompejusz nie znosi, gdy ktoś odbiera mu część chwały.
 - Tym razem jednak się z tym pogodził – zaproponował Cyncero. – Nie pomogliście mu przeforsować wniosków, senatorowie, za to Cezar obieca mu ziemię... i wszystko inne, jeśli tylko ten wesprze go w wyborach.
 - W każdym razie nie tego lata – stanowczo oświadczył Lukullus. – Od Atlantyku dzieli nas zbyt wiele gór i rzek. Cezar nie zdąży wrócić na czas, żeby zgłosić swoją kandydaturę.
 - I jeszcze jedno – dodał Katon. – Zechce odbyć triumf, a do tego czasu będzie musiał pozostać za miastem.
 - I będziemy mogli trzymać go tam przez lata – zauważył Lukullus – tak jak on trzymał mnie przez pół dekady. Zemsta za tę zniewagę będzie mi smakowała lepiej niż jakiegokolwiek danie.
- Cyncero jednak nie wyglądał na przekonanego.
- Cóż, być może, ale doświadczenie mnie nauczyło, że nie należy nie doceniać naszego przyjaciela Gajusza.
- Była to mądra uwaga, bo tydzień później do senatu dotarł kolejny raport z Hiszpanii Dalszej. Celer znowu głośno odczytał go zebrany; Cezar informował, że wraca do Rzymu, ponieważ na nowo przyłączonych terytoriach panuje już całkowity spokój.
- Katon wstał, żeby zgłosić sprzeciw.
- Namiestnicy prowincji powinni trwać na stanowiskach, dopóki izba ich nie odwoła – powiedział. – Postuluję, żebyśmy nakazali Cezarowi zostać na miejscu.
 - Trochę na to za późno! – zawołał zza drzwi ktoś obok mnie. – Właśnie widziałem go na Polu Marsowym!
 - To niemożliwe – rzucił Katon zdenerwowany. – Gdy ostatnio mieliśmy od niego wieści, chwalił się, że jest na brzegach Atlantyku.

Niemniej Celer na wszelki wypadek wysłał niewolnika na Pole Marsowe, żeby sprawdził, czy pogłoska jest prawdziwa, i gdy ten wrócił po godzinie, oznajmił, że owszem: Cezar wyprzedził własny raport i zatrzymał się w domu przyjaciela za miastem.

Ta wiadomość wprawiła Rzym w ekstazę. Następnego dnia Cezar wysłał emisariusza do senatu, który w jego imieniu poprosił, żeby przyznano mu prawo do odbycia we wrześniu triumfu, a tymczasem pozwolono stanąć do wyborów na konsula *in absentia*. W senacie wielu gotowych było spełnić życzenia Cezara, gdyż zdawali sobie sprawę, że przy jego sławie, a teraz także bogactwie, nie powstrzymają go przed kandydowaniem na najwyższy urząd. Gdyby przeprowadzono głosowanie, jego zwolennicy by wygrali. Dlatego dzień po dniu, gdy tylko przedstawiano izbie ten wniosek, wstawał Katon i wygłaszał przeciwko niemu mowę. Opowiadał o obaleniu królów Rzymu. Zanużdał wszystkich wywodami o dawnych prawach. Rozwodził się nad koniecznością ustanowienia kontroli senackiej nad legionami. Wielokrotnie ostrzegał przed niebezpiecznym precedensem, jakim byłoby zezwolenie komukolwiek, kto by nie zdał imperium, na udział w wyborach: „Dziś Cezar prosi o konsulat, a jutro go zażąda”.

Cycero sam się w to nie angażował, ale udzielał Katonowi wsparcia: przychodził do izby podczas jego wystąpień i siadał na pierwszej ławie jak najbliżej niego. Czas mijał i wydawało się pewne, że Cezar nie zdąży zgłosić swojej kandydatury przed upływem terminu. Oczywiście, wszyscy przypuszczali, że będzie wolał odbyć triumf, niż kandydować na konsula; tak postąpił Pompejusz i wszyscy zwycięscy wodzowie w historii Rzymu, nie było bowiem większej chwały. Cezar jednak zawsze potrafił odróżnić prawdziwą władzę od pozornej. Późnym popołudniem czwartego dnia wywodów Katona, kiedy izba była prawie

pusta i na opuszczone ławy zaczęły padać długie zielonkawe letnie cienie, do budynku senatu wkroczył Cezar. Dwudziestu obecnych w sali senatorów nie mogło uwierzyć własnym oczom. Zdjął pancerz i włożył togę.

Cezar skłonił się konsulowi i zajął swoje miejsce na pierwszej ławie naprzeciwko Cyclerona. Uprzejmie skinął mojemu panu głową po drugiej stronie przejścia i zaczął słuchać Katona. Jednakże po raz pierwszy wielkiemu stoikowi zabrakło słów. Ponieważ jego przemówienie straciło sens, usiadł pośpiesznie i w następnym miesiącu Cezar został wybrany na konsula jednomyślnie przez wszystkie centurie – co nie zdarzyło się nikomu od czasu Cyclerona.

XVI

Cały Rzym czekał, co zrobi Cezar.

– Teraz możemy się spodziewać czegoś nieoczekiwanego – zauważył Cyncero.

I miał rację. Minęło pięć miesięcy, ale kiedy Cezar wreszcie wykonał ruch, zrobił to po mistrzowsku.

Pewnego dnia pod koniec roku, w grudniu, niedługo przed terminem zaprzysiężenia Cezara, złożył Cynceronowi wizytę znany Hiszpan Lucjusz Korneliusz Balbus.

Ten niezwykle człowiek miał wtedy czterdzieści lat. Był fenickiego pochodzenia, urodził się w Gadesie i parał handlem. Uchodził za bardzo bogatego. Miał ciemną cerę, włosy i brodę czarne jak skrzydło kruka, zęby i białka oczu błyszczące jak wypolerowana kość słoniowa. Mówił bardzo szybko i dużo się śmiał, a rozbawiony odrzucał do tyłu niedużą kształtną głowę, tak że nawet najwięksi nudziarze w Rzymie czuli się przy nim bardzo dowcipni. Miał ten szczególny dar, że wiązał się z wpływowymi ludźmi – najpierw z Pompejuszem, pod którego rozkazami służył w Hiszpanii i który, załatwił mu obywatelstwo rzymskie, a potem z Cezarem, który będąc namiestnikiem, zabrał go z Gadesu i mianował głównym inżynierem podczas

podboju Luzytanii, a później przywiózł z sobą do Rzymu, aby mu służył. Balbus znał wszystkich, nawet tych, którzy nie znali jego, i gdy przyszedł zobaczyć się z Cyncerem tego grudniowego ranka, od progu rozłożył ramiona, jakby spotykał się z najlepszym przyjacielem.

– Mój drogi Cynceronie – powiedział po łacinie z obcym akcentem – jak się miewasz? Nigdy nie wyglądałeś lepiej, odkąd cię widuję... a nigdy nie widziałem, żebyś źle wyglądał!

– Więc pewnie mam się tak samo jak zwykle. – Cyncero wskazał Balbusowi krzesło, żeby usiadł. – A jak się ma Cezar?

– Doskonale – odparł Balbus – naprawdę doskonale. Prosił, abym ci przekazał najserdeczniejsze pozdrowienia i zapewnił, że jest twoim największym i najbardziej oddanym przyjacielem na świecie.

– Pora zacząć liczyć łyżki, Tironie – zauważył Cyncero i Balbus klasnął w ręce, zwinął się i dosłownie zatrzęsł ze śmiechu.

– Doprawdy, bardzo zabawne... „liczyć łyżki”! Powtórzę mu, co powiedziałaś, to go ubawi! łyżki! – Otarł łzy z oczu i odzyskał dech. – Ojej! Ale poważnie, Cynceronie, kiedy Cezar proponuje komuś przyjaźń, to nie jest pusty gest. Bo uważa, że na tym świecie liczą się czyny, nie słowa.

Cyncero miał górę dokumentów prawnych do przeczytania.

– Balbusie – powiedział ze znużeniem – przyszedłeś tu, żeby mi o czymś powiedzieć... może więc uprzejmie przejdiesz do rzeczy?

– Oczywiście. Widzę, że jesteś zajęty. Wybacz mi. – Przyłożył rękę do serca. – Cezar chce ci przekazać, że on i Pompejusz doszli do porozumienia. Zamierzają raz na zawsze załatwić sprawę reformy ziemskiej.

Cyncero spojrział na mnie szybko; właśnie tego się spodziewał.

– Na jakich zasadach? – zapytał Balbusa.

– Ziemia publiczna w Kampanii zostanie rozdzielona między

zwolnionych ze służby legionistów Pompejusza i tych spośród biedoty rzymskiej, którzy zechcą ją uprawiać. Zajmie się tym dwudziestoosobowa komisja. Cezar ma nadzieję, że uzyska twoje wsparcie.

Cycero zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Ależ to niemal dokładnie ten sam projekt, który chciał przeforsować na początku mojego konsulatu i któremu się sprzeciwiłem!

– Jest jedna wielka różnica – zauważył Balbus z szerokim uśmiechem. – Ale niech to zostanie między nami, proszę. Dobrze? – Uniósł brwi z zadowoleniem. Potem przesunął małym różowym językiem po krawędzi swoich dużych białych zębów. – Oficjalnie komisja będzie się składać z dwudziestu osób, ale powstanie druga, wewnętrzna, złożona z pięciu, które będą podejmować wszystkie decyzje. Cezar byłby zaszczycony... naprawdę bardzo zaszczycony... gdybyś zgodził się do niej wstąpić.

To zbiło z tropu Cyncerona.

– Naprawdę? A kim byliby pozostali czterej?

– Oprócz ciebie w komisji znaleźliby się Cezar, Pompejusz, ktoś, kto jeszcze się nie zdecydował, i... – Tu Balbus przerwał dla efektu, jak sztukmistrz, który zamierza wyciągnąć egzotycznego ptaka z pustego kosza. – No i Krassus.

Aż do tej chwili Cycero traktował Hiszpana z przyjacielską pobłażliwością, jak kogoś zabawnego, jednego z tych pewnych siebie pośredników, którzy często pojawiają się w polityce. Teraz jednak spojrział na niego ze zdumieniem.

– Krassus?! – powtórzył. – Ale przecież Krassus ledwie może mieszkać w jednym mieście z Pompejuszem. Jak to możliwe, że zasiądzie obok niego w pięcioosobowym Komitecie?

– Krassus to wielki przyjaciel Cezara. Pompejusz to też wielki przyjaciel Cezara. Cezar odegrał więc rolę swatki, w interesie państwa.

- Raczej we własnym interesie! To się nie uda.
- Ależ z całą pewnością tak. Spotkali się już we trzech i zawarli porozumienie. A przeciwko takiemu przymierzowi nie wystąpi nikt w Rzymie.
- Skoro już zawarto porozumienie, to jaka byłaby w nim moja rola?
- Jako ojciec ojczyzny cieszysz się wyjątkowym autorytetem.
- Więc jestem zapraszany w ostatniej chwili, żeby nadać porozumieniu pozory przyzwoitości?
- Wcale nie, wcale nie. Byłbyś pełnoprawnym jego członkiem, co do tego nie ma wątpliwości. Cezar prosił, abym ci powiedział, że żadna ważna decyzja w sprawach imperium nie zostałaby podjęta bez konsultacji z tobą.
- A więc ta wewnętrzna komisja będzie faktycznie rządziła państwem?
- Właśnie.
- I jak długo ma działać?
- Słucham?
- Kiedy zostanie rozwiązana?
- Nigdy nie zostanie rozwiązana. Będzie miała stały charakter.
- Ależ to oburzające! Nie ma w naszej historii precedensu, który by uzasadniał istnienie takiego ciała! Byłby to pierwszy krok ku dyktaturze!
- Mój drogi Cyceronie, doprawdy!
- Coroczne wybory stracą wszelkie znaczenie. Konsulowie staną się pionkami, senat mógłby równie dobrze zostać rozwiązany. Ta wewnętrzna grupa będzie kontrolować rozdział ziemi, podatki...
- Zaprowadzi porządek...
- To byłaby kleptokracja!
- Chcesz powiedzieć, że odrzucasz propozycję Cezara?!

– Powiedz swojemu panu, że doceniam jego dobrą wolę i pragnę być jego przyjacielem, ale nie mogę wyrazić zgody na coś takiego.

– Hm. – Balbus był wyraźnie zdumiony. – Będzie bardzo zawiedziony... a nawet zasmucony... podobnie jak Pompejusz i Krassus. Oczywiście chcieliby twojego zapewnienia, że nie zwrócisz się przeciwko nim.

– Ja myślę!

– Tak, bardzo by im na nim zależało. Nie chcą nieprzyjemności. Ale jeśli spotkają się ze sprzeciwem, odpowiedzą na niego, chyba rozumiesz.

Cycero z wielkim trudem panował nad sobą.

– Możesz im powiedzieć, że przez ponad rok walczyłem, aby zapewnić weteranom Pompejusza uczciwe wynagrodzenie... mimo ostrej opozycji ze strony Cezara, mógłbym dodać. Przekaż im, że nie wrócę do tego. Ale nie chcę uczestniczyć w żadnym tajnym porozumieniu mającym na celu przejęcie władzy w państwie. Byłoby to kpiną z tego wszystkiego, o co zawsze zabiegałem podczas swojej kariery politycznej. Chyba nie muszę cię odprowadzać do drzwi, trafisz sam.

Po wyjściu Balbusa Cycero siedział w bibliotece i milczał, a ja, chodząc na palcach, sortowałem jego korespondencję.

– Pomyśl tylko! – odezwał się w końcu. – Wysyłają tego sprzedawcę dywanów z południa, żeby zaoferować mi jedną piątą republiki po okazyjnej cenie! Nasz Cezar wyobraża sobie, że jest bardzo szlachetny, ale w gruncie rzeczy to podły, prymitywny oszust.

– Mogą wyniknąć z tego kłopoty.

– Cóż, trudno. Nie boję się ich. – Ale wszystko wskazywało na to, że przeciwnie, bardzo się boi, i stało się to co zwykle: niechętnie, z lękiem postanowił w końcu postąpić jak należy, za co zawsze najbardziej go podziwiałem. Musiał bowiem zdawać sobie sprawę, że od tej chwili jego pozycja w Rzymie zacznie

słabnąć. Po kolejnej długiej chwili namysłu dodał:

– Podczas przemowy tego stręczyciela cały czas myślałem o tym, co mówi do mnie Kaliope w mojej poetyckiej autobiografii. Pamiętasz ten fragment?

Przymknął oczy i wyrecytował:

*Pomnij swój życia kierunek, we wczesnej obrany młodości,
Coś go w swym konsulacie dzielnie i mężnie przestrzegaj,
Dalej zachować ku chwale, przy zacnych ludzi uznaniu*.*

* Marek Tullius Cyncero, *Wybór listów*, przełożyła Gabriela Pianko, Wrocław-Warszawa-Kraków 1962, s. 67.

– Mam swoje wady, Tironie... ty wiesz o tym najlepiej ze wszystkich, nie muszę ich wymieniać... ale nie jestem jak Pompeusz, Cezar czy Krassus. Wszystko, co robię, nawet jeśli popełniam błędy, robię dla mojego kraju; tymczasem oni wszystko, co robią, robią dla siebie, nawet jeśli to oznacza wsparcie kogoś takiego jak Katylina. – Westchnął głęboko. Sam wydawał się zaskoczony swoją pryncypialnością. – Cóż, chyba wszystko przepadło: spokojna starość, pojednanie z przeciwnikami, władza, pieniądze, popularność wśród ludu... – Splótł ramiona i spojrzał pod nogi.

– To dużo do stracenia – zauważyłem.

– Dużo. Może powinienes pobiec za Balbusem i powiedzieć mu, że zmieniłem zdanie.

– Mam to zrobić? – zapytałem skwapliwie, bo sam pragnąłem spokojnego życia, ale Cyncero jakby mnie nie usłyszał.

Wciąż rozmyślał o historii i bohaterstwie, więc po jakimś czasie znowu zająłem się porządkowaniem jego korespondencji.

Myślałem, że „trzygłowy potwór”, jak zaczęto nazywać triumwirat Cezara, Pompejusza i Krassusa, ponowi swoją

propozycję, ale Cycero już nie dostał od nich żadnych wieści. W następnym tygodniu Cezar został konsulem i od razu przedstawił senatowi swój wniosek. Patrzyłem zza drzwi wraz z tłumem przepychających się gapiów, gdy zaczął pytać starszych członków izby o opinie na temat zgłoszonej ustawy. Zaczął od Pompejusza. Oczywiście, ten wielki człowiek zaaprobował ją bez zastrzeżeń, podobnie jak Krassus. W następnej kolejności miał wypowiedzieć się Cycero i pod okiem bacznie obserwującego go Cezara, mimo licznych zastrzeżeń, udzielił jej poparcia. Celer wypowiedział się przeciwko. Kiedy wreszcie Cezar, po wywołaniu najdostojniejszych i najlepszych, doszedł do Katona, ten także się sprzeciwił. Ale zamiast jak inni wyrazić swój pogląd i usiąść, ciągnął oskarżycielską tyradę i powołując się na precedensy z odległej przeszłości, dowodził, że wspólna ziemia stanowi własność całego narodu i nie można dopuścić, aby pozbawieni wszelkich skrupułów politycy, „którzy dziś są, a jutro ich nie będzie”, rozparcelowywali ją dla własnych celów. Po godzinie stało się jasne, że nie zamierza usiąść i że stosuje swoją starą sztuczkę, która ma na celu odwleczenie głosowania.

Cezar był coraz bardziej zirytowany, niecierpliwie stukał stopą o podłogę. W końcu wstał.

– Znamy już twoje zdanie – oświadczył, przerywając Katonowi pośrodku zdania. – Usiądź już, ty przekłety świętoszkowaty gaduło, i daj wypowiedzieć się innym.

– Każdy senator ma prawo mówić, jak długo chce – odciął się Katon. – Lepiej przejrzyj regulamin tej izby, jeśli chcesz jej przewodniczyć. – Po tych słowach kontynuował swoją mowę.

– Siadaj ! – ryknął Cezar.

– Nie dam ci się zastraszyć – odparł Katon i nie oddał głosu.

Czy widzieliście kiedyś, jak drapieżny ptak przechyla głowę z boku na bok, gdy dostrzega potencjalną ofiarę? Tak właśnie

wyglądał w tamtej chwili Cezar. Obrócił swój jastrzębi profil najpierw w jedną, potem w drugą stronę, a potem wyciągnął długi palec i przywołał głównego liktora. Wskazał Katona.

– Usunąć go – nakazał.

Najbliższy liktor się zawahał.

– Powiedziałem, usunąć go! – warknął Cezar groźnie.

Przestraszonemu liktorowi nie trzeba było powtarzać drugi raz. Zebrał kilku kolegów i ruszyli przejściem w stronę Katona, który nie przerywał przemówienia, nawet gdy liktorzy przeskakowali ławy, żeby go chwycić. Dwaj z nich wzięli go pod ręce i zaczęli ciągnąć w kierunku drzwi, a trzeci pozbiierał leżące obok rachunki państwowe, podczas gdy cały senat przyglądał się temu z przerażeniem.

– Co mamy z nim zrobić?! – zapytał głośno najbliższy liktor.

– Wtrącić do karceru – zarządził Cezar. – Niech tam przez dzień czy dwa raczy swoimi mądrościami szczury.

Gdy Katon został wywleczony z izby, niektórzy senatorowie zaczęli protestować przeciwko takiemu traktowaniu jednego z nich. Wielki stoik przeszedł tuż obok mnie; nie stawiał oporu, ale wciąż wykrzykiwał coś o lasach skantyjskich. Celer wstał z pierwszej ławy i pospiesznie wybiegł za nim, jego śladem ruszył Lukullus, a potem kolega Cezara podczas konsulatu, Marek Bibulus. Chyba ze trzydziestu, czterdziestu senatorów przyłączyło się do tej demonstracji. Cezar zszedł z podwyższenia i próbował powstrzymać kilku z wychodzących. Pamiętam, że złapał za ramię starego Petrejusza, wodza, który pokonał armię Katyliny pod Pisae.

– Petrejuszu! – powiedział. – Jesteś żołnierzem, tak jak ja. Dlaczego wychodzisz?

– Bo raczej pójdę do więzienia z Katonem, niż zostanę tu z tobą! – odparł ten, wrywając się z uścisku.

– No to idź! – zawołał za nim Cezar. – Idźcie, wszyscy! Ale zapamiętajcie: dopóki ja jestem konsulem, woli ludu nie będą blokować proceduralne sztuczki i dawne obyczaje! Ten wniosek zgłoszę na zgromadzeniu, czy tego chcecie, czy nie, senatorowie, i zostanie przegłosowany pod koniec miesiąca.

Wrócił środkiem na swoje miejsce i rozejrzał się po izbie, aby sprawdzić, czy ktoś jeszcze mu się przeciwstawi.

Cycero niespokojnie siedział na swoim miejscu, gdy podjęto obrady, i po zakończeniu sesji przed budynkiem zatrzymał go Hortensjusz, który zapytał z przyganą, dlaczego nie wyszedł wraz z innymi.

– Nie zrzucaj teraz na mnie winy za to bagno, w którym znaleźliśmy się przez ciebie – odparł Cycero. – Ostrzegałem cię, że tak się stanie, jeśli wciąż będziesz odnosił się do Pompejusza z pogardą.

Widziałem jednak, że był zakłopotany, i gdy tylko mógł, umknął do domu.

– Zostałem zapędzony w kozi róg – poskarżył się, gdy wspinaliśmy się na wzgórze. – Nic nie zyskam, gdy będę popierał Cezara, a jego wrogowie uznają mnie za zdrajcę. Ależ ze mnie geniusz polityczny!

Każdego normalnego roku Cezar nie zdołałby przeprowadzić swojego wniosku albo przynajmniej musiałby zgodzić się na wprowadzenie do niego poprawek. Jego ustawie sprzeciwił się przede wszystkim kolega konsul, Marek Bibulus, dumny i porywczy patrycjusz, który miał to nieszczęście, że robił karierę w tym samym czasie co Cezar i był przez niego do tego stopnia usuwany w cień, iż ludzie zapominali nawet, jak się nazywa. „Zmęczyło mnie odgrywanie Polluksa przy nim jako Kastorze” – oświadczył gniewnie i zaklinał się, że teraz, gdy został konsulem, sprawy będą miały się inaczej. Przeciwno Cezarowi wystąpili

też aż trzej trybuni: Anchariusz, Kalwinus i Fanniusz, z których każdy zgłosił weto. Jednakże Cezar zamierzał dopiąć swego za wszelką cenę i zaczął specjalnie podważać podstawy ustrojowe Rzymu – za co, mam nadzieję, będzie wyklinany przez ludzkość do końca świata.

Przede wszystkim umieścił we wniosku klauzulę, która przywidywała, że każdy senator będzie musiał, pod karą śmierci, złożyć przysięgę, iż nie uchyli prawa wpisanego już do księgi ustaw. Potem zwołał zgromadzenie ludowe, na które przybyli także Krassus i Pompejusz. Cycero stał wśród innych senatorów i patrzył, jak Pompejusz, po raz pierwszy w swojej długiej karierze, wypowiada bezpośrednią groźbę.

– Ten projekt jest sprawiedliwy – mówił. – Moi żołnierze przelewali krew za rzymską ziemię i po powrocie powinni dostać część tej ziemi w nagrodę!

– A jeśli – zapytał go nieszczerze Cezar – ci, którzy są mu przeciwni, użyją przemocy?

– Jeśli ktoś przyjdzie z mieczem, ja przyjdę z tarczą – odpowiedział Pompejusz i dodał złowróźnie: – I miecz też wezmę.

Tłum zawył z zachwytem. Cycero nie mógł dłużej na to patrzeć. Odwrócił się, przepchnął wśród senatorów i opuścił zgromadzenie.

Słowa Pompejusza były praktycznie wezwaniem do broni. W ciągu następnych dni do Rzymu zaczęli napływać jego weterani. Zapłacił im, żeby zjechali z całej Italii, i umieścił ich w namiotach pod miastem albo w tanich kwaterach w samym mieście. Przywieźli z sobą nielegalną broń, którą ukrywali w oczekiwaniu na ostatni dzień stycznia, kiedy wniosek miał być poddany ludowi pod głosowanie. Senatorowie, którzy oficjalnie sprzeciwiali się tej ustawie, byli zaczepiani na ulicach, a ich domy obzucane kamieniami.

Człowiekiem, który organizował tę kampanię zastraszenia w

imieniu trzygłowego potwora, był trybun Publiusz Watyniusz, znany jako największy brzydał w Rzymie. Jako dziecko nabawił się skrofulozy i w efekcie twarz i szyję szpeciły mu purpurowo-sine krosty. Miał rzadkie włosy i krzywe nogi, chodził więc z rozstawionymi na boki kolanami, jakby właśnie odbył konno długą podróż albo narobił w gacie. O dziwo, nie brakowało mu wdzięku i nie dbał o to, co mówią o nim inni; zawsze przebiegał czyjś żart na temat swojego wyglądu jeszcze zabawniejszym. Ludzie Pompejusza byli bardzo mu oddani, podobnie jak plebs. Watyniusz zwoływał różne publiczne wiece na rzecz ustawy Cezara i przy jakiejś okazji zaprosił konsula Bibulusa na podwyższenie dla trybunów, żeby stoczyć z nim pojedynek na argumenty. Bibulus był porywczy nawet bez powodu i Watyniusz, który o tym wiedział, kazał swoich zwolennikom zestawić razem długie drewniane ławy, aby utworzyć coś w rodzaju pomostu prowadzącego z podwyższenia aż do samego karceru. Kiedy w pewnym momencie podczas dyskusji Bibulus powiedział o ustawie stanowczo: „W tym roku jej nie uchwalicie, nawet gdybyście wszyscy bardzo tego chcieli!”, ten go aresztował i kazał zaprowadzić pomostem do więzienia, tak jak piraci prowadzą trapek swojego jeńca.

Cycero obserwował to przeważnie ze swojego ogrodu, owinięty w płaszcz w powodu styczniowych chłódów. Czuł się okropnie i starał się od tego trzymać z daleka. Poza tym miał własne, poważne problemy.

Pewnego rana w okresie tych burzliwych wydarzeń otworzyłem drzwi i zobaczyłem za nimi Antoniusza Hybrydę, który stał na ulicy. Minęły ponad trzy lata, odkąd widziałem go ostatnio, i początkowo nie poznałem, że to on. Spał się mocno na macedońskich mięsowach i winach i był jeszcze bardziej rumiany, jakby obrósł dodatkową warstwą czerwonego tłuszczu. Kiedy wprowadziłem go do biblioteki, Cycero podskoczył, jakby zobaczył ducha, i w pewnym sensie tak było, bo właśnie wróciła do niego przeszłość – i miała go prześladować. Na początku ich

wspólnego konsulatu Cycero zobowiązał się pisemnie, że będzie bronił Hybrydy, jeśli ten kiedykolwiek stanie przed sądem, i teraz były kolega przyszedł domagać się spełnienia obietnicy. Przyprowadził z sobą niewolnika, który niósł akt oskarżenia; wziął od niego ten dokument i podał go Cycleronowi tak drżąca ręką, jakby miał zaraz dostać jakiegoś ataku. Cycero wziął pismo i podsunął je do światła.

– Kiedy ci je doręczono?

– Dzisiaj.

– Rozumiesz, co to jest, prawda?

– Nie. Dlatego od razu przyszedłem z tym świństwem do ciebie. Nic nie rozumiem z tego prawniczego bełkotu.

– To oskarżenie o zdradę. – Cycero przebiegł wzrokiem po tekście dokumentu z rosnącym zdumieniem na twarzy. – Dziwne. Spodziewałbym się raczej, że oskarżą cię o korupcję.

– Cycleronie, czy mogę dostać kropelkę wina?

– Chwileczkę. Postarajmy się zachować przez moment przytomność umysłu, bo to poważna sprawa. Piszą tu, że straciłeś armię w Histrii.

– Tylko pieszych.

– Tylko pieszych! – Cycero się zaśmiał. – Kiedy to było?

– Rok temu.

– Kto będzie oskarżycielem? Wyznaczono go już?

– Tak, został wczoraj zaprzysiężony. To twój protegowany... młody Celiusz Rufus.

Ta wiadomość była zupełnym zaskoczeniem. To, że Rufus zerwał wszelkie więzi ze swoim byłym mentorem, nie stanowiło sekretu. Ale żeby na swoją pierwszą poważną sprawę w karierze publicznej wybrał oskarżenie kolegi konsularnego Cyclerona – to był dopiero akt zdrady. Cycero aż usiadł, tak go to wytrąciło z równowagi.

– Myślałem, że to przede wszystkim Pompejuszowi zależało, aby wytoczyć ci proces? – zagadnął.

- Tak jest.
- To dlaczego pozwala Rufusowi wprawiać się na tak ważnej sprawie?
 - Nie wiem. To co będzie z tym winem?
 - Zapomnij na chwilę o przeklętym winie. – Cycero zwinął pismo i zaczął uderzać nim o otwartą dłoń. – Nie podoba mi się to. Rufus za dużo o mnie wie. Może wywlec różne rzeczy. – Rzucił zwój Hybrydzie. – Chyba powinienes znaleźć innego obrońcę.
 - Ale ja chcę ciebie! Jesteś najlepszy. Zawarliśmy układ, pamiętasz? Ja dam ci część pieniędzy, a ty będziesz mnie bronił w razie oskarżenia.
 - Zgodziłem się ciebie bronić, jeśli zostaniesz oskarżony o korupcję. Nie było mowy o zdradzie.
 - To nieprawda. Łamiesz obietnicę.
 - Posłuchaj, Hybrydo, wystąpię jako świadek, żeby ci pomóc, ale to może być pułapka... zastawiona pewnie przez Cezara albo Krassusa... i byłbym głupi, gdybym dał się w nią złapać.
 - Oczy Hybrydy, choć teraz niknęły w tłuszczu, były wciąż bardzo jasne, wyglądały jak szafiry wciśnięte w grudkę czerwonego błota.
 - Słyszałem, że dobrze ci się powodzi – powiedział. – Wszędzie masz domy.
 - Cycero machnął ręką ze znużeniem.
 - Nie próbuj mi grozić.
 - I to wszystko – ciągnął Hybryda, wskazując bibliotekę. – Bardzo ładne. Czy ludzie wiedzą, skąd wzięłeś na to pieniądze?
 - Ostrzegam cię, równie dobrze mogę wystąpić jako świadek oskarżenia.
 - Jednakże groźba ta zabrzmiała nieprzekonująco i Cycero musiał zdawać sobie z tego sprawę, gdyż nagle przetarł dłonią twarz, jakby chciał usunąć sprzed oczu jakąś upiorną wizję.

– Chyba obaj powinniśmy się napić trochę wina – zauważył Hybryda z głębokim zadowoleniem. – Wszystko zawsze wygląda lepiej po kielichu.

Któregoś wieczoru przed głosowaniem w sprawie ustawy Cezara usłyszeliśmy głośnie hałasy dochodzące z forum – walenie młotkami i piłowanie, pijackie śpiewy, wiwaty, krzyki, tłuczenie garnków. O świcie za świątynią Kastora, gdzie miało się odbyć głosowanie, unosiły się kłęby brązowego dymu.

Cycero ubrał się starannie i zszedł ze wzgórze na forum w towarzystwie dwóch strażników, dwóch domowników – mnie i drugiego sekretarza – oraz kilku klientów, którzy chcieli, aby ich z nim widziano. Na wszystkich ulicach i alejach prowadzących na miejsce głosowania tłoczyli się obywatele Rzymu. Wielu z nich rozpoznawało Cyncerona i usuwało się z drogi, żeby go przepuścić. Ale co najmniej tyle samo specjalnie zagradzało mu przejście, tak że strażnicy musieli ich spychać na bok. Posuwaliśmy się więc powoli i gdy znaleźliśmy miejsce z widokiem na stopnie świątyni, Cezar już przemawiał. Trudno było cokolwiek usłyszeć poza strzępami zdań. Między nami stały masy ludzi, całe ich tysiące. Większość z nich wyglądała na starych żołnierzy, którzy spędzili tu już całą noc, palili ogniska, żeby ugotować sobie coś do jedzenia i się ogrzać.

– Ci ludzie nie przyszli na zgromadzenie – zauważył Cycero – oni je obstawili.

Po jakimś czasie od Via Sacra, z drugiej strony zebranego tłumu, dotarły do nas odgłosy przepychanki; szybko rozeszła się wieść, że przybył Bibulus z trzema trybunami, którzy zamierzali zawetować projekt. To był akt wielkiej odwagi. Stojący wokół nas ludzie zaczęli wyciągać spod ubrań noże, a nawet miecze. Bibulus i jego zwolennicy mieli trudności z przedostaniem się pod świątynię. Nie widzieliśmy ich nawet; mogliśmy zorientować

się, którzy idą, po natężeniu okrzyków ciżby i widoku wznie-
sionych pięści. Trybuni odpadli gdzieś po drodze i zostali unie-
sieni przez tłum, lecz Bibulus – a za nim Katon, którego zwol-
niono z więzienia – w końcu zdołali jakoś dotrzeć do celu.

Strącając ręce, które usiłowały go zatrzymać, Bibulus wszedł
na podwyższenie. Togę miał podartą, wystawało spod niej nagie
ramię, a po twarzy ciekła mu krew. Cezar spojrział na niego
przelotnie i mówił dalej. Rozwścieczony tłum darł się tak gło-
śno, że nic poza nim nie można było usłyszeć. Bibulus wskazał
na niebo i przeciągnął ręką w poprzek szyi, naśladując podrzy-
wanie gardła. Powtórzył ten gest kilka razy, dopóki jego znacze-
nie nie stało się jasne – jako konsul dokonał obserwacji nieba i
chciał powiedzieć, że wróżby są niepomysłne, co uniemożliwia-
ło przeprowadzenie jakiegokolwiek sprawy publicznej. Ale Cezar
cały czas go ignorował. Wtedy na podwyższenie wdrapało się
dwóch potężnych mężczyzn, którzy wnieśli dużą przepołowioną
beczkę, taką, do której zbiera się deszczówkę. Unieśli ją i wylali
jej zawartość Bibulusowi na głowę. Chyba tłum musiał zała-
twiać się do niej przez całą noc, bo była pełna ohydnej brązowej
mazi, która spłynęła po Bibulusie. Ten próbował się wycofać,
poślizgnął się i upadł ciężko na plecy. Przez moment nie mógł
się podnieść. Ale kiedy zobaczył, że na podwyższenie wnoszą
kolejną beczkę, wstał i uciekł – nie winię go za to – ku wielkiej
uciesze tysięcy obywateli. On i jego zwolennicy umknęli z fo-
rum i w końcu znaleźli schronienie w świątyni Jowisza Obrońcy
– tym samym budynku, z którego Cyncero swoją mową wyгнаł
Sergiusza Katylinę.

W takich to więc niegodziwych okolicznościach do księgi
praw trafiła wielka ustawa Cezara o reformie rolnej; na jej mocy
gospodarstwa dostało dwadzieścia tysięcy weteranów Pompeju-
sza, a także ci spośród biedoty miejskiej, którzy mieli więcej niż
troje dzieci. Cyncero nie został już na głosowanie, którego wynik

był przesądzony, ale wrócił do domu, gdzie – w takim pograżeniu się przygnębieniu – nie chciał nikogo widzieć, nawet Terencji.

Następnego dnia żołnierze Pompejusza znowu wylegli na ulice. Przez całą noc świętowali i teraz skupili swoją uwagę na budynku senatu. Zaczęli tłoczyć się na forum, żeby zobaczyć, czy senat ośmieli się zakwestionować legalność tego, co się stało. Zostawili wąskie przejście między sobą, na tyle szerokie, żeby zmieściło się w nim trzech czy czterech ludzi idących obok siebie, ale z lękiem szedłem nim za Cynceronem, mimo że pozdrawiali go po przyjacielsku, wołając: „Chodź, Cynceronie!”, „Cynceronie, nie zapominaj o nas!”. Nigdy wcześniej nie widziałem w senacie bardziej przygnębionego grona. Był to pierwszy dzień nowego miesiąca i na krześle kurulnym zasiadał Bibulus, który miał obandażowaną głowę. Wstał natychmiast i zażądał, żeby izba potępiła haniebne użycie przemocy poprzedniego dnia. Nalegał, żeby uznać ustawę za nieważną, bo wróżby były niesprzyjające. Ale nikt nie chciał ważyć się na taki krok – biorąc pod uwagę kilkuset uzbrojonych ludzi za drzwiami. Oburzony ich milczeniem Bibulus stracił opanowanie.

– Rządzenie tą republiką stało się farsą! – wykrzyknął. – Nie będę dłużej brał w tym udziału! Okazaliście się niegodni miana senatu rzymskiego. Nie wezwę was na obrady ani jednego dnia, dopóki będę konsulem. Zostańcie w domach, senatorowie, tak jak ja, wejrzyjcie w swoje dusze i zadajcie sobie pytanie, czy zachowaliście się z honorem.

Wielu słuchaczy skłoniło głowy ze wstydu. Lecz Cezar, który siedział między Pompejuszem a Krassusem i słuchał tego z lekkim uśmieszkiem, natychmiast wstał i powiedział:

– Zanim Marek Bibulus i jego dusza opuszczą tę izbę, a obrady zostaną zawieszane na miesiąc, chciałbym przypomnieć wam, senatorowie, że nowa ustawa zobowiązuje nas wszystkich

do przysięgi, że ją utrzymamy. Dlatego proponuję, żebyśmy poszli razem, jako ciało wykonawcze, na Area Capitolina i złożyli przysięgę, demonstrując solidarność z ludem.

Katon zerwał się na nogi. Rękę miał na temblaku.

– To zniewaga! – zaprotestował, odzyskując morale, które chwilowo osłabił Bibulus. – Nie podpiszę twojej nielegalnej ustawy!

– Ani ja! – powtórzył jak echo Celer, który opóźnił swój wyjazd do Galii Zaalpejskiej, żeby przeciwstawić się Cezarowi. Kilku innych zawołało to samo; zauważyłem wśród nich młodego Marka Fawoniusza, akolitę Katona, i byłego konsula Lucjusza Gelliusza, który był już dobrze po siedemdziesiątce.

– Na waszą odpowiedzialność – odparł Cezar i wzruszył ramionami. – Bo pamiętajcie, że karą za odmowę złożenia przysięgi może być śmierć.

Nie spodziewałem się, że Cycero zabierze głos, ale bardzo powoli wstał, a takim cieszył się poważaniem, że w całej izbie natychmiast zapadła cisza.

– Nie mam nic przeciwko ustawie tego człowieka – powiedział i spojrzał wprost na Cezara – ale ubolewam nad metodami, jakimi ją przeprowadził, i całkowicie je potępiam. Niemniej – ciągnął, zwracając się do pozostałych – ustawa jest prawomocna, ludzie jej chcą i jedna z jej klauzul nakazuje nam złożyć tę przysięgę. Dlatego mówię do Katona i Celera, a także do innych moich przyjaciół, którzy chcą oddać życie za sprawę: lud nie zrozumie waszego postępowania, bo nie można bezprawia zwalczać bezprawiem i liczyć na szacunek. Przed nami trudne czasy, senatorowie, i choć może nie potrzebujecie już Rzymu, Rzym potrzebuje was. Zachowajcie swoje życie, aby walczyć w przyszłych bitwach, zamiast składać je bezsensownie w bitwie już przegranej.

Była to przekonująca mowa i po wyjściu z izby niemal wszyscy senatorowie poszli za ojcem ojczyzny na Kapitol, gdzie

złożyli przysięgę. Gdy żołnierze Pompejusza zobaczyli, co senat zamierza zrobić, zaczęli wiwatować na jego cześć (Bibulus, Kanton i Celer przyszli tam później, gdy nikt nie widział). Święty kamień Jowisza, który przed wiekami spadł z nieba, został wyniesiony z wielkiej świątyni i senatorowie ustawili się w kolejce, żeby położyć na nim dłoń i przysiąc, że będą przestrzegali prawa. Jednakże Cezar, choć robili, co chciał, był wyraźnie zaniepokojony. Widziałem, że podszedł do Cyncerona, odciągnął go na bok i mówił mu coś z wielką powagą.

Zapytałem później Cyncerona, czego chciał.

– Podziękował mi za mowę, którą wygłosiłem w senacie – odparł Cyncero – ale powiedział, że nie podobał mu się mój ton i że ma nadzieję, iż nie przysporzę kłopotów jemu, Pompejuszowi ani Krassusowi, bo jeśli tak się stanie, będzie musiał wziąć odwet, a zrobiłby to z przykrością. Mówił, że dał mi szansę przyłączenia się do niego, ale z niej nie skorzystałem, i teraz muszę ponieść tego konsekwencje. Co powiesz na taką bezczelność? – Zaklął soczyście, co było dla niego nietypowe, i dodał: – Katulus miał rację, powinienem był zdeptać węża, gdy miałem taką możliwość.

XVII

Z powodu swojej urazy Cycero przez cały następny miesiąc trzymał się z dala od życia publicznego – co, jak się okazało, nie było trudne, bo senat nie zbierał się na obrady. Bibulus zamknął się w domu i nie chciał z niego wyjść, więc Cezar oświadczył, że będzie rządził poprzez zgromadzenie ludowe, które w jego imieniu zwołał trybun Watyniusz. Bibulus w odpowiedzi na to podał do wiadomości, że nieustannie obserwuje na dachu znaki, a te są wciąż niepomyślnie – a zatem nie można przeprowadzić żadnej oficjalnej sprawy. Cezar zorganizował więc hałaśliwe demonstracje na ulicy przed jego domem i nieprzerwanie wprowadzał ustawy na zgromadzeniach publicznych, nie zważając na to, co mówi kolega konsul. (Cycero dowcipnie zauważył, że w Rzymie wspólnie sprawują konsulat Juliusz i Cezar). Taki sposób kierowania państwem z pozoru wydawał się zupełnie legalny – cóż bowiem może być sprawiedliwszego niż rządy ludu? – ale pod określeniem „lud” tak naprawdę krył się motłoch, któremu przewodził Watyniusz, i każdy, kto sprzeciwiał się woli Cezara, był szybko uciszany. Choć nie nazwano tego po imieniu, w Rzymie zapanowała dyktatura i wszyscy godni szacunku

senatorowie byli tym oburzeni. Ale ponieważ Cezar miał wsparcie Pompejusza i Krassusa, tylko nieliczni zdobywali się na odwagę, żeby wystąpić przeciwko niemu.

Cycero wolałby zostać w bibliotece i w dalszym ciągu unikać kłopotów, jednakże w trakcie tych burzliwych wydarzeń, pod koniec marca, musiał wystąpić przed trybunałem rozpatrującym sprawy o zdradę, aby bronić Hybrydy. Ku jego wielkiemu zażenowaniu proces miał się odbywać na korniej urn, przed samym budynkiem senatu. Zaokrąglone schody na rostra, wznoszące się jak w teatrze miejsca dla widowni, zostały otoczone kordonem straży, aby chronić sąd przed naporem gapiów. Wokół zebrał się bowiem liczny tłum ludzi pragnących zobaczyć, jaką linię obrony obierze sławny mówca, gdyż wina jego klienta nie budziła wątpliwości.

– Hm, Tironie – powiedział Cycero pod nosem, gdy otworzyłem teczkę i podałem mu notatki – oto dowód, że bogowie mają poczucie humoru. Że też muszę występować w tym miejscu jako obrońca tego łotra!

Odwrócił się i uśmiechnął do Hybrydy, który właśnie z wysiłkiem wspinał się na podwyższenie.

– Witaj, Hybrydo. Mam nadzieję, że zrezygnowałeś z wina do śniadania, zgodnie ze swoją obietnicą? Powinniśmy dziś zachować jasność umysłu.

– Oczywiście – odparł Hybryda.

Ale potykał się na schodach i mówił bełkotliwie, co wskazywało, że wbrew swoim zapewnieniom nie zachował wstrzemięźliwości.

Oprócz mnie i zwykłego zespołu sekretarzy Cycero wziął z sobą swojego zięcia, Frugiego, który miał pełnić funkcję jego pomocnika. Rufus natomiast nie przyprowadził żadnego asystenta i w chwili gdy zobaczyłem, jak idzie przez komicjum w naszym kierunku z jednym tylko sekretarzem, poczułem, że tracę wiarę w nasze powodzenie. Rufus nie miał jeszcze dwudziestu

trzech lat i właśnie zakończył roczną służbę państwową w Afryce jako jeden z urzędników namiestnika. Wyjechał jako młodzieniec, a wrócił jako mężczyzna i stwierdziłem, że już sam kontrast pomiędzy wysokim, opalonym oskarżycielem a grubym, zniszczonym Hybrydą będzie nas kosztował kilkanaście głosów sędziowskich jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Cycero też nie wypadł dobrze w porównaniu z Rufusem. Był dwa razy od niego starszy i kiedy podszedł do swojego przeciwnika, żeby uścisnąć mu rękę oraz życzyć powodzenia, wydał się zgarbiony i przybity. To było jak malowidło na ścianie łaźni: *Juventus** kontra *Senex*** przed sześćdziesięciosobowym trybunałem, zebranych na ławach, oraz pretorem, wyniosłym Korneliuszem Lentulusem Klodianusem, który zajmował miejsce między nimi na krześle sędziowskim.

* *Juventus* (łac.) – młodzieniec.

** *Senex* (łac.) – starzec.

Rufus miał wystąpić pierwszy i wkrótce okazało się, że był znacznie pilniejszym uczniem Cycerona, niż ktokolwiek z nas mógł się spodziewać. Przedstawił pięć zarzutów: po pierwsze, że Hybryda jako namiestnik głównie skupiał się na wyciskaniu z Macedonii pieniędzy; po drugie, że dochody, które powinny iść na wojsko, trafiały do jego kieszeni; po trzecie, że zaniedbywał swoje obowiązki jako dowódca wojskowy podczas wyprawy nad Morze Czarne, która miała na celu ukaranie buntowniczych plemion; po czwarte, że wykazał się tchórzostwem na polu walki, bo uciekł przed wrogiem; i wreszcie po piąte, że na skutek jego niekompetencji imperium straciło terytoria wokół Histrii nad dolnym Dunajem. Rufus omawiał po kolei te zarzuty z oburzeniem i jednocześnie złośliwym humorem, jak jego mistrz w swoich najlepszych czasach.

Pamiętam zwłaszcza barwny opis rażącego zaniedbania przez Hybrydę swoich obowiązków owego ranka przed bitwą z buntownikami.

– Znaleźli tego człowieka nieprzytomnego – relacjonował, obchodząc Hybrydę i pokazując go niczym eksponat – leżał pijany w sztok, chrapał ile sił w płucach i bekał raz po raz, na sofach zaś spoczywały znakomite damy zamieszkujące w jego kwaterze, a inne leżały na całej podłodze. Następnie, półprzytomne z przerażenia, bo wiedziały już, że zbliżają się wrogowie, próbowały go podnieść za szyję; niektóre szeptały mu pochlebstwa do ucha, jedna czy dwie wymierzały policzki. Docierało do niego, że coś mówią, że go szarpią, więc usiłował zarzucić ramiona na szyję najbliższej z nich. Był zbyt rozochocony, żeby spać, i zbyt pijany, żeby zachować przytomność umysłu; zamroczonego i zdezorientowanego przekazywali sobie z rąk do rąk jego centurioni i konkubiny.

Mówił to wszystko, nie korzystając z notatek. Już samo to było ciosem dla obrony. Główni świadkowie oskarżenia – w tym kilku dowódców wojskowych Hybrydy, dwie jego kochanki i kwatermistrz – zrobili jeszcze większe wrażenie. Na zakończenie dnia Cycero pogratulował Rufusowi wystąpienia i jeszcze tego wieczoru szczerze poradził przygnębionemu klientowi, żeby sprzedał swoje nieruchomości w Rzymie za możliwie najkorzystniejszą cenę i kupił za te pieniądze kosztowności czy cokolwiek innego, co dałoby się zabrać z sobą na wygnanie.

– Musisz przygotować się na najgorsze – oświadczył mu.

Nie będę opisywał dalszych szczegółów procesu. Wystarczy powiedzieć, że choć Cycero próbował wszelkich sztuczek, jakie znał, żeby podważyć wiarygodność dowodów przedstawionych przez Rufusa, to jednak nie dokonał w nich żadnych wyłomów, a świadkowie, którzy mieli zeznawać w obronie Hybrydy, okazali się zupełnie nieprzekonujący; byli to przeważnie jego kompani od kieliszka albo urzędnicy, których nakłonił do kłamstw przekupstwem. Pod koniec czwartego dnia istniała już tylko

jedna wątpliwość: czy należy powołać samego Hybrydę, żeby zeznawał w swojej obronie, w nadziei że wzbudzi choć odrobinę współczucia u sędziów, czy lepiej, żeby ograniczył on swoje straty i po cichu wyjechał z Rzymu przed ogłoszeniem wyroku, oszczędzając sobie poniżenia, bo na pewno stałby się pośmiewiskiem całego miasta. Cyncero zaprosił Hybrydę do swojej biblioteki, żeby podjąć decyzję.

– A co twoim zdaniem powinienem zrobić? – zapytał Hybryda.

– Ja bym wyjechał – odparł Cyncero, który sam już chciał wypłatać się z tego. – Niewykluczone, że twoje zeznanie jeszcze pogorszy sprawę. Po co dawać Rufusowi dodatkową satysfakcję?

Hybryda się załamał.

– Co uczyniłem temu młodemu człowiekowi, że chce mnie zniszczyć w taki sposób? – Po jego puciołowatych policzkach pociekły łzy żalości.

– No, Hybrydo, uspokój się. Pamiętaj o swoich znakomitych przodkach. – Cyncero wyciągnął rękę i poklepał go po kolanie. – Poza tym nie ma w tym nic osobistego. To po prostu bystry młody mężczyzna z dalekich stron, który ma ambicje, żeby osiągnąć coś w świecie. Pod wieloma względami przypomina mnie samego, gdy byłem w jego wieku. Niestety, stworzyłeś mu doskonałą możliwość zdobycia sławy... tak jak mnie Werres.

– Niech będzie przeklęty – powiedział nagle Hybryda, prostując plecy. – Będę zeznawał.

– Jesteś pewien, że dasz radę? Przesłuchanie może być brutalne.

– Zobowiązałeś się, że będziesz mnie bronić – zauważył Hybryda, wykazując w końcu trochę dawnego ducha. – Chcę się bronić, nawet gdybym miał przegrać.

– Dobrze więc – odparł Cyncero, starając się ukryć zawód. – W takim razie musimy przeciwżyć twoje wystąpienie, a to zajmie nam trochę czasu. Tironie, lepiej przynieś senatorowi wina.

– Nie – stanowczo odmówił Hybryda. – Żadnego wina. Nie dzisiejszego wieczoru. Piłem przez całą moją karierę; przynajmniej zakończę ją na trzeźwo.

Tak więc pracowaliśmy do późna w noc; Cyncero mówił Hybrydzie, o co zapyta, a ten odpowiadał zgodnie z jego wskazówkami. Później Cyncero odgrywał rolę Rufusa; zadawał najtrudniejsze pytania, jakich mógł spodziewać się po swoim dawnym przyjacielu, i wymyślał najmniej kompromitujące dla Hybrydy odpowiedzi. Byłem zdziwiony, jak szybko Hybryda potrafił się uczyć, gdy tylko się do tego trochę przyłożył. Obaj poszli spać o północy – Hybryda nocował u Cyncerona – i wstali o świcie, żeby wrócić do przygotowań. Później, gdy szliśmy do sądu wraz z Hybrydą oraz jego służącymi i ci nas wyprzedzili, Cyncero zauważył:

– Zaczynam rozumieć, dlaczego udało mu się zająć tak wysoko. Gdyby wcześniej wykazał się podobną determinacją, może teraz nie stałby w obliczu ruiny.

Kiedy dotarliśmy do komicjum, Hybryda zawołał pogodnie:

– Jest tak jak kiedyś, w czasach naszego wspólnego konsulat, gdy stanęliśmy ramię w ramię, żeby ratować republikę!

Weszli we dwóch na podwyższenie, gdzie czekał już sąd, i kiedy Cyncero ogłosił, że wezwie samego Hybrydę jako ostatniego świadka, wśród sędziów zapanowało ożywienie. Zobaczyłem, że Rufus siada na ławie dla oskarżycieli i szepcze coś do ucha swojemu sekretarzowi, który natychmiast wziął do ręki rylec.

Hybryda został szybko zaprzysiężony i Cyncero przystąpił do zadawania pytań, które uprzednio przeciwczyli; zaczął od jego

doświadczenia militarne pod dowództwem Sulli przed ćwierć wiekiem, by potem podkreślić lojalność, jaką wykazał wobec państwa w czasie spisku Katyliny.

– Nie zważyłeś na dawną przyjaźń, nieprawdaż, i objąłeś dowództwo nad legionami senackimi, które w końcu pokonały Katylinę? – zapytał Cycero.

– Tak.

– I przesłałeś głowę tego potwora do senatu na dowód swoich dokonań?

– Tak.

– Zwróćcie na to uwagę, sędziowie – Cycero powiedział do trybunału. – Czy tak postępuje zdrajca? Obecny tu młody Rufus wspierał Katylinę... może zaprzeczy...? A potem uciekł z Rzymu, bo bał się, że podzieli jego los. A teraz ośmiela się chyłkiem wrócić do miasta i oskarżać tego tu człowieka, który ocalił nas przez katastrofą! – Zwrócił się znowu do Hybrydy: – Po pokonaniu Katyliny zgodziłeś się przejąć ode mnie obowiązki namiestnika Macedonii, żebym mógł poświęcić się wygaszaniu ostatnich zarzewi spisku?

– Tak.

I tak to trwało; Cycero prowadził swojego klienta przez tę procedurę, jak ojciec prowadzi dziecko. Poprosił go, żeby opowiedział, jakimiż to sposobami, całkowicie legalnymi, uzyskiwał dochody z Macedonii, jak rozliczał się z każdej sumy, jak powołał i uzbroił dwa legiony, a potem powiódł je na wschód, przez góry, nad Morze Czarne, co było bardzo niebezpieczną wyprawą. Odmalował przerażający obraz wojowniczych plemion – Getów, Bastarnów i Histrów – którzy atakowali kolumnę Rzymian, maszerującą doliną Dunaju.

– Oskarżenie twierdzi, że gdy usłyszałeś, iż masz przed sobą duży oddział nieprzyjaciół, podzieliłeś swoje siły, zabrałeś z sobą konnych, a pieszych zostawiłeś bez obrony?

– To nieprawda.

– Wręcz przeciwnie, dzielnie ruszyłeś za oddziałem Hisztrów, tak?

– Tak.

– A gdy się oddaliłeś, wojska Bastarnów przeprowiły się przez Dunaj i zaatakowały pieszych od tyłu?

– Tak było.

– I nic nie mogłeś na to poradzić?

– Obawiam się, że nie. – Hybryda opuścił głowę i otarł oczy zgodnie z pouczeniem Cyncerona.

– Pewnie straciłeś wielu przyjaciół i towarzyszy, którzy zginęli z rąk barbarzyńców.

– O tak. Bardzo wielu.

Po dłuższej chwili, podczas której w sądzie zapadła zupełna cisza, Cyncero zwrócił się do trybunału:

– Wojna, sędziowie, bywa okrutna i kapryśna. Ale to nie to samo co zdrada.

Gdy usiadł, rozległy się długo niemilkające oklaski, nie tylko ze strony tłumu, ale także sędziów, i po raz pierwszy zaświtała mi nadzieja, że dzięki talentowi Cyncerona sprawa może nie jest jeszcze całkiem stracona. Rufus uśmiechnął się do siebie, pociągnął łyk wina z wodą, a potem wstał. Miał zwyczaj jak atleci rozprostowywać ramiona, zakładając ręce na karku i robiąc torsem skręty na prawo i lewo. Gdy tak na niego patrzyłem, zanim przystąpił do przesłuchania świadka, odniosłem wrażenie, że czas się cofa, i nagle przypomniało mi się, jak Cyncero posyłał go do miasta z różnymi sprawunkami i dokuczał mu z powodu luźnych strojów i długich włosów. Chłopak podkradał mi pieniądze i włóczył się po nocy, pił i grał w kości, a jednak nie można było długo się na niego gniewać. Jakież to kręte ścieżki, jakież ambicje sprowadziły tutaj nas wszystkich?

Rufus podszedł wolnym krokiem do miejsca dla świadków. Był zupełnie spokojny. Jakby szedł na spotkanie z przyjacielem w tawernie.

- Masz dobrą pamięć, Antoniuszu Hybrydo?
- Tak.
- Wobec tego powinieneś pamiętać swojego niewolnika, który został zamordowany w przeddzień objęcia przez ciebie konsulatu?

Przez twarz Hybrydy przemknęło zdziwienie. Zbity z tropu, spojrział niepewnie w stronę Cyncerona.

– Nie jestem pewien. Tyłu niewolników przewija się latami przez dom...

– Ale tego na pewno pamiętasz – nie ustępował Rufus. – Pochodził ze Smyrny. Miał około dwunastu lat. Jego ciało wrzucono do Tybru. Cyncero był przy tym, jak odkryto zwłoki. Chłopcu poderżnięto gardło i wyjęto wnętrzności.

To wywołało zgrozę wśród zebranych i poczułem, że zasycha mi w ustach, nie tylko na wspomnienie tego nieszczęśnika, ale także gdy uświadomiłem sobie, dokąd te pytania mogą zaprowadzić. Cyncero również zdał sobie z tego sprawę. Przerażony, zerwał się z miejsca i zaapelował do pretora:

– To chyba nieistotne dla sprawy? Śmierć niewolnika przed ponad czterema laty nie może mieć związku z przegraną bitwą nad Morzem Czarnym.

– Niech oskarżyciel pyta dalej – rozstrzygnął Klodianus i dodał filozoficznie: – Przekonałem się w życiu, że czasami bardzo różne sprawy bywają z sobą powiązane.

Hybryda wciąż spoglądał bezradnie na Cyncerona.

– Rzeczywiście coś sobie przypominam.

– No chyba! – odparł Rufus. – Niecodziennie jest się świadkiem składania ofiary z człowieka! Wydaje mi się, że nawet dla ciebie, nawykłego do różnych obrzydliwości, to musi być rzadkość.

– Nic nie wiem o żadnej ofierze – wymamrotał Hybryda.

– Katylna zabił chłopca, a potem zażądał, żebyś wraz z innymi złożył przysięgę.

– Tak? – Hybryda skrzywił się, jakby próbował sobie przypomnieć jakiegoś znajomego z dalekiej przeszłości. – Nie, nie sądzę. Nie, jesteś w błędzie.

– Ależ tak. Złożyłeś przysięgę na krew tego zamordowanego dziecka, że zabijesz swojego kolegę konsula... człowieka, który teraz siedzi obok ciebie jako twój adwokat!

To znowu wywołało powszechne wzburzenie i kiedy okrzyki zgorznienia ucichły, wstał Cycero.

– Doprawdy, szkoda – powiedział, kręcąc głową z żalem – wielka szkoda, bo mój młody przyjaciel całkiem nieźle sobie do tej pory radził jako oskarżyciel... był kiedyś moim uczniem, sędziowie, więc sam sobie pochlebiam, gdy to przyznaję. Niestety, posunął się za daleko i zaprzepścił sprawę tym niepopartym dowodami zarzutem. Obawiam się, że będę musiał zabrać go z powrotem na lekcję.

– Mówię prawdę, Cyceronie – odezwał się Rufus z jeszcze szerszym uśmiechem – sam mi o tym powiedziałaś.

Przez króciutką chwilę Cycero się zawahał i ku mojemu przerażeniu zobaczyłem, że całkiem zapomniał o swojej rozmowie z Rufusem przed wieloma laty.

– Ty podły niewdzięczniku – wyrzucił z siebie. – To nieprawda.

– To było w pierwszym tygodniu twojego konsulatu – ciągnął Rufus – dwa dni po Święcie Latyńskim wezwałeś mnie do siebie i zapytałeś, czy Katylinia kiedykolwiek wspominał przy mnie o planach zamordowania cię. Powiedziałaś, że Hybryda przysiągł Katylinie nad ciałem zamordowanego chłopca, iż cię zabije. Kazałeś mi być czujnym.

– To wierutne kłamstwo! – wykrzyknął Cycero, ale jego wściekłość przy opanowaniu i pewności Rufusa nie zrobiła dobrego wrażenia.

– Z tym człowiekiem współpracowałeś jako konsul – ciągnął Rufus z zabójczym spokojem, wskazując Hybrydę. – Tego

człowieka wysłałeś do Macedonii jako namiestnika... choć wiedziałeś, że wziął udział w bestialskim mordzie i pragnął twojej śmierci. I tego człowieka dzisiaj bronisz. Dlaczego?

– Nie muszę odpowiadać na twoje pytania, chłopcze.

Rufus podszedł do sędziów.

– Oto zagadka, sędziowie: dlaczego właśnie Cyncero, który zdobył sławę, oskarżając skorumpowanych namiestników prowincji, teraz ryzykuje utratę dobrego imienia, broniąc jednego z nich?

Cyncero znowu wyciągnął rękę do pretora.

– Klodianusie, proszę cię, na bogów, panuj nad sądem. To ma być przesłuchanie mojego klienta, a nie mowa na mój temat.

– To prawda, Rufusie – zauważył pretor. – Twoje pytania muszą mieć związek ze sprawą.

– I mają. Chcę dowieść, że Cyncero i Hybryda zawarli układ.

– Nie ma na to żadnego dowodu – sprzeciwił się Cyncero.

– Owszem, jest – odparł Rufus. – Niespełna rok po tym, jak wysłałeś Hybrydę do Macedonii, żeby dręczył jej mieszkańców, kupiłeś sobie nowy dom... o tam! – Wskazał budynek, dobrze widoczny na Palatynie w wiosennym słońcu, i sędziowie zwrócili głowy w tamtą stronę. – Bardzo podobny do niego został sprzedany zaraz potem za czternaście milionów sestercji. Czternaście milionów! Zadajcie sobie pytanie, sędziowie: skąd Cyncero, który szczyli się swoim skromnym pochodzeniem, wziął taką fortunę, jeśli nie od człowieka, którego szantażował i jednocześnie ochraniał, Antoniusza Hybrydy? Czy jest nieprawdą – zwrócił się do oskarżonego – że część pieniędzy, jakie uzyskiwałeś ze swojej prowincji, przekazywałeś wspólnikowi przestępstwa?

– Nie, nie – zaprotestował Hybryda – może przesyłałem Cynceronowi od czasu do czasu jakiś prezent. Ale to wszystko. – Taką wersję przyjęli poprzedniego wieczoru, na wypadek gdyby

Rufus zdobył dowody, że przepływały między nimi jakieś pieniądze.

– Prezent? – powtórzył Rufus. Spojrzał znowu na dom Cicerona i teatralnym gestem uniósł rękę, żeby osłonić oczy przed blaskiem słońca. Po tarasie przechadzała się kobieta z parasolką i uświadomiłem sobie, że to musi być Terencja. – Niezły prezent!

Cycero siedział spokojnie. Bacznie przyglądał się Rufusowi.

Kilku sędziów kręciło głowami. Od strony widzów na komycjum dobiegły szydercze śmiechy.

– Sędziowie – oświadczył Rufus – przedstawiłem swoje dowody. Wykazałem, że z powodu zaniedbań Hybrydy, mających znamiona zdrady, imperium straciło całą krainę. Dowiodłem jego tchórzostwa i nieudolności. Ujawniłem, że sumy, które powinny pójść na wojsko, poszły do jego kieszeni. Duchy legionistów, opuszczonych przez wodza i okrutnie zamordowanych przez barbarzyńców, domagają się pomsty. Ten potwór nie powinien dostać pozwolenia na sprawowanie tak wysokiej funkcji i nie dostałby go, gdyby nie był w zмовie ze swoim konsularnym kolegą. Jego karierę znaczą nieprawości i krew... mord tamtego chłopca to tylko mała część tych zbrodni. Nie można przywrócić umarłym życia, za późno na to, więc chociaż wypędźmy tego człowieka z Rzymu i usuńmy smród po nim. Ześlijmy go dziś na wygnanie.

Rufus usiadł wśród burzliwych oklasków. Pretor wydawał się trochę zaskoczony i zapytał, czy oskarżenie na tym kończy.

Rufus potwierdził.

– Cóż. Myślałem, że czeka nas jeszcze jeden dzień rozprawy – zauważył Klodianus. Zwrócił się do Cicerona. – Chcesz teraz wygłosić mowę końcową czy mam odroczyć proces do jutra, żebyś mógł się do niej przygotować?

Cycero był czerwony na twarzy i od razu wiedziałem, że

popelni poważny błąd, jeśli zabierze głos, zanim odzyska panowanie nad sobą. Siedziałem na miejscu dla sekretarzy, tuż przy podwyższeniu, wstałem więc i nawet zrobiłem kilka kroków, żeby prosić, aby zgodził się na odroczenie rozprawy. Ale on uciszył mnie machnięciem ręki, zanim zdążyłem wypowiedzieć choćby słowo. Oczy dziwnie mu błyszczały. Nie jestem pewny, czy w ogóle mnie zauważył.

– Takie kłamstwa – powiedział z największym niesmakiem.

– Takie kłamstwa należy unicestwiać w zarodku, zgniatać jak karaluchy, zanim rozpełzną się w ciągu nocy.

Przed sądem stał już spory tłum gapiów, ale teraz jeszcze więcej ludzi zaczęło się schodzić na komicjum z całego forum. Przemawiający Cycero stanowił symbol Rzymu i wszyscy chcieli go posłuchać. Nie było w pobliżu żadnego z triumwirów, ale tu i tam w tłumie widziałem ich przedstawicieli: Cezar przysłał Balbusa, Pompejusz – Afraniusza, Krassus – Arriusza. Nie miałem czasu, aby rozglądać się za innymi. Cycero zaczął mówić i musiałem przystąpić do notowania.

– Muszę wyznać – powiedział – że nie byłem zachwycony perspektywą wystąpienia przed sądem w obronie mojego starego przyjaciela i kolegi, Antoniusza Hybrydy, ponieważ człowiek, który tak długo jak ja bierze udział w życiu publicznym, ma dużo tego rodzaju zobowiązań i ciężą mu one. Tak, Rufusie, „zobowiązań”; ty tego słowa nie rozumiesz, bo inaczej nie zwracałbyś się do mnie w taki sposób. Lecz teraz cieszy mnie ta powinność... raduje, naprawdę jestem z niej zadowolony... bo dzięki niej mogę powiedzieć coś, co należało powiedzieć już wiele lat temu. Owszem, zawarłem umowę z Hybrydą, sędziowie; nie wypieram się tego. To była nawet moja inicjatywa. Nie zważałem na różnice w naszym stylu życia i poglądach. Nie zważałem na wiele spraw, to prawda, bo nie zostawiono mi wyboru. Jeśli miałem ocalić republikę, potrzebowalem sprzymierzeńców i nie mogłem zastanawiać się zbyt długo, skąd pochodzą.

Wróćcie pamięcią to tego straszego okresu. Czy sądzicie, że Katylina działał sam? Czy sądzicie, że jeden człowiek, choćby pełen energii i czerpiący siły z własnej nieprawości, mógłby osiągnąć tyle, co Katylina, zawieść to miasto i naszą republikę nad skraj przepaści, gdyby nie miał potężnych popleczników? I nie chodzi mi tu o tę bandę bankrutów, hazardzistów, pijaków, wyperfumowanych młodzików i nierobów szlachetnego pochodzenia, którzy gromadzili się wokół niego... i do których właśnie zaliczał się niegdyś nasz młody oskarżyciel. Nie, mam na myśli ludzi wpływowych w naszym państwie, ludzi, którym Katylina stwarzał możliwość realizacji swoich niebezpiecznych, zwodniczych ambicji. Ci nie zostali straceni na rozkaz senatu piątego dnia grudnia, choć na to zasługiwali, ani nie zginęli na polu walki z rąk legionistów dowodzonych przez Hybrydę. Nie zostali skazani na wygnanie na skutek moich zeznań. Chodzą dziś na wolności. O nie, znacznie więcej : oni rządzą republiką!

Aż do tej chwili słuchano Cyclerona w ciszy. W tym punkcie jednak wielu ludzi zaczerpnęło powietrza ze zdumienia i zwróciło się do sąsiadów, żeby wyrazić swoje zaskoczenie. Balbus zaczął robić notatki na tabliczce woskowej. Czy mój pan zdaje sobie sprawę, co czyni? – pomyślałem. I zaryzykowałem spojrzenie na Cyclerona. Był ledwie świadomy, gdzie się znajduje – zapomniał o sądzie, o publice, o mnie, o politycznej przezorności; istniały dla niego tylko słowa, które wypowiadał.

– To za sprawą tych ludzi Katylina stał się tym, kim się stał. Bez nich byłby nikim. To oni oddali mu swoje głosy i pieniądze, swoją pomoc i ochronę. Popierali go w senacie, przed sądem i na zgromadzeniach ludowych. Oślaniali go, czuwali nad nim, a nawet dostarczali mu broń, której potrzebował, żeby zgładzić rządzących państwem. – Tu odnotowałem jeszcze głośniejsze okrzyki wzburzenia ze strony słuchaczy. – Aż do tej chwili, sędziowie, nie zdawałem sobie sprawy z rozmiarów spisków, z

którym przyszło mi walczyć. Bo istniała zmowa, którą unice-
stwiłem, ale to nie wszystko; za nią kryła się druga, wewnętrzna,
i ta wciąż trwa. Rozejrzyście się wokół siebie, Rzymianie, a zo-
baczycie, jak kwitnie! Mamy sekretną radę i przemoc na uli-
cach. Bezprawie i przekupstwa na masową skalę... na bogów, i
wy oskarżacie Hybrydę o korupcję? On jest niewinny i bezradny
jak dziecko w porównaniu z Cezarem i jego przyjaciółmi! Tenże
proces to potwierdza. Myślicie, że to oskarżenie to inicjatywa
Rufusa? Tego neofity, któremu dopiero co wyrosła broda?
Bzdury! Te ataki, te tak zwane dowody, to wszystko ma skom-
promitować nie tylko Hybrydę, ale i mnie: moją reputację, kon-
sulat, politykę, którą prowadzę. Ci, którzy stoją za Rufusem,
chcą zniszczyć tradycje naszej republiki dla własnych podłych
celów, a żeby to osiągnąć... wybaczcie, że sobie pochlebiam, nie
pierwszy raz zresztą, wiem o tym... żeby to osiągnąć, muszą
najpierw zniszczyć mnie. Cóż, sędziowie, tu, przed tym sądem,
tego dnia, o tej decydującej godzinie, możecie zdobyć nieśmier-
telną chwałę. Nie wątpię, że Hybryda popełnił błędy. Ze smut-
kiem przyznaję, że pobłażał sobie bardziej, niżby należało. Ale
spójrzcie poza jego grzechy, a zobaczycie tego samego człowie-
ka, który stanął przy mnie do walki z potworem zagrażającym
cztery lata temu naszemu miastu. Bez jego wsparcia zostałbym
zamordowany przez skrytobójcę już na początku konsulatu. Nie
opuścił mnie wtedy i teraz ja go nie opuszczę. Błagam was,
uniewinnijcie go; niech zostanie w Rzymie, a wtedy dzięki łasce
naszych odwiecznych bogów znowu w mieście naszych przod-
ków zagości wolność!

Tak przemawiał Cycero, ale kiedy usiadł, zamiast wyrazów
uznania usłyszeliśmy tylko szmer zdziwienia w sądzie z powodu
tego, co powiedział. Ci, którzy zgadzali się z nim, za bardzo się
bali, aby okazać mu poparcie. Ci, którzy się z nim nie zgadzali,
byli z kolei zbyt wystraszeni wymową jego wystąpienia, aby

zaprotestować. Reszta – powiedziałbym, że większość – zdumiała się po prostu. Rozejrzałem się za Balbusem w tłumie, ale gdzieś zniknął. Podeszedłem do Cyclerona z notatkami na tabliczce i pogratulowałem mu wystąpienia.

– Zapisaleś to wszystko? – zapytał, a kiedy potwierdziłem, kazał mi skopiować przemówienie, gdy tylko wrócimy do domu. – Spodziewam się, że jedna wersja zaraz trafi do Cezara – dodał. – Widziałem, że ten gad Balbus notował w takim tempie, w jakim ja mówiłem. Musimy być pewni, że mamy dokładną kopię, na wypadek gdyby poruszono tę sprawę w senacie.

Nie mogłem dłużej z nim rozmawiać, bo pretor kazał sędziom od razu oddać głosy. Spojrzałem w niebo. Był środek dnia; słońce stało wysoko i grzało mocno. Wróciłem na swoje miejsce i patrzyłem, jak urna przechodzi z rąk do rąk, napełniając się tabliczkami. Cycero i Hybryda także się temu przyglądali; siedzieli obok siebie, zbyt zdenerwowani, żeby rozmawiać. Wtedy przypomniałem sobie te wszystkie procesy, których byłem świadkiem, i pomyślałem, że zawsze kończyły się tak samo, tym okropnym wyczekiwaniem. W końcu sekretarze skończyli liczyć głosy i przekazali wynik pretorowi. Ten wstał, a my poszliśmy za jego przykładem.

– Sąd miał orzec, czy Gajusz Antoniusz Hybryda powinien zostać skazany za zdradę w związku ze swoim namiestnictwem prowincji Macedonia. Za skazaniem głosowało czterdziestu siedmiu, a za uniewinnieniem dwunastu.

Tłum zaczął wiwatować. Hybryda zwiesił głowę. Pretor odczekał, aż zapanuje cisza.

– Gajuszu Antoniuszu Hybrydo, zostajesz niniejszym na zawsze pozbawiony wszelkich praw majątkowych i obywatelskich i od północy nie będziesz miał dostępu do ognia i wody na ziemiach, w miastach i koloniach Italii, a każdy, kto udzieli ci pomocy, zostanie ukarany tak samo. Zamykam posiedzenie sądu.

Cycero przegrał niewiele spraw, ale w tych rzadkich przypadkach, kiedy to się zdarzało, zawsze gratulował przeciwnikom. Lecz nie tym razem. Gdy Rufus podszedł do niego, żeby wyrazić żal, Cycero demonstracyjnie odwrócił się do niego plecami, i z zadowoleniem zobaczyłem, że ten młody niegodziwiec stoi jak głupiec z wyciągniętą ręką. W końcu wzruszył ramionami i się oddalił. Jeśli chodzi o Hybrydę, podszedł do sprawy filozoficznie.

– Cóż – powiedział przy mnie do Cycerona, zanim zabrali go liktorzy – ostrzegaleś mnie, na co się zanosi, i na szczęście mam trochę pieniędzy, żeby przeżyć jakoś starość. Poza tym słyszałem, że południowe wybrzeża Galii przypominają Zatokę Neapolitańską. Nie martw się, Cyceronie, o mój los. Po tej mowie, którą wygłosiłeś, powinieneś raczej martwić się o siebie.

Ze dwie godziny później – na pewno nie więcej – drzwi domu Cycerona otworzyły się gwałtownie i stanął w nich bardzo wzburzony Metellus Celer, który zażądał widzenia się z moim panem. Cycero jadł właśnie posiłek z Terencją, a ja wciąż przepisywałem jego mowę. Natychmiast zorientowałem się jednak, że sprawa jest bardzo pilna, więc zaprowadziłem gościa do jadalni.

Cycero leżał na sofie i relacjonował zakończenie procesu Hybrydy, gdy do pokoju wpadł Celer i przerwał mu opowieść.

– Co powiedziałeś dziś rano w sądzie na temat Cezara?

– Witaj, Celerze. Powiedziałem prawdę, to wszystko. Przyłączysz się do nas?

– Hm, to musiała być bardzo niebezpieczna prawda, bo Gajusz zapałał żądzą zemsty.

– Doprawdy? – odparł Cycero, usiłując zachować zimną krew. – A jak zamierza mnie ukarać?

– Właśnie jest w senacie, przewodniczy ceremonii przejścia tej świni, mojego szwagra, w szeregi plebejuszy.

Przerażony Cyncero usiadł tak gwałtownie, że wywrócił kielich.

– Nie, tylko nie to – powiedział – to nie może być prawda. Cezar nie ruszyłby palcem, żeby pomóc Klodiuszowi... nie po tym, co Klodiusz zrobił z jego żoną.

– Mylisz się. Właśnie to robi.

– Skąd wiesz?

– Moja kochana żona doniosła mi o tym z wielką satysfakcją.

– Ale jak do tego doszło?

– Zapomniałeś, że Cezar jest najwyższym kapłanem. Zwołał pilne zebranie kurii, żeby zatwierdzić adopcję.

– Czy to zgodne z prawem? – zapytała Terencja.

– Od kiedy dla Cezara prawo stanowi przeszkodę? – gorzko odpowiedział pytaniem Cyncero. Zaczął mocno pocierać czoło, jakby mógł jakimś cudem znaleźć rozwiązanie problemu. – A gdyby Bibulus ogłosił, że wróżby są niepomyślne?

– Cezar już o tym pomyślał. Jest z nim Pompejusz...

– Kto? – Cyncero wyglądał na zdumionego. – Sytuacja wygląda coraz gorzej!

– Pompejusz jest augurem. Zbadał niebo i oświadczył, że nie ma przeciwwskazań.

– Ale ty też jesteś augurem. Nie możesz mu się przeciwstawić?

– Mogę spróbować. Ale chyba powinniśmy tam pójść.

Cyncerona nie trzeba było dłużej przekonywać. Mimo że był w domowym obuwiu, pospiesznie wyszedł z domu z Celerem, a ja popędziłem za nimi wraz ze służbą. Na ulicach panował spokój; Cezar działał tak szybko, że ani jedno słowo o tym, co się dzieje, nie przedostało się do wiadomości publicznej. Niestety,

gdy przebiegliśmy przez forum i wpadliśmy do budynku senatu, ceremonia miała się już ku końcowi – i ujrzeliśmy haniebną scenę. Cezar siedział na podwyższeniu po przeciwnej stronie izby, ubrany w szaty najwyższego kapłana i otoczony przez liktorów. Pompejusz zajmował miejsce obok niego – wyglądał niedorzecznie w nakryciu głowy augura i z różdżką w ręku. Wokół nich stało jeszcze kilku innych kapłanów, wśród nich Krassus, który na wniosek Cezara został przyjęty do kolegium w miejsce Katulusa. Na drewnianych ławach, jak spędzone razem owce, siedzieli stłoczeni członkowie kurii, trzydziestu siwowłosych starców, stojących na czele tribus rzymskich. I wreszcie, dla dopełnienia obrazu, złotowłose Klodiusz klęczał przed kimś w przejściu. Z powodu hałasu wszyscy zebrani zwrócili spojrzenia ku drzwiom i dostrzegłem twarz Klodiusza, kiedy zobaczył Cynceroną – pojawił się na niej szyderczy uśmiešek, wyraz niemal dziecięcej złośliwości, choć szybko zastąpiło go przerażenie na widok szwagra. Ten zbliżył się wraz z Cynceronem.

– Co, na bogów, się tutaj wyrabia?! – zawołał Celer.

– Metellusie Celerze – zwrócił się do niego Cezar stanowczym głosem – to uroczystość religijna. Nie profanuj jej.

– Uroczystość religijna! A klęczy tu jej największy profanator w Rzymie... człowiek, który łajdaczył się z twoją żoną! – Zamachnął się nogą, żeby kopnąć Klodiusza, ale ten zerwał się czym prędzej i przypadł do stóp Cezara. – A kim jest ten chłopak? – grzmiał dalej Celer, pochylając się nad drugą skuloną postacią. – Zobaczmy, kto wszedł do rodziny. – Chwycił tamtego za kark, pociągnął w górę i obrócił w naszą stronę, żebyśmy zobaczyli. Był to drżący, przyszczaty młodzieniec, mniej więcej dwudziestoletni.

– Okaż trochę szacunku mojemu przybranemu ojcu – powiedział Klodiusz, który, mimo że wystraszony, nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– To niesmaczne... – Celer puścił młodzieńca i zwrócił spojrzenie na Klodiusza. Wyciągnął potężną pięść, żeby go uderzyć, ale Cycero złapał go za rękę.

– Nie, Celerze. Nie daj im pretekstu, żeby cię aresztowali.

– Mądra rada – zauważył Cezar.

Po chwili Celer niechętnie opuścił głowę.

– Więc twój ojciec jest młodszy od ciebie! Cóż za farsa!

Klodiusz uśmiechnął się drwiąco.

– Jest i tak najlepszy z tych, których udało się znaleźć w tak krótkim czasie.

Nie wiem, co myśleli sobie o tym widowisku przedstawiciele tribus – z których żaden nie miał mniej niż pięćdziesiąt lat. Było wśród nich wielu starych przyjaciół Cycerona. Dowiedzieliśmy się później, że zostali zabrani z domów albo oderwani od pracy przez sługusów Cezara, którzy zaprowadzili ich do budynku senatu i w mniejszym lub większym stopniu zmusili do wyrażenia zgody na adopcję Klodiusza.

– Skończyliśmy już? – zapytał Pompejusz. Nie tylko wyglądał śmiesznie w stroju augura, ale był też zmieszany.

– Tak, skończyliśmy – odparł Cezar. Wyciągnął rękę, jakby błogosławił młodą parę podczas ślubu. – Publiusz Klodiuszu Pulcherze, jako najwyższy kapłan, z racji przysługującego mi prawa, ogłaszam, że jesteś teraz adoptowanym synem Publiusza Fontejusza i zostajesz wpisany do ksiąg państwowych jako plebejusz. Zmieniasz status ze skutkiem natychmiastowym i możesz stanąć do wyborów na trybuna, jeśli chcesz. Dziękuję wszystkim zebranych. – Cezar skinieniem głowy dał znak, że można się rozejść, i członkowie kurii wstali. Pierwszy konsul i najwyższy kapłan w jednej osobie uniósł lekko swoją długą szatę i zszedł z podestu, wykonawszy swoje zadanie na to popołudnie. Minął Klodiusza, z niesmakiem odwracając głowę, jakby mijał leżące na ulicy ścierwo.

– Powinieneś być posłuchać mojego ostrzeżenia – syknął do Cyclerona, gdy przechodził obok niego. – Zobacz, do czego mnie zmusiłeś. – Ruszył dalej do drzwi w otoczeniu liktorów, a za nim podążył Pompejusz, który nie mógł zdobyć się na to, by spojrzeć Cycleronowi w oczy; tylko Krassus pozwolił sobie na nieznacznym uśmiech.

– Chodź, ojcze – powiedział Klodiusz, obejmując ramieniem Fontejusza – odprowadzę cię do domu. – Znowu zachichotał nerwowo jak dziewczyna i skłoniwszy się szwagrowi oraz Cycleronowi, dołączył do idącego przed nim orszaku.

– Ty może skończyłeś, Cezarze! – zawołał za nimi Celer. – Ale ja nie! Pamiętaj, że jestem namiestnikiem Galii Zaalpejskiej i dowodzę legionami, a ty nie! Ja jeszcze nawet nie zacząłem!

Miał donośny głos, który musiał dotrzeć nawet na forum. Cezar jednak wyszedł z izby na światło dzienne, jakby nie słyszał jego słów. Gdy wszyscy oprócz nas opuścili senat, Cycero osunął się ciężko na ławę i zakrył dłońmi twarz. W górze, na krokwiach, gruchały i trzepotały skrzydłami gołębie – do dziś, gdy słyszę te brudne ptaki, staje mi przed oczami stary budynek senatu – a dźwięki dochodzące z ulicy wydawały mi się dziwnie dalekie, nieziemskie, jakbym znalazł się w więzieniu.

– Nie popadaj w rozpacz, Cycleronie – powiedział dziarsko Celer po jakimś czasie. – Nie został jeszcze trybunem... i nie zostanie, jeśli będę mógł temu zaradzić.

– Mogę pokonać Krassusa – odparł Cycero. – Mogę przechytrzyć Pompejusza. Nawet Cezara potrafiłem w przeszłości utrzymać na wodzy. Ale oni wszyscy razem i do tego Klodiusz, który jest narzędziem w ich rękach? – Pokręcił głową ze zmęczeniem. – Jak mam dalej żyć?

Tego wieczoru Cycero poszedł zobaczyć się z Pompejuszem i wziął mnie z sobą częściowo po to, aby zademonstrować, że to

wizyta oficjalna, w żadnym razie nie towarzyska, lecz także chyba po to, aby czuć się pewniej. Zastaliśmy tego wielkiego człowieka w jego kawalerskiej kryjówce; popijał ze swoim starym towarzyszem broni i przyjacielem z Picenum, Aulusem Gabiniuszem. Właśnie oglądali model kompleksu teatralnego Pompejusza, gdy nas wprowadzono, i Gabiniusz kipiał entuzjazmem. To on jako ambitny trybun zgłosił wnioski, które umożliwiły Pompejuszowi uzyskanie bezprecedensowej władzy militarnej, i został w swoim czasie nagrodzony stanowiskiem legata podczas jego kampanii na wschodzie. Nie było go w Rzymie przez kilka lat, kiedy to – choć on o tym nie wiedział – Cezar miał romans z jego żoną, rozmemłaną Lollią (choć z tego, co sobie przypominam, sypiał też z żoną Pompejusza). Ale niedawno Gabiniusz wrócił – równie ambitny jak kiedyś, a do tego sto razy bogatszy, i miał zamiar zostać konsulem.

– Cynceronie, mój drogi przyjacielu – powiedział Pompejusz i wstał, żeby uściskać mojego pana – napij się z nami wina?

– Nie, dziękuję – odparł sztywno Cyncero.

– Ojej – Pompejusz zwrócił się do Gabiniusza – słyszysz, jakim tonem mówi? Przyszedł robić mi wymówki za tę popołudniową aferę, o której ci wspominałem. – A do Cyncerona powiedział: – Czy naprawdę muszę ci mówić, że to był pomysł Cezara? Próbowałem mu go wyperswadować.

– Naprawdę? To dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Bo uważałem... i muszę się z nim zgodzić... że twoje uwagi dziś w sądzie były dla nas bardzo obraźliwe i zasługiwały na coś w rodzaju publicznej reprymendy.

– Umożliwiłeś więc Klodiuszowi objęcie urzędu trybuna... choć wiedziałeś, że chce nim zostać wyłącznie po to, aby wnieść przeciwko mnie oskarżenie?

– Nie posunąłbym się tak daleko, ale Cezar się uparł. Naprawdę nie namówię cię na wino?

– Przez wiele lat wspierałem cię we wszystkich twoich poczynaniach – powiedział Cyncero z przerażającym spokojem. – Nie prosiłem o nic w zamian, chciałem tylko twojej przyjaźni, która była dla mnie cenniejsza niż wszystko inne w życiu publicznym. Ale w końcu pokazałeś całemu światu, kim dla ciebie jestem: dałeś mojemu największemu wrogowi broń do ręki, żeby mnie zniszczył!

Pompejuszowi zadrżały usta i do jego lśniących jak ostryga oczu napłynęły łzy.

– Cynceronie, jestem przerażony. Jak możesz tak mówić? Nigdy nie pozwoliłbym, żeby stało ci się coś złego. Ale jestem w trudnej sytuacji, wiesz przecież. Próby uspokajania Cezara są ofiarą, jaką każdego dnia mojego życia składam republice.

– Ale nie dziś, jak widać.

– Uznał, że jego godności i władzy zagroziło to, co powiedziałeś.

– Jego godność i władza dopiero byłyby zagrożone, gdybym ujawnił wszystko, co wiem o tym trzygłowym potworze i jego powiązaniach z Katyliną!

Włączył się Gabiniusz:

– Chyba nie powinieneś mówić takim tonem do Pompejusza Wielkiego.

– Nie, nie, Aulusie – zauważył ze smutkiem Pompejusz – Cyncero ma rację. Cezar przekracza miarę. Bogowie wiedzą, że próbuję mitygować go za kulisami. Kiedy wtrącono Katona do więzienia, natychmiast kazałem go wypuścić. A gdyby nie ja, biednego Bibulusa spotkałby znacznie gorszy los niż kąpiel w gównie. Ale tym razem mi się nie udało. Musiało do tego dojść któregoś dnia. Obawiam się, że Cezar jest taki... nieprzejednany. – Westchnął, wziął jedną z miniaturowych świątyń stanowiących element modelu i przyjrzał jej się w zamyśleniu. – Może

pora z nim zerwać – powiedział. Spojrzał na Cyncerona przebiegle; zauważyłem, że łzy w jego oczach szybko wyschły. – Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że im prędeej, tym lepiej.

– Być może masz rację. – Pompejusz ujął świątynię grubym kciukiem i palcem wskazującym, a następnie z zadziwiającą delikatnością umieścił na poprzednim miejscu. – Wiesz, jaki Cezar ma teraz pomysły?

– Nie.

– Chce, żeby mu przyznano dowództwo wojskowe.

– Oczywiście. Ale senat już zdecydował, że w tym roku nie przyzna się prowincji konsulom.

– Senat tak, owszem. Ale Cezar nie przejmuje się senatem. Zamierza nakłonić Watyniusza, żeby przedstawił pewien wniosek na zgromadzeniu ludowym.

– Jaki wniosek?

– Żeby przyznać mu nie jedną prowincję, ale dwie: Galię Przedalpejską i Bitynię... z prawem powoływania armii w liczbie dwóch legionów. I to nie na rok... on chce pięć lat.

– Ależ o przydziale prowincji decyduje senat, nie lud – zaprotestował Cyncero. – W dodatku na pięć lat?! To podważa nasze podstawy ustrojowe.

– Cezar uważa, że nie. Mówi do mnie: „Dlaczego nie zaufać ludowi? Co w tym złego?”

– To nie lud! To motłoch sterowany przez Watyniusza.

– Cóż – powiedział Pompejusz – teraz chyba rozumiesz, dlaczego zgodziłem się wystąpić jako augur dziś po południu. Oczywiście, powinienem był odmówić. Ale muszę szerzej patrzeć na wszystko. Ktoś powinien go kontrolować.

Cyncero ukrył głowę w dłoniach z rozpaczą. W końcu zapytał:

– Mogę powiedzieć kilku moim przyjaciółom, dlaczego zgodziłeś się dziś z nim współdziałać? Bo w przeciwnym razie pomyślą, że straciłem twoje poparcie.

– Jeśli musisz... ale w wielkim zaufaniu. I możesz im powiedzieć... tu obecny Aulus niech będzie świadkiem... że żadna krzywda nie stanie się Markowi Tuliuszowi Cynceronowi, dopóki żyje Pompejusz Wielki.

Cycero milczał i był bardzo zamyślony w drodze do domu. Zamiast od razu udać się do biblioteki, zrobił kilka rundek po ogrodzie, pogrążonym już w mroku, a ja zasiadłem przy stole z lampą i szybko zanotowałem rozmowę z Pompejuszem, na ile ją zapamiętałem. Kiedy skończyłem, Cycero powiedział, że mam pójść z nim do Metellusa Celera, po sąsiedzku.

Obawiałem się, że Klodia może być obecna, ale nigdzie nie było jej widać. Celer siedział sam w jadalni, oświetlonej przez zaledwie jeden kandelabr, i jadł z ponurą miną zimne udko kurczaka, popijając winem z dzbanka, który stał obok. Cycero po raz drugi tego wieczoru odmówił wina i poprosił mnie, żebym odczytał, co właśnie powiedział Pompejusz. Celer, jak łatwo było przewidzieć, wpadł w gniew.

– Więc ja mam mieć Galię Zaalpejską... gdzie będą toczyć się walki... a on Przedalpejską, i każdy z nas będzie sprawował dowództwo nad dwoma legionami?

– Tak, tyle że on dostanie prowincję na cały okres *lustrum*, podczas gdy ty będziesz musiał oddać swoją po upływie roku. Możesz być pewny, że jeśli można zdobyć chwałę, Cezar zagarnie ją całą dla siebie.

Celer prychnął ze złością i machnął pięściami.

– Koniecznie trzeba go powstrzymać! Nie obchodzi mnie, że jest ich trzech. Nas są setki! To my rządzymy republiką, nie oni.

Cycero usiadł obok niego na sofie.

– Nie musimy pokonać wszystkich trzech – powiedział cicho.
– Wystarczy, że pokonamy jednego. Słyszałeś, co powiedział

Pompejusz. Nie przejąłby się specjalnie, gdyby udało nam się poskromić Cezara. Pompejusz dba tylko o własny wizerunek.

– A co z Krassusem?

– Gdy Cezar zejdzie ze sceny, on i Pompejusz będą sprzymierzeńcami nie dłużej niż godzinę... nie znoszą się nawzajem. To Cezar jest kamieniem, na którym spoczywa ten łuk. Jeśli się go wyciągnie, konstrukcja runie.

– Co więc twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Aresztować go.

Celer spojrzał na niego ostro.

– Ale Cezar jest nietykalny, i to w dwójnasób, jako najwyższy kapłan i jako konsul.

– Naprawdę myślisz, że on przejmowałby się prawem, gdyby był na naszym miejscu? Gdy każdy jego edykt jako konsula jest nielegalny? Albo go w porę powstrzymamy, albo zniszczy nas wszystkich po kolei i nie zostanie nikt, kto mu się sprzeciwi.

Byłem zdumiony tym, co słyszałem. Jestem pewien, że aż do tego popołudnia Cyceronowi nie przyszłyby do głowy myśli o równie desperackim czynie. To, że tak się stało i że teraz ją wypowiedział, świadczyło wyraźnie, jak głęboką przepaść ujrzał przed sobą.

– Jak mielibyśmy to przeprowadzić? – zapytał Celer.

– To ty dowodzisz armią. Ilu masz ludzi pod komendą?

– Dwie kohorty stacjonujące pod miastem, które są gotowe ruszyć ze mną do Galii.

– Są lojalne?

– Wobec mnie? Całkowicie.

– Zechcą po zmierzchu uprowadzić Cezara z jego rezydencji i przechować gdzieś?

– Na pewno, jeśli wydam im taki rozkaz. Ale czy nie lepiej by było po prostu go zabić?

– Nie – odparł Cyncero. – Trzeba przeprowadzić proces. Na-
legam na to. Nie chcę żadnych „wypadków”. Należy przegło-
sować wniosek o powołanie specjalnego trybunału, który go
osądzi za bezprawne działania. Ja wystąpię jako oskarżyciel.
Wszystko odbędzie się jawnie i zgodnie z prawem.

Celer miał jednak wątpliwości.

– Jeśli się zgodzisz – ciągnął Cyncero – wyrok może być tyl-
ko jeden. Co prawda, Pompejusz będzie musiał wyrazić aproba-
tę... niech ci się nie wydaje, że możesz wrócić do starych oby-
czajów i sprzeciwiać mu się we wszystkim. Trzeba będzie mu
zagwarantować, że jego ludzie nie stracą ziemi, którą dostali, i
że jego ustalenia na wschodzie zostaną prawomocne... a może
nawet obiecać drugi konsulat.

– Trudno to będzie przełknąć. Czy nie zastąpimy jednego
tyrana drugim?

– Nie – odparł Cyncero z mocą. – Cezar to zupełnie inny typ
człowieka. Pompejusz chce tylko rządzić światem. Cezar pra-
gnie go zburzyć i zbudować na nowo zgodnie ze swoim wyob-
rażeniem. I jest jeszcze coś. – Urwał, szukając odpowiednich
słów.

– Co? Jest inteligentniejszy od Pompejusza. To trzeba mu
przyznać.

– O tak, tak, oczywiście, jest sto razy inteligentniejszy. Nie,
nie o to mi chodzi... chodzi mi o coś więcej... sam nie wiem...
jest w nim jakaś przynależna bogom niefrasobliwość... pogarda,
jeśli wolisz, dla tego świata, jakby myślał, że to wszystko to
jakiś żart. To coś w każdym razie, ta cecha, sprawia, że trudno
go powstrzymać.

– Nie ma co filozofować. Powiem ci, jak go powstrzymamy.
Nic łatwiejszego. Poderżniemy mu gardło i przekonasz się, że
wyzionie ducha jak każdy inny. Ale musimy działać, tak jak on
by działał: szybko, bezwzględnie i z zaskoczenia.

- To kiedy według ciebie?
- Jutro w nocy.
- Nie, to za szybko – uznał Cyncero. – Nie możemy zrobić tego całkiem sami. Trzeba wtajemniczyć innych.
- A wtedy Cezar na pewno się dowie. Wiesz, ilu ma informatorów.
- Mam na myśli tylko kilku ludzi, jeśli o to chodzi. Wszyscy są godni zaufania.
- Czyli kogo?
- Lukullusa. Hortensjusza. Izaurykusa... wciąż jest silny i nie wybaczył Cezarowi, że ten został najwyższym kapłanem. Może Katon.
- Katon! – fuknął Celer. – I będziemy dyskutować o etycznej stronie tego przedsięwzięcia jeszcze długo po tym, jak Cezar umrze ze starości!
- Nie byłbym tego taki pewny. Katon najgłośniej wzywał do walki przeciwko bandzie Katyliny. A ludzie szanują go prawie tak, jak kochają Cezara.
- Gdzieś zatrzeszczały deski na podłodze i Celer ostrzegawczo uniósł palec do ust.
- Kto tam?! – zawołał.
- Drzwi się otworzyły. Stała w nich Klodia. Zastanawiałem się, jak długo za nimi stała i co mogła usłyszeć. Ta sama myśl przyszła do głowy Celerowi.
- Co tu robisz? – zapytał surowo.
- Usłyszałam głosy. Właśnie wychodziłam.
- Wychodziłaś? – zapytał podejrzliwie. – O tej porze? Po co?
- A jak myślisz? Żeby zobaczyć mojego brata jako plebejusza. Żeby świętować!
- Celer zaklął, chwycił kubek po winie i rzucił nim w nią. Ale ona już wyszła i naczynie rozbilo się o ścianę, nie czyniąc nikomu krzywdy. Wstrzymałem oddech, czekając na jej reakcję,

ale usłyszałem, że drzwi frontowe się otworzyły i zatrzasnęły.

– Kiedy zdołasz zebrać wszystkich? – zapytał Celer. – Jutro?

– Lepiej pojutrze – odparł Cycero, który wciąż był zaskoczony tą wymianą zdań. – Bo inaczej będzie wyglądało, że bardzo się spieszymy, i Cezar nabierze podejrzeń. Spotkajmy się u mnie w domu, pod koniec dnia pracy, pojutrze.

Następnego rana Cycero sam napisał zaproszenia; kazał mi obejść miasto i doręczyć je adresatom do rąk własnych. Wszyscy czterej byli wielce zaintrygowani, bo już słyszeli o przejściu Klodiusza do plebejuszy. Lukullus nawet zapytał mnie z jednym z tych swoich ponurych, pełnych wyższości uśmiezków:

– Co takiego twój pan knuje? Chce kogoś zamordować?

Jednakże wszyscy zgodzili się przyjść – nawet Katon, który zazwyczaj nie był zbyt towarzyski i niechętnie wychodził z domu – bo byli przerażeni tym, co się działo. Wniosek Watyniusza, żeby dać Cezarowi w zarząd dwie prowincje i dowództwo wojskowe na pięć lat, właśnie został przybity na forum. Patrycjusze byli wściekli, popularzy się radowali, a w mieście panowało napięcie. Hortensjusz wziął mnie na stronę i powiedział, że jeśli chcę wiedzieć, jak źle się dzieje, powinienem pójść na grób Sergiuszów, na rozwidleniu dróg tuż za Bramą Kapeńską. Pochowano w nim głowę Katyliny. Poszedłem tam i zobaczyłem, że nagrobek zasłany jest stosami świeżych kwiatów.

Postanowiłem nie mówić Cycleronowi o tym hołdzie; był już wystarczająco podenerwowany. W dniu spotkania zamknął się w bibliotece i nie wychodził z niej, dopóki nie nadeszła wyznaczona pora. Szybko się wykąpał, przebrał w czyste ubranie i zaczął niespokojnie ustawiać krzesła w tablinum.

– Prawda wygląda tak, że jestem prawnikiem i nie nadaję się do takich rzeczy – wyznał mi.

Przytaknąłem niewyraźnie, ale nie sądzę, aby trapiła go nielegalność całego przedsięwzięcia – raczej zwykły lęk.

Pierwszy przybył Katon, jak zazwyczaj w pomiętej brudnej todze i boso. Skrzywił się z niesmakiem na widok okazałego domu i jego luksusów, ale chętnie zgodził się napić wina, bo nie stronił od niego; była to jego jedyna słabość. Po nim zjawił się Hortensjusz, pełen współczucia dla Cyncerona w związku z niepokojącymi poczynaniami Klodiusza; przypuszczał, że to one miały być tematem spotkania. Lukullus i Izaurykus, dwaj starzy wodzowie, przyszli razem.

– Działamy w konspiracji? – zapytał Izaurykus, zerkając na pozostałych. – Ktoś jeszcze przyjdzie?

– Metellus Celer – wyjaśnił Cyncero.

– To dobrze – zauważył Izaurykus. – Lubię go. Myślę, że jest naszą jedyną nadzieją na nadchodzące czasy. Przynajmniej zna się na wojaczce.

Cała piątka usiadła w koło. Oprócz nich w pokoju byłem tylko ja. Obszedłem wszystkich z dzbanem wina, a potem wycofałem się do kąta. Cyncero powiedział, żebym nie robił notatek, ale starał się jak najwięcej zapamiętać i potem spisać. W ostatnich latach byłem obecny na tylu spotkaniach z tymi ludźmi, że żaden z nich już nawet nie zwracał na mnie uwagi.

– Możemy się dowiedzieć, o co tu chodzi? – zapytał Katon.

– Chyba się domyślamy – odparł Lukullus.

– Proponuję, żebyśmy zaczekali na Celerę – rzekł Cyncero. – To on będzie miał najwięcej do powiedzenia.

Grupa siedziała w milczeniu, aż w końcu Cyncero nie mógł dłużej wytrzymać; kazał mi pójść do Celerę i dowiedzieć się, co jest powodem jego spóźnienia.

Nie udaję, że umiem przepowiadać przyszłość, ale gdy zbliżałem się do rezydencji Celera, od razu wyczułem, że dzieje się coś złego. Na zewnątrz było zbyt spokojnie; nie zauważyłem żadnych oznak codziennej krzątaniny. W środku panowała ta straszna cisza, która zawsze towarzyszy nieszczęściu. Służący Celera, którego dość dobrze znałem, wyszedł do mnie ze łzami w oczach i powiedział, że jego pan dostał poprzedniego dnia okropnych bólów i chociaż lekarze nie wiedzą, co mu jest, są zgodni, że może to się skończyć śmiercią. Mnie samemu zrobiło się niedobrze na te wieści; poprosiłem go, żeby poszedł do Celera i zapytał go, czy ma jakieś informacje dla Cyncerona, który czeka na niego u siebie w domu. Sługa odszedł i niebawem wrócił; miał do przekazania tylko jedno słowo, bo pewnie więcej Celer nie był w stanie z siebie wydobyć: „Przyjdź!”.

Pobiegłem do domu. Kiedy wszedłem do tablinum, naturalnie wszyscy senatorowie zwrócili na mnie wzrok, bo myśleli, że przybył Celer. Rozległy się pomruki zniecierpliwienia, gdy dałem znak Cynceronowi, że muszę porozmawiać z nim na osobności.

– O co ci chodzi? – szepnął gniewnie, gdy wyszliśmy do atrium. Miał już tak napięte nerwy, że nad sobą nie panował. – Gdzie Celer?

– Ciężko chory – odparłem. – Być może nawet umiera. Chce, panie, żebyś natychmiast do niego przyszedł.

Biedny Cyncero. To musiał być dla niego cios. Wręcz się pod nim zachwiał. Nie mówiąc więcej ani słowa, poszliśmy prosto do domu Celera, gdzie czekał jego służący, który zaprowadził nas do prywatnych pomieszczeń. Nigdy nie zapomnę tych ponurych korytarzy, słabo oświetlonych świecami, z mdlącym zapachem kadzidła, które palono, żeby zamaskować jeszcze gorsze wonie wymiocin i chorego ciała. Do Celera wezwano tylu lekarzy, że zastawili wejście do jego sypialni. Rozmawiali z sobą

po grecku. Musieliśmy przepchnąć się między nimi, aby wejść do środka. Panowała tam taka duchota i mrok, że Cycero musiał wziąć lampę, którą postawił obok leżącego senatora. Celer był nagi, jeśli nie liczyć bandaża w miejscu, gdzie krwawił. Na ramionach i udach przystawiono mu pijawki. Miał czarne usta, z których wydobywała się piana; dowiedziałem się później, że w ramach jakiejś szarlatanerii podawano mu węgiel. Trzeba go było przywiązać do łóżka, tak silne miał konwulsje.

Cycero przykląkł obok niego.

– Celerze – powiedział z wielką czułością – drogi przyjacielu, kto ci to zrobił?

Słyszac głos mojego pana, Celer zwrócił ku niemu twarz i usiłował coś powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko nieartykułowany pomruk i czarne bąbelki. Po tym się poddał. Zamknął oczy i jak się okazało, już nigdy ich nie otworzył.

Cycero siedział przy nim jeszcze przez jakiś czas. Zadawał lekarzom różne pytania. Każdy z nich miał inną opinię, jak to medycy, ale w jednym się zgadzali: żaden z nich dotąd nie widział, żeby tak silne ciało tak szybko poddało się chorobie.

– Chorobie? – zapytał Cycero z niedowierzaniem. – Ależ z pewnością został otruty?

Otruty? Lekarze wzdrygnęli się na dźwięk tego słowa. Nie, nie, to była bardzo szybko postępująca choroba, podstępny rozstrój, efekt ukąszenia przez węża; wszystko, ale na pewno nie otrucie, zbyt odrażające, żeby w ogóle brać je pod uwagę. Zresztą kto by chciał otruć szlachetnego Celera?

Cycero zostawił ich. Nie miał wątpliwości, że nieszczęśnika zamordowano, choć nigdy się nie dowiedział, czy maczał w tym palce Cezar, czy Klodiusz, czy też obaj, i stanowi to zagadkę do dziś. Co do jednego był pewny: wiedział, kto podał śmiertelną

dawkę, bo gdy wychodziliśmy z domu śmierci, w drzwiach frontowych natknęliśmy się na wracającą z miasta Klodię, której towarzyszył – no kto? – młody Celiusz Rufus, jeszcze triumfujący po wygranej sprawie przeciwko Hybrydzie. I choć oboje pospiesznie przybrali zbolale miny, widać było, że śmiali się jeszcze przed chwilą; szybko odsunęli się od siebie, ale nietrudno się było domyślić, że są kochankami.

XVIII

Ciało Celera zostało spalone na stosie pogrzebowym, który wzniesiono na forum jako znak żałoby narodowej. Twarz po śmierci miał spokojną, a usta – jeszcze niedawno czarne – czyste i różowe jak pączek róży. Na uroczystość przybył Cezar wraz z całym senatem. Klodia wyglądała pięknie w żałobie i jako wdowa nie szczędziła łez. Później prochy zmarłego złożono w rodzinnym mauzoleum, a Cyncero popadł w wielkie przygnębienie. Czuł, że wszelkie szanse na powstrzymanie Cezara umarły razem z Celerelem.

Terencja, która widziała smutek męża, nalegała na zmianę otoczenia. Cyncero nabył nowy dom na wybrzeżu Antium, półtora dnia drogi od Rzymu, i tam też rodzina wyjechała na początku” wiosennej przerwy w obradach senatu. Podczas podróży mijaliśmy Solonium, gdzie ród Klaudiuszów miał od dawna okazałą wiejską rezydencję. Podobno za jej murami w kolorze ochry Klodiusz i Klodia urządzili rodzinną naradę ze swoimi dwoma braćmi i dwiema siostrami.

– Cała szóstka razem – zauważył Cyncero, gdy przejeżdżaliśmy obok naszym powozem – jak miot szczeniąt... raczej pomiot rodem z Hadesu! Wyobraź ich sobie tam, kłębiących się z sobą w łóżkach i knujących na moją zgubę.

Nic nie powiedziałem, bo trudno było sobie wyobrazić sztywnych starszych braci, Appiusza i Gajusza, snujących takie intrygi.

W Antium pogoda była brzydka, od morza nadciągał falami zacinający deszcz. Cyncero, mimo niesprzyjających warunków, siedział na tarasie, patrzył w dal, na zasnuty szarymi chmurami horyzont, i próbował znaleźć wyjście z tarapatów. W końcu po dwóch dniach, już w lepszym nastroju, wrócił do biblioteki.

– Tironie, co jest moją prawdziwą bronią? – zapytał, po czym sam odpowiedział sobie na pytanie. – One. – Wskazał swoje księgi. – Słowa. Cezar i Pompejusz mają żołnierzy, Krasus majątek, Klodiusz zbirów na ulicach. Moimi legionami są słowa. Tylko dzięki językowi do czegoś w życiu doszedłem i dzięki językowi przeżyję.

Zaczęliśmy więc pracować nad dziełem, które nazwał *Se-kretną historią mojego konsulatu* – czwartą i ostatnią wersją jego autobiografii i jak na razie najbardziej wierną prawdzie; księga ta miała stanowić podstawę jego obrony, gdyby został postawiony przed sądem; nigdy nie została wydana i teraz, gdy piszę te wspomnienia, opieram się na niej. Wyłożył w niej wszystkie fakty dotyczące powiązań Cezara z Katyliną; ujawnił, jak Krassus osłaniał Katylinę, wspierał go finansowo i wreszcie zdradził; jak Pompejusz wykorzystał swoich popleczników, żeby przedłużyć i pogłębić kryzys, bo chciał, by wezwano go z wojskiem do kraju. Spisanie tego zajęło nam dwa dni, a ja w tym czasie zrobiłem dodatkową kopię. Kiedy skończyliśmy, owinałem każdy z oryginalnych zwojów w len, a potem w tkaninę nasączoną woskiem, i włożyłem do amfory, którą zapieczętowaliśmy. Później, pewnego ranka, Cyncero i ja wstaliśmy wcześniej, gdy reszta domowników jeszcze spała, zanieśliśmy amforę do pobliskiego gaju i zakopaliśmy między grabem a jesionem.

– Jeśli coś mi się stanie – pouczył mnie Cyncero – wykop ją i przekaz Terencji, powiedz jej, żeby wykorzystała ją według swojego uznania.

Z tego, co wiedziałem, miał tylko jedną szansę na uniknięcie procesu: dawało mu ją ochłodzenie stosunków między Pompeuszem a Cezarem, które doprowadziłoby do zerwania przymierza. Biorąc pod uwagę charaktery tych polityków, nie była to wcale nieprawdopodobna ewentualność i mój pan wciąż oczekiwał wieści, które by to zwiastowały. Niecierpliwie otwierał każdy list z Rzymu. Szczegółowo wypytywał wszystkich znajomych, którzy przejeżdżali obok w drodze na południe, nad Zatokę Neapolitańską. Niektóre wiadomości budziły nadzieję. Aby okazać Cynceronowi względy, Pompeusz poprosił Klodiusza, aby wyjechał z misją do Armenii, zamiast ubiegać się o trybunat. Klodiusz jednak odmówił. Cezar poparł Pompejusza. Klodiusz pokłócił się z Cezarem, a nawet mu zagroził, że jeśli zostanie trybunem, unieważni wszystkie ustawy triumwiratu. Wtedy Cezar stracił do niego cierpliwość. Pompeusz zaczął wyrzucać Cezarowi, że to on obarczył ich tym nieokiełznanym patrycjuszoplebujuszem. Niektórzy nawet szeptali, że ci dwaj mężowie stanu przestali odzywać się do siebie. Cyncero był uradowany.

– Zapamiętaj moje słowa, Tironie: wszystkie dyktatury, choć nie wiem jak potężne i cieszące się popularnością, w końcu upadają.

Były oznaki, że i ta może niebawem upaść. I tak by się pewnie stało, gdyby Cezar nie uczynił radykalnego kroku, żeby ją ratować.

Cios spadł pierwszego dnia maja. Było to wieczorem, po kolacji. Cyncero właśnie drzemał na sofie, gdy przybył list od Attyka. Muszę wyjaśnić, że byliśmy wtedy w willi w Formiae i że Attyk wrócił na krótko do swojego domu w Rzymie, skąd niemal codziennie przysyłał Cynceronowi informacje, które zdobył.

Oczywiście, mojemu panu nie zastępowało to spotkań z przyjacielem, ale obaj uznali, że Attyk powinien zostać w mieście, bo tam przynajmniej, zamiast liczyć fale u brzegu, mógł słuchać plotek. Terencja w kącie pokoju zajęta była wyszywaniem, panował spokój, a ja zastanawiałem się, czy zbudzić Cyncerona. On jednak usłyszał hałas, jaki spowodowało wejście posłańca, i nakazującym ruchem uniósł rękę z sofy.

– Daj mi to – polecił.

Podąłem mu list i wyszedłem na taras. Zobaczyłem dalekie światło łodzi na morzu i zastanawiałem się właśnie, jakie to ryby łowi się w ciemnościach, czy może to kosz na homary, czy jeszcze co innego – jestem straszliwym szczurem lądowym – gdy z sofy za moimi plecami dobiegł rozdzierający jęk.

Terencja uniosła głowę z niepokojem.

– Co się stało? – zapytała.

Wszedłem do środka. Cyncero zgniótł list przy piersi.

– Pompejusz ożenił się ponownie – powiedział głucho. – Wziął za żonę córkę Cezara!

W walce z losem Cyncero używał różnej broni: odwoływał się do logiki, przebiegłości, ironii, rozumu, zdolności oratorskich, głębokiej znajomości prawa i ludzi. Ale wobec alchemii dwóch nagich ciał w ciemnym łożu i wzajemnych uczuć, powiązań i układów, jakie taka bliskość mogła rodzić, był bezradny. Pewnie wyda się to dziwne, ale nigdy nie pomyślał, że może dojść do takiego małżeństwa. Pompejusz miał już prawie czterdzieści siedem lat. Julia – czternaście. Tylko Cezar mógł w tak cyniczny, odrażający, niegodny sposób sprzedać swoją córkę, zżymał się Cyncero. Wyrzekał na niego przez godzinę czy dwie – „Wyobraź to sobie: on i ona, razem!” – a potem, gdy już ochłonął, napisał list z gratulacjami do państwa młodych. Zaraz po powrocie do Rzymu poszedł do nich z prezentem. Niosłem upominek w szkatułce z drewna sandałowego i gdy mój pan wygłosił

przygotowany wcześniej tekst o niebiańskim blasku, jakim emanuje ich związek, podałem mu ją.

– Kto przyjmuje prezenty w tym domu? – zapytał z uśmiechem i zrobił pół kroku w stronę Pompejusza, który oczywiście od razu wyciągnął ręce. Jednakże Cycero szybko wykonał obrót i z ukłonem wręczył szkatułkę Julii. Ta zaśmiała się i po chwili Pompejusz jej zawtórował, chociaż pogroził mojemu panu palcem i nazwał go przekorą. Muszę powiedzieć, że Julia wyrosła na uroczą młodą kobietę – ładną, pełną wdzięku i dobrą – a mimo to każdym rysem twarzy i każdym gestem przypominała ojca. Można by odnieść wrażenie, że jeśli on był pozbawiony powabu, ona miała go za dwoje. A co najbardziej zadziwiające, najwyraźniej naprawdę zakochała się w Pompejuszu. Otworzyła teraz szkatułkę i wyjęła prezent od Cyclerona – był to piękny srebrny talerz, jeśli się nie mylę, z wygrawerowanymi inicjałami ich obojga – i pokazując go Pompejuszowi, wyciągnęła rękę i pogładziła go po policzku. On rozpromienił się i ucałował ją w czoło. Cycero spojrzał na tę szczęśliwą parę ze sztucznym uśmiechem zaproszonego na ucztę gościa, który właśnie połknął coś obrzydliwego, ale nie chce się z tym zdradzić wobec gospodarzy.

– Musisz znowu nas odwiedzić – powiedział Julia. – Chciałabym poznać cię lepiej. Mój ojciec mówi, że jesteś najbystrzejszym człowiekiem w Rzymie.

– Jest bardzo dla mnie łaskawy, ale, niestety, jeśli o to chodzi, palmę pierwszeństwa muszę przyznać jemu.

Pompejusz nalegał, że osobiście odprowadzi go do drzwi.

– Czyż nie jest zachwycająca? – zapytał.

– O tak.

– Powiem ci szczerze, Cyceronie, jestem z nią bardziej szczęśliwy niż z jakąkolwiek kobietą do tej pory. Czuję się o dwadzieścia lat młodszy. A nawet trzydzieści.

– Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce zamienisz się w niemowlę – zażartował Cyncero. – Jeszcze raz wam gratuluję.

Doszliśmy do atrium – gdzie jak zauważyłem, wylądowały płaszcze Aleksandra Wielkiego i inkrustowane perłami popiersie Pompejusza.

– Jak się domyślam, stosunki z nowym teściem układają ci się równie dobrze?

– Och, Cezar nie jest taki zły, jeśli ktoś umie z nim postępować.

– Pogodziliście się?

– Nigdy się na siebie nie gniewaliśmy.

– A co będzie ze mną?! – wybuchnął Cyncero, który nie mógł już dłużej ukrywać swoich prawdziwych uczuć. Powiedział to jak odrzucony kochanek. – Jak mam teraz postępować wobec Klodiusza, tego potwora, którego stworzyliście, żeby mnie zdręczyć?

– Mój drogi przyjacielu, przestań się tym zamartwiać! On dużo gada, lecz mało robi. Jeśli naprawdę dojdzie do starcia, dopadnie cię po moim trupie.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

– Czy mogę na tym polegać?

Pompejusz spojrział na niego z urazą.

– A czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

Wkrótce małżeństwo to przyniosło pierwszy owoc. Pompejusz wstał w senacie i odczytał wniosek: wobec bolesnej straty etc., etc., jaką była śmierć Metellusa Celera, prowincja, którą przydzielono mu przed śmiercią – Galia Zaalpejska – powinna przypaść Juliuszowi Cezarowi, który głosami ludu już otrzymał Galię Przedalpejską; namiestnictwo ich obu ułatwi w przyszłości tłumienie ewentualnych rebelii; a biorąc pod uwagę niepokoje

panujące w tym rejonie, Cezar powinien dostać pod komendę dodatkowy legion, aby dysponował siłą pięciu z nich.

Cezar, który przewodniczył obradom, zapytał, czy ktoś zgłasza sprzeciw. Wychylił się na krzesło w prawo i w lewo parę razy, żeby sprawdzić, czy ktoś chce zabrać głos, i już miał przejść do „innych spraw”, gdy wstał Lukullus. Stary patrycjusz i wódz zbliżał się do sześćdziesiątki – wyniosły, przebiegły jak kot i wciąż na swój sposób wspaniały.

– Wybacz mi, Cezarze – zaczął – ale czy zamierzasz także zatrzymać Bitynię?

– Tak.

– Więc będziesz miał trzy prowincje?

– Tak.

– Ale przecież Bitynię dzieli tysiąc mil od Galii! – Lukullus zaśmiał się szyderczo i rozejrzał po izbie, żeby zachęcić innych do śmiechu. Ale nikt się do niego nie przyłączył.

Cezar odparł spokojnie:

– Dziękuję za przypomnienie, Lukullusie, ale wszyscy znamy się na geografii. Czy ktoś jeszcze chce się wypowiedzieć?

Ale Lukullus nie skończył.

– I chcesz sprawować namiestnictwo przez pięć lat? – ciągnął.

– Owszem. Lud tak zdecydował. A co? Chcesz się sprzeciwić woli ludu?

– Ależ to absurd! – zawołał Lukullus. – Senatorowie, nie możemy pozwolić, żeby jeden człowiek, choćby bardzo uzdolniony, miał przez pięć lat do dyspozycji dwa tysiące ludzi, i to na granicy samej Italii. A jeśli ruszy z nimi na Rzym?

Cycero jako jeden z wielu senatorów zaczął wiercić się na twardej drewnianej ławie. Jednakże żaden z nich – nawet Katon – nie chciał wszczynać walki, bo sprawa była z góry przegrana.

Lukullus, wyraźnie zdziwiony brakiem poparcia, usiadł niechętnie i splótł ramiona przed sobą.

– Obawiam się, że nasz przyjaciel Lukullus spędza za dużo czasu z rybami – odezwał się Pompejusz – Ostatnio wiele się w Rzymie zmieniło.

– Właśnie widzę – mruknął Lukullus na tyle głośno, aby wszyscy słyszeli – i to nie na lepsze.

Na to wstał Cezar. Miał twardy, zimny wyraz twarzy, wręcz pozbawiony ludzkich cech, jak maska Traka z komedii.

– Lukullus, zdaje się, zapomniał, że miał w swoim czasie pod komendą więcej legionów niż ja i dłużej niż przez pięć lat, a mimo to z Mitrydatesem musiał ostatecznie rozprawić się mój waleczny zięć. – Zwolennicy trójgłowego potwora wydali głośny pomruk aprobaty. – Moim zdaniem działalność Lukullusa jako dowódcy powinno się zbadać, i to być może nawet powołując specjalny trybunał. A już na pewno kontroli wymagają finanse Lucjusza Lukullusa... ludzie chcieliby wiedzieć, skąd się wziął ten jego wielki majątek. Na razie jednak może Lucjusz Lukullus przeprosi izbę za swoje obraźliwe insynuacje.

Lukullus rozejrzał się wokół siebie. Nikt nie odpowiedział na jego spojrzenie. Postawienie przed specjalnym trybunałem, w jego wieku, konieczność tłumaczenia się – tego by nie zniósł. Przełknął ślinę i wstał znowu.

– Jeśli moje słowa cię obraziły, Cezarze... – zaczął.

– Na kolana! – warknął Cezar.

Lukullus nagle wydał się bardzo stary i jakby oszołomiony.

– Co takiego? – zapytał.

– Powinieneś przeprosić na kolanach! – powtórzył Cezar.

Nie mogłem na to patrzeć, a jednocześnie nie potrafiłem odebrać wzroku od tej sceny, ponieważ koniec wielkiej kariery stanowi dziwnie fascynujący widok, jak upadek potężnego drzewa. Przez chwilę Lukullus stał prosto. Potem, z trzaskiem w zeszywniałych po latach służby wojskowej stawach, opadł

najpierw na jedno kolano, a następnie na drugie, i skłonił głowę przed Cezarem, podczas gdy cały senat przyglądał się temu w milczeniu.

Kilka dni później Cycero musiał znowu sięgnąć do sakiewki, żeby kupić kolejny prezent ślubny, tym razem dla Cezara.

Wszyscy przypuszczali, że jeśli Cezar ożeni się ponownie, to z Serwilią, która była jego kochanką od kilku lat i której mąż, były konsul, Juniusz Silanus, właśnie ostatnio zmarł. Mówiono nawet, że już wziął z nią ślub, gdy Serwilią pojawiła się na uczcie w perłach, będących, jak powiedziała, podarunkiem od konsula i wartych sześćdziesiąt tysięcy sestercji w złocie. Ale nie: w następnym tygodniu Cezar wziął sobie za żonę córkę Lucjusza Kalpurniusza Pizona – wysoką, szczupłą, prostą, dwudziestoletnią dziewczynę, o której nikt nawet nie słyszał.

Po dłuższym zastanowieniu Cycero postanowił, że nie wyśle prezentu przez posłańca, ale wręczy go osobiście. Znowu był to srebrny talerz z wygrawerowanymi inicjałami młodej pary i także znalazł się w szkatułce z drewna sandałowego; i oczywiście ja miałem go nieść. Posłusznie więc czekałem przed budynkiem senatu, aż zakończy się posiedzenie, i kiedy w drzwiach pojawili się Cycero z Cezarem, podszedłem do nich.

– To skromny prezent od Terencji i ode mnie dla ciebie i Kalpurni – powiedział mój pan, wziął szkatułkę z moich rąk i podał ją Cezarowi. – Życzę wam oboju długiego, szczęśliwego związku.

– Dziękuję ci – odparł Cezar – to miłe, że pomyślałeś. – Nie zajął do środka i od razu oddał szkatułkę jednemu ze służących. – Może – dodał – skoro jesteś taki wspaniałomyślny, także oddasz na nas swój głos.

– Głos?

– Tak, mój teść staje do wyborów konsularnych.

– Ach – rzekł Cyncero i na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia – teraz to wszystko nabiera sensu. Szczerze mówiąc, zachodziłem w głowę, dlaczego ożeniłeś się z Kalpurnią.

– A nie z Serwilią? – Cezar uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Na tym polega polityka.

– A co na to Serwilia?

– Rozumie to. – Cezar już miał ruszyć dalej, ale zatrzymał się jeszcze, jakby właśnie coś sobie przypomniał. – A tak przy okazji, co zamierzasz zrobić z naszym wspólnym znajomym, Klodiuszem?

– Nie zastanawiałem się nad tym ani przez chwilę – odparł Cyncero. (Było to kłamstwo, oczywiście; w gruncie rzeczy prawie o niczym innym nie myślał).

– Mądrze z twojej strony – zauważył Cezar. – On nie jest tego wart. Ale ciekaw jestem, co zrobi, gdy zostanie trybunem.

– Spodziewam się, że wniesie przeciwko mnie oskarżenie.

– To nie powinno cię martwić. Pokonałbyś go przed każdym sądem w Rzymie.

– On też musi zdawać sobie z tego sprawę. Dlatego sądzę, że wybierze bardziej sprzyjający mu grunt. Jakiś specjalny trybunał... żebym został osądzony przez cały lud rzymski, na Polu Marsowym.

– To by było dla ciebie gorsze.

– Dużo wiem i przemawiają za mną fakty, dlatego gotów jestem się bronić. Poza tym jeśli dobrze sobie przypominam, pokonałem cię właśnie na Polu Marsowym, gdy wniosłeś oskarżenie przeciwko Rabiriuszowi.

– Nie przypominaj mi tego! Wciąż noszę blizny! – Szorstki, pozbawiony wesołości śmiech Cezara umilkł tak nagle, jak się rozległ. – Posłuchaj, Cynceronie, jeśli on rzeczywiście ci zagrozi, to pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na moją pomoc.

Zaskoczony tą propozycją Cycero zapytał:

– Naprawdę? W jaki sposób mi pomożesz?

– Jako dowódca tak wielkiej armii będę miał na głowie przede wszystkim kampanię wojskową. Potrzebny mi legat, który zająłby się sprawami cywilnymi w Galii. Nadajesz się na to stanowisko idealnie. Nie musiałbyś nawet spędzać tam tak wiele czasu... mógłbyś wracać do Rzymu tak często, jak byś chciał. A jako mój współpracownik byłbyś nietykalny. Zastanów się nad tym. A teraz muszę cię pożegnać. – I z uprzejmym skinieniem głowy odszedł, aby porozmawiać z tuzinem innych senatorów, którzy już czekali, żeby zamienić z nim słowo.

Cycero popatrzył za nim ze zdumieniem.

– To bardzo wspaniałomyślna propozycja – zauważył. – Naprawdę wspaniałomyślna. Musimy wysłać mu list z odpowiedzią, że się zastanowimy, aby mieć tę obietnicę na piśmie.

I tak zrobiliśmy. A kiedy Cezar odpowiedział jeszcze tego samego dnia, że stanowisko legata należy do Cyclerona, jeśli tylko zechce je przyjąć, mój pan po raz pierwszy poczuł się pewniej.

Tego roku wybory odbywały się później niż zwykle, a to za sprawą polityki Bibulusa, który stale twierdził, że wróżby są niepomyślne. Ale ponieważ nie można było odkładać tego feralnego dnia w nieskończoność, w październiku Klodiusz spełnił wreszcie marzenie swojego życia i zwyciężył w wyborach na trybuna. Cycero oszczędził sobie mąk i nie poszedł na Pole Marsowe, żeby poznać wyniki. Zresztą nie musiał; bez opuszczania domu słyszeliśmy okrzyki radości i podniecenia, jakie wydawał lud.

Dziesiątego dnia grudnia Klodiusz został zaprzysiężony. Cycero znowu pozostał w bibliotece. Lecz wiwaty były tak głośne, że nie dało się przed nimi uciec mimo zamkniętych drzwi i

okien, potem zaś z forum nadeszła wieść, że Klodiusz właśnie wywiesił projekty proponowanych ustaw na murach świątyni Saturna.

– Nie traci czasu – zauważył Cycero z grobową miną. – Doskonale, Tironie. Zejdź na dół i dowiedz się, jaki los chce nam zgotować nasza mała Królowa Piękności.

Jak możecie sobie wyobrazić, byłem w stanie wielkiego niepokoju, gdy schodziłem na forum. Odczytano już projekty, ale pod świątynią wciąż stały grupki ludzi, którzy dyskutowali o tym, co właśnie usłyszeli. Panowało podniecenie, jakby byli świadkami jakiegoś niesamowitego wydarzenia i musieli podzielić się z sobą wrażeniami. Podszedłem pod świątynię Saturna; musiałem przepychać się przez tłum, żeby zobaczyć, co jest powodem tego poruszenia. Na murze wisiały cztery wnioski. Wyjąłem rylec i woskową tabliczkę. Jedna z proponowanych ustaw miała w przyszłości uniemożliwić konsulom takie postępowanie jak Bibulusa, ponieważ ograniczała pradowne prawo do wstrzymywania wszelkich oficjalnych działań, dlatego że wróżby są niepomysłne. Druga – zmniejszała prawa cenzorów do usuwania senatorów z izby. Trzecia – pozwalała lokalnym bractwom wznowić działalność i organizować spotkania (senat przed sześcioma laty zakazał tego, ponieważ takie zgromadzenia przeradzały się w burdy). I wreszcie czwarta – zdaje się, że to ta wzbudziła takie emocje – uprawniała każdego obywatela, po raz pierwszy w dziejach Rzymu, do otrzymywania co miesiąc darmowej porcji chleba.

Zanotowałem zasadnicze punkty każdego z wniosków i czym prędzej wróciłem do domu, żeby przekazać ich treść Cyceronowi. Zastałem go siedzącego przed rozłożonym na stole zwojem z historią jego konsulatu; widocznie już zaczął przygotowywać się do obrony. Kiedy powiedziałem mu, co proponuje Klodiusz, opadł na oparcie krzesła zdumiony.

– Więc nie ma o mnie słowa?

- Ani jednego.
- Nie mów mi, że zostawi mnie w spokoju po tych wszystkich groźbach.
- Może wcale nie czuje się tak pewnie, jak mogłoby się wydawać.
- Przeczytaj mi jeszcze raz te wnioski.

Wypełniłem polecenie, a on słuchał z przymkniętymi oczami, skupiając się na każdym słowie.

– To wszystko program popularów – zauważył, gdy skończyłem. – Darmowy chleb do końca życia. Zebrania i wiece na każdym rogu. Nic dziwnego, że te projekty zostały tak dobrze przyjęte. – Zastanawiał się przez chwilę. – Wiesz, czego Kłodiusz się teraz po mnie spodziewa, Tironie?

- Nie.
- Oczekuje, że zaprotestuję przeciwko tym propozycjom tylko dlatego, iż to on je zgłosił. Nawet tego chce. Potem mógłby zwrócić się do ludu i powiedzieć: „Spójrzcie na Cyncerona, przyjaciela bogaczy! Wydaje mu się, że senatorowie mają prawo się najadać i bawić, ale biedakom odmawia, gdy proszą o kawałek chleba i możliwość zabawienia się po dniu ciężkiej pracy!”. Rozumiesz? Próbuje mnie sprowokować, żebym wystąpił przeciwko niemu, a potem zamierza mnie zawlec na Pole Marsowe, postawić przed ludem i oskarżyć, że zachowuję się jak król. Niech będzie przeklęty! Nie dam mu tej satysfakcji. Dowiodę, że jestem od niego sprytniejszy.

Nie wiem, czy dałoby się zablokować ustawy Kłodiusza, gdyby Cyncero nie przyłożył do tego ręki. Miał bowiem swojego człowieka wśród trybunów, Ninniusza Kwadratusa, który gotów był zgłosić weto w jego imieniu, a także mnóstwo szanowanych obywateli wśród senatorów i ekwitów, którzy przyszliby mu z pomocą. Wszyscy oni uważali, że darmowe rozdawnictwo chleba spowoduje uzależnienie się biednych od państwa i upadek ich morale. Kosztowałoby ono skarb państwa sto milionów sestercji

rocznie i imperium samo musiałyby polegać na dochodach z zagranicy. Byli także zdania, że lokalne bractwa będą szerzyć zepsucie i że organizowanie wszelkich zebrań i zabaw publicznych należy zostawić kapłanom oficjalnych kultów religijnych. Prawdopodobnie mieli rację pod każdym względem. Ale Cycero był nastawiony bardziej ugodowo. Miał świadomość, że czasy się zmieniły.

– Pompejusz zalał republikę łatwo dostępnymi pieniędzmi – tłumaczył mi. – O tym się zapomina. Sto milionów to dla niego nic. Biedota albo dostanie swoją działkę, albo zażąda naszych głów... a w Klodiuszu znaleźli przywódcę.

Dlatego też Cycero postanowił nie sprzeciwiać się ustawom proponowanym przez Klodiusza i przynajmniej przez jakiś czas – jak w ostatnim rozbłysku gasnącej świecy – cieszył się dawną popularnością. Powiedział Kwadratusowi, żeby nie zgłaszał weta, sam nie chciał krytykować planów Klodiusza i został gorąco powitany na ulicy, gdy oznajmił, że nie będzie walczył z przedłożonymi wnioskami. Pierwszego dnia stycznia, kiedy senat zebrał się na obrady za nowych konsulów, otrzymał prawo zabierania głosu jako trzeci, po Pompejuszu i Krassusie – co było symbolicznym wyróżnieniem. A kiedy przewodniczący sesji konsul, teść Cezara, Kalpurniusz Pizon, wezwał go, aby wyraził swoją opinię, skorzystał z okazji i wygłosił jeden ze swoich wspaniałych apeli o jedność i zgodę.

– Nie będę sprzeciwiał się ustawom, które zaproponował nasz kolega Klodiusz, nie będę ich blokował ani udaremniał ich realizacji, i modłę się, żeby w tych trudnych czasach można było ustanowić nowe porozumienie między senatem a ludem.

Słowa te zostały przyjęte oklaskami i kiedy przyszła kolej Klodiusza, aby odnieść się do wystąpień poprzedników, wygłosił równie wspaniałomyślną mowę.

– Nie tak dawno temu Marka Cyclerona i mnie łączyły bardzo przyjazne stosunki – powiedział ze łzami szczerego wzruszenia w

oczach. – Sądzę, że za niezgodę między nami ponosi odpowiedzialność pewna bliska mu osoba – powszechnie uznano, że mówi o Terencji, rzekomo zazdrosnej o Klodię – i pochwalam to jego podejście do oczekiwania ludu jako prawdziwie godne męża stanu.

Dwa dni później, kiedy wnioski Klodiusza zostały uchwalone, na wzgórzach i w dolinach Rzymu zapanowało wielkie ożywienie, bo lokalne bractwa zebrały się, aby świętować wznowienie działalności. Nie była to jednak demonstracja spontaniczna, lecz starannie przygotowana przez człowieka Klodiusza, skrybę imieniem Kloeliusz. Biedacy, wyzwolenci i niewolnicy przepędzili świnie przez miasto i złożyli je w ofierze bez udziału kapłanów, a potem piekli mięso na rogach ulic. Nie zakończyli zabawy z zapadnięciem nocy; zapalili pochodnie oraz piece i nadal śpiewali i tańczyli. (Było niezwykle ciepło jak na tę porę roku, co zawsze zachęca tłum do ekscesów). Pili tak dużo, że potem rzygali. Uprawiali nierząd po kątach. Skupiali się w bandy i walczyli z sobą, aż krew płynęła rynsztokami. W eleganckich dzielnicach, zwłaszcza na Palatynie, co zamożniejsi obywatele pozamykali się w domach i czekali, aż te dionizja się zakończą. Cycero obserwował to wszystko z tarasu i widziałem, że ma wątpliwości, czy postąpił słusznie, nie protestując przeciwko ustawom Klodiusza. Ale gdy przyszedł do niego Kwadratus i zapytał, czy nie mogliby zebrać kilku innych urzędników z miasta i rozpędzić tych tłumów, odparł, że już na to za późno – że w garnku wrze na dobre i nałożenie pokrywy nic nie da.

Okolo północy hałasy zaczęły cichnąć. Na ulicach zapanował spokój, choć z dziwnych części forum dochodziły jakby głośnie chrapania, które niosły się w ciemnościach jak rechot żab na bagnach. Z ulgą poszedłem do łóżka. Po godzinie czy dwóch coś mnie obudziło. Dźwięk był bardzo daleki i w ciągu dnia nie zwróciłby niczyjej uwagi; to wczesna pora i panująca cisza

sprawiły, że brzmiał złowróźnie. Zorientowałem się, że były to odgłosy walenia młotami w ścianę.

Wziąłem lampę i zszedłem po schodach na parter, odryglo- wałem tylne drzwi i wyrząłem na taras. Miasto wciąż pogrą- żone było w mroku, a powietrze wydawało się całkiem ciepłe. Niewiele zobaczyłem. Ale hałas, który dochodził ze wschodniej części forum, stał się wyraźniejszy i gdy nadstawiłem ucha, roz- różniłem poszczególne uderzenia – czasami pojedyncze, czę- ściej nakładające się na siebie, głuche i dźwięczne, jakby padały na kamień i na metal – które rozchodziły się po pogrążonym we śnie mieście. Nie ustawały i domyśliłem się, że musi tam pra- cować kilka grup ludzi. Od czasu do czasu rozlegały się okrzyki czy rumor zwanego gruzu. Wtedy dotarło do mnie, że nie są to odgłosy budowy – lecz burzenia.

Cycero wstał niedługo po świcie, jak miał w zwyczaju, i jak zwykle poszedłem do niego do biblioteki, żeby zapytać, czy czegoś sobie życzy.

– Słyszałeś w nocy to walenie młotami? – zapytał. Potwier- dziłem. Przekrzywił głowę, nasłuchując. – A teraz jest cicho. Ciekaw jestem, co znowu się wydarzyło. Chodźmy na dół i zo- baczmy, co te łotry knują.

Było jeszcze za wcześnie, żeby zaczęli zbierać się klienci, i na ulicy nie zobaczyliśmy żywego ducha. Zeszliśmy na forum w towarzystwie kilku krzepkich służących i początkowo wszystko wydało nam się normalne, z wyjątkiem stosów śmieci, które pozostały po wieczornych hulankach i leżącego w dziwnej po- zycji człowieka spitego do nieprzytomności. Lecz gdy zbliżyli- śmy się do świątyni Kastora, Cycero zatrzymał się nagle i wydał okrzyk przerażenia. Budynek został haniebnie okaleczony. Stopnie prowadzące do otoczonego filarami wejścia rozebrano, tak że ktoś, kto chciałby wejść do środka, stawał przed gołą ścianą wysokości dwóch ludzi. Z gruzu utworzono coś w rodza- ju podestu. Do świątyni można było się dostać jedynie po dwóch

drabinach, a każdej z nich strzegli ludzie z młotami. Świeżo odsłonięty czerwony mur wyglądał brzydko, był surowy i nagi jak ciało po amputacji. Widniały na nim różne hasła. Jedno z nich głosiło: „Publiusz Klodiusz obiecuje ludziom darmowy chleb!”, inny: „Śmierć wrogom ludu rzymskiego!”, trzeci: „Chleba i wolności!”. Były tam jeszcze jakieś anonse, znajdowały się niżej, na linii wzroku, z daleka wyglądały jak projekty praw i trzech czy czterech obywateli kręciło się przy nich, aby je przeczytać. Powyżej, nad ich głowami, na podeście świątyni, stał szereg mężczyzn, zupełnie nieruchomych, jak postacie fresku. Gdy podszedłem bliżej, poznałem kilku przybocznych Klodiusza: Kloeliusza, Patynę, Skatona, Polę Serwiusza, samych łotrów, którzy prowadzali się z nim jeszcze w dawnych czasach. Dalej dostrzegłem Marka Antoniusza i Celiusza Rufusa, i wreszcie samego Klodiusza.

– To potworne – powiedział Cycero, który trząśł się z gniewu. – Świątokradztwo, hańba...

Nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli my widzimy ludzi, którzy to zrobili, oni z pewnością widzą nas. Dotknąłem ramienia Cyclerona.

– Może zaczekasz tu, panie – zaproponowałem – a ja pójde i zobaczę, co jest tam napisane? Chyba roztropniej by było, gdyś się tam nie zbliżał. Te typy wyglądają groźnie.

Szybko podszedłem do odsłoniętego muru, obserwowany przez Klodiusza i jego towarzyszy. Z obu stron spoglądali na mnie nieprzyjaźnie mężczyźni o wytatuowanych ramionach i krótko ostrzyżonych włosach, wsparci na młotach. Pospiesznie przebiegłem wzrokiem po ogłoszeniach na ścianie. Tak jak się domyślałem, były to nowe wnioski, konkretnie dwa. Jeden dotyczył przydziału prowincji konsularnych na następny rok: Macedonia miała przypaść Kalpuriuszowi Pizonowi, a Syria – chyba tak – Aulusowi Gabiniuszowi. Drugi wniosek był krótki, zawierał tylko jedną linijkę: „Karane śmiercią będzie zaferowanie

wody i ognia każdemu, kto skazał na śmierć obywateli rzymskich bez sądu”.

Patrzyłem na ten wniosek jak zbaraniały, bo początkowo nie ogarniałem jego znaczenia. To, że był skierowany przeciwko Cyceronowi, nie ulegało wątpliwości. Ale nie wymieniał mojego pana z imienia. Można było odnieść wrażenie, że ma raczej przestraszyć i zniechęcić jego zwolenników, niż zagrozić mu osobiście. Wtedy jednak, z zamierającym sercem, zrozumiałem, na czym polega jego przewrotność, i poczułem, że dławi mnie w gardle, tak że musiałem przełknąć ślinę, żeby nie zwymiotować. Cofnąłem się od ściany, jakby otworzyły się przede mną bramy Hadesu, i oddalałem się od niej chwiejnym krokiem, nie mogąc oderwać wzroku od znajdujących się przede mną słów, choć chciałem, żeby zniknęły mi sprzed oczu. Kiedy uniosłem wzrok, zobaczyłem, że Klodiusz patrzy wprost na mnie; miał uśmiech na twarzy i wyraźnie delektował się każdą chwilą. Odwróciłem się i pospiesznie wróciłem do Cycerona.

Natychmiast zorientował się po mojej minie, że jest źle.

– No i co? – zapytał z niepokojem. – O co chodzi?

– Klodiusz ogłosił wniosek w sprawie Katyliny.

– Wymierzony we mnie?

– Tak.

– Na pewno nie może być tak źle, jak sądzisz! Co tam, na niebiosa, piszą o mnie?

– Nie ma w nim mowy o tobie, panie.

– To co to za wniosek?

– Żeby karać śmiercią wszystkie osoby udzielające gościny temu, kto skazał na śmierć obywateli rzymskich bez sądu.

Otworzył usta. Zawsze był bystrzejszy ode mnie. Od razu zdał sobie sprawę z implikacji.

– I to wszystko? Jedno zdanie?

– To wszystko. – Pochyliłem głowę. – Bardzo mi przykro.

Cycero chwycił mnie za ramię.

– Więc przestępstwem będzie udzielenie mi pomocy czy uratowanie życia? Nawet nie postawią mnie przed sądem?

Nagle spojrział ponad moim ramieniem na zdewastowaną świątynię. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Klodiusz macha do niego – był to leniwy, szyderczy gest, jakby żegnał kogoś odpływającego statkiem w długą podróż. Jednocześnie kilku jego zbirów zaczęło schodzić po drabinach.

– Chyba powinniśmy stąd odejść – zauważyłem.

Cycero nie zareagował. Poruszył ustami, ale wydobył się z nich tylko słaby chrapliwy odgłos. Jakby ktoś go dusił. Znowu spojrziałem w stronę świątyni. Zbiry zeszły już na dół i ruszyły ku nam.

– Panie – powiedziałem stanowczo – naprawdę musimy się stąd zabierać.

Gestem poleciłem drugiemu służącemu wziąć Cycerona pod ramię z przeciwnej strony i razem wyprowadziliśmy go z forum, a następnie skierowaliśmy się na Palatyn. Banda zbirów podążała za nami i obok uszu przeleciały nam kawałki gruzu. Ostry fragment cegły uderzył Cycerona w tył głowy i mój pan jęknął z bólu. Pociski leciały za nami, dopóki nie dotarliśmy do połowy wzgórza.

Po powrocie do domu zastaliśmy jak zwykle porannych interesantów. Nie wiedzieli, co się stało, i od razu otoczyli Cycerona ze swoimi nieszczęsnymi listami, petycjami, pokornymi, proszącymi twarzami. Cycero spojrział na nich, otepiały po przeżytych wstrząsach, i słabym głosem kazał mi ich odprawić – wszystkich – a potem, potykając się, poszedł do swojego pokoju.

Gdy klienci zostali wyrzuceni, poleciłem zamknąć na klucz i zaryglować drzwi frontowe, a później zacząłem przechadzać się po pustych pokojach dla interesantów i rozmyślać, co powinienem

teraz zrobić. Czekałem, żeby Cycero zszedł i wydał mi polecenia, ale godziny mijały i nie było go widać. W końcu odszukała mnie Terencja. Mięła w rękach chusteczkę i przesuwała ją pomiędzy swoimi kościstymi, pozbawionymi pierścionków palcami. Chciała wiedzieć, co się dzieje. Odparłem, że nie bardzo wiem.

– Nie okłamuj mnie, niewolniku! Dlaczego twój pan padł na łóżko i nie chce z niego wstać?

Przestraszy! mnie jej gniew.

– On... popełnił... popełnił błąd... – wyjąkałem.

– Błąd? Jaki błąd?

Zawahałem się. Nie wiedziałem, od czego zacząć. Było tyle tych błędów – rozciągały się za nami jak wyspy, cały archipelag głupstw. A może „błędy” to niewłaściwe słowo. Może należałoby nazwać je raczej skutkami, nieuniknionymi konsekwencjami czynów dokonanych przez wielkiego człowieka w szlachetnym celu – czyż nie tak właśnie Grecy określają tragedię?

Wyjaśniłem:

– Pozwolił na to, żeby jego wrogowie opanowali Rzym.

– Ale co konkretnie robią?

– Przygotowują ustawę, na mocy której będzie wyjęty spod prawa.

– Wobec tego musi zebrać siły i pokonać ich!

– Nie powinien w ogóle wychodzić z domu, to dla niego bardzo niebezpieczne.

Gdy to mówiłem, usłyszałem, że motłoch na ulicy skanduje:

– Śmierć tyranowi!

Terencja też to usłyszała i zobaczyłem, że na jej twarzy pojawił się strach.

– To co zrobimy?

– Moglibyśmy poczekać do zmroku i wyjechać z Rzymu – zaproponowałem.

Patrzyła na mnie przez chwilę i choć była przerażona, dostrzegłem w jej ciemnych oczach błysk, odziedziczony zapewne po przodku, tym, który poprowadził kohortę na Hannibala.

– W każdym razie – ciągnąłem pospiesznie – powinniśmy przedsięwziąć te wszystkie środki ostrożności co za życia Katyliny.

– Wyślij wiadomość do jego kolegów senatorów – nakazała. – Poproś Hortensjusza, Lukullusa... każdego, kto przyjdzie ci do głowy... żeby natychmiast przybyli. Poślij po Attyka. Zrób wszystko, co trzeba, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. I wezwij lekarzy.

Zrobiłem, co mi kazała. Okiennice zostały zamknięte, bracia Sekstusowie – wezwani. Kazałem nawet sprowadzić psa, Sargona, z gospodarstwa pod miastem, gdzie został wysłany na emeryturę. Wczesnym popołudniem dom zaczął się zapełniać życzliwymi ludźmi, choć większość z nich była wystraszona widokiem skandującego tłumu na ulicy, przez który musieli się przedrzeć. Tylko lekarze odmówili przyjścia; słyszeli już o wniosku Klodiusza i bali się, że zostaną oskarżeni o pomoc przestępcy.

Attyk poszedł na górę, żeby zobaczyć się z Cynceronem, i wrócił ze łzami w oczach.

– Leży twarzą do ściany – powiedział. – I nie chce z nikim rozmawiać.

– Odebrali mu głos – odparłem – a kim jest Cyncero bez głosu?

W bibliotece odbyła się narada, co począć. Brali w niej udział: Terencja, Attyk, Hortensjusz, Lukullus, Katon. Zapomniałem, kto jeszcze był obecny. Siedziałem bez słowa, oszołomiony, w pokoju, w którym spędziłem z Cynceronem tyle godzin. Słuchałem innych i zastanawiałem się, jak mogą rozmawiać o jego przyszłości bez niego. To tak, jakby już nie żył. *Spiritus movens* tego domostwa – cały dowcip, inteligencja, ambicja – uleciał za drzwi jak wtedy, gdy ktoś opuszcza ten świat.

Terencja zachowała największą przytomność umysłu.

– Jest jakaś szansa, że ten wniosek nie przejdzie? – zapytała Hortensjusza w pewnym momencie.

– Bardzo niewielka – odpowiedział. – Klodiusz do perfekcji opanował taktyki Cyclerona i najwyraźniej zamierza sterować zgromadzeniem ludowym.

– A co z senatem?

– Możemy przegłosować popierającą Cyclerona rezolucję. To na pewno... sam ją zgłoszę... ale Klodiusz nie będzie się tym przejmował. Oczywiście, gdyby Pompejusz i Cezar wystąpili przeciwko wnioskowi, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Cezar dysponuje armią, która stacjonuje niespełna milę od forum. A Pompejusz ma wielkie wpływy.

– A jeśli wniosek przejdzie – zapytała Terencja – to co będzie ze mną?

– Majątek zostanie przejęty: ten dom, jego zawartość, wszystko. Jeśli spróbujesz pomóc Cycleronowi w jakikolwiek sposób, aresztują cię. Obawiam się, że jego jedyną szansą, gdy tylko dojdzie do siebie, jest natychmiastowy wyjazd z Rzymu i ucieczka z Italii, zanim ustawa wejdzie w życie.

– Mógłby zatrzymać się w moim domu w Epirze? – zapytał Attyk.

– Nie, bo wtedy zostałbyś postawiony przed sądem w Rzymie. Udzielenie mu pomocy wymaga wielkiej odwagi. Będzie musiał podróżować pod przybranym nazwiskiem i przenosić się z miejsca na miejsce, zanim ktoś odkryje, kim jest.

– Czyli żaden z moich domów nie wchodzi w rachubę – odezwał się Lukullus. – Motłoch z chęcią dobrałby się do mnie. – Błysnął białkami oczu jak wystraszony koń. Wciąż nie podniósł się po tamtym upokorzeniu w senacie.

– Mogę coś powiedzieć? – zapytał.

– Ależ oczywiście, Tironie – odrzekł Attyk.

– Jest jeszcze jedno wyjście. – Spojrzałem w stronę sufitu.

Nie byłem pewny, czy Cycero życzyłby sobie, abym to ujawnił, czy nie. – Latem Cezar zaproponował mojemu panu stanowisko legata w Galii, które dałoby mu nietykalność.

Katon wydawał się przerażony.

– Ależ Cycero miałby dług wdzięczności, a Cezar stałby się jeszcze potężniejszy niż dotychczas! Mam nadzieję, że Cycero odmówi... w interesie państwa.

– A ja w interesie przyjaźni mam nadzieję, że przyjmie propozycję – odezwał się Attyk. – Co ty na to, Terencjo?

– Mąż zdecyduje – odparła po prostu.

Gdy pozostali się pożegnali, obiecując, że wrócą nazajutrz, ponownie udała się do Cyclerona, a kiedy zeszła, wezwała mnie do siebie.

– Nie chce nic zjeść – powiedziała. Miała łzy w oczach, ale wysunęła do przodu swoją wąską brodę i mówiła dalej. – Cóż, może on uległ rozpacz, ale ja muszę zabezpieczyć interesy rodziny, a mamy niewiele czasu. Chcę, żebyś kazał spakować meble z całym wyposażeniem i wywieźć. Część rzeczy możemy złożyć w naszym poprzednim domu... teraz, gdy Kwintus wyjechał, jest mnóstwo miejsca... a resztą zaopiekuje się Lukullus. Ten dom jest pod obserwacją, więc należy rzeczy wynosić pojedynczo, żeby nie wzbudzić podejrzeć... najpierw to, co najcenniejsze.

Tak właśnie zrobiliśmy; zaczęliśmy jeszcze tego samego wieczoru i kontynuowaliśmy w następnych dniach i nocach. Ulgą było zająć się czymś, bo Cycero nadal nie wychodził ze swojego pokoju i nie chciał się z nikim widzieć. Ukryliśmy kosztowności i monety w amforach na wino i oliwę i wywieźliśmy wozem z miasta. Złote i srebrne talerze chowaliśmy pod ubraniem i szliśmy jak gdyby nigdy nic do domu na Eskwilinie, gdzie rozbieraliśmy się z brzękiem. Starożytne popiersia owijaliśmy w szale i dawaliśmy niewolnicom, które wynosiły je w

ramionach, udając, że to małe dzieci. Większe meble rozmontowaliśmy i wywoziliśmy na taczkach jak drewno opałowe. Dywany i tkaniny dekoracyjne zawijaliśmy w prześcieradła i wieźliśmy w kierunku pralni, a następnie dyskretnie zbaczaliśmy z drogi, aby dotrzeć do rezydencji Lukullusa, za Bramą Fontylianą, na północy miasta.

Opróżnienie biblioteki Cycerona wziąłem wyłącznie na siebie; wsadziłem do worków prywatne, najbardziej poufne dokumenty i zaniósłem je sam do piwnicy naszego starego domu. Podczas tych kursów zawsze omijałem kwatery Klodiusza w świątyni Kastora, gdzie szwendały się jego zbiry, gotowe ścigać Cycerona, gdyby odważył się pokazać. Kiedyś stanąłem na skraju tłumu i słuchałem, jak Klodiusz z podwyższenia dla trybunów peroruje przeciwko Cyceronowi. Sprawował w mieście rządy absolutne. Cezar znajdował się z wojskiem na Polu Marsowym i przygotowywał wyprawę do Galii. Pompejusz wyjechał z miasta i cieszył się z Julią rozkoszami małżeństwa w swojej rezydencji na Wzgórzach Albańskich. Konsulowie mieli zobowiązania wobec Klodiusza za otrzymane prowincje. Ten nauczył się zdobywać względy tłumu, jak płatny kochanek zdobywa względy wpływowej kobiety. Utrzymywały go w stanie ekstazy. Nie mogłem się temu przyglądać.

Z wywiezieniem najcenniejszej rzeczy z majątku Cycerona zwlekaliśmy niemal do końca. Był to stół z drewna cytrynowego, prezent od klienta, podobno wart milion sestercji. Nie mogliśmy go rozłożyć, więc postanowiliśmy po prostu przewieźć go pod osłoną ciemności do domu Lukullusa, gdzie bez trudu zniknąłby wśród innych drogich mebli. Załadowaliśmy go na ciągnięty przez woły wóz, obłożyliśmy słomą i wyruszyliśmy w drogę liczącą ze dwie mile. Wyszedł nam naprzeciw nadzorca Lukullusa z krótkim batem i powiedział, że mamy iść za niewolnicą, która pokaże, gdzie złożyć ładunek. Aż czterech ludzi

musiało zdjąć stół z wozu, a potem niewolnica zaprowadziła nas na miejsce, gdzie mieliśmy go postawić. Serce biło mi mocno, i to nie tylko z wysiłku, ale dlatego, że ją rozpoznałem. Jak mógłbym nie rozpoznać? Niemal co wieczór zasypiałem z jej obrazem przed oczami. Oczywiście, chciałem jej zadać mnóstwo pytań, ale bałem się, że przyciągnę uwagę nadzorcy. Wróciliśmy za nią do wielkiego, okazałego przedpokoju i w tym czasie mimowolnie zauważyłem, jak jest niedożywiona; miała opuszczone ramiona i siwe pasma w dawniej ciemnych włosach. Widać wiodła cięższe życie niż kiedyś w Misenum – życie niewolnicy zależne jest nie tyle od jej pozycji, ile od charakteru pana; Lukullus na pewno nie był nawet świadom jej istnienia. Drzwi frontowe były otwarte. Pozostali już wyszli. Zanim i ja podążyłem w ich ślady, szepnąłem: „Agathe!” – a ona odwróciła się ociężale i spojrzała na mnie zdziwiona, że znam jej imię, lecz w jej pozbawionych życia oczach nie dostrzegłem nic, co by świadczyło, że mnie poznaje.

XIX

Następnego dnia rozmawiałem z osobistym służącym Cyce-rona, gdy zobaczyłem, że mój pan niepewnie schodzi po schodach, po raz pierwszy od dwóch tygodni. Zaparło mi dech w piersiach. Miałem wrażenie, jakbym zobaczył ducha. Nie włożył swojej zwykłej togi, lecz starą czarną tunikę, aby pokazać, iż jest w żałobie. Miał zapadnięte policzki, potargane włosy, a siwa broda, którą zapuścił, nadawała mu wygląd starego włóczęgi. Zatrzymał się po zejściu ze schodów. Dom był już prawie całkowicie pusty, pozbawiony mebli. Mrużąc oczy, spojrzął ze zdumieniem na gołe ściany i podłogę atrium. Powlókł się do biblioteki. Poszedłem za nim i patrzyłem w drzwiach, jak ogląda puste szafy. Zostały tylko krzesło i mały stół. Nie rozglądając się, zapytał głosem tym okropniejszym, że tak cichym:

- Kto to zrobił?
- Pani pomyślała, że trzeba się zabezpieczyć, na wszelki wypadek – wyjaśniłem.
- To ma być zabezpieczenie? – Przesunął dłonią po pustej drewnianej półce. Była wykonana z drewna różanego, według jego własnego projektu, pięknej roboty. – To raczej cios w plecy!

– Przyjrzał się kurzowi na opuszkach palców. – Nigdy nie lubiła tego domu. – A potem, wciąż na mnie patrząc, polecił: – Wezwij powóz, niech czeka.

– Oczywiście. – Zawahałem się. – Mogę znać cel podróży, żeby powiedzieć woźnicy, dokąd pojedzie?

– To nieważne! Sprowadź mi ten przeklęty powóz.

Poszedłem powiedzieć stajennemu, żeby zajechał powozem pod drzwi frontowe, a potem odnalazłem Terencję i powiadomiłem ją, że pan zamierza wyjść. Popatrzyła na mnie z przerażeniem i pospiesznie udała się do biblioteki. Większość domowników już usłyszała, że Cycero wreszcie podniósł się z łóżka, i stali wokół atrium, przejęci i wystraszeni; nawet nie udawali, że pracują. Nie winię ich za to, ich los, tak jak mój, był związany z jego losem. Usłyszeliśmy podniesione głosy i niebawem Terencja wypadła z biblioteki, a po policzkach płynęły jej łzy. Rzuciła do mnie: „Jedź z nim” – i wbiegła na schody. Chwilę później wyszedł zagniewany Cycero, ale przynajmniej już bardziej przypominał dawnego siebie, jakby burzliwa kłótnia z żoną podziałała na niego pobudzająco. Podszedł do drzwi frontowych i nakazał odźwiernemu je otworzyć. Ten spojrzął na mnie, jakby szukał potwierdzenia. Szybko skinąłem głową.

Jak zwykle na ulicy były demonstracje, ale już o wiele mniej liczne niż wtedy, gdy ogłoszono wniosek o wyjęciu Cyclerona spod prawa. Motłoch, jak kot pod mysią dziurą, znudzony czekaniem na wyjście ofiary, po jakimś czasie się rozszedł. Jednakże ci, którzy jeszcze pozostali, nadrabiali to agresją; krzykali: „Tyran!”, „Morderca!” i „Śmierć mu!”, a gdy Cycero wyszedł, ruszyli do przodu. Mój pan wsiadł czym prędzej do powozu, a ja za nim. Na dachu obok woźnicy siedział niewolnik z eskorty, który pochylił się do mnie i spytał, dokąd jedziemy.

Spojrzałem na Cyclerona.

– Do domu Pompejusza – oznajmił.

– Ależ Pompejusza nie ma w Rzymie – zaproponowałem.
O ściany powozu zabębniły pięści.
– To gdzie jest?
– W swojej rezydencji na Wzgórzach Albańskich.
– Tym lepiej – odparł Cyncero. – Nie będzie się mnie spodziewał.

Krzyknął do woźnicy, że jedziemy do Bramy Kapeńskiej, i wśród trzasków bata, ostatnich okrzyków tłumu i walenia w drewniane ściany powozu ruszyliśmy w drogę.

Podróż musiała nam zająć co najmniej dwie godziny i przez cały ten czas Cyncero nie odezwał się ani słowem; siedział zgarbiony w kącie powozu, odsuwając ode mnie nogi, jakby chciał zająć jak najmniej miejsca. Dopiero gdy skręciliśmy z drogi w długi żwirowy podjazd prowadzący do domu Pompejusza, wyprostował się i wyjrzał przez okno na żyzne ziemie, piękne ogrody i posągi.

– Zawstydzę go, tak że będzie musiał wziąć mnie w obronę – wyjaśnił. – A jeśli to nie odniesie skutku, zabiję się u jego stóp i będzie na zawsze wyklęty przez historię za tchórzostwo. Myślisz, że się do tego nie posunę? Mówię zupełnie poważnie.

Wsunął rękę do kieszeni tuniki i pokazał mi mały nóż, o ostrzu nie dłuższym niż jego dłoń. Uśmiechnął się do mnie. Wyglądało na to, że oszalał.

Zajechaliśmy przed dużą wiejską willą i służący Pompejusza wybiegł, żeby otworzyć drzwi powozu. Cyncero był tam już wiele razy. Niewolnik znał go doskonale. Ale powitalny uśmiech zamarł mu na ustach, gdy zobaczył zmęczoną twarz mojego pana i jego czarną tunikę. Zdumiony zrobił krok w tył.

– Czujesz tę woń, Tironie? – zapytał Cyncero i podsunął mi pod nos swoją rękę. Potem sam ją powąchał. – To woń śmierci.

Zaśmiał się dziwnie, po czym wysiadł z powozu i podszedł do drzwi domu, rzucając przez ramię do służącego:

– Powiedz swojemu panu, że przyjechałem. Wiem, dokąd iść, znam drogę.

Pospiesznie ruszyłem za nim i weszliśmy do długiego salonu, pełnego starożytnych mebli, tkanin ozdobnych i dywanów. Na półkach stały pamiątki z licznych kampanii wojennych Pompejusza: czerwone wypalane naczynia z Hiszpanii, figurki z kości słoniowej z Afryki, grawerowana srebrna zastawa stołowa ze wschodu. Cycero usiadł na obitej kremowym jedwabiem kanapie z wysokim oparciem, a ja stanąłem z boku, obok drugich drzwi, które prowadziły na taras ozdobiony popiersiami wielkich ludzi z dawnych czasów.

Za tarasem ogrodnik pchał taczki z suchymi liśćmi. Czułem dochodzący skądś zapach dymu. Była to prawdziwie sielska sceneria, pełna ładu – wręcz oaza spokoju w porównaniu z przerażającym zamętem, w jakim żyliśmy – dlatego nigdy jej nie zapomniałem. Po chwili rozległy się lekkie kroki i pojawiła się żona Pompejusza w otoczeniu służących, z których wszystkie były starsze od niej. Wyglądała jak lalka ze swoimi ciemnymi lokami i w prostej zielonej sukni. Miała szarfę na szyi. Cycero wstał i ucałował jej dłoń.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Julia – ale mój mąż musiał wyjechać. – Zarumieniła się i zerknęła w stronę drzwi. Nie umiała kłamać, nie była do tego przyzwyczajona.

Twarz Cycerona się wydłużyła, ale zaraz się opanował.

– To nic – powiedział. – Poczekam.

Julia znowu z niepokojem spojrzała na drzwi i nagle odniosłem wrażenie, że stoi za nimi Pompejusz i daje jej znaki, co ma dalej powiedzieć.

– Nie wiem, jak długo to potrwa.

– Jestem pewien, że wróci – odparł Cycero głośno, na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał. – Pompejusz Wielki przecież nie cofa danego słowa.

Usiadł, a po chwili wahania Julia zrobiła tak samo, składając małe dłonie na podołku.

W końcu zapytała:

- Miałeś wygodną podróż?
- Bardzo przyjemną, dziękuję.

Znowu zapadła długa cisza. Cycero wsadził rękę do kieszeni tuniki, gdzie trzymał swój mały nóż. Zauważyłem, że obraca go w palcach.

- Widziałeś się ostatnio z moim ojcem? – zapytała Julia.
- Nie. Nie czułem się dobrze.
- Tak? Przykro mi to słyszeć. Ja też nie widziałam się z nim już jakiś czas. Lada dzień wyruszy do Galii. Jeśli tak się stanie, nie wiem, kiedy znowu się z nim spotkam. Mam szczęście, że nie zostanę sama. Czułam się strasznie, gdy był w Hiszpanii.

- Podoba ci się życie małżeńskie?
- Och, jest cudowne! – zawołała z prawdziwym zachwytem.
- Siedzimy tu cały czas. Nigdzie nie wyjeżdżamy. To nasz świat.

– Musi być miło. Jakież to urocz. Beztroskie życie. Zadzroszczę ci. – Głos lekko mu się załamał. Uniósł rękę do czoła. Potem spojrzął na dywan. Zaczął drżeć i ku swojemu przerażeniu zdałem sobie sprawę, że płacze. Julia wstała szybko.

- To nic – powiedział. – Naprawdę. Ta przekłeta choroba...

Julia się zawahała, a potem wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Powiedziała łagodnie:

- Przypomnę mu, że czekasz.

Opuściła pokój razem ze służącymi. Po jej wyjściu Cycero westchnął, wytarł nos o rękaw i zapatrzył się przed siebie. Na taras doleciał aromatyczny dym ogniska. Czas mijał. Słońce zaczęło zachodzić i na twarzy Cycerona, wymizerowanej po długim poście, pojawiły się cienie. W końcu szepnąłem mu do ucha, że jeśli wkrótce nie wyjedziemy, nie dotrzemy do Rzymu

przed zapadnięciem nocy. Pokiwał głową i pomogłem mu wstać.

Gdy oddalaliśmy się od willi, obejrzałem się przez ramię i do dziś jestem pewien, że dostrzegłem bladą, pełną jak księżyc twarz Pompejusza, który patrzył na nas z okna na piętrze.

Gdy rozeszły się wieści o zdradzie Pompejusza, uznano, że Cycero jest skończony, zacząłem więc dyskretnie pakować rzeczy, bo spodziewałem się, że będziemy musieli szybko wyjechać z miasta. Nie znaczy to, że wszyscy odsunęli się od mojego pana. Na znak solidarności z nim setki ludzi przywdziało żałobę, a senat niewielką większością głosów uchwalił, że jego członkowie ubiorą się na czarno, aby okazać mu współczucie. Eliusz Lamia zorganizował na Kapitolu wielką demonstrację ekwitów, którzy zjechali się z całej Italii, a do konsulów udała się delegacja pod przewodnictwem Hortensjusza, żeby skłonić ich do obrony Cyclerona. Ale obaj, i Pizon, i Gabiniusz, odmówili. Pamiętali, że od Klodiusza zależy teraz przydział prowincji, i pragnęli okazać mu poparcie. Nawet zabronili senatowi chodzić w żałobie i wypędzili dzielnego Lamię z miasta pod zarzutem, że zagraża porządkowi publicznemu.

Gdy tylko Cycero ośmielał się wyjść z domu, zaraz otaczał go nieprzyjazny tłum i mimo eskorty, zorganizowanej przez Attyka i braci Sekstusów, były to nieprzyjemne i ryzykowne eskapady. Zwolennicy Klodiusza rzucali w niego kamieniami i ekskrementami, więc zmuszony był wycofywać się za drzwi, aby doprowadzić do ładu włosy i tunikę. Odważył się wyjść na poszukiwanie konsula Pizona, którego odnalazł w końcu w tawernie i błagał o interwencję, ale daremnie. Później nie wychodził już z domu. Ale nawet tu nie miał spokoju. W ciągu dnia na forum zbierali się demonstranci, którzy zwróceni w stronę jego domu, wznosili okrzyki, nazywali Cyclerona mordercą. Nocami

stale zakłócał nam sen tupot nóg na ulicy, głośne obelgi i łomot kamieni spadających na dach. Na wielkim wiecu, zwołanym przez trybunów za miastem, zapytano Cezara, co sądzi o wniosku Klodiusza. Oświadczył, że choć był przeciwny straceniu spiskowców, sprzeciwia się ustawom, które działają wstecz. Była to bardzo dyplomatyczna odpowiedź; Cyncero, gdy mu o niej doniesiono, mógł tylko pokiwać głową z uznaniem. Od tej chwili wiedział, że nie ma dla niego nadziei, i chociaż nie wrócił już do łóżka, ogarnęła go straszliwa apatia i często nie chciał nawet przyjmować gości.

Uczył jednak wyjątek. W przeddzień uchwalenia wniosku Klodiusza przyszedł z wizytą Krassus i ku mojemu zdumieniu Cyncero zgodził się z nim zobaczyć. Popadł już chyba w taką desperację, że gotów był skorzystać z każdej pomocy, jaką mu oferowano. Krassus obłudnie udawał współczucie. Ale cały czas, gdy wyrażał przerażenie z powodu tego, co się stało, a także niesmak, jaki budzi w nim nielojalność Pompejusza, lustrował gołe ściany i sprawdzał, jakie rzeczy zostały jeszcze w domu.

– Jeśli coś mogę dla ciebie zrobić – powiedział – cokolwiek...

– Nie sądzę, żeby jeszcze coś się dało – odparł Cyncero, który najwyraźniej żałował, że wpuścił starego wroga za drzwi. – Obaj wiemy, czym jest polityka. Prędzej czy później każdego z nas spotyka porażka. Ja przynajmniej – dodał – mam czyste sumienie. Naprawdę, nie chcę zatrzymywać cię dłużej.

– A pieniądze? Wiem, że to marna pomoc, gdy człowiek traci wszystko, co miał cennego w życiu, ale pieniądze mogą się przydać na wygnaniu, a gotów jestem pożyczyć ci nawet dużą sumę.

– To bardzo miłe z twojej strony.

– Mógłbym ci dać, powiedzmy, dwa miliony. Czy to by ci pomogło?

– Oczywiście, że tak. Ale jeśli udam się na wygnanie, jak będę mógł cię spłacić?

Krassus rozejrzył się, jakby szukał rozwiązania.

– Mógłbyś mi dać akt własności tego domu.

Cycero spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz dom, za który zapłaciłem ci trzy i pół miliona?

– To była okazyjna cena. Nie możesz tego kwestionować.

– Tym bardziej nie powinienem go odsprzedawać za dwa miliony.

– Obawiam się, że tylko grunt jest coś wart, bo sam dom będzie pojutrze bezwartościowy.

– Dlaczego tak mówisz?

– Klodiusz zamierza go spalić, a potem wybudować na tym miejscu świątynię bogini Wolności, i ani ty, ani nikt inny nie będzie mógł nic zrobić, żeby go powstrzymać.

Cycero zamilkł na chwilę, a potem zapytał spokojnie:

– Kto ci to powiedział?

– Staram się wiedzieć o takich rzeczach.

– A dlaczego chcesz zapłacić dwa miliony sesterceji za kawałek spalonej ziemi, na której stanie świątynia Wolności?

– To ryzyko, które podejmuje się w interesach.

– Żegnaj, Krassusie.

– Przemyśl to, Cynceronie. Nie bądź upartym głupcem. Możesz mieć dwa miliony albo nic.

– Powiedziałem: żegnaj, Krassusie.

– No dobrze, dwa i pół miliona? – Cycero nie odpowiedział.

Krassus pokręcił głową. – Właśnie to – rzekł, wstając – ta pełna arogancji głupota doprowadziła cię do tego. Ogrzeję sobie ręce przy ogniu, który strawi ten dom.

Nazajutrz zwołano zebranie głównych sprzymierzeńców Cyncerona, aby zdecydować, co powinien zrobić. Miało się odbyć w

bibliotece i musiałem obejść cały dom w poszukiwaniu krzesel, aby usadzić wszystkich gości. Najpierw zjawił się Attyk, potem Katon, zaraz po nim Lukullus i po dłuższym czasie Hortensjusz. Wszyscy z trudem przedarli się przez tłum, który blokował sąsiednie ulice. Ucierpiał zwłaszcza Hortensjusz, który został poturbowany, miał podrapaną twarz, a togę poplamioną odchodami. Przykro było patrzeć na tego zazwyczaj nieskazitelnie ubranego człowieka w takim stanie; był wstrząśnięty i przybity. Czekaliśmy jakiś czas, licząc, że ktoś jeszcze przyjdzie, ale nikt już się nie stawił. Tulia, po wzruszającej scenie pożegnania z Cynceronem, dla bezpieczeństwa wyjechała z mężem na wieś, więc jedynym członkiem rodziny obecnym na naradzie była Terencja.

Jeśli Cyncero był poruszony faktem, że tłumy, których poparciem kiedyś się cieszył, zmalały do tej garstki ludzi, nie okazał tego.

– W tym smutnym dniu – zaczął – chciałbym podziękować wam wszystkim za to, że tak dzielnie walczyliście w mojej obronie. Przeciwności stanowią część życia... choć ich oczywiście nie zalecam... – tu, jak wynika z moich notatek, rozległy się śmiechy – ...ale przynajmniej ujawniają prawdziwą naturę ludzi i jak ja pokazałem swoją słabość, tak wy pokazaliście siłę. – Urwał i odchrząknął. Myślałem, że znowu się załamie. Ale tym razem mówił dalej: – Więc ustawa wejdzie w życie o północy? Nie ma co do tego wątpliwości, prawda? – Rozejrzał się wokół.

Wszyscy czterej pokręcili głowami.

– Nie – potwierdził Hortensjusz – żadnych.

– To jakie mam możliwości?

– Moim zdaniem są trzy – powiedział Hortensjusz. – Możesz zignorować ustawę i pozostać w Rzymie, licząc, że przyjaciele nadal będą cię wspierać, choć od jutra będzie to jeszcze bardziej niebezpieczne niż teraz. Możesz w nocy wyjechać z

miasta, bo jeszcze nie obowiązuje zakaz udzielania ci pomocy, i mieć nadzieję, że uda ci się bez przeszkód wydostać z Italii. Albo możesz zwrócić się do Cezara, przyjmując jego propozycję legatury, jeśli wciąż jest aktualna, i poprosić o nietykalność.

Odezwał się Katon:

- Jest jeszcze czwarta możliwość.
- Tak?
- Możesz się zabić.

Zapadła głęboka cisza, a po chwili Cyncero zapytał:

– Co by mi z tego przyszło?

– Samobójstwo zawsze było uważane przez stoików za logiczne następstwo opozycji mądrego człowieka wobec świata. To również twoje naturalne prawo, aby zakończyć cierpienia. I szczerze mówiąc, byłby to przykład sprzeciwu wobec tyranii, który by przetrwał wieki.

– Masz na myśli jakiś konkretny sposób odebrania sobie życia?

– Owszem. Moim zdaniem powinieneś zamurować się w tym domu i zagłodzić na śmierć.

– Nie zgadzam się – powiedział Lukullus. – Jeśli chcesz zostać męczennikiem, Cynceronie, to dlaczego miałbyś sam zadać sobie śmierć? Czy nie lepiej, żebyś został w mieście i pozwolił swoim wrogom dopuścić się najgorszego? Masz szansę ująć z życiem. A jeśli ci się nie uda, to przynajmniej odium za twoją śmierć spadnie na nich.

– Dać się zamordować to żaden dowód odwagi – odparł Katon z pogardą. – Samobójstwo natomiast jest męskim aktem, wymagającym odwagi.

– A jaka jest twoja rada, Hortensjuszu? – zapytał Cyncero.

– Wyjechać z miasta – odpowiedział natychmiast. – Ratować życie. – Na chwilę przytknął opuszki palców do czoła i przesunął nimi po szramie z zaschniętą już krwią. – Poszedłem

dziś zobaczyć się z Pizonem. Prywatnie współczuje ci z powodu tego, co cię spotkało. Daj nam czas, żebyśmy uchylili ustawę Klodiusza, a sam dobrowolnie wyjedź na wygnanie. Jestem pewien, że któregoś dnia wrócisz triumfalnie.

– Attyk?

– Znasz moje zdanie – odparł ten. – Oszczędziłbyś sobie wielu kłopotów, gdybyś od razu przyjął propozycję Cezara.

– A Terencja? Co ty powiesz, moja droga?

Terencja chodziła w żałobie, tak jak mąż, i w czarnych szatach, z trupio bladą twarzą, stała się naszą Elektra. Przemówiła z mocą:

– Nie możemy dalej tak żyć. Dobrowolny wyjazd na wygnanie zalatuje mi tchórzostwem. A samobójstwo? Spróbuj wytłumaczyć jego sens swojemu sześcioletniemu synowi. Nie masz wyjścia. Idź do Cezara.

Było późne popołudnie – czerwone słońce zachodziło za bezlistnymi drzewami, a wiosenny wiatr niósł z forum groźne okrzyki: „Śmierć tyranowi!”. Inni senatorowie wyszli ze służącymi frontowymi drzwiami, żeby odwrócić uwagę motłochu, podczas gdy Cycero i ja wymknęliśmy się tylnymi. Cycero zarzucił na głowę stary sfatygowany brązowy koc i wyglądał jak żebrak. Pospiesznie zeszliliśmy po stopniach Scala Caci do Via Etruscana i włączyliśmy się w tłum ludzi opuszczających miasto bramą nad rzeką. Nikt nas nie zaczepił, nawet nie spojrzął drugi raz.

Wysłałem przodem niewolnika z wiadomością dla Cezara, że Cycero pragnie się z nim zobaczyć, i jeden z przybocznych wioda w hełmie z czerwonym pióropuszem czekał już na nas przy bramie. Bardzo zaskoczył go widok wymizerowanego Cycerona, ale opanował się szybko i pozdrowił go uniesieniem ręki, a potem zaprowadził nas na Pole Marsowe. Wzniesiono tam całe

miasto z namiotów, w których mieszkały nowo zaciągnięte galijskie legiony Cezara, i gdy szliśmy wśród nich, wszędzie widziałem oznaki wskazujące, że armia zwija obóz i przygotowuje się do wymarszu: zasypywano doły z odpadami, równano z ziemią szańce, ładowano prowiant na wozy. Oficer powiedział Cyceronowi, że następnego dnia o świcie zarządzo wymarsz. Zaprowadził nas do znacznie większego namiotu niż pozostałe, rozstawionego w wyżej położonym miejscu, z orłem legiowym wbitym tuż obok. Poprosił, żebyśmy zaczekali, potem uniósł klapę namiotu i wszedł do środka, pozostawiając Cycerona, nieogolonego, w starej tunice i kocu na ramionach, samemu sobie.

– Z Cezarem tak zawsze – zauważyłem, żeby zapelnąć ciszę.
– Lubi, żeby goście na niego czekali.

– Lepiej się do tego przyzwyczajmy – odparł Cycero ponuro. – Spójrz na to. – Wskazał za obóz w stronę rzeki. W zapadającym zmroku na równinie wznosiły się liczne rusztowania. – To musi być słynny teatr Faraona.

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, gryząc dolną wargę.

W końcu klapa namiotu znowu się uniosła i wprowadzono nas do środka. Wnętrze urządzone było po spartańsku. Na ziemi leżał cienki siennik, przykryty kocem; niedaleko niego stała drewniana skrzynia, na której znajdowało się lustro, komplet szczotek do włosów, dzbanek z wodą i miska, a także miniaturowy portret kobiety w złotej ramce (wydaje mi się, że była to Serwilia, ale stałem za daleko, żeby mieć pewność). Przy składanym stoliku zasłanym dokumentami siedział Cezar. Coś podpisywał. Za nim stali bez ruchu dwaj sekretarze. Skończył to, co robił, uniósł głowę, wstał i podszedł do Cycerona z wyciągniętą ręką. Pierwszy raz widziałem go w pancerzu. Leżał na nim jak druga skóra i zdałem sobie sprawę, że przez te wszystkie lata, kiedy stykałem się z Cezarem, nigdy nie widziałem, żeby w jakimś otoczeniu czuł się lepiej. To była otrzewniająca myśl.

– Mój drogi Cyceronie – powiedział i przyjrzał się gościowi – z przykrością widzę cię w takim stanie. – Pompejusz zawsze obejmował mego pana i klepał go po plecach, ale Cezar nigdy czegoś takiego nie robił. Po krótkim uścisku dłoni wskazał Cyceronowi krzesło. – Jak mogę ci pomóc?

– Chcę przyjąć propozycję, którą mi złożyłeś, i zostać twoim legatem – odparł Cycero, siadając na brzegu krzesła. – Jeśli to jest nadal aktualne.

– Doprawy! – Cezar się skrzywił. – Muszę powiedzieć, że długo zwlekałeś z przyjściem.

– Przyznaję, że w ogóle wolałbym nie przychodzić.

– O północy wchodzi w życie ustawa Klodiusza?

– Tak.

– Więc masz do wyboru przyjść do mnie, odebrać sobie życie albo udać się na wygnanie?

Cycero wydał się zakłopotany.

– Można tak to ująć.

– Cóż, to mało dla mnie pochlebne! – Cezar zaśmiał się sucho, jak to on, i odchylił się na oparcie krzesła. Popatrzył na Cycerona. – Kiedy latem składałem ci tę ofertę, miałeś o wiele silniejszą pozycję.

– Powiedziałeś, że jeśli Klodiusz stanie się dla mnie zagrożeniem, będę mógł do ciebie przyjść. Właśnie stał się zagrożeniem. Więc jestem.

– Zagrożeniem był sześć miesięcy temu. Teraz jest twoim panem.

– Cezarze, jeśli chcesz, żebym cię błagał...

– Nie chcę, żebyś mnie błagał. Oczywiście, że nie. Chciałbym tylko usłyszeć z twoich ust, na co możesz mi się jeszcze przydać jako legat?

Cycero przełknął ślinę. Trudno mi było sobie wyobrazić, jakie to dla niego musi być bolesne.

– Cóż, jeśli zależy ci, abym to wyartykułował... Choć cieszysz

się wielką popularnością wśród ludu, w senacie masz mniejsze poparcie, podczas gdy ja wręcz odwrotnie: mam słabą pozycję wśród ludu, ale silną wśród naszych kolegów.

– Będziesz więc dbał o moje interesy w senacie?

– Będę reprezentował twoje poglądy, owszem, i czasami mógłbym przekazywać ci jego opinie.

– Ale będziesz lojalny tylko wobec mnie?

Niemal słyszałem, jak Cyncero zazgrzytał zębami.

– Mam nadzieję, że będę, jak zawsze, lojalny przede wszystkim wobec mojego kraju, godząc twoje interesy z interesami senatu.

– Ale mnie nie obchodzą interesy senatu! – wykrzyknął Cezar. Nagle poderwał się z krzesła jednym płynnym ruchem. – Powiem ci coś, Cynceronie. Chciałbym coś wyjaśnić. W zeszłym roku, gdy jechałem do Hiszpanii, musiałem przebyć góry i ruszyłem przodem z grupą przybocznych, żeby zbadać drogę. Natknęliśmy się na małą wioskę. Padał deszcz i było to najniebezpieczniejsze miejsce, jakie możesz sobie wyobrazić. Prawnie nikt tam nie mieszkał. Naprawdę, uśmiełbyś się na widok takiej nędzy. I jeden z moich oficerów powiedział do mnie żartobliwie: „Wiesz, pewnie nawet tutaj ludzie przepychają się między sobą, żeby zdobyć jakiś urząd, ostro walczą i zazdrośnie rywalizują o to, kto zdobędzie pierwsze miejsce”. I wiesz, co odpowiedziałem?

– Nie.

– Odpowiedziałem: „Jeśli o mnie chodzi, wolałbym zajmować tu pierwsze miejsce niż drugie w Rzymie”. Mówiłem poważnie, Cynceronie... naprawdę. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Chyba tak – odrzekł Cyncero, powoli kiwając głową.

– To oddaje prawdę. Taki jestem.

– Aż do tej chwili zawsze byłeś dla mnie zagadką, Cezarze – odparł Cyncero – ale chyba wreszcie zaczynam cię rozumieć i

dziękuję ci za szczerość. – Zaczął się śmiać. – To naprawdę dość zabawne.

– Co takiego?

– Że to mnie wypędzają z Rzymu pod zarzutem tyranii!

Cezar popatrzył na niego gniewnie, a potem się uśmiechnął.

– Masz rację – orzekł. – To zabawne.

– Cóż. – Cyncero wstał. – Nie ma sensu prowadzić dalej tej rozmowy. Ty masz krainy do podbicia, a ja inne sprawy na głowie.

– Nie mów tak! – zawołał Cezar. – Tylko przedstawiałem fakty. Obaj musimy wiedzieć, na czym stoimy. Możesz zostać tym przeklętym legatem... to stanowisko jest twoje. I zrezygnować z niego, gdy zechcesz. Zabawnie będzie się z tobą widywać, Cynceronie... naprawdę. – Wyciągnął rękę. – No. Większość polityków jest taka nudna. My, ci nienudni, powinniśmy trzymać się razem.

– Dziękuję za uznanie – odparł Cyncero – ale to się nie uda.

– Dlaczego?

– Bo w tej twojej wiosce ja też dążyłbym do władzy, ale gdyby nie udało mi się jej zdobyć, cieszyłbym się, że jestem chociaż wolnym człowiekiem, a ty, Cezarze, dlatego jesteś zły... gorszy od Pompejusza, gorszy od Klodiusza, gorszy nawet od Katyliny... że ty nie spocznesz, dopóki nas nie zmusisz, byśmy przyszli do ciebie na kolanach.

Zrobiło się już ciemno, gdy wróciliśmy do miasta. Cyncero nie zadał sobie nawet trudu, żeby narzucić koc na głowę. W mroku trudno go było rozpoznać, a poza tym ludzie spieszyli się do domu, pochłonięci ważniejszymi sprawami niż los ekskonsula – myśleli na przykład o kolacji, przeciekającym dachu i złodziejach, którzy stanowili w Rzymie coraz większą plagę.

Terencja czekała w atrium z Attykiem i kiedy Cycero powiedział jej, że odrzucił propozycję Cezara, jęknęła rozdzierająco i padła na podłogę, kuląc się i chwytając rękami za głowę.

Cycero ukląkł obok niej i objął ją ramieniem.

– Moja droga, musisz stąd uciekać – powiedział. – Weź Marka i przenocuj u Attyka. – Spojrzał na przyjaciela, który skinął głową. – Nie możesz zostać tu po północy, to zbyt niebezpieczne.

Odsunęła się od niego.

– A ty? – zapytała. – Co zrobisz? Zabijesz się?

– Jeśli tego chcesz... jeśli dzięki temu miałyby ci być łatwiej.

– Oczywiście, że nie chcę! – wykrzyknęła. – Pragnę tylko odzyskać swoje dawne życie!

– Obawiam się, że to nie leży w mojej mocy.

Ponownie wyciągnął do niej rękę, ale odepchnęła go i wstała.

– Dlaczego? – zapytała ostro, patrząc na niego z rękami wspartymi na biodrach. – Dlaczego narażasz żonę i dzieci na takie męki, choć mógłbyś zakończyć je jutro, sprzymierzając się z Cezarem?

– Bo gdybym to uczynił, przestałbym istnieć.

– Co to ma znaczyć, że przestałbyś istnieć? Co to znowu za przemądrzały bełkot?

– Moje ciało by żyło, ale dla mnie, Cyclerona... tego, kim jestem, oznaczałoby to śmierć.

Terencja w rozpaczę odwróciła się od niego i spojrzała na Attyka, szukając u niego wsparcia.

– Z całym szacunkiem, Marku, ale stajesz się tak beznadziejnie zasadniczy jako Katon. Co jest złego w nawiązaniu tymczasowego sojuszu z Cezarem?

– Nie byłby wcale tymczasowy! Czy nikt w tym mieście nic nie rozumie? Ten człowiek nie zazna spokoju, dopóki nie zapamięta nad światem... właśnie mniej więcej to mi powiedział...

więc gdybym został jego poplecznikiem, to na zawsze, bo gdybym z nim kiedyś zerwał, byłbym zupełnie skończony.

Terencja zauważyła chłodno:

– Już jesteś zupełnie skończony.

– Tak więc, Tironie – zwrócił się do mnie Cyncero, gdy Terencja poszła po Marka do pokoju dziecinnego, żeby pożegnać się z ojcem – chcę dokonać ostatniego aktu w tym mieście i cię wyzwolić. Powinienem był zrobić to już wiele lat temu... a przynajmniej, gdy zdawałem konsulat... ale nie zdecydowałem się na to nie dlatego, że nie cenię twoich usług, lecz wręcz przeciwnie: dlatego że cenię je bardzo i nie mogłem się pogodzić z myślą, iż cię stracę. Teraz jednak, gdy tracę całą resztę, muszę pożegnać się także z tobą. Wszystkiego najlepszego, przyjacielu – powiedział, ściskając mi ręce – zasłużyłeś na to.

Przez wiele lat czekałem na tę chwilę – marzyłem o niej, pragnąłem jej, snułem plany, co będę dalej robił – i oto przyszła, jak gdyby nigdy nic, wraz z całą tą klęską i ruiną. Byłem zbyt przejęty, aby coś powiedzieć. Cyncero uśmiechnął się i objął mnie, gdy zacząłem płakać; poklepywał mnie po plecach jak dziecko, które się pociesza. Potem Attyk, który przyglądał się temu, wziął mnie za rękę i uścisnął ją serdecznie.

Wydusiłem z siebie słowa podziękowania i dodałem, że jako wolny człowiek przede wszystkim oddam mu się na służbę i zostanę z nim, aby dzielić jego los, niezależnie od tego, co się stanie.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odparł ze smutkiem Cyncero. – Tylko niewolnicy mogą ze mną zostać. Jeśli wolny człowiek zechce udzielić mi pomocy, to zgodnie z ustawą Kłodiusza zostanie uznany za przestępcę. Od tej chwili musisz trzymać się ode mnie z daleka, Tironie, bo inaczej cię ukrzyżują. Idź i zabierz swoje rzeczy. Powinieneś odejść z Terencją i Markiem.

Moją wielką radość zastąpił równie wielki ból.

– Ale jak sobie poradzisz beze mnie, panie?

– Och, mam jeszcze innych niewolników – odparł, starając się, żeby zabrzmiało to pogodnie. – Mogą mi towarzyszyć, gdy wyjadę z miasta.

– Dokąd chcesz pojechać?

– Na południe. Na wybrzeże... może do Brundisium... i znaleźć łódź. Wiatry i prądy morskie zdecydują o moim dalszym losie. A teraz idź po swoje rzeczy.

Poszedłem do pokoju i spakowałem swój nieliczny dobytek do małego worka, a potem wyjąłem dwie obluzowane cegły, za którymi urządziłem schowek. Trzymałem tam oszczędności, zaszyte w pas z materiału. Miałem dokładnie dwieście dwadzieścia siedem sestercji w złocie, które uciulałem przez ponad dziesięć lat. Nałożyłem pas i wróciłem do atrium, gdzie Cyncero właśnie żegnał się z Markiem przy Attyku i wzruszonej Terencji. Kochał tego chłopca – jedyne go syna, radość swojego życia, nadzieję na przyszłość – i tylko dzięki wielkiej samodyscyplinie zdołał rozstać się z nim pogodnie, żeby go nie zasmucić. Wziął małego na ręce i obrócił się z nim w kółko, Marek poprosił, żeby zrobił to jeszcze raz, więc spełnił jego prośbę, ale kiedy syn zaczął prosić o trzeci raz, odmówił i polecił, żeby poszedł z matką. Potem objął Terencję i powiedział:

– Przykro mi, że małżeństwo ze mną doprowadziło cię do tak żalnego stanu.

– Małżeństwo z tobą nadało sens całemu mojemu życiu – odparła i skinąwszy mi głową, wyszła pewnym krokiem z atrium.

Później Cyncero uściskał Attyka, powierzył mu opiekę nad żoną i synem i wreszcie podszedł, żeby pożegnać się ze mną, ale powiedziałem, że nie ma potrzeby, że podjąłem decyzję i zostanę z nim kosztem swojej wolności, a jeśli będzie trzeba, nawet

życia. Oczywiście, wyraził wdzięczność, ale nie sprawiał wrażenia zaskoczzonego, i uświadomiłem sobie, że ani przez chwilę nie myślał poważnie, że przyjmę jego propozycję. Zdjąłem pas z pieniędzmi i dałem go Attykowi.

– Mógłbym cię prosić, panie, abys coś dla mnie zrobił? – zapytałem.

– Oczywiście – odrzekł. – Chcesz, żebym przechował to dla ciebie?

– Nie – zaprzeczyłem. – Lukullus ma pewną niewolnicę, młodą kobietę imieniem Agathe, która wiele dla mnie znaczy, i pragnę, abys poprosił go, żeby ją wyzwolił. Na pewno wystarczy pieniędzy, aby kupić jej wolność i zapewnić dalszy byt.

Attyk wydawał się zdziwiony, ale powiedział, że spełni moją prośbę.

– Hm, nic mi nie mówiłeś – zauważył Cycero, przyglądając mi się uważnie. – Może jednak nie znam cię tak dobrze, jak sądziłem.

Gdy inni wyszli, Cycero i ja zostaliśmy sami w domu, wraz ze strażą i kilkoma niewolnikami. Nie słyszeliśmy już żadnych okrzyków ani skandowań; w całym mieście zapanował spokój. Cycero poszedł na górę, aby odpocząć i włożyć solidniejsze buty, a po powrocie wziął kandelabr i obszedł po kolei wszystkie pokoje – pustą jadalnię z połączonym sufitem, wielki przedzimek z marmurowymi posągami, zbyt ciężkimi, aby je wywieźć, ogołoconą bibliotekę – jakby chciał dobrze zapamiętać to miejsce. Trwało to tak długo, że już zacząłem się zastanawiać, czy w ogóle zamierza wyjechać, ale gdy strażnik na forum ogłosił północ, Cycero zdmuchnął świece i oświadczył, że czas na nas.

Noc była bezksiężycowa i gdy dotarliśmy na szczyt schodów, zobaczyliśmy co najmniej kilkanaście płonących pochodni, powoli zbliżających się po stoku wzgórza. Ktoś w oddali wydał

dziwny ptasi okrzyk, któremu odpowiedział podobny dźwięk z miejsca niedaleko nas. Serce zaczęło mi bić mocniej.

– Już po nas idą – spokojnie zauważył Cycero. – On nie chce tracić ani chwili.

Zeszliśmy pospiesznie po schodach i u podnóża Palatynu skręciliśmy na lewo, w wąską alejkę. Trzymając się blisko murów, zatoczyliśmy pętlę wokół zaryglowanych sklepów i ciemnych domów, aż wyszliśmy na główną ulicę tuż przy Bramie Kapeńskiej. Odzwierny został przekupiony i otworzył nam drzwi dla pieszych, a potem czekał niecierpliwie, aż pożegnamy się z naszą eskortą, co uczyniliśmy szeptem.

Następnie Cycero przekroczył wąskie przejście, a ja ruszyłem za nim wraz z trzema młodymi niewolnikami, którzy nieśli jego bagaż.

Nie odzywaliśmy się do siebie ani nie odpoczywaliśmy przez dwie godziny, dopóki nie minęliśmy potężnych grobowców, które otaczają ten odcinek drogi – w tamtych czasach ukrywali się wśród nich rabusie. Później Cycero uznał, że możemy się zatrzymać, usiadł na kamieniu milowym i spojrzął za siebie na Rzym. Niebo rozświetlała słaba czerwona luna, zbyt wczesna jak na świt, szkarłatna w środku i przechodząca we wstęgi różu, a w jej blasku rysowały się przysadziste czarne stoki wzgórz, na których rozciągało się miasto. To zdumiewające, że jeden płonący dom powodował taki niebiański efekt. Gdybym był zabo-bonny, powiedziałbym, że był to znak. Jednocześnie w tę spokojną bezwietrzną noc doszedł do nas dziwny dźwięk, ostry i przeciągły, coś pomiędzy wyciem a jękiem. Początkowo nie potrafiłem go zidentyfikować, ale Cycero doszedł do wniosku, że muszą to być trąbki na Polu Marsowym i że armia Cezara przygotowuje się do wymarszu do Galii. Nie widziałem jego twarzy w ciemnościach, gdy to mówił – może i dobrze – ale po chwili wstał, otrzepał swoją starą tunikę i ruszył w dalszą drogę, w przeciwnym kierunku niż Cezar.

Słowniczek

auspicja – nadprzyrodzone znaki, interpretowane przez augurów, wróżby, zwłaszcza na podstawie lotu ptaków i piorunów; jeśli były niekorzystne, nie można było przyjąć żadnej ustawy.

carnifex – państwowy kat, oprawca.

centuria – jednostka podziału administracyjnego; według nich Rzymianie głosowali na Polu Marsowym na konsula i pretora; system ten sprzyjał bogatszym warstwom społeczeństwa.

dyktator – urzędnik, któremu senat przyznał nieograniczoną władzę cywilną i wojskową, zwykle w czasach zagrożenia dla państwa.

edyl – urzędnik wybierany corocznie wraz z trzema innymi, odpowiedzialny za funkcjonowanie miasta Rzymu: pilnowanie porządku i przestrzeganie prawa, przepisów handlowych, zarządzanie budynkami publicznymi etc.

ekwici – druga po senatorach warstwa społeczna w Rzymie; stan ekwicki miał własnych urzędników i przywileje, a także prawo do jednej trzeciej miejsc w trybunałach sądowych; ekwici byli często bogatsi od senatorów, ale nie robili kariery politycznej.

Galia – kraina stanowiąca dwie prowincje: Galię Przedalpejską, rozciągającą się od rzeki Rubikon w północnej Italii aż do

Alp, i Galię Zaalpejską, położoną po drugiej stronie Alp w kierunku północno-zachodnim, odpowiadającą obecnej Prowansji i Langwedocji we Francji.

haruspikowie – wróżbici, badający trzewia zwierząt złożonych w ofierze, żeby stwierdzić, czy znaki są pomyślne, czy niepomyślne.

imperator – tytuł przyznawany wodzowi po zwycięskiej kampanii militarnej; trzeba było go uzyskać, żeby mieć prawo do odbycia triumfu.

imperium – władza przyznawana przez senat, przeważnie konsulowi, pretorowi albo namiestnikowi prowincji.

kapłan najwyższy – patrz: *pontifex maximus*.

karczer – więzienie, leżące na granicy forum i Kapitolu, między świątynią Zgody i budynkiem senatu.

korniej urn – krąg na forum, średnicy około trzystu stóp, między budynkiem senatu i rastrami, tradycyjnie miejsce, gdzie lud przegłosowywał ustawy i gdzie znajdowały się trybunały sądowe.

konsul – najwyższy urzędnik Republiki Rzymskiej, wybierany corocznie, zazwyczaj w lipcu, i rozpoczynający urzędowanie w styczniu; na zmianę z drugim konsulem przewodniczył w okresie miesięcznym obradom senatu.

krzesło kurulne – bez oparcia z niskimi poręczami, często z kości słoniowej, na którym zasiadał urzędnik mający imperium, czyli władzę, zwłaszcza konsul i pretorzy.

kuria – pierwotnie główne zgromadzenie tribus rzymskich (do 387 r. p.n.e, było ich trzydzieści).

kwestor – niższy urzędnik, wybierany co roku wraz z dwudziestoma innymi; urząd ten umożliwiał przyjęcie do senatu; kandydat musiał mieć ponad trzydzieści lat i wykazać się majątkiem wartości miliona sestercji.

legat – poseł, wysłannik Rzymu.

liktor – urzędnik, który niósł *fascēs*, pęk brzoźowych różeg, związanych czerwonym rzemieniem, symbolizujących władzę urzędnika; konsulom towarzyszyło dwunastu liktorów, którzy pełnili funkcję eskorty, pretorom – sześciu; starszy liktor, który stał najbliżej urzędnika, nazywany był liktorem najbliższym.

manumissio – wyzwoleńie niewolnika.

oskarżenie – ponieważ w okresie Republiki Rzymskiej nie istniał system oskarżenia publicznego, obywatele prywatnie wnosili do sądu skargi o naruszenie prawa, od defraudacji po zdradę i zabójstwo.

pontifex maximus – kapłan najwyższy, sprawujący pieczę nad życiem religijnym państwa, stał na czele piętnastu członków Kolegium Kapłańskiego, rezydującego przy Via Sacra.

pretor – drugi pod względem zakresu władzy urzędnik Republiki Rzymskiej, wybierany wraz z ośmioma kolegami corocznie, przeważnie w lipcu, i obejmujący urząd w styczniu; ośmiu pretorów w drodze losowania obejmowało zwierzchność nad dziedzinami sądownictwa, takimi jak: zdrada, defraudacja, korupcja, poważne przestępstwa etc.; patrz także: pretor miejski.

pretor miejski – zwierzchnik systemu sprawiedliwości, najważniejszy spośród pretorów, trzeci pod względem władzy urzędnik republiki po konsulach.

rostra (Im.) – mównica na forum, długie podium wysokości około dwunastu stóp, zwieńczone posągami bohaterów; z niej urzędnicy i adwokaci przemawiali do obywateli rzymskich; jej nazwa pochodzi od dziobów zdobywczych okrętów (rostrum), którymi była ozdobiona.

senaculum – otwarta przestrzeń przed siedzibą senatu, gdzie przed rozpoczęciem obrad zbierali się senatorowie.

senat – główny organ władzy Republiki Rzymskiej, prawo bowiem uchwalał lud na zgromadzeniu ludowym; liczył sześciuset członków, którzy zgłaszali pod obrady sprawy wagi

państwowej i nakazywali konsulom podjęcie jakichś działań albo przygotowanie ustaw, które potem poddawano ludowi pod głosowanie; ktoś, kto został senatorem poprzez kwesturę (patrz: kwestor), zazwyczaj był nim do końca życia, chyba że z powodu niemoralnego prowadzenia się albo bankructwa pozbawili go tego stanowiska cenzorzy; dlatego też średnia wieku w senacie była wysoka (senator pochodzi od *senex* – stary).

tribus – obywatele rzymscy podzieleni byli na trzydzieści pięć tribus, które przegłasowały prawa i wybierały trybunów ludowych; w przeciwieństwie do systemu głosowania centuriami głosy bogatych i biednych miały takie samo znaczenie.

triumf – uroczysty wjazd do Rzymu, najwyższe wyróżnienie przyznawane przez senat zwyciężskiemu wodzowi; żeby je uzyskać, musiał on zatrzymać władzę wojskową – a ponieważ nie mógł wkroczyć do Rzymu, nie zdawszy jej, wodzowie, którzy chcieli odbyć triumf, musieli czekać pod miastem, żeby senat przyznał im do tego prawo.

trybun ludowy – przedstawiciel ludu, plebejusz; corocznie wybierano dziesięciu trybunów, którzy obejmowali urząd w grudniu; mieli prawo zgłaszać propozycje ustaw i je wetować, a także zwoływać zgromadzenie ludowe; trybunem mógł zostać tylko plebejusz.

zgromadzenie ludowe – najwyższy organ władzy ustawodawczej i sądowniczej narodu rzymskiego, składający się z obywateli rzymskich, podzielonych na tribus (*comitia tributa*, które uchwalały prawa, decydowały o wypowiedzeniu wojny i zawarciu pokoju, wybierały trybunów) albo na centurie (*comitia centuriata*, które wybierały wyższych urzędników).

Dramatis personae

Afraniusz, Lucjusz – sprzymierzeniec Pompejusza z jego rodzinnego Picenum; legat podczas wojny przeciwko Mitrydatesowi; później kandydat Pompejusza na urząd konsula.

Arriusz, Kwintus – były pretor i wódz, blisko związany z Krassusem.

Attyk, Tytus Pomponiusz – najbliższy przyjaciel Cyclerona; szwagier Kwintusa Cyclerona, ożenionego z jego siostrą Pomponią.

Aurelia – matka Juliusza Cezara.

Bibulus, Marek Kalpurniusz – kolega Cezara podczas konsulatu i jego zażarty przeciwnik.

Cezar, Gajusz Juliusz – przywódca popularów w Rzymie; sześć lat młodszy od Cyclerona, żonaty z Pompeją, mieszkający z nią, matką Aurelią i córką Julią.

Celer, Kwintus Cecyliusz Metellus – szwagier Pompejusza (który ożenił się z jego siostrą), mąż Klodii, brat Neposa; członek Kolegium Augurów; pretor; głowa największego i najpotężniejszego rodu w Rzymie; bohater cieszący się wielką sławą wojenną.

Cetegus, Gajusz Korneliusz – senator patrycjuszowski, jeden z uczestników spisku Katyliny.

Cyceron, Kwintus Tuliusz – młodszy brat Cyclerona; senator i legionista; ożeniony z Pomponią, siostrą Attyka.

Gabinusz, Aulus – były trybun, pochodzący z rodzinnego miasta Pompejusza, Picenum, przeprowadził ustawę, na mocy której Pompejusz uzyskał naczelne dowództwo na wschodzie; nagrodzony przez niego stanowiskiem legata podczas wojny z Mitrydatesem.

Hortensjusz Hortalus, Kwintus – były konsul, przez wiele lat najwybitniejszy adwokat w Rzymie, dopóki jego miejsca nie zajął Cyncero; szwagier Katyliny; przywódca patrycjuszów; bogacz; jak Cynceron polityk, nie miał doświadczenia wojskowego.

Hybryda, Gajusz Antoniusz – kolega Cyncerona podczas konsulatu, potomek jednego z najznamienitszych rodów rzymskich, mimo to usunięty z senatu za korupcję i bankructwo.

Izaurykus, Publiusz Serwiliusz Watia – jeden z najstarszych i najslawniejszych senatorów – siedemdziesięcioletni, gdy Cyncero został konsulem – zaprawiony w bojach i zasłużony wódz, który dwukrotnie odbył triumf; były konsul i członek Kolegium Kapłańskiego

Katon, Marek Porcjusz – brat przyrodni Serwili, wnuk Katona Cenzora; obrońca tradycji republikańskich.

Katulus, Kwintus Lutacjusz – były konsul, członek Kolegium Kapłańskiego, jeden z najbardziej doświadczonych senatorów, przywódca patrycjuszów.

Katylina, Lucjusz Sergiusz – były namiestnik Afryki, pokonany przez Cyncerona w wyborach na konsula.

Klodia – siostra Klodiusza, pochodząca z jednego z najznamienitszych rodów rzymskich, żona Metellusa Celera.

Klodiusz Pulcher, Publiusz – potomek patrycjuszowskiego rodu Klaudiuszy; były szwagier Lukullusa; brat Klodii, z którą podobno utrzymywał kazirodcze stosunki; poplecznik Mureny, namiestnika Galii Zaalpejskiej.

Krassus, Marek Licyniusz – były konsul; wódz, który brutalnie stłumił powstanie niewolników pod wodzą Spartakusa; najbogatszy człowiek w Rzymie; rywal Pompejusza.

Labienus, Tytus – wódz z Picenum, rodzinnego miasta Pompejusza; trybun ludowy, popierający Cezara i Pompejusza.

Lukullus, Lucjusz Licyniusz – były konsul i wódz armii rzymskiej podczas wojny na wschodzie przeciwko Mitrydatesowi, zastąpiony później przez Pompejusza; wyniosły arystokrata, posiadający ogromny majątek; jego wrogowie z senatu przez wiele lat czynili wysiłki, żeby pozbawić go prawa do triumfu i utrzymać poza granicami Rzymu; rozwiedziony z jedną z sióstr Klodiusza i Klodii.

Nepos, Kwintus Cecyliusz Metellus – brat Celera i szwagier Pompejusza, który odesłał go ze wschodu, gdzie był legatem, żeby został trybunem i dbał o jego interesy w Rzymie.

Pius, Kwintus Cecyliusz Metellus – *pontifex maximus*, sześćdziesięcioletni i schorowany; adopcyjny ojciec Scypiona.

Pompejusz, Gnejusz – rówieśnik Cyclerona; najpotężniejszy człowiek w świecie rzymskim; były konsul i zwycięski wódz, który aż dwa razy odbył triumf, cztery lata nieobecny w Rzymie, bo prowadził kampanię wojenną na wschodzie – najpierw walczył przeciwko piratom, a potem Mitrydatesowi; ożeniony z Mucją, siostrą Celera i Neposa.

Rufus, Marek Celiusz – były uczeń Cyclerona, syn jednego z jego politycznych popleczników z prowincji.

Serwilia – ambitna i zorientowana politycznie żona Juniusza Silanusa, kandydata na urząd konsularny; przyrodnia siostra Katona; wieloletnia kochanka Cezara; matka trzech córek i syna Brutusa, których miała z pierwszym mężem.

Serwiusz Sulpicjusz Rufus – dawny i obecny przyjaciel Cyclerona; były pretor, znany jako jeden z najlepszych znawców prawa w Rzymie; kandydat na urząd konsularny; ożeniony z Postumią, kochanką Cezara.

Silanus, Decymus Juniusz – żonaty z Serwilią, wieloletnią kochanką Cezara; członek Kolegium Kapłańskiego; pokonany w walce o konsulat i zmierzający do odzyskania swojej pozycji.

Sura, Publiusz Korneliusz Lentulus – były konsul, niegdyś usunięty z senatu z powodu obrazy moralności; żonaty z wdową po bracie Hybrydy, ojczym młodego Marka Antoniusza; powracający na scenę polityczną jako pretor miejski i sprzymierzeniec Katyliny.

Terencja – żona Cyclerona; dziesięć lat od niego młodsza i szlachetniejszego pochodzenia; żarliwie religijna, słabo wykształcona, o konserwatywnych poglądach politycznych; matka dwojga dzieci Cyclerona, Tulii i Marka

Tiron – prywatny sekretarz Cyclerona; niewolnik, trzy lata młodszy od swojego pana, wynalazca stenografii.

Tulia – córka Cyclerona.

Watyniusz, Publiusz – młody senator, znany z brzydoty; później trybun i bliski sprzymierzeniec Cezara.

Spis treści

Nota od autora	7
Część pierwsza	
KONSUL	11
Część druga	
PATER PATRIAE	263
Słowniczek	463
Dramatis personae	467